



E-BOOK GENEALOGICZNY ZBIGNIEW PENKAŁSKI

WYDANIE II POPRAWIONE I UZUPEŁNIONE - 30 listopad 2020

Strona celowo pozostawiona czysta

ŻYCIE CODZIENNE NASZYCH ANTENATÓW 1794-1945

Wstęp

Książeczka ta ma za swój cel pokazanie korzeni naszej rodziny, której najdalsi znani antenaci to: Jan Pękalski (1760 - ok. 1830), Jakub Eiber (1760- ok. 1820) oraz Szymon Niewiarowicz (ok. 1780-ok. 1833). Rozpoczniemy ją od syna Jakuba Eibera czyli Szymona Eborowicza, gdyż na temat jego imiennika z rodu Niewiarowiczów wiemy bardzo mało. Archiwa z dawnej Litwy, albo zaginęły, albo są obecnie trudno dostępne, a gniazdo rodu leży obecnie na terenie Białorusi.

Samo imię Szymon jest pochodzenia hebrajskiego, gdzie *szim on*, co znaczy „Bóg wysłuchał”. Znany z Ewangelii św. Szymon głosił nauki w Persji, tam poniósł śmierć męczeńską. Natomiast św. Szymon Słupnik uparł się, aby przez 37 lat siedzieć na platformie umieszczonej wysoko nad ziemią. Nie oznacza to, że wszyscy nosiciele tego imienia są uparci, czy święci. Ale z reguły są to ludzie poważni do tego stopnia, iż uważa się ich za nudziarzy. Cechuje ich pewność siebie granicząca z fanatyzmem. Znajdują pełną samorealizację tylko w działaniu i to w działaniu za każdą cenę. Czy taki właśnie był bohater tej książeczki, nie wiemy. Na pewno jednak borykał się z trudnościami życia codziennego i walczył o dobrobyt dla siebie i swojej licznej rodziny. Trudy życia i niski poziom medycyny w XIX wieku spowodowały, że nasi antenaci nie żyli długo, Szymon nie dożył swoich 60. urodzin, niedawno udało się zdobyć jego akt zgonu.

Nie zachował się żaden sygnowany portret Szymona Eborowicza, fotografia za jego życia dopiero raczkowała. Karol Beyler otworzył swoje studio fotograficzne w Warszawie w roku 1845, Szymon żył wtedy, ale pewnie nikt nie pomyślał, aby skorzystać z tej nowinki technicznej. Nie dowiemy się zatem, czy był wysoki, czy niski, przystojny czy szpetny, ale na podstawie znanych postaci z okresu jego życia możemy w pewnym stopniu zgadywać, jak się nosił i jak wyglądał. Zachował się w rodzinie pewien stary dagerotyp, ale nie mamy pewności czy przedstawia on Szymona z jego żoną Marianną. Wiemy jednak, że wykonano go w Warszawie w połowie XIX wieku istnieje, więc możliwość, że mimo wszystko zachował się portret małżonków Szymona i Marianny z Millerów.

W życiu Szymona Eborowicza wiele jest tajemnic i niepewności, trzeba je będzie uzupełniać intuicją, ale w oparciu o fakty. Takim faktem okazał się być akt zgonu Szymona, dzięki któremu można było ustalić dane jego rodziców, którymi byli wyznawcy religii mojżeszowej.

Tak, jak życie każdego z nas, tak i żywot mojego przodka musi zaistnieć w konkretnym kontekście historycznym i społecznym. Znajomość tych realiów wymagała dogłębnych studiów historycznych w

tych wycinkach rzeczywistości, w których toczyło się codzienne życie i praca Szymona i jego potomków. A więc przede wszystkim w Warszawie od roku 1795 do końca XIX wieku, a tym mieście z kolei szczególnie wyróżnionym miejscem była dla Eborowiczów ulica Bednarska. Tam zaczęli swoje interesy, tam mieszkali, rodzili się i umierali. Historia tego fragmentu miasta stołecznego będzie mnie interesować szczególnie. Wyruszymy więc w podróż przez historię widzianą oczami zwykłych ludzi i opisaną przez ich codzienną, mrówczą pracę o jak najlepsze miejsce na drabinie społecznej.

Rodzice Szymona zamieszkiwali w XVIII wieku wieś Górcze, to rejon obecnego Bemowa. Stąd wzięła się nazwa ulicy Górczewskiej. Wieś należała do parafii Babice. Tam też zachowały się metryki z wsi Górcze, aczkolwiek mocno niekompletne.

W dalszych rozdziałach tej opowieści skupię się na tej linii rodowej, która prowadzi bezpośrednio do małżeństwa Józefa Chmielowskiego z Felicją z Eborowiczów oraz ich córce Zofii, która była babką naszej matki. Wszystkie inne wątki zostaną także omówione, ale ze zrozumiałych względów koncentrować się będę na dziejach własnej rodziny. Całość narracji zostanie doprowadzona do roku 1945. Zofia Chmielowska była żoną Aleksandra i matką Stefana i Wacława Niewiarowiczów. Ich życie codzienne było pełne przygód i niezwykłych wydarzeń na tyle, że ich opisanie przekroczyłoby ramy tego opracowania. Dlatego też przygody Aleksandra Niewiarowicza w Mandżurii będą opisane w odrębnym e-booku. To samo dotyczy dziejów rodu Pękalskich, gdyż w tym przypadku trwa zbieranie i analiza materiałów źródłowych.

Trudny to i obszerny temat. Jak pisał znawca realiów XIX wieku Stanisław Wasylewski: *" Życie polskie w XIX wieku. Jakże elastyczny i dalekosiężny temat! Ogarnąć wypada okiem ogrom zjawisk kulturalnych, społecznych, potocznych, zajrzeć do polityki, szkolnictwa i prasy, przewertować literaturę piękną, odwiedzić salony i chatupy, hrabiny i babiny, szulernie, fabryki, dyliżanse, lokomotywy, zapytać o zdanie architektów, poetów, kompozytorów..."*

Wszystkie nazwiska tutaj wymienione, jak i opisywane miejsca są prawdziwe podobnie, jak fakty historyczne. Prawdziwe są setki szczegółów takich np. jak jadłospisy, ceny i obyczaje. Wkraczamy zatem w krainę, w której żyli nasi przodkowie, a był to świat bardzo odmienny od tego, który znamy w XXI wieku.

Po siedmiu latach tekst ten wymagał uzupełnienia ze względu na odkrycie ponad 250 metryk oraz innych dokumentów i fotografii. Pozwoliło to na rozszerzenie listy naszych przodków o tych osadzonych jeszcze w XVIII wieku oraz na pokazanie środowisk, w których żyli i działali. Praca genealoga nigdy się nie kończy, w dalszym ciągu będę prowadził poszukiwania i badania. Ich wyniki pojawią się na mojej stronie genealogicznej. A potem pałeczkę przejmie po mnie wnuk lub prawnuczek. Taką mam nadzieję.

Aby nie zaciemniać tekstu nie podaję przypisów i źródeł, zastąpi je zamieszczony poniżej

Spis wykorzystanej literatury i najważniejszych źródeł internetowych.

- 1/ Zbigniew Chądzyński „Pamiętnik powstańca z lat 1861, 1862 i 1863” –edycja komputerowa www.zrodla.historyczne.prv.pl, 2002 r.,
- 2/ Jarosław Zieliński „Ulica Bednarska, wyd. VEDA, www.wyczerpane.pl,
- 3/ Stanisław Wasylewski „Życie Polskie w XIX wieku”, wyd. ISKRY, 2008 r.
- 4/ Stanisław Milewski „Ciemne sprawy dawnych warszawiaków”, wyd. PIW. 2009 r.
- 5/ Agnieszka Lisak, „Życie towarzyskie w XIX wieku”, wyd. Bellona, 2013.
- 6/ Agnieszka Lisak „Miłość, kobieta i małżeństwo w XIX wieku”, wyd. Bellona, 2013.
- 7/ Stanisław Szumski, „W walkach i więzieniach-pamiętniki z lat 1812-1848”, Wilno, 1931;
<http://kpbc.umk.pl/dlibra/plain-content?id=32234>
- 8/ Dokumenty Wydziału Wojny Rządu Narodowego w Powstaniu Styczniowym 1963-64 – edycja komputerowa www.zrodla.historyczne.prv.pl, 2002 r.
- 9/ Strona genealogiczna autora <http://zbigkurzawa.eu/GENEALOGIA/index.html>
- 10/ Drzewo genealogiczne Eborowiczów, Szletyńskich i Chmielowskich
<http://www.myheritage.pl/site-186608692/eborowicz>
- 11/ Władysław Milewski „Na morzu i na lądzie”, Wyd. Morskie Gdańsk, 1976.
- 12/ Roczniki miesięcznika „Morze” 1924-1979 (obecnie niedostępne w sieci)
- 13/ Encyklopedia Gdyni, wyd. Verbi Causa, 2006.
- 14/ Biogram Wojciecha Pękalskiego herbu Odrowąż w PSB
<https://www.ipsb.nina.gov.pl/a/biografia/wojciech-pekalski-h-odrowaz>
- 15/ Biogram kapitana Karola Rynckiego <https://www.ipsb.nina.gov.pl/a/biografia/karol-ryncki>
- 16/ Biogram zdrajcy, księcia Adama Ponińskiego
https://pl.wikipedia.org/wiki/Adam_Poni%C5%84ski_%281732%E2%80%931798%29
- 17/ Biogram Apolinarego Kątskiego https://pl.wikipedia.org/wiki/Apolinary_K%C4%85tski

18/ Biogramy powstańców warszawskich z rodziny Psarskich

<https://www.1944.pl/powstancze-biogramy.html/szukaj/Psarski>

19/ Wsiedlenia z Gostynia w r. 1939 i później. Biografia mordercy Oskara Knofe.

<http://zbigkurzawa.eu/GENEALOGIA/roboty/roboty01.html>

1

Szymon Eborowicz urodził się w roku 1795 w Warszawie (rejon Górcze-Bemowo) w rodzinie żydowskiej osiadłej tam od ponad 200 lat. Trzeba zatem przedstawić w skrócie dzieje tej społeczności w czasie narodzin i życia naszego, dość odległego, pradiada

Niewiele wiemy o organizacji ludności żydowskiej w tym czasie. Społeczność wybierała spośród siebie seniorów (łac. *Seniores Judaeorum*), którzy mieli m. in. reprezentować wspólnotę przed władzą. Urząd seniorów zamieniono później na syndyków. Żydzi warszawscy zajmowali się handlem, rzemiosłem i finansami. Liczna biedota żydowska chwyciła się każdej możliwości zarobkowania, m.in. handlu starzyzną, handlu obnośnego, muzykowaniem czy najmowała się do służby.

W 1775 r. zezwolono Żydom na prowadzenie handlu, propinację oraz na osiedlanie się na Pradze. Początkowo, jak wynika z rejestru podatku pogłównego, mieszkało ich tam ok. 70. W 1780 r. zatwierdzono tam z inicjatywy Szmula Zbytkowera cmentarz żydowski, mniej więcej w tym samym czasie powstała też pierwsza synagoga przy ówczesnej ul. Szerokiej. Na przełomie XVIII i XIX w. Praga stała się centrum życia żydowskiego. Ważnym wydarzeniem dla społeczności żydowskiej Warszawy było powstanie kościuszkowskie w 1794 roku. Warszawscy Żydzi wzięli w nim udział. Powstał nawet pułk żydowski pod dowództwem Berka Joselewicza. Po klęsce powstania ludność żydowska zamieszkująca Pragę także ucierpiała na skutek dokonanej przez wojska rosyjskie fali mordów na ludności cywilnej, która przeszła do historii, jako „rzeź Pragi”. Mimo licznych ofiar w czasie tej masakry, społeczność żydowska Pragi u schyłku wieku liczyła ok. 1,5 tys. osób. Po drugiej stronie Wisły w tym samym czasie mieszkało już ponad 5 tys. Żydów.

Po trzecim rozbiore Polski, w 1795 r., Warszawa znalazła się w zaborze pruskim. W mieście zaczęło obowiązywać pruskie ustawodawstwo. Oznaczało to między innymi zniesienie zakazu osiedlania się Żydów w mieście. Administracja pruska wprowadziła nakaz nadawania Żydom nazwisk. Urzędnikiem odpowiedzialnym za dobór nazwisk był Ernest Theodor Amadeusz Hoffmann (1776–1822) – niemiecki pisarz, kompozytor i rysownik, przebywający w Warszawie w latach 1804–1806. Jest oczywiste, że Jakob Ejber w chwili urodzenia nosił swoje imię, choć może w wersji hebrajskiej tj. Jaakow czy Jankew (skąd blisko do Jankiela), ale nie nosił nazwiska lub ewentualnie miał przydomek. Prusacy nadawali nazwiska za łapówki, im większa kwota, tym nazwisko było piękniejsze. Brak pieniędzy oznaczał często nazwisko ośmieszające, jak np. Kanalgeruch (rynsztokowy zapach), czy Wanzenknicker (pluskwiana sknera). Godne nazwiska to Rosenbaum, Goldberg czy Goldmann. Wiele nazwisk pochodziło od nazw drzew jak np. Birnbaum (grusza) czy Kirchbaum (wiśnia). Eibe to po niemiecku cis, nazwa niewłaczająca, więc Jakub musiał zapłacić średniej wartości łapówkę. E.T.A. Hoffmann dodał tylko niemiecką końcówkę -er i tak oto narodził się Eiber, a następnie Eborowicz. Ale nazwisko to miało także inne korzenie. Słynny rabin i talmudysta Nata Jonatan ben Natan (1694-1764) nosił przydomek Eibenschitz od miejscowości na Morawach, które weszło do obiegu nazwisk-przydomków żydowskich, jako Ejbeszic lub Ajbeszic. Sami Eborowicze, nie będący neofitami, wywodzą się z pnia niemieckiego od nazwiska Eberhard pochodzenia starogermańskiego, oznacza: odważny i mocny jak dzik. Inne formy: Eberchard, Ewerard. Obce formy: Eberhardus (łac.), Eberhard (ogólnie przyj. forma), Eborard, Everard, Evered, Everett (ang.), Ebert, Everhard (niem.), Everard, Evrard (fr.), Everardo, Eberardo (hiszp., wł.), Ebergard (ros., czes., słowac., połud.-słow.) Cały szereg nazwisk tego pochodzenia: Eberchard, Eberchart, Eberd, Eberdowski, Eberhart, Eberl, Ebert, Evertowicz, Ebertowski, Ebhardt, Ebor,

Eborowicz, Ebiorczyk, Ebusz, Ebysz, Eward, Ewartowski, Ewert, Ewertkowski, Ewertowski, Ewertyński, Ibertowski.

W 1799 r. Żydzi otrzymali zezwolenie na stworzenie gminy. W tym czasie w Warszawie mieszkało ich 9,2 tys., którzy stanowili ok. 10% ogółu mieszkańców. Mimo decyzji władz pruskich warszawski magistrat starał się cały czas ograniczać prawa Żydów. Początkowo siedziba gminy mieściła się w prywatnym mieszkaniu. W jej władzach zasiadali przede wszystkim misnagdzi, czyli przeciwnicy chasydyzmu.

W 1802 r. powstała synagoga postępową przy ul. Daniłowiczowskiej, funkcja rabina była honorowa, pełniono ją bezpłatnie. W 1810 r. liczba żydowskich mieszkańców Warszawy wynosiła ponad 18 tys., co stanowiło 18% wszystkich mieszkańców.

W czasie istnienia Księstwa Warszawskiego położenie warszawskich Żydów uległo zmianie. Magistrat powołał syndyka dla ludności żydowskiej, nie uznając w ten sposób zarządu gminy. Dopiero w 1808 r. gmina została uznana przez władze. 16.03.1809 r. książę Fryderyk August wydał dekret na mocy, którego dokładnie określono warunki osiedlania się Żydów. Utworzono tzw. „rewiry” w mniej reprezentacyjnych częściach miasta – na Woli, Powiślu, Pradze czy na Powązkach, gdzie Żydzi mieli się przenosić. Nakaz nie obejmował jednak wszystkich. Przepis ten obowiązywał do 1862 roku.

W 1806 zarząd warszawskiej gminy żydowskiej wystąpił do rządu z prośbą o zgodę na urządzenie za rogatkami wolskimi (przy obecnej ul. Okopowej) cmentarza dla ludności żydowskiej. Zgoda została wydana w tym samym roku, po czym natychmiast przystąpiono do urządzania cmentarza. Powołano wówczas bractwo pogrzebowe Chewra Kadisza, które administrowało nekropolią, a w swoich decyzjach było niezależne i w pełni autonomiczne. Do celów pochówkowych cmentarz został otworzony pod koniec tego samego roku. Przez wiele lat cmentarz był traktowany, jako elitarny i był wykorzystywany przez bogatszą społeczność żydowską. Pochówki uboższych Żydów kierowano na cmentarz na Bródnie. Niewykluczone, że na tym cmentarzu spoczęli rodzice Szymona, którzy w roku jego założenia mieli ok. 46 (Jakub) - 36 (Estera) lat. Był on położony niedaleko w sąsiedniej dzielnicy Wola. Cmentarz ten zajmuje powierzchnię ok. 33,5 ha, znajduje się na nim około 200 tysięcy nagrobków (macew) stanowiących jeden z najcenniejszych zabytków małej architektury Warszawy i Polski. Teren cmentarza jest podzielony na kwatery: ortodoksyjną, postępową, dziecięcą, porządkową, wojskową i gettową, a w ortodoksyjnej jeszcze na kobiecą i męską oraz specjalną do chowania świętych ksiąg. Nekropolia jest czynna i służy żydowskiej społeczności Warszawy i okolic.



Kiedy wybuchło powstanie listopadowe w 1830 r., żydowskie środowiska postępowe zdecydowały się na udział w walkach. Powstał pomysł stworzenia osobnego pułku żydowskiego. Sprzeciwili się temu władze powstania, m.in. gen. Józef Chłopicki. Także po stronie żydowskiej znaleźli się niechętni stworzeniu odrębnej formacji wojskowej. Padały głosy, iż będzie to potwierdzenie odrębności Żydów. Dlatego też opowiadano się za wstępowaniem Żydów do sformowanych już oddziałów. Władze powstańcze zadecydowały, że do Gwardii Narodowej mogli wstępować bogaci Żydzi, władający językiem polskim, francuskim lub niemieckim, którzy ogolą brody. Szacuje się, że ok. 400 Żydów weszło w ten sposób w skład Gwardii Narodowej. Jednak szczególnie warunek zgolenia brody spotkał się z oburzeniem konserwatywnych środowisk żydowskich, w tym również rabina Salomona Zalmana Lipszyca. Ostatecznie władze powstańcze odstąpiły od tego warunku. 28.02.1831 r. Żydzi warszawscy utworzyli Gwardię Miejską Starozakonnych. Wstąpiło do niej 1268 Żydów. Powstała także licząca ponad 1 tys. osób żydowska Straż Bezpieczeństwa, rekrutująca się z uboższych warstw społecznych. Strażnicy nie posiadali mundurów, a ich bronią były kosy i piki. Zamożni Żydzi stworzyli szpital dla powstańców.

Po powstaniu życie warszawskich Żydów wróciło do normy. Dozór bóżniczy otrzymał od magistratu Warszawy lokal na siedzibę. W tym czasie rabinat warszawski składał się już z rabina naczelnego i 5 okręgowych. W 1840 r. do rabinatu wszedł pierwszy chasyd – Icchak Meir Alter, cadyk z Góry Kalwarii. Na Pradze powstała wówczas okrągła synagoga, natomiast po drugiej stronie Wisły kupiec Natan Zeligson ufundował drugą synagogę postępową, zw. synagogą polską. W jej murach kazania po polsku wygłaszał rabin Izaak Kramsztyk. Od 1856 r. w pierwszej synagodze postępowej kazania po polsku zaczął wygłaszać Markus Jastrow. W poł. XIX w. tendencje asymilacyjne wśród żydowskich mieszkańców Warszawy nasilały się. W 1856 r. naczelnym rabinem Warszawy został popierający asymilację Dow Ber Meisels. W całym mieście działały w tym czasie 142 synagogi.

Stosunkowo liczna grupa Żydów, przede wszystkim z rodzin zamożniejszych postawiła na aktywne wyjście z diaspory i poszukiwanie swego miejsca w nowych warunkach społecznych i gospodarczych. We wszystkich trzech zaborach Żydzi stali się znaczącą częścią grupy kapitalistów – bankierów i przedsiębiorców. Symbolem mogą być tutaj rodziny Kronenbergów, Epsteinów, Poznańskich, Grohmanów czy postać Jana Blocha. Inną drogę do ekonomicznego odnalezienia się w nowoczesnym świecie było wykształcenie. Ukończenie przynajmniej szkoły średniej, a najlepiej studiów wyższych było w środowisku żydowskim ambicją powszechną. W efekcie już w ostatnich dziesięcioleciach XIX wieku Żydzi i osoby pochodzenia żydowskiego stanowiły na ziemiach polskich znaczny odsetek inteligencji twórczej oraz reprezentantów wolnych zawodów. Jednym z warunków osiągnięcia sukcesu miejsca w świecie nowoczesnego życia społecznego i gospodarki kapitalistycznej była rezygnacja ze stylu życia i obyczajowości charakterystycznych dla tradycyjnych, ortodoksyjnie religijnych środowisk żydowskich. Już idąc do szkoły średniej trzeba było zrezygnować z tradycyjnego stroju, ścisłego przestrzegania nakazów religijnych (dotyczących na przykład soboty), używania jidysz etc. W czasie świeckiej edukacji szkolnej uczniowie z żydowskich domów ulegali, jak to już wówczas mówiono „europeizacji”. Jedną z ważnych konsekwencji rozwoju nowoczesnych aspiracji Żydów była ich podatność na asymilację.

Ważnym, choć bynajmniej niekoniecznym etapem tego procesu było odejście od religii mojżeszowej i przyjęcie chrześcijaństwa. Wśród bardzo licznej, idącej w tysiące osób, które przyjęły polską identyfikację kulturową i narodową, wśród setek tysięcy ich dzieci, wnuków i prawnuków znalazło się wiele osób o niecenionych zasługach dla kultury, gospodarki i państwowości polskiej. Wymieńmy w tym miejscu choćby rodzinę Kronenbergów o ogromnych zasługach dla rozwoju

gospodarczego ziem polskich, a jednocześnie największego darczyńcy na rzecz Filharmonii Warszawskiej, rodzinę Mortkowiczów – najbardziej chyba znanych wydawców polskich, Juliana Tuwima – poetę o niezrównanej biegłości w posługiwaniu się polszczyzną, wybitnego historyka Szymona Aszkenazego .

Nasz przodek, czyli ojciec Szymona Jakub Eiber (ur. ok. r. 1760) z pewnością nie był ortodoksyjnym wyznawcą religii mojżeszowej. Swego syna ochrzcił w kościele katolickim spolszczając przy tej okazji jego nazwisko. A Szymon Eborowicz tak samo postępował ze swoimi synami i córkami i sam został po śmierci pochowany, jako katolik. Zachował się jego akt zgonu (6 listopad 1848 r.) z parafii Warszawa Św. Krzyż. Jako świadkowie ujęci w akcie zgonu wystąpili: stary przyjaciel rodziny Adam Lipiński (45 lat) i syn zmarłego Karol (lat 23). Z tegoż aktu dowiadujemy się, że Szymon urodził się w Warszawie z ojca Jakuba Eibera i matki Estery Hemblum (ok. r. 1770). Para ta pobrała się w roku 1790, ale nie wiemy dokładnie ile mieli dzieci. Bratem Szymona był Stanisław (szynkarz) oraz August (1818-1869), kompozytor i malarz. Nie ma jasności czy bratem był również Antoni (1816-1885), lekarz. Być może był w jakiś sposób spokrewniony z rodziną Eborowiczów. Nie można też wykluczyć zmiany nazwiska przez kolejnych konwertytów żydowskich. Nazwisko Eborowicz było w XIX wieku popularne w stolicy, na co wskazuje fakt jego przybierania przez osoby wyznania mojżeszowego po konwersji na chrześcijaństwo. Tak jak szlachcic Walerian Nekanda-Trepka kompilował swoją Liber Chamorum, tak Teodor Jeske-Choiński dzięki ogromnej pracy w archiwach kościelnych (często już dzisiaj nieistniejących) odnotował zmiany nazwisk w swojej książce *"Neofici polscy"* (wyd. 1904 r.). Wynika z niej, że niejaki Michał Kazimierz Eborowicz, lat 21, zwał się uprzednio Mendel Gelbtrunk (syn Lewka i Sury Gelbtrunków), a zmiany dokonano w roku 1846. Imion rodziców nie zmieniano, często więc przy nazwisku ich brakuje, co może pośrednio wskazywać na konwertytę. Ów Mendel był szynkarzem, a jak wiemy Eborowicze prowadzili skład wódek i szynki w Warszawie i okolicach, co mogło mieć wpływ na wybór tego właśnie nazwiska. Również znany aktor Henryk Szletyński (1903-1996) urodził się, jako Henryk Homel i nie miał nic wspólnego z opisywaną tutaj rodziną o tym nazwisku.

Szymon rozpoczął swoje życie zawodowe w mieście, które w tym czasie liczyło sobie ponad 80 tysięcy mieszkańców. Utworzone kilka tygodni po przybyciu na ulicę Bednarską Szymona Królestwo Polskie wchodziło w okres szybkiego rozwoju i prosperity dla mieszkańców, który miał trwać do wybuchu nieszczęsnego powstania listopadowego. Bunt ten doprowadził do utraty ułomnej, ale w końcu jedynej możliwej w tych warunkach, suwerenności zagwarantowanej na Kongresie Wiedeńskim. Zniknie pięknie umundurowane wojsko polskie, duma całego narodu, a tysiące więźniów pomaszkuje w roku 1832 w kajdanach na Sybir. Upadnie gospodarka, zaniknie życie kulturalne, a naród pogrzeży się w apatii do następnego tragicznego zrywu po niepodległość. Ale od tych doniosłych wydarzeń dzieliło nas jeszcze ponad 15 lat w czasie, których Warszawa rozwijała i piękniała.

Budowa mostu przez Wisłę miała decydujące znaczenia dla rozwoju ulicy Bednarskiej. Była to bowiem jedyna arteria komunikacyjna łącząca śródmieście ze wschodnim brzegiem Wisły. i tamtejszymi traktami komunikacyjnymi. Obok służby zamkowej, pałacowej i dworskiej osiedli tu liczni rzemieślnicy, głównie szewcy. Początek przemysłowi dała manufaktura przędzalnicza Abrahama Papengutha założona na posesji karmelickiej w roku 1781. Zakład zatrudniał 40 osób i rozwijał się do czasu powstania kościuszkowskiego, kiedy to wycofujące się oddziały polskie spaliły most.



1. Most Ponińskiego r. 1792

Księżę generał Suworow kazał przeprawę odbudować i już w listopadzie 1794 roku most ten normalnie funkcjonował. Ale okupacja pruska nie sprzyjała ożywieniu ulicy Bednarskiej. Zmarły wszelkie budowy i nawet w okresie Księstwa Warszawskiego sytuacja się nie poprawiła. W czasie wojen napoleońskich rzeźbiony most różne wojska kilkakrotnie paliły, a w roku 1807 zniszczyły go lody. Potem wielkie powódzie w roku 1808 i 1813 zniósły most, że śladu po nim nie zostało. Był to most łyżwowy, a nie stały, na okres zimy zdejmowany. Wreszcie postawiono go w roku 1814, a nawet wybudowano bramę z kolumnami tokańskimi oraz datą na wjeździe od Bednarskiej.

Od najdawniejszych czasów Bednarska opadająca wąwozem od śródmieścia Warszawy ku Wiśle znana była, choć jej dolny odcinek powstał dopiero w połowie XVIII wieku z nawiezionych tam odpadów i ziemi z wykopów. W XVI wieku zwana była ulicą Rzeźniczą, gdyż stały tam drewniane domki cechu rzeźników. Potem ulica zyskała niechlubne miano Gnojowej, gdyż wszelkie nieczystości tam z miasta zwożono i wysypywano w pobliże rzeki.

Wysypisko funkcjonowało w tym miejscu do 1844. Podejmowane wcześniej próby jego zamknięcia kończyły się niepowodzeniem, gdyż mieszkańcy z uporem używali Góry Gnojnej, jako wygodnego miejsca pozbywania się śmieci i nieczystości. W wysypisku zakopywani byli po szyję ludzie chorzy na syfilis – wierzono, że ma to właściwości zdrowotne. Współcześnie Góra Gnojna pełni funkcję tarasu widokowego.



2. Widok Warszawy od strony Wisły

Na tym obrazie Christiana Melicha z 1620 roku widzimy ów wążów po drugiej stronie Wisły i plamy zieleni po obu jego stronach, które były ogrodami klasztorными bernardynów i kamedułów. Siłą rzeczy grunty te były ich własnością, co hamowało parcelację i zabudowę tych terenów. A to, co zbudowano, zostało całkowicie zniszczone w czasie wojen szwedzkich. W roku 1743 ulica zyskała obecną nazwę (oficjalnie zatwierdzoną w roku 1770), uprzętnięto też większość zanieczyszczeń zwożonych tam przez lata. Ulica została wybrukowana, a na brzegu zbudowano 140. metrowy basen portowy. Powstawała też zabudowa drewniana na terenach klasztorных.

Wspomniany już Adam Poniński (zob. notę biograficzną-poz. 16 spisu), niesławnej pamięci marszałek sejmu rozbiorowego, sfinansował budowę mostu łyżwowego położonego na łodziach, które na zimę odholowywano do portu. Ale księżę w zamian za to otrzymał 10. letnie dochody z myta. Wynosiło ono 2 gr. za człowieka pieszego i aż 20 gr. za ładowną karetę. Po obu stronach wjazdu na ten most postawiono zespół łaźni (nr od 1-5) należących do kasztelana łukowskiego Jacka Jezierskiego. Był to jednocześnie obiekt handlowy z uwagi na liczne sklepy, jak i dom schadzek, gdyż nikt nie zwracał uwagi na to, kto wchodzi do pomieszczeń kąpielowych. Miały one po dwie drewniane wanny z doprowadzoną ciepłą wodą. Po kąpeli można było napić się w kawiarni oraz w winiarni w miłym towarzystwie. Ulica Bednarska z chwilą postawienia mostu stała się jedyną arterią komunikacyjną łączącą śródmieście ze wschodnim brzegiem Wisły i tamtejszymi traktami komunikacyjnymi. Aż do roku 1864 ulica będzie żyła obok mostu i z mostu.

Szymon Eborowicz dotarł na ulicę Bednarską pewnego majowego popołudnia, zostawił swój środek lokomocji w wozowni i udał się na poszukiwanie kwatery polecanej mu przez brata Stanisława. Była to spora kamienica na rogu ulicy Furmańskiej pod nr 13 (działka nr 2679) wybudowana przez niejakiego Morawskiego ok. 35 lat wcześniej. Naprzeciwko stała piętrowa kamienica, którą wybudował w latach 1784-85 ślusarz Zdrojewski. W domu Morawskiego Szymon wynajął jedną izbę z piecem kuchennym, który zimą służył także do ogrzewania pomieszczenia. Miną lata, a on na zawsze już pozostanie na Bednarskiej z rozrastającą się rodziną, a z czasem dorobi się własnej kamienicy całkiem niedaleko od miejsca, gdzie zatrzymał się po raz pierwszy. Jego znajomy Baruch Papenguth prowadził handel korzenny, sukienny, norymberszczyznę oraz trunkami zagranicznymi, sprzedawał też towary łokciowe i galanterię. Mieszkał przy Bednarskiej pod nr 11 w domu Daniszewskiego, ale handlował w sklepie przy Furmańskiej. Wszyscy go tam znali, gdyż niemal z każdej rodziny ktoś pracował przed laty w przedzalni jego ojca Abrahama.

Manufaktura ta wskutek działań wojennych upadła i Baruch Papenguth był zmuszony zająć się handlem. Na zapleczu domu pod nr 11 (2680) znajdował się też zajazd dla podróżnych, skąd całkiem blisko było do łaźni. Od gazeciarza Szymon kupił „*Gazetę Warszawską*”, był to nr 40 z soboty 20 maja 1815 roku. Na stronie pierwszej redakcja zamieściła panegiryczny tekst rzekomego czytelnika wychwalający cara Aleksandra i projekt powstania Królestwa Polskiego. Potem następował bardzo obszerny przegląd wiadomości z całej Europy. W Warszawie nadal formalnie rządził „Jenerał Gubernator Xsięstwa Warszawskiego” i w Pałacu Pod Blachą sprawy urzędowe załatwiał w południe. Teatr Narodowy nazajutrz miał dać operę „Przerwana Ofiara” (*Opera we 2 aktach z muzyką Piotra Winter, z niemieckiej przełożona*, premiera, Warszawa 5 listopada 1802). W dziale ogłoszeń strapiona matka poszukiwała swego syna zaginionego w kampanii Napoleona w Rosji :

” Niżej wyrażona strapiona matka uprasza każdego, ktoby wiedział o życiu lub śmierci ur. Pawła Jańskiego. będącego w Pułku niegdyś Gwardyi Cesarskiej Francuzko-Polskiej, dowództwa JW. Wincentego Krasieńskiego, Pułkownika tegoż Pułku o którym od czasu ostatniej kampanii w Rossyi roku 1812, a gdzieby się znajdował,, czy w niewoli lub tej umar ł, żadney dotąd nie mając wiadomości, coby raczył dać znać pod adresem do Redakcyi Gazety Warszawskiej w Warszawie, a wszelką z tego względu poniesiona expens z naywiększem podziękowaniem wrócona będzie.

Franciszka Jańska”

Pułkownik Wincenty Krasieński wy dobył swoje wojska z pułapki straszliwej zimy rosyjskiej i zawiódł do Francji, a po upadku Napoleona we wrześniu 1814 roku przyprowadził swój pułk do Polski. Niestety bez porucznika Pawła Jańskiego, ocalał za to brat jego Paweł. Pod panowaniem Aleksandra I Krasieński kontynuował karierę wojskową i polityczną. Był posem przasnyskim i marszałkiem sejmu Królestwa Polskiego od 1818, a od roku 1825 senatorem -wojewodą. W 1820 Senat przyznaje Krasieńskiemu tytuł hrabiowski, a car nadaje mu order *Świętego Włodzimierza II* klasy i dożywotnią godność senatora-wojewody. W 1826 roku został awansowany do stopnia generała jazdy oraz na urząd senatora wojennego.

W tym właśnie czasie rozpoczął się okres wielkiego rozwoju Bednarskiej, który miał trwać do roku 1831. Nie budowano zbyt wiele, gdyż zaczynało brakować wolnych terenów, a ulica była nasycona budynkami murowanymi. Jednak do roku 1830 wzniesiono tu 6 nowych kamienic, co wraz z obiektami wcześniej wybudowanymi dawało w sumie 21 frontowych, murowanych domów. Kamienicę, która w przyszłości będzie gniazdem rodzinnym Eborowiczów, wybuduje w latach 1828-29 porucznik gwardii konnej i adiunkt Sztabu Głównego Wojska Polskiego Jan Adolf Łaskiewicz. W Wojsku Polskim Xsięstwa Warszawskiego porucznik-adiutant Sztabu Głównego, 28.11.13 otrzymał Legię Honorową za ocalenie życia wspomnianemu tutaj Wincentemu Krasieńskiemu pod Weimarem. W armii Królestwa Polskiego od 1815 porucznik, potem kapitan Sztabu Głównego, 24.5.30 otrzymał znak honorowy za 15 lat nieskazitelnej służby oficerskiej. W powstaniu major Sztabu Głównego. Po powstaniu, stawiał się przed Komisją Rządową Wojny i ponowił przysięgę wierności carowi. Potem, po przeniesieniu do cywila, naczelnik ruchu przy kolei żelaznej. Zmarł 6.12.54.

Dom tego oficera stanie pod nr 24 (działka nr 2690 b), gdzie w 1815 była jeszcze zabudowa drewniana. Miejsce to było w szczególny sposób naznaczone i mieszkańcy zwali je Piekłem. Jeszcze w XVII wieku była tu sadzawka, w obok w średniowieczu znajdowało się miejsce straceń poprzez

spalenie na stosie. W dawnej Polsce lokalizacje w pobliżu jakiegoś zbiornika wodnego zwane Piekietkiem bądź Piekłem to właśnie otoczone ponurą sławą miejsca, gdzie płonęły stosy, a na nich heretycy, czarownice i wszyscy ci, którzy narazili się Kościołowi. Resztki stosu wrzucano do rzeki, aby nie kalaty ziemi chrześcijańskiej. Nikt tam się nie budował, z reguły były to tereny podmokłe, ale jak pamiętamy na dawną ulicę Gnojową nawieziono setki ton odpadów, które skutecznie nadrzeczne zasypały mokradła. A, że nadal były to miejsca przeklęte, przeto gniew niebios zsyłał na ich mieszkańców wielkie powodzie i pożary. Bednarska była więc często zalewana przez Wisłę, która podchodziła aż do skrzyżowania z Furmańską, a raz nawet zdarzyło się, że została zalana od góry. Czyli od strony Krakowskiego Przedmieścia. Do tego „potopu” jeszcze powrócimy.

Na razie jednak Szymon mógł tylko pomarzyć o własnej kamienicy, kiedy w drewnianej szopie ustawił tłocznie i zaczął produkować olej lniany, na który było największe w tych czasach zapotrzebowanie. Służył on do celów konsumpcyjnych, ale i do konserwacji drewna. Produkowali go już blisko 3000 lat temu Egipcjanie, a potem Grecy i Rzymianie, którzy wysoko cenili jego odżywcze i lecznicze walory. Kobiety zachwycaly się jego dobroczynnym wpływem na włosy oraz skórę, mężczyźni natomiast doceniali jego wpływ na układ nerwowy oraz krwionośny. Metoda tłoczenia "na zimno" polega na produkcji oleju w temperaturze nieprzekraczającej 50 stopni Celsjusza, dzięki czemu składniki oleju (głównie wrażliwe na temperaturę nienasycone kwasy tłuszczowe) zachowują swoje naturalne struktury i właściwości biologiczne.

Ojciec Szymona i bracia pomogli mu uruchomić produkcję i zbudować sieć dystrybucji. Nie było to trudne, gdyż kupcy wyznania mojżeszowego mieli w całym kraju, a także w krajach ościennych doskonale rozwiniętą sieć sprzedaży i znakomite kontakty handlowe. Za ich pośrednictwem Szymon kupował też najlepszej jakości surowiec do produkcji oleju czyli siemię lnianki. Wbrew pozorom nie był to ten sam len, z którego wytwarzano płótna, ale jego specjalna odmiana zwana w dawnej Polsce w różnych rejonach lnicznik, judra, rydz, rydzyk, ryżyk i lennica. Lniankę uprawiano od czasów przedpiastowskich na ziemiach gorszych wręcz na piaskach. Stąd porzekadło „*lepszy rydz niż nic*”, które dotyczy lnianki, a nie grzyba, z uwagi na małe wymagania glebowe tej rośliny. Począwszy od połowy XIX wieku lniankę wypierały z uprawy rzepak i len włóknisty, którego uprawa na włókno żywiołowo rozwijała się w tym czasie. Olejarnia przy Bednarskiej produkowała także w mniejszych ilościach oleje słonecznikowe, makowe i orzechowe. Szczególnie cennym produktem był olej makowy mający zastosowanie, jako środek leczniczy o cudownym działaniu oraz do wyrobu wyjątkowych kosmetyków. Olej ten do dnia dzisiejszego jest stosowany, a jego 500 ml kosztuje blisko 100 zł, czyli nadal jest produktem drogim i trudnodostępnym. Natomiast olej lniany występuje obecnie pod handlową nazwą LenVitol i jest znacznie tańszy. Nadal ma mnóstwo zastosowań kulinarnych, kosmetycznych, medycznych i profilaktycznych.

Jak wiemy Szymon Eborowicz zaczynał swoją zawodową karierę prawie dokładnie w czasie, gdy powstało Królestwo Polskie z dawnych ziem Księstwa Warszawskiego. Wolne Miasto Gdańsk przekazano Prusom, a okręg białostocki został wchłonięty przez Rosję. Okręg tarnopolski włączono do austriackiej Galicji. Samo Księstwo podzielono na Wielkie Księstwo Poznańskie, Rzeczpospolitą Krakowską i Królestwo Polskie. Car Aleksander I podpisał konstytucję Królestwa w listopadzie 1815

i od tej chwili zaczęło ono swój formalny byt pod rządami pierwszego namiestnika cara księcia generała Józefa Zajączka. Był on jedynie figurantem, gdyż faktycznie o wszystkim decydował brat cara Wielki Książę Konstanty będący jednocześnie wodzem naczelnym Wojska Polskiego. Wielka polityka było blisko ulicy Bednarskiej, gdyż geograficznie leżała ona o rzut kamieniem od zamku i kolumny Zygmunta.



3. Powiśle

Trudno jednocześnie o większy kontrast, gdyż Powiśle było jedną z najbiedniejszych dzielnic stolicy. Na obrazie Gierymskiego „*Powiśle*” widzimy ciężko pracujących ludzi w szarym, nadrzecznym krajobrazie. Obraz powstał w roku 1883, możemy zatem przypuszczać, że na początku XIX wieku, gdy zamieszkał tam Szymon, warunki życia były jeszcze bardziej prymitywne. Ta rzemieślniczo-portowa dzielnica miała swoje okresy świetności, których symbolem była ulica Bednarska w czasach, gdy funkcjonował tam most przez Wisłę. Potem jednak podupadła i nigdy się już nie podźwignęła. Te dwa światy-zamkowy i ulicy Bednarskiej-choć bliskie fizycznie -

rozdzielała nieprzekraczalna bariera dzieląca klasę arystokracji i szlachty od zwykłej, ciężko pracującej biedoty miejskiej. W końcu

XVIII wieku zamieszkała tam służba pałacowa i zamkowa, osiadło też wielu szewców i innych rzemieślników.

.....

Zajrzyjmy na ulicę Bednarską w majowy poranek 1821 roku. Od samego rana hałas niepomierny tam panuje, ciężkie platformy transportowe na żelaznych obręczach turkoczą po bruku przewożąc beczki, worki, skrzynie, deski, skóry surowe i kłody drewna. Kierują się w dół do mostu, ale i w drugą stronę ciągnie sznur konnych wozów, karet, bryczek, faetonów i furmanek z Pragi do Śródmieścia. Górny odcinek Bednarskiej jest tak zatłoczony, że tworzą się zatory, część pojazdów musi jechać objazdem ulicami Mariensztat i Furmańską. Rok wcześniej zlikwidowano stary basen portowy w związku z planami budowy bulwaru kamiennego, nigdy zresztą nieukończonego. Bednarską na nowo brukowano i już wtedy objazd ten do mostu łyżwowego z konieczności obowiązywał. A kiedy niespodzianie pękła oś ciężko załadowanego wozu zatory tworzyły się na całej długości ulicy do czasu, aż pechowca rozładowano i odciągnięto na podwórko do pobliskiej kuźni. Kronikarz miasta Maksymilian Sobieszczański pisał lakonicznie na ten temat, że „*dojazd do miasta Bednarską był przykry*”!

W tym wielkim ruchu wypadki z udziałem pieszych często się zdarzały, o czym niejednokrotnie donosił „*Kurjer Warszawski*”. Tego dnia w czwartek 10 maja gazeta ta pisała zarówno o uroczystościach państwowych, jak i o dziwach natury. Nie zapomniano także o loterii, w którą grano powszechnie podobnie, jak my dzisiaj w LOTTO.

„Wczoraj w Kaplicy Zamkowej po nabożeństwie składano powinszowania J.C.M. Wielkiemu Xięciu, jako w doroczną uroczystość jego urodzin... Wieczorem w Teatrze Narodowym przy okazaniu obrazu 'Ofiary Bellony', trzykrotne odezwały się oklaski”.

„Przywieziono do Warszawy dziewczynkę urodzoną we wsi 4 mile od Kalisza. Przeżyła ona dopiero 8 lat, a waży 192 funtów, piersi jej są szerokie ma trzy ćwierci łokcia, obwód korpusu przeszło 2 łokcie, wysoka jest na dwa łokcie i ćwierć.”

„Pojutrze ciągnięta będzie czwarta klasa loterii klasycznej. Gracze uważają, że kantor Werthejma na Krakowskim Przedmieściu jest nader w tej grze szczęśliwym”.

Przy Bednarskiej istniały w tym czasie dwa hotele: „Podlaski” w niedawno zbudowanej kamienicy Collina oraz „Smoleński” (nr 31) w domu należącym do Wasilewskich. Nadal funkcjonowały stare łazienki należące wówczas do Stanisława Ciemskiego. Bliżej Krakowskiego Przedmieścia istniała kawiarnia Pawłosiewicza, a obok niej sklep winiarsko-kolonialny pod firmą „Hensel&Flach” mający konkurencję na Bednarskiej dwóch podobnych sklepów należących do Żydów. Szymon nie narzekał na konkurencję, gdyż jego olejarnia była tylko jedna na Powiślu, następna działała za Wisłą na Pradze. W dalszym ciągu na Bednarskiej najwięcej było szewców, a oprócz nich stolarzy i farbiarzy. Ci ostatni wkrótce zwiną swoje małe warsztaty, gdyż nie wytrzymają konkurencji ze strony dużej farbiarni Allendiego i Pawłowicza subsydiowanej w dodatku przez rząd. W dolnej części Bednarskiej, czyli w rejonie, gdzie działały tłocznie oleju Szymona, był magazyn sukna Scharmacha i wytwórnia chustek Heringa (pod nr 6, działka 2684). Wbrew pozorom rzemieślnicy nie dominowali wśród ówczesnych mieszkańców Bednarskiej. Mieszkali tam głównie ludzie średniozamożni, w tym wielu urzędników państwowych, oficerowie wojska i policjanci. Działały aż trzy szkoły elementarne.

W tamtych czasach nie było zwyczaju zalecać się do dziewczyny, latami „chodzić” z nią. Nie wypadało spotykać się sam na sam, spacerować czy też odprowadzać ją do domu z zabawy, a nawet z kościoła. Nie było form rozrywki czy wypoczynku, na które wyjeżdżano by razem. Owszem, młodzi uczestniczyli w różnego rodzaju rozrywkach np. w zabawach, odpustach, lecz udawano się na nie w większych grupach, a i wówczas chłopcy musieli stronić od dziewcząt. Za zdolne do zawarcia małżeństwa uważano szesnastoletnie dziewczęta, dla mężczyzn granica ta była nieokreślona, ale zwykle było to o dziesięć lat więcej. W każdym razie kandydat na męża musiał być po odbytej służbie wojskowej, która w Królestwie Polskim do 1831 roku wynosiła sześć lat. W tym samym czasie okres służby wojskowej w armii carskiej wynosił aż 25 lat, co znacznie przesuwało wiek umożliwiający zawarcie związku małżeńskiego. W przeciwieństwie do szlachty, niemający lud nie miał prawa do zawierania małżeństw i tym samym znalazł się w kłopotliwym położeniu. Nędzarzom, parobkom i dziewczkom, służącym, czeladnikom, żołnierzom i członkom innych grup społecznych nie wolno było zawierać małżeństw lub też wymagało to specjalnego zezwolenia. Biedocie zabraniano surowo zawierania związków małżeńskich, a zakaz ten przetrwał aż do połowy XIX wieku. Chłopi i rzemieślnicy należeli do warstwy społecznej posiadającej własności i z tego powodu droga do małżeństwa stała dla nich otworem. Także oni pobierali się

prawie wyłącznie w obrębie swojej warstwy i na podstawie interesów ekonomicznych. W grupie rzemieślniczej zawieranie małżeństw podlegało prawom cechowym. W niektórych cechach wdowa po rzemieślniku, aby nie stracić warsztatu, była nawet zobowiązana do poślubienia jednego z czeladników.

Olejarstwa nie zaliczano jednak do rzemiosła i Szymon nie należał do żadnego związku cechowego, nie podlegał zatem tym regułom. Był wolny i już wówczas stosunkowo zamożny, choć nie posiadał jeszcze żadnej nieruchomości. Ale dobrze prosperujący zakład olejarski wyposażony w tłocznie należał do niego i miał perspektywy na dalszy rozwój, gdyż konkurencja była niewielka. Swego przyszłego teścia Józefa Millera Szymon znał dobrze, gdyż prowadził on przy Furmańskiej manufakturę produkującą rękawiczki. Takich producentów zwano w tym czasie „fabrykantami rękawicznymi”. Był to dobrze prosperujący interes, gdyż blisko był przecież zamek i dwór, więc zamówień nie brakowało. Aby sprostać zapotrzebowaniu w manufakturze pracowało czterech czeladników, terminatorzy i kilka przyuczonych kobiet. Spore partie swoich wyrobów wysyłał też Miller do Rosji i do Prus. Modę na rękawiczki wprowadziły do Polski królowe polskie z Francji pochodzące. W Warszawie najlepsze, acz kosztowne rękawiczki produkował Beno Nivet. Gorsze jakościowo wyrabiał Samuel Zifferblatt i konkurował na rynku niskimi cenami. Tak pisał o tym pierwszym „Kurjer Warszawski”:

„W ustroniu miasta przy ulicy Smoczej powstała od niejakiego czasu fabryka, a raczej garbarnia wzniesiona przez P. Beno Nivet, którego wyroby zjednały już sobie prawdziwą renomę. Dziś zatem jeszcze więcej zyskają, bo wyrabiane w tej fabryce skóry na rękawiczki w niczem nie ustępują francuzkim. Wyroby P. Niveta były, jak to wiadomo, i na wystawie Londyńskiej czego dowodem posiadany przez niego medal pamiątkowy z tejże wystawy. Spodziewamy się, że i na wystawie w Moskwie znajdą się wyroby rzeczzone.”

Ale to działo się znacznie później, bo w roku 1853, a Józef Miller był jednym z pierwszych znanych rękawiczników w początkach XIX wieku w Warszawie. Nie miał, co prawda własnej garbarni i farbiarni, ale tych na Powiślu akurat nie brakowało. Poza tym Miller był właścicielem kamieniczki na Starym Mieście (pod nr 49), co stawiało go w kręgu posesjonatów. Nie było zatem łatwo starać się Szymonowi o rękę jego najstarszej córki Marianny, ale sytuację uprościł fakt, iż było tych córek aż pięć, co bardzo frasowało ojca, gdyż każdej trzeba było dać przecież posag. Szymon zauważył ciemnowłosą Mariannę w czasie nabożeństwa w kościele i od tego czasu pilnie uczęszczał na msze, aby chociaż popatrzeć na dziewczynę, która wśród swoich sióstr wyróżniała się urodą. Ostrożnie, przez pośredników, sondował też opinię jej ojca w kwestii wydania córki za niego. Sam, rozmawiając ze starym Millerem, nie poruszał tego tematu, acz skarżył się na to, że czuje się samotny i chętnie założyłby rodzinę. Rękawicznik lubił nawet tego młodego, ponad swój wiek poważnego człowieka, ale był on dla jego córki partią niezbyt atrakcyjną. Z drugiej strony skąpy Miller kalkulował, że temu młodemu wytwórcy olejów nie musiałyby oddawać bogato wyposażonej córki, co nie było bez znaczenia przy tej ilości panien do wydania.

Ówczesna obyczajowość dopuszczała współżycie z żoną jedynie w celu prokreacji nic dziwnego więc, że mężczyźni szukali rozrywki i zaspokojenia w domach publicznych. Były one także zbawieniem dla młodych kawalerów, którzy nie mieli szans na ożenek. W każdej epoce sprzedajna miłość miała się wyśmienicie, nie inaczej było w dawnej Warszawie. Minęły już naturalnie czasy, kiedy to kat miejski miał monopol na trzymanie i udostępnianie dziewczek sprzedajnych, ale interes ten miał się świetnie w epoce stanisławowskiej i w czasie Księstwa Warszawskiego. Kobiety trudniące się nierządem grupowały się wtedy w mieszkaniach w rejonie ulicy Oboźnej, gdzie lektykarze zanosili żądnych wrażeń panów. Był to początek prawdziwych domów rozpusty. Utrzymywali je głównie francuscy fryzjerzy i sascy cyrulicy. Targi na Marywilu były miejscem, gdzie w sposób jawny handlowano żywym towarem. Prusacy w czasie swoich dwunastoletnich rządów zaprowadzili porządek w tym specyficznym sektorze usług seksualnych. Wszystkie prostytutki zostały zarejestrowane, wprowadzono przymusowe ich badania w szpitalu św. Łazarza i nałożono podatki na domy rozpusty. Cały ten interes regulowały drobiazgowo przepisy, wprowadzono takse za „usługi”, gdzie przewidziano spore ulgi dla żołnierzy. Prawdziwy, pruski Ordnung. Takse zniesiono w czasie Księstwa Warszawskiego, ale nadal obowiązywała rejestracja i badania lekarskie kobiet trudniących się nierządem. Ciągłe przemarsze wojska, za którym ciągnęły tabuny kobiet, przyczyniały się do epidemicznego rozwoju chorób wenerycznych. W 1814 roku wenerycy stanowili 40% pacjentów w szpitalu wojskowym. Obok koszar wosk stacjonujących w Warszawie potworzyły się całe kolonie prostytutek. Skupiały się one głównie w okolicach powązkowskiego obozu wojskowego obok Burakowa. Wiele kobiet trudniących się nierządem mieszkało w dworach przy Czerniakowskiej w bliskim sąsiedztwie koszar kirasjerów podolskich i ułanów księcia Konstantego. Ten kazał je czasami Kozakom pędzić przez miasto i batożyć srogo (cóż to musiał być za widok!), ale była dla dziewczek wojskowych pewna tolerancja. Wspomniany już tutaj kasztelan Jezierski w swoich „łazienkach” urządzonych tuż obok mostu przez Wisłę przy Bednarskiej, prowadził dosyć jawnie dom publiczny. Pracujące tam panie warszawiacy zwali ironicznie „kasztelankami”, krążył też złośliwy wierszyk o tym przybytku:

**„Przy wiślanym moście gospodarz jedyny
Częstuje francą przybyłe Litwiny”**

I sam Szymon tam zapewne bywał, w końcu już kilka lat w Warszawie samotnie mieszkał i ciężko pracował. Ale, że oszczędny był bardzo, każdy grosz odkładał, więc szkoda mu było tracić pieniądze na takie marne zabawy z pannami o nader wątpliwej reputacji. Ponad rok trwały trudne rozmowy ze starym Millerem o wydaniu za mąż Marianny. Jego przodkowie pochodzili z Bawarii, a dziad osiedlił się na południu Polski, gdzie warzył piwo. Ojciec Józefa, hulaka i utracjusz, cały odziedziczony majątek po zacynym piwowarze przetracił i dlatego syn jego za został fabrykantem rękawiczek i tym sposobem odbudował i majątek rodziny Millerów. Przeszkodą było także pochodzenie Szymona z żydowskiej rodziny Eiberów mimo, że przeszedł on na katolicyzm i nosił polskie nazwisko. Jakub Eiber był średnio zamożnym handlarzem i cieszył się dobrą opinią w swoim środowisku. Marianna była wyznania ewangelickiego i na ślub z katolikiem musiała uzyskać dyspensę.

Brat Szymona Stanisław także mieszkał w Warszawie, ale ich wzajemne kontakty były dosyć rzadkie. Stanisław prowadził z powodzeniem szynk przy ulicy Długiej. To on później przekonał Szymona, aby zajął się dającym niezły zarobek hurtowym handlem wódkami i likierami.

2

Ślub Szymona Eborowicza z Marianną Miller odbył się w końcu w kościele św. Jana w niedzielę 16 grudnia 1817 roku, a wesele w domu panny młodej w kamienicy przy Rynku Starego Miasta nr 49. Udział we własności tejże kamienicy był posagiem Marianny, stary Miller musiał się przecież liczyć z wywianowaniem pozostałych czterech córek. Z rodziny pana młodego obecny był tylko brat Stanisław z żoną, liczne natomiast było grono gości spokrewnionych z Millerami, jako że wszyscy mieszkali w Warszawie lub okolicy. Marianna nie posiadała żadnego wykształcenia, ba, nie potrafiła czytać i pisać, ale nie było to rzadkością na początku wieku XIX.



4. Małżonkowie Marianna i Szymon Eborowicz

Szymon rozpoczął wiosną budowę oficyny, która miała pomieścić zarówno jego warsztat, jak i mieszkania dla powiększającej się rodziny. Mieściła się ona w podwórzu posesji pod nr 12 przy Bednarskiej i liczyła sobie dwa piętra. Na parterze ulokowane zostaną tłocznie oleju, a kolejne dwie kondygnacje zajmą dwupokojowe mieszkania z kuchnią. Surowce do produkcji miały być składowane w przyległych szopach drewnianych. Te pomieszczenia magazynowe miały się z czasem rozrosnąć, kiedy to żona Szymona rozpocznie hurtową sprzedaż wódek i likierów. Bo na trunki był w Warszawie popyt ogromny. Pito zapamiętałe, a gorzałkę lubili zarówno terminatorzy, czeladnicy, majstrowie, jak i kantorzyści oraz artyści. Każdy z „tunelików”, jak nazywano miejsca gdzie sprzedawano piwo i gorzałkę, zatłoczony był młodymi mężczyznami, którzy pili i bawili się do

białego rana. Szyunki lokowano na rogach ulic, najbardziej obsadzone nimi było skrzyżowanie ulicy Mostowej z ulicą Rybaki. Mostowa pełniła swego czasu podobną rolę, jak Bednarska, gdyż prowadziła do pierwszego stałego mostu na Wiśle zbudowanego już w roku 1573. Po 30 latach most ten został zimą zniesiony przez zatory lodowe. W czasach, gdy brat Szymona Stanisław otwierał swój lokal szyunki reklamowały się wieszając wiechę z gałęzi sosnowych z jednej strony ganku i krzyż czerwony z drugiej. Często też na szyldzie pisano zabawne hasła w rodzaju „*Dziś za pieniądze, jutro za darmo*”, albo „*Kredyt umarł i został pochowany*”. Czasami były to nawet utwory wierszowane też pełniące rolę swoistej reklamy podłych na ogół knajp. Najbardziej popularny był dwuwiersz: „*Cztery nogi są u stołka-Tu można zalać gardziołka*”. Największą popularnością cieszyły się karczmy i szyunki usadowione w centralnych miejscach miasta. Przy Marszałkowskiej były dwa takie szyunki o nazwach „*Czerwona Karczma*” i „*Otwock*”. Przy Placu Trzech Krzyży mieściła się karczma „*Ostatni Grosz*”, gdzie popijali okoliczni chłopcy handlujący na tym placu swoimi produktami.



5. Chłopi z Wilanowa

W warszawskiej prasie przed powstaniem listopadowym szeroko propagowano gorzelnictwo, wskazując na opłacalność pędzenia wódki. Najbardziej nowoczesną wytwórnię wódek i likierów postawił na Lesznie w roku 1817 Leon Niewachowicz. Ale hurtownia Marianny Eborowicz będzie zaopatrywana głównie staraniem Szymona, a potem Mikołaja Eborowiczów, którzy prawo propinacji sobie wyrobią i odpowiednie dzierżawy załatwią. Wódkę pędzono za pomocą aparatu zwanego pistoriuszem od nazwiska wynalazcy Henryka Pistoriusza, autora książki „*Praktyczna nauka gorzelnictwa*” przetłumaczonej na język polski. Po polsku wydał swoją grubą księgę „*Gorzelnictwo według najnowszych odkryć*” Jan Niepomucen Kurowski. Pożyteczny ten podręcznik gorzelnictwa wielokrotnie wznawiano. Jeszcze większym bestsellerem stał się w roku 1845

„Praktyczny gorzelnik” Neuberta. W roku następnym reklamowano już nowy i tańszy sposób pędzenia gorzałki wynaleziony przez niejakiego Patzela na bazie ziemniaków.

Trunki pędzone masowo były jednak fatalnej jakości, często zawierały kwas pruski pochodzący z pestek owoców lub też inne szkodliwe fuzle. Ówczesni pijaczkowie zwali te straszliwe płyny: bełt ucha, braja, chara, siwucha czy drut. Znacznie lepszej jakości do powstania listopadowego było piwo. Ponad 50 browarów produkowało wtedy 40 mln litrów piwa przedniej jakości. Popijały je nawet panie w czasie przedstawień teatralnych. Później jednak było już tylko gorzej, spadła produkcja i pogorszyła się jakość tego złocistego trunku.

We wrześniu rodzina Szymona powiększyła się o dorodnego chłopca, któremu nadano imię August. W kościele św. Jana odbył się chrzest, a potem skromne przyjęcie z udziałem najbliższej rodziny. Akurat w tym czasie Szymon popadł w kłopoty finansowe, gdyż budowa oficyny kosztowała więcej, niż się spodziewał, a jednocześnie stracił kilku dużych odbiorców oleju. Musiał więc Szymon sam zająć się handlem, kupić platformę do transportu beczek z olejem i zatrudnić dodatkowych pracowników. To wszystko kosztowało, a trzeba było spłacać zaciągnięte kredyty. Były to jednak kłopoty dosyć krótkotrwałe, w latach dwudziestych gospodarka szybko zaczęła się rozwijać, wzrosł popyt na surowce, w tym także na oleje produkowane przez Szymona.

Bankowość była dobrze rozwinięta już w okresie stanisławowskim, o czym pośrednio świadczyły głośne bankructwa. W roku 1785 głośna była upadłość Herszka Markowicza, w której przepadła ogromna, jak na owe czasy suma 2 mln złp. Markowicz był Żydem z Mszczonowa, który miał także kantor w Warszawie, gdzie z jego usług korzystało wielu dygnitarzy. Inny bankier w tym okresie Maciej Michał Łyszkiewicz (1756-1824) podczas krachu kantoru zataił swój majątek i po wyjściu z więzienia stał się człowiekiem bardzo zamożnym. Taki sposób bogacenia się poprzez upadłość trwał cały XIX wiek. Okres prosperity przed powstaniem listopadowym sprzyjał ludziom rzutkim, ale także i aferzystom. Przemysł i handel rozwijały się dzięki inicjatywom ministra Druckiego-Lubeckiego, ale ten wczesny kapitalizm rządził się wilczymi prawami. Taki np. Henryk Łubieński, człowiek niezwykle rzutki, współorganizator Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, potem wiceprezes Banku Polskiego - wykorzystał swoje stanowisko i używał kredytów publicznych na prywatne interesy, za co został skazany na wieloletnie więzienie, a bank przejął liczne przedsiębiorstwa rodziny. Inny biznesmen tego okresu, Piotr Steinkeller, któremu - wydawało się - szło tak świetnie, jak rzadko komu, doprowadził swoją firmę do bankructwa, ale był na tyle uczciwy, że - jak świadczą jego biografowie - dołożył wszelkich starań, by ratować interesy swoich wierzycieli i honor domu. Liczne bankructwa były niezawinione, po prostu zawodziły kalkulacje, brakło zbytu, przychodził niespodziewany zastój, nie wpływały pewne, jak się zdawało, pieniądze.

Na Bednarskiej te zjawiska występowały w swojej małej skali, co uwidaczniało się w licznych licytacjach mienia. Trafiły się takie wielkopańskie przedmioty, jak „kareta, bryczka kryta i sześć koni z zaprzęgiem.” Częściej jednak był to skromny dobytek kupca czy rzemieślnika taki, jak np. „stół, łóżko, deski sosnowe i olszowe kóp 20”. Wyprzedaże wyposażenia sklepów, względnie odstępowanie samych lokali sklepowych świadczyły o niestabilności handlu w tej okolicy. Fabrykanci mieli się na Bednarskiej znacznie lepiej, ich firmy rozwijały się i przynosiły dochody, przynajmniej do feralnego roku 1831. Przy Bednarskiej nie brakowało też różnych magików oferujących np. „wodę aromatyczną konserwującą twarz, ręce i szyję” z powołaniem się na

pozytywną opinię stowarzyszeń lekarskich. Tego rodzaju anonse spotykały się czasem z pisemną polemiką oburzonych lekarzy i farmaceutów.

Przez kilka następnych lat Szymon ciężko pracował, aż w maju roku 1822 jego rodzina powiększyła się o córeczkę, której nadano imię Józefa, po starym Millerze. Była więc już dwójka dzieci, ale interesy szły dobrze, więc niczego rodzinie nie zbywało. „*Kurjer Warszawski*” w dniu urodzin małej Józji tj. 9 maja 1822 roku, donosił na pierwszej stronie o ślubie „*JW. Stanisława Hrabi Grabowskiego, Senatora, Kasztelana, Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z Hrabianką Julją Zabięto. Ślub dawał JW. Arcy-Biskup Prymas Hołowczyc otoczony Prałatami i Kanonikami.*” Było też interesujące doniesienie z ulicy Bednarskiej o treści:

Podpisany uprzywilejowany operator, mieszkający w domu Nr. 2672 na 2 piętrze ulicy Bednarskiej, poleca się Szano. Publi. z operowaniem rozmaitych w ciało wrosniętych paznokci, wkorzenionych od dawna na gniotków i brodawek, bez najmniejszego bólu. Kto by sobie operacji nie życzył, może użyć plastru który podpisany posiada, i te same skutki nie zawodnie sprawi. Przy tem znajduje się u podpisanego aprobowany balsam, flaszeczka po zło. 3. Używający go do umycia przekona się w parę minut, że twarzy i rękóm szczególną białość, delikatność i czystość nadaie; dostać go można w sklepie Ubogich na Krak: Przedm. i u niżej podpisanego. Jan Babtist Schneider przytulicy Bednarskiej.

Kolejny szarlatan i cudotwórca o tyle dla nas interesujący, że bliski dosyć sąsiad Szymona i jego rodziny. Być może był to cyrulik saski, sądząc po nazwisku.

Budowa oficyny została zakończona, olejarnia działała w pomieszczeniach parteru, a Szymon z rodziną mieszkał na pierwszym piętrze. Drugie piętro stało na razie puste, ale szybko powiększająca się gromadka dzieci będzie wkrótce wymagała powiększonej przestrzeni życiowej. Następną córeczka Szymona i Marianny zmarła niestety zaraz po urodzeniu w 1824 roku. Kolejny syn Karol przyszedł na świat w 1825 roku. Tego dnia w piątek 7 marca „*Kurjer Warszawski*” donosi, że „*cztery paki z modelami do posągu Kopernika stanęły w Berlinie i tu nadejdą wkrótce*”. Autorem tych modeli był duński rzeźbiarz Bertel Thorvaldsen. Ufundowany przez księdza Stanisława Staszica, odsłonięty został 11 maja 1830 przez Juliana Ursyna Niemcewicza. Staął przed Pałacem Staszica w Warszawie, ówczesną siedzibą Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W czasie II wojny światowej Niemcy zasłonili tę tablicę, inskrypcją w języku niemieckim. W 1944 przeznaczony przez hitlerowców na złom i wywieziony do huty, cudem ocalał przed przetopieniem. Wierne kopie tego pomnika znajdują się w Montrealu i Chicago. Sam pałac został przez zaborcę przebudowany na cerkiew, a w czasie powstania warszawskiego zrównany z ziemią.

Karol, jako jedyny z całej rodziny, urodził się poza granicami ówczesnej Warszawy, we wsi Górcze w parafii Babice. To gniazdo rodzinne Eborowiczów, tam żył i mieszkał dziadek Karola Jakub Ejber, w tym czasie już nieżyjący. Dawna wieś rycerska należąca do bardzo bogatej i wpływowej rodziny Pielgrzymów. W roku 1408 Piotr Pielgrzym kupił za 200 kóp groszy praskich najwyższą władzę w Warszawie – wójtostwo warszawskie i godność burmistrza, piastując je przez prawie 60 lat. W późniejszych czasach wieś należała kolejno do: Mikołaja Kazuba, rodziny Zdziarskich, skarbnika sochaczewskiego Szymanowskiego, kapitana wojsk koronnych Malinowskiego oraz do wojewody smoleńskiego Piotra Sapiehy. Dwa lata wcześniej Szymon wystarał się o prawo propinacji i wydzierżawił ziemię w celu produkcji wódek, gdyż był to bardzo opłacalny interes. Dzisiaj jest to

rejon ulicy Górczewskiej w Warszawie, niezbyt odległy od centrum, ale Szymon zabrał z sobą żonę do wynajmowanego domku i tam właśnie urodził się Karol. W marcu 1826 roku odbył się jego chrzest, lecz chłopczyk urodził się znacznie wcześniej, gdyż 30 listopada 1825 roku o godzinie 3. nad ranem. Jako świadkowie chrztu wystąpili: Karol Wutmann, „*propinator w Marymoncie zamieszkały*” oraz Jakub Jeżewski, „*dozorca konsumcyjny*”, co zapewne oznaczało poborcę podatku od alkoholu produkowanego przez panów propinatorów. Rodzicami chrzestnymi zostali wspomniany Karol Wutmann oraz Marianna Markowska.

W tym czasie zapoczątkowano na Mazowszu uprawę ziemniaków. Początki uprawy tej nowości w Polsce były niełatwe. Patrzono z politowaniem na dziwaka Skarbka, przyszłego fundatora teatru, gdy pierwszy w Galicji Wschodniej wysadził 1 000 kartofli. Poeta wielkopolski Franciszek Morawski wspomina, że w dworcu jego dziadka podawano dziwną, cudzoziemską strawę, którą kucharz w niewiedzy ugotował wraz z liśćmi. Brakło przekonania i doświadczenia. Na wiosce podkarpackiej pod Krosnem chłopski zbiór ziemniaków dawał jeszcze w połowie stulecia tyle, że ledwie starczyło do sadzenia i kilkanaście na Wigilię, jako wielki rarytas. Rozmaicie stronami nazywane (pyrki, grule, brambory, szwabry) rozpowszechniały się powoli. Dopiero gorzelnictwo przyniosło im wielki rozkwit i rozpowszechnienie upraw, z czego korzystał także Szymon



6. Pałac Staszica i pomnik Kopernika 1840 r.

Na koniec roku 1829 rodzina Szymona powiększyła się o kolejnego syna Mikołaja urodzonego w grudniu 1829 r. Wtedy właśnie Marianna z dziećmi przeniosła się na ostatnie piętro oficyny, a Szymon urządził sobie biuro i sypialnię na pierwszym piętrze. Mógł tam odpocząć bez ciągłego hałasu, jaki sprawiała liczna już gromadka dzieci. W tym czasie nie zajmował się już dzierżawą ziemi i propinacją. Przekazał interes swemu bratu.

Tymczasem car Mikołaj I zaostrzał cenzurę i coraz częściej łamał konstytucję Królestwa Polskiego. Buntownicze nastroje w narodzie powodowała też fala rewolucji w Europie, niepodległość odzyskały Grecja i Belgia, rewolucja wybuchła we Francji. W rezultacie wybuchło powstanie listopadowe, którego skutki dla Warszawy i całego narodu były opłakane. Do sprzysiężenia Piotra Wysockiego należało 177 oficerów i podchorążych, ale nie było żadnego starszego oficera powyżej stopnia kapitana. Podchorążowie usiłowali skłonić gen. Stanisława Potockiego do objęcia dowództwa, ale ten odmówił i został zabity. Podobny los spotkał generała Maurycego Haukego (był ministrem wojny) oraz pułkownika Filipa Meczysławskiego, szefa sztabu artylerii. Pomyłkowo zastrzelono jadącego karetą gen. Józefa Nowickiego, weterana napoleońskiego, powszechnie szanowanego za głęboki patriotyzm. Został wzięty za rosyjskiego gubernatora stolicy gen. Michaiła Lewickiego. Jeszcze trzech generałów polskich zginęło tej nocy. Byli to gen. Stanisław Trębicki, gen. Tomasz Siemiątkowski i gen. Ignacy Blumer. Omal nie zginął gen. Sowiński, późniejszy sławny obrońca Woli. Uratowała go proteza nogi, którą stracił pod Borodino i fakt, iż nie był uzbrojony. Pomordowani generałowie nie byli sługusami Rosji, historycy przypisują im motywacje etyczne, wierność przysiędze. Przede wszystkim jednak zdawali sobie oni z ogromnej dysproporcji sił i nieuchronności klęski powstania, co wkrótce nastąpiło.

Upadek powstania doprowadził do załamania koniunktury i impas w procesie rozbudowy Warszawy. Jednakże w dziejach ulicy Bednarskiej nie zauważa się żadnej z tych tendencji. Zupełnie odwrotnie-w latach trzydziestych koniunktura budowlana i handlowa wyraźnie się poprawiła. Przybyło w tym czasie dziewięć nowych budynków oraz dwa hotele. Pod nr 6 (2684) otwarto hotel „Nadwiślański”, a pod nr 7 (2682) reprezentacyjny hotel „Bawarski”. Powstał też niższej kategorii zajazd „Mazowiecki” zbudowany pod nr 18 (2689).



7. Hotel Bawarski

W latach 1832-35 naprzeciw łaźni Ciemskiego powstały nowe, należące do Teodozji Majewskiej. Wejście do łaźni zdobił imponujący, sześciokolumnowy portyk z rzeźbami Pawła Malińskiego. Można go podziwiać i dzisiaj.

Usługi w tych łaźniach stały na wysokim poziomie i nie były drogie. Za pół rubla można było w 1935 roku wykąpać się, ogolić i dostać coś do picia. Funkcjonowała zbiorowa łaźnia parowa i łaźnie osobowe, czyli pojedyncze, nieco droższe. Oferowano też kąpiele w wywarze z ziół, żelazne i siarczane. Mąż Teodozji Józef Majewski oferował w tym przybytku wyrafinowaną kuchnię dla gości korzystających z kąpiele i przybywających ze wschodniej strony Wisły. Bywał tam Szymon, najczęściej w soboty, aby po tygodniu pracy w olejarni zmyć z siebie brudy i porządnie zjeść. Jako bliski sąsiad łaźniaków znał doskonale małżonków Majewskich. Odwiedzmy z nim ów przybytek.



8. łaźni T. Majewskiej 1838 r.

Poprowadził Szymona grzeczny i czysto ubrany jegomość do małego pomieszczenia, gdzie dostał wszystkie potrzebne rzeczy, czyli ręczniki cienkie, prześcieradło-jak zapewnił go kąpielowy-zagraniczne i mydło. Z rozkoszą zanurzył się w drewnianej wannie umieszczonej w wydzielonej, pełnej pary, kabinie. W tym czasie produkowano już wanny metalowe, jednak większość gości łaźniaków wolała te drewniane. Po kąpiele i goleniu Szymon spotkał się z Józefem.

-Co mi dzisiaj polecisz ze swej kuchni, przyjacielu?- spytał gospodarza.

-Wyśmienite dania Szymonie, dla ciebie specjalnie polecam zająca szpikowanego z sałatą- zachwalał swój lokal Józef.

-Nie przepadam za dziczyzną-rzekł Szymon-Masz może ,co innego?

- Proponuję więc cielęcinę z kremą lub po huzarsku. Może też być bigosik z kapłona, pekelflejsz na gorąco z chrzanem, sznycel po wiedeńsku, flaki i różne ryby-wymieniał Józef.

Ostatecznie Szymon zdecydował się na flaki i pekelflejsz, danie wyśmienite i wymagające bardzo skomplikowanego przygotowania. Wpierw trzeba było mostek wołowy peklować przez 7-10 dni, potem danie gotowało się przez 3 godziny. Miękkie mięso wyjmowało się z wywaru i natychmiast wkładało do zimnej wody, aby pozostało soczyste. U Józefa podawano je pokrojone w plastry z chrzanem i kiszonym ogórkiem, jako przekąskę lub jako danie obiadowe na gorąco. Gospodarz przysiadł do Szymona i choć sam nie jadł to wypił z nim ćwiartkę gorzałki rozmawiając o tym, co się na Bednarskiej buduje.

-Widziałeś tą nową kamienicę Stołkowskich? Jeszcze w budowie, ale widać będzie okazała-rzekł Józef.

-Tą pod numerem 17?- spytał Szymon. –Pewnie będzie to najwyższy dom u nas na Bednarskiej.

-Niewątpliwie- zgodził się Józef-to przez ten spadek terenu na naszej ulicy trzeba sutereny od wschodniej strony wysoko podnosić.

-Mnie też czekają remonty, gdyż niedawno znowu Wiśła zalała mi łazienki, tynki odpadają i wilgoć wszędzie. Fundamenty trzeba osuszyć, a potem smołą uszczelnić-narzekał Józef.

Szymon pożegnał się Majewskim i ruszył do domu. Miał wreszcie trochę czasu, aby poświęcić go dzieciom. Z Marianną żyło mu się dobrze, żona była gospodarna, dbała o dom i dzieci. Jako rodzina dosyć zamożna zatrudniali służącą i piastunkę do dzieci. Była ich w tym czasie czwórka, dwie dziewczynki i dwóch chłopców. Najmłodsza Konstancja urodziła się wiosną 1833 roku. Służąca Stasia od kilku już lat wykonywała najcięższe prace takie jak palenie w piecach, pranie, sprzątanie i gotowanie posiłków. Piastunki zmieniały się natomiast dość często. Pierwsza upiła się i wypadła z okna na pierwszym piętrze wraz małym Augustem. Jej stan po upadku był ciężki, dziecko na szczęście doznało tylko lekkich potłuczeń.

Podobny przypadek opisywała znana w XIX wieku pisarka Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, której rodzice byli ludźmi towarzyskimi, lubili się bawić i całe tygodnie spędzali w różnych gościnach, zostawiając dzieci pod opieką służby, wspominała w swych pamiętnikach: „*Mnie piastunka, upiwszy się, upuściła i przesunęła mi się łopatka*”; *literatka chorowała z tego powodu przez całe życie.* „ Dziecku czasem groziło niebezpieczeństwo i ze strony pijanej matki, na co też można znaleźć przykłady w kronice wypadków. „Kurier Warszawski” doniósł np. w 1845 r. - nie było to zresztą zdarzenie odosobnione - że żona kucharza zadusiła czteromiesięczne niemowlę, karmiąc je po pijanemu. Wśród służby, „*zanadto wierzącej w półkwaterek*”, wyróżniały się kucharki, lubiące sobie dobrze pociągnąć. Felicjan Faleński twierdził w kronice „Kłosów” z 1867 r., że w tym celu udawały się do popularnego w owych kręgach „Karasia” na Krakowskim Przedmieściu, bo tam, nawet gdy było zamknięte, dostało się wódki „przez sień”, a do tego jeszcze „z doliwką”. Dla tej właśnie „doliwki” pijaczkowie z całego miasta ciągnęli do „Karasia”. Był to jeden z podrzędniejszych szynków, chociaż mieścił się w pałacu przy Oboźnej, niezbyt daleko od Bednarskiej. Wokół niego zawsze gromadzili się ludzie bez zajęcia, często bezrobotni nie tyle z konieczności, ile z wyboru. Główna izba tej straszliwej spelunki pełna była zaduchu i błota. Klientom oferowano tu „*niebieskie od pleśni pomarańcze, nadpsute jabłka, rzodkiew, bułki, salcesony i pierniki oraz podejrzone zupy postne i mięsne po 11,5 kop. za porcję*”, które spożywali na bruku pod murem. Nad ranem jednakże nawet „Karaś” był niedostępny, a „spragnionych” przyciągał wtedy bufet III klasy - otwierany wczesną porą - na dworcu Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, gdzie można było posiedzieć na twardych ławach poczekalni, póki pijaczków nie przepędzili funkcjonariusze z „*żandarmsko-policyjnego zarządu dróg żelaznych*”. To jednak możliwe było od roku 1845, kiedy to dworzec ten oddano do użytku. O ten półświatek ocierał się Szymon, ale rzecz jasna do „Karasia” nigdy by nie zaszedł, tak fatalną opinią cieszył się ten przybytek rozpijania biedoty. Przewisko „*łobuz spod Karasia*” stanowiło najgorszą obrazę w tej części stolicy, której się płazem nie puszczało.

Trwała dalsza zabudowa ulicy Bednarskiej, a że wolnych terenów zaczynało brakować sięgano po starsze budynki. W roku 1828 podzielono posesję dawnego pałacu Ludwiki Zamoyskiej przy Krakowskim Przedmieściu (działka nr 369), dzięki czemu pas gruntu od Bednarskiej wraz ze starą oficyną pałacową oznaczono nr 369b. Jej właścicielem był Symeon Jan Werner, referendarz stanu i dyrektor Loterii Królestwa Polskiego. On to w roku 1834 wystawił tam dwupiętrowy dom z frontem od ulicy Bednarskiej, który otrzymał nr 26. Ten zasłużony dla cara obywatel urodził się w roku 1800 i jak widać z zamieszczonego niżej nekrologu („Kurjer Warszawski z r. 1857, nr 52) zmarł 57 lat później doczekawszy się wielu orderów i odznak honorowych. Pozostawił też pewnie spory majątek swojej licznej rodzinie. Wiedzę o jego życiu i pełnionych funkcjach pokazuje ten nekrolog.

Radca Stanu, Symeon-Jan Werner, Naczelnik Urzędu Loterii Królestwa, Kawaler Orderów: Śgo WŁODZMIE-RZA klasy 3ej, Śtej ANNY i Śgo STANISŁAWA klasy 2giej, i Znaku Honorowego, po długiej i ciężkiej chorobie, opatrzony ŚŚ. SAKRAMENTAMI, w dniu wczorajszym życie zakończył. Pograżona w nieutulonym żalu Żona wraz z Dziećmi i Wnukami, zaprasza Krewnych, Przyjaciół, Kolegów i Znajomych nieboszczyka, na exportację zwłok Jego, w dniu jutrzejszym, o godz. 4tej po południu, z domu Loterji, na smętarz Powązkowski odbyć się mającą.
Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, ma honor prosić Opiekunki i Członków Towarzystwa, ażeby dla uczczenia zasług ś. p. Radcy Stanu Symeona Werner, od przeszło 30tu lat czynnego Członka, następnie Prezesa Wydziału Ekonomiczno-Administracyjnego, a ostatecznie Vice-Prezesa Administracji Ogólnej Towarzystwa, raczyli znajdować się na wyprowadzeniu zwłok Nieboszczyka, jutro odbyć się mającem.
Dnia 26go b. m . w Kościele XX. Bernardynów, o godzinie KP/a z rana, odbędzie się żałobne Nabożeństwo za spójność duszy ś. p. Józefa Orłowskiego, Prowizora Farmacji; na które, pozostały Brat z Siostrą, zaprasza Krewnych, Przyjaciół, Kolegów i Znajomych zmarłego.

Wspomniany już hotel „Nadwiślański” powstał w latach 1836-37, był to olbrzymi budynek wybudowany w dwóch etapach pod nr 6 (2684).

Spory teren zajmowała też zabudowana kamienicą nr 10 (2687b) działka Lipińskiego, który resztę tej posesji (2687) wynajął „poczhalteryi”, czyli stacji pocztowej dla dylizansów. Tadeusz Lipiński, urzędnik państwowy, wybudował tam duże stajnie i wozownie, z których korzystali także dorożkarze. Lipiński był w tym czasie właścicielem trzech domów frontowych przy Bednarskiej (nr 10-14), w których zamieszkiwali głównie stangreci i dorożkarze. Nieco później kupił też czwartą kamienicę na rogu ulicy Sowiej pod nr 4. Szymon zaraz po swoim przybyciu do tej dzielnicy Warszawy w 1815 roku zatrzymał się w pobliskim domu pod nr 13.

W roku 1836 rozpoczęto budowę domu należącego do Józefa Neugebauera, a mieszczącego hotel „Bawarski”. Były tam też zwykłe mieszkania, a w jednym z nich zajmowanym przez Włodzimierza Wolskiego spotykali się od roku 1838 młodzi poeci określani mianem cyganerii warszawskiej.

W latach rozwoju gospodarczego przybywało sporo nowych hoteli, gdyż coraz więcej ludzi przyjeżdżało do Warszawy w interesach. To dla nich powstawały opisywane tutaj hotele na Powiślu, a w centrum miasta takie miejsca jak ekskluzywne hotele „Saski, „Angielski” czy „Rzymski”. Nie

wszystkich było stać na nocleg w tych przybytkach, nocowano więc w oberżach. Jedną z nich na Bednarskiej opisał w liście jej niezadowolony klient.



9. Karczma na Powiślu ok. 1838 r.

Żalił się, że pokój w oberży był mały i wyposażony w łóżko tylko z siennikiem. Pomieszczenie przede wszystkim było ciemne, dlatego nawet za dnia człowiek potrzebował zapalanej świecy, w którą sam musiał się zaopatrzyć płacąc z własnej kieszeni.

W tymże roku 1836 przyszła na świat Marianna, która przeżyła tylko 7 miesięcy i zmarła 9 lipca. Zdarzenie to zgłosił ojciec dziecka wraz ze świadkiem Antonim Szacińskim, który był nauczycielem. Dziecko zmarło w Warszawie przy ulicy Zakroczymskiej nr 1852, gdzie jego matka szukała pomocy u znajomej położnej.

Około roku 1840 ulica Bednarska była już prawie całkowicie zabudowana. W dolnej części stały budynki, co najwyżej piętrowe o wydłużonych elewacjach. Na odcinku środkowych dominowały kamienice dwupiętrowe, a na odcinku górnym wąskie kamieniczki w układzie szczytowym. Po roku 1841 ruch budowlany zamarł tam całkowicie, gdyż nie było już wolnych terenów za wyjątkiem trzech niezabudowanych działek.

Była to ulica nader często uczęszczana z uwagi bliskość Wisły i efektowną zabudowę. W wolne dni było tu mnóstwo spacerowiczów, urządzano też pochody z okazji niektórych świąt. Tak opisywano w roku 1839 pochód z okazji tradycyjnych wianków: *„Tysiące ludu napętniło ulicę Bednarską, dążąc ku Wiśle i jednocześnie rozwarły się obustronnie okna, a mnóstwo pań i panów przypatrywało się przechodzącym. Zbliżywszy się ku brzegowi rzeki przeprawa była trudniejsza. Na wschodach kamiennych łazienek Majewskiego, jakby na amfiteatrze jakim, zebrało się dla wypoczynku liczne grono kobiet, a mężczyźni przypatrując się takowym mimowolnie tamowali przechód”*.

Tymczasem dzieci Szymona dorastały, a on sam podupadł na zdrowiu i przeniósł się do kamienicy swojej żony przy Rynku Starego Miasta pod numerem 49. Ich córka Paulina Władysława urodziła się jeszcze na Bednarskiej na krótko przed świętowaniem wianków, gdyż 22 czerwca 1838 roku, ale ochrzczona została dopiero trzy lata później 30 maja 1841 roku. W tym czasie rodzice mieszkali już

w domu będącym wianem Marianny Miller, a Szymon zajmował się przede wszystkim handlem olejami, a nie ich produkcją. Ojcem chrzestnym dziewczynki został Antoni Tołoczko, który przejął od Szymona tłocznię oleju, a matką chrzestną Rozalia Ciechanowska, zaprzyjaźniona z liczącą już 43 lata Marianną. Świadkiem był brat Szymona Stanisław, który prowadził z nim wspólny interes na Bednarskiej. Tak znaczne opóźnienie w chrzcie musiał Szymon wytłumaczyć księdzu wikaremu metropolii warszawskiej Augustowi Siekluckiemu. Wyjaśnił zatem, że tak długo szukał kumów, czyli rodziców chrzestnych. Było to w owych czasach zobowiązanie poważne, gdyż rodzice często umierali, a nieletni przechodzili na utrzymanie rodziców chrzestnych. Musieli oni być na tyle majątni, aby zapewnić chrześniakom wykształcenie i utrzymanie do czasu ich pełnoletniości. Kolejna córka Szymona przyszła na świat 15 marca 1840 roku o godzinie 6. rano, ale została ochrzczona razem ze swoją starszą siostrą Pauliną. Ojcem chrzestnym został Stanisław Eborowicz, a matką Marianna Tołoczko. Otrzymała imiona Felicjanna Marianna i to właśnie ona miała zostać matką naszej prababki Zofii. Stanisław już nie prowadził karczmy, a razem z Szymonem zajmowali się handlem nie tylko olejami, ale także prowadzili hurtownię alkoholi w oficynie przy Bednarskiej. Hurtownia ta formalnie była zarejestrowana na żonę Szymona, ale prowadził ją Stanisław, a pomagali mu dorastający synowie Szymona Mikołaj i Karol.

Ledwo kilka miesięcy wcześniej odbył się ślub najstarszej córki Szymona Józefy. Było to wielkie wydarzenie w życiu rodziny Eborowiczów, gdyż po raz pierwszy wydawali swoje dziecko za mąż. Ich syn pierworodny August nie śpieszył się do małżeństwa, mimo że był starszy od swojej siostry. Jednak wiek 22. lat nie był uznawany w tym czasie, za właściwy dla młodzieńca, który nie miał żadnych chęci do przejęcia interesów po ojcu, a interesował się malarstwem i muzyką. Ostatecznie wybierze muzykę, zaczął nawet naukę w Szkole Dramatycznej i Śpiewu, ale została ona zlikwidowana przez władze rosyjskie po powstaniu listopadowym. August ukończy później konserwatorium w Petersburgu i sam zostanie wykładowcą w Warszawskim Instytucie Muzycznym reaktywowanym w roku 1861 przez Apolinarego Kątskiego (zob. biogram, poz. 17 spisu). To tam August będzie wykładał przedmiot zwany elementarne zasady muzyki.

Na razie jednak przyjechał na ślub siostry z dużo starszym od niej Ludwikiem Szletyńskim, który odbył się 1 października 1840 roku. Pan młody pochodził z Królewca i urodził się w roku 1804. W młodym wieku wstąpił do Wojska Polskiego Królestwa Kongresowego. Jego ojciec Konstanty administrował majątkiem ziemskim w okolicach Królewca, a matka Wilhelmina pochodziła ze zubożałej rodziny junkrów pruskich. Ludwik służył początkowo w 4. pułku piechoty liniowej, a potem w 7. pułku. Przed wybuchem powstania listopadowego dosłużył się stopnia podporucznika, potem walczył w powstaniu m.in. w bitwie pod Stoczkiem w lutym 1831 roku. Za zasługi w tej bitwie w marcu 1831 roku Ludwik Szletyński otrzymał awans do stopnia porucznika, o czym donosił „Kurjer Warszawski” w nr 437 z dnia 2 marca. Znajdziemy tam także opis kilku mniejszych potyczek z rejonie Kazimierza, w których brał udział batalion Szletyńskiego. Powstanie Listopadowe upadło ostatecznie 21 października 1831 roku, gdy skapitulowała twierdza Zamość. Tysiące powstańców zmuszonych zostało do ucieczki przed represjami na emigrację. Większość podoficerów i szeregowców armii powstańczej została przez władze Austrii i Prus odesłana pod eskortą na teren Królestwa Polskiego. Po powrocie zostali oni przymusowo wcieleni na 25 lat do armii carskiej.

Oficerów wcielono do armii carskiej i wysłano na Kaukaz, gdzie musieli tłumić niepodległościowe zrywy tamtejszych górali.

Po klęsce powstania porucznik Szletyński został zwolniony za służby i zamieszkał w Warszawie bez żadnych środków utrzymania, za wyjątkiem niewielkich kwot, które przysyłał mu ojciec. Ten jednak wkrótce zmarł i sytuacja życiowa jego syna uległa dalszemu pogorszeniu. W roku 1832 działała już Komisja Wsparcia dla byłych oficerów, która w kwietniu 1832 przyznała zasiłek roczny dla 120 byłych oficerów. Taki zasiłek w wysokości 700 złotych polskich otrzymał też Ludwik Szletyński. Rok później został on pozytywnie zweryfikowany przez władze carskie i wstąpił w szeregi policji. Mimo pięknej karty powstańczej prawie 30. letni wówczas porucznik zdecydował się służyć zaborcy z prozaicznych powodów materialnych. Na początek został pisarzem Cyrkułu VII z pensją 225 rb. rocznie. Po awansie na adiunkta pobierał już 300 rubli rocznie. Zanim uzyskał odpowiednie do utrzymania rodziny stanowisko, minęło lat kilka i wtedy właśnie wypatrzył ciemnowłosą Józefę, kiedy spacerowała nad Wisłą. Szybko dowiedział się, że jest to córka Szymona Eborowicza prowadzącego olejarnię na Bednarskiej. Jego przełożony i przyjaciel, też zatrudniony w policji Tomasz Zieliński, pomógł mu nawiązać kontakt z Szymonem i dogadać się w sprawie małżeństwa. Kontraktu ślubnego nie zawarto, posag dostała Józefa w gotówce i w wyposażeniu mieszkania.

Po dwóch latach od pierwszego spotkania w parafii św. Aleksandra odbył się ślub Ludwika i Józefy. Świadkami tej ceremonii wpisanymi do aktu zawarcia małżeństwa byli sekretarz gubernialny Aleksander Kamionowski herbu Korwin mieszkający przy Krakowskim Przedmieściu pod nr 389 oraz urzędnik administracji okręgu naukowego Feliks Dorantowicz (syn Rocha i Zofii Gunderman) mieszkający przy ulicy Marszałkowskiej nr 1370.

Pan młody był w tym czasie sekretarzem gubernialnym i kawalerem orderu św. Stanisława V klasy. To czyste polskie odznaczenie zostało po 1831 roku włączone do katalogu odznaczeń Imperium Rosyjskiego. Order nadawany był corocznie podczas majowych uroczystości ku czci św. Stanisława 8 maja w kościele św. Krzyża w Warszawie. Do otrzymania orderu należało m.in. udowodnić szlachectwo poprzez podanie 4 herbów ze strony ojca (po mieczu) i 4 ze strony matki (po kądzieli). Nieco inaczej wyglądały te zasady za rządów carskich. Było to najniższe rangą odznaczenie pod nazwą Cesarsko-Królewski Order Św. Stanisława – przyznawany był m.in. za zasługi w rusyfikacji. Dlatego po odzyskaniu niepodległości nie odnowiono tego odznaczenia i zabroniono jego noszenia. Ludwik Szletyński mieszkał wówczas przy ulicy Mokotowskiej pod nr 1661 w mieszkaniu służbowym, na które otrzymywał dodatek 150 rb. rocznie. Jako urzędnik państwowy musiał przedstawić zgodę na zawarcie małżeństwa wydane przez „*generała Policmajstra Czynnej Armii, p.o. Oberpolicmajstra miasta Warszawy*”. Był nim oberpolicmajster Andrzej Storożenko (1810-1858), któremu podlegał Szletyński od roku 1833. Rosjanin ten przewodził od początku niesławnej pamięci Stałej Komisji Wojenno-Śledczej powstałej w kwietniu 1833 roku, w związku z odradzającą się po upadku powstania listopadowego działalnością konspiracyjną. Po zdławieniu partyzantki Józefa Zaliwskiego Namiestnik Królestwa Polskiego i Głównodowodzący Armią Czynną feldm. Iwan F. Paskiewicz, na mocy ustawy Wojskowego Kodeksu Karnego upoważniającego głównodowodzącego armii do tworzenia komisji śledczych i sądów, polecił warszawskiemu gubernatorowi wojennemu – gen. Janowi hr. de Witt - zorganizowanie w Warszawie Specjalnej Komisji Śledczej do spraw Politycznych.

Szczegółową instrukcję dotyczącą utworzenia Komisji, 1 IV 1833 r. de Witt przekazał do wykonania generał-policmajstrowi Armii Czynnej pułkownikowi korpusu żandarmów Andriejowi Storożence. Początkowo miała mieć ona charakter tymczasowy – jedynie dla zbadania sprawy partyzantki Zaliwskiego. Otrzymała nazwę Komisji Śledczej dla Przystępców Politycznych. Wobec skuteczności jej działania, a także nieustającej działalności spiskowej, Komisja została przekształcona w stały organ sądowy i stała się główną instytucją do ścigania przestępstw politycznych, nie tylko na terenie Królestwa Polskiego, ale także ich powiazań poza granicami kraju.

Storożenko przeszedł w roku 1843 do pracy w Biurze Kontroli i Rachunkowości Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych, jako jej Główny Dyrektor, ale jednocześnie pełnił funkcję oberpolicmajstra, aż do roku 1850. Zastąpił go dowódca żandarmerii płk. Ignacy Abramowicz (1850-51), a potem Wasyl Gorłow (1851-56). Oto nekrolog tego kata narodu polskiego zamieszczony w "Kurierze Warszawskim"

Andrzej STOROŻENKO
radca tajny, b. dyrektor główny prezydujący w Komisji Rządowej Spraw Wewn. i Duchownych, czł. Rady Administracyjnej Królestwa i senator
warszawskich depart. rządzącego Senatu; zm. 4(16) VII 1858 w Kijowie

Weselne przyjęcie odbyło się w najlepszej restauracji na Krakowskim Przedmieściu, było ponad 100 znamienitych gości oraz rodzina Eborowiczów. Rodzice Ludwika już nie żyli, miał on jedynie starszego brata Szymona, który był niewidomy od urodzenia. Znakomity skrzypek zarabiał na swoje utrzymanie ucząc gry na skrzypcach i dając koncerty. Ludwik poczuwał się do opieki nad swoim niewidomym bratem. Na ślubie był też jego najbliższy przyjaciel, o dwa lata starszy Tomasz Zieliński, szlachcic z Galicji, wcześniej osierocony.



10. Tomasz Zieliński

Losy ich układały się podobnie, Tomasz zaczynał swoją karierę urzędniczą od najniższego stopnia aplikanta Biura Urzędu Muncypalnego z pensją 90 rb. rocznie. Stopniowo awansował dzięki swej pilności, a w lipcu 1829 roku wstąpił do policji. Z jego akt urzędowych wynika, że nie brał udziału w powstaniu listopadowym, ale musiał jednak konspirować, gdyż nie zaliczono mu do stanu służby kilku miesięcy z roku 1831. Podobnie było z Ludwikiem, ale on wstąpił do policji już po powstaniu i zataił w swoim życiorysie sporo szczegółów ze swoich dokonań w wojsku powstańczym. Zaliczono mu stopień podporucznika piechoty, lecz bez awansu w okresie powstania nadanego przez Rząd Narodowy, którego wszystkie uchwały i zarządzenia zostały unieważnione przez namiestnika Iwana Paskiewicza na rozkaz cara. W 1834 roku Zieliński otrzymał order św. Stanisława V klasy, ten sam który otrzyma Ludwik pięć lat później. To on właśnie zaopiekował się, a potem zaprzyjaźnił z Ludwikiem, kiedy ten zaczynał swoją karierę w policji warszawskiej. W tym czasie Tomasz był już p.o. komisarza Cyrkułu XI i podlegał bezpośrednio pod oberpolicmajstra Andrzeja Storożenkę. Wkrótce został komisarzem Cyrkułu VII z pensją 600 rb. rocznie i dodatkami na mieszkanie oraz wydatki kancelaryjne. Wtedy właśnie poznał Ludwika, który zaimponował mu swoją służbą wojskową i pomagał mu w karierze, a mógł w tym czasie wiele, gdyż wszechmocny Storożenko bardzo go lubił i wspierał. Kiedy nabrali do siebie zaufania Ludwik opowiedział mu o swoim czynnym udziale w powstaniu, a Tomasz o swojej przynależności do Towarzystwa Patriotycznego Joachima Lelewela.

Ta radykalna organizacja, zwana też Klubem Patriotycznym, działała w czasie powstania i z powodu popełnienia samosądów na generałach księcia Konstantego została rozwiązana przez dyktatora powstania.

Tomasz Zieliński ożenił się wkrótce po rozpoczęciu kariery urzędniczej. Już w roku 1825 wziął za żonę córkę drukarza Tomasza Piętki, nieco trzpiotowatą, Teofilę, ale małżeństwo to pozostało bezdzietne. Ożenek swego przyjaciela uważał, więc za mocno spóźniony, ale cieszył się że mógł mu pomóc w wspinaniu się po szczeblach kariery w policji. Panowały tam prawa i obyczaje okrutne dla Polaków, gdyż rządy generała-gubernatora Iwana Paskiewicza z natury swojej nastawione były represyjnie. Policja miała dyskrejonálną władzę wymierzania chłosty stróżom, dorożkarzom, służbie domowej, prostytutkom i schwytanym na gorącym uczynku złodziejom. Surowość i okrucieństwo, te dwa określenia przewijają się najczęściej w przekazach z tego okresu. W jednej z publikacji zachował się opis sposobu postępowania z kobietami nierządnyimi komisarza cyrkułu przy ul. Piwnej. Gdy był w złym humorze, posyłał stójkowych na Krakowskie Przedmieście, wydając przedtem dyspozycję -Przyprowadźcie no tu kapeluszowe! Ulubionym traktem spacerowym prostytutek na początku lat czterdziestych był deptak, najbardziej ożywiony i modny w mieście, dość krótki odcinek Krakowskiego Przedmieścia - od rogu ul. Senatorskiej do domu Malcza. Stójkowi wyławiali spośród przechodniów „kapeluszowe”, spacerujące w modnych nakryciach głowy, i dostawiali je do cyrkułu. Tu zaczynało się takie wymierzanie chłosty, że aż -jak to określił jeden z ówczesnych sędziów - „w niebie słychać było”. Po takiej akcji przez pewien czas na Krakowskim nie uświadczyno się samotnej „kapeluszowej”, śmiało natomiast poruszały się one w towarzystwie wojskowych, którzy chętnie tym paniom asystowali.

Sądy natomiast działały wg organizacji powstałej w okresie Księstwa Warszawskiego. Szczególna rola w ściganiu przestępstw i wykroczeń przypadła w Warszawie, powołanemu w 1808 r.,

Wydziałowi Policjno--Sądowemu, zwanemu też - Sądem Policji Prostej, działającemu przy magistracie. Wydział ten miał zapewnić szybkie i skuteczne ściganie najbardziej dokuczliwych naruszeń prawa. Instancją wyższą były Sądy Policji Poprawczej, prowadzące śledztwa nie tylko w sprawach przez nie same sądzonych, ale i w tych, które w pierwszej instancji rozpatrywał Sąd Kryminalny. W drugiej i ostatniej instancji rozstrzygały one sprawy z odwołania się od wyroków Wydziału Sądowo-Policyjnego. W praktyce jednak śledztwa w sprawach kryminalnych inicjowały Sądy Policji Prostej; one też „ustanawiały istotę czynu, zjeżdżały na miejsce przestępstwa, dopełniały sekcji zwłok na miejscu, gdzie je znaleziono, ustalały wszelkie okoliczności”. Również w 1808 r. powstał w Warszawie Sąd Kryminalny. W rzadkich przypadkach prowadził on samodzielnie śledztwa (np. w stosunku do niektórych urzędników), sądził natomiast - w trzeciej i ostatniej instancji - sprawy rozpoznawane w drugiej instancji przez Sąd Policji Poprawczej. W drugiej instancji wyrokował - z możliwością odwołania się do Sądu Apelacyjnego - w sprawach rozpoznawanych przez Sąd Policji Poprawczej, jako pierwszą instancję, w pierwszej zaś instancji sądził sprawy wyłączone z kompetencji Sądów Policji Poprawczej.

Sąd Apelacyjny miał początkowo charakter wyłącznie cywilny. Od 1814 r. rozpoznawał on także odwołania od wyroków sądów karnych, a od 1835 r. stał się również drugą instancją od wyroków Sądu Kryminalnego. Najwyższą magistraturą sądową w epoce Księstwa Warszawskiego był Sąd Kasacyjny. W 1815 r. utworzono w jego miejsce Sąd Najwyższej Instancji, który - z wyjątkiem okresu powstania listopadowego - funkcjonował do 1842 r., potem jego kompetencje przejęły warszawskie departamenty Senatu Rządzącego. IX Departament przejął sprawy karne. Komplet sądzący X Departamentu zajmującego się sprawami cywilnymi składał się z pięciu senatorów lub członków senatu, przewodniczącego wyznaczał car. Bohaterowie tej opowieści obracali się w kręgach policyjno-sądowniczych, stąd pobeżna chociażby znajomość ich struktur w omawianym okresie, wydawała mi się wskazana. Dodajmy, że Ludwik Szletyński był funkcjonariuszem warszawskiej policji wykonawczej.

3

Szymon i Marianna wychowywali swoją 3. letnią córeczkę, gdy los ich obdarzył pierwszą wnuczką Anną. Jej ojciec był lekko rozczarowany, spodziewał się syna, ale dosyć późne ojcostwo i tak go ucieszyło. Chrzest dziewczynki odbył się w sobotę 13 listopada 1841 roku w parafii Panny Maryi i miał bardzo uroczysty charakter.



11. Kościół NMP w Warszawie ok. 1840 r.

Pod tą starą, warszawską świątynią stanęły eleganckie powozy i karety, porządku strzegło kilku żandarmów. Zabrakło jedynie proboszcza parafii, doktora teologii i prawa kanonicznego oraz sędziego apostolskiego Antoniego Kotowskiego, który w tym czasie zaniemógł. Za kilka miesięcy proboszcz ten dostanie nominację na biskupa sufragana łowickiego. Z konieczności w trakcie odbywającej się uroczystości zastąpił go wikary tej parafii ks. Józef Bracki i to on podpisał się pod aktem chrztu. Anna urodziła się 26 lipca tegoż roku, nie dziwi zatem, wybór dość rzadkiego w owych czasach imienia-patronki św. Anny. Drugie imię Leontyna dziecko otrzymało z powodu uwielbianej przez matkę aktorki Leontyny Halpertowej. Urodzona w 1803 roku w Puławach była artystką o wielkiej skali talentu i dominowała na scenach stolicy przez długie lata. Grała zarówno role komediowe, jak i tragiczne, wykładała w Szkole Dramatycznej.

Jak pisał „Kurjer Warszawski”: *„... dzień był „przeplatany słotą, wichrem i jaśniejącymi promieniami słońca; w południe przez kilka minut padał grad dość gruby, nawet wybijał szyby w Warsz.”* Ceremonia chrztu odbywała się o godzinie 3. po południu, więc pewnie do tego czasu pogoda się poprawiła.

W kościele stawiła się cała rodzina Eborowiczów, a ze strony ojca dziecka brat jego Szymon oraz tłum urzędników policji i sądów, z których najwyższy stanowiskiem był Ignacy Turkuł, herbu Ostoja. Minister-sekretarz stanu, członek Rady Państwa, kawaler wielu orderów. Urząd jego zwany formalnie Radą Stanu zniesiono ukazem carskim kilka tygodni wcześniej, ale nie zlikwidowano całkowicie. Był on w trakcie reorganizacji w wyniku, której powołano departamenty IX i X do spraw sądownictwa cywilnego i karnego, które to zbierały się pod nazwą Warszawskich Departamentów Rządzącego Senatu. Tam też znajdzie dalsze zatrudnienie „Jaśnie Wielmożny” Ignacy Turkuł. Jego ojcem był Piotr Turkuł herbu Ostoja, a matką Otylia hrabina Krasicka z Siecina herbu Rogala. Ludwikowi daleko było do takich zaszczytów i funkcji, ale pilnie pracował i awansował w hierarchii służbowej. W czasie, gdy brał ślub, był zaledwie sekretarzem gubernialnym, ranga urzędnicza XII, stosunkowo niska, gdyż ostatnia ranga to XIV. Ale już w czasie chrztu córeczki był „sekretarzem kollegialnym”, a to znaczyło, że osiągnął rangę X w dosyć krótkim okresie czasu. Nic dziwnego

zważywszy na fakt, iż na tym samym chrzcie pojawiła się w charakterze matki chrzestnej sama Julia Storożenko, żona generała-oberpolicmajstra Andrzeja Storożenki. Trudno sobie wyobrazić bardziej znaczących towarzysko i materialnie rodziców chrzestnych, jak ta dama wspólnie z Ignacym Turkułtem. W końcu Szletyński był policjantem dość niskiej rangi, niedawnym buntownikiem, a jego żona córką fabrykanta oleju. Czekali ich w końcu szlachectwo, gdyż lojalny wobec cara komisarz policji z czasem awansuje tak wysoko, że racji tego otrzyma upragniony patent, chociaż bez prawa dziedziczenia i bez herbu. W nekrologu Ludwika podano jego rangę, jako radcy dworu.

W 1840 powstała Heroldia Królestwa Polskiego, która zajmowała się weryfikacją starych tytułów szlacheckich i opiniowaniem nowych, które nadawał car. Prowadziła ona trzy rodzaje ksiąg szlacheckich: 1. księgi szlachty dziedzicznej, która posiadała szlachectwo przed ogłoszeniem prawa; 2. księgi szlachty dziedzicznej, która nabyła szlachectwo po ogłoszeniu prawa; 3. księgi szlachty osobistej. Weryfikacja szlachty Królestwa, która w założeniu prawodawcy miała zakończyć się w ciągu dwóch lat, wskutek wielokrotnych prolongat trwała aż 25 lat. W tym czasie tylko 747 osobom przyznane zostało szlachectwo nowe (nabyte i nadane), z czego połowie szlachectwo osobiste, a ponad 17 tys. szlachty dawnej uzyskało potwierdzenie stanu. Wśród tych ostatnich znalazły się przede wszystkim osoby, które posiadały wymagane prawem dokumenty lub dysponowały odpowiednim funduszem na ich wyszukanie i były zainteresowane profitami, jakie dawało udowodnione szlachectwo. Zapewniało ono im uprzywilejowany status służby wojskowej, co dla szlachty nowej wiązało się ze zwolnieniem od przymusowego zaciągu, a dla dawnej ze skróceniem służby z 15 do 10 lat i dostępem do stopni oficerskich. Dawało także preferencje w dostępie do szkół szczebla średniego w Królestwie Polskim i wyższego w Cesarstwie oraz gwarantowało wolność od kar cielesnych i okuwania w kajdany w czasie śledztwa. Liczono także na ułatwienia w znalezieniu zatrudnienia i awans w urzędach. Rachuby na korzyści płynące z posiadania szlachectwa udowodnionego, jak i emocjonalny stosunek do klejnotu szlacheckiego decydowały o podejmowaniu żmudnych i kosztownych zabiegów w celu jego potwierdzenia. Jedyną drogą dla Ludwika Szletyńskiego do uzyskania szlachectwa był awans w hierarchii urzędniczej, nie liczyło się w jego przypadku pochodzenie matki, a on sam musiałby być właścicielem ziemskim lub posiadać stopień oficerski od kapitana w górę i nie brać udziału w powstaniu. Jak wiemy nie zdążył on awansować powyżej stopnia porucznika i nie miał czystego konta u władz carskich z powodu ostatniego awansu oficerskiego z nadania Rządu Narodowego.

Świadkiem opisywanej tutaj uroczystości wpisanym do księgi chrztów był też August Eborowicz, który kończył naukę w Szkole Muzycznej i wkrótce miał wyjechać do Petersburga na dalsze studia. Po raz pierwszy spotkało się tam dwóch muzyków, Szymon Szletyński i właśnie August, choć ten ostatni był dopiero adeptem i jego kariera rozwinie się po latach. Po ceremonii w kościele goście udali się na przyjęcie do tej samej restauracji na Krakowskim Przedmieściu, gdzie ponad rok wcześniej odbyło się przyjęcie weselne Ludwika i Józefy Szletyńskich.

Po wylewach Wisły w 1838 i 1839 roku przyszła w roku 1844 powódź ogromna, taka która zdarza się raz na sto lat. Tak opisywał ją „Kurjer Warszawski”:...*”woda zaczęła gwałtownie przybierać tak, że z rana 27 lipca doszła do wysokości stóp 22 cali 9, to jest wyżej, jak wszelkie podania lub pewne akta*

kiedykolwiek wykazywały. Samego drzewa, rozmaitego budulca i browarki średnio liczone na 40 000 sztuk, które woda uniosła. Prócz tego płynęły Wisłą rozmaite zabudowania, mosty, młyny wodne, stogi siana i różne przedmioty, które sprawiły, że most pływający przerwany został tak, że cząstkowo z wodą uszło 9 kafli.” Ulicę Bednarską zalało do skrzyżowania z Furmańską, ale oficyna Szymona nie ucierpiała w tej straszliwej powodzi. Zaleje jego posiadłość inna powódź, która niespodziewanie przyszła nie od Wisły, a z góry, od Krakowskiego Przedmieścia w roku 1853. Nastąpiło to wskutek zniszczenia przez gwałtowne ulewy kanału ściekowego przy ulicy Karowej. Wody nagromadzone w kanale przerwały go i runęły w dół zalewając domy, które nigdy nie ucierpiały z powodu wylewów rzeki. Po powodzi w roku 1844 zawisło na Bednarską kolejne niebezpieczeństwo. Zaplanowano bowiem budowę stałego mostu przez Wisłę, a dojazd do niego miał się odbywać wiaduktem wzdłuż północnej strony ulicy Bednarskiej wzniesionym na 35 arkadach. Realizacja tego projektu autorstwa Henryka Marconiego doprowadziłaby do wyburzenia wielu domów i zabudowań na ich zapleczu. Na szczęście wybrano projekt Feliksa Pancera i poprowadzono zjazd z placu Zamkowego. Ponieważ nie starczyło funduszy na jednoczesną budowę mostu, skierowano ruch obniżającym się serpentynowo nasypem przez Dobrą do Bednarskiej. Rozwiązanie to eliminowało ruch z górnego, najbardziej zatłoczonego odcinka ulicy, ale zapowiadało zmierzch znaczenia Bednarskiej, jako arterii wylotowej na Pragę i w kierunku wschodnim.

Ludwik Szletyński doczekał się upragnionego syna niespełna rok po tej pamiętnej powodzi. Aleksander Wilhelm urodził się 6 kwietnia 1845 roku. Drugie imię z pewnością otrzymał po nieżyjącej już matce Ludwika. I znowu ten pierwszy potomek męski czekał na chrzest ponad trzy lata, tj. do 30 lipca 1848 roku. W międzyczasie na świat przyszła córka Michalina. Niestety już 28 lutego 1848 r. jej ojciec, będący w tym czasie komisarzem policji wykonawczej cyrkułu III musiał zgłosić jej zgon. Zamieszkiwał on z rodziną przy ulicy Długiej nr 586 R, ale ponieważ nie zgłosił narodzin córeczki, więc z blisko półrocznym opóźnieniem sporządzono jednocześnie akt chrztu i akt zgonu. Jako świadkowie wystąpili koledzy z pracy ojca Julian Niemirowski oraz Walenty Gajewski. Ojcem chrzestnym został Paweł Biernacki, a matką Eleonora Zanders (1832-1906). Nie jest znana przyczyna zgonu tej 5. miesięcznej dziewczynki, nie odnotował tego w akcie zgonu nr 99 wikary August Sieklucki, podał tylko godzinę „*w pół do drugiej z południa*”.

W czasie chrztu syna Ludwik Szletyński zamieszkiwał nadal przy ul. Długiej, ale jego dziecko urodziło się przy ulicy Świętojerskiej nr 1779 o godzinie czwartej po południu. Można przypuszczać, że jedno z wymienianych tu mieszkań było lokalem służbowym komisarza policji. Rodzicami chrzestnymi zostali Kajetan Suchodolski (1779-1857) herbu Janina z Lucyną Dahl oraz Wojciech Pękalski, określany jako Naczelnik Wydziału, z Marcellą Eborowicz. Suchodolski był rzeczywistym radcą stanu i członkiem Senatu. To bardzo wysoka IV. ranga urzędnicza, odpowiednik stopnia generała-majora w wojsku. Jego ród posiadał w XVIII wieku wiele wsi i pieczętował się herbem Janina. Jako świadek wystąpił też adiunkt policji, znany już nam Paweł Biernacki. Zaskakuje nas pojawienie się Marcelli Eborowicz, z pewnością nie była ona siostrą Józefy, ale należała raczej do rodziny Stanisława Eborowicza, czyli była bratową. Również Wojciech Pękalski to postać do tej pory nieznana, jako naczelnik wydziału musiał pracować w policji, ale szczegółów brak. Jak później ustaliłem był to Wojciech Filip herbu Odrowąż (1817-1852), syn Wojciecha i Józefy Fałkowskiej. Pełnił funkcję

"nacz. wydz. w biurze oberpolicmajstra m. W-wy", zmarł w wieku lat 35. Krótkie też było życie jego ojca Wojciecha (1780-1817), także urzędnika w wydziale sądowym policji. Mimo to był człowiekiem wybitnym o wielu dokonaniach. Polecam jego biogram w PSB (poz. 14 bibliografii).



Nagrobek Wojciecha Filipa Pękalskiego

Zachował się nagrobek Wojciecha Filipa na cmentarzu Powązkowskim /foto powyżej/. Skupiam się na tej dość marginalnej postaci, aby uniknąć skojarzeń z naszą linią rodową. Wojciech Filip został w roku 1849 szlachcicem wylegitymowanym w Królestwie Polskim, jego żoną była Anna Feliksa Zielińska herbu Ciołek. Nasi przodkowie nie mieli z rodami herbowymi żadnych powiązań kultywując od pokoleń szlachetne zawody tkacza i garncarza.

Małżeństwo Ludwika i Józefy było udane, byli stosunkowo zamożni i stać ich było na kilka osób służby oraz na własny kocz zaprzęgany w parę siwych koni. Bywali na różnych balach i w resursach, jak się wtedy nazywały kluby towarzyskie. Jeden z nich mieścił się w pałacu Teppera-Dückerta (inna nazwa to Pałac Pod Czterema Wiatrami) przy ulicy Długiej, a była to Warszawska Resursa Kupiecka do której należeli też Szymon i Stanisław Eborowiczowie. To tutaj w latach 1832-56 koncentrowało się życie towarzyskie środowiska zamożnych kupców warszawskich, polityków i urzędników. Państwo Szletyńscy bywali też często w operze i teatrach warszawskich.

W październiku 1848 roku Ludwik brał udział w pogrzebie sekwestratora jego III. cyrkułu Józefa Rajnholda (oprócz tego obsługiwał on cyrkuły II i XII oraz był administratorem domów rządowych), którego znał od początku swej służby w policji. Miesiąc później odbył się pogrzeb Szymona Eborowicza, jego teścia. Oto oryginalny nekrolog zamieszczony w "Kurierze Warszawskim".

Szymon EBOROWICZ

obywatel Warszawy; zm. 6 XI 1848 w domu nr 388 przy ul. Krakowskie Przedm. w Warszawie przeżywszy lat 53, odpr. 8 XI 1848 na cm. Powązkowski,
zapr. żona wraz z dziećmi i rodziną

Żona Ludwika Szletyńskiego Józefa zaglądała często do księgarni firmy Fr. Spiess i Sp. przy ulicy Senatorskiej pod nr 460. W tym miesiącu kupiła dwa tomy sztuk Stanisława Bogusławskiego. Tom I zawierał sztuki UROJENIE, STARA ROMANTYCZKA, KREWNI i ADWOKAT, a tom II sztuki LWICE, POD STRYCHEM i OPIEKUNKA WOJSKOWA. Cena za dwa tomy wyniosła złotych 13 i 10 gr. Autor był synem bardziej znanego Wojciecha Bogusławskiego i aktorki Konstancji Pięknowskiej (1784-1854), jego sztuki były często grywane w teatrach warszawskich. Znał go dobrze Ludwik Szletyński, jego rówieśnik, gdyż Bogusławski był także podporucznikiem w Wojsku Polskim Królestwa, a potem walczył w powstaniu listopadowym. Razem brali udział w zwycięskiej bitwie pod Stoczkiem, choć Bogusławski walczył w pułku grenadierów. Uniknął represji carskich, gdyż posługiwał się nazwiskiem matki. Został aktorem, pisywał do „Kurjera Warszawskiego”, z czasem został też, zgodnie z tradycją rodzinną, komediopisarzem.



12. Stanisław Bogusławski

Na zakupy Józefa zawsze chodziła z służącą, która nosiła sprawunki lub wracała z nią do domu dorożką. Wyprawy takie wiązały się z pewnym ryzykiem, gdyż w stolicy nie brakowało sprytnych kieszonkowców. Jak donosił „Kurjer Warszawski” z 26 października 1848 roku okradziono guwernantkę, która przyjechała do Warszawy w celu zakupienia odzieży zimowej. Stało się to na targowisku Za Żelazną Bramą w typowy dla szajek kieszonkowców sposób. Otóż obiegła ją gromada chłopców proszących o jałmużnę, a jednocześnie kilku młodocianych handlarzy natrętnie oferowało

medaliki za wizerunkami świętych. Kiedy kobieta chciała za medaliki zapłacić w kieszeni jej płaszcza już nie było sakiewki z poważną kwotą 68 rubli srebrnych. Było to jej kilkumiesięczne wynagrodzenie za pracę guwernantki. Powiadomiona policja zadziałała szybko wyłapując na targowisku 20 młodocianych, w większości pochodzenia żydowskiego. W wyniku wielogodzinnych przesłuchań ustalono sprawcę, którym był zaledwie 8. letni chłopiec żydowski. Ten z kolei zeznał, że sakiewkę przekazał natychmiast właścicielce sąsiedniego straganu, która obiecała go wynagrodzić tytułem znaleźnego. Młodociani i handlarka postawieni zostali przed sądem, a guwernantka z prowincji całą kwotę odzyskała. Trzeba przyznać, że policja wykonawcza, w której służył Ludwik Szletyński, działała bardzo skutecznie.

Szymon Eborowicz przed śmiercią prowadził swoje rozległe interesy na Bednarskiej, wykupił nawet udziały w drukarni Stanisława Jana Strąbskiego (1813-1857), która zainstalowała się w kamienicy pod nr 24 w roku 1843. To tam właśnie, na rogu z ulicą Furmańską, miał on swoją oficynę. Zakład Strąbskiego był wyposażony w cztery prasy i zatrudniał początkowo dziesięciu pracowników. Była pierwszą przemysłową w Polsce drukarnią, wyposażoną w prasy żelazne i maszyny pospieszne, zatrudniającą po rozbudowie 80 pracowników. Wydawane pozycje odznaczały się bogatą szatą graficzną. Spod pras wychodziły m.in.: nuty, *Roczniki Gospodarstwa Krajowego*, miesięcznik *Biblioteka Warszawska* oraz czasopismo literackie *Orędownik Naukowy* wydawane w latach 1840–1846. Na łamach *Orędownika Naukowego* zamieszczano polemiki ówczesnych sław literackich, swoją rubrykę miała krytyka literacka i był oddzielny dział historyczny. Dwa lata później drukarnia została przeniesiona na ulicę Daniłowiczowską, ale Szymon zachował swoje udziały w tym zyskownym interesie. Drukowano coraz więcej zarówno gazet, jak i książek.

Poniżej mosty łyżwowego, pomiędzy Bednarską a Mariensztatem urządzono po roku 1846 przystań dla parostatków. Na brzegu wzniesiono zabudowania w formie wieżyczek, a na wodzie, na pontonach posadowiono drewniane baraki mieszczące poczekalnię dla pasażerów, z której przechodziło się prosto na pokład statku. „Paropływy”, jak je wtedy zwano, odpływały o 4.30 rano do Nowoaleksandryjska (Modlin), a wracały o 15.30. W niedzielę na przystań przychodziło wielu gapiów, którzy po prostu przyglądali się statkom i barkom płynącym po Wiśle. Pisał poeta romantyczny z tego okresu: *„Przypominam sobie, że w ciągu lat pierwszej młodości w Warszawie, nieraz promień zachodniego słońca bijąc w okno wrywał mnie nagle ze środka towarzystwa, z łona swawoli, od stolika nawet gry... śpieszyłem wtedy na most między Pragą a Warszawą i traciłem kilka godzin, przypatrując się różnym odcieniom i czułem wyraźnie, że mnie to cudowne cieniowanie czegoś roztkliwia...”*

Pierwszy statek wiślany z napędem mechanicznym, nazwany paropływem, był „Victory”, który został sprowadzony do Warszawy z Anglii przez spółkę Wolicki-Berksohn w roku 1828. Statek posiadał jednak zbyt duże zanurzenie i grzązł na mieliznach i szybko został sprzedany. W 1845 podróż statkiem z Warszawy do Gdańska trwała 48 godzin. W latach 70. XIX wieku po upadku Spółki Żegluga Parowej hrabiego Andrzeja Zamoyskiego działała Żegluga Parowa Maurycego Fajansa.



13. Przystań dla parostatków ok. 1850 r.

Często bywał nad Wisłą Szymon zachodząc do łaźni Teodozji Majewskiej na kąpiele i do jej męża na smaczny posiłek. Lubił też spacerować koło nowej przystani pasażerskiej i obserwować ruch jednostek pływających na Wiśle. W pewnym stopniu przyczyniło się to do jego przedwczesnej śmierci. Był październik roku 1848, wyjątkowo słotny i chłodny, kiedy to zwykłe przeziębienie przemieniło się w zapalenie płuc, chorobę wówczas śmiertelną i Szymon odszedł otoczony troską rodziny w swoim mieszkaniu przy Krakowskim Przedmieściu nr 388. Miał tylko 53 lata. Przed śmiercią prosił swoją córkę Konstancję, aby z powodu żałoby nie zwlekała ze ślubem, który planowała na rok 1849. Jej narzeczoną był Józef Liszko pochodzący ze Starachowic. Ostatecznie ślub tej pary odbył się 3. sierpnia 1850 roku w parafii św. Jana. Młodzi poznali się przez doktora Eborowicza, którego często odwiedzał hipochondryk Liszko. Pewnego razu zastał u niego jego krewną, piękną Konstancję i po trzech miesiącach poprosił rodziców o rękę córki.

Rodzice Józefa Antoniego Higin Liszko (zawsze podpisywał się swoimi wszystkimi imionami i nazwiskiem) posiadali majątek ziemski we wsi Stąporków w guberni radomskiej. Ojciec jego, też Józef, oraz matka Anna z Paszkowskich, sprzedali swoje posiadłości w roku 1839 i ulokowali część pieniędzy w papierach skarbowych, co zapewniło im skromną emeryturę. Pozostałe pieniądze zostały ulokowane na rzecz synów (był jeszcze młodszy brat Juliusz Maria), którzy po skończeniu 21 lat mogli z nich korzystać. Józef Higin niezwłocznie znalazł sobie żonę, a kiedy kapitały zaczęły topnieć wyrobił sobie posadę na rozwijającej się dynamicznie kolei, gdzie doszedł do stanowiska naczelnika wydziału. Po przyjeździe do stolicy Józef zamieszkał początkowo na ulicy Nowosenatorskiej (obecnie Moliere), a potem na Królewskiej pod nr 1063. Jego dziwne imię Higin pochodzi od greckiego Hyginus, co oznacza człowieka zdrowego. Jak na ironię losu Liszko był zdrowy, ale jednocześnie był hipochondrykiem i wmawiał sobie niezliczone choroby. Nie używał soli, ani pieprzu, nie pił alkoholu. Jednak w rodzinie przetrwała tradycja nadawania, jako jednego z trzech imion, imienia Juliusz na pamiątkę młodszego brata Józefa, który zginął śmiercią bohatera w powstaniu styczniowym. Będziemy więc mieli Juliusza Stefana Konstantego Liszko, czy urodzonego

w roku 1892 Stefana Juliusza Marię Liszko. Ten ostatni był pułkownikiem kawalerii i wielkim wojownikiem. Brał udział w I wojnie światowej walczył w legionach (słynna szarża pod Rokitną) i w wojnie bolszewickiej. W wojnie obronnej 1939 r. dowodził pułkiem, aż do kapitulacji Warszawy. Następnie trafił do niewoli niemieckiej i został osadzony w oflagu VIIa Murnau. Powrócił do Polski w 1947 r., był kawalerem srebrnego i złotego Krzyża Virtuti Militari.

Wróćmy jednak do ślubu Konstancji, której ciągle brakowało jej nie tak dawno zmarłego ojca. Szymon zostawił testament, a że był człowiekiem zamożnym, mógł godziwie zaopatrzyć swoje dzieci. Połowa majątku przypadła jego żonie, a największe części otrzymali synowie Karol i Mikołaj. Obaj już pełnoletni młodzieńcy wystąpili na ślubie Konstancji, jako świadkowie. Konstancja zamieszkiwała w kamienicy Jana Łaszkiwicza na ulicy Bednarskiej (nr 24, nr działki 2690), był to dom, w którego podwórzu Szymon wybudował oficynę i miał swoje magazyny, gdzie prowadził rozległą działalność handlową. Pomagał mu w tym syn Mikołaj, który po śmierci ojca przejął stery w swoje ręce. Pozbył się wspólników, sprzedał udziały ojca w innych interesach i postanowił skupić się na hurtowym handlu alkoholem oraz na produkcji gorzałki. Poza tym handlował produktami spożywczymi, gdzie ponad połowę obrotów stanowiły różnego pochodzenia oleje. Karol nie miał smykałki do handlu i od dzieciństwa marzył o karierze wojskowej. Z powodu słabego zdrowia nie mógł jednak wstąpić do wojska, starał się o posadę w policji i w końcu został urzędnikiem w zarządzie warszawskiej straży ogniowej. Prysły więc marzenia o służbach mundurowych, nie pomogły koneksje i pieniądze ojca. Trzeba było zarabiać na życie prozaiczną pracą biuralisty.

Konstancja z mężem przeprowadzili się wkrótce po ślubie do dużej kamienicy przy ulicy Podwale. Początkowo ulica ta zwana była Zawalną, gdyż leżała za murami obronnymi miasta. W miarę powiększania się miasta budowane tu były kamienice bogatszych mieszczan i arystokracji, stopniowo opuszczających panującą wewnątrz murów ciasnotę. Była to więc ulica o sporym prestiżu, jednak okres ten trwał dosyć krótko. Nie bez znaczenia był fakt, że z Podwala na ulicę Bednarską było niedaleko, poza tym mieszkał tam i przyjmował swoich pacjentów brat Konstancji dr Eborowicz. Kamienica pod nr 505 (cyrkuł 1) należała do niejakiego Skałdyckiego i mieszkało w niej ponad trzydziestu lokatorów. Oprócz Liszki z własnych środków utrzymywali się jeszcze Józef Delczyński oraz Stefan Wasilewski, obaj znacznie starsi od Higina. Doktor Eborowicz przyjaźnił się z innym lokatorem, sztabkapitanem Hipolitem Jaworskim. Jego stopień wojskowy w armii carskiej był pośredni między stopniem porucznika, a pełnego kapitana. Był on Polakiem, który po utracie majątku ziemskiego wstąpił do armii carskiej i służył w niej już ponad 20 lat.

W tej kamienicy przyszedł na świat syn Konstancji i Higina urodzony 1 lipca 1851 roku, który ochrzczony został dopiero 24 maja 1856 r, czyli chłopiec miał już wówczas prawie pięć lat! Otrzymał imiona Juliusz Stefan Konstanty, a rodzicami chrzestnymi zostali dr Eborowicz z Julią Lipińską i Adam Lipiński z Karoliną Eborowicz.



14. Konstanca z synkiem

Adam był ongiś zaprzyjaźniony z Szymonem, mieli nawet jakieś wspólne interesy. Był to człowiek zamożny, posiadał w Warszawie kamienicę przy ulicy Elektoralnej nr 747, w której zamieszkiwało blisko 50 lokatorów. W najlepszych lokalach frontowych mieszkali wyżsi urzędnicy, sędziowie, a nawet sam generał-major Aleksander Aleksiejew, w tym czasie już emerytowany. W suterenach gnieździł się z małych, zawilgoconych mieszkaniach lokaj, stangreci i kucharki. Oprócz domów mieszkalnych i banków przy Elektoralnej mieściły się liczne zakłady przemysłowe. Od 1844 roku działała słynna fabryka wyrobów platerowanych Józefa Frageta. Licznie występowały też manufaktury powozów, których było w tym okresie na Elektoralnej aż 10. Była to działalność charakterystyczna dla całej okolicy, jako że przy pobliskiej ulicy ul. Orlej znajdowały się kolejne manufaktury tego typu. Dlatego w spisie mieszkańców kamienicy Lipińskiego znajdujemy majstrów i czeladników, stelmachów (kołodziei), stolarzy, lakierników i siodlarzy. Córka Lipińskiego Lucyna była właścicielką kamienicy pod nr 10 na Bednarskiej, gdzie mieszkała z mężem Andrzejem Garyantasiewiczem, a właścicielem domu pod nr 11 był brat Adama Tadeusz Lipiński.

Karolina Eborowicz była od trzech lat żoną Mikołaja, brata Konstancji. Ślub ten odbył się 23 stycznia 1853 roku, panna młoda Karolina Kunegunda Karo pochodziła z podwarszawskiej wsi Miłosna, a jej rodzicami byli Antoni i Anna z Niedzielskich. Stara Miłosna jest najstarszym osiedlem Wesołej, której udokumentowana historia sięga XIV wieku. Była to wieś szlachecka. Najstarszy zapis nazwy ma postać *Milosina*, późniejsze: *Miłośnia*, *Miłośna*, aż po znaną ze współczesności Miłosnę (także: Miłosną).



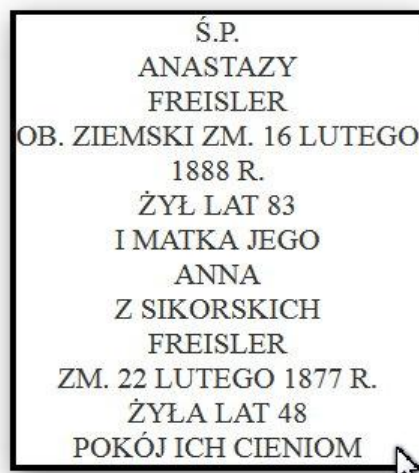
15. Mikołaj Eborowicz z żoną Karoliną

Ta 18. letnia piękność mieszkała w kamienicy Lipińskiego, co wyjaśnia, dlaczego Mikołaj wybrał właśnie ją. Bywał tam często z ojcem, gdyż Lipiński we własnej kamienicy miał 6. pokojowe mieszkanie. Rodzina Lipińskich miała też nieruchomości przy ulicy Bednarskiej. Dlatego Lipiński wystąpił wraz z komisarzem Szletyńskim, jako świadek na tej uroczystości. Dzień przed ślubem narzeczeni wybrali się do rejenta Jana Dzieciątkiewicza z Kancelarii Ziemiańskiej Guberni Warszawskiej. Prawnik ten mieszkał przy ulicy Długiej pod nr 590 i często służył swoją radą oraz uwierzytelniał umowy, weksle i inne handlowe dokumenty Szymona Eborowicza. Tekst umowy przedślubnej zapisywano w księdze ziemskiej, a odpisy potwierdzone otrzymywali małżonkowie. W zawartej w styczniu umowie Mikołaj zastrzegł sobie odrębność majątkową w związku z faktem, że postępowanie spadkowe po śmierci jego ojca nie zostało jeszcze zakończone. Jak się później okazało zawarcie intercyzy było bardzo roztropnym posunięciem Mikołaja, gdyż Karolina była złą żoną i marną gospodynią. W dodatku przez pierwsze lata nie mieli dzieci, pierwszy syn urodził się w roku 1856, a drugi zmarł w trzy tygodnie po urodzeniu w roku następnym. Doprowadziło to do orzeczenia kościelnej separacji od łoża i stołu w roku 1858, a potem do rozwodu zupełnego tej pary. Początkowe zauroczenie okazało się ułudą, gdyż Karolina była rozpieszczona przez rodziców, jak każde późno urodzone dziecko i zupełnie nie nadawała się na żonę handlowca i producenta. Czuli się źle, kiedy Mikołaj wywiózł ją z Warszawy, gdzie uwielbiała bywać na balach, w teatrze i w operze, do jakiejś zapadłej dziury koło Tarchomina. Na początku XIX wieku powstała tam karczma „*Piekietko*”, a z biegiem lat wokół niej wyrosło kilkanaście zabudowań i cała ta osada wzięła od owej karczmy swoją nazwę. Mikołaj załatwił sobie dzierżawę propinacyjną i zabrał się za produkcję gorzałki, którą sprzedawał do składów hurtowych, ale większość produkcji jechała do magazynów jego matki na ulicę Bednarską. Warszawa stanowiła bowiem chłonny rynek dla wszelkiego rodzaju

wyrobów spirytusowych, a ten kto jednocześnie produkował i sprzedawał mocne trunki, zarabiał podwójnie. W latach czterdziestych szalała zaraza kartoflana, która spowodowała głód i upadek wielu gorzelni. Z tej przyczyny wzrosły ceny zboża i spirytusu. Dlatego produkcja gorzelnicza w latach pięćdziesiątych bardzo się opłacała. Mikołaj produkował też wódki gatunkowe takie, jak: piołunkowa, białomorwówka, kurdybanowa, wiśniowa i pomarańczówka. Nie było łatwo uzyskać prawo propinacji, car Mikołaj I jeszcze w roku 1844 poważnie ograniczył działalność gorzelni. W swoim ukazie opublikowanym w „Kurjerze Warszawskim” nr 202 z 31 lipca zezwolił na produkcję spirytusu tylko przez siedem miesięcy w roku. Ponadto nałożył wysokie opłaty skarbowe od każdego garnca wódki o mocy 78 stopni w skali Magiera (Antoni Erazm Magier, herbu Szeliga). Nie można było zakładać nowych gorzelni, ani też powiększać istniejących bez specjalnego zezwolenia obciążonego opłatą skarbową 150 rbs za każdy aparat produkujący 12 tys. garnicy wódki. Koncesję na produkcję wódki, zgodnie z nowym prawem, mógł uzyskać posiadacz conajmniej 20 włók pola rolnego w miejscowości liczącej nie mniej, aniżeli 20 domów. W szynkach i karczmach zabroniono sprzedawania spirytusu i okowity o mocy powyżej 45 stopni oraz nałożono nowe opłaty za koncesje na sprzedaż. Ukaz odsuwał też starozakonnych od produkcji i wyszynku wódki i okowity powołując się na ustawę „króla saskiego”, (czyli Fryderyka Augusta, nominalnego księcia warszawskiego) z roku 1812. Produkcja okowity z takimi ograniczeniami i opłatami nie mogła być dochodowa, ale mało kto tych przepisów przestrzegał, a kontrolerów było zbyt mało, w dodatku byli podatni na korupcję.

Mikołaj uzyskał prawo propinacji na dobrach gminy Białoleśka, gdyż to właśnie tam było położone Piekiełko. Przyjechał tam z żoną i synem Szymonem Antonim urodzonym w roku 1854.

Kolejny syn urodził się w lutym 1856 roku w pobliskiej wsi Aleksandrów. Chrzest Juliana Donata odbył się 29 marca, świadkiem był sam wójt gminy Białoleśka Ignacy Stomiło oraz rządca dóbr białoleśkich Karol Kalat. Karolina miała wtedy dopiero 20 lat, a jej mążnek podał, że liczy sobie lat 28. Ojcem chrzestnym małego Juliana został Anastazy Freisler (1805-1888), urzędnik w Naczelnym Zarządzie Spisu Wojskowego oraz siostra Mikołaja Konstancja Liszko. Obecni byli także Julian Freisler, ojciec lub brat Anastazego oraz Teresa Karo, kuzynka Karoliny.



Nektolog Freislera i jego matki

W latach pięćdziesiątych odnotowano na Bednarskiej niewielkie ożywienie budowlane. Nowy właściciel posesji nr 9 (działka nr 2681) architekt Antoni Kaliszewski, wznosił w latach 1852-53 nowy dom frontowy obok istniejącej tam starszej kamienicy. Ten dwupiętrowy budynek miał sporą oficynę podwórzową od strony wschodniej oraz ogródek w dziedzińcu. Spis mieszkańców z roku 1854 wymieniał 472 osoby zamieszkałe na Bednarskiej. Razem z członkami rodzin mieszkało tam ok. 2000 stałych mieszkańców. Wśród lepiej sytuowanych zwraca uwagę spora liczba urzędników (52), kupców i właścicieli restauracji (34), osób utrzymujących się z funduszy własnych i emerytów (34). Mieszkało tam tradycyjnie wielu rzemieślników (163), a najwięcej było krawców (34), szewców (30) i stolarzy (25). Z innych zawodów odnotowano też ślusarzy, powroźników, lakierników, farbiarzy, kowali i rzeźników. Kucharek było aż 48, a służby domowej-44. Medycynę reprezentowało 2 lekarzy, 5 akuszerki i 2 felczerów. Istniały w tym czasie trzy sklepy winiarskie (nr 11, 13 i 14), handel bławatny Chaima Winawera (nr 19) oraz fabryka instrumentów dętych Wilhelma Gliera (nr 19). Sklepy wędliniarskie prowadzili: Teodor Wohlfard (nr 16) oraz Andrzej Multanowski (nr 10-12). Ten ostatni zbił fortunę na handlu i produkcji wędlin i skupował liczne parcele w stolicy. W roku 1854 kupił on kamienicę pod nr 8 na Bednarskiej, gdzie założył w podwórzu rzeźnię. Po dwóch latach Multanowski kupił także kamienicę nr 6.

W roku 1856 do ołtarza poszła kolejna panna Eborowicz Paulina Władysława. Jej wybrańcem został oficer żandarmerii warszawskiej Julian Unierzyski. Pochodził on ze starej szlachty mazowieckiej herbu Jastrzębiec.



Jego dziadkiem był Antoni Unierzyski (ur. ok. 1750 r.) żonaty z Eleonorą Gutkowską (ur. ok. r. 1760). Miał on trzech synów: Szymona (1787-1861), Tomasza (1790-1864) i Jana Niepomucena (1800-1864). To właśnie Tomasz, porucznik w armii Księstwa Warszawskiego, został ojcem Juliana. Matką była także szlachcianka, Rozalia Karwowska, herbu Pniejnia (1803-1885). Jej dziadek Andrzej Karwowski był generałem u Kościuszki, walczył także u Napoleona.

Unierzyscy nabyli(lub odziedziczyli) niewielki majątek ziemski we wsi Lwiczyn w guberni płockiej i tamże zamieszkali po powstaniu listopadowym. Julian służył w wojsku rosyjskim, a po kilku latach służby został przeniesiony do żandarmerii w stopniu podporucznika i zamieszkał w Warszawie przy Krakowskim Przedmieściu pod nr 454. Jego dywizjon kwaterował w Koszarach Mirowskich wybudowanych jeszcze w wieku XVIII przez Augusta II Mocnego. W roku 1815 koszary były miejscem stacjonowania Gwardii Konnej Wojska Polskiego. Po powstaniu listopadowym w koszarach tych ulokowano dywizjon żandarmerii rosyjskiej i tam początkowo mieszkał i pełnił służbę Julian. Po awansie na stopień porucznika mógł już wynająć mieszkanie w mieście, na co otrzymał stosowny dodatek do pensji. Jeszcze za życia Szymona odwiedzał Eborowiczów na Bednarskiej i tam wpadła mu w oko Paulina, która używała swego drugiego imienia Władysława.

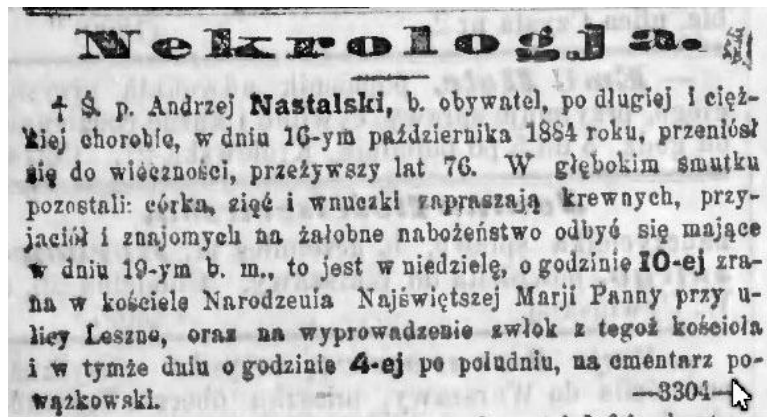
Ślub tej pary odbył się 24 maja, a jego świadkami byli Ignacy Lojola Ciesielski, urzędnik w Rządowej Komisji Sprawiedliwości oraz Karol Eborowicz, brata Pauliny, urzędnik Zarządu Oberpolicmajstra Warszawy, któremu podlegała straż ogniowa. Panna młoda mieszkała w tym czasie z matką na Bednarskiej pod nr 2690 b, tam też mieszkał Karol. Małżeństwo to nie przetrwało długo, gdyż Julian zachorował na nowotwór i w październiku 1859 roku i po dłuższej chorobie zmarł w wieku 35 lat. Pozostał tylko ślad w „*Kurierze Warszawskim*”, który w październiku tego roku odnotował także zgony innych młodych ludzi takich, jak Paweł Mirowski, lat 29, buchalter Instytutu Szlacheckiego, czy Władysław Hussar, aplikant biura Najwyższej Izby Obrachunkowej, lat 20. Treść nekrologu Juliana:

" Por. warszawskiego dywizjonu żandarmów; po długiej i ciężkiej chorobie, opatrzony św. sakramentami, zm. X 1859 w 34 roku życia, wypr. 15 X 1859 z dolnego kośc. św. Krzyża na cm. Powązkowski, zapr. stroskana żona wraz z dwojgiem dzieci"

Przez wiele lat Paulina Władysława pozostawała wdową, często odwiedzała swoje siostry i braci pomieszkując u nich okresowo, gdyż źle znosiła samotność. Po latach wyjdzie ponownie za mąż, o czym napiszemy w dalszej części. Bratem Juliana był Bolesław ur. 27.X.1819 w Zrobki Rajgród, chrzest dopiero w r. 1827 w Warszawie. W lutym 1857 r. poślubił w Lekowie (ciechanowskie) Stanisławę Grabowską (c. Franciszka i Karoliny Zawadzkiej). Z aktu małżeństwa dowiadujemy się, że był on "*kapitanem spisu wojskowego*" w powiecie augustowskim. A więc kolejny oficer w tej rodzinie. Mieli syna Konrada Tomasza. W 1904 r. poślubił on Marię Wandę Teodorę Jankowską h. Jastrzębiec

W tym samym 1859 roku ożenił się 33. letni urzędnik Warszawskiej Straży Ogniowej Karol Andrzej Eborowicz. Ślub ten odbył się 22 listopada, a jego wybranką była młodzianka Aniela Michalina Nastalska. W chwili ślubu miała ona zaledwie 16 lat, co jednak w owych czasach było normą, a mieszkała z rodzicami przy ulicy Trębackiej pod nr 631. Jej ojciec Andrzej Nastalski (1808-1884) był krawcem z zawodu i w roku 1854 mieszkał w kamienicy czynszowej wybudowanej na zapleczu pałacu hrabiego Wincentego Krasieńskiego, emerytowanego generała kawalerii, przy Krakowskim Przedmieściu nr 410. Budynek pałacowy był bardziej znany pod nazwą pałacu Czapskich (rzadziej Raczyńskich) i mieszkało tam wielu znanych Polaków. W latach 1829-30 w lewej oficynie na drugim piętrze mieszkał wraz z rodziną Fryderyk Chopin. Inni znani mieszkańcy to pisarz Zygmunt Krasieński, który mieszkał w pałacu do 1859 roku, oraz malarz Vogel, który w latach 1808-1826 miał tu swoją pracownię. Zygmunt Vogel zw. *Ptaszkiem* (ur. 15 czerwca 1764 w Wołczynie, zm. 20 kwietnia 1826 w Warszawie) – polski malarz i rysownik, przedstawiciel klasycyzmu, pedagog, wolnomularz. W Warszawie bywał uczestnikiem organizowanych przez Stanisława Augusta obiadów czwartkowych

Obecnie mieści się tam Akademia Sztuk Pięknych. Akademia Sztuk Pięknych, określa ogólnie szkołę wyższą, łączącą całe spektrum kształcenia plastycznego, zazwyczaj na kierunkach: malarstwo, grafika, rzeźba (to sztuki piękne) oraz: architektura wnętrz, wzornictwo, film, fotografia, scenografia, ubiór, szkło, ceramika (to „sztuki projektowe”) oraz edukacja artystyczna.



Andrzej Nastalski od lat był dobrym znajomym Szymona i często bywał u niego na Bednarskiej, która przecież krzyżowała się z Krakowskim Przedmieściem. Karol znał swoją przyszłą żonę od dziecka, ale wówczas nie przypuszczał, że spędzą razem życie. Świadkiem tej ceremonii byli: brat Karola- Mikołaj, kupiec, oraz jego stryjeczny brat August, lekarz. We wrześniu tegoż roku narzeczeni zawarli umowę przedślubną przed rejentem Kancelarii Ziemskiej Guberni Warszawskiej. Sprawy spadkowe po Szymonie nie były jeszcze do końca uregulowane konieczna, więc była formalna intercyza. Andrzej Nastalski był wdowcem po Juliannie zmarłej w lipcu 1837 roku, gdy w październiku tegoż roku ożenił się z wdową po Karolu zmarłym niespełna dwa lata wcześniej, Józefą Stradowską. Rodzicami Andrzeja byli Michał i Salomea, a on sam urodził się we wsi Mistrzewice, w chwili ponownego małżeństwa liczył sobie 29 lat. Józefa miała lat 25, była córką nieżyjących już Wojciecha i Elżbiety, urodzoną w Grodzisku. Zastanawia krótki okres żałoby Nastalskiego po pierwszej żonie, zwyczajnie pod tym względem wymagały zacekania ze ślubem, co najmniej rok.

Tymczasem powiększała się rodzina Ludwika Szletyńskiego, a on sam awansował w hierarchii urzędniczej cesarstwa. 10 grudnia 1849 roku urodził mu się syn Konstanty, ale jego chrzest jak zwykle był o kilka lat opóźniony, gdyż odbył się 2 sierpnia 1851 roku. Oprócz ojca stawili się plenipotent ordynacji Zamoyskich Antoni Cyprysiński (1806-1860) herbu Rogala i znany nam już Feliks Dorantowicz, urzędnik Warszawskiego Okręgu Naukowego. On też, wraz z Marianną Sieklucką zostali rodzicami chrzestnymi Konstantego.

W tym samym dniu i w obecności wymienionych już osób, odbył się chrzest młodszego brata Konstantego urodzonego 1 stycznia 1851 roku, który otrzymał imię Mikołaj. Tutaj rodzicami chrzestnymi zostali Antoni Cyprysiński oraz Anna Pękalska (1828-1904), o której niczego bliższego nie było wiadomo. Jak się później okazało była to wdowa po Wojciechu Filipie Pękalskim, naczelniku wydziału, który był obecny w czasie chrztu pierwszego syna Ludwika Szletyńskiego, Aleksandra Wilhelma. Ona sama wyszła ponownie za mąż za Wincentego Grobickiego h. Trąby w r. 1857.

Córeczka Joanna Ludwika przyszła na świat 24 maja 1853, ale tradycyjnie już z chrztem zwlekano aż do maja roku 1857. Ludwik Szletyński osiągnął wówczas wysoką rangę radcy dworu, co automatycznie dawało mu szlachectwo w wieku 55 lat. Jego starania o godnych rodziców chrzestnych dla Joanny zostały uwieńczone powodzeniem, gdyż zgodzili się nimi zostać sam generał-major Amilkar Paulucci wraz z małżonką Marią. Generał ten piastował różne funkcje, ale oberpolicmajstrem Warszawy zostanie na krótko, w lutym i marcu 1861 roku. W policji jednak działał od dawna na różnych szczeblach dowodzenia. W pamiętniku z epoki Zbigniew Chądzyński

nazywa tego Włocha w carskiej służbie „naczelnikiem szpiegów”, co sugeruje jego związki z tajną policją. Markiz Paulucci był uważany za sympatyka Polaków, władze często delegowały go do udziału w różnego rodzaju uroczystościach, jak choćby pogrzeb arcybiskupa Fijałkowskiego, który przerodził się w wielką, patriotyczną demonstrację. W pogrzebie tym brał też udział generał Bebutow, komendant wojenny Warszawy. Chądzyński pisze o nich w swoich memuarach „*obaj udający przyjaciół Polaków*”. Paulucci, jak się wydaje, był policmajstrem nie dwa miesiące w roku 1861, a do lipca 1862 roku, czyli blisko półtora roku. Historycy często nie odróżniają funkcji policmajstra Warszawy od tego samego stanowiska w odniesieniu całego Królestwa Polskiego. Stąd różne nieraz okresy zajmowania tych stanowisk przez carskich nominatów. W każdym razie udział tego dostojnika w chrzcie córki zwykłego komisarza policji był czymś niezwykłym. Musiał być Ludwik Szletyński naprawdę człowiekiem ustosunkowanym, do czego niewątpliwie przyczyniła się lojalna służba w carskiej policji. Dzieci jednak wychowywano w tej rodzinie w duchu patriotycznym, choć był to patriotyzm w stylu Aleksandra Wielopolskiego, który zmierzał do pogodzenia narodów polskiego i rosyjskiego.

Jako świadkowie na opisywanym chrzcie wystąpili: dziedzic dóbr Mamki Wilhelm Lewandowski i obywatel ziemianin Józef Jakubowski. Próżno by dzisiaj szukać osady Mamki leżącej w pobliżu Wesolej, zniknęła pochłonięta przez wielki poligon wojskowy utworzony na tym terenie w roku 1898, który przetrwał tam przez 100 lat. Jak podaje „*Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*”, wydany w Warszawie w 1880 r. Mamki, była to wieś w powiecie warszawskim. W 1580 roku Targowska Ruda (poprzednia nazwa) w parafii Kobyłka, miała 6 działów szlacheckich – cztery po ćwierci i dwa po pół łanu. Jeden łan mógł liczyć od 17 do 24 ha. Trudno powiedzieć, co łączyło Ludwika Szletyńskiego z tymi dziedzicami z pod Warszawy, zwykle zapraszał na swoje uroczystości urzędników policyjnych. Być może należeli oni do szlachty i Ludwik, sam będąc świeżo upieczonym szlachcicem, uznał ich obecności za bardziej dodającą splendoru.

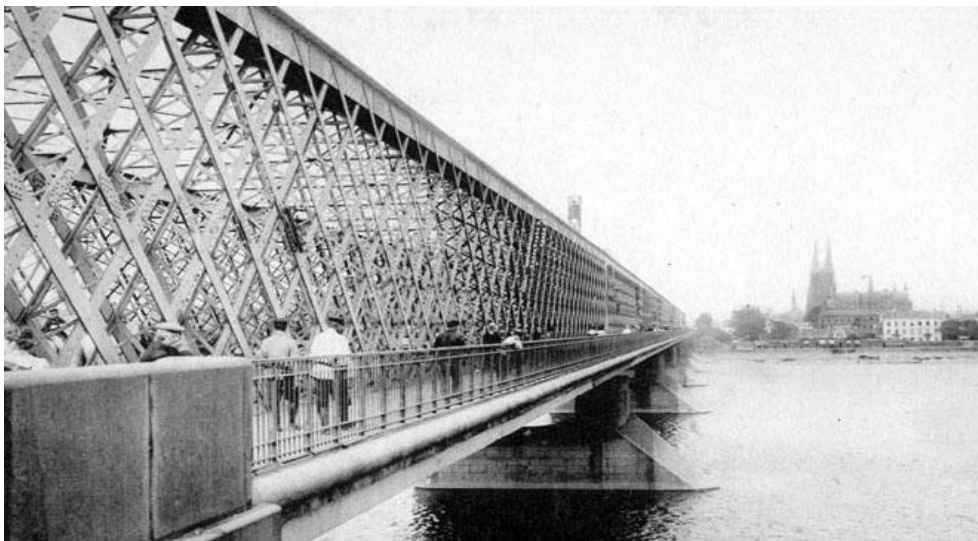
Kiedy Joanna dorosnie będzie używała imienia Ludwika, wyjdzie za mąż za niejakiego Krzewskiego i pojawi się na rodzinnych zdjęciach mego pradziada Aleksandra Niewiarowicza wraz z Seweryną Szletyńską. Nie była to siostra, ale z pewnością bliska krewna, można nawet sądzić, że była to jej córka. Dla prababki Zofii była Ludwika ciotką, gdyż jej matka Józefa Eborowicz i matka Zofii Felicjanna były siostrami. Tak oto splotły się losy naszych rodzin.



16. Seweryna Szletyńska, Zofia Niewiarowicz i Władysława Gerreth

Niewiele pozostało wolnych działek przy ulicy Bednarskiej pod koniec lat 50. XIX wieku. Jedną z nich była parcela pod nr 25, którą w lutym 1859 roku dokładnie wymierzył geometra Wilhelm Rau dla nowych dzierżawców, małżonków Walusińskich. Wkrótce potem rozpoczęła się budowa kamienicy, która jednak przed ukończeniem kilkakrotnie zmieniała właściciela. Ostatecznie za 18 000 rs nabył ją Andrzej Rajkowski z zawodu murarz, posiadacz domu przy ulicy Ogrodowej, gdzie sam zamieszkiwał. W roku 1860 po przeciwnej stronie ulicy pod nr 26 (369b) adaptowano starą oficynę pałacową na dużą drukarnię dla Towarzystwa Nowej Resursy. Pod koniec 1861 roku posiadłość tą wraz z kamienicą zakupił Samuel Orgelbrand, znany już wówczas wydawca książek. Początkowo wydawał poczytne powieści francuskie, potem drukował Ignacego Kraszewskiego, Fredrę, Słowackiego i innych autorów polskich. Dziełem jego życia była 28. tomowa encyklopedia, którą wydawał w latach 1859-1868. Dalsze wydania, w tym skrócone 12. tomowe, wydawali po jego śmierci w roku 1868 dwaj synowie. Dziś w tym miejscu, w okolicy ulicy Bednarskiej, znajduje się skwer imienia Samuela Orgelbranda.

W roku 1860 rozpoczęto budowę mostu stałego przez Wisłę, który ukończono w roku 1864, u schyłku powstania styczniowego. Most łyżwowy przy Bednarskiej został zlikwidowany, co miało olbrzymie znaczenie dla tej ulicy. Z dnia na dzień zamieniła się ona z ruchliwej arterii komunikacyjnej w cichy i ekonomicznie wegetujący zaułek.



17. Most Kierbedzia

Na razie jednak Bednarską czekało kilka lat prosperity, interesy Mikołaja Eborowicza pod własnym szyldem oraz hurtownia wódek pod szyldem jego matki, kwitły bez przeszkód. Likwidacja mostu nie

wpłyne zbyt na ten rodzaj handlu. Znikną po prostu liczne w tym rejonie hotele, niektóre przekształcą się w domy publiczne. Niestraszny im był artykuł 716 kodeksu kar głównych i poprawczych, który groził właścicielom hoteli grzywną 10 do 20 rubli za udostępnianie ich dla nierządu. Służba w tych zakładach była natomiast zagrożona karą aresztu od 3 tygodni do 3 miesięcy. Po te dosyć liberalne przepisy i tak sięgano niezbyt często przymykając oczy na powszechny proceder prostytucji. Policja wykonawcza koncentrowała się na zatrzymywaniu „wolontariuszek”, które stanowiły konkurencję dla domów publicznych a te przynosiły dochody także do kasy miasta. „Gazeta Lekarska” informowała w 1860 r., że w roku poprzednim policja wykonawcza aresztowała 13 570 włóczących się kobiet, a policja lekarska - 1094, poza rogatkami - 1353 kobiety. W tymże roku przez warszawskie szpitale przewinęło się 5229 chorych wenerycznie, cywilnych i wojskowych.

Domy publiczne bardziej eleganckie, z pewnymi „ambicjami”, mieściły się początkowo przy Mostowej, Podwale i na Krzywym Kole, późniejsze na Rycerskiej i Brzozowej, najpodrzedniejsze zaś na Powiślu. Liczne domy rozpusty zaczęli otwierać Żydzi, gdy w 1862 r. zniesiono niehumanitarne ograniczenia zabraniające im zamieszkiwania w niektórych dzielnicach. Ulice: Podwale, Freta, Kapitulna, Krakowskie Przedmieście od placu Zamkowego do Trębackiej, Trębacka, Bielańska, Mylna, część Długiej, Świętojerska, zaczęły się zapełniać stopniowo domami publicznymi. Niektóre z nich - z tańcami i bufetami – nazywano „tanckłtasami”. Namiestnik Fiodor Berg nie miał nic przeciwko temu, że prostytucja opanowuje główne ulice miasta, przeciwnie - jego zamierzeniem było uczynić Warszawę po powstaniu jednym z najweselszych miast Europy.

Bolesław Prus opisywał w „Lalce” Powiśle, jako siedlisko nędzy, chorób i rozpadu. Miejsce zamieszkałe przez biednych wyrobników i prostytutki. Nie do końca była to prawda, pisarze pozytywistyczni usiłowali zwrócić uwagę wyższych kast na zastraszające różnice społeczne. Z innych źródeł wynika, że w XIX wieku, Powiśle, mimo widocznej biedoty i nędzy, było główną dzielnicą przemysłową Warszawy. Przemysł koncentrował się przede wszystkim w obszarze Solca gdzie znajdowała się rządowa fabryka maszyn, młyn Banku Polskiego, gazownia, warsztaty żeglugi parowej oraz kilka garbarni i browarni. Dzięki fabrykom, warsztatom czy drobniejszym zakładom produkcyjnym Powiśle nie było dzielnicą zupełnie zapomnianą. Odwiedzano je również ze względu na umieszczone tam studzienki zaopatrujące w wodę Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście. O kanalizacji na głównym trakcie Warszawy pomyślano dopiero w 1851 roku. Powiśle było również odwiedzane od strony Wisły, gdzie przybijały barki, łodzie a w czasach A. Zamoyskiego również statki parowe używane w transporcie przemysłowym. W 1846 roku A. Zamoyski sprowadził z Francji dwa statki parowe, dzięki którym z czasem rozwinęła się żegluga parowa a z czasem na Solcu jej warsztaty. W warsztatach tych przede wszystkim budowano i naprawiano statki. Produkowano w nich również maszyny parowe, kotły, sikawki, instalacje dla cukrowni, młynów i tartaków. Przedsiębiorstwo rozwijało się prężnie i z czasem stało się potężną spółką w skład, której wchodził członek rodziny Zamoyskiego oraz grupa z establishmentu handlowego. Dla wyróżnienia jednostek można podać hrabiego Platera czy bankiera Leopolda Kronenberga. Nic dziwnego, że firma prosperowała wyśmienicie, jeśli zarabiała nie tylko na produkcji maszyn, ale i na transporcie produktów przemysłowych. Było bowiem wielkie zapotrzebowanie na maszyny, gdyż w 1862r. działało w Warszawie 369 fabryk, a produkcja spółki nie ograniczała się tylko do rejonu Warszawy czy Polski. Warsztaty prężnie się rozwijały i mogły się poszczycić zwodowaniem statku parowego,

który od 1863 roku zaczął pływać po Dniestrze. Statek wzbudzał podobno duże zainteresowanie swoim nowoczesnym wykonaniem, przepychem, praktycznością i wygodami.

Fabryka w dużym stopniu przyczyniła się do rozwoju kolei parowej. Mimo, że dla kraju był to duży krok w przyszłość, to dla Powiśla nie wróżyło to dalszego rozwoju. Z powodu dróg kolejowych stopniowo odchodzono od Wisły. Nastąpiła tendencja przenoszenia fabryk i zakładów przemysłowych na drugą stronę Warszawy w pobliże kolei. Bez wątpienia najważniejszą w przemyśle ówczesnej Warszawy była branża metalowa. Tu mamy kolejny przykład inwestycji na terenie obecnego Powiśla. Na rogu Książęcej i Smolnej mieściła się rządowa fabryka maszyn produkująca urządzenia dla cukrowni, gorzelni i tartaków. Była to podobno trzecia pod względem wielkości fabryka w Warszawie (zaraz po niej mieściły się wspomniane wyżej warsztaty żeglugi parowej). W fabryce rządowej przed 1860 rokiem pracowało około 300 osób a w warsztatach Zamoyskiego 200 osób. W tym czasie w największej fabryce Warszawy należącej do Evansa pracowało 500 osób. W 1854 do spółki z Evansem przystąpili Stanisław Lilpop i Wilhelm Rau, zarządcy Rządowej Fabryki Machin na Solcu, którym w roku 1866 bracia Evansowie odsprzedali firmę.

Na terenie Powiśla znajdował się również jeden z dwóch i największy w Warszawie młyn parowy należący do Banku Polskiego a wcześniej do Towarzystwa Wyrobów Zbożowych, którego członkiem był oczywiście hr. Zamoyski. Była to dość duża produkcja, bo ze źródeł wynika, że zatrudniała ponad 200 osób. Po upadku powstania styczniowego w 1864 roku to miejsce nabrało też innego znaczenia. Stało się kryjówką dla Aleksandra Waszkowskiego, naczelnika Warszawy i ostatniego dyktatora powstania. Naczelnik ukrywał się pod szopą młyna między deskami. O tej kryjówce nie wiedział nikt poza powiślańskimi bezdomnymi. Dyktatora niestety ujęto w grudniu 1865 i stracono.

W 1856 roku wzdłuż ulicy Ludnej zapaliły się latarnie gazowe, którym paliwa dostarczała gazownia wybudowana przy tej samej ulicy. Gazownia powstała z inicjatywy Kontynentalnego Towarzystwa Gazowego z Dessau. Warszawa około 1860 wyglądała zatem zupełnie inaczej, aniżeli w roku 1815, kiedy Szymon Eborowicz otworzył niewielki zakład przemysłowy produkujący oleje jadalne i techniczne. Jego syn zarzucił produkcję na rzecz handlu olejami i innymi artykułami spożywczymi, a wdowa nominalnie prowadziła jedną z 12. w stolicy, dużą hurtownię wódek i likierów. Z czasem Mikołaj Eborowicz sam się wzięł za produkcję wódek z uwagi na wysoką rentowność tej gałęzi przemysłu.

Józef Chmielowski wybrał się do Warszawy w sobotę 11 czerwca 1859 roku wraz ze swoim bratem Franciszkiem, księdzem w parafii Ujazd. Do Skierniewic dojechali dylizansem pocztowym, a stamtąd kilka minut po godzinie 8.00 wyjechali koleją warszawsko-wiedeńską do stolicy, gdzie przybyli po dwóch godzinach jazdy pociągiem. Zasadniczym celem tej podróży był ślub Józefa z piękną Felicjaną Eborowicz zaplanowany na wtorek 14 czerwca w kościele św. Jana. Jednak bracia zamierzali też spędzić razem w Warszawie dwa dni Zielonych Świątek w czasie, których odbywały się tam liczne imprezy i zabawy kończące się pokazami ogni sztucznych w parku Kaskada na Marymoncie. Pewne sprawy związane ze ślubem oraz z weselem Józefa też wymagały omówienia i załatwienia. Bracia zatrzymali się w klasztorze ojców karmelitów przy Krakowskim Przedmieściu, który został tam założony już 1639 roku. Nikt wówczas nie mógł przypuszczać, że za lat pięć zaledwie władze carskie skasują ten zakon za udział karmelitów w powstaniu styczniowym. Józef pragnął, aby ślubu udzielił mu brat, ale przecież znajdował się on poza swoją parafią Ujazd i formalnie nie było to możliwe. Jako udzielający ślubu i jednocześnie, jako urzędnik stanu cywilnego

mógł wystąpić tylko proboszcz parafii św. Jana. Problem ten rozwiązano polubownie, choć tego rodzaju „zastępstwa” zdarzały się stosunkowo rzadko. Ksiądz Chmielowski wystąpił, jako kapłan „błogosławiący” zawarte małżeństwo oraz jako pełniący czasowo obowiązki proboszcza i urzędnika stanu cywilnego. Rzecz oczywista, że zapowiedzi dotyczące tego ślubu musiały być ogłaszane w obu parafiach, co skrupulatnie odnotowano w księdze małżeństw. Wpierw jednak Józef spotkał się z matką panny młodej Marianną i jej braćmi Karolem i Mikołajem, a jego brat udał się porozmawiać z proboszczem parafii św. Jana o zbliżającym się ślubie.

Józef Chmielowski miał stryja Stanisława, który poślubił w r. 1830 Mariannę Mikos (c. Błażeja i Franciszki Urbaniak), ale nic o nim nie wiemy. Wydaje się, że jedynie on pozostał w rodzinnej wsi i uprawiał ojcowiznę.

Bratem Józefa był Filip urodzony także we wsi Brzózny w r. 1812 (8 maja). Ponieważ zachowała się jego metryka urodzenia możemy obalić mit o szlacheckim pochodzeniu tej rodziny. Mówi się tam o ojcu Filipa lat 36 (ur. w r. 1776), jako o gospodarzu, a to oznacza, że posiadał własną ziemię, którą sam uprawiał mieszkając w domu pod nr 41. Matka Filipa miała lat 24, a więc była młodsza od męża o lat 12. Ojciec i rodzice chrzestni pisać nie umieli, co stwierdził ksiądz Ignacy Mueller, urzędnik cywilny. Niestety Filip zmarł w r. 1819. Następną zachowaną metryka dotyczy samego Józefa, który urodził się w r. 1823 (6 marca). Tym razem wiek Dionizego określona na lat 50 (musiał się więc urodzić w r. 1773, a matki na lat 40. Akt podpisał ten sam ksiądz Mueller. Biorąc pod uwagę wiek matki Józef był raczej ostatnim dzieckiem tej pary. Z tym wiekiem mam problem, gdyż w rejestrze figuruje rok urodzenia 1769 innej Cecylii o tym samym nazwisku. (c. Józefa i Marianny) oraz jej córki Franciszki z niejakim Leonem Chrustem. Ta jednak mieszkała w parafii Jedlnia, wieś Jastrzębiec. Przejdźmy teraz do sióstr Józefa. Mamy więc Krystynę ur. w r. 1815 oraz Mariannę ur. w r. 1819. Przez omyłkę zapisana jako "Chmieleska", co wprowadziło w błąd genealogów tej rodziny. Była jeszcze Agnieszka, ale ta zmarła szybko w styczniu r. 1811.

Niedziela była dniem pięknym i słonecznym. Jak bawili się w Zielone Świątki warszawiacy niech opiszcie dla nas „*Kurjer Warszawski*”.

„Dawno już może tak piękna nie sprzyjała pogoda Bielanom, jak dwóch dni ostatnich, w które jako w Zielone Świątki nawiedzane bywa to miejsce. Korzystając zatem z tak pięknej pogody, od niedzieli rano, rozpoczęto swoje przejażdżki i wędrówki, a gdy jedni wierni zwyczajowi, ciągnęli ku stronom kędy z zielonego lasu wychylają szczyt swój Kamedulskie wieżyce; drudzy tymczasem odkładając tę przejażdżkę nazajutrz rzucali się w strony przeciwne, opierając się aż o rozkoszny Willanów. Gdzie więc tylko przyjemne wabiło powietrze lub wyborna muzyka, jak np. w ogrodzie P. Ohm, za rogatką Wolską, wszędy można było dostrzec tłumnie spacerujących, nie wyłączając ni Kaskady, ni Czystego, ni Nowego Ogrodu Warszawskiego, ni Saskiej Kępy, itd. Oprócz tego, w Dolinie Szwajcarskiej zebrano się licznie; zaś aleje i wspaniałe ogrody Belwederski, Botaniczny, lub Saski, napełniły się światem eleganckim, używającym z przyjemnością świeżości powietrza dnia onegdajszego. Ale prawdziwa jazda na Bielany, długim, jak to mówią szeregiem powozów, dorożek, omnibusów, bryczek i konnych, a nawet ciągnących pieszo i wodą, rozpoczęła się wczoraj po 6-ej z południa, wobec tłumu rozsypanych po ulicach osób, przypatrujących się temu corocznie ponawianemu pochodowi. I niezadługo w alei Bielańskiego lasu, ponad brzegiem sienie i szumiącej Wisły, ukazał się świat modny, przechadzając się przy brzmieniu muzyk wojskowych wtedy, gdy poniżej w dolinie Bielańskiej, wesoly lud ek pomodliwszy się PANU od samego rana, używał rozrywek, na jakie tylko pomysł ludzki zdobyć się zdołał. W rozpiętych namiotach wrzał gwar nieustanny, gromadzących się w kółka, obok długich stołów na których płynące strumienie różnorodnych napojów, świadczyły najlepiej o odbywanych na tym polu walkach, przy brzęku kufli bawarskich. Po za szafasami wrzały karuzele i młyny diabelskie, na których pękały imitacje krynolin, z którymi igrał figlarny wietrzyk. Od czasu do czasu, przechadzał się misio, alias mały niedźwiedź, przedstawiając otaczającym go grupom najrozmaitsze sztuki, z wyjątkiem utrzymania szklanki, którą albo za lekko wzięwszy w swą łapę upuścił, albo za nadto znowu ścisnąwszy, zdruzgotał. W dali za

doliną ktoś dmuchał w klarynet, nie pytając, jakie wydobywał tony, a wesoly Maciuś rznął na skrzypkach, coraz to innego, tylko na tę samą nutę, wyzywając gromadki wiejskie do podrygania przy zawinięciu poły na rękę, w oberku. Resztę uzupełniały sztafasy z widowiskami, jak menażerią P. Szolca, , figurami mechanicznymi, galerią obrazów, i tp . I cały ten obraz tak różnobarwny, jak plonem pokryte pola, przeplatany to kwiecistością eleganckich strojów, to wiankami z kwiatów, albo wstążkami na głowie dorodnych cór ludu, łudził oko przechodnia, do samego wieczora, dopóki nie nastąpił odwrót do Warszawy, urozmaicony w Kaskadzie sztucznymi ogniami, które od godz. 9-ej wieczorem, zaczęły się rysować na tle gwiaździstego nieba. Około godz. 7-ej, zaszczycił raczył obecnością swoją Bielany JO. Xzę Gorczakow NAMIE-STNIK Królestwa, ukazawszy się konno wraz z świetnym orszakiem.”

Bracia Chmielowscy nie czekali na pokaz ogni sztucznych, a zaraz po wizycie księcia Gorczakowa wrócili dorożką do miasta i udali się na spoczynek w pokojach gościnnych klasztoru. W czasie skromnej kolacji wspominali swoją rodzinną Brzozę, wieś położoną na skraju Puszczy Kozienskiej. Ich ojciec Dionizy miał tam spore gospodarstwo, chociaż większość okolicznych terenów należała do rodziny hrabiów Ożarowskich. Wybudowali oni wspaniałą pałac otoczony przez imponujący park. Założono stawy rybne, utwardzono drogi i przeprowadzono meliorację. Ożarowscy zakładali w swoich włościach szkoły dla miejscowej ludności. Dionizy Chmielowski utrzymywał, że stracił swój majątek po powstaniu listopadowym, ale nie było to prawdą.

Ożarowscy zawsze byli lojalistami blisko związanymi z dworem cesarza Rosji. Na 10 lat przed ślubem Józefa, car Aleksander II zaszczycił swoją obecnością tą niewielką wioską, gdyż hrabina Ożarowska była spowinowacona z rodziną carską. Pułkownik hrabia Ożarowski był oficerem do specjalnych poruczeń przy Namiestniku Królestwa oraz członkiem komitetu rozpoznającego prośby do cara, któremu przewodniczył w 1859 roku baron Ferse.

Dionizy Chmielowski schorowany wkrótce zmarł i dziećmi zajmowała się ich matka Cecylia z Mąkosów. Dbała o ich wykształcenie, choć najstarszy poszedł do wojska, a Franciszek wybrał drogę nauki w seminarium duchownym. Józef uczył się początkowo w Radomiu, a potem w Warszawie zdobywając uprawnienia do nauczania w szkołach rządowych. Kiedy więc Franciszek otrzymał probostwo w Ujeździe, postarał się o pracę nauczyciela w miejscowej szkole dla swego brata, aby znowu mogli zamieszkać razem z matką. Cecylia mieszkała z synem na plebanii, a Józef dostał lokum służbowe przy szkole.

Tymczasem w poniedziałek nadal obchodzono Zielone Świątki i po nabożeństwach ludność Warszawy znowu wyruszyła na Bielany i do Wilanowa oddawać się przeróżnym rozrywkom. Bracia Chmielowscy tym razem udali się wieczorem do parku Kaskada (zwanym tak z powodu naturalnego wodospadu, który tam płynął) i wieczorem obejrzelikolejny pokaz ogni sztucznych.

Rankiem we wtorek 14 czerwca Józef kupił za 7,5 kopiejki „:Gazetę Warszawską”, w której przeczytał, że „wczorajsze Bielany były ludne i tłumne, choć okropną kurzawą okryte, ale nasza zacna publika wierna odwiecznej tradycji, na nic nie zważała; dość dla niej, że nie było deszczu, ani chłodu, aby ochota do wędrówki się znalazła.” Dziennik podał też, że wczoraj w południe temperatura wynosiła 24 stopnie w używanej wówczas skali Reamura, czyli ok. 20 stopni w skali Celsjusza. Ślub Józefa wyznaczono na godzinę wpół do siódmej wieczorem, wtorek był chłodny, a rano padał deszcz. Na szczęście pod wieczór przestało padać, a nawet pokazało się słońce. W kościele św. Jana Chrzciciela stawilo się blisko 50 osób krewnych i znajomych Józefa i Felicjanny.



18. Katedra św. Jana Chrzciciela w Warszawie

Świadkami zostali bracia panny młodej Karol i Mikołaj Eborowiczowie. Józef w chwili ślubu miał już lat 35, a jego żona lat 19. Jako adres zamieszkania Felicjana podała ulicę Bednarską nr 2690 B, a jej obecna w trakcie ceremonii matka wyraziła zgodę na zawarcie związku małżeńskiego. Natomiast pan młody przedstawił zgodę kuratora Warszawskiego Okręgu Naukowego, gdyż jako nauczyciel w szkołach rządowych był do tego zobowiązany. Po zaślubinach goście powozami i dorożkami udali się do Hotelu Bawarskiego przy ulicy Bednarskiej 7, gdzie odbyło się wesele. Hotel ten najlepsze lata miał już za sobą, a po otwarciu mostu Kierbedzia przekształcił się w dom publiczny, ale w roku 1859 był ulubionym miejscem spotkań cyganerii warszawskiej, czyli młodych literatów i artystów. Nieco później stał się miejscem spotkań różnych tajnych organizacji i sprysiężeń przygotowujących grunt pod powstanie styczniowe. Tam właśnie bawił się Józef Chmielowski z nowo poślubioną Felicjaną przy udziale licznych gości. Dwie starsze panie – Cecylia Chmielowska i Marianna Eborowicz rozmawiały w zaciszu osobnego gabinetu o przyszłych losach młodej pary. Mariannę martwiły niskie dochody Józefa, który na pensyjce nauczyciela zarabiał ledwie 300-350 rubli rocznie i to nieregularnie. Utrzymanie nauczyciela szkoły elementarnej w tym czasie spadało na barki sołtysa lub wójta, który pobierał składki od chłopów lub mieszkańców w naturze i w pieniądzu i wypłacał je nauczycielowi. Dopiero w 1876 roku upowszechnił się zwyczaj miesięcznych wypłat. Nauczyciel nie mógł sobie w żaden sposób dorabiać do skromnej pensyjki. Gdyby np. wystąpił w karczmie, jako grajek, zostałby niezwłocznie usunięty z zawodu. Mógł natomiast uprawiać przydzielony mu kawałek ziemi na własne potrzeby, ale nie dotyczyło to nauczycieli w miastach. Do szkoły miały obowiązek uczęszczać dzieci między 8 a 12 rokiem życia. Uczono jeszcze wtedy po polsku, dopiero w roku 1873 językiem nauczania stał się język rosyjski. Postępująca rusyfikacja szkolnictwa spowodowała odejście Józefa z zawodu nauczyciela rządowego. Był więc on przez lat 15 nauczycielem w mieście i przez lat 5 uczył na wsi, chociaż nie zmienił swego miejsca zamieszkania.

Felicjanna otrzymała posag w gotówce, było tego 3 000 rs, a więc suma pokaźna, jak na owe czasy. Zdecydowała się opuścić Warszawę i wyjechała ze swoim mężem do Ujazdu, gdzie dostał on nieco większe mieszkanie, jako człowiek żonaty. Nauczanie nigdy nie było pasją Józefa, a raczej koniecznością zarabiania na życie. Dlatego w latach późniejszych przejdzie on do pracy w kolei, która w jego czasach bardzo szybko się rozwijała. Będzie pracował zarówno przy budowie nowych dróg żelaznych, jak i w eksploatacji gotowych odcinków kolei. Znajdzie tam zatrudnienie wielu członków tej rodziny, a Mikołaj Szletyński będąc już emerytowanym kolejarzem, zginie przejechany przez pociąg w roku 1934 w Łodzi.

Dzieci Józefa i Felicjanny urodziły się w Ujeździe. Pierwsza była Zofia w roku 1861, rok później Władysława, w roku 1864 Józefa, a upragniony syn Julian w roku 1866. Kiedy rodzina opuściła Ujazd Zofia miała 12 lat, a najmłodszy Julian 7 lat. Odtąd zaczęła się ich tułaczka, gdyż rodzice do końca życia nie dorobili się własnego domu. Przemieszczali się zgodnie z zatrudnieniem Józefa Chmielowskiego, bądź przy budowie drogi żelaznej lub też obsługując gotową już linię. W trakcie budowy mieszkali w prowizorycznych barakach zwanych też koszarkami. Natomiast pracując na funkcjonującej już stacji kolejowej, korzystali z mieszkania służbowego, przy którym często był kawałek ziemi do uprawy na własne potrzeby. Częściej jednak żona Józefa, a potem córki prowadziły na stacji bufet sprzedając podróżnym herbatę i jakieś posiłki. Józef Chmielowski nie wypracował sobie emerytury ani jako nauczyciel, ani też jako kolejarz. Kiedy już zdrowie nie pozwalało mu na pracę, pozostawał na utrzymaniu męża Zofii Aleksandra Niewiarowicza. Felicjanna zwracała się też o pomoc do męża swej siostry Konstancji, żony Higin Liszko, który zatrudniał czasami swoich krewnych do prac w gospodarstwie rolnym. Końcowym etapem ich tułaczki był daleki Kursk, gdzie podążyli za mężem Władysławy Janem Kepelmanem i gdzie zastała ich wojna oraz rewolucja.

Rzeczony Higin Liszko zjawia się nam 24 maja 1856 z okazji narodzin swego syna, które nastąpiły jednak 1 lipca 1851 roku. Chłopczyk liczył więc sobie prawie 5 lat, kiedy to zamożni w końcu rodzice zdecydowali się go ochrzcić. Tradycyjnym już zwyczajem w akcie chrztu odnotowano, że opóźnienie tej ceremonii nastąpiło z powodu „oczekiwania na kumów”. A rodzicami chrzestnymi zostali znani nam już: doktor medycyny Antoni Eborowicz wraz z Julią Lipińską. Jej małżonek Adam Lipiński i Karolina Eborowicz stanowili drugą parę rodziców chrzestnych. Chłopczyk otrzymał imiona Juliusz Stefan Konstanty, zgodnie z tradycją rodzinną Liszków.

Dzień wcześniej tj. w piątek, Warszawę odwiedził car Aleksander II i z tej okazji odbyły się wielkie uroczystości powitalne, a tłumy mieszkańców wypełniły Plac Saski, Nowy Świat, Senatorską i Miodową. Car, w towarzystwie namiestnika Gorczakowa pojawił się ok. 13.00 w cerkwi, gdzie powitał go prawosławny arcybiskup warszawski Arseniusz (Fiodor Pawłowicz Moskwin). Pełnił on swoją funkcję w latach 1848-1860, poczym został przeniesiony do Kijowa.



19. Car Aleksander II Romanow

Ok. 15.00 car pofatygował się na dworzec kolei żelaznej, aby powitać swoją siostrę wielką księżną Olgę Mikołajewną Romanową z małżonkiem. W roku 1846 poślubiła ona księcia wirtemberskiego Karola, a na tron Wirtembergii wstąpią razem w roku 1864. Małżeństwo to nie było jednak szczęśliwe, gdyż Karol okazał się być homoseksualistą. Z tego też powodu para ta pozostała bezdzietna.

W niedzielę przypadało święto Bożego Ciała w związku, z czym odbyły się tradycyjne procesje. Natomiast car udał się na pola Powązkowskie celem przeglądu wojska. W roku 1818 założono tam obóz wojskowy tzw. Powązkowskie Pole Wojenne, gdzie zbudowano koszary, magazyny i place ćwiczeń. Wieczorem na zamku królewskim odbył się wielki bal na ponad 500 osób z okazji wizyty cara i króla.

Wybiegnijmy nieco w przyszłość, kiedy to 5. letni, dopiero co ochrzczony chłopczyk, dorasta i bierze ślub z Wandą Uszyńską. Ślub ten odbył się w Warszawie 26 września roku 1878, rodzice jego jeszcze żyli i mieszkali przy ulicy Podwale nr 501 w kamienicy rządowej. Jak wcześniej wspomniano ich syn Stefan Juliusz Maria Liszko zostanie oficerem i będzie walczył we wszystkich wojnach XX. wieku. Wielokrotnie odznaczany pułkownik kawalerii przeżyje 100 lat, zostanie więc świadkiem burzliwych dziejów tego stulecia.

Najbardziej poczytną książką 1856 roku było dzieło angielskiego uczonego Brewera zatytułowane „*Tajniki przyrodzenia czyli wyjaśnienie codziennych zjawisk natury w formie pytań i odpowiedzi podane*”, którą wydał Orgelbrandt. Z wydania francuskiego przełożył na polski to dzieło Szymon Pisulewski.

W roku 1860 u wylotu Nowego Zjazdu rozpoczęto budowę Mostu Nowego Stałego według projektu inż. Stanisława Kierbedzia. Budowa ta potrwa jeszcze cztery lata. Po koniec lat 50. Nasilał się opór przeciwko caratowi, odbywały się liczne demonstracje patriotyczne. Ofiarą ich padnie górny odcinek ulicy Bednarskiej, gdzie przeprowadzone zostaną po powstaniu styczniowym liczne wyburzenia. Chodziło głównie o likwidację wąskich przesmyków, gdzie chronili się demonstranci przed szarżującymi kozakami.

Na razie jednak w całym Królestwie Polski narastał ferment, zawiązywały się liczne spiski i sprysiężenia. Przegrana Rosji w wojnie krymskiej odstąpiła jej wewnętrzną słabość, a to z kolei ośmieliło do wystąpień anty carskich. Na Uniwersytecie Kijowskim powstał tajny Związek Trojnicki,

który szukał kontaktów z młodzieżą na terenie zaborów. Drugim ośrodkiem konspiracji był Petersburg, gdzie powstało sprzysiężenie oficerów studiujących w Akademii Sztabu Generalnego. Działali tam Zygmunt Sierakowski i Jarosław Dąbrowski. Co ciekawe późniejszy dyktator powstania Romuald Traugutt był w tym czasie w Petersburgu wykładowcą w Wojskowym Instytucie Galwaniczno-Technicznym w stopniu kapitana armii carskiej. O konspiracji Sierakowskiego wiedział, ale do niej nie przystąpił, trzymał się z dala. Bardzo chciał zdobyć uprawnienia nauczyciela chemii i fizyki, co by mu pozwoliło po przejściu na emeryturę wojskową pracować w szkolnictwie.

W Warszawie w roku 1857 powstała Akademia Medyko-Chirurgiczna i tam zawiązały się pierwsze spiski. W maju 1858 roku do stolicy przybył z Kijowa Narcyz Jankowski, który założył kilka tajnych kółek w środowisku akademickim, a następnie zaczął je integrować i prowadzić potajemne szkolenia wojskowe. W 1859 roku zebrano kapitułę organizacji Czerwonych przygotowując plany wybuchu powstania. 11 czerwca 1860 pogrzeb wdowy po bohaterze powstania listopadowego generale Józefie Sowińskim stał się wielką manifestacją patriotyczną. W październiku 1860 w czasie warszawskiego zjazdu monarchów przeszkodzono iluminacjom i balom towarzyszącym konferencji, a na przedstawieniu galowym w Teatrze Wielkim fotele oblano cuchnącym płynem. Akcją tą kierował Franciszek Godlewski. 29 listopada 1860, w rocznicę Nocy Listopadowej zorganizowano kolejną wielką manifestację i odśpiewano pieśń skomponowaną niegdyś przez Alojzego Felińskiego na cześć cara Aleksandra I, zmieniając jej refren na: Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie. Irytującą władze rosyjskie pieśń śpiewano następnie przy okazji wszystkich manifestacji. Wobec nasilających się wystąpień ludności Warszawy, car Aleksander II zdecydowany był zastosować najsurowsze represje i w wypadku większych demonstracji ulicznych miasto miało zostać zbombardowane z Cytadeli.

25 lutego 1861 wojsko rosyjskie rozpędziło demonstrację przeprowadzoną w 30. rocznicę bitwy o Olszynkę Grochowską. 27 lutego na Krakowskim Przedmieściu od salwy rosyjskiej padło pięciu manifestantów. Wydarzenia te skłoniły obradujące na Zamku Królewskim Towarzystwo Rolnicze do przyjęcia uchwały o uwłaszczeniu chłopów. Zbulwersowane tymi wydarzeniami mieszczaństwo warszawskie utworzyło Delegację Miejską, pod przewodnictwem bankiera Leopolda Kronenberga, która złożyła adres do cara, w którym domagano się poszanowania wolności obywateli Królestwa Polskiego. 2 marca pogrzeb pięciu poległych na Cmentarzu Powązkowskim przeistoczył się w wielką manifestację solidarności wszystkich stanów Królestwa. Dla pacyfikacji nastrojów car Aleksander II zmuszony był poczynić pewne ustępstwa. Reaktywowano wówczas Radę Stanu, utworzono kierowaną przez Aleksandra Wielopolskiego Komisję Rządową Wyznań i Oświaty, spolonizowano administrację. Były to posunięcia czysto taktyczne, obliczone na opóźnienie wybuchu powstania poprzez pozyskanie dla idei reform części społeczeństwa polskiego. Już 8 kwietnia na Placu Zamkowym Rosjanie pokazali swoje prawdziwe intencje, gdy ostrzelali bezbronny tłum. Zginęło 100 osób a kilkaset zostało rannych. Pod koniec maja 1861 zmarł na apopleksję namiestnik Królestwa Polskiego gen. Michaił Gorczakow - jego następcą został Nikołaj Suchozanet, który wprowadził jeszcze większy reżim i represje. Można było zostać aresztowanym nawet za noszenie stroju narodowego lub śpiewanie pieśni patriotycznych. W celu spacyfikowania Królestwa Polskiego nowy rosyjski namiestnik gen. Karol hr. Lambert 14 października 1861 roku wprowadził stan wojenny. 15 października, mimo zakazów, warszawiacy wzięli udział w obchodach rocznicy śmierci Tadeusza Kościuszki, co skończyło się rozbiem manifestacji przez wojsko rosyjskie i porywaniem ludzi z kościołów. Wojska rosyjskie dowodzone przez wojskowego generał-gubernatora warszawskiego Aleksandra Daniłowicza Gerstenzweiga dokonały pacyfikacji ludności cywilnej zebranej w katedrze św. Jana w Warszawie. Na znak protestu przeciwko aresztowaniu 1878 wiernych w katedrze warszawskiej, do której wtargnęło wojsko, administratorzy diecezji nakazali zamknięcie wszystkich kościołów i kaplic w Warszawie. 17 października 1861 Apollo Korzeniowski (1820-1869) zawiązał

Komitet Miejski, który zajął się przygotowaniem wybuchu powstania. Hrabia Lambert ugiął się przed tym oporem i uwolnił większość zatrzymanych. Po kilku dniach Lambert podał się do dymisji, a nowym namiestnikiem został gen. Aleksandr Lüders.

Nie jest moim celem opisywanie przebiegu powstania styczniowego w jego 150. rocznicę. Ważna dla tej opowieści była patriotyczna atmosfera, w której wyrastali nasi antenaci, gdyż tragiczne to powstanie wywarło wpływ na losy niemalże każdej rodziny polskiej. Nie znamy losów Juliusza Liszko, brata Higinia, który w tym powstaniu poległ śmiercią bohatera. Już sam fakt, że fotografia jego powstańczej mogiły zachowała się w naszej rodzinie świadczy o swoistym kulcie tego młodego powstańca.



20. Powstańcza mogiła Juliusza Liszko

Nie dotknęły opisywanych tutaj przodków konfiskaty majątków ziemskich, gdyż albo je już utracili po powstaniu listopadowym, albo takowych nie posiadali. Karol Eborowicz był urzędnikiem warszawskiej straży ogniowej, miał małe dzieci na utrzymaniu i nie kwapił się do udziału w powstaniu. Podobnie rzecz się miała z Mikołajem, któremu jako kupcowi powstanie mogło tylko zaszkodzić. Ludwik Szletyński walczył w przegranym powstaniu listopadowym i doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że i to powstanie skazane jest na nieuchronną klęskę. Nie jest wykluczone, że sympatyzował on z ruchami patriotycznymi, w przekazach pamiętnikarzy wspomina się, że to z policyjnych cyrkułów 3. oraz 4. wyszły ostrzeżenia dla przywódców konspiracji o wzmożonym ruchu wojsk moskiewskich w nocy z 13 na 14 stycznia. Mogło to oznaczać przygotowanie do masowego poboru do wojska. Niestety ostrzeżenia te zostały zlekceważone przez członka Komitetu Miejskiego Konstantego Szaniawskiego, który oświadczył, że są to urojenia, a Komitet doskonale wie, że pobór zacznie się dopiero za dwa tygodnie. Szaniawski był oficerem legionów węgierskich w kampanii 1849 roku, zesłańcem na Syberię, a w powstaniu poległ w czasie potyczki pod Czyżewem w maju 1863 roku. Niestety w tym przypadku mylił się, co spowodowało dezorganizację pracy Komitetu Miejskiego. „Kurjer Warszawski” z 20 stycznia 1863 roku donosił z entuzjazmem, że pobór do wojska w dniu 15 stycznia odbywał się w „z zachowaniem spokojności” w godzinach od 1.00 do 8.00 rano. Przygotowane środki represji na wypadek nieporządków okazały się niepotrzebne. Także w

następnych dniach gazeta ta drukowała oficjalne ukazy i pisma cesarza Rosji nie wzmiankując ani słowem o jakichkolwiek walkach. Dopiero 27 stycznia dziennik donosił o „bandach buntowniczych”, które w wielu miejscach Królestwa Polskiego napadały na oddziały wojska. Owe „bandy” były uzbrojone w strzelby myśliwskie, kosy, rewolwery i noże. Powstańców nazywano „burzycielami”, buntownikami, a nawet „złoczyńcami”. Wg tych informacji większość tych ataków odparto, a napastników zabito lub schwytano. Między wierszami tych ocenowanych wiadomości można wyczytać, że Rosjanie zostali zaskoczeni skalą ataków, co zmusiło ich potem do koncentracji sił w większych miastach garnizonowych. W trakcie opisywanych potyczek zostali ranni w Radzynie wysocy oficerowie rosyjscy generał major Kannabich oraz pułkownik Meinbaum. Świadczy to panującym chaosie w szeregach armii zaborczej w początkowym okresie powstania. W tym samym numerze p.o. warszawskiego oberpolicmajstra podpułkownik Muchanow wydał szczegółowe zarządzenie zaostrej wcześniej wprowadzony stan wojenny na terenie stolicy. Nikt dla przykładu nie mógł się po zmroku poruszać bez oświetlonej latarki, a po godzinie 23.00, aż do świtu obowiązywała godzina policyjna. Co gorsza, wszystkie „szynki, kawiarnie, bawarie i traktierne” musiały zamykać swoje podwoje już o 18.00. Tak to się wszystko zaczynało. Aby uzyskać prawdziwy obraz tego powstania należałoby sięgnąć po czasopisma wydawane przez Rząd Narodowy tzn. „Ruch” (drukowany od 5 lipca 1861 do 14 lipca 1863), czy „Niepodległość” wydawana po lipcu 1863 roku. „Ruch” z marca 1863 roku drukował w nr 14 odezwę gen. Mariana Langiewicza wzywającą cały naród do walki o wolność i niepodległość. W tym samym numerze Langiewicz określał skład i kompetencje Rządu Narodowego Cywilnego. Kolejne rozporządzenia rządu znosiły loterię, zawieszały kursowanie kolei warszawsko-petersburskiej i ustanawiały trybunały rewolucyjne. Wzywano też Polaków nadal w służbie rosyjskiej pozostających, do opuszczenia szeregów armii i policji zaborczej pod groźbą wieczystej banicji. Prawdy o powstaniu dowiemy się także ze zbioru dokumentów, które figurują w bibliografii. Ich lektura jest niezwykle interesująca, poznajemy tam najdrobniejsze szczegóły tych nierównych walk. Taktyka oddziałów kosynierów i ich regulamin walki są jedyne w swoim rodzaju w historii wojskowości.



21. Powstanie styczniowe

Pamięć o powstaniu będzie trwała, niektórzy z jego bohaterów dożyją czasu, gdy Polska odzyska niepodległość w listopadzie 1918 roku. Podtrzymanie tradycji patriotycznych, okazanie niezłomnego ducha walki o wolność, to trwała wartość tego powstania, którą zostali naznaczeni bohaterowie tej opowieści. Będą oni później walczyć i ginąć na wszystkich frontach wojen XX. wieku, aby odzyskanej wolności nie oddać pod obce panowanie. Pierwszym był Ludwik Szletyński, a ostatnim zostanie jego prawnuk Andrzej Szletyński (ur. 1932) aresztowany przez stalinowskich oprawców i skazany w roku

1950 na 15 lat więzienia za przewożenie młodzieżowej, konspiracyjnej organizacji o nazwie Związek Białej Tarczy.

A powstanie styczniowe tak gorzko podsumował autor pamiętnika Zbigniew Chądzyński:

„Powtarzam, że ostatnie powstanie nasze śmiało nazwać można poronionym, bo ani czas, ani okoliczności nie były po temu, przygotowań i środków prawie żadnych, choć pod tym względem ludziliśmy się wzajem, trąbiąc o mnóstwie sprowadzonej broni, o całej armii sprzysięgłych już zorganizowanej, o gotowości ludu itp., zresztą któż dowiedzie, czy rząd carski nie chciał przyspieszyć wybuchu by raz skończyć i runąwszy przeważną siłą, krwią zalać pierwsze iskielki i nie dać im zabłysnąć płomieniem? W chwili wybuchu nie znalazło się broni dla garstki bezbronnych, lud nie zrozumiał, o co rzecz idzie... szczęściem tylko, że blagując siebie, oblagowaliśmy i Moskwę, która nabywszy przesadnego o siłach powstańczych wyobrażenia, zamknąwszy się w miastach pozostawiła nam wolne wsie lasy. Lecz żart długo trwać nie może... wreszcie Moskwa, widząc, że powstańcy nie napadają, lecz owszem, cofają się wszędzie prawie, a tylko bierny dają opór (stosownie do poleceń tajnych Rządu bezimiennego), odważyła się ich ścigać i wreszcie robić prawdziwe oblawy na tułające się bez celu, planu i związku z sobą drobne oddziały powstańcze. Ze strony Moskwy była zawsze przewaga broni, liczby i pierwszeństwa w napadzie, nic więc dziwnego, że oddziały po dłuższej lub krótszej przechadzce z bronią, po dłuższym lub krótszym istnieniu, lub rozpuszczały się wskutek bitwy, często niespodzianej, lub topniały same przez się.”

Ta smutna konkluzja znajduje potwierdzenie w tragicznym losie ostatniego dyktatora powstania Romualda Traugutta, zdradzonego przez własnych współpracowników i wydanego na szubienicę.

Tymczasem Józef Chmielowski wiódł spokojne życie ze swoją Felicjaną w cichym Ujeździe. Wieś ta, znana od XIII wieku, leżała ongiś w województwie łęczyckim. Jednym z pierwszych właścicieli wsi był w roku 1283 Racibor, podłowczy łęczycki, który tegoż roku kupił od Bolesława II, księcia mazowieckiego wieś Niewiadów. Synami Racibora byli Janusz i Włostow z Ujazdu. Miasto na prawie magdeburskim założono tutaj w roku 1428, a wraz z nim powstała parafia na mocy dekretu arcybiskupa Wojciecha z Jastrzębca z dnia 5 września 1429 roku. Na początku XIX wieku Ujazdem władała rodzina Ostrowskich. Bracia Władysław i Antoni brali czynny udział w powstaniu listopadowym, za co zapłacili konfiskatą majątku oraz zmuszeni zostali do emigracji. W roku 1850 całe centrum miasteczka strawił wielki pożar, którego ślady oglądał Józef Chmielowski, gdyż za jego czasów nie odbudowano jeszcze ratusza miejskiego. Spadła liczba ludności, co wykorzystały władze carskie pozbawiając Ujazd praw miejskich w roku 1869. Była to jedna z form represji zaborcy na społeczeństwie polskim po przegranej powstaniu styczniowym. Smutna ta wiadomość dotarła do Władysława Ostrowskiego na kilka miesięcy przed jego śmiercią w listopadzie 1869 roku. W roku 1862 powrócił on z emigracji „na paryskim bruku” i osiadł w Krakowie. Jego syn Stanisław uzyskał zgodę cara Aleksandra II na wykup swoich dóbr rodzinnych oprócz Ujazdu i Tomaszowa, które przeszły na własność rządową. Kiedy w roku 1870 Józef Chmielowski opuszczał podupadły Ujazd, liczył on tylko 79 parterowych domków i 1190 mieszkańców, z czego 764 stanowiła ludność żydowska. Do szkoły elementarnej uczęszczało coraz mniej dzieci polskich, a kiedy zarządono naukę wszystkich przedmiotów po rosyjsku, rodzina Chmielowskich zdecydowała się na opuszczenie tej miejscowości. Na nic zdały się prósy i nalegania brata Józefa księdza Franciszka Chmielowskiego, który zawsze wspierał swoich krewniaków i żył się z nimi. On także jednak utracił

sporo, gdyż parafia została pozbawiona przez zaborcę wielu przywilejów. Parafia miała grunty, place w mieście, korzystała z dziesięciny i świadczeń w naturze. Wszystkie te źródła utrzymania parafii i proboszcza były stopniowo likwidowane przez władze rosyjskie. W 1964 roku skonfiskowano ostatecznie wszelkie dobra kościelne pozostawiając jedynie sześć mórg ziemi. Od tej chwili proboszcz miał otrzymywać stałą pensję w wysokości 300 rubli rocznie. Ksiądz Franciszek był w tym czasie zaangażowany w remont kościoła, budował też kaplicę cmentarną, która trwała od roku 1820. Powstała ona w miejscu starego kościoła drewnianego, kiedy proboszczem był ks. Baranowski. Franciszkowi, mimo znacznego pogorszenia sytuacji materialnej parafii Ujazd, przypadło zakończenie tej budowy, co nastąpiło w roku 1874. Pensja wypłacana przez zaborcę proboszczowi parafii, którą musiał się jeszcze dzielić z wikarym, była marną rekompensatą utraconego w latach 1864-68 majątku. Przypomnijmy, że oprócz kilkudziesięciu mórg ziemi proboszcz miał wiele zabudowań gospodarczych w skład, których wchodziły 3 stodoły, kuźnia, stajnia na 10 koni, obora na 20 sztuk bydła, owczarnia na 110 owiec, chlew, piwnica, spichlerz, drwalnia i szopa. Istniał też oddzielny budynek dla obsługi gospodarczej, w którym mieszkało 2. parobków, 2. dziewczyny służebne, kucharki i pastuch. Wielki sad i ogrody warzywne dostarczały swoje produkty na plebanię, starczało także na sprzedaż nadwyżek. Wszystko to zniknęło w latach sześćdziesiątych i było rozprzedawane przez carskich czynowników za bezcen. Wielkie łąpówki łądowały w ich kieszeniach, a parafia utraciła niemal wszystkie źródła utrzymania. Kiedy zatem budowa kaplicy cmentarnej została ukończona ksiądz Franciszek Chmielowski opuścił parafię przekazując ją ks. Nestorowi Wachowskiemu.

Ubożał też Józef Chmielowski, gdyż jego dochody nie rosły, a za to powiększała się rodzina. Pierwsza na świat przyszła Zofia urodzona w styczniu 1861 roku. Jej ojciec pragnął, aby była mądra, kształciła się i w przyszłości została nauczycielką lub guwernantką. Dlatego nadał jej imię symbolizujące mądrość. Dziewczynka była bardzo drobna i niestety chorowita, a wizyty lekarza kosztowały. Coraz mniej dzieci uczęszczało do szkoły prowadzonej przez Józefa, omijały ją bowiem dzieci żydowskie, których liczba stale rosła. W Ujeździe mieszkało też ponad 200 osób wyznania protestanckiego, ale ich dzieci uczęszczały do szkoły. Nie przynosili natomiast dochodu parafii, gdyż mieli własny zbór oraz parafię w pobliskim Tomaszowie.

10 lutego 1863 przyszła na świat kolejna córka Józefa i Felicjanny. W kraju wrzało powstanie, zbrojne watahy grasowały na drogach, czasy były niebezpieczne. Szczęśliwy ojciec czekał tydzień i 17 lutego udał się do kościoła, gdzie proboszczem był jego brat Franciszek. Za świadków miał swoich znajomych tj. Bartłomieja Olczyka oraz Karola Plebanka. Nie wyszło jednak z rodzicami chrzestnymi, gdyż po prostu zabrakło chętnych. Miejscowa ludność była w 65% pochodzenia żydowskiego i zajmowała się głównie handlem i prowadzeniem szynków. Polacy stanowili mniejszość, byli to w większości rzemieślnicy lub urzędnicy. W tej trudnej sytuacji chrzestnymi zostali dwaj duchowni. A więc sam proboszcz, brat Józefa oraz ksiądz Jan Jasionowski, który administrował dobrami parafii. Kodeks prawa kanonicznego nie zabrania księdzu wystąpienia w tej roli, ale musi on mieć zgodę biskupa. Nie wiemy, czy taką zgodę obaj kapłani uzyskali. Świadkiem chrztu mógł być nie katolik, ale ochrzczony, co wykluczało Żydów, a promowało protestantów i prawosławnych. Dziewczynka otrzymała imiona Eufrozyna Władysława, co potwierdza upodobanie Józefa do mitologii greckiej. Eufrozyna była bowiem jedną z mitologicznych Gracji, bogiń wdzięku i radości. Była też święta Eufrozyna Egipcjanka z V wieku n.e., o czym z pewnością wiedział brat Józefa. Kiedy dziewczynka dorośnie nie będzie jednak używała tego imienia, poznamy ją wyłącznie, jako Władysławę i gdyby nie odszukany akt chrztu, nigdy nie usłyszelibyśmy tego pięknego imienia.

W domu państwa Chmielowskich były już dwie córeczki, 2. letnia Zosia i maleńka Władzia. Felicja nie radziła sobie najlepiej z opieką nad maleństwami, obciążały ją też liczne obowiązki domowe, a także uprawa działki należącej nauczycielowi, hodowla kur, kaczek i kóz. Do pomocy przyjechała, więc ze stolicy jej siostra Paulina Władysława Unierzyska, którą pamiętamy z krótkotrwałego małżeństwa z porucznikiem żandarmerii. Traf chciał, że i ona używała na codzień swojego drugiego imienia uważając je za bardziej polskie, niż to nadane na chrzcie. Matka wołała na nią pieszczotliwie Olinka, ale gdy dorosła wybrała swoje drugie imię. Ciocia Władzia miała dzieci, ale nie dożyły one dorosłości. Za to całym sercem pokochała dzieci swej siostry i będzie się nimi opiekowała przez długie lata. Na najmłodszą wołała Fruzia, starsza zaś to była jej słodka Zosieńka. Pomoc starszej siostry bardzo się Felicji przydała, a dziewczynki uwielbiały ciocię Władzię. Nie zamieszkała ona na stałe w Ujeździe, nadal miała swoje mieszkanie w Warszawie i skromną rentę po zmarłym poruczniku. Przyjeżdżała do Ujazdu koleją warszawsko-wiedeńską kilka razy w roku i pozostawała u Chmielowskich przez okres około miesiąca. Była od czterech lat wdową, a że zmarły mąż miał niski stopień oficerski, jej renta ledwo starczała na życie. U siostry miała wyżywienie za darmo, niczego na stole nie brakowało, gdyż w razie potrzeby wspierał ich brat Józefa, miejscowy proboszcz. Dzięki temu Unierzyska mogła co nieco ze swojej renty wdowiej zaoszczędzić. Wspominała często, jak jej zmarły mąż, młody wówczas podporucznik żandarmerii ucieszył się, kiedy doszły ich wieści, że z okazji wizyty cara otrzymają gratyfikacje pieniężne. Rozczarowanie było wielkie, gdy okazało się, że jako młody oficer otrzyma ledwo 50 kopiejek! Donosił o tym fakcie „Kurjer Warszawski z 2 lipca 1852 roku. Nie wiemy, jaką premię otrzymał dowódca dywizjonu żandarmerii pułkownik Rudzewicz. Z pewnością nie była ona liczona w kopiejkach, a w rublach srebrnych.

Józef Chmielowski marzył o synu, który miał otrzymać jego imię i stać się jego następcą. Los jednak spletał mu figła, gdyż w marcu 1866 roku na świat przyszła kolejna córka. Nieco opóźniony „z winy ojca” chrzest odbył się 2 kwietnia, a świadkami jego byli: Roman Wysocki, urzędnik z Rawy oraz znany już nam Bartłomiej Olczyk, który był ławnikiem miasta Ujazd. Dziewczynka otrzymała jedno imię Józefa, a jej rodzicami chrzestnymi zostali: wójt gminy Łazisko Jan Niklewicz oraz Józefa Wysocka, przypuszczalnie żona Romana Wysockiego. Felicja miała wówczas 26 lat, a jej mąż 43 lata. Pensja nauczyciela szkoły elementarnej nie starczała już na utrzymanie powiększającej się rodziny i dlatego Józef z chęcią przyjął propozycję swego brata podpisując umowę dzierżawną dóbr należących do probostwa. W tym czasie majątek ten był jeszcze spory i Józef, który nie zrezygnował z funkcji nauczyciela, miał teraz bardzo mało wolnego czasu. Szkoła nie absorbowała go zbyt, mało kto kończył 3 klasy, a uczniów było coraz mniej. Nie bez znaczenia była jednak pensja oraz świadczenia w naturze, które Chmielowski otrzymywał. Obejmowały one m.in. 3 garnce żyta i tyleż jęczmienia i gryki tatarskiej, 2 korce i 2 garnce grochu oraz 5 korcy kartofli. Szkoła przeżywała swój okres schyłkowy i wkrótce po pozbawieniu Ujazdu praw miejskich i ona zostanie zlikwidowana. Coraz ostrzejszy kurs na rusyfikację szkolnictwa ostatecznie zniechęcił Józefa do zawodu nauczyciela.

W końcu w lutym 1869 roku, a więc w tym feralnym dla Ujazdu roku, w którym utraci prawa miejskie, przychodzi na świat upragniony syn Józefa i Felicji. Otrzymał on na chrzcie imiona Juliusz Bogumił, a świadkiem był ostatni burmistrz Ujazdu Jan Sierżputowski wraz z Leonem Patkiem, posiadaczem ziemskim. Ten ostatni należał do szlachty i pieczętował się herbem Prawdzic. Chrzest celebrował ksiądz Nestor Wachowski, wikariusz parafii Ujazd. Kiedy proboszcz Chmielowski opuści parafię w roku 1874, ksiądz Wachowski zostanie jej proboszczem, a w roku 1887 obejmie probostwo w Izdebnie. W tym czasie ksiądz Franciszek Chmielowski będzie już cenzorem diecezjalnym, daty jego śmierci nie ustaliłem. Rodzicami chrzestnymi małego Julka zostali Romuald

Wysocki, sekretarz magistratu gubernialnego w Piotrkowie oraz Bogumiła Patek, z pewnością żona dziedzica Leona Patka. Ten akt chrztu został już spisany w języku rosyjskim, rusyfikacja społeczeństwa nasilała się z roku na rok. Jak później ustaliłem żoną Leona była Anna Jadwiga Szultz, z którą miał syna Józefa Ludwika i córkę Marię Annę.

Ciotka Władzia zobaczyła małego Juliusza w maju tego roku, kiedy to zjechała do Ujazdu z Warszawy pomagać Feli w opiekowaniu się czwórką małych dzieci. Zosia miała już 8 lat i chodziła do szkoły prowadzonej przez ojca, ale Józia i Julek to jeszcze maleństwa, Była jeszcze 6. letnia Fruzia, ulubienica ciotki, choć ta kochała wszystkie dzieci swojej siostry. A dzieci ich najstarszej siostry Józi, żony Ludwika Szletyńskiego, były już dorosłe, najmłodsza Ludwisia miała już lat 16 i kształciła się w warszawskiej pensji dla panienek.

Chrzest małego Julka symbolicznie kończy okres ujazdowski w życiu rodziny Chmielowskich. Miasto w roku 1870 stanie się definitywnie wsią, degradacja dotknie też parafię pozbawioną większości swoich dóbr. Józef Chmielowski jeszcze zarządzał dobrami parafialnymi, ale tak naprawdę był to już tylko jeden niewielki folwark, który nie został objęty sekwestrami urzędników rosyjskich, stanowił bowiem prywatną darowiznę. O ile w parafii Ujazd w roku 1850 odbyło się 75 chrztów, 20 ślubów i 60 pogrzebów, to 20 lat później liczby te spadły więcej, niż o połowę. Franciszek Chmielowski cudem zdobywał fundusze na ukończenie budowy kaplicy cmentarnej i kiedy ten cel osiągnął odszedł z parafii. Józef Chmielowski starał się o posadę na kolei, która w tych latach przeżywała burzliwy rozwój. Dzięki swoim znajomościom oraz koneksjom siostry Felicji z Higinem Liszko, posadę taką dosyć szybko uzyskał. Zaczęło się życie koczownicze, z budowy na budowę, z jednej stacji kolei żelaznej na inny odcinek budowy bądź eksploatacji. Obarczony liczną rodziną Józef podupadł na zdrowiu, nie było go też stać na kształcenie dzieci. A to przecież one miały się w przyszłości stać jedynym oparciem dla starzejących się rodziców.

Zupełnie niespodziewanie okazało się, że los obdarzył Józefa i Felicjanę kolejnym dzieckiem i to synem. Mieczysław Jan Chmielowski urodził się 21 stycznia 1880 r. we wsi (dzisiaj nieistniejącej) Dąbrówce należącej do parafii Tarchomin. Miejscowości te zostały wchłonięte przez Warszawę. Najstarsza Zosia miała już wtedy 19 lat i była żoną Aleksandra Niewiarowicza. Matka (w metryce określana, jako Felicja) liczyła lat 40, a ojciec 56. Z metryki chrztu dowiadujemy się, że Józef pracował w Kolei Przywiślańskiej, jako majster torowy, czyli w tym czasie nadzorował budowę nowych odcinków tej kolei. Występuje tam znany nam już Walerian Wysocki, jako świadek oraz Jan Meliong określany, jako "kolonista" z Tarchomina, drugi świadek. Rodzicami chrzestnymi zostali wspomniany Walerian Wysocki i Władysława Unierzyska. Akt chrztu został podpisany przez obecnych za wyjątkiem niepiśmiennego Jana Melionga. Mógł on być osadnikiem z Rosji bądź z Niemiec, którego Józef poznał w pracy. Nie wiemy nic o dalszych losach Mieczysława, ale raczej nie dożył on wieku dorosłego. Rodzice jego nie posiadali domu i mieszkali w prymitywnych barakowozach przenoszonych w miarę postępu robót torowych. Zimą nie sposób było ich dobrze ogrzać, panowały iście spartańskie warunki.

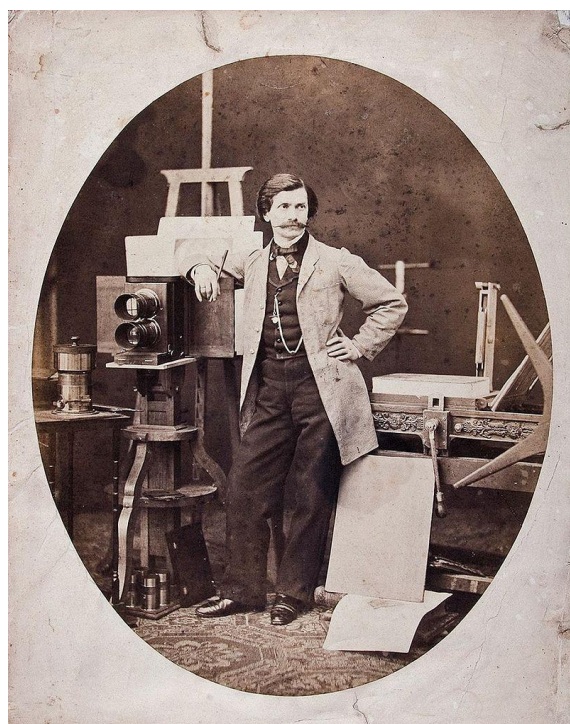
Ponure to były czasy dla ludu polskiego. Wielu duchownych za wspieranie powstania wywieziono na Sybir, klasztory i kościoły zamykano. Oberpolicmajstrem Królestwa Polskiego był polakożerca, oślawiony generał Fiodor Trepow, właściwie od 1867 roku był to już Kraj Przywiślański, gdyż resztki autonomii królestwa zostały zlikwidowane. Najwartościowisi ludzie zginęli w nierównych walkach, tysiące pomaszzerowało na Syberię. Trzeba było żyć w nieporównanie gorszych warunkach, aniżeli za czasów Królestwa Polskiego, obecnie Polska stała się jedną z prowincji cesarstwa Rosji, nauka w szkole miała się odbywać wyłącznie w języku rosyjskim. Polskich urzędników zmuszano do przechodzenia na prawosławie, a w razie odmowy zwalniano z pracy.



22. Fiodor Fiodorowicz Trepow

Rodzina Eborowiczów spotkała się prawie w komplecie z powodu śmierci i pogrzebu Marianny z domu Miller, protoplastki tej rodziny. Zmarła on 16 stycznia 1867 roku o godzinie 10.00, a fakt jej zgonu zgłosił jej syn Mikołaj liczący sobie lat 39 oraz znany nam krewny Andrzej Nastalski. Urodzona w stolicy z początkiem XIX wieku Marianna latem tegoż roku skończyłaby 67 lat. Jednak z aktu urodzenia jej syna Karola Jędrzeja wynika, że mogła być o dwa lata starsza. W chwili śmierci zamieszkiwała przy ulicy Bednarskiej w kamienicy pod numerem hipotecznym 2675. Kilka dni później w parafii św. Antoniego odbył się pogrzeb seniorki, w którym udział wzięły wszystkie żyjące córki oraz synowie Szymona i Marianny. Przyjechał też Józef Chmielowski z żoną, dzieci pozostały w Ujeździe pod opieką wynajętej w tym celu niani. Z lokalnej prasy dowiadujemy się, że w tym samym dniu zmarli w Warszawie: Marianna z Kruszewskich Czaki, żona urzędnika Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, niespełna 2. letni Jasiu Plocer, jedyny syn urzędnika Banku Polskiego, Jan Kraźły, lat 71 mający oraz dr Jan Bęcewicz, znakomity lekarz. Na kolejnym pogrzebie rodzina spotka się jesienią 1869 roku, kiedy to umrze przedwcześnie znany muzyk i kompozytor August Eborowicz. W roku 1868 Karolowi Eborowiczowi urodziła się córka Feliksa Julia, która miała już braciszka Stanisława Jana Niepomucena urodzonego dwa lata wcześniej.

Wizyty w Warszawie były raczej smutne, gdyż ulica Bednarska zmieniła się nie do poznania. Cały górny jej odcinek wyburzono w latach 1865-66. Usprawnienia komunikacyjne były tylko pretekstem, władzom chodziło bowiem o zlikwidowanie wąskich przesmyków, niedostępnych dla szarżujących kozaków tłumiących antyrosyjskie demonstracje, które często w tym rejonie się odbywały. Zburzono kilkadziesiąt domów, w tym cały górny odcinek Bednarskiej wraz z siedmioma starymi kamienicami (nr hip. 371-372 i 2669-2672). Na zniwelowanym terenie założono istniejący do dzisiaj skwer. Poza tym ruchliwa i gwarna niegdyś Bednarska zamieniła się w cichy zaułek, gdyż przestała być ulica dojazdową do mostu z chwilą oddania do użytku mostu stałego. Wielkie wyburzenia odstąpiły uliczkę Dziekanka zabudowaną niewielkimi kamieniczkami, które nie pasowały do reprezentacyjnego Krakowskiego Przedmieścia. Nastąpiła więc szybka wymiana zabudowy, ocalał tylko zgrabny gmach zajazdu „Dziekanka” wzniesiony w 1780 roku. W 1868 roku ukończono piękną kamienicę Maksymiliana Fajansa (2673b), która mieściła wysokiej klasy łaźnię i była ozdobiona licznymi rzeźbami.



Autoportret Maksymiliana Fajansa z 1850

Maksymilian Fajans (ur. 5 maja 1825 w Sieradzu, zm. 28 lipca 1890 w Warszawie) – polski litograf, fotograf i rysownik żydowskiego pochodzenia, właściciel zakładu litograficzno-fotograficznego w Warszawie.

Po kilku latach zabudowano wreszcie narożnik Bednarskiej i Krakowskiego Przedmieścia 3. piętrową kamienicą Efrosów (2673a). Jak pamiętamy w ramach represji po powstaniu władze zlikwidowały klasztor Karmelitów Bosych, gdzie nocował Józef Chmielowski przed swoim ślubem. Zabrano zakonnikom także domy czynszowe przy Bednarskiej. W starej kamienicy (2677) ulokowała się Resursa Rуска, którą po kilku latach zastąpiło Rosyjskie Towarzystwo Dobroczynności. Z rodziny Eborowiczów jedynie Mikołaj oraz Stanisław mieszkali jeszcze przy Bednarskiej i prowadzili tam skład wódek przejęty po zmarłej matce oraz handel hurtowy artykułami spożywczymi. Mikołaj więcej przebywał w swoim dzierzawionym majątku, gdzie wytwarzał alkohole.

Przyszłość rodziny Chmielowskich zależała obecnie od budującej się sieci połączeń kolejowych. Powstawała właśnie Droga Żelazna Nadwiślańska, która połączyła Kowel na Ukrainie i urodzajne w zboża ziemie lubelskie tj. Chełm i Lublin, z ufortyfikowaną linią Wisły. Dalsza trasa prowadziła poprzez Ciechanów i Mławę do granicy Prus Zachodnich. Po stronie pruskiej linia posiadała połączenie z portem morskim w Gdańsku. Łączna długość linii kolejowej z 24. znajdującymi się na niej stacjami, wynosiła 475 km. Szerokotorowa kolej (o standardzie rosyjskim) przebiegała wzdłuż przypuszczalnej linii frontu i łączyła ze sobą najważniejsze twierdze rosyjskie na terenie Królestwa Polskiego: Warszawę, Nowogiejorgijewsk (Modlin) i Iwanogród (Dęblin). Pozwalało to na szybki transport wojska, amunicji i sprzętu. Kolej Nadwiślańska była więc być obiektem o wyjątkowo ważnym znaczeniu strategicznym. Budowę linii kolejowej rozpoczęto w końcu 1874 roku. W rekordowym czasie trzech lat, 24 lipca 1877 roku, zakończono prace budowlane.

Istniejąca wcześniej kolej warszawsko-wiedeńska zatrudniała wielu Polaków, którzy masowo brali udział w powstaniu styczniowym. To spowodowało wielką czystkę i za zgodą namiestnika Królestwa Berga, zresztą z pochodzenia Niemca, na większość stanowisk sprowadzono z Prus urzędników i inżynierów niemieckich. Dla Polaków nie było pracy, zresztą wszystkie instrukcje i regulaminy służbowe wydawano po niemiecku. Niemcy też doprowadzili tę kolej do ruiny wypłacając sobie hojne dywidendy. Uratował ją genialny biznesmen, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, Leopold Kronenberg. Ten bankier, przemysłowiec i wizjoner wykupił w roku 1872 akcje obu dróg żelaznych: Wiedeńskiej i Bydgoskiej i położył tym samym kres rządowi niemieckim oraz tajnego radcy rosyjskiego Krusego. Następuje odniemczenie kolei, do pracy na najważniejszych stanowiskach wracają Polacy. Naczelnikiem Transportów został W. Grabowski, który odegra ważną rolę w naszej rodzinnej historii. Do kraju wracali powoli zesłańcy i oni także mogli liczyć na sezonowe zatrudnienie przy budowie, chociażby na najniższych stanowiskach robotniczych

Józef Chmielowski zaczął pracę na kolei w roku 1873, kiedy ostatecznie zlikwidował swoje sprawy w Ujeździe. W nowej pracy mógł czasem liczyć na lepsze lub gorsze mieszkanie, co było ważne przy jego licznej rodzinie. Pierwszą pracę otrzymał przy budowie linii Brześć –Grajewo, a potem Brześć–Równe. Wiosną 1875 roku Józef trafia do Pomiechowa na budowę kolei Nadwiślańskiej. W tym samym czasie z Kiwerc na Ukrainie przyjeżdża do Warszawy młody Aleksander Niewiarowicz. Pochował tam przedwcześnie zmarłego ojca i pracował przez kilka miesięcy na miejscowej stacji kolejowej, jako pomocnik zawiadowcy. W Warszawie Aleksander zatrzymał się u rodziny i zaczął rozglądać się za pracą. Po kilku dniach dowiedział się, że inż. Mosin, znany mu wcześniej z kolei odesskiej, kieruje pracami w Nowym Dworze. Ten niezwłocznie zatrudnił znanego mu wcześniej młodzieńca i skierował go na budowę do Pomiechowa. Była to duża wieś położona na prawym brzegu Wkry, niedaleko twierdzy modlińskiej. W ramach represji po powstaniu styczniowym władze rosyjskie wysiedliły kilka okolicznych wsi osiedlając tam kolonistów z głębi Rosji, a także osadników niemieckich. W okolicy ważnej twierdzy, którą w tym czasie intensywnie rozbudowywano, nie mogło być przewagi buntowniczego żywiołu polskiego. W samym Pomiechowie i w nowych wsiach z ludnością prawosławną, pobudowano cerkwie i ewangelickie domu modlitwy. Aleksander określał Pomiechowo, jako „śliczną miejscowość, równą każdemu miasteczku”. Dostał zakwaterowanie w koszarce oraz 70 rubli wynagrodzenia, co w tym okresie w pełni go satysfakcjonowało. Pensję swoją głównie przegrywał w karty z kolegami, ale jako kawaler nie martwił się tym zbyt. Zaczynał jednak powoli myśleć o małżeństwie i o bardziej regularnym trybie życia. W miejscowym kościele dostrzegł śliczną blondynkę, którą po mszy śledził i dowiedział się, że jest to panna Waleria Karpińska mieszkająca przy rodzicach. Poznaje ją, trwa okres narzeczeństwa, ale kiedy przyszło do ustalenia daty ślubu uczucia Aleksandra gwałtownie wygasły.

Pewnego majowego dnia Aleksander nadzorował budowę mostu kolejowego przez Wkrę. Zauważył tam postawnego mężczyznę o „*postawie staropolskiej*” z wąsami i faworytami lat około 50. Tyle też

liczył sobie obecny tam Józef Chmielowski, który wraz z rodziną wynajmował mały domek w Pomiechowie i pracował na tym samym odcinku budowy, co Aleksander. Szła za nim legenda, że był posiadaczem ziemskim, ale za udział w powstaniu stracił majątek, co jak wiemy nie było prawdą. Wiadomo też było, że ma dorastającą córkę oraz dwie mniejsze dziewczynki i synka. Aleksander nie miał jednak żadnej okazji, aby ich widywać. Dopiero po kilku tygodniach spotkał przypadkowo spacerującą z matką i siostrą Zosię. Nie zrobiła na nim początkowo żadnego wrażenia. Była bardzo drobną, młodziutką brunetką o dużych oczach, zawsze uśmiechniętą. A on w tym czasie sypiał z dorodną blondynką Walercią i uzgadniali właśnie datę ślubu. Zosia przy narzeczonej Aleksandra, to było jeszcze dziecko. Poza tym cała wieś wiedziała o romansie Aleksandra, siłą rzeczy także Zosia, więc jakże mógłby on do niej smalić cholewki?

Pewnego dnia w czasie przerwy śniadaniowej Józef zaczął narzekać na wysokie koszty, jakie ponosi wynajmując domek dla swojej licznej rodziny. Aleksander zaproponował mu przeniesienie się z rodziną do baraku, który on samotnie zajmował, a były tam 3 pokoje i mała kuchnia. Jemu, jako kawalerowi, w zupełności wystarczy jeden pokój, zapewniał starszego pana. I tak się też stało, po kilku dniach wszyscy zamieszkali razem. Ściany tego baraczkę były cienkie, a coraz bardziej zakochany w Zosi Aleksander upajał się myślą, że jej łóżko stoi oddzielone tylko byle sklejką od jego miejsca do spania. Tak blisko, że mógł nawet słyszeć jej oddech, nie mówiąc o rozmowach toczonych przez rodzinę Chmielowskich wieczorami. Wkrótce zaczęli je spędzać razem grając do późna w jerełasza. Była to odmiana popularnego w owych czasach preferansa czy wista, którą z czasem zastąpił brydż. Gra wymagała 4. osób, a więc do stołu siadali Chmielowski z Felicją oraz Aleksander z Zosią. I tak biegły tygodnie poświęcone pracy i wieczory w gronie rodzinnym. Aleksander zdecydowanie zerwał z Walercią, co ta blondynka przyjęła za zrozumieniem, nie brakowało jej bowiem innych pretendentów do małżeństwa. Teraz był już pewny, że kocha Zosię i z nią pragnie spędzić resztę życia. Tylko jak jej to powiedzieć? Ta myśl dręczyła go przez kilka tygodni, aż wreszcie postanowił napisać list. Było to czułe wyznanie miłości, ale nie powierzono go urzędowi pocztowemu. Przecież Zosieńka mieszkała tak blisko, list doniosła zatem służąca. Odpowiedzi żadnej nie było, trzeba było porozmawiać osobiście. Aleksander wyczekał na moment, aż Zosia była sama w ogródku przy ich mieszkalnym baraku. Podszedł do niej, uściskał rączkę i zapytał.

- Zosieńko droga, czy dostałaś może mój list?

-Tak, mój panie. I bardzo mnie on zadziwił

-A to niby dlaczego? Spać nocami nie mogę, myślę bez przerwy o nas i czekam na miłą sercu memu zgodę.

-Odpowiedzi żadnej, ani też zgody nie będzie-padła twarda odpowiedź.

-Zostaw mi panna, chociaż nadzieję na przyszłość!

-Nie miej pan żadnej nadziei- po tych słowach Zosia odwróciła się na pięcie i wbiegła do baraku. Słowa te były ciosem dla młodzieńca, ale nadziei całkiem nie stracił. Liczył, że będąc blisko każdego dnia po pracy, a także spędzając z Zosią i jej rodziną dni wolne pozyska w końcu jej względy. Czekać musiał kilka miesięcy, aż wreszcie będąc z całą rodziną na spacerze znalazł okazję, aby pozostać sam na sam z Zosią. Złapał ją wtedy za rękę i przycisnął do swojej piersi.

-Posłuchaj Zofio, jak bije serce moje- wykrzyknął-ono bije gorącą miłością do ciebie! Chcę być twoim sługą, niewolnikiem i wiernym mężem. Zofio, nikt nie potrafi kochać tak czystą i gorącą miłością, jak ta dusza moja!

Zosia, spłoniona i przejęta, słuchała tego wyznania z cichą radością w sercu. Ona też, kiedy tylko bliżej poznała Aleksandra, zrozumiała, że resztę życia chce spędzić właśnie z nim.

-Aleksandrze, ja cię kocham, ja chcę być twoją-wyszeptła. Poczynam przycisnąć się mocno do jego boku, uniosła oczy ku górze i rzekła cicho -Aleksandrze, stosownie do twoich zamiarów zgadzam się i owszem.

Powiadomieni rodzice oświadczyny Aleksandra przyjęli z chęcią, gdyż był to pracowity i sympatyczny młody człowiek, choć bez majątku i rodziny. Uzgodniono, że ze ślubem poczekają do ukończenia budowy linii kolejowej, gdyż wówczas pracujący tam personel nadzorczy mógł liczyć na stałe posady na nowych stacjach tej linii. Naczelnikami stacji zostawali przeważnie Rosjanie, ale na pozostałych stanowiskach zatrudniano Polaków. Józef Chmielowski dostał pracę na stacji w Płudach niedaleko Warszawy. W tym czasie była to miejscowość letniskowa dla bogatszych mieszkańców stolicy, którzy mieli tam swoje domki letnie. 24 czerwca 1877 roku przyszedł wagon po meble i inne rzeczy Chmielowskich, pakował je Aleksander, gdyż Józef był już w Płudach. Czułe pożegnał się z Zosią nie wiedząc, kiedy ją znowu zobaczy.

Niestety Aleksander nie dostał początkowo posady na linii kolei nadwiślańskiej, ale interwencja niezawodnego Mosina znowu pomogła. Aleksander otrzymał nominację na dozorcę na stacji Gąsocin, w końcu lipca przysłał wagon po jego rzeczy, a już 1 sierpnia objął posadę dozorcę na tej stacji, czyli zawiadowcy odcinka torowego. Głównym zawiadowcą Gąsocina był Rosjanin Konstanty Podwierbny żonaty z Polką Olgą i to on został przełożonym Aleksandra.



Konstanty Podwierbny w 1902 r.

Portret ten ukazał się w "Kurierze Porannym" z 31.08.1902 w artykule z okazji 25. lecia Kolei Nadwiślańskiej. Z tego artykułu dowiadujemy się, że Podwierbny pracował wcześniej na Kolei Terespolskiej, a potem dostał właśnie Gąsocin, gdzie pełnił służbę do roku 1886. Potem pracował na stacjach Chełm oraz Warszawa - Praga. W 1902 był rewizorem służby ruchu. Dziwnym trafem możemy podziwiać zdjęcie żony zawiadowcy Olgi i jego samego. Zawdzięczam je prawnukowi Podwierbnych Michaiłowi zamieszkałemu w Moskwie.

Dozorcy torów przysługiwało służbowe mieszkanie na stacji, a także miał prawo do działki, która mógł uprawiać zboża czy warzywa na własne potrzeby oraz hodować drób i trzodę. Urządzenie mieszkania, a także obowiązki służbowe sprawiły, że Aleksander mógł odwiedzić swoją narzeczoną w Płudach dopiero 20 września. Kolejny swój przyjazd zapowiedział Aleksander na 1 listopada, kiedy to miała zostać ustalona data ślubu. Po powrocie do pracy Aleksander zakupił garnitur ślubny, wstawił do mieszkania nowe meble i fortepian. Podjął też starania o aktualną metrykę chrztu, a potem odwiedził parafię w Tarchominie, gdzie zapłacił za zapowiedzi i uzgodnił datę ślubu na 12 lutego 1878 roku. Wszystko było związane na ostatni guzik.

Do spowiedzi przedślubnej udał się Aleksander do kościoła w Nowym Mieście na jeden dzień przed wyznaczonym terminem ślubu. Po powrocie nakazał służącej, aby o 21.30 pozapalała wszystkie światła w jego mieszkaniu, tudzież latarnię na ganku, gdyż około 22.00 miał tam powrócić z nowo poślubioną żoną.

12 lutego Aleksander był u Zosi i trwało czekanie na gości oraz na świadków. Kiedy wszyscy się zebrali o godzinie 14.00, cały orszak wyruszył saniami do kościoła. Dzień był mroźny, leżało dużo śniegu, ale nie wiał nawet najmniejszy wiatr. Świadkiem ślubu był kolega Aleksandra z pracy Walerian Wysocki, a także Eliza Ceputeszowa, znajoma pana młodego z Pomiechowa. Wiemy o niej tylko tyle, że pracowała, jako urzędniczka w twierdzy Modlin i razem z Aleksandrem była na weselu byłej jego narzeczonej Walerci Karpińskiej z którą, jak pamiętamy, rozstał się w zgodzie.

Na tym pamiętnym dla następnych pokoleń ślubie spotykamy postacie znane z wcześniejszych kart tej książeczki. Jest Konstancja Liszko, siostra Felicji, żona samego naczelnego inżyniera dystansu kolei żelaznej Higinia Liszko oraz dwie młodsze siostry Zosi: Władzia i Józia z najmłodszym bratem Julkiem. Była też wdowa Władzia Unierzyska, ciotka Zosi oraz dwóch jej stryjecznych braci Romek i Walery Chmielowscy, których wcześniej nie znaliśmy. Ze strony Aleksandra nie pojawił się nikt, gdyż jego siostra mieszkała na Litwie, a kuzyni w guberni czernihowskiej w powiecie konotopskim na Ukrainie. Razem na weselu w Płudach do 3. nad ranem bawiło się 18 osób, ale pamiętajmy, że Julek miał niespełna 10 lat, a były też dwie córeczki wujenki, także małoletnie. Po odespaniu wesela zaczęło się pakowanie garderoby Zosi i jej panieńskich drobiazgów. Był czas na pożegnanie rodziców i rodzeństwa, były łzy i uściski bez końca. W końcu sanie ruszyły na stację Jabłonna, skąd o 19.00 odchodził pociąg do Gąsocina. Zakochana para złączyła usta, a pocałunki przerywały tylko gorączkowo układane plany na przyszłość. Droga do stacji w tęgim mrozie szybko minęła, tam trzeba szybko nadać spory bagaż i kupić bilety, gdyż zostało niespełna pół godziny do przyjazdu pociągu. Korzystając z przywilejów kolejarza nowożeńcy zajęli wydzielony przedział II klasy i ruszyli do stacji Gąsocin w podróż trwającą około 2 i pół godziny.



23. Zabytkowa stacja kolejowa Gąsocin po renowacji

Na stacji czekał już komitet powitalny złożony z kolegów pana młodego, czekały też konie, choć do baraku zajmowanego przez Aleksandra było zaledwie 200 metrów. Po kilku minutach nowożeńcy byli już w swoim 3. pokojowym mieszkaniu, gruntownie wysprzątanym, podłogi wyfroterowane na wysoki połysk, pokoje pełne nowych mebli, wielki nowy dywan ciągnący się przez wszystkie pokoje. U progu powitała ich pani Olga Podwierbna, żona naczelnika stacji, tradycyjnie po polsku, czyli chlebem i solą. A potem usiadła do fortepianu i zagrała marsza Mendelsohna nie żałując klawiszy nowego instrumentu.



24. Olga Podwierbna

Przydreptała też starszuszka służąca, aby przywitać nową panią w jej nowym domu. Wzniesiono toast winem i w końcu młodzi zostali sami. Tu musimy pamiętać, że w tamtych czasach nie istniało żadne uświadamianie seksualne młodych dziewcząt. Nasza niespełna 17. letnia Zosia niewiele się o tym dowiedziała od swojej matki Felicji poza tym, że ma być mężowi posłuszna. Nie miała zatem pojęcia o najprostszych kwestiach swojej kobiecości oraz o tajemnicy nocy poślubnej. Wszystko to wyłożył jej Aleksander tego wieczoru wprawiając dziewczynę w niemałe pomieszenie. Aż wreszcie małżonkowie połączyli się w tej jednej chwili rozkoszy i bólu. Nazajutrz czekało ich zwyczajne, codzienne życie. Aleksander przekazał Zosi klucze od spiżarni, oprowadził ją po swoim małym gospodarstwie i wydawało się, iż będą żyli spokojnie, w miarę dostatnio. Pensja dozorca torowego wynosiła blisko 1.000 rubli rocznie, był kawałek ziemi, kury, owoce i warzywa z własnego ogródka. Los jednak szykował dla młodych małżonków straszliwy i niespodziany cios. Na razie jednak para złożyła kilka wizyt u sąsiadów i kolegów i urządzili wieczorek tańczący na 20 osób. Zabawa trwała do białego rana, tańczono mazura, poloneza i wesołe polki pod akompaniament fortepianu. Stacja kolejowa Gąsocin leży na trasie z Warszawy do Ciechanowa i w owym czasie zatrudniała wielu kolejarzy i personelu pomocniczego. Powstało tam nawet w XIX wieku małe osiedle domków kolejarskich, które zapoczątkowało rozwój tej miejscowości. Sam drewniany budynek stacyjny zbudowany w roku 1877 był naprawdę imponujący. Zaprojektowano go w stylu typowej architektury rosyjskiej, a więc wyglądał ciekawie w krajobrazie Mazowsza. Na tyle, że zaczął przyciągać uwagę ludzi. Wieść rozeszła się tak daleko, że wielu sławnych ludzi polskiej literatury jak: Bolesław Prus, Maria Dąbrowska, Stefan Żeromski, Henryk Sienkiewicz, przyjeżdżało do Gąsocina

aby obejrzeć wytworną jak na owe czasy budowlę. Stacja ta miała bocznicę towarową, co powodowało, że była ważnym punktem przeładunkowym. Z różnych dokumentów wynika, że mogło tam pracować blisko 50 ludzi. Sama ekipa utrzymania torów, która kierował Aleksander zatrudniała kilkanaście osób. Naczelnikiem stacji był Konstanty Podwierbny i wbrew pozorom nie był to Rosjanin. Jego babka, Konstancja z Butkiewiczów, wyszła za mąż za Rosjanina w roku 1830, stąd nazwisko, ale ich dzieci były wychowane w tradycji polskiej. Także żona naczelnika Olga była Polką i pochodziła z rodziny zesłanej na Syberię. Tam też wyszła za mąż za bogatego kupca, Rosjanina i przeszła z tego powodu na prawosławie. Małżeństwo to nie było udane i Olga uciekła do Polski, gdzie wyszła za mąż po raz drugi za Konstantego. Mieli dwóch synów, jeden z nich w okresie zawirowań historycznych wybrał Rosję, a drugi wolał zostać Polakiem. Wiele było takich dylematów, także w rodzinie Niewiarowiczów. Do dzisiaj żyją w Rosji ich potomkowie, którzy przy pomocy Internetu nawiązują kontakty ze swoją linią polską. Niedawno odkryłem akt zgonu Konstancji Podwierbnej (391/1853) zmarłej w Warszawie, ale stale zamieszkałej w Łomży. Miała lat 46 tzn., że urodziła się w r. 1807. Jej mąż Eustachy Podwierbny (radca kollegialny) żył jeszcze, a ich syn Konstanty najpewniej otrzymał imię po matce.

Na stacji w Gąsoccinie znajdował się bufet prowadzony przez Władysława Święteckiego, który naturalnie kolejarzem nie był, ale można go zaliczyć do pracowników stacji. Sam naczelnik oprócz zastępcy miał także swego pomocnika, który nazywał się Franciszek Gibiński. Wiemy też, że zwrotniczym na tej stacji był Wojciech Dumański. Pracowało tam też spore grono służących, sam Aleksander zatrudniał staruszkę, której nazwisko nie zachowało się niestety. Znamy za to Adama Tyszkiewicza, który był służącym samego naczelnika stacji. I na końcu mamy żandarma stacyjnego, który dbał o bezpieczeństwo i porządek na kolei i miał swój posterunek na tej stacji. Na większych stacjach kolejowych pracowało od 2-6 żandarmów stacyjnych.

Niestety we wrześniu Zosia poważnie zachorowała, lekarz kolejowy odwiedzał ją często, ale żadnej poprawy nie było. Trzeba było poszukać innego lekarza w Warszawie, ten ulżył cierpieniom chorej i jej zdrowie z wolna zaczęło się poprawiać. Wtedy nadszedł cios straszny, gdyż Aleksander prawie z dnia na dzień stracił pracę i został wyrzucony na bruk. Jego pomocnik fałszywie doniósł naczelnikowi odcinka, że jego szef sprzedał na boku drewno będące własnością kolei. Tłumaczenia nie zostały przyjęte, ów naczelnik okazał się być zaciętym wrogiem Aleksandra i tylko czekał na pretekst, aby się go pozbyć. Pierwszego dnia grudnia wręczono mu dymisję i musiał opuścić Gąsoccin. Udali się do rodziny Zosi, ale Chmielowski miał jedynie 40 mizernych rubli pensji miesięcznie, a na utrzymaniu żonę i trójkę dzieci. Aleksander miał do spłaty długi zaciągnięte na swój ślub, więc sytuacja finansowa rodziny stała się naprawdę tragiczna. I oto 23 stycznia 1879 roku okazało się, że w łonie matki jest dziecko, owoc wielkiej miłości, ale też i troski, gdyż rodzina nie mogła się utrzymać z braku pracy. Dopiero 10 kwietnia zaświtała nadzieje na pracę, gdy do teścia przyjechał jego znajomy pan Rogozin. On też powiedział Aleksandrowi, że jest wakat na stacji w pobliżu Puław. Znajomy inżynier Uszyński napisał list polecający Aleksandrowi i ten następnego dnia pojechał do Lublina, gdzie przenocował w hotelu kolejowym. Posada się znalazła, choć była to degradacja w kolejowej karierze Aleksandra, gdyż został ledwie brygadzystą robót torowych na małej, zagubionej w lasach stacyjce Gołąb. Zawiadowca był kawalerem, a dozorca torowy mieszkał razem z żoną i to jemu obecnie podlegał Aleksander. Pensja 20 rubli miesięcznie była głodowa i nie starczało na życie, nie mówiąc o kupnie czegokolwiek do ubrania. Mieszkali w malutkim pokoiku na piętrze, a kuchnia była na parterze. Praca od rana do późnego wieczora, Zosia na całe dni zostawała sama nie mając, do kogo ust otworzyć. Nadszedł dzień 9 września, Aleksander wrócił o 19.00 z pracy, siedzieli z Zosią rozmawiając i pijąc herbatę, kiedy nagle zaczęły się bóle porodowe. Mąż szybko wskoczył do drezwiny i popędził do Puław po akuszerkę. Zdążył w ostatniej chwili, doświadczona położna pani Cechner odebrała zdrowe dziecko płci męskiej o 2.50 w nocy. Tego

samego dnia dziecko było chrzczone, gdyż obawiano się, czy chłopczyk przeżyje. Otrzymał on imię Wacław, matką chrzestną została żona dozorczy Michalina Puchalska, a ojcem miał być pisarz gminny Bochiński, ale nie można go było odszukać. W tej nagłej potrzebie ciężar ten wziął na siebie ksiądz wikary parafii gołębskiej Franciszek Dyka.

Chłopczyk rósł jednak krępy i zdrowy, rodzina zajęła większe mieszkanie na piętrze i tak doczekali wigilii 1879 roku. W odwiedzinę przyjechała siostra Zosi Władzia i razem siedli do kolacji o 5.30 po południu, razem z nimi Wacuś, którego ojciec trzymał cały czas na kolanach.

Ale już twarda rzeczywistość pukała do drzwi, nie sposób było wyżyć za 20 rubli miesięcznie rodzinie z małym dzieckiem, więc Zosia wyjechała z nim do swoich rodziców pod Warszawę. Miała szybko wrócić, ale tak się nie stało, gdyż Aleksander nadal cierpiał nędzę i ledwie sam się mógł utrzymać ze swojej głodowej pensji. Odwiedził Zosię i synka dopiero z okazji świąt wielkanocnych 1880 roku, udając się pociągiem do stacji Płudy. A potem nastąpiły znowu długie miesiące przymusowego rozstania. Sytuacja Aleksandra poprawiła się o tyle, że jego zwierzchnik miał niewielkie pojęcie o swojej pracy i całą papierkową robotę składał w jego ręce. Dzięki temu miał on więcej czasu, nie wychodził z ekipą na tory, a siedział na stacji, wyprawiał na polowania, albo grał w preferansa z zawiadowcą w przerwach między ruchem pociągów, a nieraz i w nocy. Żył nadzieją, że jego sytuacja materialna poprawi się na tyle, że będzie mógł znowu sprowadzić Zosię i żyć na przyzwoitym poziomie. A o to nie było łatwo, gdyż 30. listopada 1881 roku przyszedł na świat drugi syn Aleksandra i Zofii, który otrzymał imię Lucjan. W chwili porodu małżonkowie mieszkali już razem w Gołębiu, a Aleksander nadal otrzymywał głodową pensję 20 rubli miesięcznie. Los odmienił się dopiero w marcu 1882 roku, kiedy to Aleksander przeglądał pocztę służbową i trafił na informację o zwalnianej się posadzie dozorczy torowego w Świdniku, na którą został właśnie wyznaczony. Dotychczasowy dozorca Grabowski wskutek opilstwa nie radził sobie z obowiązkami i otrzymał dymisję. Ponad 30 lat spędził on w armii rosyjskiej, która opuścił w stopniu kapitana, ale hulaszczę życie sprawiło, iż wyglądał jak starzec. Na dodatek obarczony był liczną rodziną z pięciorgiem małych dzieci.

Był Aleksander szczęśliwy, że po 3. latach poniewierki odzyskał swoje stanowisko, gdyż jak mało kto znał się na budowie i konserwacji torów i mostów kolejowych. Trwały oczywiście procedury urzędowe i ostateczna decyzja w sprawie nominacji przyszła 5 maja. Mógł więc Aleksander remontować mieszkanie, kupić dwie krowy, aby było mleko dla synków, posadził warzywa w ogrodzie. Kiedy miał już jechać do Zosię do Płudów przyszła inna nominacja, do Jaszczowa, gdyż dozorca tego odcinka pan Wyszomirski niespodziewanie zmarł. Nie mogąc się z Zosią złączyć w zaplanowanym czasie, Aleksander pojechał ją odwiedzić do Płudów. I tu przykra nader niespodzianka, gdyż zastał żonę swoją „w najokropniejszym stanie”. Skrajnie zmęczona, obarczona dwójką dzieci, które trzeba było pilnować i piastować, zmieniła się bardzo. Na tej małej stacyjce nie było poczekalni dla pasażerów i dlatego liczni znajomi byli zapraszani na herbatę do mieszkania Chmielowskich, panował więc tam ciągle ruch i gwar. Na dodatek latem przychodzili tam letnicy wypoczywający w swoich domkach letnich, więc stale w mieszkanku był tłum gości. Nędznie ubrana Zosia z dwójką synków przy spódnicy nie miała tam żadnych warunków do życia, a siostry nie kwapiły, aby jej pomóc przy dzieciach. Wielu ludzi brało ją za służącą bądź za mamkę, co bardzo zabolowało jej męża. Niestety gotowe mieszkanie i gospodarstwo w Świdniku trzeba było pozostawić i urządzać się od nowa w Jaszczowie. W lipcu 1882 roku udało się rodzinę sprowadzić na nowe lokum i zaczęło się zupełnie inne, bardziej dostatnie życie. Dni upływały w szczęściu i zgodzie, zarobki Aleksandra starczały w zupełności na potrzeby rodziny, poza tym uprawiał on spory kawał ziemi i hodował krowy, świnie i drób. Wielkim wydarzeniem w życiu rodziny było przyjście na świat w październiku 1884 roku synka Stefana. Ten okres, kiedy w domu było trzech małych chłopców, ich ojciec dobrze zarabiał, był najszczęśliwszym okresem w życiu rodziny.

W grudniu 1884 roku Aleksander wybrał się do Wilna, aby załatwić sobie przeniesienie do guberni lubelskiej, gdyż nadal był przypisany do miejsca urodzenia tj. wsi Miłejkowo. Tam na świat przyszedł jego ojciec i jego dziad, to była kolebka rodu w XVIII wieku. Wcześniej był nim majątek Niewiary nadany w XV wieku przez Mikołaja Radziwiłła jeszcze starszym przodkom za zasługi w walkach z Rosją. Siedzieli tam Niewiarowicze do roku 1770, kiedy to majątek w nieznanymi okolicznościach utracili i przenieśli się do Miłejkowa. Tam też urodził się ojciec Aleksandra Jan (1818-1874) i jego brat Piotr (1815-?), który zamieszkał potem w Wilnie. Ich ojcem był Szymon Niewiarowicz (1780-?), o którym niewiele wiemy. Aleksander zatrzymał się w Wilnie u swego stryja Piotra, wówczas już ponad 70. Letniego i jego jedynym źródłem utrzymania był wynajem części domku, w którym mieszkał. Jego karek syn Marek, wtedy mający lat 18, został szewcem i z tego czerpał skromne dochody. Niezbędne dokumenty złożył Aleksander w miasteczku Krewa i niespodziewanie szybko, czyli po niespełna roku, uzyskał akt przesiedlenia do Jaszczowa w guberni lubelskiej. Jadąc do Wilna zatrzymał się Aleksander na stacji Koszedary, mniej więcej w połowie drogie między Kownem, a Wilnem. Był tam zatrudniony Antoni Siewruk, mąż jego siostry Anastazji. Było to ostatnie spotkanie rodzeństwa, gdyż Anastazja, chora na gruźlicę, zmarła po kilku miesiącach.

Straszny to był cios dla Aleksandra, gdyż pozostał bez bliższych krewnych, a siostrę bardzo kochał. Pozostało z wdowcem czterech małoletnich synów w wieku od 2 do 12 lat. Ich losów nie udało się do tej pory ustalić. Antoni Siewruk musiał się szybko ponownie ożenić, aby zapewnić im wychowanie i opiekę.

Jest to nazwisko czysto litewskie pochodzące od nazwy regionu. Siewierzanie lub właśnie Siewruki, tak zwano mieszkańców. To drugie określenie podkreślało ludowy charakter jego posiadacza, analogicznie, jak np. Poleszok. Szlachcic byłby już Siewierzaninem lub Siewierzakiem. Większość Siewruków była Polakami i tak właśnie było z Antonim. Gdybyśmy znali imiona jego synków być może udałoby się wyśledzić ich dalsze losy. Czy wrócili do Polski, czy też ulegli rusyfikacji.

Hipotetycznym przodkiem Antoniego mógł być Stefan Siewruk ur. w 1780 r. Miał on syna Ludwika (1806-1853), który został profesorem medycyny w Moskwie. Był też nieznanym z imienia jego syn urodzony w roku 1810, który miał kilku synów, ale z imienia znamy tylko Teofila (1826-1886).

I jeszcze kilka słów o historii ziem siewierskich od dawno spornych między Rosją, a Litwą.

W XI wieku, jako ruskie *Księstwo siewierskie*, od 1320 w Wielkim Księstwie Litewskim, od 1503 okupowana przez Księstwo Moskiewskie. Po rozejmie w Dywilinie w 1619 Siewierszczyzna wróciła do Rzeczypospolitej należąc (północna część) do nowo utworzonego województwa smoleńskiego, a od 1635 (południowa część wraz Czernihowszczyzną) do województwa czernihowskiego. W rozejmie andruszowskim 1667 ziemie te zostały oddane Rosji.

Śmierć Anastazji była to, jak gdyby, zapowiedź pasma nieszczęść i niepowodzeń, gdyż w czerwcu 1885 roku zmarł synek Lucjan, który przeżył ledwo 3,5 roku. Błyskawiczny atak dyfterytu, zwanego wówczas krupami, zakończył krótkie życie tego małego chłopczyka, zmarł męcząc się bardzo, praktycznie uduszony przez chorobę. Na szczęście Wiktor i Stefan chowali się zdrowo i tylko oni pozostali rodzicom.

W tych latach odbyło się w Warszawie wiele pogrzebów krewnych i powinowatych z rodzin Szletyńskich czy Eborowiczów. W zaawansowanym wieku 79 lat zmarł w 25 września 1883 roku emerytowany komisarz policji Ludwik Szletyński. Pozostawił wdowę Józefę z Eborowiczów. Zdążył jeszcze pobłogosławić małżeństwo swego syna Józefa Ludwika z Zofią z Daszewskich zawarte w roku

1880, z którego powstanie współczesna linia tego rodu. Zofia lubiła wesela, więc brała udział w prawie każdym takim święcie rodzinnym. Oczywiście jedynie wtedy, gdy chodziło o ród Eborowiczów. W roku 1881 były aż dwie takie okazje. Zaraz na początku stycznia (wg kalendarza juliańskiego był to jeszcze rok 1880) w kościele św. Aleksandra brał ślub Szymon Antoni Eborowicz, a jego wybranką była Karolina z Górskich. Zofia pojechała na ten ślub, zatrzymała się w Płudach, a potem razem z matką i siostrami uczestniczyła w ceremonii. Z pewnością nie przypuszczała, że prawie 40 lat później weźmie udział w ślubie córki tej pary, na którym po raz ostatni spotka się ze swymi krewnymi z rodziny Eborowiczów. Cudem zachowane zdjęcie z tej uroczystości pozwoli nam spojrzeć w twarze dawno zapomnianych przodków. Na pierwszy rzut oka niewiele było widać z powodu znacznego stopnia zniszczenia starej fotografii wykonanej w sepii. Potem spośród zebranych tam osób rozpoznałem jedynie moją prababkę Zofię zmarłą 16 lat przed moim przyjściem na świat. Kilka lat trwało, zanim można było z dużą pewnością rozpoznać następne osoby. I w ten sposób całkowicie nieznaną przeszłość odstąpiła przed nami swoje długo skrywane tajemnice. Potrzeba jednak zawsze dużo cierpliwości, czasu i odrobiny szczęścia.

Wracając do ślubów to jeszcze w tym samym roku, ale 19 listopada 1881 odbył się w Tomaszowie ślub Juliana Donata Eborowicza z Joanną Bieske, na którym świadkami byli Władysław Tafiłowski oraz dr Ksawery Witkowski. Tomaszów to rodzinne strony Chmielowskich, więc Zofia i jej siostra Władzia pojechały na ten ślub odwiedzając przy okazji Ujazd. Joanna Seweryna miała lat 17, a pan młody 25. Oba te śluby łączy osoba jednego ze świadków Władysława Tafiłowskiego, mieszkańca Warszawy utrzymującego się ze środków własnych. Był to Władysław Maurycy Tafiłowski herbu Awdaniec urodzony w roku 1836 z ojca Franciszka Salezego i matki Magdaleny z Starczewskich. (1807-1891). Przeżył 72 lata, zmarł 17 grudnia 1908 r.

W roku 1868 poślubił on Julię Lipińską z rodziny Karów i to wyjaśnia jego pokrewieństwo i koligację rodzinną. Na ślubie Szymona drugim świadkiem był inżynier Hipolit Cieszkowski (1835-1907), wybitny fachowiec w dziedzinie budowy linii kolejowych oraz mostów. Kierował pracami m.in. przy budowie dróg żelaznych Koluszki-Łódź, Koluszki-Skarżysko Kamienna i Skarżysko Kamienna-Ostrowiec Świętokrzyski, gdzie wybudował 200 mostów metalowych. Żonaty z Marią z Thielów (1838-1883) miał syna Henryka Władysława urodzonego w r. 1865. Dopiero ten akt urodzenia wyjaśnił nam, że Maria z Thielów była wdową i nazywała się Górską, a oboje z Hipolitem Cieszkowskim zamieszkiwali na ulicy Bednarskiej pod nr hip. 2688 A. Trudno więc, aby nie znali się z rodziną Eborowiczów i dlatego obecność inżyniera na tym ślubie absolutnie nie dziwi. Co ciekawe w chwili urodzenia syna Cieszkowski i Maria Górską nie byli formalnie małżeństwem, ojciec mieszkał na Bednarskiej, ale pod nr hip. 2675. Ślub wzięli później, gdyż Cieszkowski właśnie w 1865 roku rozpoczął budowę linii kolejowej łączącej coraz bardziej przemysłową Łódź z koleją warszawsko-wiedeńską na stacji Koluszki. Budowa ta była prowadzona w niezwykłym tempie, gdyż odcinek liczący 27,5 km wybudowano w czasie zaledwie 3 miesięcy, co jest zapewne rekordem nie pobitym do dzisiaj. Inwestorem był Jan Bloch, który obok Leopolda Kronenberga, inwestował w budowę linii kolejowych na terenie Polski i Rosji. To dla niego pracował inż. Cieszkowski, jako główny projektant odpowiedzialny za stronę techniczną budowy. Sprawami organizacyjnymi zajmował się szwagier Blocha Maksymilian Jellinek. Tak więc syn Cieszkowskiego urodził się 13 czerwca, budowę kolei rozpoczęto 1 września, a pod koniec listopada przejechał po niej pierwszy pociąg. A przecież prace projektowe i studyjne trzeba było rozpocząć znacznie wcześniej. Równie błyskawicznie budował inż. Cieszkowski kolej z Dębłina do Skarżyska, ale tam trasa wiodła przez tereny górskie i trudności techniczne były znaczne. Głównym inżynierem tej budowy był Rosjanin Aleksander Izmailow, ale faktycznie pracami kierował Cieszkowski. Budowę rozpoczęto w roku 1882, a już w listopadzie 1884 trasy ruszył tam pierwszy pociąg. Lepiej zrozumiemy problemy Aleksandra Niewiarowicza z pracą,

jeśli podamy, że po ukończeniu omawianej budowy podania złożyło ponad 15 tysięcy chętnych, a przyjęto zaledwie około 2.400 osób.

Nie wiemy, jak długo Hipolit Cieszkowski mieszkał przy ulicy Bednarskiej, ale można przypuszczać, że był to okres w latach 1860-1868, gdyż w spisach z roku 1870 już nie figuruje. Był jednak świadkiem wielkich zmian, jakie w tych właśnie latach zaszły na tej ulicy spowodowanych likwidacją mostu na Wiśle. Zniknęły wszystkie hotele i zajazdy, może lepiej powiedzieć, że się „przebranżowiły”. W dawnym hotelu „Bawarskim” ulokował się dom publiczny. Inny tego rodzaju przybytek funkcjonował pod nr 18. Spis mieszkańców z roku 1870 wymienia 567 osób, ale nie uwzględnia służby domowej, która stanowiła zwykle 20% mieszkańców oraz członków rodzin. Uwzględniając te fakty zaludnienie ulicy oceniono na ok. 3.000 osób. Było mniej rzemieślników, a coraz więcej emerytów i osób utrzymujących się z funduszy własnych. Mieszkał tu jeszcze Karol Eborowicz prowadząc skład wódek, działały drukarnia Orgelbrandta i fabryka organów Leopolda Bromberga. Wymienić też można spory zakład produkujący ramy złożony oraz wytwórnię waty. W latach siedemdziesiątych otwarto winiarnię Koteckiego oraz magazyn mody Celiny Rajzacher. Rodzina Majewskich nadal utrzymywała swój zakład kąpielowy, a łaźienki Ciemskiego przeszły w posiadanie Banzemerów. Egzystowały nadal liczne małe sklepiki, kilka niskiej kategorii restauracji i garkuchni. Ale ogólnie rzecz biorąc czasy świetności tej ulicy przeminęły.

W końcu XIX wieku otwarta została restauracja „Herkulanum” mieszcząca się w suterenie domu Efrosów na rogu Krakowskiego Przedmieścia. U wejścia, po obu stronach drzwi, stały skrzydlate gryfy, a wewnątrz uwagę zwracało ogromne akwarium, z którego goście mogli sobie wybrać rybę na obiad. Był tam też słynny szyld nad bufetem z ironicznym napisem „*Witajcie, dzisiaj za pieniądze - jutro za darmo!*”. Nie był to lokal dla elity, wręcz przeciwnie. Jak wynika z jego opisów w ówczesnej prasie stołowali się tam rzemieślnicy oraz niżsi urzędnicy rządowi i prywatni.

W każdą słoneczną niedzielę czy też w święto tłumy warszawiaków ciągnęły nad Wisłę, pływali łodziami, piknikowali i kąpali się. W dni robocze kotwiczyły tu wiślane galary, a w sąsiedztwie łaźienek Majewskich wyładowywano piach, co zostało uwiecznione na słynnym obrazie Aleksandra Gierymskiego „Piaskarze” z roku 1877.



25. "Piaskarze" Aleksandra Gierymskiego

Dawały się we znaki kolejne powodzie: w 1884 roku sfotografowana przez Konrada Brandla nowym typem aparatu zaopatrzonego w migawkę, oraz w roku 1888. Dla odmiany w posesji nr 6 wybuchł pożar, który strawił zabudowania gospodarcze i spowodował śmierć dwojga ludzi i czwórki koni. Wraz ze starzeniem się substancji mieszkaniowej następowała pauperyzacja ulicy. Nowy, XX. wiek, nie przyniósł ze sobą poprawy, ani ożywienia budowlanego. Jedynym nowym domem była kamienica nr 27 (2675) wybudowana ok. 1904 roku. Powstała ona z połączenia i rozbudowy dwóch XVIII. w. kamieniczek. Stan wielu budynków przy Bednarskiej był już podówczas bardzo zły. Najgorzej chyba prezentował się zespół dawnej „Kasztelanki”. Zarówno placyk, jak i otaczające dziedzińce parterowe budyneczki wyglądały tragicznie. Zapadnięte w ziemię, pozbawione tynków i przepelnione miejską biedotą. Na rozbiórkę musiały czekać te rudery aż do roku 1939. Jak wyglądała ulica Bednarska w początkach XX wieku przeczytamy w autentycznych wspomnieniach z epoki: *„...po lewej stronie porządne, trzypiętrowe kamienice, aż do końca, do narożnego sklepu w podziemiach, skąd pachniał lakier, słodko i mdląco, jak landrynki. Po prawej stronie na długiej przestrzeni wznoszą się mury Towarzystwa Dobroczynności i co parę metrów trzeba obchodzić skarpy, które dają osłonę i chwilowe wytchnienie gdy wieje wiatr, a wieje często od Wisły. Na środku jezdni wybrukowana była kocimi łbami. Tą ulicą lepiej było iść pod górę, niż schodzić w dół, bo nogi zawsze się tam ślizgały. Wśród skarp Towarzystwa Dobroczynności mieściła się mydlarnia i sklep pani Stodólskiej z interesującą wystawą: były na niej zawsze lalki-Krakowianki, ręcznie wykonane. Przy samym rogu był kantor pralni Musiałowej. Dom nr 26 wyglądał skromnie od frontu, tylko dwa piętra bez facjatek, bo na poddaszu mieściły się pracownie malarskie z oknami w dachu.”*

Przy tej ulicy było też wiele magli ręcznych, z których korzystali również mieszkańcy pobliskiego Mariensztatu. Nie sposób wyliczyć dziesiątków małych sklepików wypełniających przyziemia i sutereny kamienic. Było tu wszystko, czego człowiekowi potrzeba za życia i po śmierci: od pieczywa, wędlin, artykułów winiarsko-monopolowych i kolonialnych, poprzez skład apteczny, skład opatu i zakład fotograficzny (nr 21), aż po firmę oferującą trumny i wieńce. Sklep z norymberszczyzną prowadził w domu nr 15 L. Jaroszewski. Do I wojny istniała w domu pod nr 21 redakcja tygodnika „Warszawianka” wraz z drukarnią L. Kopczyńskiego, a druga drukarnia – W. Szulca, działała naprzeciw, pod nr 22. Spośród zakładów rzemieślniczych wyróżniał się zakład mechaniczny L. Gila pod nr 28 i zakład stolarski T. Idzika (nr 4). Wytwórnia organów, należąca teraz do L. Hartmana przeniosła się na posesję nr 10, a starą łaźnię Majewskich przejął T. Świetliński.

Miała Bednarska ten rys osobliwy, trochę typowy dla Powiśla, uosabiany przez jej mieszkańców, nierzadko wielkich oryginałów, o których krążyły legendy. Należał do nich pewien stolarz z pobliskiej ulicy Mularskiej, który sypiał w swym zakładzie, w wyścielonej wiórkami trumnie. Mieszkało tutaj wielu malarzy, literatów i konspiratorów.

Eborowicze spędzili na tej ulicy prawie równe sto lat, od przybycia tutaj Szymona w roku 1815, do wybuchu I wojny światowej w roku 1914. Wnuk protoplasty Szymona, Szymon Antoni mieszkał potem aż do śmierci przy ulicy Pięknej pod nr 7.

Eborowicze zapisali bogatą kartę w historii ulicy Bednarskiej inicjując tam swoją działalność gospodarczą w wytwórni olejów, potem produkowali i sprzedawali napoje alkoholowe i artykuły spożywcze. Dlatego tak szczegółowo zostały tutaj omówione dzieje tej ulicy, gdyż w tym mikroświecie działy się rzeczy ważne dla wielu warszawskich rodzin. A także ważne dla historii całego miasta. Spojrzenie na dawną ulicę Gnojową, która rozkwitła w czasach, gdy funkcjonowała tam jedyna przeprawa przez Wisłę, a potem stopniowo podupadała po otwarciu mostu Kierbedzia, pokazuje nam skalę przemian gospodarczych i społecznych w mikroskali małego wycinka miasta. Mimo okropnych zniszczeń wojennych i często bezmyślnych działań powojennych planistów, jeszcze dziś można zobaczyć na Bednarskiej okruchy dawnej świetności. Ale to już jest zupełnie inna

ulica niż ta, na której osiedlił się 205 lat temu Szymon Eborowicz. Czas zatarał większość śladów i właśnie dlatego powstała ta książeczka. Aby ocalić od zapomnienia losy jednej rodziny i jednej warszawskiej uliczki.

6

Po śmierci małego Lucjana Aleksander Niewiarowicz pracował i gospodarował w Jaszczowie przez pięć spokojnych i zasobnych lat. Rodzinie niczego nie brakowało, na polach rosło zboże, w ogrodzie warzywa i owoce, a w oborze stały krowy. Były też konie i narzędzia rolnicze. Na to wszystko krzywym okiem patrzył stacyjny żandarm, z pochodzenia Rosjanin, który nie mógł znieść tego, że temu Polakowi tak dobrze się powodzi. Wykorzystał więc chwilę, aby złożyć donos, że dozorca odcinka zatrudnia w swoim gospodarstwie robotników kolejowych. Był to oczywisty fałsz, gdyż chodziło o jednego człowieka, który z własnej woli naprawił ogrodzenie podwórza. Donos zawistnego człowieka, który potwierdził wrogi mu dróżnik, wystarczył jednak do dymisji Aleksandra, która nastąpiła 30 maja 1890 roku o godzinie 14.00. Nagle i niespodziewanie został on bez pracy i bez swego małego gospodarstwa rolnego, które za marne pieniądze musiał szybko wyprzedać. Na domiar złego w tym samym roku pracę stracił Józef Chmielowski, którego zwolniono ze stacji Płudy bez żadnego zabezpieczenia na stare lata. Nagle i niespodziewanie na utrzymaniu Aleksandra znalazły się cztery osoby z rodziny żony oraz kolejne cztery osoby, czyli Zosia, Wacek i Stefek, jego najbliżsi. Utrzymanie tak licznej rodziny, w dodatku w Lublinie, gdzie panowała drożyzna, nie było możliwe bez żadnych dochodów. Sytuacja była rozpaczliwa, Aleksandrowi pozostało tylko około 600 rubli, z czego 150 rs zapłacił za wynajęcie mieszkania w mieście na rok. Środków na utrzymanie nie wystarczyłoby nawet rok, gdyż Chmielowscy nie liczyli się z wydatkami przekonani, że Aleksander szybko znajdzie inną pracę. Dobijali się też o pomoc swego krewniaka Higinia Liszko, który poślubił siostrę Felicji Chmielowskiej Konstancję. Ten wysoki urzędnik kolejowy rok wcześniej przeszedł na emeryturę i nabył majątek ziemski. Tylko dlatego zgodził się zabrać do siebie siostrę swej żony i jej męża, gdyż mieli pracować na jego gospodarstwie. Dwie osoby z utrzymania bezrobotnego Aleksandra ubyły, ale nadal było ich sporo, a pracy żadnej na horyzoncie.

Głodny, zmęczony i pełen rozpaczyl włókł się Aleksander ulicami Warszawy, gdzie bezskutecznie dobijał się do różnych drzwi za jakimkolwiek zatrudnieniem. Nagle przypomniał sobie rodzinę inżyniera Kosteckiego, który sam nie tak dawno stracił pracę i był w podobnie trudnej sytuacji. Obarczony liczną rodziną, mimo specjalistycznego wykształcenia, wiele miesięcy pozostawał bez pracy. Kiedy zapukał do drzwi jego mieszkania otworzyła mu żona inżyniera. Gdy Aleksander opisał jej swoje trudne położenie powiedziała, że właśnie wyjeżdża do męża do Besarabii i poprosi go o załatwienie posady. Znękanym bezowocnymi do tej pory poszukiwaniami Aleksander miał niewielką nadzieję, że coś z tego wyniknie. Wielką była więc jego radość, gdy po 10 dniach nadszedł telegram od Kosteckiego, że wysłał mu bilety kolejowe, a na miejscu czeka go praca za 60 rubli miesięcznie. Wielką była radość Aleksandra z tej miłej sercu wiadomości! Natychmiast zaczął przygotowania do dalekiej podróży.

Dzisiaj nie używamy już nazwy Besarabia, która była częścią Mołdawii, a ta z kolei należała do Rumunii. Sam Rumunia odzyskała niepodległość w roku 1877, uniezależniając się od Imperium Osmańskiego. Ceną za wsparcie rosyjskie w tej walce było przekazanie południowej Besarabii na

rzecz Moskwy. W tej sytuacji linie kolejowe w samej Rumunii pomagali budować Francuzi, a w Besarabii budowali je Rosjanie według przyjętej w całym imperium szerokości torów. Rumuni po odzyskaniu niepodległości przyjęli też alfabet łaćniński. Dopiero w roku 1918 Besarabia wróciła do Rumunii, ale w roku 1940 ponownie została zaanektowana przez ZSRR na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow. I powstała Mołdawska Republika Socjalistyczna. W roku 1991 nastąpiła secesja i z tej części kraju powstało niezależne państwo Mołdowa. Kiedy Aleksander przyjechał do Besarabii liczyła ona 1,8 mln mieszkańców, a w tym 50% Mołdawian, 20% Ukraińców, 12% Żydów, 8% Rosjan i 5% Bułgarów celowo sprowadzanych przez Rosjan, jako osadników.

Nic zatem dziwnego, że Aleksander po przyjeździe na miejsce nie mógł się w żaden sposób dogadać, jeśli trafił na rodowitego mieszkańca posługującego się językiem rumuńskim. Inżynier Kostecki mieszkał we wsi Parkany, która obecnie leży na terenie samodzielnej Republiki Naddniestrzańskiej. Zmęczonego kilkudniową podróżą Aleksandra serdecznie przyjęła pani Kostecka otoczona gromadką dzieci. Ogolony i odświeżony doczekał się wieczorem na powrót inżyniera. Usiedli razem do kolacji w trakcie, której Kostecki omówił szczegółowo zakres prac, jaki ich czekał. Budowa linii kolejowej jeszcze się nie rozpoczęła, trwały pomiary geodezyjne i wytyczanie trasy w dosyć ciężkim, gęsto zalesionym terenie. Następnego dnia zaczęły się wędrówki po bezdrożach Besarabii całej tej wesołej gromadki w skład, której wchodziła liczna rodzina inżyniera tj. jego żona, dwie córki, jedna już dorosła, a druga 12. letnia, synkowie 7. i 15. letni, kuzynka 17 lat oraz starsza guwernantka. Całe to towarzystwo posuwało się razem z ekipą kolejarzy pracujących przy pomiarach, w południe przygotowywali obiad, a wieczorem ze śpiewem na ustach wracali na kwaterę w kolejnej wsi. Nie wszystko jednak było sielanką, praca była trudna, a nawet niebezpieczna dla życia. Już po dwóch tygodniach Aleksander poczuł znaczne zmęczenie fizyczne, dręczyła go też tęsknota za rodziną pozostawioną w dalekim Lublinie. Mógł tam pojechać dopiero w listopadzie, kiedy zaczynała się zima, co wykluczało dalsze prowadzenie prac geodezyjnych nad wytyczaniem nowej linii kolejowej.

Po kilku dniach podróży Aleksander dotarł do Lublina i utonął w ramionach ukochanej Zosi. Kiedy jednak bliżej mu się przyjrzała zobaczyła, że jej mążonek zmienił się nie do poznania. Gdy wyjeżdżał ważył sporo ponad 100 kg, a teraz schudł, szerniał i pochylił się, jakby przygnieciony ciężarem cierpień fizycznych oraz trosk o rodzinę. W dodatku znowu miał na głowie rodziców Zosi w komplecie, a jego pensja 60 rubli miesięcznie w żaden sposób nie wystarczała na utrzymanie rozdzielonej rodziny. Trzeba było pomyśleć o sprowadzeniu żony i dzieci do Besarabii, gdzie utrzymanie było mniej kosztowne. Na razie jednak po dwóch tygodniach urlopu trzeba było wracać do Mołdawii, ale już na inny odcinek i na budowę linii, a nie na pomiary i wytyczanie trasy. Kierownik tego odcinka prac inż. Lenc zapoznał Aleksandra z zakresem obowiązków i tak upłynął czas do świąt Bożego Narodzenia. W dzień wigilijny wielka nostalgia ogarnęła Aleksandra. Był tak daleko od kraju, od swoich najbliższych, a tutaj w obcym kraju, gdzie katolików było bardzo mało, nie miał nawet przyjaciela. Kiedy zatem wrócił z pracy do skromnego pokoiku, który wynajął w wiosce mołdawskiej, kazał sobie ugotować garnuszek suszonych śliwek i to miała być jego cała kolacja wigilijna. Nagle do drzwi zapukał stróż z biura zarządu budowy i dostarczył zgnębionemu Aleksandrowi list. Serce zabiło radością wielką, tak, to był list od Zosińki kochanej! Przyszedł w samą porę, aby rozjaśnić tę smutną Wigilię i ukoić stęsknione serce. Otwiera go szybko Aleksander, a tu z listu wypadają trzy opłatki, każdy podpisany słowami „od Zosi”, „od Wacia” i „od Stefka”. Z głębin nostalgii do ekstazy radości, ze smutku do łez szczęścia, takie uczucia targały Aleksandrem. Ułamał on opłatki, zmówił modlitwę i spożył swoją skromną kolację wigilijną złożoną z herbaty i śliwek.

Minął Nowy Rok 1891 roku, a w końcu lutego nadchodzi telegram od Kosteckiego, że Aleksander ma stawić się do Bielic, gdzie on został mianowany zastępcą naczelnika XV odcinka budowy. To miasto powiatowe właśnie w tym czasie stawało się ważnym węzłem kolejowym, gdyż tam krzyżowały się szlaki do Kiszyniowa, Ocnita, Rezina i Ungheni. Budowa już ruszała, Kostecki kierował pracami, gdyż naczelnik miał przyjechać dopiero w maju. Aleksander wynajął mieszkanie z wyżywieniem u wdowy Kaczaunowej, gdyż budowa linii kolejowej miała potrwać około dwóch lat, a razem z nim miała zamieszkać rodzina. Dodatkowo zabrał z sobą teścia Chmielowskiego i Władzię, siostrę Zosi. Felicja została ze swoją siostrą Konstancją w majątku ziemskim Higina Liszko. Józef Chmielowski czuł się tam źle, do prac rolnych się nie nadawał i szybko pokłócił się „panem dziedzicem”, jak go ironicznie nazywał. W maju pojechał więc Aleksander do Lublina mając w kieszeni bilety na przejazd całej rodziny oraz bilet bagażowy na przewóz rzeczy. Początkowo wszystko układało się dobrze, ale 1 lipca na budowie pokazał się naczelnik odcinka XV niejaki Sachański, który okazał się być wrogiem Polaków. Chociaż sam pochodził z rodziny polskich katolików, przyjął prawosławie i nigdy nie używał języka polskiego. Jak każdy neofita był bardzo gorliwy w szykanowaniu swoich rodaków, a Kosteckiego i Aleksandra nie cierpiał. Wyzywał ich i poniżał na każdym kroku. Dla niego Aleksander to był „parszywy Polak”, dwukrotnie go zwalniał, a po wstawiennictwie znowu przyjmował, ale za każdym razem zmniejszał mu pensję, aż doszła do żałosnego poziomu 40 rubli miesięcznie. Nie sposób było z tego wyżyć z liczną rodziną na karku. To było 6 osób, którym trzeba było zapewnić mieszkanie, wyżywienie i opał, który był tam bardzo drogi. Wacława trzeba było posyłać do szkoły, miał już wtedy 12 lat. Także Stefan chodził do szkoły, a to oznaczało dodatkowe wydatki na mundurki, podręczniki i opłaty szkolne. Do domu zawiął głód, biedna Zosia od ust sobie odejmowała, aby wyżywić synów, siostrę i ojca. Sama schudła i zmizerniała wskutek ciężkiej pracy, trosk i braku wyżywienia. Na domiar złego jesienią 1892 roku Sachański po raz trzeci zwolnił Aleksandra z pracy pod pozorem, że zimą budowa kolei stanie. Pensja za dwa miesiące i fora ze dwóra! Połowa pieniędzy, tj. 40 rubli, poszła od razu na spłatę zaciągniętych długów. Aleksander był całkowicie zdruzgotany i pozbawiony nadziei, pragnął już tylko śmierci. Nie widział żadnej przyszłości dla siebie, ani dla rodziny, tam w dalekim, obcym kraju, bez żadnych środków do życia. Trzeba było jednak działać, żona i chłopcy wymagali pomocy, zostawali w Bielicach niemal bez pieniędzy. W tym akurat czasie zaczęła tam grasować epidemia cholery, która była szczególnie groźna dla ludzi biednych, osłabionych i niedożywionych. Rusza zatem 1. października Aleksander do Warszawy, a po drodze zajeżdża do Kijowa mając przy sobie list rekomendacyjny od głównego inżyniera budowy w Mołdawii. Traf chciał, że wakowała w tym okręgu posada dozorczy odcinka w Humaniu. Uszczęśliwiony Aleksander złożył natychmiast wszelkie papiery, ale kiedy naczelnik zobaczył jego paszport zmienił zdanie.

-Niestety, pan jesteś Polakiem, a ja mam rozporządzenie, aby Polaków, a w szczególności katolików nie przyjmować-oświadczył naczelnik.

-Może jednak zrobiłby pan wyjątek, jestem w trudnej sytuacji-błagał go Aleksander.

-Naturalnie, jest wyjście drogi panie. Przejdzie pan na wiarę prawosławną i po kłopotach-rzekł Rosjanin.

-Zdrajcą, a w szczególności zdrajcą religii nie zostanę, choćbym miał umrzeć z głodu-odparł dumnie załamany Aleksander i chwiejnym krokiem wyszedł z gabinetu naczelnika.

Następnego dnia wyjechał do Warszawy i po przyjeździe spotkał się ze swoim dawnym przełożonym naczelnikiem Mikulskim. Niestety ten nie miał dla niego żadnego zatrudnienia. Oświadczył, że wakatów brakuje, a dla Polaków są dodatkowe zakazy i ograniczenia wprowadzone przez władze carskie. Znikąd nadziei, w dodatku zbliżała się zima i koleje masowo zwalniały ludzi na ten okres. Wszyscy znajomi zawiedli, w końcu Aleksander przypomniał sobie inżyniera Kamińskiego, który pracował dla Kolei Nadnarwiańskiej budując odcinek Łapy-Ostrołęka-Małkinia. Przez kilka godzin

dziennie koczował Aleksander pod domem Kamińskiego, gdyż trudno go było zastać, a kiedy w końcu będąc już na dnie rozpaczy złapał go w przelocie, też spotkała go odmowa. Poszedł, więc Aleksander w ten mroźny, listopadowy wieczór nad Wisłę, stanął na moście i rozmyślał nad rzuceniem się w otchłanie zimnych wód toczonych przez tą rzekę. Jego bliscy byli oddaleni o 2 tysiące kilometrów, pozbawieni środków do życia w kraju, w którym szalała groźna epidemia. A on sam w żaden nie potrafił im pomóc, sam nie miał już pieniędzy i najmniejszych nawet szans na jakiegokolwiek zatrudnienie. Kusiło najprostsze rozwiązanie – skok z mostu do Wisły. Rozpoczął więc Aleksander swoją ostatnią modlitwę.

- A więc Boże Wszechmocny! Ojczy Sierot! Przyjmij mnie i daj odpocząć, tódż moja na falach zdruzgotana już tonie. O, przyjmij mnie skołatanego do odpoczynku, nie mam już sił walczyć, odtręcili mnie żyjący z tego padołu płaczu, a umarli nie odtręcą. Żegnam cię Słoneczko, za ledwieś wzeszło tak pięknie, tak błogo dla mnie i już zachodzisz, zachodzisz na wieki! Żegnam was gwiazdki na jasnym niebie, które tak pięknie gorejecie, lecz tylko moja, moja zaćmiła się i już gaśnie. Żegnam cię ziemio uroczą, którą tak kochałem, w końcu najboleśniejże pozostało pożegnanie mojej drogiej rodziny. Zosiu, Zosiu droga, pokorna towarzysko niedoli, któraś wiernie wytrwała na stanowisku, jako żona, jako Matka najtkliwsza, przebac, daruj mi i żegnaj, zobaczymy się lecz na lepszym świecie. Nareszcie biedne i drogie moje dziatki, Waciu mój miły synu i rozkoszny, ukochany Stefcu, żegnajcie i proście Wszechmocnego, aby mi przebaczył, módlcie się za mną za ojcem, który was kochał całą duszą, lecz musiał upaść pod ciężarem losu, którego nie mógł udźwignąć.

Chwytał Aleksander za balustradę i przełożył jedną nogę na drugą stronę przygotowując się do skoku. Nagle w jego uszach zabrzmiał wyraźny głos wołający do niego.

- Mężu! Ojczy! Co się stanie z nami, opuszczasz nas, zostawiasz bezbronną kochającą cię żonę, opuszczasz nas ojczy bezsilne i słabe latorośle, które nie mając tarczy ojcowskiej opieki za najmniejszym powiewem wiatru ugną się i pękną w wiośnie swoich dni.

Mężu! Ojczy! Miej litość nad nami, ufaj i miej wiarę w Wszechmocnego, a przemieni jako sam się przemienił na górze Tabor, gdy Go ukamieniować i z góry zepchnąć chcieli, a on przeszedł wśród nich, że Go nie widzieli i nic złego nie zrobili.

Oprzytomniał Aleksander, cofnął się na most, zrozumiał, że rodzina go potrzebuje i nie może ich tak nagle i w taki sposób opuścić. Zawstydził się swojej słabości, spojrzął na zegarek, była 1.00, połowa listopada 1892 roku. Ulice były puste, Aleksander szedł z wolna do pobliskiej ulicy Tamka, gdzie w malutkim pokoiku mieszkał z Felicją Chmielowska z córką Józią i synem Julianem. Wiedli oni nader nędzny żywot, chociaż Julek pracował, jako telegrafista na Kolei Nadwiślańskiej, to zarabiał za ledwie 30 rubli miesięcznie. Józia szła od rana do nocy zarabiając nawet nie 20 rubli na miesiąc. W Warszawie mieli oni zamożnych krewnych, ale na ich pomoc nie mogli specjalnie liczyć. Aleksander też nie próbował zwracać się o pracę, chociażby do syna Higinia Liszko Juliana, który pracował na kolei. Tam nie było solidarności rodzinnej, chociaż mamy też wiele przykładów pomocy w znalezieniu pracy.



gn

26. Józefa Chmielowska

Rankiem zdesperowany Aleksander postanowił za ostatnie ruble pojechać na budowę Kolei Nadnarwiańskiej mimo, że inż. Kamiński ostrzegał go, iż prace tam zakończone. Miał tylko 8 rs, na bilet wydał 4 rs, więc zostało mu już naprawdę niewiele. Pociąg stanął na będącej w budowie stacji Ostrołęka i Aleksander udał się do biura budowy. Tam zobaczył wielki tłum ludzi cisnących się do kasy, gdyż rozliczano właśnie zakończenie prac. Robotnicy i urzędnicy odbierali należne im pieniądze i martwili się, jak przeżyją zimę. –Rację miał Kamiński, po cóż ja tu

przyjechałem-pomyślał zrozpaczony Aleksander. Dowiedział się od pracowników, że zarządcą robót jest inżynier Kapliński, którego miał okazję poznać na jednej z poprzednich budów. -Skoro już tutaj jestem, to spróbuję z nim pogadać-postanowił Aleksander. Nie mam po prostu wyjścia z tej sytuacji. Nazajutrz udał się do mieszkania Kaplińskiego i przedstawił mu swoją tragiczną sytuację. Ten jednak powtórzył mu to samo, co wcześniej Kamiński. Zjawił się Aleksander w dniu zamknięcia wszystkich robót na tej linii i nic już nie można było zrobić. Ale zacny Kapliński rozumiał, że temu człowiekowi grozi śmierć głodowa, a jego 6. osobowa rodzina jest bez środków do życia gdzieś w dalekiej Mołdawii. Wysłał go więc do stacji Czerwony Bór, gdzie wraz z grupą robotników miał układać tory do czasu, aż nie uderzy mróz. Pensja miała wynosić 50 rubli miesięcznie, więc szczęśliwy Aleksander wziął 25 rubli zaliczki, z czego 20 natychmiast wysłał do Mołdawii. Niedługo jednak trwały prace, gdyż nadeszły mrozy, piasek zamarzał i prace przerwano. Przyjechała komisja do odbioru gotowych torów, Kapliński próbował załatwić stałą posadę mistrza odcinka torowego dla Aleksandra, ale nic z tego nie wyszło. Uważano tą linię za strategiczną i obowiązywał zakaz zatrudniania Polaków. Nie pozostało więc nic innego, jak powrócić do Bielsk z marnymi 25 rublami w kieszeni. Ale Zosia dostała w sumie 35 rubli, a każdy był na wagę złota, gdyż Wacek zachorował na tyfus i leczenie kosztowało. Trzeba było wyprzedać meble, za które Aleksander zapłacił swego czasu blisko 100 rubli, teraz przyniosły ledwo 30 rs. Kiedy więc Aleksander ponownie przyjechał do Bielsk zszokował go widok mieszkania ogołoczonego ze sprzętów. Ale dzieci były już zdrowe, żona ucieszyła się bardzo, gdyż wcześniej Aleksander nie powiadomił jej o swoim powrocie. A miała już tylko 3 ruble na wydatki domowe.

Na pracę w kraju nie można było liczyć, ale przecież imperium rosyjskie budowało linie kolejowe na całym swoim ogromnym terytorium i decyzja mogła być tylko jedna. Aleksander decyduje się na wyjazd do Saratowa, gdzie od 1866 roku budowana była Riazańsko-Uralska kolej. Do wykonania był odcinek Atkarsk-Wolsk, który zostanie ukończony w roku 1896. Po naradzie z Zosią postanowiono, że Aleksander pojedzie sam do Saratowa, a dopiero, gdy się na nowym miejscu urządzi, to wówczas sprowadzi rodzinę. Problemem były pieniądze, które trzeba było zostawić Zosi na utrzymanie, a cały majątek to było marne 28 rs. Na szczęście kuzyn Zosi Walerian Wysocki (był świadkiem na ślubie), przysłał 25 rs, a dłużnik Aleksandra zwrócił 15 rs z pożyczonych 40 rs. Pomógł też inżynier Rogowski, który tak się przejął ciężką sytuacją rodziny, że oprócz listów rekomendacyjnych dał 20 rs na podróż. Na początku lutego 1893 roku ruszył więc Aleksander w daleką podróż do Saratowa, gdzie mieściły się biura zarządu kolei Riazańsko-Uralskiej. Podróż trwała blisko tydzień, a widok Saratowa zadziwił Aleksandra. Wyobrażał sobie to miasto, jako małą, brudną miścinę zamieszkałą przez dziczających, azjatyckich tubylców, a oczom jego ukazało się wielkie miasto niczym nieróżniące się od miast europejskich. Z Azją łączyło to ponad stutysięczne miasto jedynie nazwa, gdyż *Sary tau* oznacza Piękną Górę w języku Tatarów. Położone nad Wołgą było ważnym portem rzeczny i ośrodkiem handlowym. Już w XVII wieku handlowano tu solą i rybami. W połowie XIX wieku nastąpił gwałtowny rozwój miasta w związku z ożywieniem żeglugi na Wołdze i dużymi transportami zboża, które przechodziły przez port i dalej były przewożone istniejącą od lat 70. kolejną do Moskwy. Aleksander podziwiał szerokie ulice i bulwary, które były oświetlane elektrycznie. Odwiedził miejski teatr oraz muzeum starożytności. Po ulicach kursowały tramwaje, a chodniki były asfaltowe. Mieszkańcy to głównie Rosjanie, Tatarzy i Niemcy wyznania katolickiego. Polaków było niewiele, a jedynym kościele katolickim odprawiano msze naprzemiennie jednego tygodnia w języku polskim, a drugiego w niemieckim.

Ponieważ Aleksander musiał się liczyć z każdą kopiejką notował wszystkie swoje wydatki w podręcznym notesie. Zapoznajmy się z nimi, gdyż jest to interesujący dokument tamtych odległych czasów i dalekich miejsc.

W Karbuttaku (jakaś stacja kolejowa po drodze do Saratowa) -0,20 rb na herbatę i kanapkę. W Saratowie 0,40 rb na dorożkę, zajazd u niejakiego Niewiadomskiego-1,50 rb. Na kartki pocztowe Aleksander wydał 0,12 rb, poczym udał się do teatru, który kosztował go 1,37 rb. Tamże kawa aż 0,60 rb, potem obiad za skromne 0,35 rb. Dla portiera w zajeździe -0,50 rb, kolacja 1,15 rb i jabłka 0,31 rb. Następnego dnia w czwartek wydatki Aleksandra przedstawiały się następująco: kawa-0,45 rb, gazety-0,30 rb, dorożka-0,40 rb, pokój w hotelu- 0,90 rb, lokajowi i pokojówce trzeba było dać 0,30 rb. Razem w tym dniu wydatki 2,88 rb, gdyż 0,53 rb poszło na preferansa. W piątek na herbatę z koniakiem wydał Aleksander 0,25 rb, zapalki kosztowały 3 kopiejki. I dalej już w podróży kolejną obiad w Kiersańsku 0,30 rb, bufet w Kozłowie 0,10 rb. Dalsze notatki są dosyć monotonne, więc je pomijam, wspomnę tylko że bilet do cyrku kosztował 1,55 rb.

Poszukując pracy Aleksander napotkał początkowo na trudności, gdyż z uwagi na klimat roboty torowe mogły ruszyć nie wcześniej, niż w końcu kwietnia. Poznany na miejscu inżynier Tokariew, kiedy tylko dowiedział się, że ma przed sobą specjalistę od układania torów niezwłocznie zatrudnił Aleksandra z pensją 75 rs miesięcznie. Sam wyjechał do Moskwy, aby zakupić sprzęt potrzebny do budowy. Kiedy wrócił okazało się, że roboty na tym odcinku przejmuje inna firma i z zatrudnienia nic nie wyszło. I znowu biegał Aleksander za pracą, aż napotkał Rosjanina Nowosiłowa, który zaprotegował go inżynierowi Murzo. Ten był naczelnikiem odcinka budowy 120. kilometrowej linii z bazą w powiatowym Wolsku i zgodził się zatrudnić Aleksandra, lecz dopiero od dnia rozpoczęcia robót torowych. Ponieważ był dopiero marzec Aleksander miał otrzymywać zaliczkowo niewielkie kwoty, aby mógł opłacić mieszkanie i wyżywienie. Wyjechał więc Aleksander z Saratowa do Wolska, gdzie za 15 rs wynajął dwa pokoje z wyżywieniem za 15 rs miesięcznie. Zamieszkał przy cichej ulicy Twerskiej w domu wdowy Kuźniecowej. Po kilku dniach zachorował ciężko na dyzenterię, co przypisywał zmianie klimatu i pożywienia. Kolejowy lekarz bardzo mu pomógł w tej chorobie i już po tygodniu Aleksander mógł codziennie chodzić do biura budowy, aby zgłosić gotowość do pracy, poczym wracał na swoją kwaterę. Zostało to nagrodzone, gdyż inżynier Murzo dał mu etat z tymczasową pensją 50 rs do czasu rozpoczęcia budowy. Tam miał Aleksander kierować brygadą robotników układających podkłady i tory. Otrzymane pieniądze natychmiast powędrowały przekazem do Bielsk dla żony Aleksandra. Kiedy ruszyły prace przy budowie torów pensja Aleksandra wzrosła, mógł już sprowadzić do Wolska swoją rodzinę. Stefan został przyjęty do klasy przygotowawczej szkoły realnej w lipcu 1893 roku, ale został na drugi rok tylko dlatego, że nie miał skończonych 10 lat. Wacek miał iść do drugiej klasy szkoły realnej, ale musiał poznać język niemiecki, więc rok cały uczył się w domu, poczym oblał decydujący egzamin. Poślano go więc w lipcu 1894 roku do I. klasy Szkoły Miejskiej w Wolsku, gdzie uczył się bardzo dobrze.

Aleksander zarabiał 70 rs miesięcznie i trzymał konia do wyjazdów na odległe odcinki budowy linii kolejowej. Na utrzymanie tego konia otrzymywał dodatkowo 20 rs, z czego blisko połowę mógł zaoszczędzić. A za 80 rs można było dosyć wygodnie żyć w tym dalekim mieście nad Wołgą. Dostał też Aleksander 511 rs w postaci zwrotu składek emerytalnych za 15. letnią służbę na Kolei Nadwiślańskiej. Z tego 300 rs poszło na ubrania i sprzęty domowe, a reszta trafiła do kasy oszczędnościowej, jako żelazna rezerwa na gorsze czasy.

Były to szczęśliwe dla rodziny Niewiarowiczów czasy. Aleksander, co prawda ciężko pracował przy budowie linii kolejowej do Atkarska, ale był ceniony przez zwierzchników za fachowość i solidność. Tereny do budowy kolei nie były łatwe. Teren był pofałdowany, występowały lasy i bagna. Stawiać trzeba było wiele mostów i wiaduktów na tym 250. kilometrowym odcinku. Aleksander radził sobie świetnie, stopniowo awansował i zarabiał coraz lepiej. Synowie chodzili do szkoły, a w wakacje całe dnie spędzali nad Wołgą pływając, nurkując i łowiąc ryby.

Rok 1894 kończył się śmiercią cara Aleksandra III, który zmarł na Krymie w swej rezydencji w Liwadii. Przyczyną śmierci cara urodzonego w roku 1845 było zapalenie nerek. Jego następca został

Mikołaj II, któremu historia wyznaczyła rolę ostatniego cara Cesarstwa Rosyjskiego. Lata 1895-96 były także pomyślne dla rodziny Aleksandra. Dobrze zarabiając zdołał zaoszczędzić 6 tysięcy rubli, kwota na owe czasy znacząca. Żyto kosztowało wtedy 30 kopiejek za pud (16,4 kg), ryby od 2-10 kop. za funt, zając 10-15 kop., a parę cietrzewi można było dostać za 1 rubla.

Wacek skończył w roku 1897 szkołę miejską i zamierzał wstąpić do najlepszej w Rosji szkoły morskiej w Odessie. Wyrósł wysoki i barczysty ten przyszły wilk morski, o głowę wyższy od ojca. Stefan uczęszczał do szkoły realnej i też marzył o morzu, ale na to się Zofia nie chciała zgodzić. Dwóch synów marynarzy, to zbyt duże ryzyko, uważała. I pewnie miała racja, gdyż Wacław zginie śmiercią marynarza, ale będąc już w wieku, w którym powinien być na emeryturze.

Rodzina Niewiarowiczów żyła w Wolsku dostatnio i bezpiecznie, gdyż budowa linii kolejowej była stałym źródłem dobrych zarobków. Synowie wyrastali na zdrowych osiłków wyżywając się uprawianiu boksu, zapasów oraz w ujarzmianiu Wołgi. Rzeką tą było spławiane drewno powiązane w wielkie galary i to pod nimi trzeba było zanurkować, aby wypłynąć nieraz ponad 80 metrów dalej bez możliwości wcześniejszego wynurzenia. Jak wspominał Stefan po latach, raz omal nie postradał życia w trakcie tych ekstremalnych zawodów, gdyż galary przesunęły się z prądem i zabrakło powietrza w płucach.

W lakonicznych notatkach Aleksandra czytamy: „*Wołga-stanęła 22 listopada 1895 r.*” lub „*Wołga stanęła w 1896 r., 13. ruskiej daty listopada.*” Znaczyło to, że łód całkowicie zatrzymał nurt tej potężnej rzeki 25 listopada 1896 roku. W tymże roku miały miejsce zaćmienia słońca i księżyca w ten oto sposób odnotowane przez Aleksandra.

„*Księżyc widzialny w całej Rosji 16 lutego, zaćmienie zaczęło się o 20.47, a zakończyło o 23.46. Słońce-całkowite zaćmienie widzialne w całej Rosji, początek o godzinie 5.14, koniec 10.05 czasu moskiewskiego*”. Z notatki PRZEPOWIEDNIA FALPA ASTRONOMA dowiadujemy się, że kometa widoczna na niebie w roku 1866, pojawi się znowu 13 listopada 1899 roku. Ale przecież już brytyjski astronom Edmund Halley przewidział w roku 1758 ponowne pojawienie się komety nazwanej jego imieniem. Inna notatka informuje nas, że jarmark w Wolsku zaczyna się 23 czerwca i trwa cały tydzień. Podobny jarmark odbywa się także jesienią, ale tutaj daty Aleksander nie podaje. Na plagę komarów licznych przecież nad ogromnym rozlewiskiem Wołgi, notatka zaleca wodę karbolową, którą należy skropić ściany, trochę łóżko, a także twarz i ręce „*a żaden komar nie ugryzie*”. Metoda to może i skuteczna, ale w większym stężeniu niebezpieczna, gdyż owa płyn ten to nic innego, jak fenol, z którego wytwarzano środki dezynfekujące takie, jak kwas karbolowy (10% roztwór), czy wodę karbolową (roztwór 1,3%). Aleksander odnotowuje nawet takie nietypowe zdarzenia, jak fakt iż „*słowik przestał śpiewać 23 czerwca*”, a innym razem zaczął śpiewać w zimie 15 grudnia! Na bezsenność otrzymujemy radę, aby przed snem zjeść łyżkę stołową miodu patoki, czyli w postaci płynnej, „*a sen wnet przyjdzie*”. W razie zachorowania na ospę należy szyby pomalować na czerwono lub zawiesić czerwone zasłony na oknach, co zapobiegnie powstawaniu śladów na twarzy. Nie było w tym czasie masowych szczepień przeciwko ospie wietrznej, jak to jest obecnie. W tych małych notatkach Aleksandra znajdziemy jeszcze:

- sposób na pozbycie się szczurów (cynoglossum officinale), czyli ostrzeń pospolity,
- usuwanie plam z laku,
- usuwanie plam z atramentu z bielizny,
- sposób na oparzenia i ukąszenia pszczoł (liście chrzanu),
- jak zmiękczać wodę,
- jak zachować świeżość kurzych jaj (smarować oliwą).

A także wiele innych, czysto praktycznych porad przydatnych w gospodarstwie domowym ponad 110 lat temu.

W roku 1896 Rosja podpisała z Chinami tajny sojusz przeciwko spodziewanej inwazji japońskiej. Warunkiem wejścia tego sojuszu w życie była budowa kolei Wschodniochińskiej przez spółkę akcyjną Rosji. Faktycznie jednak 100% akcji było własnością Ministerstwa Finansów Rosji. Zgodnie z umową kolej ta po 80. latach miała przejść na własność Chin, aczkolwiek mogła być wykupiona wcześniej tj. po 36. latach od zakończenia budowy. Akcje tej kolei będą później mogli nabywać zarówno Chińczycy, jak i Rosjanie, poprzez Rosyjsko-Azjatycki Bank w Chabarowsku.

Wcześniej Rosjanie w latach 1891-97 zbudowali Kolej Ussuryjską, która połączyła Chabarowsk z Władywostokiem. W węzłowej stacji w Nikolsku miało w przyszłości nastąpić połączenie Kolei Ussuryjskiej z Wschodniochińską i Transsyberyjską. Miasto to w latach 1935-57 zwało się Woroszyłowsk, a obecnie Ussuryjsk. W czasie, gdy przebywał tam Aleksander była to zaledwie stacja kolejowa wybudowana w roku 1893, a sama miejscowość powstała pięć lat później z połączenia dwóch wiosek: Nikolskoje i Kietricewo.

To właśnie na tą budowę w Mandżurii władze rosyjskie rozpoczęły werbunek doświadczonych specjalistów od budowy linii kolejowych, którzy mogliby pokierować tanią siłą roboczą dostarczoną przez Chińczyków. Propozycje takie dotarły do Aleksandra i po naradzie z Zosią postanowili, że podpisze on kontrakt na trzy lata, aby już ostatecznie zabezpieczyć finansowo rodzinę. Była na to szansa, dlatego że pensja budowniczego miała wynosić 1.200 rubli miesięcznie, a zaliczka na podróż wyniosła 1.600 rs. Decyzja zatem zapadła, rusza Aleksander do Odessy, aby tam zaokrętować się na parowiec Floty Ochotniczej „Włodzimierz”. 15 kwietnia 1897 roku Zosia pojechała z mężem do stacji Kozłowa, tam po czułym pożegnaniu wysiadła i wróciła do Wolska. Rozpoczęła się mandżurska przygoda Aleksandra, która zostanie opisana w innym miejscu. Wróci do Wolska dopiero 16 czerwca 1900 roku.

Część pensji Aleksandra była wysyłana do Wolska dla Zosi na utrzymanie domu i opłacenie szkół dla synów. W razie potrzeby Zofia pobierała też gotówkę z Banku Saratowskiego i okresowo odsetki od złożonych tam oszczędności. Z odręcznej notatki Aleksandra wynika, że przez trzy lata poszła na to kwota 3.800 rb, co daje 105 rb miesięcznie.

.....

Pora otworzyć widok na kolejną gałąź naszej rodziny bardzo mało znaną do tej pory. Mam na myśli ród Gerrethów, który wiąże się z Eborowiczami, Chmielowskimi i Szletyńskimi, ale pozostanie dla nas tylko na jednej, opisanej fotografii. Żadnych wspomnień rodzinnych, żadnych opowieści ze strony dziadków, śladowe świadectwa na piśmie. Tą szczelną zasłonę trzeba nieco uchylić, gdyż bez opisu dziejów rodziny Gerrethów, ta historia byłaby dalece niepełna.

Założycielem polskiej odnogi rodu Geretów (będę używał uproszczonej pisowni tego nazwiska wg herbarza Bonieckiego) był doktor obojga praw Samuel Ludger Geret (1730-1797), syndyk miasta Torunia, który szlachectwo otrzymał od Sejmu w roku 1775. Ściśle biorąc był to indygenat, czyli uznanie obcego szlachectwa na gruncie naszego kraju. Właśnie od tego 1775 roku wymagano od indygenów, podobnie jak od nobilitowanych, nabycia dóbr ziemskich o ściśle określonej wartości, przynależności do Kościoła rzymskokatolickiego, a także przeniesienia stałej siedziby do kraju. Obdarzeni szlachectwem polskim składali kanclerzowi przysięgę wierności Rzeczypospolitej i królowi, jednak prawo do urzędów dygnitarskich i dóbr królewskich uzyskiwali dopiero w trzecim pokoleniu. Trudno jednak uznać Samuela Gereta za założyciela rodu, raczej był nim nieznan nam bliżej jego ojciec, gdyż on sam był zatwardziałym, starym kawalerem. Ożenił się będąc w zaawansowanym wieku z wdową po administratorze salin królewskich Konstancją urodzoną Goebel i nie miał z nią potomstwa. Po śmierci ojca Samuel zaciągnął pożyczkę, aby utrzymać w całości majątek ziemski, czego wymagało od niego uzyskanie szlachectwa polskie, choć w tym czasie dopiero się o nie starał. Z tej pożyczki spłacał swoich braci, którzy nie zabiegali o indygenat i

utrzymali tradycyjną, pruską pisownię nazwiska. Dostyc szybko jednak spolonizowali się żeniąc się z Polkami i osiedlając się w okolicach Warszawy oraz Radomia. To właśnie w Rajcu, małej wsi pod Radomiem urodził się w roku 1810 Antoni Daniel Gerreth, a znacznie wcześniej (1784) jego brat Karol. Ten ostatni ożenił się (1806) z Katarzyną Zawadzką i to z tego małżeństwa kiełkowała dalsza linia rodowa. Pierwsza była Marianna Zuzanna ur. w 1811, a po niej kolejna Marianna, drugie imię Tekla ur. 1816. Jak widać kult maryjny zakorzenił się w tej pruskiej z pochodzenia rodzinie.

Grzegorz Stanisław Aleksander ur. 1818 to pierwszy syn, a drugi rok później Leon Wincenty.

Konstanty Aleksander urodził się w roku 1824 lub 1825, zmarł w 1903. Był urzędnikiem w Królestwie Polskim. Jego żoną została Honorata Śliwińska (1824-1886), z którą miał znanego nam dobrze ze zdjęć rodzinnych, syna Konstantego Honorata (1862-1944). Ten przystojny młodzieniec pojął za żonę piękną Feliksę Eborowicz (1868-1950) i tym samym spowinowacił się z naszą rodziną. Na zdjęciach rodzinnych widać tą parę otoczoną gromadką dzieci w różnym wieku, małżonkowie musieli zatrudnić opiekunkę dla nich. A jednak w wieku dojrzałym spotykamy jedynie córkę Helenę Władysławę (1892-1959).

Ignacy Gerreth urodził się w roku 1828 w Dęblinie. Ożenił się on w roku 1849 w Opatowie z Aleksandrą Skrzypczyńską (zmarła w r. 1908) i mieli dwóch synów: Karola ur. w r. 1851 oraz trojga imion Apolinarego Konstantego Chryzostoma urodzonego rok po bracie. Ten poślubił w roku 1880 Józefę Gagatnicką, zmarł w roku 1909.

Wróćmy jednak do Konstantego Aleksandra Gerretha, który 4 kwietnia roku 1848 poślubił w Warszawie Honoratę Śliwińską. Świadkami tej ceremonii byli: Józef Żyro, urzędnik oraz Antoni Wasiłowski tej samej profesji. Z zachowanego aktu ślubu dowiadujemy się, że pan młody urodził się we wsi Garbatka pod Radomiem z nieżyjącego już ojca Karola i żyjącej Katarzyny Zawadzkiej. Rodzicami panny młodej byli: Mikołaj Śliwiński oraz Barbara z Mierzejewskich mieszkający w Warszawie przy ulicy Marszałkowskiej nr 1370. Były tylko jedne zapowiedzi w parafii Św. Krzyża, od dwóch pozostałych została udzielona dyspensa. Honorata miała wówczas 20 lat i przeżyła w tym związku 38 lat umierając w roku 1886. Jej mąż po odbyciu obowiązkowej żałoby, poślubił w roku 1887 znaną nam już wdowę po poruczniku żandarmerii Unierzyskim Paulinę Władysławę Eborowicz, wówczas dobiegającą już pięćdziesiątki. Nie wiemy, jak i kiedy się poznali, ale był to początek dosyć trwałych związków rodziny Eborowiczów i Chmielowskich z Gerrethami. Za ledwie trzy lata po tym małżeństwie wdowy z wdowcem, syn Konstantego Aleksandra, też Konstanty, ale Honorat, poślubił Feliksę Julię Eborowicz. Tutaj już nie możemy mieć wątpliwości, że ciocia Władzia, jak nazywano w rodzinie Paulinę, doprowadziła do tego małżeństwa.

W końcu Feliksa była jej bratanicą, a jej samej widocznie zależało na dalszym zacieśnianiu więzów z rodziną Gerrethów chlubiących się swym pruskim szlacheństwem. Z tego udanego związku w roku 1891 urodził się syn Wacław (+13.IV.1947), a rok potem córeczka Helena Władysława (+18.V.1959).

Inna Władzia, siostra Zofii Chmielowskiej, zamieszkiwała w tym czasie w Żytomierzu, ale często bywała w Warszawie, gdzie odwiedzała swoją matkę i dalszych krewnych. W kwietniu 1897 roku, czyli w czasie, gdy Aleksander ruszał do Odessy, zrobiła sobie zdjęcie zadedykowane „dla moich kochanych siostr”, które tutaj zamieszczam. Z pewnością wysłała je Zosi do Wolska, gdyż ocalało ono w zbiorach Stefana Niewiarowicza. Miała wówczas 35 lat i była podobna do swojej starszej siostry Zosi. Zamieszka potem z mężem i córką Felicją w Łucku, gdzie w okresie międzywojennym lubił spędzać urlop kapitan Wacław Niewiarowicz z żoną Ireną. Z dala od mórz i oceanów, odpoczywał



27. Władysława Chmielowska

nad leniwie płynącym Styrem. Swoją pierwszą praktykę morską odbył on jeszcze przed wstąpieniem do Szkoły Morskiej w Odessie na statku „Bracia Paramonow” w czasie od 8 kwietnia do 31 sierpnia 1898 roku.

Wróćmy jednak do ślubu z początku 1881 roku, kiedy to przed ołtarzem przysięgali sobie wierność Szymon Antoni Eborowicz i Karolina Górka. Oni także wyruszyli do dalekiej Besarabii, aby tam zarabiać na życie pracując przy budowie kolei, dokąd skierował ich inżynier Kostecki. Już 25 sierpnia tegoż roku w dalekich Benderach na świat przyszło dwóch synów bliźniaków: Jerzy Włodzimierz i Julian Aleksander. Obaj chodzili razem do szkół, przy czym szkołę średnią kończyli w Charkowie, a uniwersytet w Petersburgu. W roku 1913 Julian Aleksander poślubił Janinę Zdanowicz, a Jerzy Aleksandrę Winogradow-Grodzką, o której nic bliższego nie wiemy. Z tego pierwszego związku urodził się w r. 1915 syn Wacław, który zostanie uczonym księdzem.

Co ciekawe w roku 1920 brat Janiny Maksymilian Zdanowicz liczący sobie 43 lata weźmie sobie za żonę 37. letnią Marię Teresę Eborowicz, także córkę Szymona i Karoliny. Na ich ślubie w Warszawie pojawi się Zofia Chmielowska i będzie to jej ostatnie spotkanie rodzinne z Eborowiczami.

Na razie jednak zastajemy Zofię Chmielowską w oczekiwaniu na powrót męża z dalekiej Mandżurii. Była pełna niepokoju i obaw przez cały czas pobytu Aleksandra w Chinach, ale kiedy dotarły do niej wiadomości o powstaniu bokserów (nazwa ta nie była jeszcze wówczas stosowana) i niszczeniu linii kolejowych, prawie oszalała z rozpacz. Straż kolejowa i personel heroicznie bronili obiektów kolejowych, ale i tak 80% linii zostało opanowane przez rebeliantów. Jedynie 400 km linii wyszło bez szwanku z tych zamieszek. Na pozostałych odcinkach spalono budynki stacyjne, splądrowano składy, zniszczono linie telegraficzne oraz kopalnie węgla. Zniszczenia te szybko odbudowano, a budowę całej linii zakończono w październiku 1901 r.

Z kierownictwa budowy Kolei Wschodniochińskiej Zosia otrzymała informacje, że wszystkich pracowników zatrudnionych przy budowie bezpiecznie ewakuowano, ale nie za bardzo w to wierzyła. Tymczasem Aleksander był już w drodze z Mandżurii do Wolska, ale podróż miała trwać tygodniami. Na początek ponad 500 km konno, czego nie powstydziliby się najlepsi kowboje Dzikiego Zachodu. Ale Aleksander podbijał Dziką Wschód na koniu z karabinem i rewolwerem w rękę, o czym przeczytamy w odrębnym e-booku poświęconym jego niesamowitym przygodom w Mandżurii. Po szczęśliwym powrocie Aleksandra do Wolska rodzina Niewiarowiczów rozpoczęła przygotowania do przesiedlenia się do Warszawy. Czas życia nad majestatyczną Wołgą dobiegł kresu. Wacek i Stefan na zawsze zapamiętają tę rzekę, której drugiego brzegu w czasie wiosennych rozlewisk nie sposób było zobaczyć. Wydawała się być wielki morzem płynącym nieustannie w jednym kierunku od milionów lat. A że sama jest morzem, do morza wpadać nie powinna, więc kończy swój bieg w jeziorze, choć zwanym Morzem Kaspijskim. Jest to największa i najdłuższa na świecie rzeka uchodząca do jeziora, jest rzeką matką i matką wszystkich rzek Rosji.

Rozstając się z Mandżurią Aleksander został szczerze potraktowany przez szefa i głównego konstruktora całej budowy Aleksandra Jugowicza. Na koszt podróży wypłacił mu 243 rs, premii 300 rs, odprawa za 3 miesiące 300 rs i diety 260 rs. Razem dało to 1.103 rs, które wpłacił Aleksander do rosyjsko-chińskiego banku w Harbinie wraz z pozostałym zarobionym kapitałem. Przekaz poszedł na Wołżsko Kamski Bank w Saratowie na kwotę 7.400 rubli, a 463 ruble zachował Aleksander na podróż z Harbina do Wolska. Harbin w tym czasie to była ledwo stacja kolejowa i niewielka osada założona w roku 1898 przez Polaka inżyniera Adama Szydłowskiego. Wielu jego rodaków osiedliło się tam na stałe po zakończeniu budowy kolei Wschodniochińskiej.

Na dojazd do Warszawy otrzymał Aleksander bezpłatne bilety oraz kwity na bagaże, których było sporo. Po 4. dniowej podróży rodzina zawitała 13 września 1900 roku do stolicy i zatrzymała się w „pokojach umeblowanych” przy ulicy Nowogrodzkiej nr 26. Jest to długa ulica w centrum Warszawy biegnąca równolegle do Alei Jerozolimskich. Opłata za dobę zamieszkania wynosiła 1,20 rubla. Pod

koniec września Zofia i Aleksander przenieśli się na stałe lokum położone przy ulicy Hożej nr 36, za które czynsz miesięczny wynosił 21 rs. Wacek był już studentem szkoły morskiej w Odessie, a Stefana wysłano na korepetycje przygotowawcze do wstąpienia do Szkoły Miejskiej, skąd po jej ukończeniu przejdzie do Szkoły Technicznej.

Z trudnych do rozszyfrowania zapisków Aleksandra dowiadujemy się, że zarobione 12 tysięcy rubli ulokował w papierach rządowych na procent. Ponadto miał spory woreczek srebrnych dolarów meksykańskich i srebrnych rubli zarobionych w Mandżurii. I wreszcie miał też słynne „złoto mandżurskie”, jak niesie wieść rodzinna, nie wiadomo, w jaki sposób zdobyte. W tym dzikim wówczas kraju było wiele sposobów, aby zaopatrzyć się w złoto w mniej lub bardziej uczciwy sposób. W każdym razie złoto było i po latach ten kapitał pozwoli na rozpoczęcie przez synów Aleksandra budowy kamienicy w Gdyni. Sam Aleksander zakupił w roku 1901 dom letniskowy w Falenicy pod Warszawą, gdzie przez następne 12 lat będą się odbywały spotkania rodzinne z Eborowiczami, Szletyńskimi, Chmielowskimi i dalszymi krewnymi.

Piętrowa, drewniana willa była pięknie położona w sosnowym lesie na blisko hektarowej działce. Niewiarowiczowie wreszcie mieli coś własnego, gdyż w tym koczowniczym trybie życia od jednej budowy do drugiej trwali od wielu już lat. Willa nie posiadała ogrzewania, więc można było w niej przebywać tylko od wiosny do jesieni. Wacek studiował w dalekiej Odessie, potem ruszył na morze i Falenicę odwiedził tylko raz. Stefan bywał tam często, zapraszał swoich kolegów i profesorów ze Szkoły Technicznej, a także poznane panienki. Unikał jednak starannie większych zjazdów rodzinnych, które się tam odbywały w miesiącach letnich. Przyjeżdżały wtedy siostry Zosi, czyli Władzia i Józia, często bywała Paulina Eborowicz primo voto Unierzyska, zwana ciotką Władzią i inni krewni. Na tym zdjęciu od lewej stoi Aleksander, dalej Seweryna Szletyńska i żona Zofia Niewiarowicz. Siedzi Władysława Geret, (Unierzyska), wówczas już matrona 66. letnia. Nad nią Ludwika Szletyńska i pani z warkoczami Helena Geret. Obok niej siedzi brat Wacław. Z prawej stoi małżeństwo Feliksy i Konstantego Geretów.

Nad matroną siedzi Ludwika Szletyńska, wówczas już ponad 40. letnia. Niewiele wiemy o jej losach, ale z dopisku Aleksandra "Krzewska" wynika, że mogła być żoną jakiegoś Krzewskiego. Nie udało mi



28. Falenica-1904 r. Rodzina na letniku

się odszukać żadnego potwierdzenia tego faktu.

Z pracą dla Aleksandra nie było łatwo. Od 15 września 1900 r. pracował przy budowie mostu kolejowego dla inż. Niewiadomskiego w Siedlcach, ale 18 listopada roboty były skończone i nastąpiła zima. Kolejne 4,5 miesiąca Aleksander był bez zajęcia, ale na szczęście rodzina miała z czego żyć. Od 15 kwietnia 1901 roku pracował przy

rozbudowie stacji towarowej przy ulicy Zakroczymskiej, a potem prawie do końca roku w Nowym Dworze Maz., czyli cały czas niedaleko Warszawy. Na kolejną budowę trzeba było jednak ruszyć dalej. Przy pomocy Niewiadomskiego zdobył Aleksander zlecenie na budowę drugiego toru na linii Dąbrowickiej w Chęcinach pomiędzy 154, a 158 wiorstą. Z Niewiadomskim i Rogozinem był Aleksander w cichej spółce, gdyż to u nich ulokował część swego kapitału, który finansował budowy dróg żelaznych i mostów. Po rozliczeniu budowy Niewiadomski wypłacał mu z góry umówione odsetki. Jak wynika z luźnych notatek Aleksandra zaangażował on w to przedsięwzięcie ok. 6 tysięcy



29. Rewers lustra chińskiego z brązu

rubli, które przynosiły mu od 49-120 rb miesięcznie. W najgorszym razie kapitał ten dawał mu 10% zysku rocznie, a obligacje rządowe tylko połowę tego, ale za to bez ryzyka związanego z obrotem kapitałem i współnikami. Ale wejście w tę cichą spółkę dawało Aleksandrowi możliwości zarabiania pieniędzy za nadzór nad prowadzonymi pracami i to było najważniejsze. Kapitał pozostawał nienaruszony, odsetki dawały środki na utrzymanie rodziny przez pół miesiąca, a resztę zarabiał Aleksander w okresie prowadzonych prac. Tego zarobku zimą często brakowało i wtedy sięgano po „srebrny skarb”. Znamy już także „złoty skarb”, pora zatem wspomnieć o „brązowym skarbie”. Było to starożytne zwierciadło z brązu, które nabył Aleksander w Mandżurii za 25 rubli srebrnych. Używano je w Chinach od 3000 lat i dopiero za dynastii Qing (1644-1911),

zastąpiono je lustrami szklanymi. Początkowo zwierciadła te były używane do przeglądania się-były wygodniejsze niż lustro wody-wkrótce jednak zyskały zastosowanie w praktykach magicznych. Uznano, że zwierciadło to ma moc ochrony przed złymi duchami i nazywano je „zwierciadło chroniące serce”.

Nosili je na piersiach umocowane na jedwabnych sznurkach przeciągniętych przez otwór w specjalnej gałce żołnierze udający się na wojnę oraz narzeczone mające na zawsze opuścić rodzinny dom. Zwierciadła dawano też zmarłym na ostatnią drogę kładąc je na piersiach. Przywiezione przez Aleksandra zwierciadło było okrągłe, a takie były najstarsze lustra, gdyż kształt ten symbolizował niebo. Najmniejsze miały 2,5 cm średnicy, a największe 25 cm. Odlewano je ze specjalnego stopu brązu o dużej zawartości cyny, dzięki czemu ich powierzchnia była biała. Istniał wtedy odrębny zawód polerownika zaśniedziałych lub porysowanych zwierciadeł. Na odwrotnej stronie występowały różne dekoracje. Na najstarszych często występuje maska zwierzęca tzw. *taotie* i wizerunki mitycznych stworów. Aleksander miał je do śmierci, nie wiadomo w czyje ręce trafiło to lustro później. Z pewnością było bardzo stare, gdyż wspominał o nim Stefan, jako o rzeczy wartościowej. Przy podziale majątku mogło trafić w ręce kapitana Wacława Niewiarowicza, którego Niemcy wysiedlili z jego domu w Gdyni w 1939 roku z jedną walizką. Wiele cennych pamiątek wtedy przepadło na zawsze.

Na zakończenie tego rozdziału spójrzmy, z kim utrzymywał kontakty Aleksander na początku XX wieku, gdyż zachowała się częściowo jego książka adresowa. Mamy tam, zatem Karolinę z domu Fleszner (córka Karola), primo voto Gromyko, secondo voto Niewiarowicz, czyli drugą żonę Jana

Niewiarowicza, która wychowała małego wówczas Aleksandra i jego siostrę Anastazję. Jak się wydaje to właśnie z Anastazją i jej mężem Antonim Siewrukiem mieszkała na stacji kolejowej linii romelsko-libawskiej, gdzie był zatrudniony Siewruk. Po śmierci Anastazji przeniosła się do syna Aleksandra, który mieszkał w Mohylewie. Drugi syn Włodzimierz Gawryłowicz Gromyko mieszkał w tym czasie w Homlu. Anastazja miała z Antonim Siewrukiem 4. synów urodzonych w latach 1872-1882. Imion żadnego z nich do tej pory nie znaleźliśmy, ale w książce adresowej odnajdujemy Marcina Kazimirowicza Siewruka, maszynistę kolei homelsko-libawskiej. Drugie imię wskazuje jedna, że ojcem jego był Kazimierz, zatem był to raczej brat Antoniego. Ale mogło to być drugie imię Marcina, gdyż Aleksander robił podobne błędy przy innych zapiskach. Marcin był już dorosłym człowiekiem i mógł pracować, jako maszynista. Później Aleksander Gromyko przenosi się nad Wołgę do Samary, ale prawdopodobnie tylko na okres ukończenia kursów z buchalterii.

Konstanty Gerret (wg pisowni z książki adresowej) mieszkał w stolicy przy ulicy Hożej nr 26, a jego ojciec prawdopodobnie pod nr 11. Nic dziwnego zatem, że i rodzina Niewiarowiczów wynajęła tam mieszkanie tyle, że pod nr 36. I wreszcie współnik Aleksandra w interesach Roman Niewiadomski mieszkał przy Alejach Jerozolimskich nr 63, mieszkania 5. Inny jego adres, prawdopodobnie z okresu budowy linii kolejowej, to stacja Mrozy Terespolskie. Linia warszawsko-terespolska powstała już w roku 1867, więc w grę wchodzić mogły jedynie prace remontowe lub budowa drugiego toru. Jak wszystkie linie na wschód od Warszawy, była to kolej szerokotorowa. W roku 1896 połączono ją z koleją Nadwiślańską.

Aleksander pozostawał w Warszawie tylko z powodu swego syna Stefana, który uczył się w Szkole Technicznej. Gdy ją w roku 1904 ukończył, podjął pracę w cukrowni Młodzieszyn Fabryczny i mógł się usamodzielić. Waclaw w roku 1901 ukończył szkołę morską w Odessie i przez rok pływał na brytyjskim statku żaglowym nabywając praktyki i szlifując język angielski. Od roku 1902 pływał na statkach handlowych Rosji odbywając w międzyczasie szkolenie wojskowe w carskiej marynarce wojennej. Mieszkał cały czas w Odessie, gdzie w końcu wyjechał także jego ojciec, gdyż były tam większe możliwości zdobycia kontraktów na budowę lub remonty linii kolejowych. W Odessie przetrwają aż do rewolucji bolszewickiej.

7

W ostatnim rozdziale tej książeczki opiszę dalsze losy wszystkich opisywanych tutaj postaci, aby zamknąć otwarte wątki. Jako, że wiek XX był wiekiem walk o wolność i czasem dwóch krwawych wojen światowych. Nie było Polaka, na którego losy nie wpłynęłyby wojny i ruchy rewolucyjne, także te dziejące się w wieku XIX. Bohaterowie tej opowieści także walczyli i ginęli za Polskę. Cierpieli w więzieniach i kazamatach hitlerowskich i stalinowskich. Albo po prostu wypełniali swoje obowiązki zmobilizowani w czasie wojennym.

Wspomnę też o początkach rodziny Pade, które odkryłem dopiero niedawno.

Piękną kartę walk o wolność ojczyzny otwiera Ludwik Szletyński, który był oficerem w wojsku Królestwa Polskiego i wziął udział w powstaniu listopadowym, co zostało opisane w poprzednich rozdziałach. Później jednak wiernie służył w policji carskiej swoją gorliwością i dążeniem do awansów budząc niechęć swoich rodaków. Czy mamy prawo nazywać go kolaborantem i sługusem opresyjnego caratu? Z pewnością nie, gdyż jak każdy człowiek miał on przecież prawo założyć rodzinę i pracować na jej utrzymanie. Perspektywa odzyskania niepodległości po przegranym powstaniu listopadowym była nikła, a historia pokazała, że trzeba było czekać na wojnę pomiędzy

zaborcami przez długie dziesiątki lat. Zgodnie z doktryną margrabiego Wielopolskiego Polacy mieli walczyć o zachowanie narodowości i poszerzenie autonomii, ale w ramach istniejącego systemu zaborczego, a nie poprzez zbrojne wystąpienia, które nie miały szans powodzenia i narażały naród na niepotrzebne cierpienia. Wielopolski był rówieśnikiem Ludwika Szletyńskiego, w czasie powstania 1831 roku był posłem na sejm powstańczy, odbył też misję dyplomatyczną do Londynu. Po upadku powstania był na emigracji w Dreźnie, a po uzyskaniu amnestii powrócił do kraju. Jego poglądy z pewnością bliskie były Ludwikowi Szletyńskiemu, dlatego stał się on lojalistą i poplecznikiem aparatu represji. Nie przestał jednak być patriotą, swoje dzieci wychowywał w duchu głębokiej miłości do ojczyzny w wierze, że odzyska ona kiedyś upragnioną niepodległość. Jak się przekonamy wychowanie dało rezultaty i z rodziny tej wyrósł niejeden bohater walk z ciemiężcami Polski.

W powstaniu styczniowym walczył Julian Liszko urodzony w roku 1832, brat Józefa, męża Konstancji Eborowicz. Musiał być bohaterem tych walk, gdyż zamiast mogiły wzniesiono mu i jemu nieznanemu towarzyszowi broni imponujący kurhan, widoczny na zdjęciu zamieszczonym na str. 58. Nie znamy niestety szczegółów jego walk z wojskami cara, ani też kiedy i gdzie poległ. W rodzinie zachowała się tylko stara fotografia, z której po wielu staraniach odczytałem imię i nazwisko tego powstańca. Zrozumiałem wtedy, dlaczego ta fotografia była przechowywana przez ponad 100 lat w naszej rodzinie.

Znacznie więcej wiemy o Jerzym Szletyńskim poległym w walkach I Brygady Legionów Józefa Piłsudskiego w maju 1915. Był on wnukiem Ludwika Szletyńskiego, synem Mikołaja i Zofii z Daszewskich. Oboje rodzice bardzo mocno inwestowali w przyszłość swoich dzieci. Starali się jak najlepiej zadbać o ich wykształcenie. Dom rodzinny w bardzo mocnym stopniu wypełniony był duchem patriotycznym. Jerzy uczył się w Prywatnym Gimnazjum Męskim Zgromadzenia Kupców w Łodzi, później w Gimnazjum J. Radwańskiego. Od 14 sierpnia 1908 do 23 listopada 1909 r. przebywał w Krakowie. Tu przygotowywał się do matury, jednocześnie działał i uczestniczył w szkoleniach organizowanych przez tamtejszy ruch niepodległościowy. Po powrocie do Łodzi zaangażował się w działalność w łódzkim ruchu niepodległościowym. 1 marca 1914 został aresztowany przez policję carską w momencie prowadzenia zajęć terenowych drużyny harcerskiej. W więzieniu przebywał do 28 marca 1914 r.



30. Jerzy Szletyński

Grupa blisko 30 harcerzy, na czele z J. Szletyńskim zgłosiła się na akcję werbunkową do komendantury Wojsk Polskich przy ul. Mikołajewskiej 44 (obecnie Sienkiewicza). Pod dowództwem por. Panienki wyruszyli oni 28 października 1914 r. z Łodzi dołączając do I Brygady. W czasie działań zbrojnych pod Konarami zginął 25 maja 1915 J. Szletyński. Dostał się do niewoli sowieckiej i zginął w roku 1940 w Katyniu. Jego żona i córka zostały rozstrzelane przez Niemców w pierwszych dniach powstania warszawskiego. Pośmiertnie został odznaczony Krzyżem Walecznych i Krzyżem Virtuti Militari. Nie miał skończonych 21. lat.

Także starszy o rok brat Jerzego Stefan Szletyński działał w ruchu niepodległościowym, w roku 1918 brał udział w rozbrajaniu Niemców i opanowaniu w Łodzi ważnych punktów. Potem walczył w wojnie bolszewickiej w 1920 roku. W 1923 roku ożenił się z Jadwigą Wocalewską (1890-1944, córką Bolesława Tadeusza i Anny Zakrzewskiej), która podobnie jak i on, działała w ruchu harcerskim. W roku 1939, jako porucznik rezerwy, został zmobilizowany i walczył z Niemcami. Dostał się do niewoli sowieckiej i zginął w roku 1940 w Katyniu. Jego żona i córka zostały rozstrzelane przez Niemców w pierwszych dniach powstania warszawskiego.

Represjonowany przez UB był także syn Stefana Andrzej Szletyński ur. w r. 1932. We wrześniu 1949 r. wstąpił do organizacji niepodległościowej „Związek Białej Tarczy”, której został przywódcą. W dniu 24 czerwca 1950 na skutek rozpracowania organizacji przez Urząd Bezpieczeństwa został aresztowany. W procesie przed Wojskowym Sądem Rejonowym został skazany z art. 86 paragraf 2 Kodeksu Karnego Wojska Polskiego na karę 15 lat więzienia i 5 lat pozbawieni praw obywatelskich, „za próbę obalenia ustroju ludowo – demokratycznego przemocą”. W więzieniu przebywał w Łodzi, Rawiczu i Jaworznie do listopada 1954 r. Jak widać rodzina ta złożyła wielką ofiarę na ołtarzu niepodległego bytu naszej Ojczyzny.

Piękną kartą bojową poszczycić się może Stefan Juliusz Maria Liszko urodzony w roku 1892 w guberni łomżyńskiej, który był wnukiem Konstancji Eborowicz i Józefa Higinia Liszko. W 1914 wstąpił do Legionów Polskich; służył w 2. szwadronie Legionów, który pod dowództwem rtm. Zbigniewa Dunin-Wąsowicza szarżował 13 czerwca 1915 roku pod Rokitną. Walczył następnie w kampanii bukowińskiej i wołyńskiej. Po odzyskaniu niepodległości służył jako młodszy oficer w szwadronie konnym żandarmerii rtm. Henryka Tarło, który to po połączeniu z szwadronem konnym Ziemi Lwowskiej "Wilki" stał się I. dywizjonem 3. pułku strzelców konnych i w czasie kampanii 1920 roku stanął kawalerią dywizyjną 6. Dywizji Piechoty. W 1920 roku Stefan Liszko został mianowany rotmistrzem. Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej pełnił funkcje dowódcy szwadronu 5. pułku strzelców konnych. W roku 1927, jako major został przeniesiony na stanowisko kwatermistrza 26. pułku ułanów wielkopolskich; dwa lata później objął funkcje zastępcy dowódcy w 6. pułku ułanów kaniowskich. W roku 1930 został awansowany do stopnia podpułkownika i mianowany dowódcą ułanów kaniowskich. W 1937 roku otrzymał awans na pułkownika. Dowodził pułkiem w kampanii 1939 roku walcząc w bitwie nad Bzurą i obronie Warszawy. Następnie był jeńcem niemieckiego oflagu w Murnau, a po oswobodzeniu w 1947 roku powrócił do Polski. Zmarł w roku 1991 w Warszawie, przeżył więc blisko 100 lat w ciągłej walce o wolność Polski. Był więc Stefan Liszko świadkiem historii XX. wieku, a swoją karierą oficerską nawiązał do pięknej tradycji rodzinnej swego stryjecznego dziadka, który poległ jako bohater powstania styczniowego.

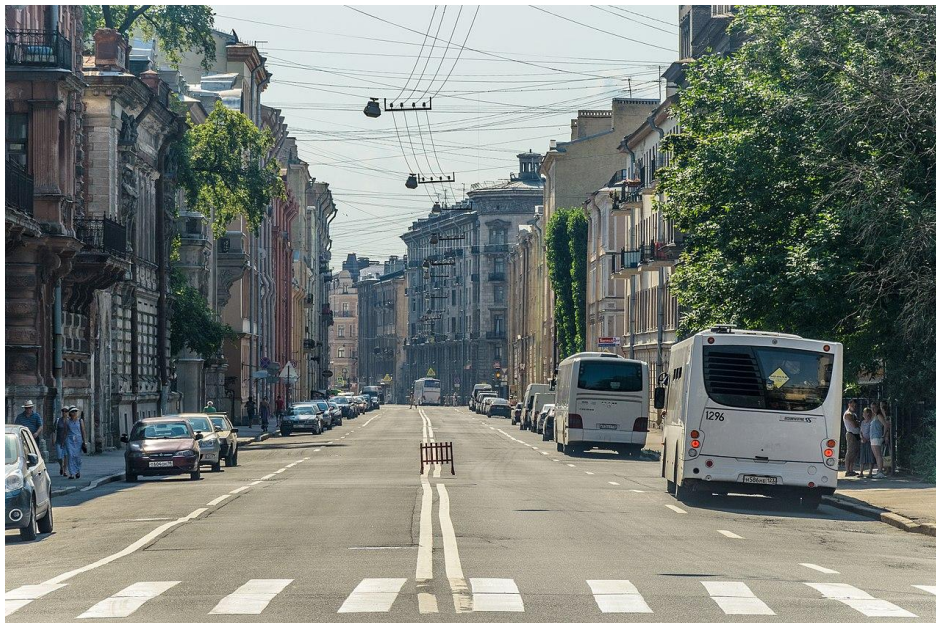
W powstaniu warszawskim w r. 1944 walczył ppor. Tadeusz Chromecki (ps. "Bieske", "Doktor"), syn Mariusza i Jadwigi Eborowicz ur. 07.VIII. 1904 r. w Czarnożyłach). Jego konspiracyjny przydział to Delegatura Rządu na Kraj - Departament Spraw Zagranicznych "Moc", pewnie w związku z jego przedwojenną karierą dyplomatyczną. Oficer ten walkę w konspiracji i w powstaniu przeżył, pracował nawet, jako dyrektor Departamentu Zachodniego w MSZ w r. 1947, ale wkrótce potem został aresztowany i ostatecznie skazany na 12 lat więzienia w procesie biskupa Kaczmarka w roku

1953. W maju 1956 r. ogłoszono amnestię dla więźniów politycznych, która objęła także Tadeusza Chromeckiego. Jednak krótko po opuszczeniu więzienia popełnił on samobójstwo.

Bracia Jerzy Włodzimierz i Julian Aleksander Eborowiczowie urodzili się o 11 lat wcześniej, aniżeli płk. Stefan Liszko i dlatego ich kariery wojskowe przebiegały odmiennie. Jako poddani cara i maturzyści musieli odbyć najpierw jednoroczną służbę wojskową. Prześledzimy ich kariery na przykładzie Juliana Aleksandra. Uczęszczał on początkowo do gimnazjum w Radomiu, a następnie w Warszawie (1890-94). Jednoroczną służbę wojskową w elitarnym, gwardyjskim pułku Siemionowskim bracia odbyli w latach 1900-01 uzyskując stopień chorążego.

Następnie Julian ukończył szkołę handlową w Charkowie, a w latach 1901-03 studiował na wydziale matematyczno-fizycznym Uniwersytetu w Petersburgu. Równocześnie studiował archeologię. Jak widać Julian (i zapewne jego brat) posiadali szerokie spektrum zainteresowań. Ostatecznie obaj bracia podjęli studia prawnicze, gdyż trudno byłoby wyżyć z samej archeologii. Wydział Prawa Uniwersytetu w Sankt Petersburgu bracia ukończyli w r. 1908 i od razu podjęli starania o uzyskanie uprawnień adwokata.. Aby zostać zaprzysiężonym adwokatem trzeba było wprawdzie odbyć rodzaj aplikacji (помощник присяжного поверенного) u pełnoprawnego adwokata. Asystent adwokata zwykle już po kilku miesiącach mógł samodzielnie występować przed sądem, o ile posiadał pełne, uniwersyteckie wykształcenie prawnicze. Ale np. Włodzimierz Uljanow (Lenin), którego wyrzucono z wyższej uczelni w Samarze za nieprawomyślność, zdał egzaminy eksternistycznie i już po dwóch miesiącach asystentury bronił oskarżonych w sądzie. Jako, że zdał owe egzaminy celująco otrzymał od razu dyplom I stopnia.

Braciom zajęło to trochę więcej czasu, ale już od roku 1908, w wieku 27 lat, mogli prowadzić swoje samodzielne kancelarie adwokackie. Do uzyskania uprawnień przysiężonego adwokata konieczna była 5. letnia praktyka sądowa zakończona stosownym egzaminem. Ponieważ w Rosji brakowało adwokatów ich asystenci dość szybko się usamodzielniali. Oczywiście istniała też kategoria asystentów, którzy nie posiadali wykształcenia i jedynie pomagali prowadzić kancelarię adwokatowi. Jerzy otworzył swoją kancelarię przy Prospekcie Angielskim 45 w centrum administracyjnym Petersburga (foto).



Jest to długa na 1,5 km ulica, która łączy dwie rzeki: Fontankę i Mojkę. Natomiast Julian posiadał kancelarię przy ulicy Wierejskiej nr 2, także w centrum Petersburga. Udało mi się dotrzeć do korespondencji braci w sprawie spadkowej rodziny Węgrzeckich, którą wspólnie prowadzili w r. 1910. Nie udało się jej zakończyć przed wybuchem I wojny światowej. Natomiast z pewnością obaj bracia uzyskali w tym czasie pełne uprawnienia adwokackie. W tych latach bracia prowadzili wspólnie tę sprawę spadkową nie pobierając opłat od rodziny Węgrzeckich. Honorarium miało być wypłacone po pomyślnym zakończeniu sprawy.

Oprócz świetnego wykształcenia Julian (zapewne także i Jerzy) znał biegle rosyjski, niemiecki, francuski i angielski.

Jerzy Włodzimierz walczył po wybuchu rewolucji bolszewickiej w polskich formacjach zbrojnych na Wschodzie. W październiku 1918 roku trafił do niewoli, z której został zwolniony w grudniu i w tym samym czasie wrócił do Polski. Będąc nadal w służbie czynnej w stopniu kapitana został zatrudniony, jako radca prawny w Departamencie Gospodarki Ministerstwa Spraw Wojskowych. W styczniu 1928 roku przeniesiono go do rezerwy w stopniu majora. Z akt wojskowych wynika, że za zasługi w służbie otrzymał między innymi Krzyż Walecznych, Złoty Krzyż Zasługi, Medal „Polska Swemu Obrońcy” oraz Medal „De la Victoire”. Po przejściu do cywila Jerzy pracował, jako adwokat w Warszawie, choć wydaje się, że jeszcze nosząc mundur prowadził prywatną praktykę za zgodą władz wojskowych. Żonaty z Aleksandrą Winogradow-Grodzką mieszkał przy Marszałkowskiej nr 48 i utrzymywał kontakty z ojcem Szymonem zamieszkałym przy ul. Pięknej.

Podobne były losy Juliana, który w r. 1919 awansował do stopnia kapitana (zapewne zaliczono mu stopień oficerski z armii carskiej), a już w następnym roku został podpułkownikiem z pominięciem stopnia majora. Bracia byli rówieśnikami gen. Sikorskiego oraz mieli doświadczenie frontowe, zatem ten awans nie był niespodzianką. Z akt wojskowych Juliana wynika, że został powołany do służby czynnej w swoim macierzystym Pułku Siemionowskim z dniem 17 stycznia 1915 roku. Wcześniej odbył trzy dwumiesięczne, szkolenia oficerskie w latach 1903, 1909 i 1914. Zwolnienie ze służby czynnej otrzymał 6 maja 1917 r. z powodu odniesionych ran. Walczył zatem 2,5 roku. Jego pułk był najbardziej znienawidzonym pułkiem przez bolszewików, gdyż z czasem przeszedł na stronę białogwardystów i walczył przeciwko rewolucji.

W 1919 Julian był podprokuratorem w sądzie wojskowym okręgu Lublin, a po kilku miesiącach został referentem prawnym dowództwa okręgu. Dość krótko był prokuratorem wojskowym w Łodzi (1920), a potem w Grodnie. Jeszcze w tym samym roku został sędzią wojskowym w Poznaniu, gdzie się osiedlił na stałe. Został przeniesiony w stan spoczynku z dniem 31 sierpnia 1929 r., a więc na 10 lat przed wybuchem wojny. Jego brat Jerzy odszedł z wojska kilka lat wcześniej w stopniu majora i pracował, jako adwokat w Warszawie.

Z chwilą wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku został on zmobilizowany, początkowo był bez przydziału ze względu na wiek, ale po 7 września otrzymał przydział do sądu polowego 39. Dywizji Piechoty Rezerwowej. Dywizja ta w pierwszych dniach września miała się koncentrować w rejonie Gór Świętokrzyskich, lecz dopiero 6 września jej pododdziały zaczęły napływać w rejon środkowej Wisły. W miarę koncentracji obsadzały one mosty i przeprawy na Wiśle. Formowanie dywizji zakończyło się ostatecznie ok. 10 września i otrzymała ona rozkaz obrony odcinka Dęblin-Kazimierz Dolny. Wchodziła wówczas w skład Armii "Lublin" gen. Tadeusza Piskora. Z powodu choroby dowódcy dywizji w rzeczywistości dowodził nią płk Bronisław Duch. 14. września – po zniszczeniu materiału wojennego w głównej składnicy uzbrojenia w Stawach i spaleniu benzyny lotniczej w magazynach w Dęblinie – dywizja odeszła w rejon Chełma. Po 20 września jednostki tej dywizji znalazły się w rejonie Tyszowiec, a wraz nimi major Eborowicz. W tym czasie trwała już agresja Frontu Ukraińskiego Armii Czerwonej dowodzonego przez Siemiona Timoszenkę. Zadaniem frontu

było opanowanie południowo-wschodnich ziem RP od Prypeci na północy do granicy Polski z Rumunią i Węgrami, a następnie wyjść nad środkową Wisłę (na południe od Dębłina) i rubież Sanu do Przełęczu Użockiej. Walki z agresorem sowieckim były toczone jedynie przez oddziały Korpusu Ochrony Pogranicza w dniach 17-18 września, potem wydano rozkazy o zaprzestaniu oporu. Mjr. Eborowicz wiedział o zbliżających się oddziałach sowieckich i grożącym mu niebezpieczeństwie, ale nie zdecydował się na zdjęcie munduru. Jego kwatera znajdowała się w domu Andrzeja Jaremczuka w Zamłynie, miał do swojej dyspozycji samochód z kierowcą, ale zamiast uciekać w kierunku granicy rumuńskiej został na miejscu. Prawdopodobnie nie zdążył wyjechać z Zamłyna, gdyż nienapotykalne oddziały Armii Czerwonej poruszały się szybko, zajmując wyznaczone rejony. Razem z nimi szły eszelony NKWD, dla których wyłapywanie wyższych oficerów WP było zadaniem priorytetowym. Majora zadenuncjowała miejscowa Ukrainka Jantocha Białosiewicz i major został aresztowany na kwaterze, a przetrzymywano potem w kuźni Wiktora Czarneckiego pod strażą. 26 września przed południem odbyła się parodia rozprawy sądowej. Majorowi postawiono zarzut dowodzenia polskim oddziałem, który stawiał opór wojskom sowieckim. Nie pomogła perfekcyjna znajomość języka rosyjskiego przez polskiego oficera, wyrok był z góry przesądzony. Prowadzonego na egzekucję miejscowa Ukrainka miała oblać nieczystościami, krzycząc: „*Tak, tawariszcze, zabijcie tego Lacha i wszystkich Paliaczków!*”. Major Eborowicz został zabity przez oficera sowieckiego strzałem w tył głowy. Stało się to przy tylnej ścianie niedokończonego młyna, stojącego obok rowu przy drodze do Wojciechówki. Sowietci mieli ściągnąć z majora mundur i buty. Ciało zostawili na miejscu zbrodni. Majora pochowali na miejscowym cmentarzu mieszkańcy Zamłyna. Kowal Czarnecki przez kilka dni po tym nic nie robił w kuźni. Miał jednak do wykonania zaległe zlecenie na okucia do wozu. Zaczął wygarniać popiół. Były tam jakieś spalone papiery. W popiele znalazł skórzany mapnik. Były tam ryngraf z Matką Boską oraz adres majora. Zaniósł to do Stanisława Jachymka, swego kuzyna, prawnika. To on, napisał potem list do żony majora, do Warszawy.

Tragiczny los spotkał szofera majora Eborowicza – szeregowca Pawła Helmuta Prieba. Ten, wówczas 21. letni młodzieniec, urodził się w Kolonii nad Renem w Niemczech. Był synem Stanisława i Anny z Petniackich. Przed wojną był w Polsce taksówkarzem. Został zmobilizowany, wojsko wzięło też jego samochód. Tragicznego dnia zaparkował auto majora w Zamłynie. Poszedł do Jaremczuków. Tam został zabity bagnetem przez Sowietą, konał w mękach przez dwie godziny. Tragiczne wydarzenia, do których doszło na Zamłynie w czasach PRL, okryte były mrokiem. Na grobach wojskowych był jedynie napis, że kryją prochy bohaterów tragicznego września 1939 roku.

Dopiero 1 września 1989 r. w obelisk znajdujący się na cmentarzu wmurowano nową tablicę informującą, że żołnierze polegli w walce z Sowietami. Na anonimowych do tej pory grobach pojawiały się tablice z nazwiskami żołnierzy i ich przydziałem służbowym. Wtedy też jedną z tablic poświęcono majorowi Jerzemu Borowiczowi wskazując, jako datę jego śmierci 29 września 1939 roku. Błędy w nazwisku i dacie śmierci skorygowano po kilku latach.

Brat Jerzego, Julian początkowo zamieszkał w Warszawie i podobnie, jak jego brat, pracował w sądownictwie wojskowym. W roku 1919 jego syn Wacław urodzony w Petersburgu miał 4 lata, matką jego była Janina z domu Zdanowicz. Ale już rok później rodzina przeniosła się do Poznania, gdzie Julian pracował w VII. Wojskowym Sądzie Okręgowym w stopniu podpułkownika. Nie został on zmobilizowany w roku 1939, ale pozostał w Poznaniu i w czasie okupacji działał w konspiracyjnej organizacji „Ojczyzna”. Jej współzałożycielami byli m.in. Kirył Sosnowski ps. "Konrad", "Sępiński", ksiądz prałat Józef Prądyński, hrabia Adolf Bniński, Witold Grott, Czesław Kiełczewski. „Ojczyzna” miała charakter kadrowego ruchu społeczno-politycznego. Prowadziła głównie działalność propagandową, tajne nauczanie, samopomoc i akcje charytatywne wśród Polaków na ziemiach wcielonych do Rzeszy. Ważną rolę odgrywało przesyłanie do władz Polskiego Państwa Podziemnego

raportów sytuacyjnych dotyczących tych ziem. Po aresztowaniach w Poznańskim w latach 1941-1942 jej kierownictwo przeniosło się do Warszawy, gdzie zorganizowano Sekcję Zachodnią w Departamencie Informacji i Prasy oraz Biuro Ziem Zachodnich Delegatury Rządu na Kraj. W tym czasie Julian był już osadzony w Forcie VII w Poznaniu, skąd po śledztwie przewieziono go do obozu koncentracyjnego w Flossenbürgu (Bawaria). 9. kwietnia 1945 roku, na dwa tygodnie przed wyzwoleniem zamordowano w tym obozie członków niemieckiej opozycji antyhitlerowskiej, związanych z zamachem na Hitlera z dnia 20 lipca 1944, stracono m.in. Wilhelma Canarisa, Hansa Ostera i Dietricha Bonhoeffera. W zbliżonym czasie został rozstrzelany Julian Eborowicz uważany przez Niemców za główną postać konspiracji w Poznaniu.

Obaj bracia bliźniacy zginęli z rąk dwóch najeźdźców: hitlerowskiego i bolszewickiego, obaj zginęli zamordowani strzałami w tył głowy. Jeden poległ na początku wojny, choć można przypuszczać, że gdyby dostał się do niewoli sowieckiej, zginąłby nieco później w Katyniu. Drugi brat nie doczekał końca wojny zamordowany w obozie koncentracyjnym, gdzie przebywał z wyrokiem śmierci od 1943 roku. Kolejna wielka ofiara złożona na ołtarzu ojczyzny. Syn Juliana Waclaw został księdzem i na nim ta męska linia rodowa wygasła. Zmarł on w roku 1992 w miejscu zamieszkania autora tej książeczki.

Dziwny zbieg okoliczności, który doprowadził do rozpoczęcia badań nad losami tej rodziny spowinowaczonej z naszą. W tym samym bowiem czasie ustalałem miejsce zgonu i pochówku Zofii Niewiarowicz, córki Józefa Chmielowskiego i Felicjanny Eborowicz, której losy zostały już dosyć szczegółowo opisane. Zostawiliśmy ją w Odessie, gdzie udała się wraz z mężem i gdzie mieszkał ich syn Waclaw. Ponieważ dużo czasu spędzał na morzu widywali się niezbyt często. Nie znali też początkowo narzeczonej Waclawa Ireny Biełogurowej. Urodziła się ona w roku 1896 w Nikołajewie w guberni Chersońskiej. Ojcem jej był Ukrainiec Nikifor Andrejewicz Biełogurow, a matką Rosjanka Tatiana Stefanowa, oboje wyznania prawosławnego. Po ukończeniu miejscowej szkoły elementarnej Irena wyjechała w r. 1914 do Odessy, gdzie zamieszkała razem ze swoją koleżanką z Nikołajewa. Pracowała, jako kelnerka, w jednym z licznych lokali w dzielnicy portowej i tam poznała Waclawa Niewiarowicza, młodego porucznika floty handlowej. Spotykali się dosyć rzadko, w czasie krótkich postojów statku Waclawa w porcie. Rewolucja bolszewicka 1917 roku wprowadziła chaos i bezprawie w mieście i jego okolicach. Okupacja niemiecka rozpoczęła się tutaj w lutym 1918 roku, a potem szło przez ten port zaopatrzenie dla interwencji alianckiej przeciwko bolszewikom. Tymczasem wobec coraz większego zagrożenia Polski przez spodziewaną ofensywę bolszewików, marszałek Józef Piłsudski interweniował u marszałka Ferdinanda Focha w celu sprowadzenia 4 Dywizji Strzelców Polskich do kraju. W rezultacie gen. A. Denikin otrzymał rozkaz wysłania całej formacji do Odessy i do stycznia 1919 przetransportowano tam wszystkich polskich żołnierzy. Po przybyciu do Odessy gen. L. Żeligowski rozwiązał Dowództwo Wojsk Polskich na Wschodzie i Samodzielną Brygadę Strzelców Polskich, a na ich miejsce utworzył dowództwo 4 Dywizji Strzelców Polskich na czele, której sam stanął. 3 grudnia 1918 oddziały ukraińskie Semena Petlury zdobyły Odessę w związku, z czym 4 Dywizja Strzelców Polskich została zepchnięta do portu, gdzie broniła się do czasu przybycia 18 grudnia desantu francusko-greckiego, weszła wtedy w skład francuskiego korpusu interwencyjnego dowodzonego przez gen. d'Anselme'a. W wyniku wspólnej akcji miasto zostało w ciągu kilku dni odzyskane. Warto dodać, że w ramach polskiej dywizji brał udział w walkach porucznik Jerzy Włodzimierz Eborowicz, ale do Odessy nie dotarł, gdyż w październiku 1918 roku dostał się do niewoli ukraińskiej. Gdy wojska bolszewickie pod koniec marca przeszły do ofensywy, atakując Odessę, a Francuzi i Grecy zostali ewakuowani, gen. L. Żeligowski skorzystał z praw alianckich przysługujących jego wojsku i podpisał umowę z wojskami "białych" na mocy, której przeszedł w kwietniu przez Dniestr do Rumunii. Po wejściu do Besarabii dywizja otrzymała zadanie obrony odcinka Dniestru, z którego wywiązała się pomyślnie. W dniu 23 maja 1919 została

zluzowana przez dywizję grecką, a 26 maja 1919 roku skierowana do Polski. Była to jedyna wielka jednostka wojskowa, która zdołała wydostać się z Rosji w szyku bojowym i z bronią. Wobec ofensywy bolszewików Aleksander Niewiarowicz zdecydował się opuścić to miasto i wrócić do niepodległej już od kilku miesięcy Polski. Zgłosił się do działającego w Odessie konsulatu polskiego i tam otrzymał dokument zwany „Świadectwo Obywatelstwa Państwa Polskiego” z datą 15 marca 1919 roku. Zostało ono wydane na podstawie paszportu rosyjskiego wydanego przez zarząd gminy Jaszczów z 24 października 1889 roku za nr 285. Zgodę na wyjazd otrzymał Aleksander dopiero pod koniec listopada, ale ostatecznie ewakuował się do kraju w lutym 1920 r. W tym samym czasie wraca do Polski Wacław, który nie zgodził się pracować w radzieckiej focie i dlatego początkowo bolszewicy nie chcieli go wypuścić z Odessy. Wcześniej jednak oddał nowej władzy wiele cennych usług przy odblokowaniu i rozminowaniu portu oraz uruchomieniu przeładunków, co zdecydowało o daniu mu zgody na wyjazd. Wcześniej musiał jeszcze przeszkolić grupę pilotów, którzy mieli dla nowej władzy pilotować wpływające do Odessy statki. W Polsce Wacław nie przebywał długo, gdyż zrujnowany wojnami kraj nie posiadał floty handlowej, a on miał niedawno poślubioną żonę Irenę, którą wywiózł z Odessy. Wyjechał więc do Marsylii, gdzie bez trudu uzyskał zatrudnienie, jako kapitan parowca kursującego do portów francuskiej Afryki Północnej. Na morzu spędził przedtem 20 lat i zawsze miał doskonałe opinie. Dzięki temu mógł dobrze zarabiać we Francji, ale gdy tylko zacznie powstawać flota handlowa w Polsce wróci do kraju przyprowadzając jeden z pierwszych statków handlowych. Był to *s/s „Kraków”* – masowiec zbudowany w roku 1925 we francuskiej stoczni Chantiers Navais Francais Blainville w Caen. Bliźniaczymi statkami były *s/s „Wilno”*, *s/s „Katowice”*, *s/s „Poznań”* oraz *s/s „Toruń”*. Statki te nazywane były, ze względu na pochodzenie, francuzami i pływały pod banderą Żegluga Polskiej. Stefan Niewiarowicz po ukończeniu stojącej na wysokim poziomie Szkoły Technicznej w Warszawie odbył staż w cukrowni Młodzieszyn, tam też poznał swoją przyszłą żonę Aleksandrę Pade, córkę pracownika tej samej cukrowni Leona Pade i Józefy z domu Milewskiej. W Młodzieszynie pracował do 1 maja 1909 roku, poczym został zatrudniony na wyższym stanowisku w cukrowni Cielce. Z Aleksandrą był zaręczony, ale na ślub musieli poczekać do czasu poprawy materialnego statusu Stefana. Od września 1911 roku Stefan pracował w cukrowni Zbiersk pod Kaliszem na stanowisku szefa laboratorium, co dawało już znacznie lepsze zarobki i można było pomyśleć o ślubie z długoletnią narzeczoną Oleńką. Podobała się mu także jej młodsza o 8 lat siostra Izabella, ale to najstarsza córka musiała wpieryć za mąż i Stefan się z tym pogodził. Ślub ich odbył się w samym środku gorącego lata, czyli 15 lipca 1913 roku w kościele św. Piotra i Pawła w Warszawie. Jako adres domu weselnego narzeczeni i rodzice podali kamienicę przy ulicy Pięknej nr 4, gdzie najpewniej faktycznie mieszkali spokrewnieni Gerrethowie. Była to bardzo wytworna kamienica o ciekawej historii.



31. Ulica Piękna w r. 1913-w głębi po lewej kamienica nr 4

Zanim kamienica stała się własnością hr. Gustawa Tarnowskiego, należała do rosyjskiego dyrektora Banku Polskiego Aleksandra Krauzego. To on w 1865 r. zbudował willę przy Pięknej 6 na terenie rozparcelowanego ogrodu. Wkrótce, już w latach 70. XIX wieku, Krauze rozparcelował resztę ogrodu od strony narożnika Wiejskiej z Piękną i Instytutową, czyli dzisiejszą Matejki. Wyciął też drzewa i zbudował w ich miejscu trzy kamienice. Jedną u zbiegu z Instytutową, dwie inne - wzdłuż Pięknej. Kamienice powstały w celach spekulacyjnych i od razu były przeznaczone na sprzedaż. Tak trafiły w ręce jednego z najbogatszych rodów arystokratycznych ówczesnej Polski.

Kamienica przy Pięknej 4 miała dwa piętra i elewację zwróconą także w kierunku willi Krauzego. Jej narożnik został od tej strony zaakcentowany belwederkiem. Podobnych budynków z oknami zwróconymi ku zieleni, pozbawionych mrocznych podwórek studni, bardzo luksusowych było w ówczesnej Warszawie niewiele. W kamienicy mieszkali zdziwaczale hrabiny, a także zupełnie niezwykła Hiszpanka, o której wiemy na pewno, że mieszkała tam także w roku 1913. To hiszpańska poetka, prozaiczka i działaczka feministyczna Sofia Perez Eguia y Casanova Lutostawska. W latach 30. wymieniano ją nawet, jako kandydatkę do Pokojowej Nagrody Nobla. W Polsce mieszkała od 1887 r., kiedy to wyszła za mąż za Wincentego Lutostawskiego, profesora filozofii, poliglotę, dziennikarza, mesjanistę i działacza narodowego. Miała z Lutostawskim cztery córki. Małżeństwo jednak się rozpadło. Lutostawski rozwiódł się z nią i pomimo nadal ważnego ślubu kościelnego z Sofią w 1913 r. (ten sam rok!) i ponownie ożenił się z Wandą Paszyńską. W kamienicy przy ul. Piusa XI - jak przed II. wojną nazwano Piękną – Sofia mieszkała prawdopodobnie do 1944 r. Podczas Powstania Warszawskiego budynek spłonął. Po wojnie już go nie odbudowano. Dziś w tym miejscu znajduje się skwer tuż obok ambasady Kanady. Sofia żyła prawie 100 lat, pozostała w Polsce, gdzie zmarła w roku 1958.

W tej stylowej kamienicy zamieszkali czasowo nowożeńcy wraz z Zofią Niewiarowicz, gdyż matka panny młodej Józefa Pade z mężem Leonem po uroczystości ślubnej wrócili to Młodzieszyna. Aleksander przebywał w Odessie, skąd wysłał 50 rs w charakterze prezentu ślubnego. Na Piękną nr 4 przyszło ogółem 17 depez z życzeniami dla młodej pary, jedna z Marsylii, kolejna z dalekiego Kurska w Rosji. Tam mieszkała sędziwa matka Zofii Felicjanna Chmielowska wraz z synem Julianem, który znalazł zatrudnienie z zakładzie produkującym dachówki u nieznanego mi wcześniej Kepelmana. Musiał to być Jan Leopold Kepelman (syn Jana, ur. ok. 1870), którego matką była Marianna Krajewska. Poślubił on Eufrozynę Władysławę Chmielowską w Chelmie (lubelskie) w r. 1895. Należał zatem do rodziny i dlatego zatrudniał jej członków.

W tym czasie nie było wiadomo, gdzie przebywa i co robi siostra Zofii Józia, nam też ginie ona z horyzontu, gdyż po roku 1913 nie znajdujemy żadnych wzmianek na jej temat. Po tygodniu pobytu w stolicy Zofia wraz z synem i jego żoną wyjechali do Zbierska, gdzie Stefan miał duże mieszkanie służbowe z ogrodem, który niezwłocznie zagospodarowała Oleńka. Trzymała też tam kury, choć przecież zarobki Stefana w tym czasie były już znaczne i nie było potrzeby uzupełniania domowego budżetu. Po prostu lubiła coś robić, od rana krzątała się w domu, potem w ogrodzie, zawsze czymś zajęta. Taką ją też pamiętam ze Wschowy, gdzie mieszkała ze Stefanem w latach 1950-59, czyli do śmierci w wieku lat 73. Natomiast Felicjanna zmarła w dalekim Kursku przed wybuchem rewolucji bolszewickiej i tam została pochowana. Dalszych losów jej syna Juliana Chmielowskiego, utalentowanego malarza, nie udało się na razie ustalić.

Cztery lata po tym ślubie dom przy ul. Pięknej 4 gościł znowu liczne grono gości weselnych. Za mąż wyszła córka Konstantego Geretha i Felicji z d. Eborowicz. 18 stycznia 1917 roku przed ołtarzem w parafii św. Aleksandra stanęli: Jan Osterman, z zawodu inżynier mechanik liczący sobie lat 27 oraz Helena Władysława Gereth lat 24. Pan młody był synem ziemianina z okolic Wilna Ryszarda Teodora Ostermana, osadnika niemieckiego w trzecim pokoleniu, którego rodzina zachowała wyznanie ewangelickie, co stanowi zwykle istotną przeszkodę w zawarciu związku małżeńskiego do dnia dzisiejszego. Problem ten rozwiązano poprzez dyspensę udzieloną w dniu 10 stycznia przez Warszawski Konsystorz Generalny, czyli organ kościoła ewangelicko - augsburskiego. Z kościołem katolickim też były problemy, na co wskazują wymienione w akcie ślubu upoważnienia i zezwolenia wydane zwykłemu wikaremu, który ślubu tego udzielał, a który był z innej parafii. Świadkiem na tym ślubie był brat panny młodej Waclaw, z zawodu handlowiec oraz kupiec Antoni Ptaszyński. Jan Osterman przeżył swoją żonę, zmarł w roku 1969, a Helena 10 lat wcześniej. Mieli syna Janusza zmarłego 12 czerwca 1997 roku. Najkrócej żył Waclaw Gereth, który zmarł w marcu 1947 roku. Trzy lata potem zmarła jego matka Feliksa, a ojciec Konstanty odszedł pod koniec roku 1944, czyli jeszcze w czasie wojny. Przed wybuchem powstania w lipcu 1944 Geretowie wyjechali do Milanówka, gdzie zamieszkali u krewnych, dzięki czemu przeżyli represje niemieckie. Tam też zmarł Konstanty pochowany obecnie na cmentarzu Powązkowskim wraz z żoną.

Kolebką Ostermanów było niemieckie hrabstwo krajowe Hesja-Darmstadt przekształcone przez Napoleona w Wielkie Księstwo Hesji w roku 1806. Ponieważ Hesja-Darmstadt była członkiem stworzonego przez Napoleona Związku Reńskiego, decyzją kongresu wiedeńskiego z 1815 roku zmuszona została do oddania znaczącej części swego terytorium. Terytorium księstwa Westfalii, które Hesja-Darmstadt otrzymała po reorganizacji ziem Cesarstwa Niemieckiego w 1803 roku (tzw. *Reichsdeputationshauptschluss*), zostało wcielone do Prus. Częściową rekompensatą tych strat było włączenie do Wielkiego Księstwa ziem na zachodnim brzegu Renu wraz z Moguncją. Na kongresie wiedeńskim postanowiono, że musi je oddać, ale jako rekompensatę dano mu tereny tzw. *Rheinessen* (Hesja Reńska), z miastem Moguncja.

W 1867 roku północna część Wielkiego Księstwa (*Oberhessen*, tzn. Górna Hesja) stała się częścią Związku Północnoniemieckiego (*Norddeutscher Bund*), podczas gdy druga połowa Wielkiego Księstwa, leżąca na południe od rzeki Men (Starkenburg i Hesja Reńska zwana *Rheinessen*) pozostały poza tym związkiem. W 1871 roku Wielkie Księstwo Hesji stało się częścią Cesarstwa Niemieckiego.

Ostatni wielki książę Ernest Ludwik (wnuk królowej Anglii Wiktorii i brat cesarzowej Rosji Aleksandry) został zmuszony do opuszczenia swego tronu w końcu I wojny światowej, a księstwo, nad którym panował, zmieniło nazwę na *Volksstaat Hessen* (Ludowa Republika Hesji).

W XVII i XVIII wieku wielu Ostermanów należało do szlachty, ale byli też wśród nich kupcy czy jubilerzy. Jedną z gałęzi rodu wyemigrowała w tym czasie do Rosji dając początek linii rosyjskiej Ostermanów, ludzi bardzo majątnych i należących do arystokracji. To od nich wywodził się hrabia Aleksander Iwanowicz Osterman-Tołstoj (1772-1854). Po braciach babki ze strony ojca, którymi byli Fiodor i Iwan Ostermanowie odziedziczył tytuł hrabiowski oraz wielką fortunę. Mimo to hrabia Tołstoj nie opuścił szeregów armii i w roku 1798 był już generałem-majorem, a w roku 1805 otrzymał od cara stopień generała-porucznika. Służył w wojsku aż do roku 1826. Ostermanowie osiedlili się też w Polsce, potem w Królestwie Polskim. Tej linii dał początek Jerzy Henryk Osterman urodzony w heskim mieście Hanau w roku 1814, zmarły w r. 1874. Miał on za żonę Polkę Emilię Makarewicz, która urodziła mu trzy córki oraz syna Ryszarda (1858-1927). Poślubił on Marię Szczepańską (1860-1930) i z tego związku urodzili się m.in. Zenobia Osterman (1886-1943) oraz interesujący nas Jan Ryszard Osterman (1889-1969). Zenobia przyszła na świat w Petersburgu i w roku 1906 wyszła za mąż w Warszawie za Antoniego Józefa Ptaszyńskiego. Urodził się on w Suwałkach w roku 1880 i należał do szlachty ziemskiej herbu Leliwa. Niesiecki (1841) wymienia protoplastę rodu Jakuba, ale ten pieczętował się herbem Odrowąż, zm. w r. 1631. Próżno szukać Ptaszyńskiego w herbarzu Bonieckiego z 1889 r., pojawia się natomiast w opracowaniu dra Minakowskiego GENEALOGIA POTOMKÓW SEJMU CZTEROLETNIEGO. Ten sam niewątpliwie Antoni Ptaszyński występuje jako świadek na ślubie Jana Ryszarda Ostermana i Konstancji i Heleny Gerreth na początku roku 1917, ale tam zapisany został jako kupiec w aktach parafialnych. Z tego związku urodziły się dwie córki-Jadwiga Feliksa Osterman (1917-2005) z męża Morska oraz Jolanta Anna (1922-) z męża Hunter.

.....

Badając dzieje rodziny Pade dotarłem do Hieronima Pade, syna Józefa urodzonego w roku 1815. Wcześniej przeglądałem ponad 150 metryk urodzeń, zgonów i małżeństw ludzi noszących to nazwisko. Niektórzy z nich mieli bogate drzewa genealogiczne zbudowane przez ich potomków. Na tego właściwego trafiłem dopiero w roku 2020 i początkowo wiązałem go z zawodem leśniczego w Puszczy Bolimowskiej w dobrach hrabiego Adama Henryka Kajetana Krasińskiego (1821-1903) herbu Ślepowron i jego żony Karoliny hrabiny Mycielskiej (1825-1912) z Mycielina herbu Dołęga. Żoną Hieronima była także Karolina de domo Hoffman (1818-?), córka Karola Hoffmana. Przełomowym momentem było odkrycie aktu małżeństwa tej pary w archiwum archidiecezjalnym w Poznaniu (nr 1/1840). Wynika z niego, że Hieronim poślubił Karolinę na początku 1840 r. w Lesznie. O tym, co robił w Wielkim Księstwie Poznańskim dowiedziałem się z kroniki szkoły podstawowej w Dąbczu k/Rydzyny. Otóż był on tam kierownikiem szkoły w latach 1839-1848, przyczynił się do rozbudowy tej placówki i zapewne w niej nauczał. Nie znamy powodów, dlaczego opuścił tę szkołę i wyjechał na tereny zaboru rosyjskiego. Mogły to być przyczyny związane z udziałem w powstaniach wielkopolskich w latach 1846-1848. Dziwne to odkrycie, gdyż mój ojciec też był nauczycielem w sąsiednim powiecie gostyńskim tyle, że 90 lat później. Kierował szkołą w Sikorzynie w latach 1932-39, a wcześniej uczył w Pępowie. Pierwszą córką ze związku Hieronima z Karoliną była Ludwika urodzona prawdopodobnie ok. roku 1845 w Dąbczu, ale nie udało mi się zdobyć jej aktu chrztu. Jest jedynie akt małżeństwa z Janem Wieczorkowskim, ślusarzem z Żyrardowa zawarty w Wiskitkach 8 czerwca 1863 r. Cały ten dość skomplikowany akt można przeczytać na mojej stronie genealogicznej. Nie mamy dowodów, że w Dąbczu urodziły się inne dzieci tej pary. Poszukiwanie potomków tej pary jest trudne z powodu znacznej popularności tego nazwiska (upraszczanego czasami na Wieczorek). Minakowski w swoim WIELCY.p1 klasyfikuje kilkudziesięciu Wieczorkowskich, w tym sporą grupę herbu Bożezdarz, ale

żadna nie kojarzy się z potomkami Jana i Ludwiki. Nie ma też śladów ich dzieci w rejestrach GENETEKI. Być może niektóre z ich dzieci wyemigrowały oni do USA, gdyż występują w spisie z roku 1940. Wiemy napewno, że w styczniu 1866 urodziła się w Sokołowie pow. gostyniński Aleksandra Ewa Wieczorkowska, brak metryki, ale widnieje w spisie. Niestety zmarła on rok później we wsi Belno w pow. sokołowskim, gdzie widocznie mieszkali jej rodzice. Wiemy także o siostrze Jana Emilii urodzonej w r. 1850 we wsi Oryszew, parafia Szymanów, jej dalszych losów nie znamy.

Kolejne dzieci leśniczego Hieronima rodziły się już w Korytowie gm. Radziejowice. Zachował się akt chrztu Józefy Karoliny urodzonej 5 stycznia 1853 roku, który odbył się 9.01. Niestety brak śladów jej dalszego życia, małżeństwa czy dzieci. Widocznie nie dożyła wieku dojrzałego.

Kolejna córka Emilia znana jest nam z aktu małżeństwa z Janem Wojciechowskim (znowu szalenie popularne nazwisko) zawartego 29 listopada 1871 r. w Lesznie (Mazowsze). Jan był synem Marcina i Tekli Burzyńskiej. Adela Zofia, ich córka, urodziła się w r. 1872 w Radzikowie, parafia Rokitno, a Stanisława Julia 2 lata później. Nie są znane ich dalsze losy. Wiadomo, że Jan miał siostrę Konstancję, która wyszła za mąż za Józefa Szyszkiewicza. I na tym kończą się moje informacje o tym związku.

Ludwik Pade (lub Padee) urodził się 6 grudnia 1857 r. w Miedniewicach, a został ochrzczony już w roku następnym w parafii Szymanów. Nie wiemy dlaczego zmienił pisownię swego nazwiska. Być może dotarł do jakichś dokumentów dot. jego przodków? 8 lutego 1881 roku poślubił Helenę Berger, córkę Ludwika i Florentyny Kelmer. Rok później urodziła im się córka Zofia, a w 1886 syn Bolesław. Na początku 1908 roku poślubił on Władysławę Wasiak (c. Andrzeja i Weroniki Ciesielskiej), w 1912 wziął za żonę Cecylię Sokołowską (c. Jana i Franciszki Miłajek). Jego pierwsza żona zmarła w 1911 w Juliopolu k/Młodzieszyna. Jest tam zabytkowy cmentarz z XIX wieku, warto więc będzie sprawdzić tamtejsze pochówki.

Kornelię Pade poznajemy tylko z jej aktu małżeństwa (1876, Leszno Maz.) z Michałem Janiszewskim synem Jana i Konstancji Kołumowskiej. Z tego związku urodzi się w r. 1880 Euzebia Wanda, która poślubi Sylwestra Dionizego Dębskiego. Był on synem Jana Władysława (1846-1904) oraz Natalii Karoliny Bajgert. Miał starszą siostrę Stanisławę Eugenię Dębską (ur. 1875) zamężną z Henrykiem Felicjanem Kręckim (herbu własnego).

Przejdziemy teraz do mego bezpośredniego przodka, ojca mojej babki, czyli pradziadka Leona Adama Pade. Urodził się on w Korytowie 25 listopada 1855 roku o godz. 7 rano, ale chrzest jego odbył się dopiero w roku następnym tj. 4 czerwca 1856 r. Tak znaczne opóźnienie jest w metryce wyjaśnione "niebytnością ojca w kraju" i zostało one przyjęte przez proboszcza Antoniego Pruszyńskiego. Rodzicami chrzestnymi chłopca zostali państwo Adam i Karolina Krasieńscy, właściciele Radziejowic. Świadcami na tym chrzcie byli : Franciszek Ujejski, zastępca wójta gminy Radziejowice mający 33 lata oraz 40-letni Józef Frydrych. W tym samym wieku była też matka chłopca Karolina. Nie wiemy dokąd podróżował leśniczy Hieronim Pade, czy był to tylko pretekst do odwołania ceremonii chrztu. Nie jest to istotne dla naszej opowieści.

Leon Adam dorastał w cieniu puszczy Bolimowskiej i zapewne towarzyszył ojcu w jego wędrówkach leśnych, ale od roku 1863 stało się to niemożliwe z powodu wybuchu powstania. Służba leśna została zmobilizowana i zobowiązana do działania zgodnie z wolą zaborcy.

W tym czasie na terenie Puszczy Bolimowskiej walczył oddział młodego ziemianina, Władysława Stroynowskiego. Miasto Bolimów służyło powstańcom, jako zaplecze finansowe i materialne. Na rynku bolimowskim odbywały się szkolenia ochotników. Bolimowski ksiądz, Wincenty Kuderko pełnił rolę naczelnika powstania, odbierał przysięgę od rekrutów, zbierał pieniądze na powstańczą działalność. Liczący około 150 osób oddział składał się z młodzieży z Warszawy i okolic. Stale napływali doń nowi ochotnicy; było wśród nich nawet trzech hrabiów. Obóz powstańców mieścił się

w okolicach wsi Budy Bolimowskie (dziś Joachimów-Mogiły), w niedostępnym miejscu, chronionym z jednej strony przez rzekę Rawkę, z drugiej przez gęsty las. Oddział prowadził ożywioną działalność: odbijał jeńców i rekrutów wcielonych do wojsk carskich, przechwytywał korespondencję oraz broń. Pod Strzybogą stoczył zwycięską potyczkę z wojskami carskimi i uwolnił 30 rekrutów. Udało mu się sparaliżować ruch kolejowy na odcinku Skierniewice-Radziwiłłów, co stało się bezpośrednią przyczyną wysłania przeciwko niemu 600 żołnierzy gwardii z Warszawy, batalionu strzelców z Łowicza i kilku sotni kozackich z garnizonów w Skierniewicach, Łowiczu i Wiskitkach. Do decydującej bitwy z przeważającymi siłami pod wodzą pułkownika Hegemejstra doszło 7 lutego 1863 roku w okolicach Bud Bolimowskich. Zacięta bitwa trwała ponad półtorej godziny. Pomimo miażdżącej przewagi liczebnej wroga oraz słabego uzbrojenia – tylko 40 powstańców posiadało strzelby myśliwskie, pozostali kosy i rewolwery – oddział bronił się dzielnie, odpierając pierwszy atak wojsk rosyjskich. Zginęło 15 powstańców, 21 dostało się do niewoli, w tym 5 rannych. Rosjan poległo przeszło 100, wielu było rannych. Znacznym siłom powstańczym udało się wymknąć z okrążenia. Niektórych rannych znaleziono potem ukrywających się w Bolimowie. Podobno w okolicach Sokula (gm. Wiskitki) stoczono jeszcze jedną potyczkę. Po klęsce pod Budami Bolimowskimi oddział uległ rozproszeniu. Stroynowski po kilku dniach zrezygnował z dowództwa i wyjechał za granicę. Jego podkomendni przyłączyli się do innych oddziałów powstańczych. Po bitwie nazwę wsi Budy Bolimowskie zmieniono na Mogiły (dzisiaj Joachimów-Mogiły), drogę z Wólki Łasieckiej do Borowin (gm. Skierniewice), którą zmierzały sotnie kozackie, nazwano później „Traktem Kozackim”.

Nie wiadomo, czy Hieronim Pade brał czynny udział w tych wydarzeniach, czy był tylko ich świadkiem. Z dokumentów wynika, że nie został poddany represjom, mieszkał dalej w tym rejonie, rodziły mu się dzieci. Może stracił posiadłość leśniczego, ale mógł ją otrzymać w dobrach hrabiego Krasieńskiego. 8 czerwca tego właśnie roku brał udział w ślubie swojej córki Ludwiki z Janem Wieczorkowskim, jego pełny podpis widniej na metryce (do wglądu na stronie genealogicznej).



Leon Pade z córką Aleksandrą - r. 1908

Młody Leon Adam w tym czasie miał 8 lat i zapewne uczęszczał do szkoły elementarnej. Pracę zawodową rozpoczął prawdopodobnie w istniejącej od 1851 cukrowni w pobliskim Młodzieszynie. Tam stopniowo awansował dochodząc na przełomie wieków do stanowiska szefa biura cukrowni. Nie posiadam jego metryki zgonu, ale prowadził on raczej niezdrowy tryb życia. Możemy zatem przypuszczać, że zmarł mając ok 60 lat, czyli krótko przez I wojnę światową. Potomstwo miał liczne. Oto podsumowanie moich badań nad tą rodziną.

1/ Aleksandra Pade ur. 30 sierpnia 1886 r. w Młodzieszynie, ojciec Leon Pade, matka Józefa z d. Milewska

2/ Janina Pade ur. 22 czerwca 1889 r. -pozostałe dane j.w.

3/Aleksander Pade ur. 13 stycznia 1892 r.

4/ Izabella Pade ur. 26 grudnia 1894 r.

5/ Józefa Pade ur. 9 lutego 1898 r.

6/ Lucjan Pade ur. 25 września 1901 r. także w Młodzieszynie.

7/ Wincenty Pade, ur. ok. 1884.

Wszystkie metryki urodzin dostępne na mojej stronie. Po latach doszedł jeszcze Wincenty Pade znany jedynie z zapisu z rejestru księgi ślubów. Było to zaskoczenie, jego imię nie pojawiało się we wspomnieniach mojej babki Aleksandry, a był to prawdopodobnie jej starszy brat urodzony ok. 1883-85. Jego małżeństwo z Anną Górską, córką Franciszka i Eleonory Leszkiewicz zostało zawarte w Młodzieszynie w styczniu 1913, ale młodzi mieszkali w pobliskim Juliopolu. Zauważmy, że w tym samym roku wyszła za mąż Aleksandra, która brała ślub w Warszawie (Tarchomin). Nie wiemy, czy Wincenty miał dzieci, w każdym razie brak danych w zasobach metrykalnych. Jak wiemy Izabella i Aleksander zmarli przedwcześnie w tragicznych okolicznościach. Losy pozostałych dzieci Leona i ich zdjęcia są opisane na mojej stronie. Tam też zamieszczę wszelki nowe informacje, które mam nadzieję uzyskać.

Kiedy Aleksander Niewiarowicz wrócił do wolnej Polski w lutym 1920 roku zamieszkał we wsi Pilawa położonej w gminie Jazgarzew, powiat grójecki. Jako emerytowany kolejarz i przesiedleńca otrzymał tam rotacyjne mieszkanie służbowe, w którym zameldował się 1 marca. Planował przeniesienie się do Warszawy, ale latem wybuchła wojna bolszewicka i Aleksander zgłosił się, jako ochotnik do wojska mimo podeszłego wieku 67 lat. Otrzymał zadanie „ochrony technicznej robót mostowych” na bezpośrednim zapleczu frontu. Wrócił do Pilawy na początku października i razem z żoną zamieszkał u syna Stefana w Zbiersku w ich 5. pokojowym mieszkaniu. W tym samym czasie przybyła tam młodsza siostra Aleksandry Izabella. Urodzona 26 grudnia 1894 roku była piątą z kolei z 7. rodzeństwa. Była obecna na ślubie swojej siostry w Warszawie i tam pozostała zdobywając zawód krawcowej. Pracowała w sklepie z odzieżą damską zajmując się tam drobnymi przeróbkami, a mieszkała przy ulicy Litewskiej pod nr 13. Niewiele zarabiała i w roku 1915 zdecydowała się na powrót do rodziny w Młodzieszynie. Atmosfera w tym domu była jednak ciężka, gdyż jej ojciec nadużywał alkoholu i awanturował się bez powodu. Wraca na Litewską 29 października 1918 roku, a po roku wyjeżdża za pracę do miasta Końskie. I znowu po roku zjawia się u siostry w Zbiersku

ciągle szukając swego miejsca na ziemi. Trafia w sam środek kryzysu w małżeństwie Stefana i Aleksandry spowodowanego diagnozą lekarską, iż nie będą mogli mieć dzieci z powodu choroby siostry. A minęło już 7 lat od ślubu, kiedy ostatecznie nadzieje rodziny zostały pogrzebane orzeczeniem lekarskim. W tej sytuacji Izabella, która od dawna kochała się w Stefanie, zbliża się do niego pragnąc go pocieszyć. Skutek tego był taki, że zachodzi w ciążę i na początku lipca 1921 roku rodzi się mała Krysia.

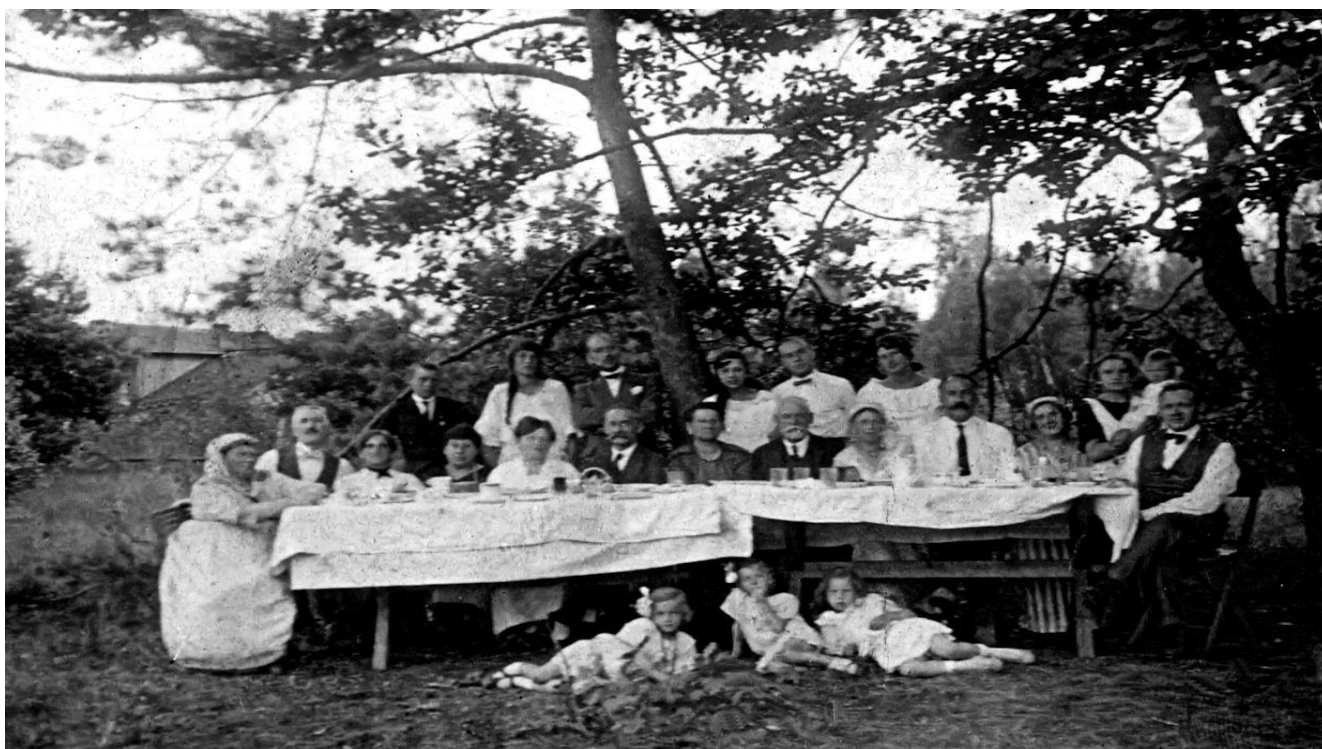
Rok wcześniej w piękny, pogodny dzień 22 czerwca 1920 roku o godzinie 10.30, odbył się wspomniany już tutaj ślub Marii Teresy Eborowicz z Maksymilianem Zdanowiczem. Inwazja bolszewicka trwała, w maju rozpoczęła się ofensywa Frontu Zachodniego na Ukrainie i Białorusi. 7 czerwca Armia Konna Budionnego zajęła Żytomierz wycinając w pień cały polski garnizon. 10 czerwca Budionny zajął Równe, co spowodowało wielki odwrót sił polskich, które cofnęły się o blisko 300 km na zachód. Warszawa nie była jeszcze bezpośrednio zagrożona, ale trwała mobilizacja wszystkich sił do obrony kraju. W tej atmosferze odbyły się zaślubiny Marii Teresy, wówczas już 37. letniej z oficerem rezerwy Maksymilianem, lat 43. Świadkami byli dwaj porucznicy Wojska Polskiego: Witold Kirszenstein, późniejszy dowódca 65. Starogardzkiego Pułku Piechoty i Jerzy Zaleski z 1. Pułku Ułanów Krechowieckich. Witold Stefan Kirszenstein urodził się 16 września 1891 roku i brał udział w walkach o niepodległość. W latach 1921-1922 był słuchaczem Kursu Doszkolenia Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie. 3 maja 1922 roku zweryfikowany został w stopniu kapitana ze starszeństwem z 1 czerwca 1919 roku. Na czele 65. pułku walczył w bitwie nad Bzurą. To kolejny oficer w tej opowieści, który walczył w tej bitwie wraz z ojcem autora Tadeuszem Penkalskim, rannym w tym boju. W dniu 18.09.1939 r. ppłk. Kirszenstein został ciężko ranny w m. Ruszki k/ Wyszogrodu, odtransportowany do Kutna. Trafił do Oflagu IX B.

Pułk por. Zaleskiego w wojnie z bolszewikami prowadził zwycięskie walki w Koziatyniu, z armią konną Budionnego pod Wołodarką, Korosteniem, Zamościem i Ostrogiem. Po zakończeniu wojny, na wiosnę 1921, pułk zajął stare "carskie" koszary w Augustowie, w których stacjonował do r. 1939. Także obaj bracia panny młodej byli oficerami w służbie czynnej – Jerzy Włodzimierz Eborowicz był radcą prawnym w Ministerstwie Spraw Wojskowych, a jego brat Julian sędzią w sądzie wojskowym w Poznaniu.

Maksymilian Zdanowicz był synem Józefa Waldemara oraz matki Apolonii Romualdy Mikulskiej. Urodził się w r. 1877 w m. Lepel w rejonie Witebska, obecnie Białoruś. Była to rodzina szlachecka pieczętująca się herbem Jastrzębiec. Ojciec Józef Waldemar był lekarzem powiatowym w Połocku i **radcą dworu**. Jego młodszy brat Stanisław (1882-1970) pełnił wiele ważnych funkcji, był m.in. w czasie I wojny światowej komisarzem Komisji Likwidacyjnej do spraw Królestwa Polskiego, członkiem ZWP w Połocku, członkiem zarządu, a następnie prezesem Polskiej Rady Narodowej Ziemi Lidzkiej. Raczej nie był na ślubie brata, gdyż w tym czasie był starostą powiatu lidzkiego (1918-1928). Znamy jego portret, ale na poniższej fotografii go nie ma.

Jego matka z pewnością była na ślubie syna, zmarła dopiero w r. 1935. Być może siedzi obok Szymona Eborowicza, jej mąż zmarł w r. 1904.

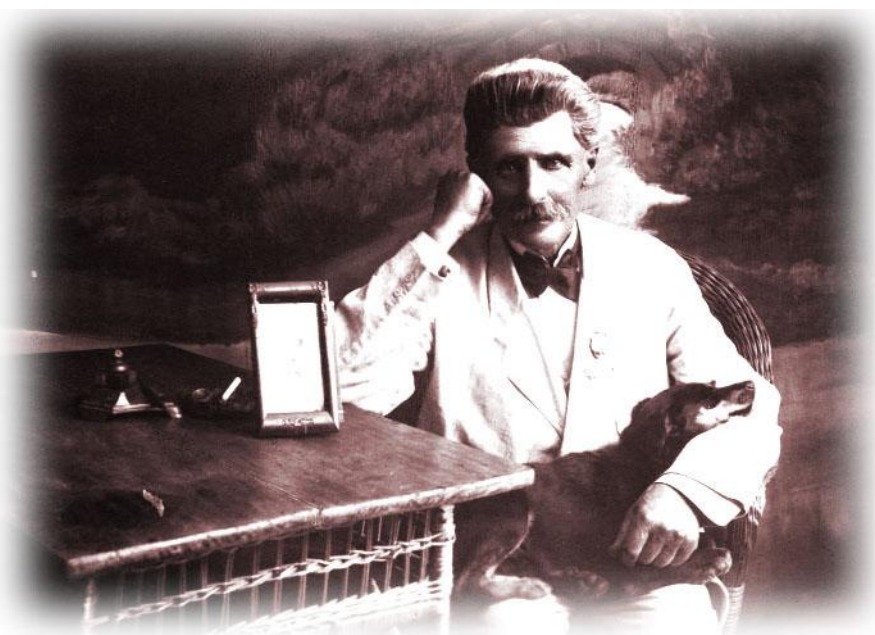
Sam Maksymilian zmarł 3 lata po ślubie, nie znamy przyczyny jego tak wczesnego odejścia.



32. Wesele Marii Teresy Eborowicz i Maksymiliana Zdanowicz pod Warszawą

Dziwnym trafem zachowała się fotografia z przyjęcia weselnego, dzięki któremu można było zidentyfikować większość osób. Pierwszy z prawej to jeden ze świadków, za nim opiekunka dla dzieci. Zdanowski siedzi czwarty, obok niego panna młoda i jej ojciec Szymon Eborowicz, w tym czasie już 65. letni. Po obu stronach drzewa pośrodku stoją bracia Eborowicze z żonami. Przypuszczam, że po prawej stronie drzewa stoi Julian z żoną, a po lewej Jerzy z piękną Aleksandrą. Postawna kobieta stojąca w jednym rzędzie z bliźniakami to hipotetycznie ich młodsza siostra Helena ur. w r. 1888, która studiowała malarstwo w Sankt Petersburgu. Trzecia od lewej siedzi Zofia Niewiarowicz. Niewykluczona jest tutaj obecność starszego już małżeństwa Mamerta Szwentnera i jego żony Eugenii Justyny, z domu Eborowicz, którzy połączyli się w roku 1892. Mogła też być jedna z sióstr Zofii siedząca obok niej, czyli Józefa lub Władzia, ale nie mamy tutaj pewności. I tak ta bardzo zniszczona i wyblakła fotografia w sepii po żmudnej rekonstrukcji, powiedziała nam bardzo dużo. Dopiero po 87 latach od wykonania wpadła w moje ręce po śmierci matki, dla której Zofia była prawie nieznaną babką. Nieznaną, mimo że mieszkała z ojcem Krysi w Zbiersku, ale tam doszło do wielkiej tragedii. Powstał, bowiem trójkąt niemożliwy do zaakceptowania – Izabella z nieślubnym dzieckiem Stefana i jego prawowita małżonka Aleksandra. Izabella chciała zabrać dziewczynkę i wyjechać, ale na to nie chciał się zgodzić ojciec dziewczynki. Wówczas Izabella zdecydowała się na krok ostateczny i popełniła samobójstwo poprzez wypicie trucizny. I wtedy Zofia zdecydowała, że Krysię należy umieścić w domu dziecka. Aleksandra wahała się długo, ale decyzja została podjęta i Stefan ją początkowo akceptował. Szybko jednak zdał sobie sprawę z faktu, że z własną żoną nigdy dzieci nie będą mieli i rozpoczął walkę o odzyskanie małej Krysi. Wspierał go w tym jego ojciec Aleksander, który mieszkał w pobliskim Stawiszynie. Wyprowadził się ze Zbierska od swej żony Zofii, gdyż zbyt często się kłócili i nie zgadzali się prawie w żadnej sprawie. Nadal ją kochał, nadal pragnął mieszkać razem z synem i żoną, ale ona stała się kłótniwa nie do zniesienia. Samobójstwo Izy do końca zepsuło wzajemne relacje w rodzinie. Nie mogli lub też nie chcieli dogadać się w sprawie losu małej Krysi.

W tej napiętej atmosferze dojrzywała następna tragedia rodzinna. Za udział w wojnie bolszewickiej Aleksander został odznaczony 24 października 1921 roku przez gen. Hallera „Odznaką Ofiarnych” nadawaną osobom cywilnym, które miały znaczący udział w wspieraniu wysiłku wojennego w pokonaniu Czerwonej Armii. Kilkakrotnie zmieniał miejsca zamieszkania, gdyż w czasie prób pogodzenia się z Zosią mieszkał w Zbiersku, a po kłótniach wyprowadzał się do Stawiszyna lub Kalisza. 7 października 1924 r. zamieszkuje we wsi Rypinek pod nr 19, ale w tym czasie miejscowość była już włączona do obszaru miejskiego Kalisza, choć jeszcze nie miała wyznaczonych nazw ulic. A Zofia opuszcza Zbiersk i zamieszkuje u syna Wacława w Gdyni, który wrócił już z Marsylii. Jest więc daleko i nic nie wskazuje na to, aby kiedykolwiek miało dojść do zgody między nimi. Aleksander udaje się do firmy fotograficznej FOTO BAYER w Stawiszynie. Zabiera z sobą fotografię ubóstwianej Zofii i ulubionego pieska. Ubiera jasny garnitur w ciemne paski, przypina odznaczenia.



33. Ostatnia fotografia Aleksandra Niewiarowicza

Na odwrocie gotowej już fotografii Aleksander pisze równym, kaligraficznym pismem:

**„Stawiszyn 10-tego sierpnia 1925 r.
Ostatnie moje zdjęcie
Obecnie mam 73 rok Życia
Osamotniony A. Niewiarowicz
Przy mnie wierni przyjaciele, fotografia i piesek
Stawiszyn Ziemi Kaliskiej Miasteczko i poczta”**

Kilka dni później odbiera sobie życie...

„Śmierć to jedyny egzamin, którego nie można oblać” (Paul Claudel).

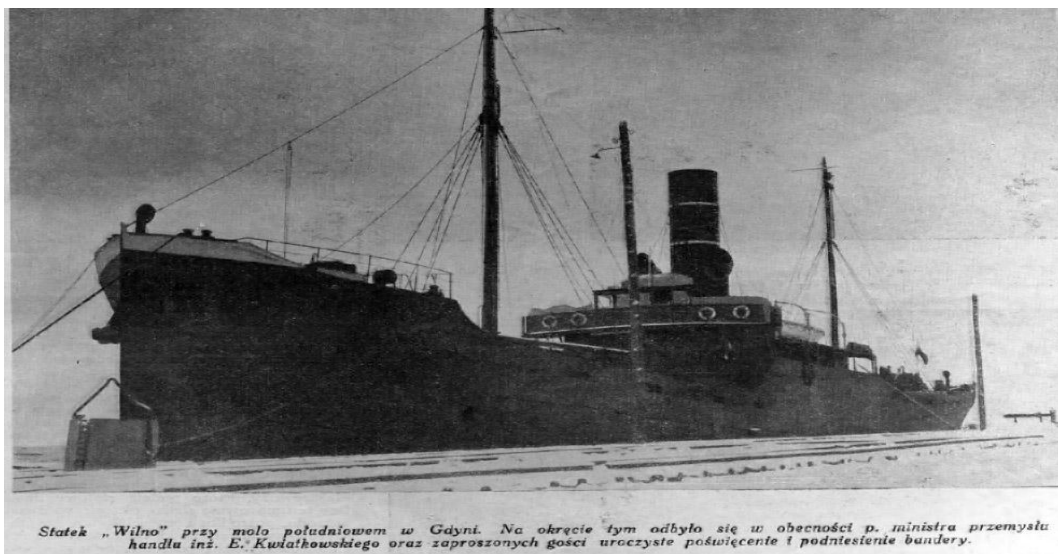
Był to wielki szok i dramat dla rodziny Aleksandra, nikt nie spodziewał się, że starszy pan podejmie taką ostateczną decyzję, w dodatku motywując ją niedającą się znieść samotnością. Przepelnił to poczuciem winy zarówno Stefana, jak i Zofię. A przecież Stefan był blisko, odwiedzał ojca, nakłaniał go do powrotu do Zbierska. Z drugiej strony był jednak mocno obciążony obowiązkami zawodowymi, a w czasie kampanii cukrowniczej praktycznie wracał do domu tylko po to, aby się

przespać. Po kampanii natomiast kierował całością prac remontowych fabryki. Był cenionym szefem laboratorium, potem dyrektorem technicznym zbierskiej cukrowni założonej przez Wilhelma Repphana w 1852 roku. Wykupiona przez zachodni koncern PFEIFER, została postawiona w stan likwidacji w roku 2005 i obecnie już nie istnieje. Podobny los spotkał większość wielkopolskich cukrowni.

Po śmierci Aleksandra i stałym zamieszkaniu Zofii w Gdyni Stefan i Aleksandra podjęli decyzję o adopcji małej Krysi. Przede wszystkim zabrali 4. letnią już dziewczynkę z domu dziecka w Kaliszu. Ponieważ Stefan, jako ojciec, nie mógł ze względów prawnych adoptować własnej córki, postanowiono sprawę uregulować w akcie chrztu. Według księgi chrztów parafii w Zbiersku chrzest ten odbył się w dniu 15 maja 1927 roku (nr aktu 38/1927), a rodzicami chrzestnymi został brat Stefana Waław i jego żona Irena, którzy z tej okazji przyjechali do Zbierska z Gdyni. Przy okazji Krysię odmłodzono o dwa lata podając, że urodziła się w roku 1923, czyli w chwili chrztu miała prawie 4 lata, a faktycznie 6. Była bardzo drobna i szczuplutka, więc nikogo to nie zdziwiło. W akcie chrztu, jako matka Krysi, została podana Aleksandra i w ten sposób problem ten został prawnie uregulowany. Wszystkie późniejsze cywilne akty urodzenia wydawane były na podstawie akt kościelnych, co wyraźnie zaznaczony tylko w dokumencie wydanym w czasie okupacji, a więc w języku niemieckim. Ten „dokument urodzenia” został wystawiony w dniu 22 czerwca 1944 roku, a więc na niespełna miesiąc przed moimi narodzinami, przypuszczalnie Krystyna myślała o zawarciu małżeństwa. Ale w Warthegau obowiązywało prawo zabraniające małżeństwa Polakom o ile mężczyzna nie skończył 28 lat, a kobieta 26, pod koniec wojny podwyższono te granice do 30 i 28 lat. O ile ojciec mój spełniał ten wymóg, gdyż miał 38 lat, o tyle matka zgodnie z metryką, miała tylko 23 lata.

Chrzest małej Krysi odbył się ze sporym opóźnieniem z powodu licznych obowiązków kapitana Niewiarowicza, który został jej ojcem chrzestnym. Jeszcze przebywając we Francji udał się do stoczni w Caen, gdzie budowano statki dla Żeglugi Polskiej. Tam spotkał kapitana Mamerta Stankiewicza, który nadzorował budowę masowca s/s „Wilno”. On sam został mianowany kapitanem bliźniaczego statku s/s „Kraków”, który został wybudowany w roku 1925 i pływał pod banderą francuską, jako s/s „Frimaire”. Pod koniec grudnia 1926 roku statki te ruszyły do Polski wraz z s/s „Poznań” z kapitanem Stanisławem Łabędzkim. Znał on dobrze kapitana Niewiarowicza, gdyż wychowywał się w Odessie, ale skończył mniej prestiżową szkołę morską w Chersoniu 3 lata później od swego starszego kolegi. Razem pływali potem, jako oficerowie na statkach Rosyjskiego Transportowego Towarzystwa Okrętowego stopniowo awansując w hierarchii służbowej. Oczekiwanie na stanowisko kapitańskie wydało się Łabędzkiemu zbyt długie i z tego powodu przeniósł się on w roku 1912 do marynarki bułgarskiej. W 1917 roku zorganizował w Batumi, a potem w Odessie Związek Oficerów Marynarki Handlowej zrzeszający Polaków służących w carskiej flocie, do którego należał także Waław Niewiarowicz. W latach rewolucji obaj pracowali w porcie w Odessie na różnych stanowiskach poczynając od poławiaczy min, a kończąc na lodołamaczu „Loderetz”. Miłe to było spotkanie, gdyż obaj kapitanowie nie widzieli się od czasów odesskich, więc dzielili się wspomnieniami podczas niejednej suto zakrapianej kolacji w hotelu w Caen. S/s „Wilno” przyprowadził kpt. Albert Turżański (1874-1935), najstarszy z polskich oficerów rosyjskiej floty handlowej, absolwent szkoły morskiej w Taganrogu, który od roku 1896 pływał na statkach Rosyjskiego Towarzystwa Żeglugi i Handlu. W konwoju płynął także s/s „Katowice” z kapitanem Tadeuszem Bramińskim (1875-1943), który wywodził się z floty niemieckiej, a zginął z rąk hitlerowców w Stutthofie. Ostatni z tzw. „Francuzów” to s/s „Toruń” dowodzony przez kapitana

Adolfa Munzela wywodzącego się z floty austriackiej. Podobnie, jak s/s „Kraków” ten masowiec został wybudowany w roku 1925 i pływał pod nazwą „Brumaire”, zanim został sprzedany do Polski. Wszystkie te statki spotkały się razem na redzie Cherbourga, gdzie pobierały zaopatrzenie i bunkier. Kapitan Stankiewicz miał za 1. oficera i zastępcę zwolnionego na urlop z marynarki wojennej komandora Włodzimierza Steyera (jego syn Donald był moim profesorem w czasie studiów na Uniwersytecie Gdańskim), a starszym mechanikiem był inż. Goworowski.



34. S/s "Wilno" w Gdyni w styczniu 1926 r.

„Wilno” przyplłynęło, jako pierwsze i 4 stycznia 1927 roku (kpt. Stankiewicz pisze w swoich wspomnieniach, że były to ostatnie dni grudnia) i stanęło przy nabrzeżu mola Węglowego. Molo nie było jeszcze ukończone, nabrzeża były puste, chociaż doprowadzono do nich tor kolejowy. Gdy statek przycumował zebrała się przy nim grupa pracowników portu i spontanicznie odśpiewała hymn Polski. Potem na statku odprawiono nabożeństwo udziałem starosty, burmistrza i organizacji społecznych ze sztandarami.

Dwa dni później hymn grała już orkiestra marynarki wojennej, gdy na wszystkich „Francuzach” podnoszono uroczyście banderę polską przy udziale ministra przemysłu i handlu inż. Eugeniusza Kwiatkowskiego, dyrektora „Żegluga Polskiej” Juliana Rummela, komisarza generalnego RP w Gdańsku min. Henryka Strassburgera, starosty morskiego gen. Mariusza Zaruskiego i wojewody pomorskiego gen. Kazimierza Młodzianowskiego. Był też burmistrz m. Gdyni Augustyn Krause i dowódca marynarki wojennej komandor Unrug. Wszyscy ci dostojnicy podjechali specjalnym pociągiem do końca mola i weszli na pokład „Wilna”.



P. Minister E. Kwiatkowski oraz grupa wyższych urzędników ministerjalnych po wyjściu z pociągu, podstawionego do końca



P. Minister E. Kwiatkowski na czele orszaku przybyłych gości - wstępuje na pokład statku „Wilno”.

35. Minister Kwiatkowski udaje się na pokład s/s "Wilno"

A potem zaczęły się dla kapitana Niewiarowicza dosyć monotonne rejsy z węglem do Szwecji i z drewnem do Anglii. W Gdańsku ładowano drewno, co trwało 5-6 dni, a potem w Anglii wyładunek trwał tyle samo. W Newcastle lub Sunderland polskie masowce brały ładunek powrotny do jednego z portów Danii, a potem, zwykle już bez ładunku, wracały do portu i cały cykl się powtarzał. Właśnie, dlatego kapitan Niewiarowicz nie mógł wcześniej wyjechać do Zbierska, aby zobaczyć swoją chrześniaczkę Krysę. W dodatku w tym samym roku musiał załatwić formalności związane z wydaniem mu polskiego dyplomu kapitana żeglugi wielkiej na podstawie jego uprawnień zdobytych w Rosji.

Podczas spotkania braci w Zbiersku w sierpniu 1927 roku zakiełkowała idea zbudowania w Gdyni kamienicy, w której obaj mogliby zamieszkać, a resztę domu przeznaczyć na wynajem. Stefan początkowo wahał się, gdyż jego praca specjalisty-cukrownika w żaden sposób nie wiązała się z morzem, ale zdecydowały argumenty Wacława, że będzie to najlepszy sposób zainwestowania odziedziczonych po ich ojcu środków pochodzących z „mandzurskiego złota”. Poza tym powstająca Gdynia oferowała inwestorom szereg udogodnień w nabywaniu działek oraz tanie kredyty bankowe. Była szansa na własną nieruchomość, o czym zawsze marzył Stefan od czasu, gdy jego ojciec sprzedał w roku 1911 letnią willę w Falenicy z powodu wyjazdu do Odessy. Obaj bracia w tym czasie mieli pewne zatrudnienie i bardzo dobrze zarabiali. Byli w stanie spłacać preferencyjne kredyty, a początkowy wkład na budowę był w ich rękach. Uzgodnili więc, że Stefan przyjedzie do Gdyni i razem wybiorą miejsce, gdzie stanie ich kamienica. Oto własne słowa Stefana zanotowane w jego notesie, który odnalazłem po jego śmierci: *” Od młodych lat stałe uparte dążenie do posiadania swojej własnej nieruchomości. Cierpienia moje w Cielcach, kiedy się dowiedziałem o sprzedaży przez Ojca Falenicy”*. Propozycja jego brata Wacława padła więc na podatny grunt. Jeszcze w grudniu 1927 działka rolna pod budowę własnego domu została przez braci zakupiona od rybaka Jakuba Scheibe i jego żony Elżbiety. W Urzędzie Katastralnym w Wejherowie działka (wówczas jeszcze ponad 400 metrowa) była zarejestrowana w tomie 9. ksiąg katastralnych, karta nr 163. Później, już w Gdyni otrzymała księgę hipoteczną nr wykazu 342, a po wojnie nr 1. Działka była położona w ciągu ulicy Świętojańskiej. Projekt domu wykonał inż. Marian Baranowski z Poznania, który otworzył swoje biuro w Gdyni, kiedy nowe miasto zaczęło się gwałtownie rozrastać. W roku 1930 zaczęto

kopać fundamenty, ziemię wywożono wozami konnymi, niektóre z nich przyjechały aż z dalekiego Polesia za zarobkiem.



36. Kopanie fundamentów pod kamienicę w Gdyni w r. 1930

Kapitana Niewiarowicza widzimy w centrum fotografii, jak stoi w meloniku na głowie. W tle Kamienna Góra, a widoczna betonowa konstrukcja służyła w początku lat 30. Zarządowi Portu Gdynia w charakterze latarni morskiej. Budynek, według odręcznych zapisków Stefana Niewiarowicza, kosztował (bez oficyny) 200 tysięcy ówczesnych złotych, z czego 41-43% pochodziło z kredytu zaciągniętego w Banku Gospodarstwa Krajowego. Pierwszy kredyt na kwotę 75 000 zł zaciągnięto 20 czerwca 1930 r., następny 12 000 zł kilka miesięcy później. Zabezpieczeniem tych kredytów była "kaucja w złocie". Oto mamy namacalny dowód, że mandżurskie złoto istniało i to nie w postaci złotych rubli, ale jako kruszec, być może przetopiony w sztabki. Taki zapis figuruje bowiem w dokumentach bankowych, które odnalazłem w pełnej dokumentacji księgi wieczystej kamienicy. W maju 1931 roku kredyty z BGK skonwertowano i ustanowiono dla ich zabezpieczenia hipotekę na nieruchomości w kwocie 87 000 zł. Była także pożyczka z Komunalnej Kasy Oszczędności w Gdyni na kontynuowanie budowy w wysokości 12 000 zł udzielona 13 stycznia 1931 r. i oprocentowana w wysokości 11% w skali roku. Wiele materiałów potrzebnych do budowy załatwił po korzystnych cenach Stefan Niewiarowicz. Zachowało się ponaglenie cukrowni Zbiersk, której zapłacił z pewnym opóźnieniem za dostawę kilku wagonów tarcicy. Kapitan Niewiarowicz pływał nadal na s/s "Kraków" i w zimie jego statek utknął w Cuxhaven z powodu bardzo ostrej zimy na przełomie 1928/29 roku. W połowie stycznia zacumował w tym porcie u ujścia Łaby i stał beczynnym przez wiele tygodni. Ponieważ zabrał ze sobą żonę Irenę z synkiem w ten krótki, jak się wydawało rejs, nie mógł się doczekać powrotu do Gdyni. Irena bowiem narzekała na nudę i mało komfortowe warunki na statku, ale o powrocie do Polski pociągiem

słuchać nie chciała. W lutym cały Bałtyk, a wcześniej cieśniny, skuły lody i żegluga została przerwana. Stare kroniki gdańskie podawały, że podobnie ostra zima była na Bałtyku przed 120. laty. Wtedy to jeden z gdańskich mieszczan przejechał z Brzeźna na Hel saniami. W roku 1929 podobną podróż, ale motocyklem, odbył inżynier Stanisław Szytko. Oprócz „*Krakowa*” w Cuxhaven (Dolna Saksonia) utknęły jeszcze dwa polskie statki, w tym s/s „*Niemen*”. W marcu na Bałtyku lody puściły, ale w cieśninach i w Kanale Kilońskim lody nadal trzymały. „*Kraków*” wioził tomasynę z Gandawy i miał lekko uszkodzony przez lody kadłub. Było to groźne memento, gdyż kapitan Niewiarowicz znał dobrze historię małego parowca o tej samej nazwie, który należał do towarzystwa żeglugowego „*Sarmacja*”. Tamten s/s „*Kraków*” miał nośność 426 ton, drewniane poszycie kadłuba i zatonął 7. lutego 1922 roku w Kattegacie zgnieciony przez lody. 14. osobowa załoga uratowała się w komplecie. Po upływie zaledwie 7. lat pamięć o tej katastrofie była jeszcze świeża. „*Sarmację*” założył pułkownik marynarki Bogumił Nowotny, pierwszy szef polskiej Marynarki Wojennej. 2 lutego 1920 Nowotny kupił w Kopenhadze pierwszy mały statek dla „*Sarmacji*”, czyli s/s „*Kraków*” (rok budowy 1919), będący pierwszym polskim parowcem na Bałtyku. Z powodu braku wykwalifikowanych kadr, Nowotny zamustrował załogę złożoną z oficerów byłej marynarki austrowęgierskiej (dzięki kontaktom Nowotnego z czasów służby w tej marynarce) oraz niemieckich gdańszczan, którzy przyjęli w tym celu obywatelstwo polskie skutkiem, czego początkowo na statku używany był język niemiecki. Przez pierwsze pół roku, z powodu braku polskiej infrastruktury żeglugowej, statek był wycarterowany firmie brytyjskiej i pływał z węglem z Newcastle do Francji. W drugiej połowie 1920 statek przybył na Bałtyk. W dalszym ciągu pływał m.in. eksportując polskie drewno, a także transportując węgiel z Wielkiej Brytanii do portów zachodnioeuropejskich.

Nudę panującą na „*Krakowie*” przerwała zmiana na stanowisku starszego mechanika. Ten z „*Krakowa*”, czyli Paweł Karpejczyk przechodził na s/s „*Niemen*”, a na jego miejsce dojechał z Gdyni Władysław Milewski. Był pretekst, aby z pożegnania starego i powitania nowego szefa zrobić huczne przyjęcie. W salonie kapitańskim zebrał się więc oficerowie „*Krakowa*” oraz żona kapitana Irena. Był I. oficer Janusz Piekarski, II. mechanik Roland Lidtke oraz III. mechanik Marian Galiński. Dobrze trunki łąły się strumieniami, ale pierwszy tempa nie wytrzymał I. oficer, który wycofał się do kabiny. Lidtke miał żonę w Cuxhaven, Polkę z pochodzenia, a on sam był z pochodzenia Niemcem. Niemiecki znał jednak słabo, a jego żona równie słabo mówiła po polsku. Jakoś się jednak dogadywali, miłość przełamała wszystkie bariery. I on więc wycofał się z libacji i popędził do żony. Karpejczyk padł na polu chwały i Milewski wraz z Galińskim zanieśli go do kabiny rezerwowej. Niespodziewanie wysiadł też, znany z mocnej głowy, kapitan Niewiarowicz i zabawa się skończyła ku wielkiemu żalowi kapitanowej, która dopiero się rozkręcała.

Cuxhaven było niewielkim portem rybackim, była tam jedna tylko sala, gdzie w soboty odbywały się zabawy taneczne. Z braku rozrywek wybrali się tam oficerowie z uwięzionych polskich statków. Wyprawa była nieudana, omal nie doszło do bójki z lokalnymi niemieckimi „patriotami”, którzy na widok polskich mundurów zaczęli skandować „*Raus mit Polen*”. Właściciel lokalu błagał Polaków, aby sobie poszli, oferował mi za darmo to, co już zjedli i wypili, ale bez skutku. Marynarze spokojnie dokończyli jedzenie i trunki, poczym wychodząc zaproponowali Niemcom, aby wyszli za nimi przed knajpę. Żaden z niemieckich krzykaczy nie odważył się jednak wyjść, polscy marynarze mieli ugruntowaną opinię w portach Europy. Kapitan Niewiarowicz wspominał, jak musiał w jednym z portów francuskich wykupić z aresztu palacza ze swego statku, który poturbował dwóch Francuzów. Kiedy rzuciło się na niego pięciu, wyciągnął z kieszeni nóż i za to został aresztowany. Uważał, że miał pełne prawo bronić się przed przewagą liczebną żabojadów.

Wreszcie Kanał Kiloński został otwarty dla żeglugi i wszystkie polskie statki idące z zachodu spotkały się na redzie Holtenau. „*Niemen*”, „*Wilno*” i „*Kraków*” miały iść do Gdyni i trzymać się razem.

„*Kraków*” z uwagi na uszkodzony w lodach dziób i dość silne przecieki do komory dziobowej, miał iść ostatni, już przetartym farwaterem. W ciągu dnia wszystko szło dobrze, ale o zmroku statki idące przodem zaczęły znikać, a kapitan Niewiarowicz wydał komend „maszyna stop”. Rano kierunek wiatru zmienił się i kapitan lawirując ostrożnie wśród lodów, skierował statek bardziej na południe. Wielkie było zdziwienie, kiedy „*Kraków*,” jako pierwszy przyplłynął do Gdyni. Okazało się, że pozostałe dwa statki idące bardziej północną drogą, trafiły na dryfujące bariery lodowe i przyszły do Gdyni dopiero następnego dnia. Pływał potem „*Kraków*” do Rouen, Le Treport, Dieppe, Fecamp, Dunkierki. Z Rouen robiono wyprawy do Paryża. Ulubionym portem załogi „*Krakowa*” była Dunkierka. Podobnie, jak inne porty w tamtych czasach, Dunkierka miała wiele lokali dostosowanych do gustów marynarzy i liczne domy publiczne, znajdujące się na jednej ulicy, dobrze i fachowo prowadzone.

Poza Francją „*Kraków*” najczęściej zawijał do Szwecji, głównie z węglem do Sztokholmu. Była to okazja do przemycania alkoholu, który w Szwecji był bardzo drogi.

Po kapitanie Niewiarowiczu na „*Kraków*” przyszedł jego dobry znajomy Ludgard Krzycki uważany za seniora marynarzy z zaboru rosyjskiego. Był o rok starszy od kapitana Niewiarowicza, ale dotychczas pływał w stopniu starszego oficera. Urodzony w Odessie zatrudnił się na statkach rosyjskich, jako wolontariusz. W roku 1900 zamustrował, jako praktykant na statek „*Petersburg*” Rosyjskiej Floty Ochotniczej, gdzie awansował od praktykanta do stopnia III. oficera. W 1904 roku zdał egzamin na kapitana żeglugi wielkiej, a rok później walczył w słynnej bitwie morskiej pod Cuszimą, gdzie flota wojenna Japonii rozgromiła flotę rosyjską. W wolnej Polsce od 1922 roku pełnił służbę wojskową w marynarce wojennej, skąd wyszedł do rezerwy w stopniu komandora. Tak też tytułowano go na „*Krakowie*”, gdzie jednak był dowódcą pechowym i dwukrotnie uszkodził statek nieudolnie manewrując w porcie.

Tymczasem w życiu obu braci zaszły istotne zmiany. Kapitan Niewiarowicz przeszedł w listopadzie 1929 roku na statek s/s „*Niemen*”, a jego brat Stefan po blisko 20. latach opuścił Zbiersk i od 1 sierpnia 1930 roku zaczął pracować w cukrowni Gostyń, jako główny chemik-szef laboratorium. Otrzymał tam duże i wygodne mieszkanie służbowe, a także przydomowy ogródek, gdzie Aleksandra mogła uprawiać swoje warzywa i hodować drób na potrzeby domowe. Ta zmiana miejsca zatrudnienia zadecydowała o miejscu urodzenia autora tej książeczki i jego sióstr. S/s „*Niemen*”, nowoczesny podówczas masowiec – został odkupiony przez ówczesną Żeglugę Polską (pierwszego armatora z prawdziwego zdarzenia w odrodzonej Polsce) jeszcze podczas budowy dla innego armatora. Zwodowany został 7. marca 1928 r. w Wielkiej Brytanii. Wprowadzony do służby niedługo później, został ówczesnym rekordzistą wielkości wśród statków PMH. Bliźniacza „*Wisła*” – zwodowana w tej samej, co „*Niemen*” stoczni 6. czerwca 1928 roku – była historycznie pierwszym statkiem, zbudowanym specjalnie na polskie zamówienie dla armatora Żegluga Polska. Po wejściu do służby pływał, jako tramp. 24. lutego 1931, w drodze z portugalskiej Madery do jednego z portów Ameryki Płd. (panamskiego Colon), pod dowództwem kpt. Leona Rusieckiego, jako pierwszy polski statek handlowy przekroczył z ładunkiem różnic (wcześniej dokonał tego jedynie żaglowiec szkolny „*Lwów*”). Dwukrotnie statek miał związek z osobą Józefa Piłsudskiego: pierwszy raz, gdy podczas jego pobytu w Egipcie wynajęty został przez rząd, jako jednostka łącznikowa i pozostawał na wodach egipskich, drugi raz, gdy zawiąnął na Maderę podczas pobytu tam marszałka i kapitan statku Leon Rusiecki (pierwszy polski kapitan wykształcony w polskiej Państwowej Szkole Morskiej) złożył marszałkowi wizytę. Zatonął na skutek kolizji, 1 października 1932 o godz. 3.07 w ciągu 8 minut na wodach Kattegatu po uderzeniu w lewą burtę przez fiński żaglowiec „*Lawhill*”, bez strat w załodze. Ale w tym czasie kapitan Niewiarowicz nie dowodził już pechowym statkiem, tym niemniej zdarzenie to opiszemy szerzej w następnym rozdziale z uwagi na fakt, że jednak był on pierwszym dowódcą tego masowca. Pływał na nim blisko rok, a potem powrócił na swój stary „*Kraków*” po

uzyskaniu przez kapitana Rusieckiego pełnych uprawnień zawodowych. Izba Morska oczyściła kpt. Rusieckiego z zarzutów i mógł odbyć w końcu 1934 roku pionierski rejs do portów Afryki Zachodniej statkiem s/s „Poznań” zakontraktowanym przez Ligę Morską i Kolonialną.

Oficer ten pływał on po wojnie na statkach PŻM dowodząc m.in. statkiem s/s „Kolno” (były niemiecki „Nordlicht”).

8



37. S/v "Lawhill" w chwili zderzenia z s/s "Niemen"

Trudno uwierzyć, ale jeszcze tym czasie po morzach pływały wielkie żaglowce, które przewoziły towary na ogromne odległości konkurując z parowcami i statkami motorowymi niższymi kosztami. Czteromasztowy „Lawhill” miał 5000 ton wyporności i w fińskim porcie Kotka załadował drewno z przeznaczeniem do Anglii. Po wyładowaniu drewna miał zabrać z Anglii węgiel do Afryki Zachodniej, a potem płynąć pod balastem do Australii, aby załadować zboże. Holownik wyprowadził

żaglowiec z portu i ruszył on o świcie w kierunku cieśniny Kattegat. Trzy dni później statek rzucił kotwicę przed wejściem do Sundu czekając na pomyślny wiatr, aby przepłynąć cieśninę. Nie miał bowiem żadnych silników pomocniczych. Oczekiwanie na wiatr trwało blisko dobę, obok przepływały parowce, a żaglowiec stał na kotwicy. Powiało pod wieczór i można było kontynuować rejs. O północy objął służbę II oficer, rejs przebiegał spokojnie, gdyż wiatr pędził statek daleko od uczęszczanych szlaków. Ale widoczność była ograniczona, padał ulewny deszcz. W pewnej chwili wachtowy poczuł zapach dymu, przebiegł więc na nawietrzną burtę i zobaczył duży parowiec, który szedł kursem kolizyjnym z żaglowcem. Padła komenda „ster prawo na burtę” i zaraz potem „wszyscy na pokład”, ale było już za późno. „Lawhill” wpadł na parowiec, nastąpił potężny wstrząs od którego runął przedni maszt, wachtowy oberwał spadającą stengą i padł nieprzytomny na pokład. Zaraz po przednim maszcie zwałił się drugi, znowu silne uderzenie, reje przebiły pokład, część masztu wypadła za burtę i wlokła się na linach. Trzeci maszt padając rozwalił łodzie ratunkowe na drobne kawałki, sytuacja była groźna. Parowiec natomiast zniknął w ciemnościach, nikt nie wiedział, co się z nim stało. Oficer wachtowy leżał w kałuży krwi na rufie i zanim nadeszła pomoc skonał. Żaglowiec, jakby żywcem przeniesiony z XIX wieku, nie miał nawet radia! Na ostatnim zachowanym maszcie wywieszono sygnał wzywający pomocy. O świcie na miejsce kolizji dołynęły dwa statki ratownicze z Göteborga, gdzie odebrano sygnały SOS nadane przez s/s „Niemna”. Jeden pozostał przy żaglowcu, a drugi popłynął na miejsce kolizji. Nic tam jednak nie znalazł oprócz pływających na wodzie szczątków. Polski statek po uderzeniu został niemal przecięty na dwie połowy i szybko poszedł na dno. Na szczęście nikt nie zginął, a załoga została uratowana przez motorowiec „Margaretta”. Marynarze zdążyli wsiąść do łodzi ratunkowych, to niewiarygodne, ale w ciągu 4. minut od uderzenia byli już w miarę bezpieczni na wodzie. Statek tonął dziobem do przodu, rufa sterczała w górę, po eksplozji kotłów „Niemna” zatonał. Załoga przez kilka godzin dryfowała w łodziach, kiedy została wypatrzona przez szwedzki statek, który zawrócił z rozbitkami do Göteborga, skąd właśnie wyszedł w rejs do Ameryki Płd.

Rok później podczas wizyty w Gdyni szwedzki statek został uhonorowany tablicą pamiątkową, nagrody otrzymali też jego kapitan i oficer, który wypatrzył rozbitków. Polska Izba Morska nie dopatrzyła się winy „Niemna” w spowodowaniu kolizji, zarzucając „Lawhillowi” nieudzielenie pomocy załodze polskiego statku. Orzeczenie to może jednak budzić wątpliwości, gdyż według prawa drogi morskiej żaglowiec ma pierwszeństwo przed statkiem o napędzie mechanicznym; prawdopodobnie jednak światła „Lawhilla” były zbyt słabe lub zasłonięte przez żagle, w związku z czym, nie były widziane na polskim statku. Wrak „Niemna” leżący dość płytko został w latach 60. XX. w. wysadzony przez Duńczyków ładunkami wybuchowymi, a złom i przewożony węgiel wydobyto. Była to jedna z ostatnich tego typu kolizji na Bałtyku. Kończyła się era żaglowców, które pozostały w służbie jedynie, jako statki szkolne.

W tym czasie kpt. Niewiarowicz już nie pływał, gdyż przeszedł do pracy w administracji morskiej i został starszym pilotem w porcie Gdynia. Wcześniej jednak odbył historyczny rejs, gdyż dowodził pierwszym polskim statkiem, który przepłynął Kanał Sueski. Jak wspomniano kapitan ponownie objął dowodzenie s/s „Kraków”, którym pływał do portów skandynawskich, angielskich i holenderskich. Wrócił właśnie na początku lipca 1930 roku z Gandawy z ładunkiem nawozów fosforowych, kiedy dowiedział się, że ma płynąć do Hidżasu w Arabii. Na przełomie 1925/26 roku region ten został podbity przez Ibn Sauda, a od 1932 weszło w skład Arabii Saudyjskiej. To właśnie Ibn Saud tytułujący się królem Hidżasu i Nedźdu, zakupił w Polsce dziesięć tysięcy karabinów wraz z dużą ilością amunicji, do której przewiezienia został zafrachtowany „Kraków”. Załoga była bardzo zadowolona, że po latach pływania do tych samych portów przyjdzie im popłynąć do takich egzotycznych krajów, o których istnieniu nie mieli nawet pojęcia. Rozpoczęły się intensywne przygotowania do tej nietypowej wyprawy. Kompletowano mapy i wyposażenie nawigacyjne, został

zrobiony przegląd maszynowni, przeprowadzono czyszczenie kotłów. Statek nie był w najmniejszym nawet stopniu przystosowany do żeglugi w tropikach. Nie tylko nie miał chłodni, ale nawet wentylacji mechanicznej w kabinach. Kupiono więc zwykłe wentylatory biurowe, które miały ratować załogę i pasażerów przed przegrzaniem. A tymi pasażerami miała być rodzina kapitana Niewiarowicza, gdyż zabrał on w rejs swoją żonę i 6. letniego syna Wiktora.

Zapasy żywności stanowiło pół wołu zawieszona w worku brezentowym na sztagu masztu, klatki z kurami i świnia. Oprócz tego zabrano suche wędliny i solone mięso w beczkach. Oprócz broni i amunicji „Kraków” zabrał jeszcze kilkaset ton cukru i węgla dla tego samego odbiorcy. Ponieważ statek nadal nie miał pełnego ładunku do drugiej ładowni wrzucono 400 ton węgla do opalania kotłów, gdyż bunkier w portach Bliskiego Wschodu był drogi. Oprócz rodziny kapitana na statek zaokrętował się jeszcze jeden pasażer, majster z fabryki amunicji, który miał się opiekować ładunkiem, a na miejscu przeszkolić artylerzystów arabskich w obsłudze działka górskiego. Jako dar marszałka Piłsudskiego zabrano też dwa pięknie grawerowane sztucery dla króla Ibn Sauda. „Kraków” wypłynął z portu gdyńskiego 31 lipca. Przy dobrej pogodzie przejście do Port Saidu zajęło dokładnie trzy tygodnie.



38. S/s "Kraków"

Tutaj kapitan Niewiarowicz nie mógł nie wrócić myślami do swego ojca Aleksandra, który 33 lata wcześniej (21 kwietnia 1897 r.), także zatrzymał się w Port Saidzie w drodze do Mandżurii, gdzie miał pracować przy budowie kolei. Wraz z innymi pasażerami Aleksander zwiedzał miasto, co opisał swoich wspomnieniach. Kapitan miał też zaproszenie do konsula polskiego na kolację, ale wymówił się obowiązkami służbowymi. Zamiast niego na kolację udali się: I. mechanik Władysław Milewski oraz II. oficer Michał Niczko. Ciekawa to postać, warto tu przedstawić w skrócie jego drogę życiową. Michał Niczko urodził się 12 stycznia 1904 roku w majątku rodzinnym pod Kijowem, jako syn Gustawa i Heleny Moskalew. Po zakończeniu I wojny światowej wraz z rodzicami przeniósł się do Polski i rozpoczął naukę w gimnazjum w Miechowie. W 1920 roku zgłosił się jako ochotnik do Wojska Polskiego, zatajając swój młody wiek. Jako żołnierz 8. Dywizjonu Artylerii Konnej wziął udział w bitwie warszawskiej i walkach nad Bugiem we wrześniu. Zdemobilizowany po zawarciu zawieszenia broni, powrócił do szkoły. W latach 1923–1924 studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim, później rozpoczął studia w Szkole Morskiej w Tczewie, której Wydział Nawigacyjny ukończył w 1927 roku. W roku następnym odbył kurs podchorążych rezerwy przy Oficerskiej Szkole Marynarki Wojennej w Toruniu. Następnie rozpoczął pracę w marynarce handlowej, w 1936 roku uzyskał dyplom kapitana, od 1937 roku dowodził kolejno statkami „Puck”, „Hel”, „Śląsk” i

„Oksywie”. Zapisał piękną kartę wojenną w roku 1939, jego ucieczki z niewoli to gotowy materiał na film przygodowy, a w swoich popularnych książkach opisał już tę postać Karol Borhardt pod przydomkiem Dalaj Lama.

W lutym 1945 roku Niczko wrócił z niewoli do domu w Gdyni i został pilotem w zniszczonym przez wojnę porcie.



39. Kpt. Michał Niczko

Pod koniec kwietnia dołączył do niego kapitan Niewiarowicz wysiedlony w czasie wojny pod Częstochową, który także zaczął pracować, jako starszy pilot w porcie. Jak widać ich losy często się spletały, bo przecież Niczko w dalszej swojej karierze morskiej dowodził najpierw „*Krakowem*”, a potem statkami „*Morska Wola*”, „*Borysław*” i „*Generał Bem*”.

Był również wykładowcą w Państwowej Szkole Morskiej w Szczecinie. Odsunięty od pływania w okresie stalinowskim, powrócił na morze po 1956 roku. Był dowódcą „*Bytomia*”, którego poprowadził w pierwszym rejsie do Japonii, następnie statków „*Pokój*” i „*Adolf Warski*”. Mianowany dowódcą m/s „*Bydgoszcz*” w jego dziewiczym rejsie, zmarł na pokładzie 9 stycznia 1961 roku, dwie godziny po opuszczeniu portu.

Na drugi dzień statek wpłynął do kanału Sueskiego zabierając dodatkowych pasażerów do Dżiddy. Był to generał Janusz Gąsiorowski z małżonką i polski kupiec Zakrzewski, który finalizował całą transakcję zakupu broni i amunicji przez króla Hidżasu. Zakrzewski przed I. wojną mieszkał w Bejrucie, prowadził tam interesy i znał doskonale język arabski.

Generał reprezentował marszałka Piłsudskiego i zajmował w tym czasie stanowisko szefa Gabinetu Głównego Inspektora Sił Zbrojnych. Był oficerem do specjalnych zleceń marszałka. Szefem Sztabu Generalnego został w grudniu 1931 roku.

Rejs do Dżiddy trwał siedem dni, kotwicę na redzie rzucono 29 sierpnia 1930 roku. Mimo, że tutaj właśnie przyplływały statki z tysiącami pielgrzymów do pobliskiej Mekki, portu nie było, a pielgrzymów przewożono na ląd barkasami. A było to największe źródło dochodów dla tego królestwa, gdyż ropy naftowej jeszcze wtedy nie eksportowano. Dopiero w roku 1933 król podpisał umowę ze Standard Oil Company of California na eksploatację złóż ropy. Cały ładunek z „*Krakowa*” przeładowano więc na barki i przewieziono w głąb kraju na wielbłądach, gdyż samochodów było tam mniej niż 10 sztuk.

Król zaprosił na uroczyste przyjęcie do Dżiddy kapitana Niewiarowicza, generała Gąsiorowskiego i kupca Zakrzewskiego. Na przyjęciu, poza notablami arabskimi byli obecni ministrowie finansów i spraw zagranicznych oraz prezydent miasta. Ibn Saud nie przybył na przyjęcie, ale goście wrócili zadowoleni i obdarowani cennymi prezentami. Natomiast prezentem króla dla marszałka Piłsudskiego były dwa wspaniałe ogiery arabskie. Przewieziono je tylko do Port Saidu, skąd miały zostać przetransportowane w lepszych warunkach, gdyż „Kraków” miał zapełnić swoje ładownie towarami dla Danii.

Przed odplynięciem kapitan Niewiarowicz zainkasował należność za fracht w złotych funtach-było tego kilka ciężkich woreczków. Przelewów bankowych czy też banknotów w Hidżasie nie używano. W Port Saidzie kapitan otrzymał wiadomość, która bardzo ucieszyła załogę. Mieli iść tym razem do Rumunii, a to oznaczało że przepłyną Dardanele i Bosfor. Potem Morze Czarne i rejs w głąb Dunaju, gdyż ładunek mieli pobrać w Braili i Gałaczu. Było to 80 km od morza, a Dunaj był żeglowny dla statków morskich o zanurzeniu nieprzekraczającym 7. metrów. Był tam dla nich przygotowany ładunek jęczmienia browarnego do portu w Kopenhadze.

I znowu kapitan Niewiarowicz mógł, spoglądając z mostka kapitańskiego na Sztambuł, wspominać pobyt jego ojca w tym mieście 33 lata wcześniej. Podobnie, jak w Port Saidzie nie zwiedził on miasta tak, jak jego ojciec, ale tym razem po prostu nie było to możliwe. Na Morzu Czarnym zachorowała poważnie żona kapitana Irena, miała wysoką gorączkę i pretensje do wszystkich, że jej skutecznie nie leczą. II. oficer był lekarzem okrętowym, ale jak wiemy była to funkcja czysto formalna i zwyczajowa, gdyż żadnego przygotowania zawodowego w tym fachu przecież nie miał. W tej sytuacji statek zawinął do pierwszego portu w Rumunii, gdzie wezwany lekarz orzekł, iż kapitanowa ma zapalenie opon mózgowych i zabrał ją niezwłocznie do szpitala. Po wyleczeniu wróciła do Gdyni pociągiem.

Po wyjściu z Suliny „Kraków” popłynął do wyżej położonej Braili, gdzie ze względu na zanurzenie załadowano tylko część jęczmienia, a potem dopełniono ładownie w Gałaczu. Postój w tym ostatnim porcie rzeczonym był bardzo atrakcyjny. Doskonałe ryby, kawior, owoce, wino i to wszystko bardzo tanie. Załoga bawiła się w restauracjach i nad ranem pod burtę statku podjeżdżały sznurem dorożki przywożąc zmęczonych zabawą członków załogi.



40. Kpt. Wacław Niewiarowicz w r. 1930

W drodze powrotnej 28 września przypadły imieniny kapitana Wacława Niewiarowicza. Steward kapitański uważał za swój obowiązek dopilnować, aby uroczystość wypadła jak najlepiej. Załoga

jeszcze w Gałaczu złożyła się na prezent dla solenizanta, gdyż kapitan był szczerze lubiany przez wszystkich. Obiad imieninowy dzięki staraniom kucharz i stewarda był i wystawny i smaczny. Do Gdyni powrócił „*Kraków*” w końcu października, a to znaczy, że cała wyprawa trwała trzy miesiące. Przed wypłynięciem w rejs załoga brała udział 13. lipca w poświęceniu i podniesieniu bandery na nowo zakupionym statku szkolnym „*Dar Pomorza*”, a po powrocie witała stojący przy nabrzeżu liniowiec s/s „*Kościuszko*” przeznaczony dla Polskiego Transatlantyckiego Towarzystwa Okrętowego (od 1934 roku GAL). Na „*Kościuszcze*” polską banderą podniesiono 20 sierpnia, a dowodził nim kpt. Eustazy Borkowski. Bliźniaczym s/s „*Polonia*” dowodził kpt. Mamert Stankiewicz, a s/s „*Pułaski*” miał objąć kpt. Niewiarowicz.



41. Kpt. Mamert Stankiewicz, "Znaczy Kapitan"

Miał ku temu pełne kwalifikacje, był jednym z najbardziej doświadczonych i lubianych dowódców w polskiej flocie. Od kapitanów transatlantyków wymagano jednak więcej, aniżeli od ich kolegów z floty handlowej. Jednym z tych wymogów były też ich małżonki, które często pełniły rolę reprezentacyjną towarzysząc swoim mężom w różnych oficjalnych uroczystościach, bankietach oraz w rejsach. Tych wymogów Irena, prosta dziewczyna z Nikołajewa, niestety nie spełniała. Pomijając nawet brak wykształcenia i dobrych manier, Irena nie zdołała opanować w miarę poprawnie języka polskiego. Zdegustowany brakiem awansu na prestiżowe transatlantyki kapitan Niewiarowicz zrezygnował z pływania i zaczął pracę w porcie gdyńskim. Miał wtedy 53 lata i cieszył się doskonałym zdrowiem.

Po pamiętnym rejsie do Dżidży „*Kraków*” miał płynąć w listopadzie do Lulei z węglem, a jako powrotny ładunek pobrano rudę żelaza. Starszy mechanik Milewski i II. oficer Niczko bardzo chcieli zdążyć na pierwszy zjazd absolwentów Szkoły Morskiej w Tczewie, który był planowany na 8 grudnia 1930 roku. I to się udało, „*Kraków*” wrócił do Gdyni 7 grudnia, można było więc wziąć udział w tym historycznym spotkaniu. Wieczorem odbył się bankiet w hotelu „Centralnym” w Gdyni, znanym nam bardziej pod późniejszą nazwą „Bristol” (obecnie "Lark"). W tym czasie szkoła morską przeniosła się z Tczewa do Gdyni i w czasie zjazdu odbyła się uroczystość poświęcenia nowego gmachu szkoły oraz sztandaru ufundowanego przez władze Tczewa. Obchodzono także 10. Lecie szkoły z udziałem znamienitych gości. Przemawiał nestor polskich kapitanów, obchodzący właśnie 50. lecie pracy na morzu, Karol Ryncki (1860-1936). Urodził się on w Odessie (syn Łukasza i Zofii

Łabędzkiej), a szkołę morską ukończył w Genui. Po 3. letniej praktyce na włoskich żaglowcach wrócił w roku 1880 do Odessy i po zdaniu egzaminu otrzymał stopień porucznika żeglugi wielkiej. Od roku 1887 już, jako kapitan żeglugi wielkiej pływał w rosyjskiej marynarce handlowej. W roku 1919 wrócił do Polski, gdzie pływał na parowcu „Bug”, a potem na s/s „Gdynia”. W roku 1930 przeszedł na emeryturę. Jego pierwszą żoną była Zofia Sokołowska (od r. 1900), a drugą Zofia Sowińska. Szczegóły biografii kapitana i tragiczne losy jego rodziny - zob. poz. 15 spisu literatury.

W trakcie uroczystości przemawiał też inż. Kwiatkowski, minister przemysłu i handlu, wielki orędownik budowy Gdyni i polskiej floty handlowej. Na obchody jubileuszu szkoły morskiej był też zaproszony kpt. Niewiarowicz (zachowało się zaproszenie), ale nie brał w nich udziału. Nie popłynął też w listopadowy rejs „Krakowa” do Lulei, gdyż przekazał statek w ręce kpt. Józefa Borkowskiego, zwanego Józkiem z uwagi na mały wzrost i stosunkowo młody wiek (37 lat). Drugim rejsiem „Krakowa” pod jego dowództwem był rejs z węglem do francuskiego portu Rouen już w czasie świąt Bożego Narodzenia 1930 roku. Potem statek przejął kpt. Adam Andrzejewski, a kpt. Niewiarowicz w tym czasie objął dowodzenie s/s „Niemen”. Zawsze jednak pamiętał o „Krakowie”, który cieszył się opinią szczęśliwego statku. Podczas wojny pływał w konwojach, brał udział w inwazji na Normandię, jako jeden z pierwszych zawiązał do oswobodzonej przez aliantów Antwerpii, która była w tym czasie bombardowana przez rakiety V-1. Wielokrotnie statek znajdował się w sytuacjach, wydawałoby się, beznadziejnych, a wychodził z nich zawsze obronną ręką. Z wojny wyszedł bez najmniejszego szwanku i jako pierwszy po wojnie polski statek handlowy ponownie został wprowadzony 21 września 1945 roku do portu przez wzruszonego tym faktem kapitana Niewiarowicza. Po raz drugi kapitan wprowadzał do portu gdyńskiego ten sam statek, ten prawdziwy *lucky ship*, na którym odbył wiele bliskich i dalekich rejsów. I tak, jak w roku 1927, znowu był to pierwszy polski statek handlowy w wolnej już Polsce. Tym razem dowodził nim kpt. Bolesław Miksza. Dzielny to był żołnierz Rzeczypospolitej, wachmistrz kawalerii, odznaczony *Krzyżem Virtuti Militari* i czterokrotnie *Krzyżem Walecznych* za udział w wojnie bolszewickiej. Szkołę Morską w Tczewie ukończył w roku 1927, poczym odbył roczny kurs podchorążych rezerwy w Oficerskiej Szkole Marynarki Wojennej. Początkowo pływał na statkach Flotylli Pińskiej, a roku 1929 został przyjęty na niskie stanowisko starszego marynarza do Polsko-Brytyjskiego Towarzystwa Okrętowego „Polbryt”. Dopiero w „Polskarobie” został wpierw III. , a potem II. oficerem. Już, jako kapitan żeglugi wielkiej od roku 1936 pływał na stanowisku I. oficera na „Lwowie” i na „Chorzowie”. W październiku 1937 roku został kapitanem „Krakowa”, na którym zastał go wybuch wojny w porcie w Antwerpii. Zgodnie z dyrektywami w przypadku stanu wojny odplynął do Anglii, gdzie zaczął służbę wojenną. Do 1943 roku dowodził „Krakowem” pływając w atlantyckich konwojach, potem krótko „Katowicami” i do końca wojny „Krosnem”. Na piersiach zawisły mu kolejne medale brytyjskie i francuskie za zasługi wojenne, w tym *Officer of the British Empire* i *Atlantic Star*. To jemu przypadł zaszczyt przyprowadzenia do Gdyni „Krakowa”, który był pierwszym statkiem zwolnionym z czarteru Ministry of War Transport. Wielka to była uroczystość z okazji powitania „Krakowa”, znowu przemawiał inż. Eugeniusz Kwiatkowski, wówczas Delegat Rządu do Spraw Wybrzeża, a na Skwer Kościuszki wyległy tłumy mieszkańców Gdyni.

.....

W tym czasie Stefan Niewiarowicz wiódł spokojne i dostatnie życie w powiatowym Gostyniu. W cukrowni zarabiał początkowo 400 zł miesięcznie, a potem 500 zł, co było wysoką pensją w połowie lat 30. XX wieku. Kamienica w Gdyni została wybudowana i zasiedlona, ale koszty spłaty zaciągniętych na jej budowę kredytów nie obciążały zbytnio budżetu domowego, gdyż przynosiła ona dochód, z którego lwią część szła do banków.

Złe wspomnienia rodzinne ze Zbierska zacierał z wolna czas. W styczniu 1928 roku zmarła matka bracia Niewiarowiczów Zofia, która w tym czasie mieszkała w Gdyni u swego syna Wacława. Nie chorowała długo, lekkie początkowo przeziębienie przemieniło się w zapalenie płuc, na które lekarze w szpitalu w Wejherowie nic nie mogli poradzić. 30 stycznia o godzinie 12.30 nastąpił zgon 67. letniej Zofii Niewiarowicz. Została pochowana na cmentarzu w Wejherowie, gdyż Gdynia w tym czasie nie miała ani szpitala, ani też cmentarza. Zofia zachorowała poważnie już wiosną 1927 roku, a w tym akurat czasie mieszkała z synem w Zbiersku. W zachowanym liście z dnia 16 kwietnia 1927 r. kapitan Niewiarowicz pisał do brata Stefana do Zbierska: *"Otrzymałem przykrą wiadomość od Ciebie. Po powrocie do Gdyni ze Sztokholmu około 20 kwietnia, ja z Irą przyjedziemy do Ciebie. Obawiam się, aby nie było za późno. Czuję, że nasza biedna Mama wkrótce opuści nas."* Wtedy Zofia szczęśliwie wyzdrowiała, ale była to poprawa krótkotrwała. W czerwcu wyjechała do Gdyni i tam mieszkała do śmierci. Cmentarz na Witominie został oddany do użytku 1 czerwca 1929 roku, a zamiast szpitala funkcjonował od września 1928 punkt ambulatoryjny z 10. łózkami w ramach klasztoru sióstr szarytek. Nowy gmach szpitalny powstał w Gdyni dopiero w pierwszej połowie 1936 roku. Stefan w czasie urlopu jeździł każdego roku z Krysią do Gdyni, która uwielbiała wakacje w tym portowym mieście. W kamienicy mieli swoje mieszkanie, a rozrywek miasto dostarczało bez liku. Na zachowanych zdjęciach możemy dzisiaj oglądać wiele scen z tych beztrudnych wakacji. Znacznie rzadziej przyjeżdżał kapitan Niewiarowicz w odwiedziny do Gostynia. Chociaż już nie pływał, ale był mocno obciążony pracą zawodową i społeczną. Działał w Lidze Morskiej i Kolonialnej, był też ławnikiem w Izbie Morskiej. Należał do Klubu Kapitanów Marynarki Handlowej założonego w roku 1930. Jego pierwszym prezesem został kpt. Tadeusz Ziółkowski, w zarządzie był m.in. nestor oficerów floty handlowej kpt. Karol Ryncki. Na wielki objazd rodziny wybrał się kapitan z żoną i synem w roku 1936, kiedy to odwiedził kolejno Warszawę, Łuck i Gostyń. Rok później Stefan Niewiarowicz wybrał się z córką na Wystawę Światową do Paryża. Wycieczkę, połączoną ze zwiedzaniem Kopenhagi, organizowało biuro podróży „Orbis”. Zachowały się ich paszporty wystawione 15 lipca 1937 roku przez Starostę Grodzkiego Północno-Warszawskiego z wizą francuską i wizami tranzytowymi niemiecką i belgijską. Był to paszport jednorazowy, o krótkim okresie ważności, właściwie tylko na czas wycieczki, a kosztował sporą sumę 40 zł. Na podstawie tegoż paszportu można było wymienić na dewizy zaledwie 30 zł.



42. Krysią Niewiarowicz w Kopenhadze

Oczywiście Stefan posiadał własne środki dewizowe, a poza tym ówczesny złoty był walutą wymienną, choć nie we wszystkich krajach. Stefan z córką wyruszyli z Gdyni pociągiem 18 lipca 1937 roku po południu. Po dwóch dniach zwiedzali Kopenhagę wraz z grupą uczestników tej wycieczki, poczym ruszyli do Paryża. Tereny Wystawy Światowej były usytuowane pod wieżą Eiffla, a ich zwiedzenie zajmowało cały dzień.



43. Krysia Niewiarowicz na World Expo w Paryżu

W środku tej fotografii stoi 16. letnia wówczas Krysia Niewiarowicz (obok damy w kapeluszu) na tle wejścia na tereny wystawowe. W programie wycieczki był naturalnie Wersal, opera i inne znane miejsca w stolicy Francji włączając nawet kabaret Moulin Rouge w godzinach wieczornych. Była to pełna wrażeń wyprawa i Stefan Niewiarowicz powrócił z niej z twardym postanowieniem, że w roku 1939 popłyną na kolejne EXPO do Nowego Jorku. Została ona otwarta 30 kwietnia 1939 roku w upalną niedzielę. Ale sytuacja międzynarodowa była już wówczas bardzo napięta i Stefan zrezygnował z tego wyjazdu, który musiałby trwać blisko miesiąc, podczas gdy wyprawa do Paryża i Kopenhagi trwała 10 dni. World Expo 1939 trwało, gdy wybuchła II. wojna światowa, jedynie pawilony Polski i Czechosłowacji zostały zamknięte.

Nasz statek pasażerski m/s „Batory” wiozł do Nowego Jorku sporą grupę turystów z Polski, którzy wybrali się na Expo. Dokładnie w dniu 28 sierpnia 1939 roku minął się ze swoim bliźniakiem liniowcem m/s „Piłsudski”, który płynął w przeciwnym kierunku do Anglii. „Piłsudski” nigdy już nie wrócił do kraju, zatonął 27 listopada 1939 roku storpedowany przy wschodnim wybrzeżu Anglii. Jego dowódca kpt. Mamert Stankiewicz zginął. Natomiast „Batory” na polecenie konsula polskiego w Nowym Jorku otrzymał polecenie natychmiastowego przejścia do Halifaxu w Kanadzie. Wcześniej został odwołany dotychczasowo dowódca kpt. Eustazy Borkowski z powodu robienia zbyt wielkiego ggiełku w prasie, wbrew zaleceniom władz. Statek do Halifaxu prowadził więc I. oficer Franciszek

Szudziński, aby uniknąć aresztu „Batorego” w Nowym Jorku, o co zabiegała stocznia włoska Monfalcone z powodu niespłaconych kredytów na budowę.

Wróćmy jednak do Gostynia, gdzie w pięknym i obszernym mieszkaniu z ogrodem mieszkał Stefan z żoną Oleńką i córką Krysią. W tym samym budynku mieszkał dyrektor cukrowni Zygmunt Psarski, który sprowadził Stefana ze Zbierska do Gostynia. Ciekawa to postać, której losy od dawna wiązały się z losami Stefana. Urodził się on w roku 1886 Piotrkowie Trybunalskim w rodzinie ziemiańskiej, jako syn Władysława Rudolfa Psarskiego herbu Jastrzębiec (1857-1948) i Marii (1864-1923).



Rodzina Psarskich i Niewiarowiczów w 1938

W 1904 roku ukończył gimnazjum filologiczne w Warszawie. W roku następnym, jako student Wydziału Przyrodniczego Uniwersytetu Warszawskiego brał udział w strajkach szkolnych. Obawiając się represji carskich przeniósł się do Lwowa, gdzie kontynuował naukę na politechnice. W 1909 roku ukończył studia uzyskując tytuł inżyniera chemika. W latach 1909-1910 pełnił służbę wojskową w 14. Pułku Dragonów armii rosyjskiej. W ostatnich latach przed wybuchem I wojny światowej był zastępcą dyrektora fabryki cukru w Rytwianach pod Sandomierzem. 1 sierpnia 1914 roku zmobilizowany został, jako oficer ewakuacyjny pociągu sanitarnego w Białymstoku. W roku następnym oddelegowano go do 14. Pułku Dragonów, w którym służył kilka lat wcześniej. 15 listopada 1917 roku wstąpił do I Korpusu Polskiego gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego z przydziałem do 1. pułku inżynierskiego. Tutaj otrzymał awans na podporucznika, a wkrótce na porucznika. 11 listopada 1918 roku objął komendę garnizonu miasta Kalisz. Brał udział w powstaniu wielkopolskim od 14 stycznia 1919 roku w charakterze dowódcy 2. kompanii 1. batalionu saperów w Poznaniu. 23

maja 1919 roku awansował do stopnia kapitana. W Kaliszu, a właściwie w Zbiersku, spotkał po raz pierwszy Stefana Niewiarowicza, szefa laboratorium w miejscowej cukrowni, którą brał pod uwagę, jako przyszłe miejsce swojej pracy po wojnie. Losy jednak skierowały go na drogę zawodowej kariery wojskowej. Po udziale w powstaniu śląskim i w wojnie bolszewickiej awansował w roku 1921 do stopnia podpułkownika. Dopiero 25 lutego 1922 roku na własną prośbę przeniesiony został do rezerwy i objął posadę dyrektora cukrowni w Świeciu nad Wisłą. Rok później zwiąże się do końca życia z cukrownią w Gostyniu. W okresie międzywojennym kierował rozbudową fabryki, był współinicjatorem powołania do życia przyfabrycznej OSP i patronem zakładowej orkiestry dętej. 18 marca 1928 roku wybrano go prezesem Towarzystwa Powstańców i Wojaków w Gostyniu. W latach 1929-1933 sprawował funkcję radnego Rady Miejskiej w Gostyniu. Od 1930 roku kierował sekcją Wychowania Fizycznego i Przynależenia Wojskowego Komitetu Powiatowego. W 1937 roku wybrano go do zarządu Powiatowego Związku Strzeleckiego. Wszystkie te funkcje wiązały się z jego wysokim stopniem wojskowym pułkownika rezerwy. W sierpniu 1939 roku został zmobilizowany i przydzielony do dowództwa saperów przy sztabie Armii Poznań. Tu jego losy w kampanii wrześniowej wiązały się z służbą wojskową Tadeusza Penkalskiego, jako sapersa w składzie tej samej armii. Saperzy armijni nie brali jednak udziału w bitwie nad Bzurą, gdzie Tadeusz dostał się do niewoli. Dlatego Zygmunt Psarski uniknął niewoli i działał w konspiracji kierując w roku 1943 cukrownią w Michałowie pod Błoniem.

Nie wrócił po kampanii wrześniowej do Gostynia słusznie przypuszczając, że Niemcy będą go poszukiwać za udział w powstaniu wielkopolskim. Prawdopodobnie zostałby rozstrzelany na rynku w Gostyniu w czasie egzekucji 21 października 1939 r., gdzie zginęło kilku pracowników cukrowni i powstańców wielkopolskich.

Po zakończeniu II wojny światowej Zygmunt Psarski powrócił do Gostynia i ponownie objął stanowisko dyrektora miejscowej cukrowni. Stanął na czele Komitetu Odbudowy zniszczonego przez Niemców gimnazjum. Jesienią 1951 roku został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa pod zarzutami politycznymi, a razem z nim trafił do aresztu jego zastępca Stefan Niewiarowicz. Psarskiego traktowano okrutnie, był bity i trzymany w karcerze. Jako przedwojenny zawodowy oficer i uczestnik wojny bolszewickiej był znienawidzony przez swoich oprawców. Stefana też kilka razy pobito, ale nie był on oficerem, a jego udział w wojnie bolszewickiej nie został odkryty. Mocno wychudzony został po dziewięciu miesiącach zwolniony bez procesu. Wyszedł też Psarski, ale w stanie skrajnego wyniszczenia, co spowodowało jego przedwczesną śmierć w kwietniu 1954 roku. Ten oficer i doskonały fachowiec w branży cukrowniczej miał decydujący wpływ na dzieje naszej rodziny, można by zaryzykować stwierdzenie, że zdecydował o przyjściu na świat autora w Gostyniu, a nie w jakimś innym mieście. Wielce zasłużony dla tego miasta, nie ma dzisiaj nawet ulicy swego imienia, choć przecież figuruje w Gostyńskim Słowniku Biograficznym.

Warto chyba przyrzeć się tej niezwyklej fotografii wykonanej krótko przed pożogą wojenną w okresie świątecznym. Mieszkając w jednym budynku przy ul. Dobramyśl mój dziadek Stefan Niewiarowicz (autor zdjęcia) często odwiedzał rodzinę Psarskiego. Zebrały się nasze rodziny w mieszkaniu dyrektora Psarskiego w Boże Narodzenie 1938 roku. Druga od prawej siedzi jego żona Władysława Fundament-Karśnicka (1900-1983) herbu Jastrzębiec, poślubiona w 1920. W 1923 urodził się ich syn Stanisław i to on zapewne stoi pierwszy z lewej obok mojej mamy Krystyny. Dwa lat później na świat przyszła córka Jadwiga ("Dziunia"), siedzi ona w środku grupy. Niewykluczone, że jest to Maria ("Mariola") urodzona już w Gostyniu, kolejna córka Psarskich. Późniejsza Maria Chmiel, (ur. 10 maja 1929 w Gostyniu, zm. 18 kwietnia 1991) – polska lekarka, pediatra, pracownik naukowy Akademii Medycznej w Poznaniu.

Działała w konspiracji, jako członkini tajnej organizacji harcerskiej podległej Narodowej Organizacji Wojskowej, a następnie Armii Krajowej. Uczestniczyła w powstaniu warszawskim, jako sanitariuszka batalionu „Gustaw”. Po upadku powstania przedostała się z ludnością cywilną do Milanówka, gdzie doczekała końca wojny. W 1946 roku złożyła egzamin maturalny w liceum w Gostyniu. W 1951 roku poślubiła Józefa Chmiela (1924-1984), kolegę z roku, później biochemika, profesora Akademii Medycznej. Dyplom ukończenia studiów uzyskała w 1952 roku, po czym podjęła pracę w otwartym lecznictwie pediatrycznym. Cała rodzina Psarskich walczyła w powstaniu warszawskim. Senior rodu podobnie, jak jego młodszy o dwa lata brat Władysław, posiadał dokumenty na inne nazwisko i działał w Delegaturze Rządu na Kraj w Wydziale Apropowizacji. Obaj wzięli udział w powstaniu warszawskim, ale Władysław ("Jastrzębiec") poległ w nocy z 17 na 18 sierpnia 1944 roku od wybuchu granatu, gdy prowadził Alejami Jerozolimskimi (ówczesna Al. Sikorskiego) kolumnę transportową po odbiór żywności dla Powiśla. Stanisław poległ 1 września 1944 na ulicy Piwnej. Walczył na Woli i na Starym mieście. Od 7.08.1944 - Grupa "Północ" - zgrupowanie "Róg" - batalion "Gustaw" - kompania "Anna" - II pluton. Miał stopień kaprała z cenzurem. Nawet żona Zygmunta Władysława ("Włada") była w AK i w powstaniu została peżetką (organizacja kobieca powstała w marcu 1942 roku początkowo, jako referat, a później samodzielny podwydział w strukturze Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK, ściśle współpracująca z Wojskową Służbą Kobiet. Celem tej organizacji była opieka nad żołnierzami AK. Jej członkinie zwane były potocznie „peżetkami”). "Dziunia" była sanitariuszką, jej przydział to Armia Krajowa - zgrupowanie "Harnaś" - sanitariat - Szpital Polowy ul. Kopernika 43, następnie Szpital Polowy ul. Śniadeckich 11. Szlak bojowy: Powiśle - Śródmieście Północ - Śródmieście Południe. Dzieci poległego brata Władysława także brały udział w walkach (zob. poz. 18 spisu).

Tymczasem świat nieuchronnie zmierzał do wojny, znamy już losy braci Eborowiczów, którzy jej nie przeżyli. Syn Juliana Wacław urodził się w roku 1915 w Piotrogradzie, maturę zdał w Poznaniu w roku 1934. Z natury naukowiec poszedł na studia filologiczne na Uniwersytecie Poznańskim, które ukończył w roku 1938. Zamierzał wstąpić do seminarium duchownego, ale prymas August Hlond skierował go na studia filozoficzne na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie. Podjęcie tych studiów uniemożliwił Eborowiczowi wybuch II. wojny światowej. Wysiedlony w 1939 przez Niemców do Warszawy, znalazł posadę w Dziale Propagandy Zarządu Głównego Polskiego Czerwonego Krzyża, co pozwoliło mu uniknąć wywiezienia na roboty przymusowe. Przygotowywał się do przyjęcia święceń kapłańskich, studiując w latach 1940-1941 w seminarium pallotyńów w Ołtarzewie oraz w latach 1941-1942 w seminarium w Sandomierzu, a potem w seminarium jezuitów w Warszawie. W roku 1945 został księdzem, nie mógł więc założyć rodziny i jego linia rodowa wygasła. Brat Juliana nie miał bowiem syna, a jedynie córki. Droga naukowa w dziedzinie teologii jest możliwa, o ile założymy, że teologia to nauka. Ale Wacław był przede wszystkim filologiem i filozofem, co umożliwiło mu rzeczywistą karierę naukową. Wiemy, że był np. członkiem rady naukowej czasopisma "*Filosofia oggi*" ukazującego się w Genui, uczył łaciny i francuskiego. Los skierował go do seminarium duchownego w Pelplinie, a kiedy zachorował umieszczono go w szpitalu w Starogardzie Gdańskim, miejscu zamieszkania autora tej książeczki. Zmarł tutaj w listopadzie 1994 roku, o czym oczywiście nie miałem wówczas pojęcia, gdyż nic nie łączyło mnie z nazwiskiem Eborowicz. Dopiero późniejsze badania genealogiczne wprowadziły mnie do zupełnie nowego i nieznanego świata moich przodków.

Wojna zburzyła świat istniejący do 1. września 1939, zniszczyła wiele istnień ludzkich i poplątała nici losów snutych przez boginie przeznaczenia. Jak pisał poeta:

*Trzy Parki snują przędzywo żywota.
Jednego długo cieszą plenną niwą,
Drugiego zgładzą, zanim skończył żniwo,
Za trzecim zamkną, ledwie wstąpił, wrota.*

Stefan Niewiarowicz pozostał w Gostyniu, nie próbował uciekać na wschód wierzył, że wojna nie potrwa długo. Tułaczkę pod bombami wybrało blisko 800 rodzin, niektóre dotarły aż do rejonu lubelskiego. A potem trzeba było wracać do Gostynia, znowu były pełne drogi, ale tym razem było to wrogie wojsko niemieckie. Powiat gostyński nie leżał w głównym pasie natarcia armii niemieckiej. Skierowano tutaj jednostki tyłowe i rezerwowe, jak 14. grupa Grenzschtzu, 183. pułk Landwehry oraz niektóre oddziały 252. dywizji piechoty. Wkroczyły one do miasta 6 września, które od tego dnia miało się zwać Gostin, zmienione później przez gauleitera Greisera na Gostingen. Niemcy przejmowali restauracje, sklepy i zakłady przemysłowe. Stefan pozostał na razie na swoim stanowisku, gdyż brakowało niemieckiej kadry kierowniczej, a zbliżała się przecież kampania cukrowa. Pozostał na stanowisku szefa laboratorium do 30 czerwca 1941 roku, dopiero wtedy okupanci mogli go zastąpić swoim chemikiem. Nie przeszkodziło to hitlerowcom wysiedlić Stefana z mieszkania przy ulicy Dobramyśl w listopadzie 1939 roku do jednego pokoiku w domku położonym na terenie gostyńskiej cegielni.

Już 24 września Stefan został uwięziony, jako jeden z 10. zakładników, którzy stanowili gwarancję, że Polacy nie będą dokonywali ataków na ludność niemiecką. Zakładnicy ci rotacyjnie zmieniali się, będąc więzieni przez kilka dni w piwnicach ratusza miejskiego. Jak się potem okazało z tych piwnic można było łatwo trafić pod ścianę śmierci, którą hitlerowcy ustawili na rynku 21 października. Pięć dni wcześniej przeprowadzono aresztowania wśród inteligencji, działaczy patriotycznych i samorządowych. Aresztowano łącznie 40 osób i umieszczono je w piwnicach ratusza. W wyznaczonym dniu rozstrzelano 30. mężczyzn, ostatnia dziesiątka już prowadzona na miejsce egzekucji została niespodziewanie ułaskawiona i zwolniona do domów. 5 grudnia rozpoczęła się akcja wysiedleńcza, w pierwszej kolejności na listach do wywózki znalazły się rodziny rozstrzelanych 24 października. Punkt zbiorczy był w klasztorze, szybko ruszyły pociągi wywożąc gostyniaków do Rawy Mazowieckiej lub do obozu przejściowego w Łodzi. Mieszkańców powiatu gostyńskiego wysiedlano i wywożono na roboty przymusowe przez całą wojnę. W ich miejsce sprowadzano Niemców bałtyckich (*Baltendeutsche*), którzy mieszkali głównie w Estonii i na Łotwie. Przyszli też po rodzinę Stefana. 10 lipca 1944 załomotali o świcie do drzwi żandarmi z nakazem wywózki na roboty przymusowe. Krysia była w ostatnich dniach ciąży i fakt ten wykorzystali Stefan i Tadeusz (ojciec autora) uzyskując w ostatniej chwili odroczenie wywózki. Tragiczny był los tego transportu, ostatniego jak się okazało z Gostynia. Wagony z wywożonymi dostały się pod alianckie bomby już na terenie Niemiec, wielu ludzi zginęło. Po wojnie do rodzin powróciła ledwie połowa wówczas wywiezionych.

Więcej o wysiedleniach w pierwszym okresie okupacji, które rozpoczęły się 4 grudnia 1939 r. zob. poz. 19 spisu literatury. Tamże unikalne zdjęcia wysiedlonych gostyniaków. Jest tam też droga życiowa Oskara Knofe, esesmana i mordercy ludności Wielkopolski. Był bezpośrednio odpowiedzialny za rozstrzelanie mieszkańców Gostynia w 1939, a mimo to uniknął kary i żył długo po wojnie.



44. Gostyńskie kino w czasie okupacji

Po usunięciu z cukrowni Stefan dostał 12 lipca 1941 roku skierowanie do pracy w firmie budowlanej Spaudel. Ponieważ doskonale opanował rysunek techniczny zajmował się głównie tworzeniem dokumentacji budów. Tak się złożyło, że starosta powiatu (Landrat) poszukiwał właśnie pracownika o takich umiejętnościach, więc zatrudniono Stefana w wydziale komunalnym, gdzie tworzył dokumentację sieci wodociągowej i kanalizacyjnej, a także plany nowych inwestycji niemieckich takich, jak np. budowa nowego osiedla mieszkaniowego *Neue Heimat* niedaleko gimnazjum. Nie mógł wiedzieć, że zaraz po wojnie zamieszka tam jego córka Krysią z mężem. Po dwóch latach pracy w starostwie przechodzi Stefan do pracy w Foto-Atelier Herty Schneider. Został więc fotolaborantem podobnie, jak jego córka i jej narzeczony zatrudnieni u Niemca, a właściwie Austriaka, w dawnej drogerii Mroczkiewicza.

W mieszkaniu Stefana nie zamieszkał jednak żaden Baltendeutch, a niemiecki wysoki urzędnik Karl Heinz Bachman z *Göttingen* (Getynga). Krótco przed wojną uzyskał on doktorat na Uniwersytecie w Getyndze na podstawie pracy „*Koncepcja historii Thomasa Carlyle i jego idea wspólnoty w świetle intelektualnej i politycznej historii Anglii* „.

Kiedy w styczniu 1945 roku uczony ten mąż musiał w pośpiechu uciekać z zagrabionego rodzinnie Stefana mieszkania, zostawił w nim prawie wszystkie swoje rzeczy, a w tym dużą bibliotekę, zbiory znaczków, radio, gramofon, rzadki wtedy odkurzacz i wiele innych rzeczy. Pozostały też meble Stefana, a nawet niektóre papiery osobiste schowane w szafce w piwnicy. Sprawiedliwości dziejowej stało się zadość. Także wtedy, gdy w roku 1946 w publicznej egzekucji w Poznaniu powieszono kata Wielkopolski gauleitera Arthura Greisera. Ślepo wierząc w ostateczne zwycięstwo w znacznym stopniu opóźnił on ewakuację wojska i ludności niemieckiej, która potem w olbrzymim pośpiechu i panice musiała uciekać na zachód ginąc pod bombami i z powodu trzaskających mrozów.

Koniec wojny zamyka niejako wszystkie opisane tutaj sprawy rodzinne. Warszawa legła w gruzach, a z nią w znacznym stopniu została uszkodzona ulica Bednarska. Przestała istnieć kamienica, w której mieszkali Gerethowie przy ulicy Pięknej, a przebywał Stefan z Oleńką biorąc w roku 1913 ślub. W wywózkach na Syberię przypadli krewni zamieszkali w Równem i w Łucku. Splątały się i wymieszały losy ludzkie w tej wielkiej zawierusze. Ale 9. maj 1945 roku nie zakończył całkowicie wojny, trwała przecież wojna domowa, nadal ginęli ludzie, tym razem z rąk rodaków. Ale to już zupełnie inna historia, którą być może opiszę w innym e-booku.

Los rodu Eborowiczów dobiegł końca z powodu braku męskich potomków i kapłaństwa jedyne syna Juliana Waclawa. Los rodu Niewiarowiczów dopełnił się, gdyż Wiktor Niewiarowicz, syn Waclawa, miał dwie córki: Ewę i Annę. Obecnie mieszka w kraju 44. ludzi o tym nazwisku. Nie znamy losu rodu Chmielowskich, nie wiadomo czy Julian był żonaty, a jeśli był, to czy miał syna. Ludzi o tym nazwisku jest w Polsce ponad 1300 i zamieszkują oni głównie południowe rejony

naszego kraju. Kiedy w Rosji wybuchła rewolucja Julian przebywał w dalekim Kursku i mógł w tym zamęcie zginąć, przepaść bez śladu. Gerethowie też gdzieś zaginęli, w Polsce żyje (lub żył) tylko jeden człowiek o tym nazwisku mieszkający w Łodzi. Jeśli natomiast przyjmiemy pisownię Gerreth, to mamy 3 osoby zamieszkałe w Poznaniu. Mamy tylko 4. Szletyńskich mieszkających w Łodzi i wiadomo, dlaczego właśnie tam.

Rok 1945 skończył się śmiercią kapitana Niewiarowicza na morzu. W kwietniu tego roku wracał z wysiedlenia do Gdyni i po drodze zatrzymał się u Stefana w Gostyniu. Zachowało się zdjęcie, na którym trzyma na kolanach autora tej pracy, jako 9. miesięcznego chłopca. Potem był powrót do własnej kamienicy na ulicę Świętojańską, gdzie w czasie wojny mieszkali gestapowcy i urzędnicy niemieccy. Spora grupa z tych narzuconych siłą mieszkańców kamienicy znalazła śmierć na dnie Bałtyku w storpedowanych przez Rosjan wielkich transportowcach "*Gustloff*" i "*General von Steuben*". Paniczna ucieczka hitlerowców i ich rodzin przed wojskami radzieckimi i polskimi, tak się często kończyła.

Jak wyżej wspomniano kapitan wrócił do pracy w porcie gdyńskim, który był w tym czasie zaminowany i zablokowany przez zatopiony celowo przez Niemców w marcu 1945 roku krążownik pancerny "*Gneisenau*".



45. Wrak pancernika "*Gneisenau*" w porcie gdyńskim

Ale port musiał funkcjonować, wyznaczono zapasowe wejście i statki mogły bezpiecznie wpływać do Gdyni. Po opisanym już powitaniu s/s "*Kraków*" kapitan Niewiarowicz z niecierpliwością oczekiwał na zwolnione z czarteru brytyjskiego statki s/s "*Śląsk*" (zawinął 11 grudnia pod kapitanem Bolesławem Mikszta) oraz s/s "*Poznań*" (22.XII). Twarde francuzy, tak zwano te pięć statków o nazwach polskich miast, i one w pełni zasłużyły sobie na to miano. Dowodzone przez twarde kapitanów wywodzących się głównie z marynarki rosyjskiej, ale także przez pierwszych absolwentów Szkoły Morskiej w Tczewie, przetrwały wojnę i służyły jeszcze wiele lat po wojnie w polskiej flocie handlowej. Ostatni z nich został złomowany w roku 1975 i był to właśnie s/s "*Poznań*".



46. Kapitan ż.w. Wacław Niewiarowicz

Kapitanowi Niewiarowiczowi nie było sądzone wprowadzić tych statków do portu w Gdyni. Nadszedł tragiczny dla niego wieczór 6 grudnia. Od rana na Bałtyku szalał sztorm, statki chroniły się w portach, ale szwedzki statek pasażerski zmierzał w tym czasie do Gdyni i późnym wieczorem poprosił o pilota, aby wejść do portu. Ze względu na stan morza zapadła początkowo decyzja, aby szwedzki statek sztormował na redzie. Miał on jednak przecieki i obawiano się o bezpieczeństwo jego pasażerów. W tej sytuacji kapitan Niewiarowicz nie chcąc narażać życia podległych mu pilotów zdecydował, iż sam wprowadzi ten statek do portu. Z portu wypłynęła pilotówka i po 40. minutach podpłynęła pod burtę statku. Rzucono sztormtrap, po którym zaczął się wspinać kapitan. Kiedy był w połowie drogi wysoka fala uniosła motorówkę w górę i rzuciła ją na burtę przygniatając pilota. Ciężko ranny kapitan spadł na pokład łodzi, zastąpił go inny pilot, a motorówka zawróciła do portu. Obrażenia okazały się poważne i Wacław Niewiarowicz zmarł nie odzyskawszy przytomności 7 grudnia 1945 roku nad ranem. Miał 66 lat, cieszył się doskonałym zdrowiem i miał wiele planów na życie w powojennej Polsce. Został pochowany w Alei Zasłużonych na cmentarzu w Gdyni-Witominie.

Szczegóły tego wypadku przedstawił dr Ryszard Leszczyński w książce *"Katastrofy i wypadki morskiej floty pomocniczej PMH (1926 - 2006)"* wydanej w r. 2017. Ponadto zamieszczam poniżej oryginalną notatkę prasową z "Dziennika Bałtyckiego" opisująca ten tragiczny wypadek.

Warto też przyjrzeć się orzeczeniu Izby Morskiej w tej sprawie omówionym przez dra Leszczyńskiego.

" Do tragedii doszło 7 grudnia, o godz. 22.04. Tego dnia - cytując archiwalne dokumenty Izby Morskiej w Gdyni (syg. IM 6/45) - panowały trudne warunki pogodowe, a konieczność wprowadzenia motorowca „Pelikan” do portu, na którego akwenach zalegały wciąż miny, nieoznakowane wraki i skryte pod lustrem wody przeszkody, dyktowała obecność na jego burcie dużej grupy ludzi. Schorowanych lub wycieńczonych pasażerów, których repatriacja na ląd stanowiła nie tylko nagłą potrzebę, ale i nakaz chwili. Po wyekspediowaniu na redę parowca „Nordland”, dzierżawiony od Szwedów holownik „Hera”, w którego sterówce przebywał kapitan Wacław Niewiarowicz, obrał kurs w kierunku ponad 117-metrowej, oczekującej od godzin porannych jednostki, zamierzając przekazać tam pilota. Nie było to wprawdzie zgodne z

ostrożnymi sugestiami kapitana portu Jana Godeckiego i oficera portu Anatola Kniaziewa, którzy uważali, że ze względu na duże rozfalowanie i oblodzenie holownika, lepiej byłoby, aby Niewiarowicz pilotował „szweda” z jego burty, a na pokład „Pelikana” wszedł dopiero w awanporcie, to polecenia pilota nakazujące wybranie kotwicy i ustawienie frachtowca w pozycji, która osłaniałaby „Herę” przed uderzeniami wiatru i grzywaczy, ostatecznie przesądziły sprawę. Komendy Niewiarowicza, jak się okazało, niewiele jednak dały. Kiedy bowiem holownik znalazł się w pobliżu motorowca, nie było wcale spokojniej, fale nie wyglądały na mniej agresywne i mniejsze, łupinowaty stateczek chylił się i obracał we wszystkie możliwe strony. Mając przed sobą ścianę poszycia burtowego i przygotowany sztormtrap, pilot stanął więc na relingu, wyczekując odpowiedniej chwili, która pozwoliłaby na wykonanie skoku. Wtedy, niestety, doszło do nieszczęścia. Mocarne uderzenie fali sprawiło, że holownik doznał gwałtownego przechyłu, tracący równowagę Niewiarowicz chwycił się, chcąc uniknąć upadku, będącego już pod ręką sztormtrapu, ale kolejny zwal wody rzucił holownikiem w górę, po czym cisnął nim, przygniatając mężczyznę do burty. Wyciągnięty przez marynarzy „Hery” na pokład pozostawał nieprzytomny, a doznane obrażenia miały okazać się śmiertelne.

Nestor przedwojennych kapitanów, ceniony ławnik gdyńskiej Izby Morskiej, w swoim czasie odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi oraz złotym Medalem Ligi Morskiej i Kolonialnej pochowany został w środę, 12 grudnia 1945 roku w starej Alei Zasłużonych na Cmentarzu Witomińskim. Mogiła kapitana zachowała się do naszych dni.

Sędzia Zdzisław Koszewski na zamykającym rozprawę posiedzeniu Izby Morskiej, która badała okoliczności i przyczyny tragedii, powiedział: „Przyczyną wypadku było niedające się uchylić nawet przy najdalej idącej ostrożności i przezorności ryzyko występujące zawsze w służbie pilota, w której pełniąc ją sumiennie, zginął kapitan żeglugi wielkiej Niewiarowicz”. Pod sentencją tą, ale i pod stwierdzeniem, że cechy osobowości i zawodowe doświadczenie kapitana nie dają żadnych podstaw do postawienia tezy, iż do przedstawionego zdarzenia doprowadziła jego nieostrożność lub błąd podpisali się ławnicy, kapitanowie: Tadeusz Meissner, Antoni Zieliński, Mikołaj Depisz oraz Mieczysław Rudnicki.”

nr 196/1945 z dn. 09.XII. 1945 /niedziela/

Str. 6

DZIENNIK BAŁTYCKI

Smierć na posterunku

Tragiczny zgon starszego pilota W. Niewiarowicza

W dniu wczorajszym zginął na posterunku, pełniąc służbę pilota w porcie gdyńskim kapitan Wacław Niewiarowicz, starszy pilot.

Służba pilota, teraz przy fatalnych warunkach atmosferycznych, w śnieg i zawieruchę jest niezwykle ciężka. Pilot wyjeżdżający na redę dla wprowadzenia statku musi ze zręcznością akrobata wdrapywać się po oślizgłej drabince na statek, skakać z odrzucanego przez fale holownika mimo wiatru, siekącego słonymi bryzgami wody, oślepiającego śniegiem i deszczem.

Wczoraj służba była bardzo trudna. Śnieg na zawierucha oblodzone stopnie trapu i wiatr dmący z siłą 6 stopni w skali Beauforta. Ś. p. kpt. Niewiarowicz wyprowadził z portu „Northland” i miał prowadzić oczekującego na redzie „Pelikana” z repatriantami. W momencie wchodzenia na statek, fala rzuciła holownik na burtę „Pelikana”, przygniatając obie nogi nieszczęśliwego pilota. Po przewiezieniu do portu, jak podaje dyżurny z kabinatu, mimo trzykrotnego wzywania karetki pogotowia, zjawiła się dopiero po trzech kwadransach. W czasie przewożenia do szpitala kapitan zmarł.

Być może, że wcześniejsza pomoc lekarska również by w tym wypadku nie pomogła, w każdym razie należałoby w porcie mieć dyżur pogotowia na miejscu, lub karetkę do dyspozycji portu, bo o wypadek przy zwiększającym się ruchu statków przeładunkach dokonywanych w coraz trudniejszych warunkach atmosferycznych nie trudno.

Śmierć starszego pilota Niewiarowicza, kapitana żeglugi wielkiej, mającego za sobą 40 lat pracy na morzu, pozbawiła naszą marynarkę handlową jednego z doświadczonych i bardziej zasłużonych oficerów, pozostawiając żal i pamięć w sercach zwierzchników, kolegów i podkomendnych po znym człowieku, dobrym koleździe i dzielnym pracowniku. (M.)

Gdańska fabryka beczek

W lipcu br. została uruchomiona z inicjatywy Zjednoczenia Przemysłu Drzewnego pierwsza Fabryka Beczek i Kadzi w Gdańsku, Wisłana Nr 4. Jest ona bardzo ważna dla przemysłu konserwowego i piwowarskiego. Warunki w jakich powstawała były więcej, niż trudne. Zrujnowane budynki fabryczne, uszkodzone maszyny, brak wyszkolonych robotników Polaków. Nie ulękł się tych trudności dyr. Szafranski i kierownik techn. inż. Pieńkowski. Fabryka ruszyła. Dzień może się pochwalić wcale niezłymi rezultatami. Pracuje w niej 104 robotników w tym Polaków i Polek 57, resztę stanowią Niemcy. Robotnicy rekrutują się prawie wyłącznie z repatriantów ze wszystkich stron Polski. Przeważa element młody, pełen energii i zapału z nich to składa się kadra fabryki.

Opowieść o życiu codziennym naszych antenatów dobiegła końca. Objęła ona wiele rodów, sięgnęła horyzontem czasowym do wieku XVIII. prezentując głównie życie Eborowiczów, Chmielowskich, Pade i Niewiarowiczów w wieku XIX. Weszliśmy też daleko w wiek XX., aby pokazać splątane losy naszych przodków w czasie dwóch wojen światowych, rewolucji i wojen w lokalnej skali, w których brali udział. Celem tych walk okupionych daniną krwi i cierpienia była zawsze wolna od zaborców i okupantów Polska. Przede wszystkim jednak nasi antenaci starali się zapewnić sobie i swoim dzieciom godne życie i dlatego ciężko pracując budowali lepszą przyszłość.

KONIEC

E-book zakończony w dniu 10 maja 2013. Wszelkie prawa do tekstu © Zbigniew Penkalski.

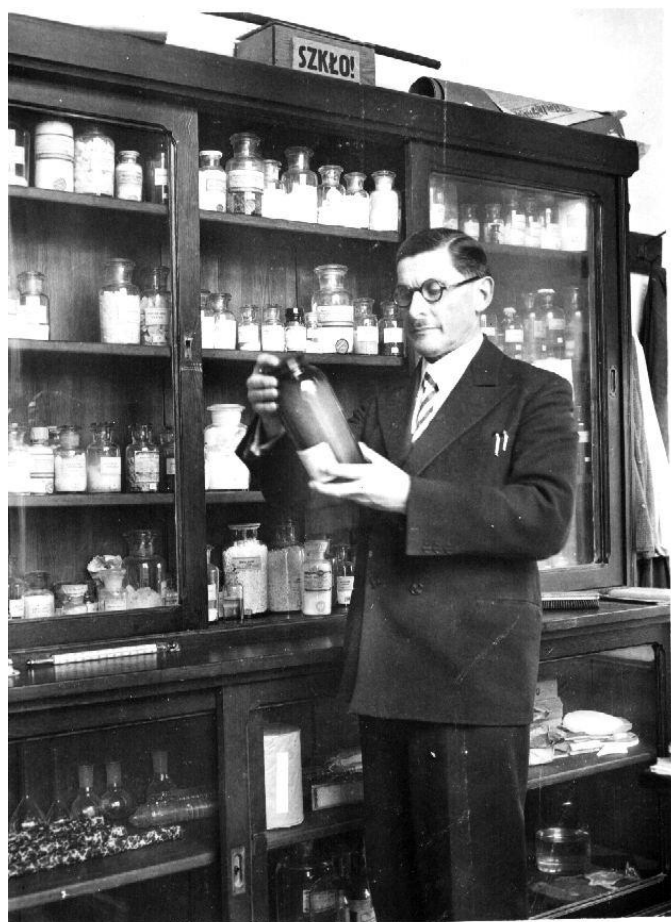
Zmiany i uaktualnienia z dnia 30 listopada 2020 r.

Kopiowanie i rozpowszechnianie wymaga zgody autora.

Fotografie i ryciny ze zbiorów własnych. Więcej archiwalnych fotografii na stronie genealogicznej.

.Polecam lekturę mojej trylogii genealogicznej, która oprócz powyższego opracowania zawiera także " *Przygody Aleksandra w dzikiej Mandżurii 1897-1900*" oraz " *W cieniu Gór Świętokrzyskich*".

http://zbiqkurzawa.eu/trylogia_biograficzna.pdf



Stefan Niewiarowicz - główny chemik cukrownik.

PRZYGODY ALEKSANDRA
W DZIKIEJ MANDZURII
1897-1900



ZB. PENKALSKI

PRZYGODY ALEKSANDRA W DZIKIEJ MANDŻURII

1897-1900

ZBIGNIEW PENKALSKI - marzec 2016 r.

Wydanie II uzupełnione - styczeń 2018 r.

WSTĘP

Losy Aleksandra Niewiarowicza zostały już opisane w moim e-booku „*Życie codzienne naszych antenatów 1794-1945*”. Celowo pominąłem tam ten fragment dziejów, który wiąże się z 3. letnim kontraktem na budowę Kolei Wschodniochińskiej. Nie zmieściłby się on w ramach tamtego opracowania z uwagi na wielkie bogactwo materiału zawarte zarówno w memuarach Aleksandra, jak i też w zebranych przeze mnie materiałach faktograficznych dotyczących tej budowy. Przez wiele lat śledziłem wszelkie dostępne publikacje na ten temat, głównie ukazujące się w internecie w języku rosyjskim. Zaczynają się one od Kolei Transsyberyjskiej, gdyż omawiana linia miała być jej eksterytorialnym przedłużeniem. Odnoga chińska, zwana też w skrócie CEL (Chinese Eastern Line), była pomyślana, jako przedłużenie Kolei Transsyberyjskiej do Chabarowska i Władywostoku. Prace studyjne prowadzone były już w latach 80. XIX wieku, a ostateczne decyzje zapadły w sytuacji znacznego osłabienia ekonomicznego i politycznego Chin w roku 1892. Skrótem CEL będę w tym tekście wyróżniał fragmenty dotyczące historii budowy tej kolei w odróżnieniu od autentycznych przygód Aleksandra.

Było to wielkie przedsięwzięcie, do którego potrzebni byli wszelkiego rodzaju fachowcy od budowy linii kolejowych. Brano, więc doświadczonych budowniczych Kolei Transsyberyjskiej, werbowano inżynierów i techników na terenach Polski, wykorzystano nawet tych polskich czy litewskich zesłańców, którzy mogli być przydatni przy budowie. Ułaskawieni chętnie stawali w szeregach budowniczych tej kolei licząc na odmianę swego nędznego losu i powrót do ojczyzny po wypełnieniu kontraktu. Władze carskie oferowały bardzo korzystne warunki finansowe, aby zapewnić sobie fachową siłę roboczą. To zadecydowało o udziale Aleksandra w tym przedsięwzięciu i jak pokazała przyszłość, była to decyzja odważna i słuszna. Lata spędzone na budowie kolei w rejonie Wolska w guberni saratowskiej, pozwoliły na zaoszczędzenie kilku tysięcy rubli, ale rodzinie potrzebny był jeszcze dodatkowy zastrzyk finansowy, aby dokończyć edukację Wacława i Stefana oraz uzyskać kapitał pozwalający na osiedlenie się na stałe w Polsce. Aleksander miał dość ciągłej tułaczki, gdyż od najwcześniejszych lat swego życia przenosił się nieustannie z miejsca na miejsce z ojcem Janem

Niewiarowiczem, który budował i remontował cukrownie w Polsce, na Litwie, Ukrainie i Białorusi. Kiedy sam zaczął pracę często zmieniał także miejsca zamieszkania, pracując przy budowie lub eksploatacji kolei na całym obszarze ziem podległych Rosji. Czas było pomyśleć o osiedleniu się gdzieś na stałe. To jednak nigdy Aleksandrowi nie było sądzone, marzenia spełnił dopiero jego synowie budując kamienicę w Gdyni w roku 1932. Ale i oni nie będą w tym domu mieszkać dłużej, niż kilka lat. Na przeszkodzie stanie wojna i późniejsze wywłaszczenia dokonane przez komunistów.

Wydanie drugiej tej książeczki stało się konieczne w celu poprawienia nie tylko błędów w pisowni, ale także nielicznych przeinaczeń faktograficznych i historycznych.

Przed wszystkim jednak historia Kolei Wschodniochińskiej nie powinna urywać się z chwilą wyjazdu Aleksandra z Mandżurii, gdyż, kiedy wkroczyła ona w burzliwy XX wiek, stała się niezwykle ciekawa.

Już początek nowego stulecia przyniósł konflikt rosyjsko-japoński, który rozwinął się w kilkuletnią wojnę na lądzie i na morzu. Spowodowała ona szalony wzrost zapotrzebowania na przewozy kolejowe dla celów militarnych, a więc i budowę dodatkowych torowisk oraz mijanek.

Do czasu wybuchu I wojny światowej kolej przeżywała okres ekonomicznej prosperity, największej w jej krótkiej historii.

Wybuch wojny światowej ponownie spowodował ogromne zapotrzebowanie na przewozy o charakterze militarnym. Doszło na tym tle do próby wysadzenia i zablokowania ważnego tunelu pod masywem gór Chingańskich przez dywersantów niemieckich.

Karawana 30 wielbłądów z ładunkiem dynamitu, złota i srebra wyruszyła z Pekinu dowodzona przez kapitana Rabego von Pappenheima i zaginęła bez śladu na bezkresnych stepach Mongolii.

W końcu, w czasach rewolucji bolszewickiej, warto było skrótkowo opisać fascynującą historię słynnego złota admirała Kołczaka. Skarbu tego niektórzy szukają do dnia dzisiejszego, ostatnie doniesienia mówią, że złoto może spoczywać na dnie Bajkału.

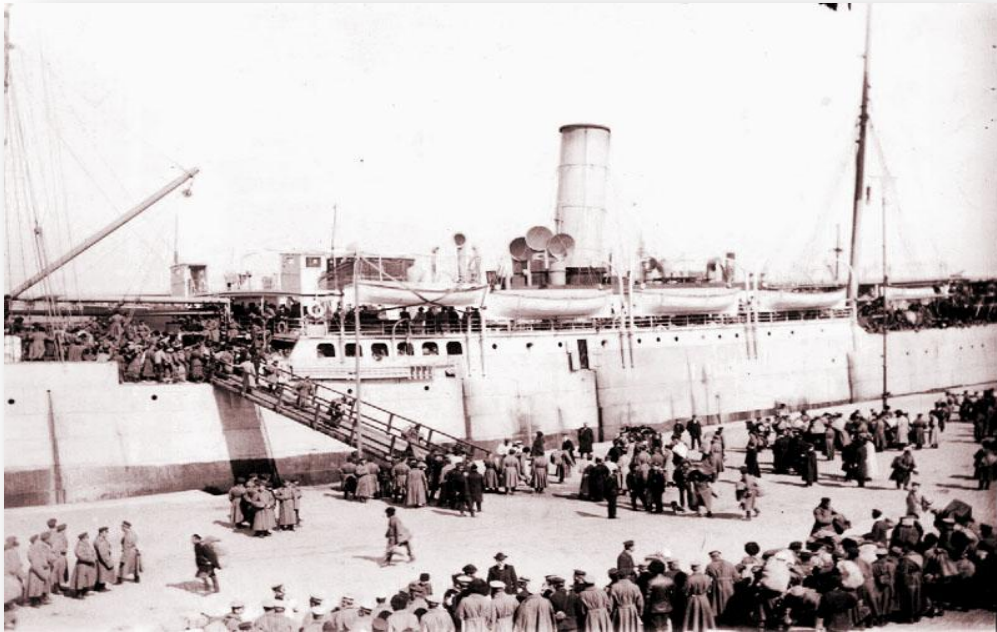
Wykaz wykorzystanej literatury podaję na końcu tej książeczki.

Wielka przygoda Aleksandra rozpoczyna się w Odessie, dokąd przybywa on pociągiem z Wolska nad Wołgą 20 kwietnia 1897 roku. Był w tym portowym mieście siedem lat wcześniej, ale obecnie podziwia, jak bardzo się zmieniło i rozkwitło. Szerokie ulice pełne nowych kamienic, bogate sklepy, dużo skwerów i zieleni. Trzeba było też odwiedzić kościół, gdyż zbliżały się święta Wielkanocne i pomodlić się za powodzenie w podróży do odległych krain. Osiem mórz i dwa oceany leżały przed nim, a pokonać je miał na parowcu Floty Ochotniczej „Włodzimierz”. Towarzystwo okrętowe o tej nazwie powstało w roku 1878 w obliczu zagrożenia wojną i budowało statki z dobrowolnych (ochotniczych) składek społeczeństwa. Od roku 1881 statki te woziły zesańców na Sachalin oraz zaopatrzenie wojskowe dla Władywostoku. Jak widać na przykładzie rejsu "Włodzimierza" w kwietniu 1897 roku, statki te transportowały na Daleki Wschód również osadników i brygady kolejarzy do budowy linii kolejowych w Mandżurii. Zgodnie z 10. letnim planem rozwoju uchwalonym w r. 1892 towarzystwo miało się wzbogacić o 4 szybkie i 2 zwykłe parowce transportowe. Na stanie w tym czasie były statki «Россия», «Москва», «Кострома», «Нижний Новгород», «Орел», «Саратов», «Ярославль» i «Тамбов». "Włodzimierz" ("Владимир") musiał pochodzić z najnowszych zakupów towarzystwa i został zbudowany w stoczni w Hamburgu. Znajdujemy jego nazwę przy okazji mobilizacji floty w czasie wojny z Japonią w roku 1905. Zmobilizowano wówczas 5 statków Floty Ochotniczej ("Киев", "Воронеж", "Ярославль", "Владимир", "Тамбов") w II eskadrze Oceanu Spokojnego kontradmirała Felkerzama. Pechowy ten admirał umarł

niespodziewanie na trzy dni przed decydującą bitwą morską pod Cuszimą, w której Rosja poniosła druzgocącą klęskę. Nie wytrzymał długiej podróży z Petersburga, napięcia przed bitwą i złego traktowania go przez dowódcę floty admirała Rozdżestwieńskiego. Ten furiał nazywał otyłego kontradmirała nie inaczej, niż „workiem gnoju” i traktował go, jak chłopca okrętowego. Nic dziwnego, że oficer ten doznał rozległego udaru mózgu i zmarł po kilku godzinach. Jego śmierć ukryto, aby nie zmniejszać morale marynarzu w obliczu potężnej floty japońskiej. W tym czasie statki transportowe Floty Ochotniczej odłączyły już od zespołu bojowego i zawinęły do Szanghaju.

Na razie jednak Aleksander spacerował po porcie odesskim, gdzie panował wielki gwar i ruch. Przy nabrzeżach cumowały liczne statki, które rozładowywały towary i ładowały zaopatrzenie. Nie było łatwo na terenie wielkiego portu odszukać „Włodzimierza”, ale w końcu Aleksander dojrzał olbrzymiej wielkości statek towarowo-pasażerski pod flagą Floty Ochotniczej. Był bardzo ciekaw, w jakich warunkach przyjdzie mu odbywać długą podróż, która trwać miała około 45 dni. Wszedł więc na pokład i zajrzał do kabiny 2. klasy, gdyż na taką posiadał bilet zakupiony do Władywostoku za 150 rubli z pełnym wyżywieniem. Były to kabiny wieloosobowe, od 12-20 osób, ale każda posiadała oddzielne prycze z materacami, były krzesła, stoły i umywalki. W porównaniu z klasą 3. były to warunki całkiem niezłe, a właśnie w tej klasie miało odbyć podróż 1.500 osadników z rodzinami wywodzących się z przeludnionych terenów Rosji. Kabiny klasy 1. mieściły od dwóch do sześciu łóżek. Podróżowali nimi oficerowie oraz wyżsi urzędnicy, których w tym rejsie było 130. Najmniej było podróżnych w klasie 2. , gdzie zebrali się niemal wszyscy budowniczości kolei w liczbie 80, a wśród nich bohater tej opowieści.

Następnego dnia trzeba było dostarczyć na pokład swój bagaż, a statek miał rzucić cumy 27 kwietnia. Był to trzeci dzień prawosławnej Wielkanocy, na pokładzie zebrali się pasażerowie i załoga, a pop odprawił nabożeństwo wznosząc modły za pomyślne dotarcie do celu podróży.



1. Pasażerowie wsiadają na statek "Włodzimierz" w Odessie

Aleksander ulokował się w swojej kabinie, którą miał dzielić z 18. innymi kolejarzami. Zajął koję w rogu przy ścianie i blisko iluminatora, założył prześcieradło i wyciągnął z kufra poduszkę i kołdrę. Nad łóżkiem przymocował mały, metalowy krzyżyk, który był własnością jego ojca. Traktował ten maleńki krzyżyk jak relikwię, która miała go przeprowadzić przez morza i oceany oraz zapewnić szczęśliwy powrót do ukochanej żony i synów. Po rozlokowaniu reszty swojego bagażu wyszedł Aleksander na pokład, gdzie roiły się setki ludzi. Odbывała się odprawa paszportowa, ale na pokładzie tłoczyło się także wielu odprowadzających i żegnających swoich bliskich. Smutne to były rozstania, wielu z emigrantów wiedziało, że nigdy już nie zobaczy swoich krewnych, że wyjeżdżają na koniec świata, skąd nie ma powrotu. Statek podniósł kotwicę o godzinie 6. po południu.

Dwa holowniki odciągnęły parowiec od nabrzeża i rozpoczęła się długa podróż na wschodnie krańce cesarstwa.

Pierwszą noc przespał Aleksander spokojnie, obudził się wcześniej i o godzinie 5. wyszedł na pokład. Blisko pół godziny śledził zafascynowany płaszące wokół statku stada delfinów, które w efektowny sposób wyskakiwały ponad powierzchnie Morza Czarnego. Również po śniadaniu obserwował morze i zabawy delfinów. Dla człowieka lądowego były to zjawiska dotąd mało znane i egzotyczne. Chwalił sobie nasz podróżnik wyżywienie na statku. Śniadanie wydawano od 7.00 do 10.00, a składało się ono z bułek, chleba razowego, sera lub kiełbasy i szynki. Już o 12.00 dawał się słyszeć dzwonek wzywający na obiad składający się z rosółu lub barszczu i drugiego dania mięsnego (sztuka mięsa, albo kotlet). Kolejny dzwonek na kolację odzywał się o 18.00, a była ona bardzo konkretna, gdyż dawano zwykle mięso na ciepło i na zimno. Cały czas dostępna była herbata. Nabożeństwo wieczorne zwoływano o 20.00, natomiast cisza nocna obowiązywała od 23.00.

Dwa dni po wypłynięciu z Odessy pasażerowie parowca zobaczyli brzegi Bosforu, ocieplił się też wyraźnie klimat. Brzegi cieśniny wysoko wznosiły się z obu stron, porośnięte cedrami i bzem tureckim, który stopniowo opanował całą Europę. Na brzegach widoczne były bogate wille, minarety, architektura budynków dziwna, typu wschodniego. Dostrzegało się wiele fortów, twierdz, murów i wałów obronnych, z których wycierały paszcze różnego kalibru armat. Statek zatrzymał się, spuszczone szalupę, do której wsiadł kapitan w celu załatwienia niezbędnych formalności związanych z przepłynięciem cieśniny. Potem rejs kontynuowano, aż statek zacumował w Konstantynopolu na wysokości pałacu sułtańskiego. Na burcie wywieszono ogłoszenie, że pasażerowie 1. i 2. klasy będą mogli zwiedzać miasto, ale muszą powrócić przed 18.00. Na statku był już konsul rosyjski i urzędnicy tureccy, można więc było szybko załatwić niezbędne formalności i w końcu grupa około 120 turystów udała się małym parowcem na ląd. Ulice były bardzo zatłoczone, a wszyscy mężczyźni nosili na głowach jednakowe, czerwone fezy z czarnym pomponem. Rosjanie nie byli zbyt mile widziani w Turcji z uwagi na toczoną wojnę, toteż starano się nie rozmawiać w tym języku. Już w samym porcie widać było wiele zatłoczonych kawiarni i palarni fajek wodnych zwanych nargilami. Grupa polskich kolejarzy trzymała się razem, a Aleksander bliżej już zaprzyjaźniony ze swoim sąsiadem z kajuty Janem Ostrowskim, maszerowali ramię w ramię. W końcu jednak trzeba było podzielić się na grupki 5-6. osobowe, wynająć dorożkę i

przewodnika-tłumacza. Pierwszym celem był oczywiście starożytny kościół Hagia Sophia, zwany przez polskich i rosyjskich kolejarzy sofijским meczetem. Przewodnik trzy razy wali młotkiem w drzwi świątyni, za chwilę wychodzi trzech mułłów w turbanach na głowach i zaczynają się hałaśliwe targi o cenę za wejście do meczetu. Niewierni zwyczajowo płacą 15 piastrow od osoby, co jest równowartością 85 kopiejek. Po długich targach jest zgoda na 7 piastrow od osoby, gdyż jest to większa grupa. Wstęp do części modlitewnej jest wzbroniony nie-muzułmanom, więc kolejarze oglądają tę wspaniałą świątynię z galeryjek otaczających wewnątrz meczetu. Podziwiają czarne i białe marmury, łoże dla sułtana i jego żon. Uderza ich brak jakichkolwiek obrazów czy posągów, których tak wiele w kościołach chrześcijańskich. Na zewnątrz meczetu rozmieszczono na ścianach ozdobne tarcze-na drewniane ramy naciągnięte było płótno, a na nim wypisane złotymi literami imiona wszystkich tureckich sułtanów.



2. Meczet Hagia Sofia - Konstantynopol w końcu XIX w.

W końcu zwiedzający wychodzą, a tu niespodzianka. Wynajęty dorożkarz za cenę 1. rubla w srebrze za godzinę, zdjął dwa koła powozu i najspokojniej sobie reperuje. Przez tłumacza mówi, że nieprędko pojedzie. Lecz kolejarze nie chcą czekać i nie płacąc odchodzą pieszo. Dorożkarz z wielkim wrzaskiem i z kindziałem w ręku pędzi za nimi i żąda zapłaty za godzinę lub trzeba czekać, aż zreperuje koła. Zrobiło się zbiegowisko, więc Aleksander przestraszony dał mu tego rubla i cała grupa oddaliła się z przewodnikiem w kierunku starego miasta. Uliczki były tam bardzo wąskie, że w Odessie chodniki dużo od nich szersze. Brak kanalizacji powodował straszny brud, góry śmieci zalegały ulice i nikt ich nie sprzątał. Wszędzie wałęsały się stada wynędzniałych psów, które żywiły się tymi odpadkami, a w nocy pełniły służbę specjalną. Ulice były pozbawione oświetlenia, toteż po zapadnięciu zmroku nikt już po nich nie chodził, ani nie jeździł. Nikt by się też nie odważył, gdyż wspomniane psy w nocami całymi watahami patrolowały ulice i rzucały się na każdego spóźnionego przechodnia, który nie ratunek nie miał żadnych szans. W ten prosty sposób wyeliminowano przestępczość, przynajmniej tą, której noce sprzyjają.

Zgłodniali i zmęczeni kolejarze zaszli w końcu do restauracji, gdzie podano mi smaczny szaszłyk, jakieś warzywa bliżej nieznanne, ale dobre. Do tego doskonałe czerwone wino po 20 kopiejek za butelkę. Nie żalowali sobie nasi podróżnicy tego wina, nie chcieli im się opuszczać lokalu po obfitym posiłku, ale trzeba było wracać na statek. Dopalili ostatnie fajki wodne, dokończyli kawę i ruszyli w kierunku portu. W końcu XIX wieku ulice Konstantynopola wyglądały inaczej, aniżeli obecnie. Wielka była różnorodność ras i typów ludzkich, widać było Murzynów, Arabów, Bułgarów, Greków i Chińczyków. Dzisiaj miasto jest jednolicie tureckie i straciło wiele ze swego dawnego, barwnego, międzynarodowego charakteru. Zaledwie rok wcześniej w Konstantynopolu odbyły się przerażające rzezie Ormian, których masowo mordowano na rozkaz sułtana Abd ül Hamida. Te czystki etniczne miały się powtórzyć na obszarze całej Turcji w latach 1915-17, kiedy to wymordowano 1, 5 miliona Ormian.

Na przystani czekał już niewielki parowiec i o godzinie 16.30 cała grupa zwiedzających miasto znalazła się w swoich kabinach. S/s „Włodzimierz” podniósł kotwicę o 18.00 i przez całą noc płynął przez Morze Marmara docierając do

Dardaneli. Cieśnina ta liczy sobie ponad 120 km długości i łączy Morze Czarne z Morzem Egejskim. Znowu można było podziwiać wysokie brzegi porośnięte egzotycznymi drzewami, wśród których czaiły się baterie armat ulokowane w bastionach i fortach. Widać było liczne okręty tureckiej marynarki wojenne oraz zapory minowe. Na końcu cieśniny kolejny fort, do którego szalupą udał się kapitan celem załatwienia formalności. Powrócił wraz z 4. oficerami marynarki tureckiej, którzy przeprowadzili krótką inspekcję statku i w końcu wydali zgodę na wypłynięcie z Dardaneli, ale w eskorcie niewielkiej korwety. Otworzył się w końcu widok na cudowne Morze Egejskie usiane licznymi wyspami znanymi z mitologii greckiej. Po lewej stronie widoczny był łańcuch górski Azji Mniejszej, którego szczyty białeły od pokrywającego je lodu i śniegu. Natomiast mijane wyspy były oazami zieleni, palm i kwiatów. Statek lekko kołysał się na fali kierując się w stronę Kanału Sueskiego. Na pokładzie zabrał się tłum na wieczorne nabożeństwo odprawiane przez popa, daleko niósł się śpiew pieśni religijnych wydobywający się z piersi półtora tysiąca rozmodlonych pasażerów. Na statku nastąpił jakiś przyptyw wiary spowodowany daleką podróżą i niepewnym losem u jej kresu. Prawie wszyscy bez wyjątku stawiali się na wieczorne nabożeństwa i praktykowali gorliwie. Siedział Aleksander na pokładzie w cichym zakątku za fokmasztem i napawał się urodą wieczornego morza. Była sobota, ostatni dzień kwietnia 1897 roku. Kiedy zszedł kilka minut po północy do kabiny, była już niedziela i początek maja. Następnego dnia, w poniedziałek, statek zgodnie z planem zacumuje w Port Saidzie. Noc jednak nie była spokojna, powiał wiatr morze rozkołysało się i towarzysze Aleksandra po kolei zaczęli zapadać na chorobę morską. On sam i Jasiu Ostrowski byli, jak się okazało, odporni na tą dolegliwość, ale większość kolejarzy musiała oddać zjedzoną kolację i dopiero nad ranem udręczeni ludzie posnęli. Na statku była naturalnie służba zdrowia, kilku lekarzy i felczerzy, a także siostry miłosierdzia. Był mały szpitalik oraz apteka. Na chorobę morską nie było jednak leków, trzeba zapłacić cenę za przeprawę drogą morską samemu Neptunowi. Ranek był pogodny, parowiec sunął przez spokojne już wody Morza Śródziemnego w kierunku kolejnego portu. Ale pierwsze światło latarni morskiej ukazał się dopiero po zmroku około 22.00. Po kolacji Aleksander wykąpał się w wannie napełnianej morską wodą. Woda z Morza Czarnego była zielona, a ta z Morza Śródziemnego jest niebieska i bardziej słona. W istocie Morze Śródziemne ma w

niektórych rejonach zasolenie dwukrotnie wyższe od Morza Czarnego. Stopniowo horyzont rozjaśniał się światłami miasta i portu. W końcu podpłynął do burty mały parowiec i pilot wprowadził statek do portu, gdzie rzucono kotwicę 50 metrów od betonowego mola. Mimo, że była noc natychmiast pojawiły się łodzie z handlarzami zachwalającymi hałaśliwie swoje towary. Jan Ostrowski zaproponował nocny wypad do miasta i zebrał grupę 15. chętnych na tą wyprawę. Oczywiście za przepłynięcie tych 50. metrów śmiałkowie zapłacili podwójnie, po jednym szylingu (25 kopiejek) od osoby podczas, gdy za dnia cena była o połowę niższa. Mimo nocnej pory sklepy i restauracje były otwarte i nasi turyści nie mogli opędzić się od różnych ofert handlu czy też rozrywki. Oni doskonale wiedzieli, że do portu zawija duży, rosyjski statek pasażerski. W przeciwieństwie do Konstantynopola ulice Port Saidu były czyściutkie, a tereny zielone zadbane. Po jezdniach kursowały małe, ażurowe wagoniki tramwajów ciągnione przez osły, które obsługiwały także miejscowe dorożki. Ekipa kolejarzy zawitała do ekskluzywnej restauracji ELDORADO. Bogaty wystrój wnętrza, aksamity, pozłacane, kryształowe kandelabry, a na środku wielka estrada. Na niej, przy dźwiękach egzotycznej muzyki, płaśało 50 jednakowo ubranych na biało, bardzo młodych tancerek. Obok, w sąsiedniej sali, kręciła się ruletka. Zaryzykował Aleksander stawiając po 1. rubla na koło ruletki, fortuna była zmienna, w końcu wygrany na 4 ruble odszedł od stołu nie chcąc dalej kusić losu. Wino było dobre i tanie, natomiast piwo bardzo drogie, po 80 kopiejek za butelkę.



3. Port Said w końcu XIX w.- brama do Kanału Sueskiego

W ciągu dnia podróżnicy kontynuowali zwiedzanie Port Saidu zaczynając od miejscowego bazaru. Strusie pióra można tam było nabyć już po 50 kopiejek za sztukę, Aleksander kupił efektowny brelok do zegarka z korala za 1.50 rubla, jego koledzy wiele innych pamiątek i drobiazgów. Wszyscy kupili kolonialne hełmy korkowe i zaopatrzyli się w tani koniak kosztujący zaledwie po 50 kopiejek za butelkę. Każdy też niósł koszyk pełen daktyli, pomarańczy i innych, bardzo tanich tutaj, owoców. Po 15.00 ekipa przepłynęła się łodziami na statek, gdzie obserwowali popisy młodych Arabów nurkujących po rzucane im z pokładu monety. Inni za opłatą jednego szylinga skakali z pokładu i przepływali pod dnem statku na drugą stronę, co budziło szczerzy zachwyty gapiów. Wkrótce potem podniesiono kotwicę i statek ruszył do Kanału Sueskiego. Nie mógł Aleksander w najśmielszych snach przewidzieć, że 33 lata później jego syn Wacław przepłynie kanał polskim statkiem handlowym w drodze do Dżiddy. Niezwykłość tego przejścia polegała na tym, że kapitan Niewiarowicz dowodził pierwszym polskim statkiem po odzyskaniu niepodległości, który korzystał z Kanału Sueskiego w roku 1930. Aleksander doczekał się odzyskania wolności przez Polskę, przeżył w niej 6 lat, ale jego syn zarabiał wtedy na życie wtedy w Marsylii, gdyż polska marynarka handlowa dopiero raczkowała.

Statek Floty Ochotniczej wpłynął do kanału o 15.00 po wzięciu na pokład pilota i wniesieniu opłaty w wysokości 30. tysięcy franków francuskich za tranzyt. Kanał Sueski wybudowany w latach 1859-69 liczy sobie 163 km długości, a szeroki jest po modernizacji nawet do 300 m. Głębokość jego obecnie dochodzi do 23 m. W roku 1897 kanał był znacznie węższy, Aleksander oceniał go na zaledwie 80 m, nie miał też więcej, aniżeli 15 m głębokości. Prędkość statków była ograniczona do kilku węzłów, aby zapobiec erozji piaszczystych brzegów. Pilot po wejściu na pokład zawiesił na dziobie wielki, elektryczny reflektor, którego używanie jest obowiązkowe. Niestety urządzenie to zepsuło się około 22.00 i statek musiał zastopować maszyny. Dopiero po 4.00 ruszono w dalszą drogę. Dzień był bardzo upalny, żar lał się z nieba, a dookoła rozciągała się pustynia. Widać na niej było karawany zmierzające w różnych kierunkach, jedne przewoziły towary, inne natomiast pątników zmierzających do Mekki. Około południa monotony do tej pory krajobraz zaczął się stopniowo zmieniać. Pojawiły się gaje palmowe, oazy i pierwsze zabudowania. O 14.00 widoczne już było miasto Ismailia zbudowane przez twórcę kanału Ferdynanda Lessepsa, jako główna baza budowy kanału w roku 1863. Na wysokich brzegach, pośród bujnej, podzwrotnikowej zieleni widoczne były białe wille, mosty i wodospady. Ismailia leży bowiem na Jeziorze Krokodyli i nad Kanałem Ismailijskim (łączy Nil z Kanałem Sueskim), słodkiej wody tam nie brakuje, a nawet jest przesyłana rurociągami do Suez i Port Saidu. Linia kolejowa łączy Ismailię z tymi miastami, a dla sprawnej komunikacji lokomotywy ówczesne potrzebowały oprócz węgla także sporych ilości wody. Wzdłuż kanału koczują liczne grupy Murzynów, którzy żyją głównie z łaski przepływających tam ludzi. Załoga „Włodzimierza” gromadziła w tym celu czerstwy chleb oraz nienadającą się już do jedzenia żywność, aby wyrzucić ją na brzeg dla tych dzikusów. A oni w większości całkowicie nadzy biegli z wielkim hałasem wzdłuż brzegu i chwyтали to, co marynarze i pasażerowie wyrzucali. Kanał był, bowiem dla nich głównym źródłem utrzymania, a pasażerowie mieli egzotyczną rozrywkę przez wiele kilometrów. O 19.00 statek płynął już na wysokości Suez, ale zatrzymał się dopiero kilka kilometrów za miastem w celu wysadzenia pilota. Po pół godzinie statek ruszył ponownie wpływając na zielonkawe wody Morza Czerwonego. Szerokie piaszczyste plaże widoczne z pokładu były wtedy zupełnie puste. Co prawda już w roku 1841 powstało pierwsze

biuro podróży Thomasa Cooka, ale turyści z Europy zmierzali głównie do piramid w Gizie. W dolinie Królów od 70. lat pracowali archeolodzy, a od połowy XIX wieku odkopywano świątynię Amona w Karnaku. Czasy masowej turystyki miały dopiero nadejść.

Morze Czerwone roiło się w tych czasach od rekinów, które dla rozrywki były łowione przez załogę. Na niewielką kotwiczkę uwiązaną na długiej linie nakładano spory ochłap surowego mięsa i po chwili wielki rekin miotał się po pokładzie. Rankiem następnego dnia pokazały się na horyzoncie góry, był to Synaj z całą tą biblijną otoczką, którą chętnie Aleksander i jego towarzysze wspominali. Oto widoczna jest góra, na której Mojżesz otrzymał od Boga tablicę z przykazaniami. Gdzie indziej jakoby oznaczono latarnią morską rzekome miejsce, gdzie faraon z wojskiem utonął w pogoni za Mojżeszem, przed którym rozwarło się morze i z Izraelitami przeszedł suchą nogą na drugi brzeg.

CEL

Ekspansja Rosji na tereny należące do Chin miała przeciwstawić się terytorialnej ekspansji Japonii. Po wygranej wojnie z Chinami Japonia wymusiła 17 czerwca 1895 roku podpisanie traktatu pokojowego w Simonoseki na swoich warunkach. Chiny przyznały w nim niezależność Korei, która do tej pory była ich lennikiem, a także zobowiązały się do zapłaty kontrybucji w kwocie 300 milionów taeli (moneta zawierająca 50 g czystego srebra). Ponadto Tajwan i pobliskie wyspy Peskadory przeszły pod władanie Japonii podobnie, jak południowa część Mandżurii z półwyspem Liaotung. Do czasu zapłaty odszkodowania Japonia miała zatrzymać port Weihaiwei na półwyspie Szantung.

Pięć dni później Rosja, Niemcy i Francja ostro zaprotestowały przeciwko jawnej ekspansji Japonii na Dalekim Wschodzie. Rosja ogłosiła mobilizację w Nadamurskim Okręgu Wojskowym i w ciągu czterech miesięcy skoncentrowała na granicy z Mandżurią 23 tysiące żołnierzy. Do tego doszła wielka armada licząca 23 okręty marynarki wojennej. Stanowisko trzech mocarstw zmusiło Japonię do wycofania się z części warunków traktatu z Simonoseki. Nic więc nie wyszło z aneksji części Mandżurii, Japończycy musieli też oddać półwysep Liaotung, ale po uzyskaniu zapłaty kontrybucji.

Rosja inwestowała znaczne środki w rozbudowę infrastruktury transportowej na Dalekim Wschodzie. Władywostok stał się największym rosyjskim portem wojennym i handlowym na wybrzeżu Oceanu Spokojnego. Wspomniane już towarzystwo żegludowe „Flota Ochotnicza” utrzymywało regularną komunikację morską między Władywostokiem, a Odessą. Statki tego towarzystwa pływały też do portów chińskich i japońskich, a także do Ajana i Ochocka. Dzięki żegludze po Amurze rozwijało się miasto Nikołajewsk, które w 1880 roku stało się centrum administracyjnym Obwodu Nadmorskiego. Kolej Transsyberyjska nie była jeszcze ukończona, trwała budowa linii Ussuryjskiej, która miała połączyć Władywostok z Chabarowskiem. Połączenie tych linii szlakiem wzdłuż Amuru wiązało się z olbrzymi kosztami ze względu na trudności terenowe. Wtedy po raz pierwszy pojawił się projekt zbudowania kolei przez terytorium Mandżurii. Jego gorącym zwolennikiem był carski minister Sergiusz Witte, ale rzeczywistym autorem był kontradmirał Kopytow ze Sztabu Generalnego. Bowiem szybsze połączenie Petersburga z Władywostokiem oprócz znaczenia gospodarczego, miało także znaczenie wojskowe. Przebieg trasy przez Mandżurię pozwalał na niemal dwukrotne skrócenie trasy przebiegu kolei, a co za tym idzie wydatną obniżkę kosztów budowy. Łagodniejszy klimat pozwalał na prowadzenia prac w Mandżurii dłużej o 2-3 miesiące w roku.

Główną przeszkodą były delikatne negocjacje z władzami Chin w sprawie budowy eksterytorialnej kolei na ich suwerennym obszarze. Chiny reprezentował kanclerz Li Hungczang piastujący to stanowisko od roku 1872. Kierował on potężnym ministerstwem, któremu podlegały sprawy polityki zagranicznej, sprawy celne, edukacja, konstrukcja arsenałów i budownictwo obronne. Podlegała mu też komunikacja oraz wszelkie inne dziedziny nie objęta działalnością innych ministerstw. To z nim rozpoczął rozmowy minister Sergiusz Witte obiecując oddanie tej kolei Chinom po upływie określonego w umowie czasu. Zapewniał kanclerza, że Rosja wcześniej czy później wybuduje linię kolejową do Władywostoku przez własne terytorium. Dzięki takiemu podejściu władze chińskie zgodziły się na przybycie do Mandżurii w roku 1895 ekipy rosyjskich inżynierów w celu zbadania technicznych możliwości budowy kolei przez północną część prowincji Heilungkiang najkrótszą trasą od Nerczyńska do Władywostoku.



4. Sergiusz Witte (1849-1915). Portret Repnina

Kolejna okazja do rozmów nadarzała się z okazji uroczystości koronacyjnych Mikołaja II w roku następnym. Zaproszono na nie Li Hungczanga, który liczył sobie wtedy 73 lata, ale wciąż trzymał w rękę sprawy polityki zagranicznej Chin i cieszył się zaufaniem cesarzowej-wdowy. Kanclerz był gościem honorowym i po koronacji został przyjęty osobiście przez cara. Prowadzący z nim rozmowy Witte nadal miał silnych przeciwników budowy tej kolei w osobach hrabiego Kapnista, dyrektora Departamentu Azjatyckiego w MSZ oraz generał-gubernatora Kraju Nadamurskiego Duchowskiego. Obaj oni uważali, że tak ważna linia kolejowa nie powinna przebiegać przez terytorium obcego państwa. Zdecydował car i poparł on projekt Wittego, który drogą przekupstwa i licznych obietnic skłonił kanclerza Li Hungczanga do podpisania 3 czerwca 1896 roku tajnego układu rosyjsko-chińskiego, który był skierowany przeciwko Japonii. W jego ramach Rosja uzyskała prawo do wprowadzenia okrętów wojennych do dowolnego portu Chin oraz

prawa koncesyjne na budowę i eksploatację linii kolejowej przez terytorium Mandżurii. Za tak korzystne rozwiązania stary kanclerz miał otrzymać gigantyczną łapówkę w wysokości 3 milionów rubli w złocie. To też była obietnica bez pokrycia, ostatecznie w roku 1897, na osobisty rozkaz cara, wypłacono Li Hungczangowi milion rubli. Układ nie określał warunków budowy kolei, ale przewidywał, że zostaną one sprecyzowane w odrębnym kontrakcie. Podpisano go 27 sierpnia 1896 roku w Petersburgu, a nieco później wymieniono dokumenty ratyfikacyjne. Przy okazji powstał spór, gdyż kanclerz nie zgodził się na przyznanie koncesji rządowi rosyjskiemu. Padła więc propozycja, aby koncesjonariuszem był Bank Rosyjsko-Chiński utworzony przed rokiem w Petersburgu w celu rozwoju stosunków handlowych z Dalekim Wschodem. Witte uważał za niemożliwe, aby bank budował i eksploatował kolej w związku, z czym powołano Towarzystwo Akcyjne Kolei Wschodniochińskiej. Zgodnie z artykułem 6. kontraktu na budowę kolei cały obszar, przez który miały przebiegać tory kolejowe, wraz ze stacjami kolejowymi i ośrodkami administracyjnymi typu miejskiego, miał być objęty przywilejem eksterytorialności. W praktyce oznaczało to, że wszyscy cudzoziemcy zatrudnieni przy budowie i eksploatacji kolei mieszkający na tym obszarze lub przebywający tam czasowo, byli wyłączeni spod jurysdykcji władz chińskich. Rosja mogła tworzyć tutaj własne organa administracji, policję, sądy i Wojska Ochrony Kolei. Eksterytorialność została zlikwidowana 30 października 1920 roku przez rząd chiński, co spowodowało wielkie zakłócenia w funkcjonowaniu kolei.

2

Pięć dni i nocy płynął „*Włodzimierz*” przez Morze Czerwone w warunkach wielkich upałów. Prawie wszyscy dostali tropikalnej wysypki na całym ciele, zaczerwieniły się i opuchły oczy. Ludzie prawie nie jedli, gdyż zupełnie stracili apetyt, niektórych

trawiła gorączka. Lekarze niewiele mogli pomóc na te dolegliwości poza zaleceniem pozostawania w cieniu i picia dużej ilości płynów.



5. Parowce zaopatrują się w węgiel na wyspie Perim-początek XX w.

W końcu statek dopłynął do małej, wulkanicznej wysepki Perim położonej w cieśninie Bab al Mandab, która obecnie jest bezludna i należy do Jemenu. Ale w końcu XIX wieku wysepka należała do Anglii i zamieszkiwało ją do 2. tysięcy ludzi. Była to ważna baza paliwowa, która zaopatrywała statki w węgiel w latach 1857-1936. Podupadła, kiedy dominującym paliwem stała się ropa. W 1897 roku był tam mały fort, a obok niego szereg dużych cystern do zbierania wody deszczowej, gdyż na wyspie nie było żadnych źródeł. Bywają lata, że nie spada tam kropla deszczu, ale kiedy już zacznie padać i cysterny napełnią się, to starczą mieszkańcom na 3 lata. A żyły tam jeszcze plemiona rodowitych mieszkańców tego niegościnnego kawałka ziemi o powierzchni 13. kilometrów kwadratowych. Podpłynęli na swoich łódkach pod statek i próbowali handlować lub też po prostu wyłudzać pieniądze od pasażerów. Byli to osobnicy bardzo niskiego wzrostu, rysy twarzy regularne, kształtna budowa ciała, mocno czarni lub ciemnobrązowi, chodzili nago tylko z niewielką opaską biodrową. Sprzedawali bardzo tanio piękne wyroby z piór

strusia, 6 pięknych piór od 60 kop. do 1 rs. Jajo strusia oferowali za 15 kopiejek, wielkie, koloru białego z brązowymi cętkami. Funt kawy mokki kosztował 15 kop. Ci, którzy nie mieli nic do sprzedania nurkowali za monetami rzuconymi w morze z pokładu. Potrafili zadziwiająco długo pozostawać pod wodą, a za jedną monetą nurkowało nieraz 15. tubylców. Szczęśliwiec, który złapał monetę wynurzał się z radosnym krzykiem pokazywał, że złapał pieniądze i wkładał ją do ust. Tak zabawiali podróżnych przez ponad dwie godziny. Z pokładu można było zauważyć stada dziwnych, karłowatych kóz o gładkiej sierści i bezrogich.

Statek po załadowaniu węgla ruszył do Zatoki Adeńskiej, aby dalej wpłynąć na Ocean Indyjski. Nie było już tak upalnie, pasażerom wrócił humor i apetyt. Nie bez znaczenia dla poprawy nastrojów była zgoda kapitana statku na wydawanie pasażerom piwa i wina, co dotychczas było zabronione. Ze względu na osłabienie, wysypki i choroby żołądkowe można było pobrać 1. butelkę piwa na dobę i 1. butelkę wina na 2. dni. Wódek i likierów nie wydawano, ani też nie sprzedawano żadnych, jedynie na receptę lekarza okrętowego.

10 maja parowiec dotarł do dużej wyspy Sokotra. Jest to archipelag czterech wysp i wysepek blisko Rogu Afryki około 350 km na południe od Republiki Jemenu, do którego Sokotra należy. Archipelag składa się z górzystej głównej wyspy Sokotra (3625 km²) i trzech mniejszych wysp, Abd Al Kuri, Samha z kilkuset mieszkańcami i niezamieszkała Darsa oraz innymi, nienadającymi się do zamieszkania, skalistymi wysepkami. Klimat jest w połowie pustynny z niewielkimi letnimi opadami ograniczonymi do pewnych obszarów. Uprawa palmy daktylowej, hodowla bydła oraz rybołówstwo. Główne miasto archipelagu to Qadub. Długotrwała izolacja spowodowała, że wiele gatunków roślin i zwierząt występujących na wyspie to endemity. Naukowcy nazywają Sokotrę "*Galapagos Oceanu Indyjskiego*", lecz mimo swojej unikalności nie jest ona szerzej znana.

W czasach Aleksandra zamieszkiwali ją tubylcy, ze statku widoczne były ich prymitywne chaty oraz wysokie, porośnięte lasami góry. Na Oceanie Indyjskim podróżni mogli podziwiać latające ryby, stale towarzyszyły statkowi delfiny, czasami widoczne były olbrzymie żółwie. Nie brakowało też rekinów. 12 maja ocean zrobił się niespokojny, statek ciężko pracował na fali to wznosząc się dziobem do góry, to opadając w doliny fal. Powstało zamieszanie, popłoch, pokojówki i lokaje okrętowi zaczęli się uwijać roznosząc miednice, szafliki, naczynia

z lodem i zimną wodą. Wymioty, histeria, bóle głowy na dobre się rozpoczęły we wszystkich częściach statku tj. w 1. i 2. klasie, a także u osadników. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu Aleksander nie chorował, choć czasami czuł nudności, w głowie zawroty, ale na tym się kończyło. Doskonale spał w nocy, choć kilka razy omal nie spadł ze swojej koi. Nie był to sztorm, nie było wiatru, tylko martwa fala często tu występująca. Parowiec kierował się do Kolombo na Cejlonie i tak miało kołysać, aż nie zwiną tam do portu. Nie były możliwe spacery po pokładzie bez trzymania się lin lub poręczy, trudno bowiem było utrzymać się na nogach. Chorujący na morską chorobę powoli przyzwyczaili się do ciągłego rozkołysu, mniej jedzą i mniejsze hołdy oddają Neptunowi. Aleksander zdrów jak ryba każdego wieczora aplikuje sobie orzeźwiająca kąpiel w wannie pełnej ciepławej, oceanicznej wody. Noce są bowiem pod pokładem upalne, pościel po przebudzeniu jest zupełnie mokra od potu. W sobotę 16 maja z powodu gorąca wstał Aleksander już o 4.00 i wyszedł na pokład. Tam zauważył rodzaj namiotu ustawionego w pobliżu szalup ratunkowych. Umieszczono tam poważnie chorą kobietę z grupy osadników, której w szpitaliku okrętowym ze względu na wysoką temperaturę trzymać nie było można. Trwał poród, ale był tak skomplikowany, że lekarzowi okrętowemu, który robił cesarskie cięcie, asystował lekarz kolejowy. dziecko urodziło się martwe, a nieszczęsna matka zmarła o godzinie 8.00. W godzinę po śmierci zawinięto ją w płótno żaglowe, które cieśla okrętowy zaszył, a w nogach umieścił żelazny balast, którym zwykle były zużyte ruszty z palenisk kotłów. Przyszedł pop, odśpiewał panichidę i mieli nieboszczkę z rufy okrętu opuścić do morza. Zebrała się spora grupa ciekawskich, aby obserwować morski pogrzeb. Szeptem wymieniano uwagi na temat zmarłej i jej osieroconej rodziny. Jeden ze znawców morskich pochówków zapewniał, że zakładając ostatni szew cieśla obowiązkowo prowadzi igłę przez nos nieboszczyka, aby ostatecznie sprawdzić, czy czasami nie pochowa się żywego człowieka. Zdegustowany tym wszystkim Aleksander przeszedł na dziób parowca nie chcąc uczestniczyć w pogrzebie. A tu w ostatniej chwili kapitan zmienił porządek pogrzebu. Wynieśli trupa ze szpitala i korytarzem ponieśli na czele z popem nie na rufę, lecz na dziób. Kapitan nie chciał mieć zbyt wielu gapiów i niespodzianie zmienił miejsce ceremonii pogrzebowej. Tym samym, zupełnie przypadkowo i wbrew swej woli Aleksander został świadkiem tego niezwykłego i nadzwyczaj smutnego pogrzebu.

Otóż zwłoki kobiety z dzieckiem zaszyte w jednym worku z płótna żaglowego położono na deskę długości wzrostu człowieka, a następnie deskę położyli na burtę i po odmówieniu przez popa krótkiej modlitwy, na dany przez niego znak, worek poleciał w głąbiny morskie. Nad biedną osadniczką morze w tej chwili zawarło się na zawsze, zamiast zamieszkać we Władywostoku opuściła męża i 4. małych dzieci. Przez chwilę widać było w przeźroczystej wodzie, jak ciało w pozycji stojącej zagłębiało się coraz głębiej i głębiej. Przed śmiercią tej kobiety przez trzy dni szły za okrętem 3 wielkie rekiny, jak gdyby węsząc śmierć. Po wrzuceniu zwłok do wody rekiny zniknęły.

Następnego dnia panował straszny upał, wszyscy z utęsknieniem wypatrywali lądu bowiem już tylko jeden dzień żeglugi dzielił ich o zacisznego portu w Kolombo. Szczególnie ożywieni byli osadnicy z 3. klasy, gdyż mieli oni po raz pierwszy od wypłynięcia z Odessy wyjść na ląd na Cejlonie. Naturalnie nie przewidziano dla nich żadnego programu zwiedzania wyspy, ani jakichkolwiek innych atrakcji. Wręcz przeciwnie, mieli kategoryczny zakaz opuszczania portu, na terenie którego mieli pozostać do czasu ukończenia dezynfekcji ich wieloosobowych kajut. Roilo się tam bowiem od robactwa, co stanowiło poważne zagrożenie epidemiologiczne także dla innych pasażerów. „Krezusi” z 1. i 2. klasy będą mogli bez żadnych problemów udać się do miasta, aczkolwiek planowany postój był stosunkowo krótki.

Statek zawinął do portu 18 maja krótko przed południem. Kotwicę rzucono 400 metrów od nabrzeża i w jednej chwili statek otoczyło kilkadziesiąt łodzi dziwnego kształtu pełnych handlarzy, przewoźników i rybaków. Hałas się zrobił wielki, wszyscy jednocześnie zachwalali swoje towary i usługi. Jak zwykle cała paleta bajecznie tanich i smacznych owoców tropikalnych. Rosną tutaj ananasy, arbuzy, mango, marakuja, awokado, banany, śliwki japońskie, znane też jako liczi, oczywiście kokosy, ryż, w górach herbata, najrozmaitsze warzywa. Do tego można znaleźć też wszelakie przyprawy - pieprz, paprykę, imbir, goździki, gałkę muszkatołową, kardamon, wszechobecne w miejscowych potrawach chili i curry. Ale najważniejszą rolę w historii odegrał cynamon. Same jednak nie rosną, rolnictwo było w XIX wieku podstawą gospodarki. Od blisko stu lat wyspa znana jest ze słynnej cejlońskiej herbaty. Zaczęli ją sadzić Anglicy, którzy władali wyspą po wygranej walce z Holendrami od początku XIX wieku aż do 1948 roku. A zajęli

się uprawą herbaty tylko dlatego, że w latach 70. XIX wieku zaraza zniszczyła do cna wszystkie znajdujące się na wyspie plantacje kawy. Okazało się, że dla krzewów herbacianych na Cejlonie warunki są wręcz idealne. Mieszkańcy Sri Lanki to mozaika narodów i religii. Pierwotne plemiona Weddów, podobnych w wyglądzie do australijskich aborygenów, zostały zepchnięte na zalesione zbocza gór przez przybyłych z Indii (z okolic Kalkuty) w V w. p.n.e. Syngalezów. Są oni niscy, głowy mają wydłużone, z czołem pochylonym, o silnych łukach nadczołowych, nos szeroki, włosy lekko faliste, ich przynależność do rasy białej lub czarnej do dzisiaj nie jest rozstrzygnięta. Zamieszkują obszary górskie południowo-wschodniej wyspy, a obecnie pozostało ich już tylko ok. 400.



6. Prymitywne plemię Weddów na Cejlonie w końcu XIX w.

Z kolei większość Tamilów przybyła w czasach historycznych, ale spora część została sprowadzona przez Brytyjczyków w XIX w. do pracy na plantacjach herbaty. Miejscowi chłopcy uznawali za niegodne wynajmowanie się do pracy, w dodatku obcokrajowcom. Aleksander słusznie uznał ciemnoskórych i chodzących nago Weddów (Ludzi Lasu) za pierwotnych mieszkańców wyspy, którzy nie

zajmowali się rolnictwem, a raczej pierwotnym zbieractwem obfitych darów natury. Dziś pozostało ich przy życiu na Sri Lance około 700 i wszystko wskazuje na to, że plemię to wymrze całkowicie.

Całe miasto Kolombo jest to rozkoszny, podzwrotnikowy ogród, liczne palmy, ogromne kaktusy, oleandry, pomarańcze, cytryny, drzewa laurowe, cyprys. To wszystko rośnie dziko, bujnie i wysoko z wielką ilością owoców.

Anglicy w czasie swego panowania wybudowali piękne miasto, domy o kolonialnej architekturze wysokie na 2-3 piętra, ulice szerokie kryjące się w cieniu drzew. Konnych dorożek tam nie znali, były dwukołowe powoziki na jedną osobę bardzo ozdobnej konstrukcji, czyli po prostu ryksze. Za pół rupii indyjskiej miejscowy ryksiarz wozi chętnych przez pół dnia. Dla większych grup oferuje się powozy 4. osobowe, gdzie siłą napędową jest bawół indyjski powożony przez miejscowego woźnicę.

Była też tam także kolej żelazna, która biegła przez znaczny obszar wyspy, a o 5 godzin jazdy pociągiem był znany na świecie ogród botaniczny Peradeniya zwany przez Anglików Royal Botanical Garden. Jego początki sięgają odległej przeszłości Cejlonu i dawnych władców królestwa Kandy. Ostateczny kształt nadał mu Alexander Moon w roku 1821, ale oficjalnie ogród powstał w roku 1843 kiedy posadzono tam rośliny z Kew Garden, Slave Island, Kolombo oraz z Kalutara Garden. Nasi kolejarze zwiedzali ten cud natury stworzony przez człowieka podziwiając egzotyczne rośliny i drzewa, liczne fontanny, mostki spowite w zieleni i kryjące się w cieniu wille. Mnóstwo ptaków, wiele kolorowych papug, liczne małpy uganiające się wśród drzew.

Syngalezi byli przeważnie katolikami, na nagich piersiach tatuowali sobie wielkie krzyże, jako znak swej wiary. Na wyspie przeważali jednak buddyści, a w samym Kolombo obok świątyń katolickich były też kościoły protestanckie. Aleksander zwiedzał miasto i okolice w grupie 5. kolejarzy, która dość przypadkowo składała się z samych Polaków, którzy cieszyli się wielką sympatią Syngalezów, jako naród tego samego wyznania. Z nieznanych bliżej powodów nie przepadali oni za Rosjanami. Kiedy polscy turyści weszli do kościoła byli zaskoczeni tłumem prawie nagich tubylców gorliwie modlących się i śpiewających psalmy pod dyktando licznych tutaj misjonarzy francuskich i angielskich.

Zmęczeni upałem i zwiedzaniem kolejarze zawitali w końcu do restauracji, aby posilić się przed powrotem na statek. Obiad składał się z 15. różnorodnych potraw podanych w małej ilości i mocno przyprawionych. Do tego dobre wina do wyboru i ogrom miejscowych owoców. Obiad był celebrowany w 3. salach. W pierwszej jedzono główne potrawy przy stole pełnym kwiatów, nad których poruszał się mechaniczny, ogromny wachlarz czyniąc przyjemny, chłodny powiew. Na deser towarzystwo przeszło do drugiej sali, gdzie na środku tryskała fontanna i podano owoce. Trzecia sala to prawdziwa oranżeria, gdzie wśród kwiatów goście leżą na lekkich leżakach z ratanu, a na maleńkich stolikach ustawiono dla nich kawę i cygara. Cała ta wykwintna uczta kosztowała po 6 rupii na głowę, przy czym 1. rupia warta była 60. kopiejek. Na jej zakończenie skąpo ubrany lokaj przypiął każdemu do surduta bajecznie pachnący bukiet kwiatów. Zadowoleni i najedzeni Polacy wyszli na ulice Kolombo, gdzie ponownie otoczył ich wianuszek handlarzy. Oferowano także kamienie szlachetne, ale wielu tam było oszustów. Aby nie dać się naciągnąć trzeba było przeprowadzić test dwóch monet. Między nie kładło się kamień szlachetny, a następnie na twardym podłożu waliło się w tą układankę z całej siły obcasem. Fałszywe szkiełko pękało natychmiast, o co oszust raczej nie miał pretensji, a kamień szlachetny wytrzymywał bez trudu tą próbę. Jednak kolejarze nie ryzykowali takich niepewnych w swej istocie zakupów. Zaopatrzyli się głównie w wyroby z kości słoniowej i z masy perłowej bardzo na Cejlonie tanie. I jak w każdym podzwrotnikowym kraju w wielką ilość mango, ananasów, bananów i kokosów.

19 maja o 7.00 wieczorem nasi turyści przeprawili się pirogą na swój statek, a ten dwie godziny później podniósł kotwicę ruszył w dalszą drogę przez Ocean Indyjski kierując się do najdłuższej na świecie cieśniny Malakka. Długa, ale wąska, dzięki czemu pasażerowie mogli podziwiać zalesione wybrzeże Sumatry, które przesuwano się z wolna wzdłuż prawej burty. Co chwila przechodziły tropikalne ulewy, strugi deszczu były ciepłe, prawie gorące. Potem znowu się wypogodziło, wyszło słońce umożliwiając dalsze obserwacje wybrzeża Sumatry i innych mniejszych znacznie wysepek. *S/s "Włodzimierz"* obrał kurs na port w Singapurze, gdzie miał zacumować 27 maja.

Jeszcze w roku 1895 Rosjanie po uzyskaniu zgody Chin, wysłali do Mandżurii dwie grupy inżynierów w celu zbadania terenów przyszłej linii kolejowej. Od zachodu ruszyła grupa inżyniera G. Adrianowa, a od wschodu zespół inż. N.S. Świagina. Pierwsza grupa prowadziła badania topograficzne i nanosiła na mapy ukształtowanie terenu do gór Wielkiego Chiganu. Drugi zespół badał teren zmierzając do miasta Ninguta. Budową centralnego odcinka kolei nad Amurem miał kierować książę Stiepan Chiłkow, z wykształcenia inżynier kolejowy, który zdobywał doświadczenie budując Kolej Riazańsko-Uralską. Tam też pracował przez kilka lat Aleksander mieszkając w Wolsku. W Mandżurii Północnej zaistniała konieczność budowy centralnej bazy budowy Kolei Wschodnio-Chińskiej w miejscu, gdzie miały się zbiegać linie zachodnia, wschodnia i południowa. W latach 1897-98 ruszały więc z Władywostoku ekspedycje techniczno-badawcze, dwie w roku 1897 i jedna rok później. Z pamiętników Aleksandra znamy dość dokładny opis ekspedycji, która wyruszyła do Bodune w lipcu 1897 roku pod kierownictwem inż. Webera, naczelnika wydziału gospodarczego Kolei Wschodnio-Chińskiej. Miała ona za zadanie przygotować wariant północny kolei mający przebiegać od stacji Mandżuria przez miasta: Hajlar, Ninguta i Bodune do osady Połtawka i Nikolska Ussuryjskiego. Druga ekspedycja, której składu nie znamy, wzięła kurs na twierdzą Echo nad rzeką Muntakiang i przez miasta Aczeng, Hulan i Tsistsikar dotarła do doliny rzeki Jalu. Ekspedycja napotkała na ogromne trudności terenowe. Gęsta, dziewicza tajga, górskie bezdroża, a przede wszystkim wielkie rzeki wylewające z początkiem lata i zatapiające rozległe obszary kraju utrudniały prace projektowe. Budowa linii kolejowej w tym rejonie okazała się niemożliwa, pozostał zatem tylko wariant północny. Jak zobaczymy warunki terenowe na tej projektowanej linii nie były wcale korzystniejsze z jednym wyjątkiem. Nie było tam wielkich rzek, które mogłyby co roku grozić powodzią i niszczyć zbudowane torowiska. Rzeka Sungari miała być wykorzystana, jako główna magistrala do transportu materiałów niezbędnych do budowy, których nie można było pozyskać na miejscu. Trzeba było zatem zbadać tereny nad tą rzeką, aby mogła tam stanąć główna baza, magazyny i port rzeczny. Tam ruszyła prawie całkowicie polska ekspedycja, gdyż wysłał ją inżynier Stanisław Kierbedź (bratanek budowniczego znanego mostu

warszawskiego, też Stanisława), a kierownikiem został inż. Adam Szydłowski. Jego pomocnikami zostali technicy kolejowi Raweński i Wysocki. W skład tej ekspedycji weszli ponadto: technik, dwóch dziesiętników, felczer, meteorolog i 20. robotników. Eskortę stanowiło pół sotni pieszych Kozaków z Kubania pod dowództwem Polaka, esauła Jana Pawlewskiego. W Nikolsku zaopatrzoneo się w konie i wozy, zabrano też kilka ton srebra w małych sztabkach na zakupy budynków dla kierownictwa budowy. Cała karawana składała się z 30. wozów. Po 6. dniach przedzierania się przez tajgę ekspedycja dotarła do miasta Ninguta, od którego na zachód rozciągały się tereny jeszcze trudniejsze do sforsowania. Zaczynała się wiosna, a nią roztopy i powodzie. W końcu z początkiem kwietnia ekspedycja dotarła do doliny rzeki Sungari i do miasta Uliangaj leżącego około 21 km od Girynu. Następny postój był w Aczengu, niegdyś stolicy cesarstwa Bohai na terytorium Mandżurii. Sungari oczywiście wylała i nieliczne chińskie osady znalazły się pod wodą. Inż. Szydłowski bezskutecznie szukał miejsca na pomieszczenie zarządu budowy kolei, aż w końcu pewien Chińczyk doradził mu, aby nabył budynki gorzelni Sian Fan obrabowanej przez hunhuzów i z tego powodu nieczynnej. Zakład ten liczył 30 budynków na ogół w złym stanie, ale nadających się do remontu. Zakupiono więc tą gorzelnię za 450 kg srebra i natychmiast przystąpiono do remontów, aby budynki były gotowe się do przyjęcia kierownictwa budowy kolei oraz innych osób, które miały przybyć statkami, gdy tylko ruszą lody na Amurze i Sungari. Pierwszy z nich " *Święty Innocenty*" zacumował przy prowizorycznej kei 13 maja 1898 roku. Trzy dni później przybył drugi statek "*Błagowieszczeńsk*", na którego pokładzie znajdowali się m. in. zastępca naczelnego inżyniera budowy Ignatius, kierownictwo wydziału budowlanego, pierwsza grupa doświadczonych robotników, pracownicy administracji oraz Kozacy ze Straży Granicznej. Tak narodziło się miasto Harbin. Na stanowiskach kierowniczych w Kolei Wschodnio-Chińskiej pracowało wielu Polaków. Inżynier Szydłowski po wykonaniu swego zadania założenia podwalin pod nowe miasto nad rzeką Sungari, wyjechał wraz inżynierem Kierbedziem, wiceprzewodniczącym Towarzystwa Kolei i głównym inżynierem budowy kolei Aleksandrem Jugowiczem, na rekonesans budowy linii południowej wiodącej z Harbina do Port Artur i Dalniego. Tam też pozostał kierując budową środkowego odcinka tej linii w rejonie miasta Liaojiang. Jugowicza podejrzewano o pochodzenie

polskie lub serbskie, on sam kształcił się w Anglii i mówił po rosyjsku z wyraźnym akcentem brytyjskim. W latach 1882-89 był on głównym inżynierem budowy Kolei Rizańsko-Urałskiej. Tam też pracował Sergiusz Ignatius, który został zastępcą Jugowicza w Mandżurii. Natomiast faktycznym prezesem Zarządu Kolei w latach 1895-1903 był inż. Stanisław Kierbedź, gdyż nominalnym prezesem był ambasador chiński w Petersburgu.

Szczególnie zasłużył się Kolei Wschodniochińskiej inżynier Seweryn Wachowski. I on był zastępcą Jugowicza, ale wcześniej zaprojektował jeden z najtrudniejszych i najdłuższych odcinków linii zachodniej prowadzącej od granicznej stacji Mandżuria do Harbina. To jemu powierzył inż. Kierbedź zorganizowanie floty handlowej Kolei Wschodniochińskiej. W tym celu został on delegowany do Belgii, gdzie zawarł kontrakt na budowę specjalnie dla tej floty budowanych statków oraz barek o niewielkim zanurzeniu, nadających się do wykorzystania na rzece Sungari. Statki te dostarczono w częściach do Władywostoku, stamtąd koleją do Imanu Ussuryjskiego, gdzie były montowane, załadowywane towarami i wysyłane drogą wodną do Harbina. W stosunkowo krótkim czasie inż. Wachowski zdołał uruchomić 18 statków, 4 kutry motorowe, 40 barek stalowych i 20 barek drewnianych oraz pogłębiarkę.

Naczelnikiem budowy linii południowej Kolei Wschodnio Chińskiej był Polak Teofil Hirszman, a innym pionierem był inż. Stefan Offenberg. Kierował on budową bardzo trudnego odcinka od Gór Chingańskich do rzeki Nonni. Aleksander Niewiarowicz pracował pod bezpośrednim zwierzchnictwem innego Polaka, inżyniera Karola Webera. Był on początkowo naczelnikiem wydziału zakupów materiałów leśnych, potem powierzono mu budowę odcinka kolei w pobliżu Harbina. Do tego miasta masowo ściągali Polacy z całej Syberii, gdyż można było liczyć na pracę przy budowie kolei. Byli to inżynierowie i technicy wcześniej zatrudnieni przy budowie Kolei Transsyberyjskiej i inni fachowcy z branży kolejowej, którzy niegdyś dobrowolnie wyjechali na Syberię i chcieli nadal pracować w swojej specjalności. Wszyscy oni korzystali z pierwszeństwa zatrudnienia przy budowie Kolei Wschodnio Chińskiej. Wśród Polaków pracujących na budowie kolei w Mandżurii znaczny odsetek stanowili także zesłańcy polityczni, którzy trafili na Syberię głównie po upadku powstania styczniowego w roku 1864 i w latach następnych. Ludzie nie mający przygotowania technicznego i stażu pracy

na Kolei Transsyberyjskiej mogli się zatrudniać głównie, jako pracownicy niewykwalifikowani. Po zakończeniu budowy poszukiwali oni zatrudnienia, jako robotnicy torowi, zawiadowcy, kasjerzy na nowych liniach dalekowschodnich.

3

Tej nocy, kiedy to statek płynął przez cieśninę Malakka Aleksandrowi przyśniła się blond włosą piękność, Agafia. Poznał ją w roku 1871 w Braiłowie na Ukrainie, gdzie jego ojciec pracował przy rozbudowie miejscowej cukrowni. On sam zajmował się werbowaniem robotników, dostarczaniem prowiantu i prowadzeniem księgowości firmy. Obciążenie tymi obowiązkami było tak duże, że jego ojciec zgodził się zatrudnić młodego urzędnika Lewickiego do pomocy w pracach biurowych. 15 czerwca poszedł Aleksander z Lewickim do kościoła na mszę i tam ujrzał po raz pierwszy Agafię. Jej uroda nim wstrząsnęła, niemal natychmiast zakochał się w dziewczynie. Była niskiego wzrostu, długie, blond włosy zaplatała w warkocze, ubrana była w skromną, brązową suknię. Od Lewickiego dowiedział się, że nazywa się Agafia Oleksiejewa i mieszka przy ulicy Pod Łąką wraz ze swoją matką wdową i siostrą Marysią. Mieszkały one w niewielkim domku, który nie stał przy samej ulicy, ale nieco na uboczu. To była pierwsza miłość Aleksandra nic dziwnego, że była głęboka i szalona. Kiedy Jan Niewiarowicz zorientował się, jaka to gorączka trawi jego syna, zabronił mu kategorycznie dalszych spotkań z Agafią. Zrozpaczony chłopak (wówczas mający lat 17 i pół) pisał listy i mimo zakazu wymykał się na spotkania z ukochaną w nocy. Już w dojrzałym wieku Aleksander nadal przechowywał listy otrzymane od swojej pierwszej miłości. Nic więc dziwnego, że często śnił o niej, gdyż głęboko zapadła mu w serce i w pamięć ta rosyjska krasawica. Dopiero zakończenie remontu cukrowni i wyjazd z Braiłowa na początku roku 1874 doprowadziły do ostatecznego rozstania zakochanych. Aleksander nie zapomniał jednak o niej i często wracał pamięcią do tych młodzięcych lat i do wielkiej miłości w małym miasteczku na Podolu. Były też bardzo traumatyczne przeżycia związane tą miłością. Jan Niewiarowicz nie mogąc sobie poradzić z synem poprosił o pomoc księdza wikariusza miejscowej parafii, z którym był zaprzyjaźniony. Ten wezwał młodzieńca na plebanię, zamknął drzwi na

klucz i zaczął go przekonywać, że przecież ta dziewczyna to Rosjanka, a on Polak. Nie można nic z nią planować, gdyż ona biedna, a rodzina Niewiarowiczów zamożna. Po perswazjach przyszyły groźby. Jak się Aleksander do woli ojca nie dostosuje, to po mszy ludzie miejscowi go pochwyć i linami od dzwonów srodze wychłostają. W końcu księżulek na krucyfiks kazał Aleksandrowi przysięgać, że już nigdy się z Agafią nie spotka. Tego było już za wiele! Zerwał się młodzieniec na równe nogi, podbiegł do drzwi, klucz przekręcił i pognął jak szalony do domu.

Od rana była piękna pogoda, a statek sunął wzdłuż pokrytych palmami wybrzeży Sumatry. Podziwiali je pasażerowie, którzy tłumnie wylegli na pokład mimo wielkiego upału i wilgotności. Wieczorem było już trochę chłodniej, podróżni zabawiali się grą na różnych instrumentach i głośnymi śpiewami. O 22.00 część z nich wyniosła swoje koce i poduszki na pokład i tam układała się do snu. W kabinach było, bowiem zbyt duszno i nadal gorąco. Na pokładzie też przygotował sobie poślanie Aleksander, nie mógł jakoś zasnąć, gdyż wokół panowała dziwna cisza. Słyszał tylko odległe dźwięki obracającej się śruby okrętowej. Nie widać było gwiazd, gdyż niebo było pokryte ciemnymi chmurami, a powietrze było duszne, niedające ochłody. Coś wisiało w nieruchomym, jakby zastygłym powietrzu. Może nadchodzi częsta tutaj burza tropikalna, pomyślał Aleksander zasypiając. Wszystkich obudził rozzwierający uszy ryk syreny okrętowej, a w chwilę potem rozległy się grzmoty i na pokład runęły strugi wody deszczowej, ciepłe, nagrzane strumienie spadały na miotających się w panice pasażerów. Statek zaczął się gwałtownie kołysać na fali, a w dodatku otoczyła go gęsta mgła ograniczając widoczność do zera. Była bowiem 1.00, noc nadal ciemna i nieprzenikniona. Dlatego syrena co pół minuty dawała krótkie sygnały, aby uniknąć zderzenia z innym statkiem. Podróżni popędzili przerażeni do swoich kabin gubiąc w ciemnościach swoje rzeczy. A w kajutach wszystkie luki, bulaje i przewody wentylacyjne zamknięte z powodu wysokiej fali. Zaduch straszny, w dodatku część pasażerów zaczęła chorować, co spotęgowało smród i brak tlenu do granic wytrzymałości. Dopiero po dwóch godzinach burza minęła, można było uchylić bulaje, choć statek nadal kołysał się na wzburzonym morzu. Niektórzy zasnęli, a ci schorowani przesiedzieli całą noc nie mogąc zasnąć. Ranek wstał pogodny i śladu nie zostało po nocnym huraganie.

Wieczorem 25 maja s/s "Włodzimierz" rzucił kotwicę na redzie portu w Singapurze w oddaleniu 7-8. kilometrów od wejścia. Nawet miejscowi piloci nie odważyliby się wprowadzać do portu tak dużego statku w nocy, gdyż podejście było wąskie i niebezpieczne.

O 5.00 rano przyplłynął pod burtę statku niewielki parowiec, którym przyjechał singapurski pilot i wprowadził "Włodzimierza" do portu. 26 maja o 8. statek zacumował w Singapurze. Pasażerowie 1. i 2. klasy z niecierpliwością oczekiwali na wyjście na ląd po blisko dwóch tygodniach spędzonych na morzu.

Singapur leży nad rzeką o tej samej nazwie. W końcu XIX. wieku przepływał tam potok, którego brzegi-zachodni i wschodni-łączył mały mostek. Rzeka była sposób wschodni zatłoczona niezliczoną ilością prau i sampanów. W mieście nie ustawał gwar i tłok w dzielnicy handlowej. Hałas potęgowały tramwaje parowe wprowadzone w roku 1885. Kursowały one z częstotliwością sześć razy na godzinę generując ogłuszający stukot, brzęczenie i gwizdy.

Singapur został wydzierżawiony w 1819 roku, jako placówka handlowa od sułtanatu Johor przez Kompanię Wschodnioindyjską. W roku 1826 roku Brytyjczycy kupili Singapur od sułtana. Był odtąd wykorzystywany głównie, jako brytyjska baza morska. Od 1867 stanowił część brytyjskich kolonii zwanych Straits Settlements. W latach 1888- 89 roku pływał do portu singapurskiego kapitan angielskich statków handlowych British Merchant Marine Józef Conrad-Korzeniowski, znany w świecie anglosaskim, jako Joseph Conrad (1857-1924), wybitny brytyjski pisarz marynista pochodzenia polskiego. W Singapurze zachorował i spędził 6 tygodni w miejscowym szpitalu dziewięć lat przed przybyciem tam Aleksandra, który był o trzy lata starszy od pisarza. Tu Conrad otrzymał swoje pierwsze dowództwo.

Zwiedzanie Singapuru w końcu XIX. wieku mogło się skończyć spotkaniem z tygrysem. Zaraz za portem zaczynała się dzielnica chińska, a potem był spory obszar terenów niezabudowanych pokrytych miejscami roślinnością typową dla dżungli. Krajowcy unikali tego szlaku po godzinach pracy, gdyż z kęp roślinności potrafił tam w biały dzień wyskoczyć tygrys i napaść na samotnego przechodnia. Ostatni taki przypadek w obrębie miasta zdarzył się w roku 1906. Grupa kolejarzy udająca się na zwiedzanie Singapuru nie ryzykowała zbyt, gdyż skorzystali oni z bardzo tanich rykszy na tym dość długim, bo 5. kilometrowym odcinku. Miasto

zatłoczone, ale ulice czyste, handel kwitnie na każdym kroku prosto na chodnikach. Chińscy kucharze tam właśnie przyrządzają potrawy dla swoich rodaków

Kobiety tutejsze brzydkie, szerokie twarze, wystające kości policzkowe, duże nosy. Ubrania noszą szerokie z kolorowego jedwabiu, kaftany z długimi do ziemi rękawami, włosy z czoła przyczesane do tyłu i spięte szpilkami. Miasto całe leży wśród gęstego, podzwrotnikowego lasu, wzdłuż ulic aleje ogromnych drzew, rozłożystych, gęstych, niektóre obsypane precudnymi kwiatami. Drogi i ulice są gładkie i równe, jak po stole. W Europie tak pięknych dróg nie widuje się, ponadto są one starannie utrzymywane. Dzień i noc pracują na nich pónadzy Hindusi. Singapur słynął ze sprzedaży bardzo tanich muszli, masy perłowej i innych darów morza. Były tam najpiękniejsze muszle różnych kolorów i koralowce, można było kupić ogromny kosz za 50 kopiejek, który w Europie kosztowałby 15-20 rubli. Wraz ze swymi towarzyszami Aleksander odwiedził słynny singapurski ogród botaniczny założony w roku 1822 przez sir Stamforda Rafflesa. W 1859 roku został on przeniesiony na miejsce, w którym znajduje się do chwili obecnej. Były tam nie tylko rzadkie drzewa, krzewy i kwiaty, ale także wiele miejscowych zwierząt ze słońcami i tygrysami włącznie. Następnym miejscem wartym zwiedzania było miejscowe muzeum archeologiczne z ciekawymi zbiorami z Azji, a nawet z Afryki. Angielska policja na ulicach używała rzemiennych biczów myśliwskich i często brutalnie biła Chińczyków i Malajów za najdrobniejsze przewinienia. Po dwóch dniach postoju statek opuścił Singapur i skierował się do Nagasaki. Oznaczało to 12 kolejnych dni na Morzu Południowochińskim i dalej Wschodniochińskim, które oblewało Japonię od południa. Rejs był uciążliwy z powodu tropikalnych upałów, które wywoływały różne choroby wśród pasażerów. Prawie wszyscy dostali wysypki niczym nie różniące się od odry, a u niektórych wystąpiło owrzodzenie powodujące nieznośne cierpienia. Całe ciało swędzące i obolałe, ludzie ledwo co jedli, byli zupełnie bez apetytu. Nie było gdzie się schronić przed upałem, gdyż noc nie dawała żadnej ochłody. Ubrania, pościel przesiąknięte wilgocią, niczego nie dało się wysuszyć mimo gorejącego na niebie słońca. Przez dwa dni wisiła na pokładzie wyprana bielizna Aleksandra i nadal była mokra. Metalowe przedmioty rdzewiały w oczach, zegarki przestawały funkcjonować w tej atmosferze niczym w łaźni parowej. Na dodatek na statku strasznie rozmnożyły

się szczury, które dodatkowo pognębiły cierpiących od upałów i wysokiej wilgotności powietrza pasażerów. Kiedy Aleksander pewnego wieczoru zajrzał pod swoją koję ze zgrozą stwierdził, że jego nowe kamasze, za które zapłacił 7 rubli, są niemal całkowicie pożarte przez wygłodniałe gryzonie. Innym podróżnym szczury pocięły walizy, a nawet ubrania. Podobnie jak jego koledzy Aleksander spał na pokładzie, gdyż w kabinie było zbyt gorąco. Przez blisko tydzień można było podziwiać niesamowite zachody słońca, kiedy to złoty kolor nieba przechodził w purpurowy potem w zielony, niebieski, a następnie wszystkie łączyły się w wielobarwną tęczę zajmującą połowę horyzontu. Potem widać było jasny Krzyż Południa, a około 2.00 wschodziła Wenus, większa i jaśniejsza, aniżeli na półkuli północnej. Pod koniec tego etapu rejsu klimat wyraźnie się zmienił, zrobiło się nieco chłodniej, ale ciągle było to 30 stopni Celsjusza. Wystąpiły mgły, parowiec musiał zwolnić i płynąc dawać, co pół minuty, sygnały swoją syreną. 6. czerwca na horyzoncie zarysowały się brzegi wysp japońskich, a o 8.00 statek wpłynął w otoczoną wysokimi wzgórzami zatokę u końca której był port Nagasaki.



7. Panorama portu w Nagasaki

Po godzinie rzucono kotwicę, ale w sporej odległości od brzegu. Nie było to żadną przeszkodą, gdyż pod statek podpłynęło mnóstwo oryginalnego kształtu łódek, które za niewielką opłatą przewoziły chętnych do portu.

Nagasaki kiedyś zwało się Hirado. W czasach izolacji Japonii od 1639 roku port ten był jedynym oknem na świat dla tego kraju. Przez faktorię Dejima płynęły towary statkami portugalskimi, a potem holenderskimi i chińskimi. Przez kilkadziesiąt lat po zniesieniu izolacji (do 1903 r.), na mocy wymuszonego traktatu Rosja utrzymywała w Nagasaki bazę swojej dalekowschodniej floty wojennej. W sierpniu 1945 zrzucono na Nagasaki bombę atomową. Zbombardowane miało zostać inne miasto, ale ponieważ było ono zasłonięte przez chmury zdecydowano się zrzucić ją na cel rezerwowy, czyli na Nagasaki.

Postój w tym porcie przewidziano na dwie doby, zatem kolejarze ochoczo wyruszyli na zwiedzanie miasta. Ulice bardzo wąskie, domki drewniane, przeważnie piętrowe. Na dole sklepy i warsztaty rzemieślnicze, a na piętrze mieszkania. Dziwne to zaiste pokoje niczym pudełeczka. Prawie bez mebli i bez pieców, podłogi wysłane dywanami lub matami z bambusa. Sufity w nich tak nisko, że Europejczyk z trudem może się tam wyprostować. Na środku stoi kociołek z żarem, gdzie parzy się herbatę, a jednocześnie stanowi źródło ciepła. Przed wejściem trzeba obowiązkowo zdjąć obuwie, wchodzi się tylko w skarpetkach. Ruch i gwar na tych wąskich uliczkach panował wielki. Kobiety pracowały tam na równi z mężczyznami w sklepach, jadłodajniach, a nawet ciągnęły ryksze biorąc tylko 20 kop. za godzinę ciężkiej pracy. Dorożek konnych oraz transportu towarów przy pomocy koni widać tam nie było, choć konie występowały, a także bawoły azjatyckie. Jednak zwierzęta te przenosiły towary jedynie na swoich grzbietach. Wielkie wrażenie na Aleksandrze zrobiła zawsze uśmiechnięte i miłutkie kobiety japońskie. Ich pozycja społeczna była w tych czasach bardzo niska. Kiedy zwiedzający miasto kolejarze trafili na bazar stał tam ojciec oferujący sprzedaż własnej córki, która miała zaledwie 13 lat. Za samo odebranie dziewictwa ten straszny handlarz żądał 5 dolarów, a za pierwszy rok "używania" 25\$. Jeden z kolejarzy dla żartu zaczął się targować z rajfurem, a w końcu zrobiono zbiórkę i 15\$ wręczono dziewczynie. Ta zrozumiała, że została kupiona i ze słodkim uśmiechem pytała, któremu z nich ma teraz służyć. Pieniądze natychmiast oddała ojcu. Wielkie było jej zdziwienie, kiedy wyjaśniono, iż nikt jej kupować nie zamierza, ma być wolna i pozostać niewinna. Dla wszystkich było jednak jasne, że kiedy tylko się oddała Japończyk i tak przehandluje swoją córkę. Nabywcami byli głównie marynarze różnych narodowości, którzy w ten sposób kupowali sobie tymczasowe

żony. Zawierano formalną umowę, co umożliwiło legalny wywóz zakupionej dziewczyny z Japonii po uiszczeniu niewielkiej opłat urzędowej. Z tym haniebnym procederem walczyli misjonarze chrześcijańscy, ale z niewielkim powodzeniem. Kiedy Aleksander ze swymi towarzyszami zwiedzali miasto napotkali samotnie idącą, piękną i dostatnio ubraną Japonkę. Za nią maszerowała służąca niosąca jej dwuletnie dziecko. Jeden z młodszych kolejarzy zaczepił ową kobietę i na migi zaproponował pójście z nią do łóżka. Ku zaskoczeniu wszystkich Japonka bez wahania wyraziła zgodę na miłosne spotkanie sam na sam w jej domu. Poleciała służącej, aby udała się z dzieckiem do domu i przygotowała pokój na wizytę młodego Polaka, który zwał się Niewiadomski. Swoją historię opowiedział on Aleksandrowi po powrocie na statek. Kobieta, z którą spędził kilka upojnych godzin, była żoną miejscowego naczelnika poczty. Urzędnik ten udał się do Tokio w ważnych sprawach służbowych, a w tamtych czasach podróż mogła potrwać nawet kilka tygodni. Obyczaj tego kraju zwalnia w tym czasie żonę z obowiązku dochowania wierności nawet wtedy, gdy małżonków łączy prawdziwe uczucie. Znajduje sobie wówczas opiekuna, lub-jeśli jest atrakcyjna-on znajduje ją i zamieszkują razem. Po powrocie z podróży mąż dziękuje amantowi za opiekę, a ten opuszcza dom swojej sromianej wdowy. Jeśli owocem takiego związku jest dziecko, wówczas opiekun musi je zabrać po porodzie, względnie płacić alimenty w formie jednorazowej daniny pieniężnej lub w ratach rocznych. Ich wysokość określa zwyczaj lub wcześniejsza umowa z mężem. Jak widać jednak z opisanego przypadku taka kontraktowa miłość zastępowana była dosyć przypadkowymi kontaktami z cudzoziemcami, widocznie atrakcyjnymi dla kobiet japońskich. W tym portowym mieście działał znany mistrz tatuażu Jogasaki doskonale znany wszystkim mieszkańcom imperium rosyjskiego z tego powodu, że swego czasu wytatuował smoka na piersi cara Mikołaja, kiedy ten był jeszcze następcą tronu. Aleksander był już zdecydowany na pamiątkowy tatuaż u tak szeroko znanego mistrza japońskiego. Wpierw na lewej ręce zaczął powstawać symbol "*Wiara-Nadzieja-Miłość*", a nieco niżej dwie splecione ręce małżonków z napisem "Japonia 1897". W środku symbolu miłości, czyli serca, znajdowały się litery A.Z. oznaczające imiona Aleksandra i Zosi, a wokół czarny wieniec. Na prawej ręce naszego podróżnika powstał miecz przebijający rękę z czerwonymi bryzgami krwi.



8. Tatuaż Aleksandra wykonany w Japonii

Wielobarwny, artystycznie wykonany tatuaż bardzo się kolejarzom podobał i nad ich rysunkami pracowali już asystenci mistrza Jogasaki. Wpierw cienkim pędzelkiem powstawał szkic podług gotowego wzoru, a następnie wiązką 6-8 igieł nakłuwano skórę wprowadzając barwniki przez blisko dwie godziny w zależności od stopnia skomplikowania wzoru. Po tej operacji przez dwa dni ręka była spuchnięta i obolała, kolejnego dnia zeszła skóra, a czwartego dnia wszystko się pięknie wygoiło. Pozostała pamiątka na całe życie, pierwszy i ostatni tatuaż Aleksandra.

Czasu wolnego było w Nagasaki pod dostatkiem, więc kolejarze odwiedzali liczne świątynie japońskie podziwiając posągi z brązu i malowidła. Obejrzeni położony na zboczu stromej góry cmentarz pełen bogato zdobionych grobowców. Po południu cała grupa Polaków udała się do teatru, ale nic z tekstu granej właśnie sztuki nie dało się zrozumieć. Przedstawienia zaczynały się o 9.00 rano i trwały do 6.00 po południu bez żadnych przerw. Widzowie przynoszą więc ze sobą posiłki i tam jedzą tak śniadanie, jak i obiad czy kolację. Bywa, że po posiłku ucinają sobie drzemkę niewiele tracąc z granego w ospałym tempie przedstawienia.

W tej sztuce występowali samuraje, część aktorów udawała półnagich dzikusów, których wojownicy nieśpiesznie ujarzmiali. Po kilku godzinach oglądania i drzemki kolejarze opuścili ów przedziwny teatr i udali się do portu, aby zwiedzić pewną wysepkę z bogatą historią. Wynajęta łódź zawiozła całą grupę na Takashimę znaną, jako wyspa skazańców. Tylko w jednym miejscu można było przycumować do małego pomostu, a następnie trzeba było wspinać się pod górę, gdyż wyspa

miała bardzo strome, skaliste brzegi. Jej historia wiąże się z próbami wprowadzenia chrześcijaństwa w Japonii przez misjonarzy europejskich. W 1549 r. przybył do Japonii pierwszy misjonarz, św. Franciszek Ksawery. Rozpoczynając pracę misyjną, próbował chrystianizować Japonię "od góry", wychodząc ze słusznego i wielokrotnie sprawdzonego założenia, że jeśli się nawróci możnowładca, to za nim pójdą jego poddani. Św. Franciszek pozyskał wprowadzić dla wiary daimio (feudalnego księcia) w zachodniej Japonii, ale zabiegi o kontakt z szogunem (rządcą Japonii) w Kioto nie przyniosły rezultatu. Św. Franciszek udał się następnie do zachodniej Japonii, do Yamaguchi, i tam spędził większą część swego ponad dwuletniego pobytu w Japonii. Około 500 Japończyków nawróciło się na wiarę chrześcijańską. Za świętym zaczęli przybywać inni misjonarze hiszpańscy i w krótkim czasie powstało kilka ośrodków chrystianizacji Japonii. Na jesieni 1551 r. Św. Franciszek opuścił Japonię, pragnąc udać się do Chin, aby tam rozpocząć pracę misyjną, ale tuż przed dotarciem na ląd chiński zmarł na wyspie Sanchan. W roku 1587 szogun Toyotomi Hideyoshi wydał dekret nakazujący wszystkim misjonarzom opuścić Japonię oraz zakazujący wyznawania religii chrześcijańskiej pod karą śmierci. W ten sposób rozpoczęło się prześladowanie chrześcijan, w okrutny sposób mordowano zarówno Japończyków jak i cudzoziemców. Między innymi w 1743 r. poniósł śmierć męczeńską polski jezuita Wojciech Męciński. W Nagasaki chrześcijan zrucano do morza z tej właśnie wysepki z wysokości 40-60 metrów po zadaniu im wcześniej wymyślnych tortur. Z pierwszego okresu prześladowań 26 męczenników w Nagasaki zostało kanonizowanych w 1862 r. W kilka lat później 205 męczenników z XVI wieku zostało beatyfikowanych. Wreszcie, kilka lat temu ukończono proces beatyfikacyjny 188 męczenników z przełomu XVII i XVIII wieku. Chrześcijanie ukrywali się ze swoją wiarą, zwłaszcza w Nagasaki i okolicy. Chrzczili potajemnie swoje dzieci, uczyli ich katechizmu, w ukryciu zbierali się na wspólne modlitwy. Pod koniec 1637r. chrześcijanie na półwyspie Shimabara (na południe od Nagasaki) chwycili za broń przeciwko prześladowcom, ale zostali okrutnie wymordowani. Prześladowania trwały przez ponad 200 lat. Chrześcijanie w Nagasaki przetrwali okres prześladowań aż do okresu Meiji i otwarcia się Japonii na świat. W połowie XIX wieku udali się do Nagasaki misjonarze francuscy i wystawili tam mały kościół. Wówczas ukryci chrześcijanie skontaktowali się z nimi i wybadawszy, czy utrzymują łączność z Kościołem Rzymskim, wyznali, że są tej

samej wiary. Wyspa skazańców w końcu XIX wieku nadal była miejscem kaźni, ale ginęli tam liczni przestępcy pospolici, chociaż czasem także polityczni. Ledwie dzień wcześniej został tam strącony ze skały z kamieniem u szyi pewien skazany Japończyk.

8 czerwca statek miał już zabunkrowany węgiel i pobrane zapasy na dalszą podróż. Już tylko trzy doby dzieliło podróżników od portu docelowego, którym był Władywostok. Morze było spokojne, z pokładu można było podziwiać liczne wieloryby, które jednak utrzymywały spory dystans od parowca. Oczywiście o ile akurat rozproszyła się mgła, która otaczała parowiec przez większą część doby. W końcu na horyzoncie pokazał się ląd i widok na port Władywostok.



9. Panorama portu we Władywostoku-przełom XIX i XX w.

Zaczął się wielkie pakowanie osobistych rzeczy i pościeli do kufrów. Statek stanął na kotwicy 3 mile morskie od wejścia do portu, przyplłynął do niego mały kuter parowy z liczną ekipą urzędników w skład której wchodził: lekarz portowy, celnicy, oficerowie z komendy portu, piloci oraz żandarmi. O 11.00 podano ostatni obiad na pokładzie statku, który wolno manewrował w kierunku miejsca zacumowania przy nabrzeżu portu. Po odprawie paszportowej kolejjarze z bagażem podręcznym zeszli na ląd.

Władywostok jako miasto nie cieszył się dobrą opinią. Położony na krańcach imperium carów był właściwie wielką bazą wojenną z garnizonem liczącym blisko 20 tysięcy żołnierzy i marynarzy i tylko 14. tysiącami cywilnych mieszkańców. A wśród nich dominowali Azjaci, czyli Chińczycy, Koreańczycy i Japończycy. Rosjanie w tym konglomeracie stanowili mniejszość, ale to oni nadawali ton i faktycznie zarządzili w tym mieście nazwanym od "władania wschodem". Biali mieszkańcy byli w 90% przestępcami, którzy po odbyciu katorgi osiedlali się nie całkiem dobrowolnie w tym mieście. Dlatego we Władywostoku rządził nóż, rewolwer i pięść. Nikt rozsądny nie wychodził na ulice tego miasta bezprawnia po godzinie 8.00 wieczorem. Szynki i karczmy były pełne pijanych byłych skazańców, którzy wszczynali bójkę najczęściej kończące się krwawo. Ulice były patrolowane przez wojsko, ale żołnierze nie spieszyli się z interwencjami obawiając się o swoje życie. Rankiem na ulicach znajdowano codziennie kilka trupów lub dogorywających ludzi. Ulice były co prawda oświetlone lampami naftowymi, ale niezmiernie rzadko. Jedna lampa była oddalona od drugiej o kilkaset metrów, a więc faktycznie panowały ciemności sprzyjające krwawym napadom i porachunkom.

Chłodny, monsunowy klimat powoduje częste deszcze i zamglenia, słońce wychodzi zza chmur rzadko. Przez pierwsze osiem dni pobytu Aleksandra deszcz padał bez chwili przerwy.

Dopiero w roku 1903 miasto uzyska połączenie kolejowe z Moskwą, stąd konieczność wielotygodniowych podróży morskich i problemy z zaopatrzeniem ludności w podstawowe artykuły spożywcze. Mięso było bardzo drogie po 25-30 kopiejek za funt. Ziemniaki i warzywa sprowadzane były z Chin i Japonii w związku z czym, także kosztowały odpowiednio. Butelka mleka kosztowała 30-50 kopiejek, a funt cukru 30 kop. Ceny te szokowały kolejarzy, gdyż przydzielone im środki na utrzymanie topniały bardzo szybko. Problemem było także samo zakwaterowanie, gdyż ceny hoteli były horrendalnie wysokie. W końcu udało im się wyszukać ostatni wolny pokój w zajeździe ostatniej chyba kategorii, gdzie każdej nocy budziły ich odgłosy awantur, bójek, a czasami strzałów z broni palnej. Mieszkał Aleksander z kolejarzem Ostrowskim i technikiem Sapożnikowem w niewielkim,

zawilgoconym pokoiku. Próżno palono w piecu, gdyż wtedy pokoik wypełniał się parą o bardzo nieprzyjemnym odorze. Buty i ubrania w kufrach zaczęły pokrywać się pleśnią, woda leciała ciurkiem po ścianach tej okropnej kwatery wycenionej po 3 ruble za dobę. Za skąpe porcje wyżywienia płacono 4-5 razy więcej, aniżeli za obfite posiłki w Rosji. Za 60 kopiejek dostawało się tutaj malutki spodeczek lury zwanej barszczem lub rosółem, do tego drugie danie z ziemniakami i miniaturową porcyjką żylastego mięsa. Na krańcach imperium rosyjskiego tylko ryby i herbata były tańsze, aniżeli w Moskwie czy Saratowie. Funt herbaty kosztował 30 kopiejek, a 2 ruble w Rosji, podobnie wyśmienite ryby po 5-20 kop. najlepsze gatunki, co ratowało nieco wygłodzone żołądki kolejarzy.

Oprócz byłych skazańców we Władywostoku mieszkało wielu carskich urzędników, natomiast kobiet było bardzo mało. Czasami można było spotkać na targowisku służącą wyższego urzędnika, ale generalnie było to miasto mężczyzn. Z rzadka widywało się żony lub kochanki oficerów lub urzędników. Na 10 tysięcy mężczyzn przypadało mniej niż 4 tysiące kobiet, nic dziwnego więc, że powodzeniem cieszyły się liczne domy rozpusty.

Stragany i drobny handel były w rękach Chińczyków lub Koreańczyków. Oni też pracowali na licznych budowach w mieście i poza nim. Rosjanie nie brudzili sobie rąk taką pracą. Byli głównie dorożkarzami, dozorcami składów portowych i domów czy karczmarzami. Azjaci przybywali wiosną, jako pracownicy sezonowi, w większości bez swoich rodzin, i pracowali w porcie przy załadunku i wyładunku statków, prowadzili ryksze, byli malarzami, tragarzami, prowadzili też pralnie. Rosjanie bardzo źle traktowali zwłaszcza Chińczyków. Aleksander był świadkiem, jak pijany kacap złapał Chińczyka za warkocz i bez żadnej przyczyny rzucił go w błoto. Ten szybko się pozbierał i uciekł. Koreańczyk w takiej sytuacji mógłby wyjąć nóż. Różnili się oni od Chińczyków strojami. Szyli kaftany z jednolitego materiału, rodzaju dość grubej, pikowanej wata, białej tkaniny. Spodnie bardzo szerokie typu szarawary, pantofle rodzaju chińskiego czarne lub białe. Czapki nie noszą, ale też nie golą zarostu, jak mają to w zwyczaju Chińczycy. Łatwo zatem ich odróżnić, choć kobiety koreańskie noszą się podobnie. Brody Koreańczyków nader rzadkie, ledwo kilka pęczków włosów. Warkoczyki też noszą, ale zaplecione wysoko na głowie tak, że wyglądają jak ciemny róg. W środek takiego koka wkładają amulet, czasem jest to kamień szlachetny. Nic dziwnego, że miejscowi Rosjanie wiedząc o tym mordują nieszczęsnych Azjatów licząc na bogaty łup. Ci natomiast będąc w stałym zagrożeniu nie poruszają się wieczorami samotnie, noszą też ostre, zakrzywione noże dla obrony.

Władywostok nie oferował swoim mieszkańcom żadnych rozrywek. Nie było parków, ani zabaw publicznych. Jedyne klub oficerski dostępny także dla cywilów

cieszył się złą sławą, gdyż często dochodziło tam do strzelanin. Pijani oficerowie chętnie sięgali po broń podobnie, jak cywile, wśród których nie brakowało przemytników, poszukiwaczy złota, traperów i wszelkiego rodzaju awanturników. Azjatom wstęp do tego klubu był zabroniony. Mieli one swoje spelunki, w tym liczne palarnie opium. Była też "kafe-szantan", prowadzony przez Chińczyków lokal rozrywkowy z występami artystów i hazardem, ale Europejczycy bywali tam rzadko.

W tym czasie istniała już solidna cerkiew zbudowana w tradycyjnym stylu z wieloma kopułami. Niedaleko od cerkwi usadowiły się dwie pagody-japońska i chińska. Stał też skromny kościół luterański i podobny do niego kościółek katolicki. Ten ostatni to rodzaj długiego baraku z wieżyczką i krzyżem, którego połowę stanowiły mieszkania dla proboszcza i "*guardiana*". Był to najprawdopodobniej zakonnik franciszkanin lub też pracownik cywilny parafii władywostockiej. Obejmowała ona swoim zasięgiem ogromny teren (Kraj Amurski, Sachalin i część Syberii północnej) i dlatego proboszcz przez pół roku objeżdżał swoją parafię, a drugie pół roku rezydował we Władywostoku. W drugiej części tego kościoła mogło się pomieścić do 300 osób, zamiast ławek były ustawione krzesła. Była też fisharmonia amerykańska, która miała brzmienie podobne do organów. Kolejarze nie zastali księdza, którym w tym czasie był młody (ok. 35 lat) i energiczny oraz doskonale wykształcony duchowny. Był akurat na objeździe swojej bezkresnej parafii. Pomodlili się, więc za pomyślność swojej wyprawy przed ołtarzem z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Sapożnikow modlił się sam w cerkwi, jako że był wyznania prawosławnego.

Przymusowy pobyt Aleksandra i jego towarzyszy we Władywostoku miał potrwać około trzech tygodni. Oczekiwano na grupę budowniczych, która wypłynęła z Odessy dwa tygodnie później, inni podróżowali drogą lądową przez Syberię, a jeszcze inna grupa budowniczych przez Stany Zjednoczone. Stamtąd też przyszła morzem spora część zaopatrzenia wyprawy. Były to namioty, broń długa i rewolwery typu Colt, dubeltówki i amunicja. Ponadto siodła typu meksykańskiego oraz tarantasy. Był to rodzaj dużej bryczki o specyficznej budowie podwozia. Rolę resorów pełniły długie, elastyczne drągi (legajzy), na których kładziono nadwozie. Był to pojazd typowo podróżny, uważany za wygodny z powodu leżących miejsc do spania, czterokołowy, z brezentową budą, Taki mały dom na kołach, zawierający wszystko, co niezbędne w wielodniowej podróży. Konie i żywność miano zakupić we Władywostoku. Rząd chiński nie zgodził się na wpuszczenie na swoje terytorium kobiet, a przecież niektórzy z budowniczych zabrali z sobą rodziny. Teraz zmuszeni zostali zostawić je na niepewny los w stolicy Dalekiego Wschodu, gdzie panowało bezprawie, a utrzymać się było bardzo trudno z uwagi na wysokie

ceny żywności i zakwaterowania. Dopiero, kiedy zaczął powstawać Harbin możliwe stało się sprowadzanie całych rodzin do tego miasta kolejarzy. O tym też w kolejnym odcinku z historii budowy.

CEL

Pierwsi budowniczowie Kolei Wschodniochińskiej nazywali Rosję Wielką Ziemią. Mandżuria bowiem, po zakończeniu żeglugi po Amurze i Sungari, była całkowicie odcięta od świata. Droga lądowa przez tajgę nie istniała, a połączenie kolejowe otwarto dopiero w roku 1903. Kiedy z udziałem Aleksandra ruszyła budowa kolejnych odcinków kolei oddawano je stopniowo do użytku celem przewozu poczty i zaopatrzenia. Tam, gdzie jeszcze nie było torów kursowały chińskie arby, dwukołowe wozy towarowe. Pierwsza jednak była linia telegraficzna, którą ciągnięto zanim jeszcze powstały nasypy i tory. Bez telegrafu budowa kolei w tak krótkim terminie byłaby niemożliwa. Stanowisko naczelnika służby telegrafu powierzono inżynierowi Imszanieckiemu. Wywiązał się on ze swego zadania znakomicie ciągnąc druty przez nieprzebytą tajgę, przełęcz Chinganu, bagna i szczyty pola.

Już zimą 1898 roku sporządzono plan zabudowy "miasta Sungari", które miało być główną bazą pionierów budujących kolei w bardzo trudnym terenie. Plan sporządził inżynier Konstanty Jokisz z udziałem architekta Ignacego Cytowicza. Jokisz był w tym czasie naczelnikiem Wydziału Budownictwa Zarządu Kolei Wschodniochińskiej.



Fot. polscy inżynierowie: Adam Szydłowski, Konstanty Jokisz i Stanisław Kierbedź
Ustalono lokalizację dworca kolejowego (budynek zaprojektował Cytowicz) oraz miejsce, gdzie miał stanąć most przez rzekę Sungari w jej najwęższym miejscu.



10. Most przez Sungari w Harbinie

Przedstawiciele zarządu kolei, a ściślej mówiąc jej Wydziału Budowlanego, przystąpili do wykupu gruntów pod tory i stacje na przyszłej linii, jeżeli były one w rękach prywatnych. Szerokość pasa wywłaszczenia między stacjami wynosiła 32 metry z jednej strony i 38 metrów z drugiej. Wynikało to z faktu, że początkowo kolej miała być jednotorowa, a drugi tor planowano wybudować później. Na większe stacje kolejowe przeznaczano ok. 55 ha ziemi, a na mniejsze i rozjazdy ok. 33 ha. Natomiast pod budowę miasta Harbina pierwotnie zaplanowano 6 tys. ha. Wywłaszczenia prowadziły mieszane rosyjsko-chińskie komisje, do których przedstawiciele wyznaczał Wydział Wywłaszczeń i Operacji Leśnych kierowany przez Polaka Eugeniusza Daniela.

Mandżuria była w tym okresie słabo zaludniona, a potrzeby siły roboczej do budowy kolei były ogromne. Trzeba było zatem ściągać robotników kontraktowych z północnych Chin, przeważnie z prowincji Szantung i Czyli (obecnie Hebei). Zwerbowani pracownicy zaczęli się osiedlać w Harbinie i z czasem powstała tam dzielnica chińska zwana Fudziandzian. Biorąc pod uwagę potrzeby zaludniających Harbin Rosjan i Polaków książę Stefan N. Chiłkow zainicjował otwarcie spożywczego sklepu kolejowego, który zaopatrywany był z Władywostoku i Chabarowska. Chińczycy nie spożywali mleka, masła, serów, nie wytwarzali też wędlin typu europejskiego. W Mandżurii nie uprawiano pszenicy, chociaż klimat i gleba były odpowiednie. Początkowo sprowadzano więc mąkę z Rosji. Pierwszym kierownikiem sklepu został Jan Haller pochodzący z rodziny zesłańców. W czasie

pobytu w Mandżurii Aleksandra Niewiarowicza w Harbinie zaczęła działać poczta, a także szkoła. W przeciwieństwie do Dzikiego Zachodu tutaj pionierzy przybywali z rodzinami mimo pierwotnych trudności w kwestii wpuszczania kobiet na terytorium Chin. Pierwszą kobietą, która osiedliła się w kiełkującym dopiero Harbinie była żona robotnika torowego Leonowa, która przyjechała z ekspedycją Adama Szydłowskiego. Wkrótce otwarto oddział Banku Rosyjsko-Chińskiego, którym kierował Polak Stanisław Gabriel.

W roku 1899 Harbin miał już zakład fryzjerski oraz hotel dość prymitywnie wyposażony, ale za to bez przerwy z kompletem gości. Powstał też szpital kolejowy i pierwsza cerkiew mieszcząca się w prywatnym domu. Aleksander nie doczekał budowy kościoła katolickiego, który powstał już po jego wyjeździe z Mandżurii w roku 1901.

Na budowniczych kolei czyhały liczne niebezpieczeństwa, gdyż cała licząca 1700 km trasa wiodła przez dzikie, słabo zaludnione tereny Mandżurii. Wielu kolejarzy i chroniących ich żołnierzy zginęło z powodu napaści dzikich zwierząt, głównie tygrysów i niedźwiedzi. W lasach kryły się groźne bandy hunhuzów, chińskich rzeźmieszków, którzy potrafili organizować się w kilkuset osobowe bandy i napadać na konwoje chronione przez wojsko. Dlatego też zgodnie z rosyjski-chińskim porozumieniem i statutem Towarzystwa Kolei Wschodniochińskiej powołano dla jej zabezpieczenia Straż Ochrony Kolei. Dowodził nią pułkownik Aleksander Herngross, były dowódca 4. Zakspijskiej Brygady Strzeleckiej. Do służby w straży przyjmowano głównie Kozaków, którzy zgłaszali się na wyjazd do Mandżurii, jako ochotnicy. Początkowo były to dwie sotnie Kozaków z Kubania i trzy sotnie z Orenburga. Straż Ochrony Kolei nie nosiła szlifów, a na mundurach oficerskich zastępował je wizerunek złotego smoka. Rosjanie wykorzystali maksymalnie przywileje, jakie dawał im statut Towarzystwa Kolei Wschodniochińskiej. Naczelnik danego okręgu był zarazem jego gubernatorem z pełnomocnictwami, jakich nie miał żaden gubernator w Rosji. Dysponował on własną armią wojsk regularnych w postaci Korpusu Straży Ochotniczej Kraju Przyamurskiego, niezależnie od Straży Ochrony Kolei. Wojsko zapuszczało się w głąb kraju pod pretekstem tępienia band hunhuzów, wykonywano pomiary terenu i sporządzano mapy. W terenie funkcjonował rosyjski sąd okręgowy, rosyjska poczta, a w Harbinie działały instytucje samorządowe podług praw rosyjskich. Władzę chińską reprezentował daoin okręgu Giryn-Bindzian, pełniący funkcję komisarza spraw zagranicznych, ale był on marionetką w ręku wszechwładnego naczelnika kolei.

Wszystkie te środki bezpieczeństwa nie były wystarczające w przypadku masowych buntów i powstań chłopskich. Najbardziej znane i najgroźniejsze

powstanie bokserów (Yihetuan tj. "pięć w imię sprawiedliwości") wybuchło w roku 1900, a 14 czerwca tegoż roku powstańcy zajęli Pekin. Jakie szkody w powstającej Kolei Wschodniochińskiej i w samym Harbinie wyrządziło to powstanie opiszę w ostatnim odcinku z cyklu CEL. Aleksandra nie było już wówczas w Mandżurii, ale on sam ledwie uszedł z życiem z innego buntu, który wybuchł w roku 1897. Jest on mało znany, żaden z historyków opisujących budowę Kolei Wschodniochińskiej nie wspomina o nim. Był jednak faktem, stanowił niejako prelude do ogólnego chińskiego powstania bokserów, choć miał lokalny charakter ograniczony do dwóch prowincji. Pokazał jednak swoją niszczycielską siłę.

17 lipca 1897 roku przychodzi wiadomość, że cała ekipa za trzy dni wyrusza w dalszą drogę, czyli do Mandżurii. Celem jest miasto Bedune, które leży 650 km od Władywostoku i cały ten odcinek większość budowniczych kolei przejedzie konno, w siodle, każdy uzbrojony po zęby. Na szlaku wszakże czyhają liczne bandy hunhuzów, a ekspedycje wiezie wiele cennych rzeczy. Pojedzie więc z nim także oddział regularnej armii liczący 50. żołdatów, a w Chinach dojdzie także eskorta tamtejszego wojska. Z ulgą pożegnali kolejarze ponury, deszczowy Władywostok, gdzie spędzili 6 tygodni. Całą grupą kieruje Naczelnik Wydziału Gospodarczego S.M. Weber, ma on czterech pomocników tzw. starszych agentów. Pozostali to jeden technik kolejowy, trzech starszych i czterech młodszych dziesiętników (brygadystów). Z rzemieślników w wyprawie bierze udział po trzech: kowali, ślusarzy, rymarzy, stolarzy, malarzy i krawców. Jest też sześciu kucharzy, wszyscy są Chińczykami. Jest też poseł chiński z ramienia zarządu kolei, wykształcony w Paryżu zna biegle francuski, słabo natomiast rosyjski. Nosi on stopień pułkownika armii chińskiej i jemu będzie podlegać oddział żołnierzy chińskich ochraniający ekspedycję w tym kraju. Opiekę medyczną zapewni jeden lekarz i czterech felczerów, są też dwaj tłumacze z chińskiego i sekretarz naczelnika Webera. Każdy uczestnik otrzymał dubeltówkę, kordelas i rewolwer Colt. Broń ta służyć miała zarówno do obrony przed bandytami i dziką zwierzyną, jak i do polowania na ptaki czy króliki i zające w celu urozmaicenia menu. Zabrano z sobą zapasy żywności, w

tym mąkę, liczne marynaty i solone mięso. Cała ta ekspedycja z zapasami załadowała się do specjalnego pociągu składającego się z trzech wagonów osobowych 1., 2., i 3. klasy oraz z sześciu krytych wagonów towarowych na bagaże i zapasy. Każdy z uczestników zajmował miejsca w wagonach podług swojej rangi urzędniczej i narodowości, stąd podział tego pociągu aż na 3 klasy. Na stację przybył sam naczelny inżynier Aleksander Jugowicz i jego zastępca Sergiusz Ingacjusz, aby pożegnać ekspedycję. Zobaczymy ich miesiąc później na stacji Grodekowo świętujących uruchomienie ostatniego odcinka Kolei Ussuryjskiej, której budowę rozpoczęto w maju 1891 roku.



11. Zarząd Kolei Wschodniochińskiej w Grodekowie - 16.VIII.1897 r.

Z uwagi na znaczenie strategiczne linia ta w całości była zbudowana przez wojska Nadamurskiego Okręgu Wojskowego i była w 100% zmilitaryzowana. Personel podzielono na umundurowane i uzbrojone bataliony kolejowe obsługujące poszczególne odcinki liczącej blisko 800 km linii. W budowie Kolei Ussuryjskiej znaczący udział mieli fachowcy Polacy. Julian Eberhardt był od roku 1894 naczelnikiem oddziału budowy Kolei Północnoussuryjskiej, natomiast inżynier Ludwik Czajkowski kierował budową południowego odcinka w latach 1895-97. Tenże inżynier po zakończeniu budowy pracował w zarządzie jej eksploatacji, a potem kierował budową Harbinu. Mosty na tej trudnej, górzystej trasie budowała

firma K. Rudzki i ska z Warszawy. Konstrukcje mostów odlewane były w zakładach Rudzki i ska w Warszawie i Mińsku Mazowieckim, następnie koleją transportowano je do Odessy, gdzie przeładowywano je na statki , skąd drogą morską przez kanał Sueski, Morze Arabskie , Ocean Indyjski płynęły do Nikołajewska u ujścia rzeki Amur do morza. Tam ponownie ładowano je na barki i rzeką docierały do odległych nieraz miejsc, nawet ponad 2500km, gdzie z tych stalowych konstrukcji i elementów składano przęsła mostów. Na budowie Kolei Wschodniochińskiej zbudowano 912 stalowych mostów, w tym 7 przez wielkie rzeki azjatyckie, przez potężną Sungari, największy dopływ Amuru o długości prawie 2000 km, która jest piątą co do wielkości rzeką Chin, z dorzeczem prawie dwukrotnie większym od dorzecza Dunaju.

O godzinie 11.00 rozległ się trzykrotny gwizdek lokomotywy i pociąg specjalny ruszył powoli z dworca we Władywostoku kierując się do stacji Nikolsk (obecnie Nikolsk Ussuryjski) odległej o 170 km. Aleksander z zaciekawieniem spoglądał przez okna wagonu 2. klasy, gdyż trasa tej kolei wiodła przez teren górzysty, a więc prowadziła przez wąwozy i tunele charakteryzując się wieloma zakrętami i znacznymi spadkami. Wokoło szumiał dziewiczy las z wielkimi drzewami, głównie liściastymi. Duża ilość opadów i ciepły klimat powodowały, że las ten był pełen kwitnących kolorowo krzewów i kwiatów. Sam Nikolsk powstał, jako miasteczko cywilnych budowniczych kolei oraz osadników. Każdy osadnik mógł tutaj za darmo dostać spory kawał urodzajnej ziemi, osiedliło się też tutaj wielu byłych zesłańców. Za nędzne kopiejki wynajmowali oni do prac polowych Chińczyków i Koreańczyków, a zboże sprzedawali do rządowych magazynów za wysokie ceny. W krajobrazie miasteczka dominuje ogromny gmach koszar zbudowany z czerwonej cegły. W tej fortecy stacjonuje kilka batalionów carskiej armii, których obecność ożywiała nieco tą nędzną miejscinę. Kwitło tam pijaństwo, gdyż osadnicy mając wszystko za darmo oddawali się hulankom i hazardowi. Był to więc rodzaj Dzikiego Zachodu w wersji dalekowschodniej. Pociąg specjalny wtoczył się na stację Nikolsk o godzinie 17.00 i natychmiast przystąpiono do rozładunku bagaży i ekwipunku dla ekspedycji, które złożono w magazynach stacyjnych. Rozbito namioty, gdyż w Nikolsku nie było hotelu i członkowie ekspedycji mieszkali w tym prowizorycznym obozie przez cztery dni. Tyle bowiem czasu zajęło zakupienie

wozów i furmanek oraz 30. koni do jazdy wierzchem. Ostatecznie 25 lipca uformowała się długa kolumna licząca 90 wozów załadowanych zapasami i bagażami, 6 wzmocnionych powozów oraz 20 wspomnianych wcześniej tarantasów do przewozu ludzi. Kto czuł się na siłach siodła konia i jechał dalej konno, znalazło się takich śmiazków wśród kolejarzy i urzędników blisko 20, konno jechała też eskorta wojskowa. Aleksander miał wtedy już 44 lata, a mimo to zdecydował się na jazdę w siodle. Wydawało mu się, że tak będzie bezpieczniej. A niebezpieczeństw po drodze czyhało wiele. Jeszcze w czasie pobytu w Nikolsku żołnierze skosili leżącą pod miasteczkiem łąkę i ustawili siano w kopy, aby zabrać w drogę paszę dla koni. Jeden z żołnierzy pozostał na noc w małym szałasie na miejscu, aby pilnować zbiorów. Jak się później okazało pod wieczór poszedł on do małego strumyka, gdzie prał swoją bieliznę. W tym czasie znienacka i od tyłu zakradł się tygrys i zaatakował nieszczęsnego wartownika. Młody i silny człowiek walczył rozpaczliwie z drapieżnikiem, widać to było po zostawionych na zroszonym krwią gruncie śladach, ale w końcu musiał ulec. Jego towarzysze znaleźli jedynie zmasakrowaną głowę i nogi od kolan w dół z butami. Jak się okazało była to tygryśnica, która zabrała resztę krwawej zdobyczy dla swoich młodych. Żołnierze wytropili legowisko z kilkumiesięcznymi szczeniętami i zabili je na miejscu w odwecie za śmierć kolegi. Wstrząśnięty Aleksander obejrzał pogryzioną głowę i nogi ofiary tygrysa, a potem wziął udział w uroczystym pogrzebie, który odbył się przy zachowaniu ceremoniału wojskowego. Orkiestra zagrała marsza żałobnego i zbita z surowych desek trumna spoczęła na cmentarzu w pobliżu koszar. Szczególnie poruszeni byli Polacy, gdyż żołnierz ten był ich rodakiem i pochodził z guberni lubelskiej, gdzie żyli jego rodzice oraz bracia. Wiadomość o śmierci ich syna i brata dotarła do rodziny po blisko tygodniu, za nią pod koniec roku przyszło skromne odszkodowanie finansowe, gdyż ten straszny wypadek zdarzył się w czasie pełnienia 5. letniej, obowiązkowej służby wojskowej. Dla rekrutów rosyjskich służba wojskowa wynosiła w tym samym czasie 6, a w marynarce 7 lat. Gdyby ów młodzieniec miał żonę i dzieci, to mogliby oni liczyć na znacznie wyższe odszkodowanie ze strony armii carskiej.

26 lipca ekspedycja dotarła do Połtawki, małej granicznej wioski, gdzie mieszkali wolni osadnicy, często byli wojskowi. Straż graniczna była tam nieliczna, gdyż

tereny były słabo zaludnione, a jedyny przemysł szedł ze strony chińskiej w postaci opium. Budowa kolei w tym rejonie zmusiła Rosjan do zwiększenia kontyngentu wojskowego w Połtawce do trzech tysięcy piechurów, kozaków i artylerii. Postój trwał cztery dni, w tym czasie uzupełniono zapasy, można było też wysłać ostatnie listy i telegramy do rodzin, gdyż w tej wsi był urząd pocztowy. Dalej była już tylko dzika Mandżuria pozbawiona tych cywilizacyjnych udogodnień. Linia Ussuryjska biegła dalej-do stacji Grodekowo (od Mikołaja Grodekowa, gubernatora Kraju Przyamurskiego) i Pogranicznaja (miejsowość powstała wokół stacji Grodekowo), ale miała zostać otwarta za miesiąc. I tam właśnie przeniesiono potem przejście graniczne do Chin, natomiast Połtawka straciła swoje znaczenie i podupadła, a potem zniknęła z map. Pogranicznaja stała się potem miejscem wielu konfliktów granicznych pomiędzy bolszewicką Rosją, a Chinami. Jak donosił dziennik "*Hasło Łódzkie*" z 21 sierpnia 1929 roku Chiny wysłały do stacji pogranicznych Mandżuria i Pogranicznaja wiele czołgów, samoloty i amunicję. Przybyli tam też oficerowie chińskiego sztabu generalnego, który wspierał oddziały białogwardzistów. Przez lata całe było to bardzo gorące pogranicze. Jeszcze w roku 1969 wybuchły ciężkie walki nad rzeką Ussuri. Aż do upadku ZSRR na pograniczu z Chinami w rejonie Damanskij utrzymywano 7 dywizji pancernych, 34 zmechanizowane, 1. powietrznodesantową i 1. piechoty morskiej oraz 4 armie lotnicze. Chińczycy utrzymywali natomiast w regionie 70 dywizji (w tym 12 pancernych). W grudniu 2004 roku Władimir Putin wyraził wstępną zgodę na zwrot całego spornego terenu w rejonie ujścia Ussuri do Amuru, także Yinlong (Wyspy Srebrnego Niedźwiedzia, dla Rosjan - Wyspy Tarabarowa) i połowy Heixiazi (Wyspy Czarnego Niedźwiedzia, dla Rosjan - Wielkiej Wyspy Ussuryjskiej). Zwrócono go Chinom 20 lipca 2008 roku i ta data kończy dopiero konflikty graniczne Rosji z Chinami ciągnące się przez ponad 100 lat. Spór o eksterytorialną linię kolejową i dalsze losy Kolei Wschodniochińskiej omówimy w następnym odcinku CEL.

30 lipca cała ekspedycja ruszyła przed siebie przekraczając granicę z Mandżurią o godzinie 12.00. Długa kolumna obładowanych zapasami wozów, furmanek, powozów i jeźdźców poruszała się wolno, gdyż po drugiej stronie granicy nie było żadnych bitych dróg, a jedynie wąski trakt wiodący przez lasy i niedostępne góry. Szlak był bardzo trudny, a obciążone ekwipunkiem wozy z trudem przeciskały się

wąską ścieżką wiodąca stromo pod górę. Niejednokrotnie eskorta żołnierzy musiała pomagać popychając tabory siłami ludzkich mięśni. Cały ten szlak od granicy wiódł pod górę i dopiero o 7.00 wieczorem ekspedycja dotarła na szczyt wzniesienia, gdzie znajdowała duża fanza, rodzaj zajazdu wybudowany w stylu chińskim. Zjawiła się pierwsza grupa kolumny, w której jechał naczelnik Weber ze swoimi pomocnikami, poseł chiński oraz lekarz wyprawy. Potem nadciągnęła druga grupa, czyli starsi dziesiętnicy, felczerzy i tłumacze. W grupie trzeciej jechali młodszy dziesiętnicy i rzemieślnicy, a na końcu żołnierze rosyjscy i chińscy. Koło fanzy rozbito się obozem, kucharze przygotowali kolację, gdyż oferowane w chińskiej karczmie jedzenie nie odpowiadało gustom Europejczyków. Przede wszystkim brak chleba, zamiast niego placki z mąki pszennej gotowane na parze bez soli i przypraw. Inne potrawy, głównie warzywne, smażone na niezbyt smacznym oleju roślinnym z bobiku z dużą ilością cebuli i czosnku. Niektórzy z członków ekspedycji zamówili tam wódki chińskiej zwanej suka, którą produkowana jest z rośliny zbożowej o nazwie czumiza. Smak i zapach okropny, ale trunk był dosyć mocny. Po tej degustacji kolejarze zwiedzili pobliską świątynię, gdzie zrobiły na ich wielkie wrażenie ogromne postacie bożków wyciosane z drewna i pomalowane w różne kolory.

Po kolacji rosyjscy żołnierze ustawili pierwszą linię wart wokół obozu, natomiast chińskie wojsko linię zewnętrzną straży. Każda z wart miał swoje własne hasło, co prowadziło do nieporozumień, ale hasła chińskie były nie do wymówienia przez Rosjan i Polaków z eskorty. Pobudka wczesnym rankiem o 4.00 i godzinę później kolumna rusza zgodnie z ustalonym wcześniej porządkiem z tą różnicą, że obecnie wojsko chińskie tworzy straż przednią. Rozciągnięta na dwa kilometry kolumna posuwa się wolno przez gęste lasy i górzyzny teren. Drzewostan jest mocno zróżnicowany. Świerki i jodły rosną w górnych partiach, a orzech włoski, cedry, klon, buk, wiąz i czarna brzoza w dolnych. Nie można było poruszać się szybciej, aniżeli 26 do 28 km dziennie, gdyż nie pozwalały na to warunki terenowe. Trzeciego dnia ekspedycja wolno pęzła dnem głębokiego wąwozu, gdzie słońce nie dochodziło i było prawie ciemno. Każdy ścisnął broń w rękach obawiając się zasadzki. To też z dużą ulgą przyjęto koniec wąwozu u wylotu, którego ukazała się prymitywna fanza, a przy niej dymiące jeszcze ognisko. Była to właściwie ziemianka do połowy zagłębiona w ziemi i przykryta gałęziami. W niewielkiej odległości od tego szafasu widoczna była wielka dziura w ziemi i rodzaj sztolni

prowadzącej w głąb masywu górskiego. Jak się okazało była to nielegalna kopalnia złota prowadzona przez hunhuzów, którzy na widok żołnierzy uciekli. Tego rodzaju proceder jest w Chinach karany śmiercią, ale na terenie Mandżurii rząd nie ma wystarczających sił, aby zakaz ten skutecznie egzekwować.

Po dwóch godzinach jazdy ekspedycja trafiła na kolejny zajazd chiński mieszczący się w dużej fanzie. Niewiele tam można było zjeść czy wypić, przynajmniej w rozumieniu gustów europejskich. Tym razem udało się nabyć kopę jaj i worek kukurydzy. Mleka Chińczycy nie znają, nie ma więc i masła, gdyż dojenie bydła i innych zwierząt zabrania religia. Na szczęście nie brakowało naszym podróżnikom świeżego mięsa, gdyż każdy miał dobrą fuzję, a zwierzyna nie znająca ludzi wychodziła na drogę i przypatrywała się jadącym. Strzelano więc sarny i jelenie, aby zawsze było mięso na kolację. Był też wielki wybór ptactwa, jak bażanty, przepiórki, cietrzewie, jarząbki czy dzikie kaczki, na które też polowano. Gruby zwierz, jak niedźwiedzie, pantery czy tygrysy krył się w głębi dziewiczego lasu, a ich nocne ryki trwożyły serca niektórych podróżników. Leżąc pod iluzoryczną osłoną namiotu wyobrażali sobie, że dziki zwierz jest tuż, tuż i za chwilę ich rozerwie na strzępy. Ludzie o takich słabych nerwach nie spali po nocach i co chwila zapalali świece, aby rozjaśnić czerń pełnej grozy nocy w tajdze mandżurskiej. Nie były to obawy całkowicie bezzasadne. Obóz ekspedycji był otaczany zbrojnymi wartami, budowano zagrodę dla koni, a uczestnicy zobowiązani byli spać w ubraniu z bronią pod ręką. W razie ogłoszenia alarmu wszyscy w ciągu pięciu minut powinni zebrać się w środku obozu. Taki nocny alarm został ogłoszony szóstego dnia podróży. Padły trzy strzały i w obozie zapanował popłoch. Niektórzy z kolejarzy wpadli w panikę, szukali swojej broni mimo, że powinni ją mieć przy sobie. Skompromitował się zupełnie jeden z felczerów, który w samej tylko bieliźnie wyskoczył z pod namiotu i ze strachu dostał gwałtownego rozstroju jelit. Jego chaotyczny szlak znaczyły niemile cuchnące ślady.

Większość jednak karnie zebrała się w centrum obozowiska, gdzie podsycono wygasające ognisko. Każdy miał Colta za pasem, a rękach strzelbę nabitą pociskami na grubego zwierza.

Rosyjski dowódca warty złożył raport oficerowi eskorty, że to jeden z żołnierzy mający swoje stanowisko 150 metrów od obozu usłyszał obok siebie przerażający ryk tygrysa i zaczął strzelać. Niechybnie nieszczęsny wartownik zostałby ukarany za fałszywy alarm, ale w tym samym momencie dał się słyszeć kwik i głośne rżenie wystraszonych koni, które wyłamawszy ogrodzenie rozbiegły po obozie przewracając namioty. Kto żyw rzucił się do łapania wystraszonych zwierząt, a w pustej już zagrodzie znaleziono konia z rozplątanym brzuchem miotającego się z przedśmiertnych konwulsjach. Drugi koń miał straszliwie pokaleczony zad, a

trzeciego konia znaleziono następnego dnia w połowie zjedzonego. Ze śladów wynikało, że sprawcą był jeden, ogromnych rozmiarów tygrys, który był w stanie poranić trzy konie i unieść z sobą trzeciego.

Niewiele już snu pozostało podróżnikom, o 5.00 rano karawana wozów i jeźdźców ruszyła w dalszą drogę.

Mniej więcej co 50 km są małe forty wojskowe obsadzone żołnierzami w sile 50. piechoty i 30. kawalerzystów dowodzonych przez dwóch oficerów. Wojsko konwojuje ekspedycję budowniczych kolei od fortu do fortu, a konnica jedzie dzień przed konwojem polując na lokalnych bandytów. Armia chińska na terenie Mandżurii nie jest z poboru, ma charakter zawodowy. Prosty żołnierz otrzymuje w przeliczeniu ok. 8 rs i za ten żołd musi się sam wyżywić i ubrać. W praktyce dostaje kawałek srebra ucięty z większej sztaby o wartości 16 dian. Uzbrojenie otrzymuje od wojska, ale w tym czasie było ono mocno przestarzałe. Każdy prawie z żołnierzy eskorty miał na wyposażeniu inny rodzaj broni. Niektórzy dźwigali strzelby na kapiszony, inni berdanki, czyli jednostrzałowe karabiny z gwintowaną lufą. Te ostatnie były w miarę nowoczesne. Ale były też karabiny typu muszkiet ładowane przez lufę, gdzie iskrę do zapłonu prochu dawał zwykły krzemień, czyli skałka. Broń ta była z reguły zardzewiała i zaniedbana, noszona na sznurkach. Wielu z tych "wojowników" nie potrafiło lub wręcz bało się strzelać. Dlatego niektórzy uzbrojeni byli także w łuki i kołczany. Widać czuli się pewniej używając tej przestarzej broni. Za mundur służyły im bardzo szerokie, niebieskie spodnie, skórzane łapcie, kaftan także niebieskiego koloru z szerokimi rękawami. Z przodu nosili rodzaj czerwonego fartucha rozciętego, gdzie obie poły były obszyte czarną lamówką. Do pasa przytroczona była ładownica z nabojami lub prochem. Brak nakryć głowy, te nosili tylko oficerowie. Były to okrągłe, czarne czapeczki zakończone z tyłu ogonem wydry. Na tym nakryciu głowy widniały oznaczenia stopni w postaci kolorowych emblematów. Chorąży miał białą, porcelanową tabliczkę, kapitan szklaną, pułkownik takąż, ale niebieską, zaś generał czerwoną. Jak na wojsko zawodowe dyscyplina marna, wojsko chińskie nie znało musztry i prezentowało się jak najgorzej.

Nadszedł ósmy dzień podróży przez dzikie ostępy Mandżurii. Był piękny ranek, gdy nagle konie zaczęły parskać i zachowywać się niespokojnie. Przy drodze leżały zbroszone krwią zwłoki Chińczyka. Dwie kule trafiły w pierś nieszczęśnika, a jedna w głowę. Oficer chiński wyjaśnił, że ofiara była kupcem z pobliskiego miasteczka i padła ofiarą hunchuzów, czyli bandytów. Nikt nie zatroszczył się, aby nieszczęśnika pochować. To częsty widok na tych ziemiach bezprawia, chociaż stara tradycja chińska zaleca wielką dbałość o życie pośmiertne przodków. W Chinach panował kult zmarłych, a to wymagało skomplikowanego i uroczystego ceremoniału

pogrzebowego. Krewni zmarłego nakładali białe szaty na znak żałoby, a ciało przenoszono do pomieszczenia, w którym znajdował się ołtarz przodków i przykrywano ozdobnym całunem. Do wielkiej, masywnej trumny wkładano ulubione przedmioty zmarłego, do ust wkładano ryżu na drogę. Przed trumną ustawiano tabliczkę przodka z imieniem i tytułami rodowymi zmarłego. Była to tabliczka często pokryta czerwoną laką o dł. ok. 30 cm i szer. 10 cm, na której umieszczano także pośmiertne imię zmarłego. Po tym zapisie nie wolno już było wymawiać imienia, jakie zmarły nosił za życia. Tabliczkę przechowywał najstarszy syn i przekazywał z kolei swemu najstarszemu synowi. Zmarłych chowano nie na cmentarzach, a na polu zmarłego, jeśli nie miał pola to pod murem osiedla. Nad miejscem pochówku usypywano stożkowy kopczyk, przed którym ustawiano kamienną lub drewnianą tabliczkę z napisem nagrobkowym. Jednak w Mandżurii u schyłku XIX wieku zapomniano wiele z tych zwyczajów. Tylko bogaczy stać było na bardzo masywne trumny, które dźwigać musiało 8. ludzi. Bogato zdobione, czasami rzeźbione, musiały kosztować majątek. Dlatego mniej zamożne rodziny zamawiały tego rodzaju masywne trumny, ale bez zdobień. Trumna taka nie była transportowana na cmentarz, a ustawiano ją na podwórzu domu zmarłego na okres nawet kilku miesięcy. Mimo solidnej budowy smród rozkładającego się ciała był wyraźnie wyczuwalny mimo nieustannego palenia wonnych kadzideł, trociczek i świec ofiarnych. Po kilku miesiącach rodzina bogatego zmarłego kupowała duże drewniane sanie bogato zdobione wraz z figurkami wołów, koni i innych zwierząt domowych. Na sanie ładowana była trumna, a figurki zwierzęce niesiono przed saniami. Po dotarciu na cmentarz następowała długotrwała ceremonia pogrzebowa ze śpiewami i modłami. Drewniane figurki symbolizujące zwierzęta ofiarne palono, a popiół zbierano do miseczek i zanoszono do świątyni. Sama trumna pozostawała na powierzchni cmentarza tak długo, aż zaczynała się rozpadać. Wówczas obsypywano ją ziemią, przez co powstawał rodzaj kurhanu. To jednak wyjątek dotyczący ludzi zamożnych. Gdy umierał biedak to był zanoszony na cmentarz w ubraniu bez trumny, kładziono go na powierzchni ziemi i okrywano jedynie matą z trzciny. Wśród tych nieboszczyków uwijały się stada psów i świń konsumując zwłoki, co było widokiem nie do zniesienia dla naszych podróżników. Do wyjątków należały przypadki, że bogatszy Chińczyk fundował trumnę dla wybranych zmarłych, być może dalszych krewnych, w której umieszczano kilka trupów chroniąc je przez pożarciem.

Tymczasem ekspedycja kolejarzy już dziewiąty dzień jechała poprzez dziki krajobraz nieprzebranych lasów poprzecinanych skalistymi wąwozami. Tereny były bezludne, roiło się od zwierzyny, ale gdzieś tam w swoich kryjówkach czaili się bezlitośni hunchuzi. Dlatego cała grupa jechała razem, a wzdłuż całek kolumny szli

żołnierze eskorty z bronią gotową do strzału. Także kolejarze mieli broń w pogotowiu, gdyż do oficerów eskorty dotarły informacje o licznych bandach nawiedzających te strony. Jednak aż do wieczora nic się nie wydarzyło, trzeba było poszukać miejsca na rozbicie obozu. Nie było to łatwe, gdyż wzdłuż szlaku szczyrzyły swoje zęby liczne skały, a nie widać było nawet małej polanki. Kolumna była więc zmuszona do dalszego marszu mimo, że zapadł już zmrok. Wokół słychać było ryki drapieżników, które nocą ruszały na żer i do wodopoju, a miejsca na obóz nie było mimo zapewnień chińskiego przewodnika. W końcu bardzo już zmęczeni ludzie i konie dotarli do rozległej polany, gdzie wkrótce stanęły namioty i zapłonęły ogniska. Kucharze zaczęli przyrządzać spóźnioną kolację, zbudowano zagrodę dla koni i w końcu już po godzinie 22. wszyscy poszli spać.

Niezbyt długo trwał ten sen, gdyż około pierwszej huknął pojedynczy strzał, co było sygnałem alarmowym dla wszystkich. Aleksander w pośpiechu nałożył buty, zapiął pas z rewolwerem i ze strzelbą w garści wybiegł z namiotu. Nie był to alarm fałszywy, uzyskano informacje o zbliżającej się dużej grupie zbrojnych, a to mogli być tylko hunchuzi. Podróżnicy zebrali się na środku obozu, sprawdzali broń, liczyli ile mają amunicji, niektórzy modlili się głośno. Słychać było wyraźnie, że maszeruje duża grupa ludzi, szczekały psy, parskwały niespokojnie konie. Atak bandy mógł w każdej chwili nastąpić, a nikt nie wiedział ilu ich jest. Polując na wielkie łupy hunchuzi mogli zbierać się w bandy liczące od kilkuset do tysiąca nawet ludzi. A ekspedycja to był taki właśnie wielki łup, gdyż wieziono 320 kg meksykańskich srebrnych dolarów na bieżące wydatki nie mówiąc już o innym wyposażeniu ekspedycji. O tym bandyci doskonale wiedzieli, gdyż mieli swoich informatorów wśród chińskich tragarzy i furmanów.

Wśród kolejarzy nastrój panował ponury, w każdej chwili spodziewano się świstu kul i odgłosów strzałów. Aleksander zmówił szeptem modlitwę "Pod twoją obronę" i udał się na stanowisku wyznaczone przez rosyjskiego oficera dowodzącego ochroną konwoju. Wozy ekspedycji ustawiono w krąg, ogniska pogaszono, uzbrojeni cywile schronili się za wozami, a wojsko rozwinęło się przed obozem od strony zbliżających się napastników. Chińscy żołnierze zajęli stanowiska około 100 metrów z drugiej strony obozu stanowiąc straż tylną. Kiedy wszyscy byli na swoich stanowiskach padł rozkaz otwarcia ognia w kierunku hunchuzów przez straż przednią. Rosyjscy żołnierze oddali dwie salwy na komendę oficera, poczym zapadła cisza. Strzały zrobiły widocznie wrażenie na bandytach, gdyż odgłosy ich kolumny zaczęły się oddalać, najwidoczniej zrezygnowali z ataku na ekspedycję. Nikt jednak nie wypuszczał broni z rąk, choć napięcie spadło, zaczęły się ciche rozmowy, a nawet żarty. Tak doczekano do brzasku. Po zbadaniu

miejsca, skąd nadchodziła banda odkryto po śladach, że było ich około 30 konnych i 50. pieszych. Znalaziono kilka zgubionych naboii oraz ślady krwi.



11. Banda hunchuzów - pocz. XX w.

Prawdopodobnie hunchuzi liczyli na efekt paniki i zaskoczenia nocną napaścią, a gdy to się nie powiodło zrezygnowali z ataku nie mając przewagi liczebnej. Po szybkim śniadaniu niewyspani kolejarzy ruszyli o 6.00 w dalszą drogę. Około 11.00 na horyzoncie pojawił się fort armii chińskiej. Właściwie były to nędzne fanzy lepione z gliny i słomy, ale noszące dumne miano koszarów wojskowych. W więzieniu trzymano tam kilku pojmanych hunchuzów starannie zabezpieczonych przed możliwością łatwej ucieczki przez gliniane ściany. Otóż każdy z pojmanych zbójców miał na nogach drewniane kłody, od których biegł łańcuch opasujący szyję. Ponadto ręce związane od tyłu były przymocowane do białego w ziemię słupa. Nieszczęśnicy praktycznie nie mogli wykonywać żadnych ruchów. Na obnażonych plecach widać było ślady chłosty, twarze też pokrwawione, gdyż żołnierze znęcają się nad pojmanymi. Dokłada się do tego miejscowa ludność grabiona i mordowana przez bandy hunchuzów, których uważa się za dzikie bestie. Aleksander próbował na migi porozmawiać z jednym z pojmanych pokazując mu, że pewnie niedługo zatną mu głowę. Bandyta potwierdził, że wie, iż jego los jest przesądzony i wkrótce zostanie stracony, ale nie wydawał się specjalnie przejęty z tego powodu. Ryzyko utraty życia w walce, czy w publicznej egzekucji było wpisane w jego niechlubną profesję. Następnie Aleksander wyjął z kabury swój



13. Ścięte głowy bandytów wystawione przy drodze

Oficer chiński wyjaśnił podróżnikom, że ich kawaleria jedzie o dzień drogi przed kolumną ekspedycji i poluje na hunchuzów. Udało im się pojmać siedmiu bandytów z tej szajki, która próbowała nocą napaść na obóz budowniczych kolei. Ich właśnie widział Aleksander w koszarach, a dwóm odcięto głowy na miejscu i powieszono na drzewie dla postrachu. Być może do dziś zachowało się zdjęcie tego makabrycznego przedstawienia, gdyż lekarz ekspedycji wykonał je swoim nowoczesnym, jak na owe czasy, aparatem "momentalnym". Tak nazywano aparat fotograficzny na klisze, ale z migawką otworkową. Warto przy okazji wspomnieć, że pionierem fotografii w Rosji był Polak Karol Józef Migurski, który zaczął fotografować w latach 50. XIX wieku. Był autorem pierwszego w Rosji **Praktycznego podręcznika fotografii**, wydanego w 1859 roku w Odessie, który zawierał zarówno porady techniczne, jak i uwagi na temat różnych gatunków fotografii (portretowej, pejzażowej itp.). W 1863 r. wykładał technikę fotografii w liceum **Richelieu** w Odessie.

W końcu 12. dnia podróży ekspedycja dotarła do dużego miasta Ninguta (obecnie Ning'an), które było siedzibą gubernatora. Dogodnie położone nad rzeką Hurka (obecnie Mudanjiang) miało tą drogą połączenie zarówno z rzeką Sungari, jak i Amurem. W tym czasie zamieszkiwało w tym mieście około 50 tysięcy mieszkańców, stacjonowały też znaczne siły wojskowe.

Kolejarzom przydzielono kwatery administracyjne, które okazały się być centrum pielgrzymkowym położonym w klasztorze. Były to dwie wielkie fanzy, ale nadzwyczaj niewygodne dla Europejczyków. Okna małe, zaklejone papierem, gdyż szkła na szyby okienne nie stosowano. Wzdłuż ścian niewielkie podwyższenia,

które miały służyć za miejsca do spania. Na ich końcach znajdowały się paleniska, a ciepłe powietrze miało ogrzewać zarówno miejsca do spania, jak i całe pomieszczenie. To typowe wnętrza chińskich domów, u bogatych pokrywano podwyższenie dywanami, a biedniejszym starczyły musiały maty trzcinowe lub bambusowe. Obok stały małe stoliki, na których spożywano pokarmy. Następnego dnia naczelnik Weber i czterech jego zastępców (starszych agentów) udało się konno z ceremonialną wizytą do miejscowego gubernatora wręczając mu przy tej okazji zwyczajowe prezenty. Był to duży, stołowy zegar wygrywający różne melodie oraz perski dywan. Rewizyta gubernatora miała niezmiernie oficjalny, acz hałaśliwy charakter.

Na czele pieszego pochodu szli trębacze z bardzo długimi instrumentami wydając przeraźliwe dźwięki bez żadnego rytmu czy melodii. Za nimi kroczył oddział wojska zbrojny w starożytne halabardy, a dalej na mule jechał gubernator w swoim galowym, oficjalnym stroju. Był to szeroki, jedwabny kaftan, a na głowie czarna czapka z różowym znakiem stopnia generała armii. Za nim jechała kawaleria zbrojna w karabiny, ale żołnierze byli nędznie odziani, większość nie miała nawet butów. Na końcu jechał wóz z podarkami dla Rosjan na które składał się żywy baran, wielki dzban soli, wór ryżu i drewniana skrzynia zawierająca ponad 30 kg herbaty. Po krótkich przemówieniach wszyscy zasiedli do posiłku, pito szampana i naturalnie mocną, rosyjską wódkę. Mocno wstawiony gubernator po dwóch godzinach odjechał do swojej rezydencji obdarowany na koniec karmelkami, które bardzo mu smakowały.

Ulice w Ninguta były nieprawdopodobnie brudne, pełne błota, odchodów i padliny. Nikt tu niczego nie sprząta, a mieszkańcy bez żenady załatwiają wszelkie potrzeby fizjologiczne po prostu kucając wśród tłumu. Na ulicach nie widać było kobiet, one są przywiązane do domu, gdzie jednak także nie zajmują się niczym. Nawet dzieci się im odbiera, jak tylko skończy się karmienie piersią. Resztą zajmują się mężczyźni, którzy gotują, piorą, a nawet szyją stroje z jedwabiu. W bogatszych rodzinach nadal kwitł zwyczaj krępowania stóp, który zapoczątkowano za czasów dynastii Song (960-1279). Już małym dziewczynkom owijano bandażami stopy, aby nie rosły, co przysparzało im mnóstwo cierpień i prowadziło do trwałego kalectwa. Ten okrutny zwyczaj utrzymywał się długo, gdyż małe stóпки kobiet (ideałem były "siedmiocentymetrowe złote lilie") były atrybutem nie tyle pięknego kształtu nogi, ile przynależności do uprzywilejowanej klasy społecznej. Przede wszystkim jednak ten irracjonalny zwyczaj miał na celu przywiązanie kobiet do domu i ograniczenie ich aktywności. Mimo wielu zakazów zwyczaj krępowania stóp utrzymywał się długo, został ostatecznie zlikwidowany dopiero po rewolucji w 1911 roku. Pewnego dnia w czasie spaceru Aleksander napotkał Chinę idącą drobnymi

krokami wraz ze służącą. Kobieta na widok Europejczyka wpierw próbowała ucieczki, a potem przyłgnęła twarzą do muru domu i przerażona czekała aż "zamorski diabeł" oddali się na bezpieczną odległość.

Odpoczynek ekspedycji w Ninguta trwał sześć dni, poczym ruszono w dalszą drogę, a celem było duże miasto Giryń (obecnie Jilin) leżące nad rzeką Sungari. Tam miała zostać założona główna baza budowniczych kolei.

5

Kolumnę ekspedycji sformowano w pobliżu klasztoru, gdzie mieściły się noclegi. Kiedy cała kawalkada ruszyła ulicami Ninguta żegnało ich tysiące Chińczyków biegnąc wzdłuż jadących wozów i eskorty. Aleksander nie jechał tym razem konno, ale siedział na koźle obok chińskiego furmana. Ten nagle zaczął coś szybko mówić, pokazywać na migi i szarpać za rękaw. Zezłoszczony Aleksander zrugął go po rosyjsku, ale oto w oddali zauważył jakiś kształt na drodze, a obok dwa psy i świnię. Były to nagie ciała ludzkie pozbawione głów, które leżały obok trupów. Konwój zatrzymał się, podróżnicy zeszli z wozów, aby popatrzeć na to makabryczne widowisko. Aleksander rozpoznał głowę tego nieszczęśnika, z którym rozmawiał w koszarach i pokazywał mu rewolwer. Okazało się, że to gubernator kazał ściąć i ułożyć na drodze tych hunchuzów, aby pokazać, że władza nie patyczkuje się z bandytami zagrażającymi budowie kolei w Mandżurii. Przed ścięciem głowy ciężkim mieczem skazańców hańbi się przez ucięcie warkoczyka, który każdy nosi, a potem ciała rzuca się na pożarcie psom i świniom, dla dodatkowej, pośmiertnej kary. Na chińskich woźnicach widok ten nie zrobił najmniejszego wrażenia, jeden z nich schwycił odciętą głowę i zaczęli grać nią niby w piłkę. Aleksander był zmuszony ponownie zrugać swego furmana, aby ten uwalany krwią skończył z tą straszliwą rozgrywką. Scenę tę uwiecznił na fotografii lekarz ekspedycji i dopiero wtedy kawalkada wozów potoczyła się gościńcem dalej. Warto przypomnieć, że te symboliczne warkoczyki (zwane przez Rosjan kosami) wprowadziła mandżurska dynastia Qing (1644-1911). Nowi władcy zażądali, aby wszyscy Chińczycy bez żadnych wyjątków ogolili sobie przód głowy i zapuścili warkocze na znak lojalności wobec Mandżurów. Musieli też nosić mandżurskie kurtki i nakrycia głowy ściśle określone specjalnym dekretem. Powstał nowy cech rzemieślników, którzy golili głowy i produkowali sztuczne warkocze, gdyż proces narastania naturalnych był bardzo wolny. Obowiązek noszenia warkoczyków zniosły dopiero władze rewolucyjne w roku 1911, ale Chińczycy, szczególnie z rodzin arystokratycznych, niechętnie pozbywali się tego atrybutu. Jego utrata z

czasem stała się bowiem symbolem utraty honoru i obywatelstwa, dlatego przed egzekucją kat w pierwszej kolejności obcinał warkoczyki, a potem dopiero głowy. Miał on zresztą pełne ręce krwawej roboty, gdyż w Ninguta było 500 egzekucji, a w Girynie ponad dwa tysiące w ciągu roku. Tam jednak dbano bardziej o higienę, gdyż ciała chowano w wielkim, ziemnym grobie na 100-200 zwłok zasypywanym po wypełnieniu. Jednak i tutaj na powierzchni zostawiono kilkanaście trupów na pożarcie przez psy.

Giryń (ówczesna oficjalna nazwa Kirin) zamieszkiwało pod koniec XIX wieku bliski 200 tysięcy ludzi (obecne Jilin ponad 2 miliony), w większości ludności Han, czyli etnicznych Chińczyków. Umożliwiła to migracja ludności po oddaniu Rosji południowej części Kraju Przymorskiego w latach 1858- 1860 na mocy traktatów z Aigun i Pekinu. Miasto leży nad rzeką Sungari, którą dwa lata wcześniej dołynął tutaj rosyjski parowiec "Telegraf" z przedstawicielem handlowym D. Bogdanowem udającym się do Bodune. Dotarł tam, ale dalszą podróż w celu podpisania umów handlowych uniemożliwił mu niski stan wody. Wycofano więc parowce z tej trasy. Brak jednolitej waluty w ówczesnych Chinach szalenie utrudniał zarówno wymianę handlową, jak i opłacanie siły roboczej przez budowniczych kolei. Pieniądze papierowe były w obiegu już w końcowym okresie dynastii Tang (618-907), jako dodatkowy środek płatniczy. Podstawowym były bowiem monety z brązu. Znacznie wcześniej, bo w II w p.n.e. cesarz Wudi z dynastii Han (206 p.n.e.-220) próbował bezskutecznie zapobiec kryzysowi walutowemu w sposób niezwykle pomysłowy, choć mało skuteczny. Hodował on mianowicie w parku cesarskim niezwykle rzadkie zwierzę-białego jelenia. Miało to być jedyne tego rodzaju zwierzę w całych Chinach. Kiedy jelen w końcu zdechł cesarz polecił pociąć jego skórę na kawałki wyceniając każdy na 400 tys. monet z miedzi. Lokalni władcy przybywający na dwór cesarski musieli je nabywać. Nazywano je "banknotami białego jelenia".

Po raz pierwszy pieniądz papierowy wprowadzono w roku 806 w miejsce monet miedzianych. Był to tzw. latający pieniądz (feiqian). Dzięki Marco Polo najwięcej informacji o pieniądzach papierowych mamy z czasów dynastii mongolskiej Juan (1279-1368). Mongołowie na początku swego panowania gwarantowali pokrycie emitowanych przez siebie banknotów w jedwabiu, później w srebrze. Kiedy jednak pokryciem miały być monety miedziane, pieniądz papierowy zaczął gwałtownie tracić na wartości i to było jednym z powodów upadku dynastii mongolskiej i wypędzenia Mongołów z Chin.



14. Banknot przywieziony przez Aleksandra z Chin

Monety istniały w Chinach już w bardzo odległych czasach. Pierwsze miały mieć kształt ryb, ale archeologom nie udało się ich odnaleźć. Najstarsze wykopane dotąd monety pochodzą z dynastii Zhou (1122-221 p.n.e.) i mają kształt miecza lub łopaty. W tym okresie zaczęto już używać monety okrągłe z otworem do nawleknięcia. Pierwsze brązowe monety zostały odlane w Chinach między XII i VIII wieku p.n.e. Monety-łopaty posiadały napis zawierający nazwę miejsca ich odlania. Po zjednoczeniu Chin wprowadzono jednolite monety o nazwie banliang (co oznacza jej wagę-pół lianga). Moneta była okrągła i miała kwadratowy otwór do nawleknięcia na sznury. A to dlatego, że przy większych transakcjach monet nie liczone, tylko ważono ich wiązki po 100 sztuk. Kolejne dynastie wprowadzały swoje monety, a ich datowanie jest trudne. Za panowania cesarza Xiao Wudi (372-396) pojawiła się pierwsza moneta z nazwą lat panowania i zwyczaj ten utrwalił się z czasem. W okresie dynastii mandzurskiej napisy były w dwóch językach: chiński na awersie określający erę panowania i mandzurski na rewersie informujący o miejscu emisji. Srebrne monety zaczęto bić w Kantonie dopiero po 1878 roku. Wzorowano się na monetach hiszpańskich (8 realów) i meksykańskich dolarach. Dlatego też ekspedycja budowniczych kolei wiozła z sobą pół tony takich dolarów. W czasie pobytu Aleksandra w Mandżurii pieniądź papierowy istniał tylko lokalnie i był emitowany przez kupców, którzy gwarantowali mu pokrycie w posiadanych na składzie towarach. Podstawową monetą był fan (liang), czyli kawałek srebra w kształcie pantofelka o wadze 37,3 grama. Największy jin=596,886 g i dzielił się na 16 liang=160qian. Dla wydania reszty trzeba było odrąbać kawałek srebra i zważyć go na wadze. W obiegu była też państwowa moneta mosiężna czoh (fen) o nominale 1000. Drobniejsze monety zwane daqian były miedziane lub mosiężne o nominatach: 2,4,5,10-20,50,500. Monety te miały niewielką wartość, za jednego

rubla rosyjskiego płacono 1000 czoh. Jedno jajko kosztowało 10 czoh, jeden chiński funt cukru trzcinowego 150 czoh, czyli 15 kopiejek.

Na początku września ekspedycja znalazła się, więc w Girynie, gdzie ulokował się wydział gospodarczy z naczelnikiem Weberem i jego personelem w skład którego wchodził Aleksander. Oprócz niego pracować u Webera mieli agenci: Marfow, Szcetowod i kilku innych. Pierwszym zadaniem było przygotowanie mieszkań dla całej ekipy na okres zimy.

Mandżuria zimą była całkowicie odcięta od Wielkiej Ziemi, jak nazywano Rosję. Kończyła się żegluga po Amurze i Sungari, droga lądowa przez góry i tajgę nie istniała, połączenie kolejowe otwarto dopiero w roku 1903.

Naczelnik Weber udał się z grupą pracowników 800 wiorst w górę Sungari w rejon nieprzebranych lasów, skąd miało być pozyskiwane drewno do budowy kolei.

Dla potrzeb mieszkalnych kolejarzy pozostających w Girynie Aleksander wynajął wielką fanzę, w której zamieszkali wszyscy agenci wraz z dziesięcioma żołnierzami rosyjskimi oraz kucharzem chińskim. Była też stajnia dla koni, gdyż agenci poruszali się niemal wyłącznie konno. Na pracę kucharza wszyscy zgodnie narzekali, gdyż gotował prawie wyłącznie zupy, nie potrafił też piec chleba, a jedynie praśne placki na patelni. Jedyną rozrywką kolejarzy była gra w karty i popijanie przywiezionej z Rosji gorzałki. Miejscowe trunki były dla nich zbyt słabe, z czasem więc zaczęli pędzić bimber.

Kiedy nadeszła wieść o egzekucji 13. bandytów na specjalnym placu Girynia z chęcią wybrali się w komplecie na to widowisko. Informacji dostarczył Kola, był to Chińczyk w randze kapitana, którego miejscowy generał-gubernator wyznaczył na oficera łącznikowego, gdyż przebywając we Władywostoku nauczył się języka rosyjskiego. Oczywiście Kolą ochrzcili go kolejarze nie mogąc wymówić jego chińskiego nazwiska.

Egzekucję wyznaczono na drugą po południu, udano się więc konno na przedmieścia, gdzie na dużym placu przeprowadzano egzekucje skazańców. Dał się wyczuć trupi odór, gdyż były tam ogromne doły, do których wrzucano nieraz i po 400 pozbawionych głów ciał. Ledwo co przysypane ziemią doły ujawniały swoją koszmarną zawartość. Tu i ówdzie sterczały ręce lub nogi, a także kawałki korpusów obgryzane przez psy. Wkoło było pełno obciętych warkoczyków i niedojedzonych przez psy części ciał ludzkich. Odór zwał z nóg, ale miejscowym to w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało. Cały Giryń cuchnął potwornie, gdyż nikt nigdy tam śmieci nie wywoził, wszelkie odpadki i padlina gniły na ulicach i jedynie czasami ulewny deszcz splukiwał te resztki do rzeki oczyszczając przy okazji zatęchłą atmosferę. Jednak nigdy do końca, są bowiem ulice, gdzie rzadka masa nieczystości prawie na jeden metr głęboka pozostaje nienaruszona, pełna śmieci i

odchodów ludzkich. Nie są tam znane ubikacje, Chińczyk idąc ulicą, kiedy poczuje potrzebę, kuca i wypróżnia się bezpośrednio na ulicy bez żadnego skrępowania. Otoczony przez doły pełne szczątków ludzkich rozciągał się duży plac niczym cyrkowa arena. Pośrodku stał wbity w ziemię drewniany pał o wysokości dwóch metrów. W tym miejscu ginęło każdego roku do dwóch tysięcy skazańców, głównie hunchuzów. Kiedy kolejarze dotarli na miejsce plac był jeszcze pusty, jedynie pośrodku widniało w jednym rzędzie 15 zakrzepłych kałuż krwi z poprzedniej egzekucji, która odbyła się tydzień temu.

Nagle u wylotu ulicy pojawiła się procesja egzekucyjna na czele, której maszerował liczący 200. żołnierzy oddział uzbrojonej w karabiny piechoty. Zawsze trzeba było bowiem istniała możliwość, że jakaś większa banda hunchuzów spróbuje odbić swoich kamratów. Dalej szedł oddział niosący wysokie na kilka metrów tyczki bambusowe z różno kolorowymi chorągwiemi w liczbie około stu. Za tym oddziałem jechało konno 10. trębaczy, którzy dęli w długie, poskręcane trąby każdy na inną nutę. Za trębaczami jechał konno miejscowy dostojnik nadzorujący egzekucję ubrany w czerwony płaszcz i takiż kaptur. Jego świta składała się z kilku oficerów, a za nią znowu oddział kawalerii w sile szwadronu. Potem na czterech dwukołowych wozach wieziono 13. skazańców zakutych w drewniane dyby z rękami mocno związanymi sznurem do tyłu. Pochód zamykał niewielki oddział piechoty w charakterze straży tylnej.

Piechota i kawaleria otoczyła szczelnie plac na, środku którego postawiono wozy z hunchuzami. Przyniesiono 13 wielkich mieczy, które spoczęły przy centralnym palu. Skazańców ustawiono na klęczkach w dwóch szeregach; w jednym 7. i w drugim 6., wszyscy nadal związani i zakuci w dyby. Na warkoczykach mieli związane białe wstążki, gdyż jest to kolor żałoby. Nie wyglądali na szczególnie przejętych, niektórzy nawet się uśmiechali i wymieniali jakieś uwagi. Wszyscy byli młodzi w przedziale wiekowym od 25-35 lat. Nosili widoczne ślady pobicia i złego traktowania po aresztowaniu.

Ubrany na czerwono generał odczytał dość krótki wyrok dla wszystkich skazanych poczym dwóch żołnierzy wzięło przygotowane miecze i zabrali się do ścinania głów nieszczęśników. Kiedy egzekutor podchodził do więźnia ten pokornie schylał głowę poddając ją pod ostrze ciężkiego miecza. Rozlegał się świst stali i prawie jednocześnie chrzęst przecinanych kręgów szyjnych i głowa spadała na ziemię. Z korpus tryskały strugi krwi, nie widać było żadnych konwulsji, ani drgawek z tego powodu, że zdekapitowani byli ściśle skrępowani. Po wykonaniu cięcia kat wydawał głośny okrzyk i odskakiwał w bok, aby nie zostać poplamiony tryskającymi z przeciętych arterii strumieniami krwi. Ta krew padała zwykle na klęczącego obok skazańca, który wszystko to spokojnie obserwował do momentu,

aż jego nie spadła w piach. Wystarczyło 20 minut i było po egzekucji, kaci mieli wielką wprawę, gdyż wykonywali ich wiele każdego miesiąca. W trakcie tej egzekucji nie było co prawda doktora wyprawy z aparatem fotograficznym, ale Kola świetnie rysował i po powrocie na kwaterę zrobił w notatniku Aleksandra kolorowy rysunek z tego wydarzenia.



15. Egzekucja huczuzów w Girynie-rys. z notatnika Aleksandra

Wszyscy kolejarze mieli już dość tego krwawego spektaklu i udali się konno do miasta, ale Aleksander, jak rasowy reporter, zapragnął zobaczyć co stanie po egzekucji. Trębacze unieśli swoje instrumenty i głośno w nie zadęli, poczym wojsko i cały orszak odjechał z miejsca kaźni.

Na placu pojawił się kilkunastu najemnych tubylców, których zadaniem było uporządkowanie placu i zakopanie zwłok. Wpierw przyniesiono 13 drewnianych klatek i do każdej z nich włożono po jednej ściętej głowie. Zostaną one wystawione przy drogach, jako ostrzeżenie dla potencjalnych bandytów. Jakbyśmy dzisiaj powiedzieli w celu prewencji ogólnej. Kolejni "sprzątacze" zaczęli rąbać siekierami drewniane dyby założone na nogach trupów. Robili to z takim pośpiechem, że nierzadko trafiali w nogi, z których jeszcze sączyła się krew z nie ostygłego ciała. Potem rozwiązano pęta krępujące ręce nieboszczyków, które pozostawiły głębokie, sine ślady świadczące o wielkiej sile tych więzów. Trupy zostały odarte ze swoich łachmanów do naga, a jeden z Chińczyków zrobił z nich duży tobół i wyniósł go z placu przy pomocy swego kolegi w im tylko znanym celu. Nagie ciała

skazańców zostały teraz zawleczone za nogi do bardzo płytkiej jamy, gdzie trzeba je było udeptywać nogami, aby się jakoś pomieściły. Niezbyt się to "sprzątacjom" udało, ale szybko przysypali stygnące zwłoki cienką warstwą ziemi i oddalili się w kierunku miasta.

Tymczasem watahy bezpańskich psów już lizały kałuże krwi przelanej na placu, a kiedy ostatni Chińczyk opuścił plac, rzuciły się rozgrzebywać świeżo zasypane zwłoki i je rozszarpywać. Aleksander był w tym strasznym miejscu zupełnie sam przepełniony zgrozą i smutkiem. Oczy wypełniły mu się łzami, pomodlił się za dusze tych nieszczęśników, z których pewnie nie jeden został stracony zupełnie niewinnie, co się zdarzało dosyć często przy udziale skorumpowanych sądów i funkcjonariuszy bezpieczeństwa.

Aleksander dosiadł konia i ze ściśniętym sercem pogalopował do kwater zarządu gospodarczego. Po przyjeździe do fanzy wyjął swój dzienniczek i zaczął opisywać niedawno oglądane, pełne makabry sceny z egzekucji w Girynie.

Pod koniec listopada nastąpił podział grupy mieszkającej w Girynie, gdyż część musiała udać się w rejony leśne nad rzeką Sungari, aby ocenić zasoby drewna i jego przydatność do celów budowy kolei. Do tej grupy weszli: jeden starszy agent i dwóch dziesiętników tj. technicy Ostrowski i Gniewiński. Ten ostatni należał do najstarszych uczestników budowy, gdyż liczył już ponad 60 lat i wcześniej pracował, jako dozorca torowy w Królestwie Polskim. Oprócz nich w drogę wyruszyli: doktor, trzech młodszych dziesiętników, kilku robotników rosyjskich oraz dziesięciu żołnierzy eskorty. Takie grupy budowniczych krążyły w rejonie budowy szukając pokładów węgla, kamienia i innych surowców potrzebnych do budowy i późniejszego funkcjonowania trakcji kolejowej. Geologowie wyprawy odkryli także złoża rudy żelaza, siarki, złota oraz srebra.

Rząd chiński jak mógł, tak utrudniał eksploatację tych złóż mimo podpisanych wcześniej umów i traktatów. Główną przeszkodą był mandżurski generał-gubernator zwany Dziun-dziunem, który sprawował na swoim terenie władzę prawie absolutną. Na noty dyplomatyczne cesarz rezydujący w Pekinie odpowiadał, że on zgadza się na rąbanie lasów i wydobywanie innych surowców, ale konieczna jest zgoda także jego namiestnika, czyli wspomnianego Dziun-dziuna. I tak koło się zamykało, gdyż skorumpowany gubernator domagał się absurdalnie wielkich łapówek za swoją łaskawą zgodę. Niejednokrotnie trzeba było przerywać wyrąb drewna i opuszczać wybudowane zaplecze dla robotników leśnych.

Po dwóch miesiącach grupa ta wróciła do Girynia po, ale bez doktora i technika Gniewińskiego. Wieczorem Ostrowski opowiedział Aleksandrowi o strasznej przygodzie, która ich spotkała w tej dziewiczej puszczy, gdzie roiło się od

drapieżników tj. niedźwiedzi i panter zwanych irbisami. Te ostatnie nie są groźne dla ludzi w przeciwieństwie do niedźwiedzi brunatnych. Pewnego dnia do puszczy udało się dwóch żołnierzy, aby nakosić trawy dla koni. Puszcza to była dziewicza, nietknięta piłą czy siekierą, pełna majestatycznych cedrów, świerków, drzew orzechowych czy jodeł. Niektóre z drzew były takiej średnicy, że czterech ludzi wzięwszy się za ręce, nie było ich w stanie objąć. Dwaj żołdaci maszerowali przez puszcę z kosami na ramionach lekkomyślnie pozostawiając karabiny w obozie. Wtem na swej drodze napotkali ogromne drzewo zwalone w poprzek przez burzę. Kiedy pierwszy z żołnierzy wspiął się na ogromny pień i zsunął się po drugiej stronie rzucił się na niego z rykiem ogromny niedźwiedź, który być może miał tam pod tą kłodą swoją gawrę. Ofiara krzyczała głośno nakryta ciałem bestii, a jego towarzysz w panice rzucił się do ucieczki. Po chwili jednak oprzytomniał i wrócił ratować swego kolegę, choć jedyną bronią, jaką dysponował była kosa. Ujrzał nieszczęśnika nieprzytomnego na ziemi całego we krwi, niedźwiedź nadal pastwił się nad nim szarpiąc przednimi łapami. Żołnierz zamachnął się i uderzył bestię kosą przypadkowo trafiając go w nos. Zwierz ryknął z bólu i rzucił się do ucieczki. Trzonek kosy pękł od uderzenia i tylko łut szczęścia uratował żołnierza od losu jego towarzysza. Ten zaś żył jeszcze, ale był w okropnym stanie. Głowa była całkowicie oskalpowana, nos zmiażdżony, oczy wypłynęły z oczodołów, dolna szczęka pogruchozana. Krótko mówiąc głowa była już tylko bezkształtną masą. Ręce, którymi zasłaniał się żołnierz była straszliwie pokaleczone, prawe biodro rozerwane do kości. Jego towarzysz wziął go na plecy i biegiem ruszył w kierunku obozu oddalonego o 2 kilometry.

Obecny tam doktor opatrzył te straszliwe rany, ale niewiele to dało. Żołnierz skonał nad ranem nie odzyskując przytomności.

Przygnębienie ogarnęło garstkę budowniczych rzuconych tysiące kilometrów od domów wśród dziewiczej puszczy pełnej dzikich zwierząt i bandytów. Zbita z desek prosta trumna na której węglem wyrysowano prawosławny krzyż została wyniesiona z chatki i spoczęła niedaleko w wykopanym dole. Pochowano młodego żołnierza bez żadnych ceremonii, obecni zmówili tylko ciche modlitwy za jego duszę, a rodzina i krewni dowiedzieli się o jego śmierci po wielu tygodniach. Miał on rodziców, brata i dwie siostry. Na mogile postawiono zbitą z trzech kawałków drewna krzyż.

Jakby mało było nieszczęść tego samego dnia na tyfus brzuszny zachorował Polak Gniewiński. Jednocześnie przybywa goniec, (chiński żołnierz) od naczelnika Webera wzywający grupę do powrotu do Giryń, a tu chory ma 40 stopni gorączki i nie nadaje się wielodniowej podróży. Musiał zatem pozostać pod opieką doktora i z kilkoma żołnierzami w obozie do czasu, aż wyzdrowieje lub umrze. Jak się

później dowiedział Aleksander Gniewiński wyzdrowiał, ale nie zniósł trudów podróży i zmarł na serce. Do Warszawy, gdzie została żona z pięciorgiem dzieci nigdy już nie powrócił.

Wśród kolejarzy zapanowało przygnębienie, niejeden myślał o zerwaniu kontraktu i powrocie do domu. Nie jest bowiem łatwo umierać w obcym kraju, z daleka od rodziny, cerkwi czy kościoła. Jednak wszystkich mocno trzymały pieniądze, po to tu przyjechali i nie mogliby wracać do kraju z pustymi rękami.

Tymczasem w Girynie szykowała się kolejna masowa egzekucja hunchuzów, a swoistym urozmaiceniem miała być śmierć kobiety, morderczyni swego męża. Była to już ósma egzekucja, której świadkiem miał być Aleksander. Po południu udał się z kilkoma kolegami na plac kaźni, gdzie krew nigdy nie wysychała, gdyż codziennie ścinano od 15 do 30 bandytów. Na ten grudniowy dzień do egzekucji przygotowano 40 hunchuzów oraz jedną kobietę. Ceremonia i orszak poprzedzający egzekucję były podobne do tych już opisanych.



16. Pochód w drodze na miejsce egzekucji (karta pocztowa z epoki)

Dały się słyszeć przeraźliwe dźwięki długich trąb, przemaszerował orszak naszelnika, a za nim jechało 13 wozów z powiązаными i zakutymi w dyby skazańcami. Na 14. wozie jechała kobieta skazaną na okrutną śmierć w torturach.

Aleksander zapragnął przyrzeć z bliska skazańcom, więc nieco wcześniej podjechał konno do kawalkady wozów razem z chińskim tłumaczem. Cała ta procesja z silną eskortą wojskową rozciągała się na długości ponad kilometra.

Na twarzach skazańców malował się smutek, ale też obojętność na czekający ich los. Niektórzy żywo rozmawiali między sobą lub z żołnierzami. Ich twarze były strasznie umorusane i zarośnięte, a do warkoczyków mieli przymocowane białe tabliczki z nazwiskiem i miejscem pochodzenia. Ale uwaga skazanych skupiła się na Aleksandrze, dziwnie ubranym Rosjaninie, który tak bardzo się nimi interesował. Rozległy się okrzyki "Rus, Rus, szango", co oznaczało dzielnego Rosjanina. Ubiór i uzbrojenie Aleksandra były komentowane, gdyż niektórzy Chińczycy nigdy nie widzieli białego człowieka.

Wśród skazańców był starzec 70. letni i wyrostek 14. letni, prawie dziecko. Reszta to mężczyźni młodzi i silni. Jeden z nich zaczął wołać do Aleksandra, więc ten podjechał z tłumaczem zaintrygowany jego zachowaniem. Był to Chińczyk młody w wieku ok. 25 lat i nawet dość przystojny. Powiedział, że widział Aleksandra dwa tygodnie wcześniej nad rzeką Sungari, natomiast on sam znajdował się na rzece kierując barką, która weszła na mieliznę. W tym czasie wojsko prowadziło obławę na hunchuzów i kilku z nich uciekając rzuciło się do rzeki, dopłynęli do barki i w niej się ukryli. Żołnierze mieli jednak łodzie, dopłynęli do barki i ostrzelali ją wzywając bandytów do poddania się. Hunchuzi nie mając wyjścia poddali się, ale wskazali na kierującego barką, jako swego współnika i nieszczęśnik ten został także aresztowany i skazany na śmierć. Nie pomogły tłumaczenia i teraz niewinny człowiek miał stracić głowę. Aleksander potwierdził opowieść Chińczyka, gdyż faktycznie był tego dnia nad Sungari i przyjmował ładunek drewna spławianego rzeką na potrzeby budowy kolei. Widział obławę i słyszał strzały oraz abordaż wojska na barkę. Wydawało mu się nawet, że rozpoznaje tego Chińczyka, który żalił mu się na swój los. Nic jednak nie mógł uczynić, los nieszczęśnika fałszywie pomówionego przez hunchuzów był przesądzony.

Wszystkich skazańców zdjęto z wozów i ustawiono w czterech rzędach w pozycji klęczącej. Kat zabrał się natychmiast do roboty i co kilka sekund spadała kolejna głowa, a bezwładny tułów walił się z łoskotem na ziemię z fontanną krwi tryskającej z szyi. Ścięcie czterech dziesiątków bandytów nie zajęło katowi nawet kwadransa, a na koniec przyprowadzono jedyną kobietę-skazańca. Była to młoda, ładna dziewczyna w wieku nie więcej, aniżeli 25 lat ubrana w tradycyjny chiński strój tj. szerokie szarawary i niebieski kaftan. Wydawało się, że jest zupełnie spokojna, nie płakała i nie wrywała się swoim oprawcom, była jak gdyby oszołomiona całym tym krwawym spektaklem, któremu się przecież przyglądała. Ręce miała związane, ale na nogi nie założono jej drewnianych dybów. Po

uprzątnięciu placu po wcześniejszej egzekucji oficer dowodzący dał znak katowi, aby ten zabrał się za ostatnią ofiarę zgodnie z wyrokiem sądu. A wyrok ten opiewał nie tylko na ścięcie, ale też na wcześniejsze tortury, aby ich widok stanowił ostrzeżenie dla innych niewiernych kobiet.

Dwóch pomocników kata zdjęło skazaną z wozu i doprowadziło do pala. Szła wolno, ale nie stawiała oporu, wydawała się być pogodzona z losem. Siadła przy dębowym palu, poczym kat przywiązał jej głowę przy pomocy własnego warkocza. Wówczas kat zdarł z niej ubranie i przy tej czynności kobieta zaczęła płakać i lamentować. Po przywiązaniu rąk do pala kat zaczął powoli odcinać jej prawe ucho. Skazana krzyczała przeraźliwie, Aleksander zawahał się przed opuszczeniem tego straszego widowiska, ale zdecydował się do końca obserwować i opisać światu barbarzyńskie zwyczaje Chińczyków.

Potem kat odciął jej drugie ucho i wyłupił oko. Kobieta wyła z bólu, a w miejscach, gdzie były oczy pozostały dwie krwawe jamy. Teraz kat odcinał jej obie ręce do łokci, nieszczęsna krzyczała jeszcze, ale już coraz słabszym głosem. Odcięte kończyny oprawca rzucał na plac na pożarcie psom. Przyszła wreszcie kolej na piersi kobiety i cały korpus spłynął krwią. Na koniec kat rozpruł od góry brzuch i wnętrzności wypłynęły parując na ziemię. Mimo, że kobieta już była martwa, pomocnicy kata zawiązali jej sznur na szyi i metodą garoty zaczęli go skręcać przez kilka minut. Wreszcie odwiązali bezkształtny, krwawy tułów od pala i wrzucili do płytkiej jamy ledwo przysypując ziemią, aby psy niezbyt się natrudziły nad odgrzebaniem i pożarciem ciała kobiety.

Nie upłynęła nawet jedna godzina, a to upiorne widowisko było skończone, 41 ofiar wyzionęło ducha, plac śmierci opustoszał. Aleksander dalej jednak drążył temat, chciał się przy pomocy tłumacza dowiedzieć, co stało się ze ściętymi głowami. Otóż są one umieszczane w specjalnych kłatach i wywieszane na rogatkach miasta ku przestrodze. Jednak to tylko kilka ściętych głów, a gdzie podziała się reszta? Nasz kronikarz spiął konia i popędził za miasto, gdzie na wysokich drzewach dostrzegł kilka kłatek z głowami w różnym stopniu rozkładu. Obok na polu leżały setki, jeśli nie tysiące ściętych głów obgryzanych przez watahę zdziczałych psów. Wszystkie były pozbawione warkoczków, które są w Chinach przedmiotem handlu, a nawet wywozi je się za granicę. Głowy skazańców są też często zabierane przez okolicznych mieszkańców, którzy gotują je w wielkich kotłach, aby zebrać tłuszcz. Służy on potem do wyrobu różnych maści i pomad, słynie bowiem z delikatności. Z ciężkich sercem opuścił Aleksander to przerażające pole, gdzie obok gnijących i ogryzanych przez psy i ptaki głów białaty setki białych już czaszek. Pojechał na swoją kwaterę i resztę dnia stracił całkowicie apetyt.

Na miejscu zastał miejscowego bogatego Chińczyka, który każdemu kolejarzowi wręczał czerwone kawałki papieru wypełnione chińskim pismem. Były to zaproszenia na uroczysty obiad wydawany następnego dnia przez tego dostojnika, który był szefem największego w mieście banku. Jako, że Chińczycy nie znali pióra, ani atramentu zaproszenia owe wypisywali trzymając z jednym ręką skamieniały tusz, który nawilżali śliną, a następnie małym pędzelkiem wypisywali swoje hieroglify na papierze o strukturze bibułki.



Prawie wszyscy zatem odświętnie ubrani udali się na godzinę drugą po południu do domu bankiera Chan-szen-lina. Sześciu kolejarzy maszerowało do okazałego domu bankiera przez trzy ozdobne bramy, a przy ostatniej oczekiwał na delegację gospodarz wraz kilkoma Chińczykami, także zaproszonymi na obiad. Byli to bogaci kupcy i lokalni dygnitarze strojnie ubrani w tradycyjne, chińskie szaty z naszytymi kwadratami na piersiach i na plecach, na których widniały jakieś napisy.

Wewnątrz obszernej izby oczekiwało jeszcze dziesięciu Chińczyków, niższej rangi i pozycji społecznej. Nastąpiła dość długa ceremonia powitania, gdyż ceremonia ten odprawiano po chińsku i na modłę europejską. Ścisnięcie dłoni bardzo bawiło tubylców, gdyż obyczaj ten był dla nich nieznanym. Oni sami na powitanie przyklękają na jedno kolano, prawą dłoń opierają o ziemię składając głęboki ukłon przed gościem. Nie było żadnej kobiety, gdyż nie są one dopuszczane do stołu niezależnie od tego, czy goście to Europejczycy, czy też miejscowi.

Uczta odbywała się w wielkim pomieszczeniu oświetlonym dziesięcioma jedwabnymi, bogato haftowanymi lampionami. Właściwie były to wielkie latarnie pałacowe z wiszącymi jedwabnymi frędzlami podwieszane do belek sufitowych. Wzdłuż ściany stały hany, czyli miejsca do siedzenia i spania będące w istocie piecami, do których doprowadzano ciepłe powietrze z palenisk. Nakryte dywanami i matami służyły do także do spożywania posiłków, dla których rozstawiano małe

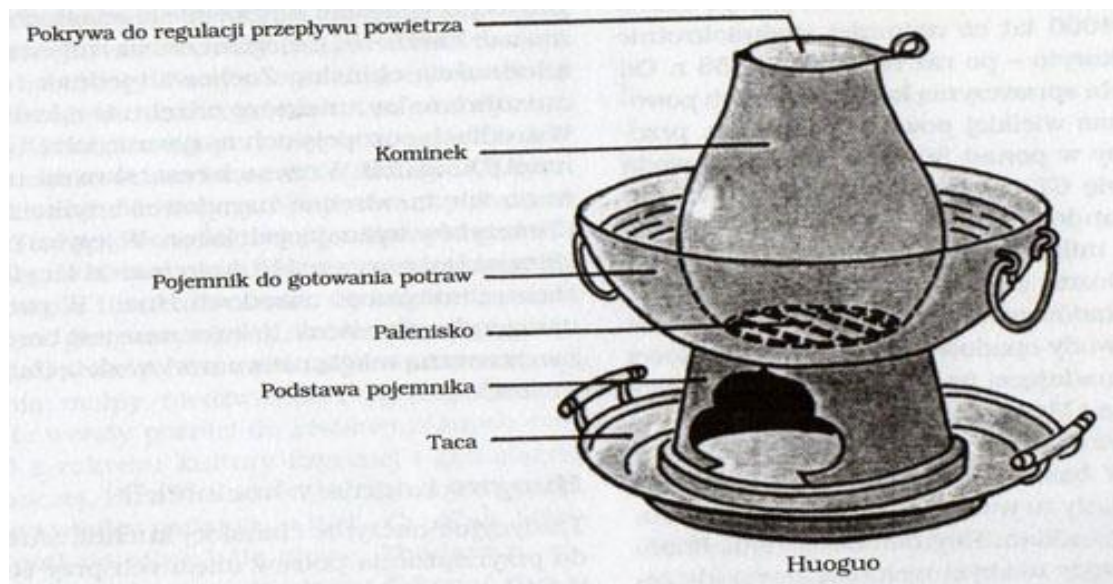
stoliki z pałeczkami do jedzenia oraz maleńkie porcelanowe miseczki na lokalną wódkę ryżową suli.. Siadać należało do tych stoliczków w pozycji lotosu, czyli ze skrzyżowanymi nogami, co nie wszystkim Rosjanom się udawało. Dłuższe przebywanie w tak niewygodnej pozycji przyprawiało Europejczyków o bóle kręgosłupa.

Na początek obiadu podano słodczyce w postaci karmelków, owoców kandyzowanych i ową wódkę, czy raczej likier, gdyż była słodka. To rodzaj oficjalnego trunku do podejmowania szczególnie ważnych gości, rodzaj likierów zwanych *baijiu*. Są one destylatem sfermentowanych ziaren sorgo – odmiany zboża powszechnie uprawianego w ciepłych rejonach Azji.

Na koniec tych słodczych podano rodzaj ciasta, drobno pokrojonego, aby łatwiej można było złapać je pałeczkami, ale nie smakowało ono gościom z Rosji. Wreszcie podano przystawki morskie, czyli kraby, ślimaki i wodorosty z sosem sojowym. Potem podano dania mięsne, czyli wołowinę, kaczkę i kurczaki, także drobno pokrojone i pozbawione kości. Zabawne było patrzeć, jak kolejarze męczą się z tymi potrawami usiłując korzystać z kościanych pałeczek, gdyż noży i widelców oczywiście nie podano. pałeczek opanować nie zdołali, jedzenie lądowało na stole lub na spodniach i kamizelkach. Próbowali zatem jeść palcami, ale dania były gorące, więc tylko sobie palce poparzyli. W końcu wzięli się na sposób i brali pokarmy z miseczek do ust popychając je pałeczkami.

Ilość podawanych dań była ogromna, Aleksander zanotował po powrocie, że naliczył ich aż 46! Najważniejszym jednak daniem był tzw. mongolski kociołek (zwany też mandżurskim), polegała na gotowaniu na stole różnych rodzajów mięsa i warzyw, na koniec powstały rosół wypija się jako zupę. Skrupulatny nasz kronikarz przy pomocy tłumacza odnotował nawet nazwę tego niezwykłego dania, która brzmiała *szan-jua-xe*. Niestety po upływie ponad 115 lat nawet rodowici kucharze chińscy nie byli w stanie tego przetłumaczyć, a jedynie z opisu przyrządzania tego kociołka wywnioskowali jego nazwę. Potrawa ta znana jest dobrze w czasach współczesnych, istnieje też wiele przepisów na jej przyrządzanie. Konieczne jest specjalne naczynie z podgrzewaczem. Na ucztach u bankiera zastosowano cztery miseczki napełnione płonącym spirytusem do podgrzewania naczynia nazwanego przez Aleksandra "rodzajem samowara".

Z pewnością był to "ognisty kociołek" widoczny na tym rysunku, jego nazwę podano w języku mandżurskim, po chińsku natomiast jest to *huoguo*.



17. Kociołek chiński - huoguo

Zapytać można, a gdzie w tych licznych daniach ryż-podstawa kuchni azjatyckiej? Otóż gotowany ryż podano na końcu, jako danie osobne i finalne.

Z okazji podejmowania rzadkich gości podano też szampana.

Nastał czas pożegnania, wszyscy żegnali się na modłę lokalną, czyli wykonując szereg głębokich ukłonów. Jeden starszy agent Karpow był człowiekiem o znacznej tuszy i to jemu przydarzył się zabawny incydent, który rozbawił kolejarzy. Otóż przy kolejnym ukłonie biedak puścił z łoskotem gazy, czym skofundował się okrutnie i szybko wybiegł na podwórze nie czekając na resztę kompanii.

Trzeba było jednak przystąpić do pracy, więc 4 grudnia naczelnik Weber wyznaczył grupę kolejarzy do skontrolowania chińskich podwykonawców kolei, którzy zajmowali się wyrębem puszczy. Na czele kontrolerów stanął znany nam już starszy agent Karpow, w jej skład weszli, oprócz Aleksandra, także dwóch dziesiętników, felczer oraz dziesięciu rosyjskich i pięciu chińskich żołnierzy dla ochrony. Wiemy już, że każdy kolejarz był uzbrojony w sześciostrzałowy rewolwer oraz dubeltówkę lub sztucer z pokaźnym zapasem amunicji. Wszyscy poruszali się konno, gdyż w rejonie wyrębu nie było żadnych dróg, za to roiło się tam od hunchuzów. Była to dziewicza puszcza w trudnym, górskim terenie w prowincji zarządzanej samowładnie przez chana Mandżurii i Pekin nie miał tam nic do powiedzenia. Pamiętajmy, że w latach 1644-1911 panowała w Chinach mandżurska dynastia Cingów (Qing), która obaliła dynastię Ming. Kraj podzielono na 18 prowincji na czele których stał gubernator (*xunfu*) lub cesarski wicekról

(*zongdu*). Taki wicekról pochodzący z panującego rodu Manchu (zwany przez Akeksandra fonetycznie Dziun-Dziunem) stał na czele Mandżurii w opisywanym okresie, a centralistyczne państwo chińskie było w tym czasie w fazie rozkładu i nie było w stanie zapanować nad odległymi prowincjami. Mniejszej rangi lokalnych zarządców Rosjanie określali jako "*chan*", a ich okręgi, jako "*chaństwo*".

Gubernator prowincji miał swoją armię, choć w przypadku agresji zewnętrznej mógł liczyć na pomoc armii cesarskiej.

Podróżni przedzierali się przez dzikie ostępy leśne wąskimi ścieżkami wydeptanymi przez zwierzynę, a przejazd utrudniały góry i wartkie potoki górskie. Trwającą tydzień podróż ułatwiały dzielne, chińskie konie, które odważnie pokonywały strome granie i wezbrane rzeki. Oto wąska ścieżka w skale nad głęboką na kilkaset metrów przepaścią, a koniki idą gęsiego, wolno, uważnie patrząc pod kopyta, gdyż jeden fałszywy krok groził upadkiem i śmiercią człowieka i zwierzęcia. Wokół roilo się od dzikiej zwierzyny, był naturalnie król puszczy tygrys, którego ryki były słyszane w nocy, nie brakowało wielkich niedźwiedzi, jeleni czy łosi. Była wielka ilość saren i dzików, więc z upolowaniem czegoś na wyborny posiłek nie było problemów. Najczęściej strzelano do dzikich bażantów i jarząbków, których były całe chmary o, o dziwo, nie płoszyły się na odgłos strzałów.

Z noclegami bywało różnie. Czasami wędrownicy trafiali na opuszczoną w górach fanzę i wtedy nocleg był w miarę wygodny i bezpieczny pod czujnym okiem wartowników. Z wyjściem za potrzebą trzeba było jednak być ostrożnym, gdyż za drzwiami fanzy często zaczynała się przepaść po kilku krokach.

Czasami musiała wystarczyć polana leśna, innym razem trzeba było karczować kawałek lasu, aby można było przenocować. Trafiano też na zamieszkałe fanzy, głównie przez myśliwych polujących dla chana. Wnętrze takiej chaty było czarne od sadzy i brudu i zasnuite dymem z paleniska. Żołnierze mieli własny prowiant i sobie w takich fanzach przygotowywali posiłki. Korzystano też z poczęstunku myśliwych, który polowali głównie dla skór. Lokalni mieszkańcy uprawiali też na małych poletkach wydartych puszczy czumizę (*roślina zbożowa i pastewna z rodzaju włośnica z rej. pld.-wsch. Azji*) i koulan (gryka japońska), który smakiem przypomina kukurydzę.

Ósmego dnia ekspedycja wjechała w szeroką dolinę otoczoną z obu stron przez wysokie, skaliste góry. Była to Złota Dolina (*Czy-che-tu*) o długości ponad 50 km ma końcu której znajduje się wioska Diau-pi-kon. To tam każdego dnia pięć tysięcy Chińczyków pracując w niezwykle prymitywnych kopalniach wydobywa złoto dla wicekróla Mandżurii. Marnie odżywieni ludzie pracują ciężko, wielu z nich ginie w licznych tutaj wypadkach górniczych i to wszystko za 3 dian na tydzień, czyli 1,50 rubla. Jeśli w katastrofie zginie pod ziemią setka tych niewolników, to nikt nie

trudzi się nawet ich odkopywaniem. Urzędnicy chana odnotują ten ubytek w dokumentacji, aby nie naliczać już dla tych ludzi wynagrodzenia i wyżywienia. Zimą prace ustają, ale i tak kilkuset Chińczyków wydobywa cenny kruszec na własną rękę narażając się na śmierć z rąk żołnierzy chana lub hunchuzów.

Jazda przez Złotą Dolinę trwała półtora dnia, aż w końcu kolejarze dotarli do wspomnianej już wioski stanowiącej centrum administracyjne doliny. To zbyt szumna nazwa dla wioski składającej się z trzech fanz i zajazdu. W fanzach mieszka zarząd kopalni, a w zajazdzie mieli zatrzymać się i odpocząć przez dwa dni kolejarze przed udaniem w dalszą podróż. Na widok ekspedycji zewsząd zbiegli się Chińczycy, gdyż większość z nich nigdy nie miała okazji zobaczyć białego człowieka. Sam oberża niesamowicie brudna i zapuszczona, ale zawsze był to dach nad głową, a nie środek dziczy. Czy jednak nasi podróżnicy byli tam zupełnie bezpieczni? Po odpoczynku mieli udać się do pierwszej poręby położonej blisko 30 km od obecnego miejsca zakwaterowania, ale znowu trudną drogą przez góry do rzeki o nazwie Erde-dzian. W dodatku rejon ten był znany ze stałych obozów bandytów, którzy tam zimowali. Tam też mieściła się kwatera główna ich wodza zwanego królem hunchuzów. Od swego tłumacza, który niezbyt nadawał się do pełnienia tej funkcji, gdyż mówił po rosyjsku słabo, kolejarze dowiedzieli się, iż hunchuzi są bardzo blisko, być już w samej wsi. Bywali tam często ściągając haracz od nielegalnych kopaczy złota. Noc w oberży była zatem dość niespokojna, Aleksander zasnął dopiero nad ranem. Cały czas ich pokojów pilnowali uzbrojeni wartownicy zmieniający się co dwie godziny. Następnego dnia kolacja była o 10.00 i zaraz potem wszyscy poszli spać, gdyż wczesnym rankiem trzeba było ruszać na inspekcję. Na półpiętrze czuwał Kozak z karabinem gotowym do strzału, gdyż na chińskich żołnierzach nie można było w pełni polegać. Aleksander położył się na pryczy w spodniach i kamizelce, pod poduszką miał colta, a przy boku nabity sztucer. Słyszał gwar rozmów z dołu, gdzie Chińczycy palili do późna opium zgromadzeniu w kręgu wokół specjalnej lampki. Po pół godzinie oszołomieni zasypiają, ale potem znowu budzą się i zaczynają palić opium od nowa. Tam nawet dzieci palą fajki z tytoniem zastępując je potem długimi fajkami do opium. Do izby, w której spali kolejarze wdzierła się więc fala dymu tytoniowego i opiumowego, a także dymu z paleniska tak, że nie było czym oddychać. Po godzinie Aleksander wstał, zatknął za pas colta i poszedł zaczerpnąć świeżego powietrza na zewnątrz. Noc była chłodna, niebo pełne gwiazd, księżyc był w pełni, więc ciemność nie była rozjaśniania jedynie mdłym światłem sączącym się przez brudne okno fanzy. Po chwili zauważył więc Aleksander Chińczyka, który podszedł do niego od strony oberży i zaczął coś szybko mówić. "*Rus lang jin*" powtarzał wkoło i pokazywał na trzymane w jutowym woreczku samorodki złota. Były sporej wielkości, ważyły

łącznie prawie 5 kg i Chińczyk wyraźnie chciał się ich pozbyć. Po krótkim wahaniu Aleksander wrócił do izby i wyniósł z niej mieszek zawierający około 50 srebrnych dolarów meksykańskich. Ku jego zdumieniu Chińczyk przystał na taką dziwną transakcję obawiając się pewnie, że schwytany z samorodkami zostanie oskarżony o nielegalne wydobywanie złota i stracony na miejscu przez wojsko chana.

Pamiętajmy, że samorodki to prawie czyste złoto zawierające od 83 do 92% tego metalu z niewielką domieszką srebra i miedzi. Srebrne dolary bite w Meksyku była walutą rozliczeniową między stroną chińską, a budowniczymi kolei. Aleksander zamierzał ten ubytek rozliczyć później w rublach, ale wskutek gwałtownej zmiany sytuacji w Mandżurii taka potrzeba nie zaszła. Złoto natomiast posłużyło po ponad 20. latach do budowy kamienicy w Gdyni.

Po powrocie do izby złoto zostało schowane w jukach, gdyż podróżni zabierali siodła z sobą, aby nie padły ofiarą kradzieży.

Nagle na dole zajazdu zrobiło się zamieszanie, do środka wtargnęła grupa uzbrojonych ludzi, ale ich stroje to były zwykłe łachmany. Zatem czyżby to byli zapowiadani wcześniej hunchuzi? Wartownik niezwłocznie obudził swoich kamratów, chińscy żołnierze natomiast gdzieś zniknęli. Przybyszów było dziesięciu, zażądali jedzenia i picia i natychmiast zaczęli nabijać swoją broń. Były to fuzje starego typu, a właściwie strzelby kapiszonowe ładowane odprzodowo. Kapiszon umieszczano na tzw. kominku, który odprowadzał płomień do ładunku prochowego w lufie, a ten nadawał pęd kuli lub śrutowi. Niektórzy mieli jeszcze muszkiety z długimi lufami i krótkimi kolbami, gdzie lont zwisał obok cyngla. Zamki lontowe w XIX wieku były stosowane wyłącznie w Azji i tylko tam montowano je także w pistoletach. Każdy z nędznie ubranych przybyszów miał na piersiach płócienny woreczek, z którego wyjmował zawinięty w papier proch i ołowiane kule. Rozmawiali, a właściwie kłócili się ze sobą bardzo hałaśliwie, więc o spaniu nie było już mowy. Wszyscy pośpiesznie ubrali się i przygotowali posiadaną broń do użytku w razie potrzeby. Tłumacz ekipy został wysłany na dół zajazdu, aby zorientować się w sytuacji. A ta okazała się być niezwykle skomplikowana i groźna dla życia Rosjan. Trzeba było podjąć szybką decyzję o powrocie do głównej bazy w Girynie. W prowincji wybuchł bowiem bunt.

Obszarpańcy uzbrojeni w przestarzałą broń, okazali się być żołnierzami chana. Na terenach słabo zaludnionej wówczas Mandżurii można się było osiedlać i po wykarczowaniu lasu uprawiać zboża i hodować kozy, owce czy świnie. Osadnicy także polowali na dziką zwierzynę, a w razie potrzeby na wezwanie chana mogli być jego dodatkową siłą zbrojną. Tymczasem wicekról Mandżurii otrzymał z Pekinu polecenie opodatkowania tych osadników, a chan wysłał poborców wraz ze zbrojną eskortą. Osadnicy gremialnie odmówili płacenia podatków, gdyż wcześniej

obiecivano im, że będą od nich zwolnieni przez pierwsze 10 lat od przybycia na te tereny. Pełnomocnik chana Szaj-Che nie zamierzał jednak rezygnować i zabierał opornym bydło, konie, zapasy zboża. Ich samych wojsko bezlitośnie mordowało. Była to jednak tylko kompania nędznie uzbrojonych i słabo zmotywowanych żołnierzy, a bunt rozszerzał się z prędkością ognia w suchym lesie. Osadnicy zorganizowali się wybrali swego przywódcę i uderzyli na wojsko i poborców zabijając w pierwszej potyczce 13. żołnierzy i poborców.

Obcięto im głowy i za warkoczyki powieszono na przydrożnych drzewach, a ciała wrzucono do częściowo zamarznętej rzeki Erde-dzian. Ci, którzy ocalili uciekli do wioski, gdzie kwaterowali kolejarzy przynosząc przerażające wieści o blisko tysięcznej armii buntowników maszerującej do tego miejsca. Wraz z nimi maszerowały bandy hunchuzów, dla których była to dobra okazja do rabunków. Wiedzieli oni doskonale o przebywającej w wiosce ekspedycji kolejarzy i o ich dobrym uzbrojeniu, którego im brakowało. Armia buntowników znajdowała się zaledwie 20 km od oberży, trzeba było zatem szybko uciekać. Mimo nocy zaczęto pakować bagaże i siodłać konie z zamiarem niezwłocznego wyruszenia w drogę powrotną. O godzinie 1.00 ekspedycja była już w drodze eskortowana przez 15. żołnierzy, a do nich dołączył właściciel oberży ze swoimi pracownikami zabierając swój marny dobytek na dwukołowym wozie w ciągnionym przez woła. Droga była bardzo wąska i panowała ciemność, więc oberżysta zapalił rodzaj papierowej lampy i niósł ją przed kolumną wskazując innym kierunek marszu. Wszyscy byli wystraszeni, gdyż wiedzieli, że stracą życie w starciu z masami zbuntowanego chłopstwa. Do godziny 7.00 uciekinierzy przebyli 30 km, zrobił się jasny dzień, a na ich szlaku pojawiła się fanza. Był to opustoszały zajazd, gdzie spał tylko jeden Chińczyk. On to wyjaśnił naszym podróżnym, że właściciel uciekł z rodziną i dobytkiem do Girynia. Innym miejscem schronienia mogła być forteca chana położona 200 km od Girynia otoczona wysokim, kamiennym murem. Ma ona 8 baszt strzeleckich i cztery wrota. W obrębie murów znajduje się wiele domów mieszkalnych i rezydencja samego chana. Ten jednak nie zaufał własnej fortecy, wolał zwać do Girynia wydawszy swoim dowódcom rozkazy obrony zamku za wszelką cenę. Chan zażądał od wicekróla Mandżurii regularnego wojska dla stłumienia buntu, który sami wywołali wykonując zbyt okrutnie rozkazy Pekinu. A tam faktyczne rządy sprawowała bezwzględna cesarzowa Cixi, która mianowała cesarzem swego małoletniego siostrzeńca Guangxu (1874-1908), ale ster rządu dzierżyła sama. Jej polityka doprowadziła Chiny do upadku po klęskach wojennych z państwami Zachodu. Pieniądze zebrane z trudem na odbudowę chińskiej floty wojennej obróciła na budowę rezydencji w Pałacu Letnim, gdzie ustawiła wielki, marmurowy okręt, jako kpinę z żądań modernizacji armii. Nic dziwnego, że z

Pekinu płynęły do gubernatorów prowincji żądania dostarczania pieniędzy, gdyż skatula cesarzowej nie miała dna. A wymuszone daniny były wydawane bez sensu i nie służyły rozwojowi gospodarczemu i obronności kraju. Wywoływały też lokalne bunty, które z czasem przekształciły się w ogólnokrajowe powstanie bokserów. Koniom potrzebny był odpoczynek po uciążliwej, nocnej jeździe. Napojone je i nakarmiono resztkami słomy i siana z opustoszałej oberży i po godzinie całe towarzystwo było już w siodłach. Zamiast trudnej drogi powrotnej przez góry (obecnie góry zwane Changbai, znane też jako "*Changbai Sea of Forests*", rezerwat pod auspicjami UNESCO), postanowiono dotrzeć do skutej lodem rzeki Sungary i wykorzystać ją do dalszej ucieczki. Była to wprawdzie znacznie dalsza droga do Girynia, jak obliczano o blisko 120 km, ale łatwiejsza dla zmęczonych już koni. Jednak od rzeki dzieliła uciekinierów trudna, góraska droga o długości co najmniej 60 km.

Nagle na zakręcie pojawiła się duża grupa uzbrojonych Chińczyków i wszyscy stanęli jak wryci. Szczęknęła broń, wystraszeni kolejarze i ich eskorta była już gotowa drogo sprzedać swoje życie, ale po chwili okazało się, że ubrani w barwne łachmany Chińczycy to żołnierze chana idący walczyć z buntownikami.

Aleksander, który już w duchu żegnał się ze swoimi najbliższymi, odczuł ulgę i wszyscy ruszyli w dalszą drogę pokrzepieni nadzieją, że wojska chana przynajmniej opóźnią pościg. Spotykali bowiem w drodze do rzeki kolejne oddziały wojska, które jednak bardziej robiły wrażenie hunchuzów, aniżeli wyszkolonych żołnierzy. Jak się miało okazać wszystkie te marnie uzbrojone i słabo dowodzone oddziały oberwańców zostały bez trudu zniesione przez powstańców, których celem był teraz sam chan.

Okolo 8.00 wieczorem kolumna jeźdźców dotarła do zamarzniętej Sungary i rozłożyła się na nocleg w stojącej na brzegi fanzie. Wystawiono podwójne warty i zmęczeni kolejarze legli pokotem na narach nie wypuszczając z rąk broni. o siódmej rano konwój ruszył dalej, ale podkowy koni były już stępione i ślizgały się na lodzie. Bywało, że koń padał z jeźdźcem na lód, ale jednak była to równa nawierzchnia i okresami można było jechać kłusem. W południe ekspedycja dotarła do dużej oberży stojącej nad brzegiem rzeki. Była ona zapełniona uciekinierami, ale ludzie i konie wymagały odpoczynku oraz obiadu. W trakcie posiłku nadjechało kłusem kilkunastu Chińczyków krzyżąc, że buntownicy są zaledwie 7 km od zajazdu. Jak się okazało ominęli oni wioskę, w której przez dwa dni stali kolejarze i skierowali się do miasteczka *Che-wo-che* położonego nad Sungarą. Mimo forsownej jazdy przez całą noc i dzień buntownicy zdołali prawie doścignąć uciekinierów, dzięki temu że mieli z sobą hunchuzów wybornie znających wszystkie ścieżki i skróty w tej części prowincji. Sytuacja była

niestychanie groźna, ale na szczęście buntownicy zajęli się rabunkiem sklepów i magazynów w miasteczku, gdyż mimo pory zimowej wielu z nich nie miało ani ciepłych ubrań, ani też butów. Byli też wygłodzeni, a w mieście były zapasy żywności. W tym czasie siły buntowników obliczano na 1.500 ludzi, w tym 30% to byli hunchuzi. Ich celem była rezydencja chana, a potem Giryń, gdzie spodziewali się armii regularnej i zamierzali stoczyć z nią bitwę. Dokąd mieli zatem uciekać nasi uciekinierzy? Niezwłocznie osiodłano konie i ruszono w drogę wraz z liczną grupą uciekających tubylców. O piątek po południu długa na blisko 100 m kolumna dotarła w rejon fortecy chana i została zatrzymana przez jego wysunięte patrole. Po rozpoznaniu, że jest to grupa Rosjan żołnierze przeprowadzili ich przez drugą linię pikiet zatrzymując innych uciekinierów do obrony fortecy, która stała w pełnej gotowości do obrony.

Okolo siódmej wieczorem zmęczeni nieludzko mogli się wreszcie spokojnie wyspać w zajeździe w przekonaniu, że buntownicy połamią sobie zęby na fortecy chana i zostaną tam pobici. Jak się później okazało były to zupełnie płonne nadzieje.

Wypoczęci kolejarze i ich eskorta wyruszyli o 6 rano w dalszą drogę lodowym traktem przekraczając w południe granicę chanatu. Krótco potem, już na ziemi rządowej, ekspedycja napotkała silny oddział regularnej armii chińskiej dowodzony przez mandaryna w stopniu pułkownika. Jako tako umundurowani żołnierze ciągnęli ze sobą kilka starego typu, zardzewiałych armat, szły też tabory z amunicją i żywnością. Był to pułk piechoty w sile tysiąca żołnierzy nastawiony na całkowite stłumienie buntu w chanacie. Dalsza podróż przebiegał już spokojnie i 17 grudnia ekspedycja dotarła do Giryńia nie wykonawszy swego zadania. Naturalnie naczelnik działu zaopatrzenia Weber nie miał o to do nikogo pretensji. Kiedy tylko dowiedział się o buncie wysłał gońca, aby zawrócić niefortunną wyprawę, ale goniec ten przepadł gdzieś bez wieści. Po paru tygodniach do Giryńia dotarły wiadomości, że wszystkie prawie wojska chana, które mijali po drodze kolejarze przyłączyły się do buntu. Rezydencja chana została zdobyta i spalona, a pułk wojsk rządowych wycięty w pień. Ocalało tylko kilku wziętych do niewoli oficerów, za których rodziny zapłaciły hunchuzom sowity okup.

Sam Giryń nie był jednak zagrożony, Pekin ściągnął wojska z innych prowincji i rzucił je przeciwko buntownikom. Zaczęły one w końcu zwyciężać, co widać było po ogromnej liczbie egzekucji w mieście. Wykopanych zostało osiem ogromnych dołów, a każdy mógł pomieścić nawet 500 trupów.

Codziennie przywożono pod eskortą 200-400 jeńców, którym natychmiast ucinano głowy. Pracowało przy tym dwóch bardzo dobrze wprawionych katów z niezwykłą wydajnością. Aleksander wybrał się na taką masową egzekucję hunchuzów i buntowników, których w tym dniu było 250. Wszystkim ścięto głowy w

niewiarygodnym czasie pół godziny! czyli jeden kat ścinał 4-5 głów w ciągu minuty. Głowy nie były wrzucane do dołów, a wywożono je wozami za miasto i tam spoczywały na polu czaszek wydane na żer psom i sępom.

W czasie egzekucji lało się tyle krwi, że jej mdły zapach wypełniał cały plac. W dodatku część skazańców wydzielala ze strachu lub mimowolnie kał, co mieszając się z zapachem krwi, tworzyło mieszankę nie do zniesienia. Nie pomagało otaczanie się kłębamii dymu z fajki. Na kałuże krwi natychmiast rzucały się stada psów i piły ją łapczywie.

Kilku pomocników zdierało z drgających jeszcze ciał ubrania i rozrąbywało drewniane dyby z nóg ściętych. Wojsko otaczało plac śmierci szczelnie, ale żołnierze nie zwracali prawie uwagi na to krwawe widowisko, rozmawiali ze sobą, a nawet jedli jakiś suchy prowiant. Codzienne masowe egzekucje zupełnie spowszedniały także mieszkańcom Girynia, prawie nie widać było gapiów.

I znowu udał się Aleksander na to makabryczne pole, gdzie składowano obcięte głowy. Leżały ich tam tysiące w różnym stadium rozkładu. Oczy, jeśli jeszcze były, szeroko otwarte, na twarzach zastygnięta groza nagłej śmierci. I tutaj stada psów obgryzających te twarze, a także mnóstwo czarnych warkoczyków. Kiedyś je zabierano do różnych celów, ale po ostatnim buncie było tego zbyt dużo i straciły wartość handlową.

Stada czarnych ptaków miały tutaj też swój żer, a ohydny odór nie pozwalał na dłuższy pobyt w pobliżu pola czaszek. Wskoczył więc na konia nasz kronikarz i pognął kłusem do miasta.

Nadeszło kolejne Boże Narodzenia daleko od kraju, daleko od bliskich, a więc z natury bardzo nostalgiczne. Były kolędy i potrawy wigilijne, nie jedna łza zakręciła się w oku na myśl o ukochanej żonie i dzieciach oddalonych o tysiące kilometrów. Wszyscy przebywający w Girynie zebrali się razem na oficjalnym, uroczystym obiedzie, na który zaproszono także przebywających w mieście Europejczyków. Nie było ich wielu-ot dwóch młodych, przystojnych misjonarzy z Anglii oraz ich rodak w wieku 50. lat pracujący, jako agent handlowy. Misjonarze byli świetnie wykształceni, znali mandaryńską odmianę języka chińskiego i poznawali dopiero lokalny dialekt, aby łatwiej docierać do swoich owieczek. Tych dialektów w północnych Chinach nie było zbyt wiele, w przeciwieństwie do południa, gdzie mówiono siedmioma dialektami. W Girynie mówiono w tym czasie na ogół w języku mandżurskim zapisywanym mongolską odmianą pisma, ale wszyscy urzędnicy i wojskowi znali język chiński. Obecnie język mandżurski prawie całkowicie jest martwy. W roku 2007 mówiło tym językiem zaledwie 20 osób! Oprócz kolejarzy z Wydziału Gospodarczego podległej inż. Weberowi w Girynie stacjonowała grupa inż. Edwardowa Anerta. Urodził się on w roku 1865 w twierdzy

Modlin pod Warszawą z ojca Edwarda Adolfowicza i Idy Fiodorowny Anert. Doskonale wykształcony już w r. 1895 bierze udział w ekspedycji na Daleki Wschód, gdzie jest starszym inżynierem-geologiem rozpoznającym tereny budowy Kolei Amurskiej. Podobnie jak Aleksander wypłynął z Odessy statkiem towarowo-pasażerskim "*Ochotnik Saratow*" 1 marca 1895 r. i po 42 dniach dotarł do Władywostoku. Po dwóch latach ponownie odbywa podróż tą trasą na budowę Kolei Wschodnio-Chińskiej i prowadzi rozpoznanie geologiczne terenów budowy. Następne 14 lat spędza na Syberii, Sachalinie poszukując złota i prowadząc badania naukowe. W r. 1939 w Harbinie prof. Anert obchodził 50. lecie pracy naukowej, był już wtedy znanym na świecie uczonym. W latach 30. XX w. oskarżony o szpiegostwo na rzecz Japonii emigrował, a po wojnie starał się o odzyskanie radzieckiego obywatelstwa, ale nie zdążył. Zmarł 25 grudnia 1946 r. Do dziś jego prace są cytowane i wykorzystywane, co świadczy o solidności badań i naukowej kompetencji.

Razem zatem zebrało się ponad 30 osób przy tym świątecznym obiedzie. Stół był bogato zastawiony smakowitymi daniami, do tego pito ostro wódkę, wina i szampany. Mimo różnicy rang i pozycji zawodowej wszyscy w tym dniu zbratali się niczym jedna wielka rodzina. Błyszczały epolety trzech oficerów w galowych mundurach, inżynierowie Anert i Weber w odświeżonych surdutach siedzieli obok siebie u szczytu stołu. A dalej technicy, dziesiętnicy, wspomniani misjonarze w ciemnych ubiorach. Próbowali oni krzewić chrześcijaństwo w kraju, gdzie nie słyszało się dzwonów z wysokich, kościelnych wież i panowała inna wiara i inne obyczaje. W czasie tego obiadu opuściła ich zwykła angielska flegma i ogłada, pod wpływem trunków rozochocili się i wzajemnie przekrzykiwali się. Mówiono i śpiewano w różnych językach, dominował naturalnie rosyjski, ale był i polski, angielski oraz chiński. Towarzystwo było całkowicie męskie, żony i narzeczone pozostały w odległej Europie i można było jedynie je mile wspominać w trakcie tej biesiady

Trzeba było jednak wrócić do rutynowych zajęć wyznaczanych przez naczelnika Webera. Wyjazdy w teren, przyjmowanie spławianego rzekami drewna, inspekcje na terenach, gdzie wytyczano przebieg linii kolejowej. Miała być ona jednotorowa, ale rezerwowano też teren pod drugi tor, który miał zostać wybudowany w przyszłości.

Weber i jego zastępca wyjechali do Władywostoku 28 grudnia. Geodeci Anerta ruszyli wytyczać trasę nowej kolei, a agent Karpow wyruszył z grupą kolejarzy na poręby. Aleksander z oddziałem agenta Samersa wyruszyli 30 grudnia na wyjątkowo trudną trasę. Liczyła ona aż 550 km, które trzeba było przebyć konno z

kilkoma zaledwie żołnierzami eskorty. W obie strony było to zatem ponad tysiąc kilometrów w trudnym do przebycia terenie. Ekspedycja jechała do celu 10 dni, tam pomierzono ilość wyrąbanego drewna, za które firmy chińskie otrzymały zapłatę. Po drodze do celu nie spotkały kolejarzy godne uwagi przygody. Mieli jedynie okazję obejrzeć i pomierzyć olbrzymiego tygrysa, które upolował właśnie chiński myśliwy. Ponad 3,5 metrowej długości król tamtejszych lasów wisiał jeszcze w skórze u szczytu dachu fanzy powieszony za tylne łapy. Krew jeszcze sączyła się z wielkiej głowy zamarzając i tworząc sople. Kolejarze zatrzymali się tam na pół godziny i zrobili pomiary tego pięknego okazu, który wykorzystywany przez chińską medycynę jest dzisiaj prawie zupełnie wytępiony. Już wtedy za całego tygrysa płacono od 100-250 rubli. Mięso jest więcej warte aniżeli skóra (50 rs), gdyż panuje przekonanie, że zjedzenie nawet niewielkiego kawałka daje wielką moc i ochronę przed atakiem innego drapieżnika. Kości tygrysa konserwuje się w soli, a jego pazury w wódce. W czasie przejazdu na porębę członkowie tej grupy wielokrotnie widzieli świeże ślady tygrysa, ale nigdy nie udało się im napotkać drapieżnika oko w oko.

Powrót do Giryńia zajął kolejarzom kolejne 10 dni, była to więc jedna z najdłuższych, służbowych wypraw związanych z odbiorem drewna od podwykonawców miejscowych. Dzisiaj trudno sobie wyobrazić tak długą jazdę konno w trudnym, górzystym terenie, gdzie praktycznie nie było dróg.

Porównajmy tą odległość do słynnego szlaku przepędu bydła na Dzikim Zachodzie zwanego Chisholm Trail, który liczył sobie 520 mil tj. ok. 832 km. Trzeba było pędzić stado przez 40-60 dni przez stosunkowo płaski i równy teren. Oczywiście 20. osobowa grupa pracowników kolei i ich eskorta poruszali się znacznie szybciej na swoich wytrzymałych koniach rasy mongolskiej. Ale też czyhało na nich znacznie więcej niebezpieczeństw, niż na amerykańskich kowbojów w okresie największego nasilenia spędów bydła, czyli od 1866-1886 roku. Przede wszystkim byli to lokalni bandyci, którzy mimo stanowczej walki sił rządowych byli bardzo silni aż do końca cesarstwa Chin. Dysponowali dobrym wywiadem i wiedzieli gdzie i kiedy uderzyć. Mający w tym czasie 44 lata Aleksander był dobrze przygotowany do tych trudnych zadań. Jak pamiętamy doskonale jeździł konno, gdyż wcześniej posiadał konia i dodatek pieniężny na jego utrzymanie, aby móc nadzorować poprzednią budowę kolei. Dobrze też władał bronią, która w większości została zakupiona przez Rosję w USA i przetransportowana wraz z pozostałym wyposażeniem z San Francisco przez Pacyfik do Władywostoku.

Oprócz hunchuzów trzeba było bronić się przed atakami dzięki zwierzyny, a przede wszystkim przed niedźwiedziami i tygrysami. Znamy dramatyczne opisy ataku tych drapieżników, których ofiarami padli dwaj żołnierze z opisywanej

ekspedycji. W czasie całej budowy zginęło z tego powodu 10 kolejarzy i 15 żołnierzy rosyjskich. Chińskich robotników i żołnierzy, którzy padli ofiarą drapieżców nikt nie policzył.

I wreszcie różne lokalne bunty ludności aż do ogólnie chińskiego powstania, gdzie atakowano głównie cudzoziemców i ich własność. Trzeba też pamiętać o fatalnym stanie higienicznym ówczesnych miast pozbawionych całkowicie kanalizacji i wywozu nieczystości. Były to idealne warunki do szerzenia się epidemii najróżniejszych chorób zakaźnych od cholery i czerwonki poczynając. Przeżyć w takich warunkach nie było łatwo, a w razie choroby lekarze i felczerzy ekspedycji dysponowali ograniczonym zestawem środków leczniczych. Pozostawała tradycyjna medycyna chińska, ale w przypadku chorób zakaźnych była ona bezradna. Wild East stawiał zatem przed swymi pionierami niezwykle wysokie wymagania porównywalne jedynie z warunkami podboju Ameryki Północnej w pierwszej połowie XIX wieku. Dzika przyroda, agresywni Indianie, surowy klimat hartowały najodważniejszych traperów i eksploratorów Wild Westu. Nie występowało jedynie zagrożenie epidemiczne choć, jak wiemy dotknęło ono w znacznym stopniu Indian, którzy nie byli uodpornieni na zarazki przywleczone z Europy przez białych osadników.

Łączność z Rosją była zależna od pory roku. Zimą, kiedy rzeki Sungari i Amur zamarzały była ona mocno ograniczona. Rzeki te były żeglowne przez siedem miesięcy w roku. Dopiero w roku 1901 stał się możliwy przejazd wyłącznie koleją z Harbina i innych miejscowości do Rosji. Szybciej też transportowano materiały do budowy kolei, która została ukończona w roku 1903.

Kiedy po 20. dniowej wyprawie w dziewicze lasy prowincji wracał Aleksander do Girynia zauważył sześciu Chińczyków idących wolnym krokiem, a każdy z nich miał na szyi czworokątną deskę pokaźnej grubości. Obie połowy tych dybów były połączone żelaznymi skoblami, ale nie można ich było zdjąć przed zerwaniem pasków papieru .



18. Chińskie ruchome dyby-kangi

A były one opieczętowane przez miejscowego urzędnika do spraw wykonania zastępczych kar aresztu z mniejszej wagi przestępstwa. Nie było bowiem więzień, więc zakładano tego rodzaju dyby zwane kangi na okres 5-10 dni i z tymi dość ciężkimi znakami kary trzeba było obejść raz dziennie całe miasto stając się pośmiewiskiem gawiedzi. Kangi wazyła 17-18 kg, było więc co dźwigać przez drobnej postury Chińczyków. Na zdjęciu z epoki widać 4. skazanych, którzy odpoczywają przed rundą ulicami miasta. Po odbyciu tej średniowiecznej kary urzędnik sprawdza czy pieczęcie na kangi nie zostały naruszone i zwalnia więźnia. mają oni zakaz wykonywania pracy, zresztą nie byłoby to możliwe, gdyż skazani muszą być karmieni przez rodzinę czy znajomych, nie mogą też spać inaczej, niż na klęczkach. Podejrzani o poważne przestępstwa są zamykani w fannie aresztowej, ale tylko na 2-3 dni i nie otrzymują tam nic do jedzenia tylko wodę. Potem następuje egzekucja lub odesłanie pod konwojem do miejsca, gdzie więzień popełnił przestępstwo.

Od lutego 1998 roku Weber kierował pracami swoich ludzi z Władywostoku śląc im telegramy z poleceniami udania się w teren celem inspekcji wyrębu bądź odbioru drewna spławianego rzekami. Jak zawsze były to podróże dalekie i niebezpieczne, a wykonywali je agent Karpow oraz agent Somers, który podróżował z Aleksandrem. Oczywiście zawsze towarzyszyła im eskorta wojskowa,

toteż hunchuzi rzadko ośmielali się napadać na nieliczne, ale dobrze uzbrojone ekspedycje. Ich uzbrojenie stanowiły często łuki i strzały, a broń palna była prymitywna i jednostrzałowa. Kolarze i Kozacy dysponowali znacznie większą siłą ognia i dlatego bandyci raczej unikali bezpośrednich starć.

Sytuacja stała się tragiczna dopiero w czasie powstania bokserów, kiedy do powstańców i hunchuzów dołączyła regularna armia chińska.

Koniec stycznia Aleksander i jego towarzysze odpoczywali przed zaplanowaną w lutym inspekcją, która miała potrwać dwa tygodnie. W tym czasie Chińczycy świętowali Nowy Rok, którego obchody trwają cały miesiąc. Ponieważ w Chinach obowiązuje kalendarz księżycowy, święto to jest ruchome i wypada zawsze między 21 stycznia, a 19 lutego. Kalendarz ten wprowadziła pierwsza dynastia Xia (2205-1766 p.n.e.), a więc jest to bardzo stara tradycja obowiązująca do dnia dzisiejszego. Co prawda po rewolucji 1911 r. Chiny przyjęły oficjalnie kalendarz gregoriański jako obowiązujący w instytucjach państwowych i w administracji, jednakże wiele świąt obchodzi się nadal zgodnie z tradycją dawnego kalendarza księżycowego.

Święto Wiosny (Nowego Roku) od najdawniejszych czasów było najważniejszym świętem obchodzonym powszechnie zarówno w najwyższych sferach, jak też przez lud. W skład Święta Wiosny wchodzi Święto Latarni przypadające na piętnasty dzień Święta Wiosny. Wywodzi się ono z pradawnej legendy o poszukiwaniu i uratowaniu nocą księżniczki, która tonęła w jeziorze.

Na terenach wiejskich świętowano nawet dwa miesiące, gdyż na większości terytorium Chin nie było potrzeby wykonywać prac polowych. W czasach współczesnych oficjalnie tylko trzy dni tego święta są wolne od pracy, ale przynajmniej przez dwa tygodnie, do Święta Latarni, praca w Chinach toczy się w zwolnionym tempie. W wigilię Nowego Roku cała rodzina bierze udział w przygotowywaniu noworocznych posiłków, z których najważniejszym daniem są chińskie pierogi *jiaozi* nadziewane mięsem i warzywami lub bardziej wykwintnie jajkiem i krewetkami z dodatkiem imbiru, pasty sezamowej i innych przypraw. Chińczycy witają Nowy Rok bawiąc się całą noc, ale w gronie rodzinnym. Mamy petardy, sztuczne ognie i płonące głownie. Nic obecnie nie wiadomo o choinkach, ale Aleksander zanotował, że każdy Chińczyk musiał mieć drzewko, lecz dużych rozmiarów. Ustawiali je przed domem lub przed sklepem i dekorowali chińskimi lampionami rozmaitego koloru i kształtu.

Obchody Nowego Roku zaczynały się wieczorem, zapalały się wszystkie światła, a Chińczycy wchodziłi do specjalnie zbudowanej na ten czas świątyni, aby oddać pokłon bogu. Następnie rozpoczynała się zabawa przed pawilonem z figurą boga

Nowego Roku oraz na okolicznych ulicach. Zaczynała grać bardzo głośna muzyka, zupełnie nie dostosowana do gustu Europejczyków.



19. Chińczycy świętują Nowy Rok ok. 1900 r.

Do zestawu małych i wielkich bębnów dochodziły miedziane cymbały także różnych rozmiarów, a całość wytwarzała potworny hałas bez rytmu i muzyki. O północy następował wspaniały pokaz fajerwerków, w czym Chińczycy są od wieków mistrzami. Wybuchały petardy, płonęły ognie bengalskie i zimne ognie, a trwało to niemal do świtu. W noworocznej świątyni przygotowano dziesiątki potraw w małych miseczkach między którymi stały czerwone świece. Na podwórzu każdego domu stała miniatura takiej świątyni z przygotowanymi potrawami. Poza daniami w miseczkach na stołach pojawiał się wędzony łeb wieprzowy w całości czy cały, smażony kogut. Nikt nie spał, wszyscy pili lokalną sake, czyli słaby trunek pędzony z ryżu. Chińska sake zwie się samshu lub shokoshu, jest też amezake, słodka i mleczna, używana na festiwalach i w świątyniach w czasie Nowego Roku. Zabawy i tańce trwały każdej nocy tyle, że kończono je nieco wcześniej. Po ulicach przelewały się korowody różnorodnych przebierańców z lampionami i chorągwiami. Inna grupa obnosiła figurę bożka w bogato zdobionej lektyce.

Inna grupa zadziwiła kolejarzy tym, że wszyscy z dużą wprawą poruszali się na szczydłach przebrani za kobiety, myśliwych i żołnierzy. W wielu miejscach zbudowano estrady, na których występowały teatry złożone wyłącznie z mężczyzn. Zabawy te trwały przez cały miesiąc. Handel przez dwa tygodnie nie pracował, a potem otwierano sklepy tylko z rana na kilka godzin, aby potem znowu oddawać się zabawom. Najbiedniejsi jednak pracowali cały ten czas pozwalając sobie na rozrywkę dopiero pod wieczór. Pełnym karnawałem cieszyli się jedynie ludzie zamożni, choć jak wspomniano na wsi wykorzystywano martwy okres w pracach polowych.

Aleksander często opisuje swoje wrażenia ze zwiedzania miejscowych świątyń i kaplic. Jak się wydaje z opisów były to głównie świątynie buddyjskie, które w pierwszym okresie ekspansji tej wiary powstawały w naturalnych jaskiniach i grotach skalnych. Później budowano świątynie z zachowaniem zasad fengshui, jako ciąg kwadratowych lub prostokątnych dziedzińców położonych na osi północ-południe. Główny budynek był przeznaczony do celów religijnych, a pomocnicze na mieszkania mnichów, bibliotekę i pomieszczenia gospodarcze. Wejścia strzegły zwykle dwa kamienne lwy, bramy świątyń były wielkie i zadaszone, łączyły się z rodzajem westybulu. Tam po obu stronach stały olbrzymie posągi "wielkich, niebiańskich królów" (sidatianwang) strzegących świątyni. Niektóre z tych posągów miało groźny wygląd odstrasżający intruzów.

Dla przykładu podaje pamiętnikarz chińskiego boga ognia (Chu Jung), który karze tych, którzy naruszają prawa boskie. Jest on wielkiej postury, twarz groźna pokryta tatuażami, oczy skośne wyłupiaste, szczęka zwierzęca z potężnymi kłami.



20. Chiński bóg ognia

Zamiast dłoni bożek ten miał krokodylę łapy, w jednej z nich trzymał ogień, a w drugiej tabliczkę z napisem co grozi bluźniercom i bezbożnikom. Są też bogowie skał i kamieni, wody, ziemi, owoców i lasów. Ich portrety często miały po cztery ręce lub dwie głowy. Wszystkie te posągi były pomalowane w jaskrawe barwy i ustawione w świątyni lub na zewnątrz. Pierwsze wrażenie Europejczyka to zgroza na widok straszliwych twarzy tych demonów, ale po ochłonięciu widać kunszt i talent chińskich rzemieślników i artystów. Takie świątynie są własnością bogatych Chińczyków, położone są przeważnie w lasach lub na pustych, dzikich polach, przeważnie przy drogach lub na wierzchołkach gór. Pilnuje ich zwykle po kilku mnichów buddyjskich. Każdy Chińczyk udając się w podróż zabierał z sobą ok. 30 świec ofiarnych i po drodze wstępował do małych kaplic (nikt ich nie strzeże) i tam uderzał w dzwon, aby zwrócić uwagę duchów. Potem składał pokłony, zapalał świece (właściwie były to trociczki wydzielające wonny dym) i modlił się za pomyślność swojej podróży. Oprócz świątyń buddyjskich w Chinach są świątynie lamaistyczne, ale głównie w Tybecie. Znane są także świątynie taoistyczne bardzo podobne to architektury buddyjskiej. Tyle tylko, że triada buddyjskich bóstw została zastąpiona bóstwami taoistycznymi zamieszkującymi w Nefrytowym Raju. Było też tam ośmiu nieśmiertelnych (baxian), ludzi świętych, którzy spełnili wszystkie wymagania niezbędne do osiągnięcia świętości i stali się w końcu nieśmiertelnymi. Rzecz jasna misjonarze wszelkiej narodowości i wyznania walczyli z tymi "przesadami" doprowadzając w ten sposób do wielkiej rzezi konwertytów w czasie powstania bokserów. Nie zdawali też sobie często sprawy, że ich wiara i dogmaty są o wiele wieków młodsze od buddyzmu, który zakorzenił się trwale w świadomości Chińczyków, wnieśli oni do tej religii wiele swoich jeszcze starszych wierzeń i bóstw.

CEL

Jak wiemy w trakcie budowy kolei w Mandżurii powstawała też Kolej Transsyberyjska rozpoczęta w roku 1891. Podzielono ją na odcinki:

- zachodnio-syberyjski z Czelabińska do rzeki Ob,
- środkowo-syberyjski - od rzeki Ob do Irkucka
- okołobajkalski - z Irkucka do Mysowska
- zabajkalski - z Mysowska do Sreteńska
- amurski - ze Sreteńska do Chabarowska

- ussuryjski - z Chabarowska do Władywostoku

Razem było to 7.588 km w większości w trudnym klimacie i terenie.

Zgodnie z planem pierwotnym od Sreteńska i dalej na wschód do Chabarowska linia miała być budowana wzdłuż lewego brzegu Amuru. W roku 1893 w ten mało znany teren ruszyła ekspedycja badawcza, która uznała że koszt budowy tego odcinka byłby bardzo wysoki. Podobnie było z odcinkiem torów prowadzącym dookoła jeziora Bajkał, gdzie zdecydowano o przeprawach promowych. Pomysł ten nie był dopracowany, Bajkał był przez wiele miesięcy skuty lodem, a w innych miesiącach nawiedzały go sztormy i gęste mgły. Stłoczone na obu brzegach pociągi musiały długo czekać na poprawę warunków atmosferycznych. W związku z tym pod koniec 1899 roku zaczęto budować "Krugobajkałkę" zwaną złotą sprzączką stalowego pasa Rosji. Była to najbardziej kosztowna budowa, gdyż koszt wybudowania wiorsty (1067 m) torów wyniósł 220 tys. złotych rubli, czyli równowartość 170 kg czystego złota. Jesienią 1904 r. tą trasą przejechały pierwsze transporty wojskowe, a rok później rozpoczęły się regularne kursy.

Po rezygnacji z budowy torów wzdłuż lewego brzegu Amuru powstała koncepcja budowy torów przez Mandżurię. Miała ona wielu przeciwników, gdyż tak ważny szlak transportowy nie powinien przebiegać przez terytorium obcego kraju. W razie wojny byłby on narażony na akty sabotażu i blokady. Pominięty odcinek syberyjski straciłby szansę na szybki rozwój gospodarczy. Jak wiadomo wygrała koncepcja budowy kolei w Mandżurii, a odcinek nad Amurem ukończono dopiero w roku 1916 zamykając tym samym budowę Wielkiej Syberyjskiej Drogi, która trwała 25 lat.

W Chinach istniał jednak silny opór przeciwko budowie sieci kolei żelaznych, która miała zakłócać fengshui i niepokoić duchy przodków. Szanghajskie władze lokalne wykupiły w 1877 roku zbudowaną przez obcokrajowców pierwszą linię kolejową i zerwały szyny. Na głównej stacji tej kolei urządzono świątynię. Propaganda dworu cesarskiego twierdziła, że obcokrajowcy wiedząc, jak niebezpieczne są pociągi rezygnują z trakcji u siebie, a straty starają się obniżyć, zbywając tory Chinom. Kolei miała też stanowić zagrożenie dla miejsc pracy, przede wszystkim dla kulisów i wózków. Niechęć do obcokrajowców przybierała absurdalne rozmiary. Zagranicznym podróżnikom w Yunannie i Guangxi zakazano kontaktów z miejscowymi. Kupca nabywającego sól od Europejczyków pobito na śmierć. Misjonarz-lekarz, który osiadł ok. 1885 roku w prowincji Xi'an uciekł w panice, kiedy wzburzony tłum puścił z dymem jego ambulatorium. W roku 1894 wybuchła krwawa wojna z Japonią, którą Chińczycy pogardzali i lekceważyli. Wojnę tą Chiny błyskawicznie przegrały i zostały zmuszone do zawarcia pokoju na upokarzających warunkach. Upadek Chin sięgnął dna, koniec cesarstwa był bliski. W kraju

zapanował chaos, do tego doszła seria katastrof naturalnych jak susze i powodzie oraz buntów ludności. Jednocześnie trwała ekspansja kapitału zagranicznego, co powodowało opór ludności. Jednak dwór cesarski uznawał potrzebę rozwoju gospodarczego Chin, w tym celu wydano pod koniec 1895 r. dekret, który uznawał koleje żelazne za "najważniejszy czynnik utrzymania wymiany handlowej".

Powstały enklawy zagraniczne w portach i na terenach zagranicznych koncesji. Stamtąd w głąb Chin ruszały gromady misjonarzy skuszonych wizją nawrócenia setek milionów "pogan". W latach 90. XIX wieku liczba misjonarzy podwoiła się dochodząc do 3.000 osób. W towarzystwie żon docierali do odległych prowincji, gdzie jeszcze nigdy nie stanęła stopa białego człowieka. Mieli oni kusząca ofertę- oświatę, pomoc materialną i zdrowotną. Jak pisze Jonathan Fenby w swojej historii Chin *"CHINY-Upadek i narodziny wielkiej potęgi"* zachowanie misjonarzy było, celowo lub nie, prowokacyjne. Ich koedukacyjne posługi stały w sprzeczności z silnie osadzoną w chińskiej tradycji separacją płci na forum publicznym. Obecność niezamężnych kobiet wśród misjonarzy odbierano, jako zachowanie wysoce niemoralne. Misjonarki nosiły się po męsku, co wzbudzało podejrzenia, że w rzeczywistości były jedynie udającymi płęć przeciwną mężczyznami, tak aby wślizgnąć się w progi chińskich chat i uwieść tamtejsze kobiety! W prowincji Shanxi nawracaniem zajmowało się 25 Szwedek. Chińska broszura twierdziła, że chrześcijanie czczą demona, który był takim szubrawcem, że go za karę ukrzyżowano. W Mandżurii należące do kaznodziejów aparaty fotograficzne uznano za oczywisty dowód zbrodni chrześcijan- wyłupywanie ludzkich oczu miało zapewnić ich magicznym skrzynkom zmysł wzroku.

Szczególnym echem odbił się atak, który nastąpił w sierpniu 1895 roku w Fujianie. Bliska setka Chińczyków z sekty wegetarian przypuściło atak na domy brytyjskich misjonarzy w tym mieście. Zabili ok. 20 osób, w tym dzieci, a domy zostały spalone. W odwecie władze chińskie straciły 25. napastników, a 21. wtrąciły do lochu. Resztę wygnano z miasta.

Na tym podłożu wybuchło wiosną 1900 roku tragiczne w skutkach powstanie bokserów. Na szczęście Aleksandrowi kończył się już trzyletni kontrakt i tym czasie załatwiał ostatnie formalności związane z powrotem do domu. Wydarzenia toczyły się szybko. 20 czerwca Chiny wypowiedziały Europejczykom wojnę, a armia chińska sprzymierzyła się z bokserami. Działy się rzeczy straszne, ale w tym miejscu skoncentrujemy się na tym, co spowodowało to powstanie dla budowy kolei i jej personelu. Zaraz po wypowiedzeniu wojny budowę kolei na obszarze prowincji mukdeńskiej zaatakowała regularna armia chińska. Budowniczości musieli pośpiesznie wycofać się do Harbina. Długa kolumna wozów była ochraniana przez oddział Straży Ochrony Kolei, którym dowodził Polak Rewuski w stopniu sztabs-

kapitana. Druga partia budowniczych wycofywała się z Mukdenu pod dowództwem porucznika Walewskiego. Wszystkich ich wymordowali powstańcy i wojsko chińskie. Szef grupy inżynier B. Wierzchowski dostał się do niewoli. Powstańcy ucięli mu głowę i wystawili w klatce na widok publiczny. Ciało rzucono na pożarcie psom. Głowę, a raczej to, co z niej pozostało, odzyskały wojska rosyjskie 2 października po zdobyciu Mukdenu. Komendantem wojennym miasta mianowano Polaka pułkownika Dąbrowskiego.

Najważniejszą kwestią była obrona Harbina, gdzie schronili się budowniczowie kolei z różnych odcinków. Li Hungczang, główny negocjator budowy kolei i doradca cesarza Chin, próbował podporządkować sobie wojska chińskie stacjonujące w Mandżurii i wydał im rozkazy obrony Harbina przez bokserami. Nie było to jednak możliwe, gdyż dyscyplina w armii była rozluźniona, żołnierze dezertowali i przyłączali się do rebeliantów lub tworzyli własne bandy napadające na stacje kolejowe i rabujące ich majątek.

Z relacji inż. Stefana Offenberga, naczelnika budowy odcinka zachodniego kolei wynika, że 28 czerwca 1900 roku kierowana przez niego grupa budowniczych zmuszona została do opuszczenia stacji Jalu. Zamierzali wycofać się na tereny rosyjskiego Zabajkala. Takie polecenie wydał im telegraficznie Jugowicz z Władywostoku. Było to zadanie niełatwe, gdyż ewakuacji podlegało 700 ludzi dla których nie było przecież koni. W większości załadowano kolejarzy (były też nieliczne ich żony) na wozy (200 chińskich dwukołowych) nie zabierając żadnych innych materiałów z braku miejsca. Nie zabrano nawet żywności licząc na zapasy z mijanych stacji kolejowych. Te jednak w większości zostały już kompletnie obrabowane, a personel i straż kolejowa ewakuowali się wcześniej. Dopiero po przebyciu 33 km znaleziono na jednej ze stacji kilka worków mąki, z której upieczono placki. Wcześniej nastąpił atak konnych powstańców, którzy zastrzelili 3 Kozaków ze straży przedniej, ale nie ryzykowali napadu na główną grupę. Ochroniała ją 6. sotnia Kozaków, która jechał na przedzie w szyku bojowym. Kolejarze byli uzbrojeni, ale większość miała tylko fuzje myśliwskie. Następnego dnia zwiad doniósł, że droga prowadzi przez wąwóz, a po jego obu stronach zajęli pozycje chińscy żołnierze. Trzeba było negocjować z pułkownikiem Fu, ten jednak zażądał oddania broni, co było dla Offenberga nie do przyjęcia wobec szalejących band hunchuzów i rebeliantów. Sprzeciwił się także kapitan Smolannikow, dowódca sotni, twierdząc że dla niego jest to sprawa żołnierskiego honoru. Negocjacje przeciągały się przez całą noc, kobiety głośno płakały, napięcie rosło. Chińczyk w końcu skasował kilka lan srebra i można było jechać dalej pod ochroną uzbrojonych Kozaków. Ostatecznie grupa Offenberga dotarła do Nerczyńska po 10. dniach epopei przebywając w tym czasie 460 km. Pełny opis tej dramatycznej

podróży przez ogarnięty rebelią kraj, bez zapasów żywności i pitnej wody, nie mieści się w ramach tego opracowania.

Tymczasem do Harbina docierały kolejne grupy uciekinierów, a w samym mieście mieszały rodziny budowniczych, a więc kobiety i dzieci. Sytuacja stała się dramatyczna, szturm na miasto był nieuchronny, a siły obrońców szczupłe. Rezydujący w Cisikarze dowódca chińskich sił w prowincji generał Shou Shan postawił obrońcom ultimatum. Mieli oddać broń, a w zamian miałaby zagwarantowaną bezpieczną ewakuację statkami do Chabarowska. Główny inżynier Jugowicz faktycznie zarządził ewakuację statkami, ale głównie kobiet i dzieci oraz osób starszych i chorych. Zorganizowano pociągi rzeczne złożone z barek holowanych przez statki w celu pomieszczenia większej ilości ewakuowanych. Niestety zestawy te zostały ostrzelane przez chińską artylerię, padli zabici, było wielu rannych. Droga ucieczki została zamknięta, trzeba było zorganizować obronę miasta, choć brakowało na to sił i środków. Inżynier Ignatius po naradzie z kozackimi dowódcami postanowił bronić się w dzielnicy Przystań. Z jednej strony chroniła obrońców skarpa nad rzeką Sungari, a z drugiej wysoki nasyp pod torowiskami przewidziany na wypadek częstych tutaj powodzi. Naczelnym inżynierem polecił uzbroić wszystkich mężczyzn w Harbinie (rozkaz z 28 czerwca), dzięki czemu liczba ludzi pod bronią zwiększyła się do 3.300. Brakowało jednak amunicji, a przede wszystkim artylerii.

13 lipca wojska chińskie rozpoczęły szturm na miasto jednocześnie od strony Starego Harbina i z przeciwnego brzegu Sungari. Wkrótce zajęli budynki dawnej gorzelnii, które kupił inż. Szydłowski na pierwsze biura budowy kolei. Broniący tego odcinka Kozacy wycofali się za nasyp kolejowy. Ze zdobytego terenu Chińczycy ostrzeliwali obrońców z baterii dział kalibru 75 mm. Generał Hengross zarządził nocny wypad i obrońcy zyskali dwa działa oraz kilkadziesiąt pocisków do nich. Zgrupowanie wojsk chińskich na przeciwległym brzegu rzeki zostało o świcie zaskoczone celnym ogniem artyleryjskim obrońców miasta. Musieli się wycofać w oczekiwaniu na posiłki. Obrońcy zyskali czas na dalsze umocnienie swoich sił na Przystani, a z Chabarowska płynęła już flotylla okrętów rzecznych z zaopatrzeniem. Drogą lądową dotarło do Harbina kilka setni Straży Ochrony Kolei. Sytuacja została opanowana, chińskie wojska wycofały się wiedząc, że miasta już nie zdobędą. Poległych podczas chińskiego szturmu pracowników kolei i Kozaków pochowano we wspólnym grobie na Przystani.

W końcu lipca wojska rosyjskie zajęły Mandżurię i stanęły czekając na finał powstania bokserów w Pekinie. 3 sierpnia 1900 roku armia sprzymierzonych ośmiu mocarstw licząca 20 ty. doborowych żołnierzy rozpoczęła marsz na Pekin,

który padł 10 dni później. Nastąpił krwawy odwet i wielki rabunek dzieł sztuki z pałaców cesarskich.

Niedoszły zdobywca Harbina gen. Shou Shang stracił swoją armię, więc popełnił honorowe samobójstwo przez połknięcie... kawału złotego kruszcu. Jeńców z jego armii Kozacy przywiązali do słupów i w pełnym galopie szablami ścinali głowy nieszczęśnikom. Sprzyjająca rebelii ludność z nadgranicznych wiosek była bestialsko eksterminowana. Palono i wycinano w pień całe wsie. W polskich źródłach można przeczytać o topieniu w Amurze całych wsi wraz ze starcami, kobietami i dziećmi.

Historia nie odnotowała na swoich kartach heroicznej obrony Harbina. Znana jest jedynie obrona Harbina w lutym 1932 w trakcie drugiej wojny chińsko-japońskiej związanej z inwazją cesarstwa japońskiego na Mandżurię. Atak na Harbin trwał 17 godzin i zakończył się klęską obrońców. Ustawili oni swoje działa naprzeciwko gmachu Zarządu Kolei Wschodniochińskiej licząc na sprowokowanie Rosjan, ale bez rezultatu. Japońska okupacja tego miasta miała trwać aż do roku 1945. Wtedy to właśnie, 18 sierpnia, wylądował w Harbinie sowiecki desant powietrzny pod dowództwem gen. Szełachowa.

Powstanie bokserów przyniosło Kolei Wschodniochińskiej ogromne straty. Zniszczono blisko tysiąc kilometrów torów, spalono i obrabowano wiele stacji. Z 1400 już wybudowanych torów ocalało tylko 430 km. Zerwano linie telegraficzne, a słupy ścięto. Rozkradziono druty, a nawet haki do izolatorów.

Największym problemem było zniszczenie większości parowozów i wagonów. Mimo to już w 1901 roku wszystkie tory kolejowe doprowadzono do porządku, wyremontowano uszkodzone parowozy i wagony.

Mimo tych opóźnień faktyczne zakończenie budowy tej kolei nastąpiło przed planowanym terminem. Najwcześniej, 5 lutego 1901 roku połączono odcinki budowane na linii wschodniej (od strony granicy z Rosją) oraz ten od strony Harbina. W październiku tego roku połączono też odcinki linii zachodniej budowane od granicznej stacji Mandżuria i Harbin. Budowa Kolei Wschodniochińskiej dobiegła końca, a 1 lipca 1903 roku przekazano ją uroczyście nowo utworzonemu Zarządowi Kolei w Harbinie.

Powrót Aleksandra do Warszawy

W tej ostatniej części przygód mego pradziada oddamy głos jemu samemu na bazie zachowanego notatnika, który prowadził wracając z Mandżurii drogą

lądową. Była to droga licząca blisko osiem tysięcy kilometrów i niesłuchanie uciążliwa z uwagi na to, że budowa kolei wschodniochińskiej i transsyberyjskiej nie była jeszcze ukończona. Miała trwać wiele tygodni, ale był to powrót do ukochanej żony i synów nie widzianych od trzech lat. Aleksander miał wybór, mógł poczekać we Władystoku na statek floty ochotniczej do Odessy. Ale odpływał on dopiero za miesiąc, a perspektywa tak długiego oczekiwania w nie lubianym i drogim mieście nie była zachęcająca. Podobnie, jak perspektywa długiego rejsu przez morza i oceany. Znał tę drogę, był kolejarzem, a nie marynarzem, wybrał zatem drogę lądową do swojej rodziny, a zaraz potem już razem, drogę do stolicy swego zniewolonego kraju ojczystego.

Sięgam zatem po liczący sobie blisko 120 lat notatnik Aleksandra, który w odróżnieniu od pamiętnika, jest niewielkich rozmiarów, a pismo drobniejsze, głównie po rosyjsku, często pisane ołówkiem, a więc trudne do odczytania. Razem z Aleksandrem do wyjazdu przygotowywała się grupa budowniczych, którym także kończył się trzyletni kontrakt, a którzy wybrali lądowy wariant podróży. Z głębi Chin zaczęły docierać niepokojące wieści o buntach, napadach na kościoły i mordowaniu misjonarzy oraz nawróconych Chińczyków. Ponieważ jednak w tym kraju niemal zawsze tliły się lokalne bunty i zamieszki, nikt nie spodziewał się, że zagrożona może być budowa Kolei Wschodniochińskiej. Nikt w Mandżurii nie słyszał o tajnym stowarzyszeniu Yihequan, choć działało ono już od dwóch lat. Nazwa to znaczyła "pięść w imię sprawiedliwości o pokoju", co w późniejszym okresie dało im miano bokserów. Ich ideologia była prosta- cudzoziemców określano jako "kosmatych osobników pierwszego stopnia", drugi stopień stanowili chrześcijańscy konwertyci, a trzeci ludzie korzystający z towarów z zagranicy. Wszyscy ci "kosmaci osobnicy" mieli zostać zlikwidowani. I właśnie wiosną 1900 roku stała się widownią pierwszych mordów i marszu zbuntowanych bokserów na Pekin oraz na północ w kierunku Mandżurii. Wiemy czym się to zakończyło, Aleksandrowi kontrakt skończył się jednak w samą porę i krótko przed zamieszkami w Mandżurii opuścił ten kraj.

Wpierw nastąpiło rozliczenie z zarządem budowy kolei, Aleksander Jugowicz oprócz przysługującego wynagrodzenia dodał jeszcze sowitą premię i zaliczkę na koszty podróży. Kwoty te podałem w poprzednim e-booku. W każdym razie na utrzymanie rodziny w Wolsku poszło przez trzy lata 3.800 rs., czyli nieco ponad 100 rs na miesiąc. To starczało Zofii, gdyż żywność była tania, czynsz za mieszkanie niski, dochodziły jedynie opłaty za naukę Wacława w Szkole Morskiej w Odessie i Stefana w szkole realnej.

Przed wyjazdem Aleksander zrobił przegląd rzeczy, które zabrał ze sobą wyjeżdżając z Odessy 3 lata temu. Z 13. koszul z jedwabnymi gorsami zostały mu

tylko dwie, a z 6. koszul białych żadna. Maniszek, czyli półkoszulek (sztywny gors z kołnierzykiem wkładany na koszulę) zabrał z sobą 9, a pozostały 4. Wielokrotnie prana bielizna zużyła się prawie całkowicie. Kołdra i siennik zbutwiały od wilgoci jeszcze w czasie podróży morskiej, a jedną parę butów pożarły szczury. Z pięciu par spodni pozostały dwie i to łatanne. Mało noszone tużurki można było zabrać z powrotem do domu. Czapka karakułowa i kapelusz filcowy były do dyspozycji, podobnie jak sakpalto. Do zapakowania ocalałych rzeczy osobistych oraz prezentów zabieranych z Chin musiał wystarczyć duży kufer podróżny i podręczna, biała walizka. Z cennych rzeczy zabranych z domu miał Aleksander złoty wisiołek "Wiara, Nadzieja, Miłość" na srebrnym łańcuszku, podarunek od Zosi, nowy zegarek kieszonkowy oraz ślubną, złotą obrączkę. Pamiętamy także o mosiężnym krzyżyku, który jest obecnie w posiadaniu autora.

Zabrane z sobą książki, czyli "Quo Vadis" Sienkiewicza w zeszytach oraz rosyjską "Dwa razy dookoła Chin" pozostawił kolegom, którzy nie wyjeżdżali z Mandżurii. Zabrał tylko książeczkę do nabożeństwa i swoje notatki, które szczęśliwym zrządzeniem losu ocalały i pozwoliły na odtworzenie przygód Aleksandra. Do kufra powędrował też angielski hełm tropikalny nabyty w Port Saidzie. Natomiast z rzeczy nabytych w Chinach trzeba było zapakować.

- pięknej roboty łuk z zdobnym kołczanem,
- ciężki miecz bogato zdobiony
- fajka wodna , tytoń do niej i papier do zapalania
- fajka do opium z przyborami i kilka kawałków opium
- woreczek z korzeniem żeń-szenia,
- warkoczyk ściętego hunchuza
- kompletny ubiór chiński damski i męski
- pierścionek ze szlachetnym kamieniem i srebrne kolczyki
- różne monety i banknoty chińskie
- zamki wiszące chińskie (trudno określić, co to było?)
- wódka chińska suli w ozdobnym dzbanku ceramicznym
- komplet chińskich przyborów do pisania tj. pędzelek i tusz w kawałkach
- pończochy i skarpetki chińskie
- ilustrowana książka chińska
- ofiarne świece czyli trociczki zapachowe
- poroże żubra (raczej pojedyncze rogi i bawołu?)
- zielona herbata
- figurki bożków chińskich z kamienia lub z metalu
- przyprawy kuchni chińskiej
- tuzin przepięknych wachlarzy

- woreczek peret
- buty w deseń
- stare lustro chińskie z brązu.

Przez otchłań niemal 120 lat i kilku wojen ocalał pamiętnik i notatnik, stary banknot chiński i krzyżyk mosiężny. Wiadomo, że niektóre z wymienionych tutaj przedmiotów znajdował się w gdyńskim mieszkaniu syna Wacława, którego Niemcy wysiedlili w październiku 1939 roku do Generalnej Guberni.

Można sobie wyobrazić, że pięknie zdobiony miecz chiński zabrał ze sobą jakiś gestapowiec lub funkcjonariusz NSDAP uciekając z Gdyni na statku "*Gustloff*" i spoczął razem z nim na dnie Bałtyku w mroźną, zimową noc 31 stycznia 1945 roku. Tak się spokojnie pakował Aleksander, a miał jeszcze kilka rzeczy, których w tym spisie nie ma. Przede wszystkim 470 srebrnych dolarów meksykańskich oraz kilka samorodków złota. Wiemy skąd się wzięły, gdyż tajemnicę tą poznali synowie, kiedy składali złoto w banku pod zastaw kredytu pod budowę kamienicy w Gdyni. W zachowanych w księdze wieczystej dokumentach jest mowa o "*kaucji w złocie*", na podstawie której Bank Gospodarstwa Krajowego udzielił synom Aleksandra kredytu w wysokości 75 tys. zł w dniu 30 czerwca 1930 roku. Wszystko jest jasne i oczywiste w tej kwestii, ale nawet członkowie rodziny autora o tym nie wiedzą, jeśli nie czytają materiałów genealogicznych publikowanych w internecie.

Niestety bracia Niewiarowicz niedługo cieszyli się posiadaniem kamienicy w Gdyni przy reprezentacyjnej ulicy Świętojańskiej. Przyszła wojna, wysiedlenia, utrata dorobku kilku nieraz pokoleń. Po wojnie władze komunistyczne nie uznawały prywatnej własności, same narzucały lokatorów i ustalały czynsze niepokrywające kosztów utrzymania domu.

Tymczasem Aleksander przygotowywał się do dalekiej podróży wraz z grupą innych budowniczych, z którymi razem miał się udać konno do Harbina. Było ich 20., a jako eskorta miało jechać 6. konnych Kozaków. Było też kilka wozów z bagażami i rynsztunkiem obozowym. Podróż do Harbina miała potrwać 6 dni. To miasto trzy lata wcześniej praktycznie nie istniało. Przypomnijmy, jak wyglądała ta okolica w kwietniu 1898 roku. Inżynier Szydłowski zobaczył tam, gdzie powstało centrum miasta wioskę składającą się z dwóch lub trzech chat i taką samą wioskę w późniejszej dzielnicy chińskiej Fudziandzian. Bliżej rzeki stał na wzniesieniu nieduży fort drewniany. Nie było tam nic, gdzie można by było ulokować biura Zarządu Kolei. W końcu trzeba się było zdecydować na starą chińską gorzelnię Sian Fan, która obrabowana przez hunchuzów stała nieczynna. Jej zasadniczą wadą była znaczna odległość od rzeki (9 km), gdzie miały przybijać statki zarządu kolei. Po upływie zaledwie dwóch lat Harbin był już miastem liczącym sobie kilka tysięcy

mieszkańców, z których większość mieszkała w dzielnicy chińskiej. Działały sklepy z artykułami spożywczymi, w 1899 roku powstał kolejowy urząd pocztowy oraz szkoła. Tak w tym czasie wyglądała Przystań z magazynami i kantorami.



21. Przystań - dzielnica Harbina

Nie było jeszcze wielkiego mostu przez Sungari (rozpoczęto jego budowę), ale liczna była flota statków kolejowych. Oddajmy więc głos Aleksandrowi.

Dzień Pierwszy (12 kwietnia 1900 r.)

Opuszczam Giryn i udaję się w drogę do mojej ukochanej Zosi oraz drogich synów Wacka i Stefcia. Przede mną daleka droga, ale serce już się cieszy, że ujrzę znowu moich najdroższych. Zima była ciężka, trzymał mróz do 26 stop. Śniegu było dużo, szczególnie wypadł duży śnieg w końcu lutego. 12 grudnia 1899 roku silnie zachorowałem na okropny ból w prawym boku. Przez tydzień nie mogłem się ruszać, ale w końcu przeszło. Teraz jest wiosna, wszystko kwitnie, a tajga mandżurska wygląda zielona i kwitnąca.

Nasza kompania to 20 osób razem z Kozakami, nie liczę woźniców chińskich, którzy prowadzą arby z naszymi bagażami i namiotami. Przed nami 300 wiorst drogi do Harbina, nowego miasta nad Sungari, które pobudowała kolej.

Dzień Drugi (13 kwietnia 1900 r.)

Nasza kompania zatrzymała się na postój nocny na dużej polanie, jest to górka, więc w miarę suchy teren, gdzie rozstawiliśmy nasze namioty. Wystawiliśmy strażę, jeden Kozak i jeden kolejarz. Wczesnie rano pobudka i ruszamy w dalszą drogę. Na przedzie naszego orszaku jadą Kozacy, w środku wozy, a potem my też na koniach. Jedzie z nami agent Somers, który udaje się do Władywostoku, kilku Rosjan jedzie do Chabarowska. Tylko ja i inżynier Makowski pojedziemy razem, ja do Wolska, a on do Syzrania do chorej żony.

Dzień Trzeci (14 kwietnia 1900 r.)

Wyjechaliśmy z tajgi na równinę, padał deszcz i nasze arby grzęzły w błocie. Konie już zmęczone, jedziemy dzień w dzień od rana do zachodu słońca z rzadka odpoczywając. Dzisiaj ustrzeliłem kilka jarząbków i kuropatwy, będzie na kolację. Makowski strzelał do sobola, ale nie trafił. Pięknie kwitną czeremchy, ptaki ogłuszają śpiewem. pod koniec dnia znowu lesie, teren górzysty, minęliśmy mały wodospad na dużym strumieniu. Miałem warte do północy, potem twardo spałem. Podobno pod nasz obóz podchodził tygrys, rano Kozacy widzieli jego świeże ślady.

Dzień Czwarty (15 kwietnia 1900 r.)

Wyjechaliśmy o 7.00, połowa drogi już za nami. Makowski, który był w Harbinie i nadzorował tam budowę pierwszych, prymitywnych jeszcze domów mieszkalnych. Powstawały one zwykłą, chińską metodą, ale stawiano europejskie piece, drzwi, okna itp. Sufity były oklejane papierem, ramy robiono pojedyncze z konieczności oszczędzania szkła okiennego. Natomiast sposób budowy był następujący: wkopywano do ziemi słupy z gotowymi belkami wzdłużnymi i poprzecznymi o długości 3 sążni. Na miejscu wyrabiano samam, czyli mieszankę gliny, sieczki ze słomy i nawet zwykłego nawozu. Z tej mieszanki robiono cegły, tyle że półtora razy większe. Pracowali przy tym Chińczycy, których dostarczał wykonawca Cai Linbi.

Dzień Piąty (16 kwietnia 1900 r.)

Jeden z Kozaków ustrzelił dzisiaj kabargę. To taki mały jelonek bez rogów wielkości psa. Samce mają długie kły, jak dziki zupełnie. Ich piżmo jest bardzo cenne dla chińskich medyków.



22. Kabarga-piżmowiec syberyjski

Makowski mówi, że w Harbinie od grudnia 1898 roku działa już szkoła, do której chodziło niedawno 50-60 dzieci. Szkołę założył Iwan Stiepanow, a uczyła pani Pawlewska, żona rotmistrza Pawlewskiego, który przybył z inż. Szydłowskim. Wieczorowo uczyli się tutaj rosyjskiego Chińczycy (ok. 40), którzy byli potrzebni kolei, jako tłumacze. Pytałem Makowskiego o bank, mówi że jest niedawno otwarty oddział Banku Rosyjsko-Chińskiego choć za siedzibę mają zwykły barak. Dyrektorem jest Polak Stanisław Gabriel. Noc niespokojna, z daleka słychać było strzały, spałem tylko ze 3 godz.

Dzień Szósty (17 kwietnia 1900 r.)

Wyjechaliśmy z noclegu przed 7.00, dzień słoneczny, zapowiada się upał. Musimy dzisiaj przejechać ponad 50 wiorst, aby wieczorem być w mieście. Koło południa napotykamy zbrojny oddział oberwańców na koniach, było ich z 15. Byli to żołnierze chińscy, rzekomo polowali na hunchuzów, ale oni się od bandytów niewiele różnią. Trzymaliśmy broń w gotowości, esauł rozmawiał przez tłumacza z

ich dowódcą, w końcu ruszyliśmy dalej. Kto wie co mogłoby się zdarzyć, gdyby nie nasze dobre uzbrojenie. Oni mieli tylko kapiszonówki kaliber 4 i jakieś stare muszkiety z zamkami lontowymi. O 9.00 wieczór wjechaliśmy cało i zdrowo do Harbina i zatrzymaliśmy się na terenie zarządu kolei, gdzie wcześniej była chińska gorzelnia. Było tam ze 30 fanz, które służyły za biura, magazyny, stajnie i mieszkania. Zabraliśmy z Makowskim nasze bagaże i poszliśmy do fanzy, gdzie stały 4 piętrowe prycze. Nocował z nami Somers, który mówił, że w mieście (a to jeszcze z 9 wiorst) jest już hotel, ale bardzo prymitywny i zawsze brakuje miejsc. Dlatego kolej ma tutaj ok. 20 miejsc na noclegi dla swoich pracowników, chociaż żadnych wygód nie ma. Zmęczeni podróżą zjedliśmy skromną kolację o poszliśmy spać bez obaw o dzikie zwierzęta i hunchuzów.

Dzień Siódmy (18 kwietnia 1900 r.)

Znowu ból w prawym boku, zostałem w łóżku i przespałem cały dzień. To skutek ciężkiej jazdy, ale mam to już za sobą. Teraz już na konia nie wsiądę, chyba aby pojechać do miasta. Z biura zarządu mówią, że Chińczycy znowu się burzą, jakieś tajne sekty podburzają przeciwko cudzoziemcom. Dobrze, że wracam.

Dzień Ósmy (19 kwietnia 1900 r.)

Musimy czekać na statek pocztowy kolei, nie wiadomo kiedy przybędzie. Lody ruszyły, ale kry na Amurze i Sungari jeszcze sporo. Dzisiaj pojechałem konno do miasta, trudno się tam poruszać takie błoto, a tylko na niektórych ulicach chodniki drewniane. Poszukałem fryzjera, dałem się ogolić i przystrzyc włosy i wąsy. Wszędzie coś się buduje, Makowski pokazał mi rozpoczętą budowę Klubu Kolejowego. Piętrowy gmach, jedno skrzydło ukończone, reszta w budowie. Widziałem sklep perfumeryjny, cukiernię i masarnię. Chciałem się pomodlić przed dalszą drogą, ale kościoła katolickiego jeszcze nie ma. Makowski pokazał mi drogę do cerkwi, ale też nie miała budynku, tylko mieściła się w prywatnym mieszkaniu popa. Miał mały ołtarzyk w dużym pokoju, zmieścić się tam mogło najwyżej 20 osób.

Dzień Dziewiąty (20 kwietnia 1900 r.)

Nadal nie wiadomo, kiedy przyplynie statek pocztowy. Musimy cierpliwie czekać. Wieczorem w kafe-szantan wypiliśmy trochę, były występy i śpiewy przy pianinie. Kawiarnia zatłoczona niemożliwie, ciemno od dymu tytoniowego. Goście to głównie Rosjanie, część w mundurach Straży Kolejowej, Kozacy i kolejarze. Chińczyków niechętnie tu wpuszczają, oni mają swoje palarnie opium w Fuziandzian.

Dzień Dziesiąty (21 kwietnia 1900 r.)

Tutaj urywają się zapiski Aleksandra dotyczące oczekiwania na statek w Harbinie. Pisze nadal codziennie, ale skoncentrował się na opisie leczniczych właściwości korzenia żeń-szeń. Przy okazji dowiadujemy się o długim pobycie Aleksandra w głębokiej tajdze, o czym nie ma mowy w głównym pamiętniku. Zamieszczam te zapiski, chcąc być wierny chronologii tych notatek.

22 kwietnia - 2 maja 1900 r.

Jeden korzonek włożyć do butelki i nalać mocną wódką, niech postoi tydzień, a potem pić po 2 kieliszki na dzień. W ten sposób można nalewać na jeden korzonek wódki 5 lub 6 razy po pełnej butelce, jak również można go jeść co dzień w małej dozie, mianowicie jeden korzonek rozdzielić na 15 części i co dzień po jednej cząsteczce na czczo zjadać. Ten korzonek ma dawać cudowne rezultaty w zdrowiu, tak twierdzą całe chiny i takowy w ogromnym użyciu u chińczyków, a który rośnie wyłącznie we Wschodniej części w Chinach tj. w Mandżurii.

Ten korzeń żeń-szenia rośnie w dzikich i górzystych lasach. Chińczycy chodzą co rok szukać go w dzikich lasach nad przepaściami i na niebotycznych górach leśnych. Niektórzy, specjalnie leśni myśliwi, którzy całe życie spędzają w głuszy leśnej polując na zwierzynie, a jednocześnie szukają żeń-szenia przez cały swój wiek i nie znajdzie korzenia człowieka, gdyż jest bardzo rzadki. A razem ze szpikiem tygrysa uleczy każdą chorobę. Ludzie mówią, że szukać należy tam, gdzie spadła gwiazda, ale to nieprawda. Lecz bywają szczęśliwcy, że znajdzie go choć jeden korzonek, to wtedy odrazu stają się bogaczami. Za każdą sztukę wszech leku kupcy płacą złotem - pięć razy, dziesięć razy więcej niż waży Korzeń Życia. Tym bardziej płacą, jeśli korzeń jest stary, bo on może żyć w ziemi nawet do 100 lat. Chińczycy potrafią dokładnie rozpoznawać ile ma lat ten korzeń i czy w dzikim stanie, czy hodowany w plantacji. Otóż jeśli rośnie w dzikim stanie i ma ok. 50 lat, to za jeden korzonek płacą około 10.000 funtów, co się równa na nasze pieniądze

2.000 rs. Jeśli ma więcej niż 50 lat, to każdy rok nad 50 lat podnosi jego wartość o tysiąc łan. Kupują na dwór cesarski chiński, bogaci, gubernatorzy i mandaryni, w ogóle magnateria chińska. Ten żeń-szeń, który kupiłem dla siebie nie jest dziki, lecz hodowlany w plantacji. Chińczycy, przeważnie we Wschodnich Chinach, w głuszach leśnych zakładają plantacje żeń-szenia. Nadzwyczaj trudne hodowanie jego, tylko cierpliwość chińska może tego dokonać. Otóż go sieją nasieniem, całe lata go pielęgnują i wykopują go z ziemi nie wcześniej, jak po 5. latach. A starszego z plantacji trudno dostać, najwyżej 10. letniego. I ten żeń-szeń, choć jest naturalny lecz przygotowany ręką ludzką, nie jest bardzo drogi, bo płaci się za jeden korzonek 10. letni 10 dian tj. 5 rs. Hodowany nie ma tej własności i siły, jak dziko rosnące. Nasi, Europejczycy i doktorzy nie wierzyli w ów zbawienny korzeń, lecz przekonali się teraz bo była próba. Że rzeczywiście ów korzeń, nie mówiąc o dzikim, ale o hodowanym w plantacji przy systematycznym zażywaniu, chociaż pół roku takiego moczonego w wódce i pijąc po 2 kieliszki dziennie, dodaje bezwarunkowo energii i wzmacnia cały organizm. Szybko przybywa krew, niszczy wady sercowe i cudownie działa na uspokojenie nerwów.

Otóż mieszkając w Niań-niań-go, o 700 wiorst od Girynia, w zupełnie bezludnej, dzikiej, leśnej okolicy, gdzie się na tysiące wiorst rozścięła las od granicy z Koreą, aż do granicy ruskiej i Syberii. Tajga bez końca, dzika i bezludna. Tam byliśmy delegowani, nasza partia do pobudowania kilku domów dla poręby. Stąd szły materiały do budowy kolei.



Маньчжурія.—Mandjurie. № 2.
Домик русских рабочих на восточн. линіи В.-К. ж. д.

23. Baraki mieszkalne dla drwali w tajdze mandżurskiej

Otóż już mieszkaliśmy piąty miesiąc, kiedy o 10 wiorst od naszego obozu znaleźliśmy w głębokim parowie małą, górską rzeczkę szumiącą bystro wśród tej tajgi dziewiczej. Był tam kawałek wyciętego lasu i na tej polance postawił sobie jeden Chińczyk fanzę, w której mieszkał od 30. lat. Zajmował się on polowaniem i hodowlą żeń-szenia. To właśnie od niego kupiliśmy wszyscy tego korzenia, ja także kupiłem taki 10. letni za 40 dian, tj. za 20 rs. kilka korzonków. Jeden korzonek zjadłem w przeciągu 10. dni i rzeczywiście czuję się niby odrodzonym żywotnie, siły znacznie się wzmocniły, a zatem wierzę w niego i wiozę do domu na próbę dla wybranych osób.

Dzień Dwudziesty Drugi (3 maja 1900 r.)

W końcu przyłynął nasz kolejowy parochod, mówią że napadli go hunchuzi i dlatego miał spóźnienie. Oni potrafią podpłynąć nocą dżonkami i napaść na załogę, gdyż często przewożą cenne towary i przesyłki, a nawet złoto. Dlatego mają uzbrojoną ochronę Straży Kolejowej, na nadbudówce worki z piaskiem, dla ochrony przed kulami, a nawet małą armatkę. My z Makowskim nic nie płacimy za przejazd, tylko musimy się sami wyżywić. Dlatego zrobiliśmy zapasy w naszym kolejowym sklepie spożywczym, gdzie zaopatrzenie szło głównie z Chabarowska i Władywostoku. Mimo to ceny nie były wiele wyższe niż w Rosji, gdyż książe Stefan Chiłkow ustalił, że za transport towarów zapłaci kolej. Chińskie sklepy nie miały mleka, sera, mąki ani różnych kiełbas tylko swoje obrzydliwe produkta. W sklepie rządził Polak Jan Haller, który był posieleńcem po odbyciu katorgi na Syberii. Do Warszawy skąd go zabrali na zesłanie wrócić nie mógł, wziął Rosjankę za żonę i razem prowadzili ten sklep.



24. Statek pocztowy kolei

Dzień Dwudziesty Trzeci (4 maja 1900 r.)

Po południu ruszył nasz stateczek z byle jakiego portu, właściwie tylko pomost z desek zбитy. Wpierw wyładowano z niego worki i skrzynie z różnymi towarami i zaopatrzeniem dla budowy kolei. Widziałem też pulomioty i armaty dla wojska i ochrony kolei. Wszystko to Chińczycy na plecach nosili, ładowali na arby i do magazynów. Potem był załadunek i na końcu wsiedliśmy z Makowskim i resztą kolejarzy, którzy jechali do Chabarowska i do Władywostoku. Somers nie wsiadał, bo dostał depeszę od Webera, że ma wracać do Giryńia.

Dzień Dwudziesty Czwarty (5 maja 1900 r.)

Na tym statku swoją kajutę ma tylko kapitan, dla pasażerów są dwie kajuty, a w każdej stoi po 5 podwójnych prycz. Załoga i ochrona śpi na zmianę w hamakach na dole. Płyniemy do ujścia Sungari do Amuru, gdzie jest przystań w Michajło-Siemionowsku. Od Harbina to jest 800 wiorst do przebycia.

Dzień Dwudziesty Piąty (6 maja 1900 r.)

Sungari wezbrana po wiosennym zejściu lodu, a zamarza na pół roku prawie. Ten lód się z rzeki wyrąbuje, wywozi na saniach końmi wielkie bloki i robi różne spiżarnie itp.



25. Pozyskiwanie lodu z rzeki Sungari w Harbinie

Dzień Dwudziesty Szósty (7 maja 1900 r.)

Zbliżamy się do ujścia Sungari do Amuru. Na szerokiej po horyzont rzece widać coraz więcej dżonek, małych parochodów i łódek na wiosła. Pogoda słoneczna, dzisiaj staliśmy 50 m od brzegu nie wiadomo dlaczego. Podobno coś naprawiali w maszynowni. Wojskowi wleźli na nadbudówkę w pełnym uzbrojeniu na wypadek ataku hunchuzów, bo to dla nich okazja. Myśmy już broni nie mieli, musieliśmy ją zdać przy wyjeździe z Harbinu. Z nudów łowiliśmy ryby na wędkę, którą zrobił prowizorycznie Makowski. I to on złapał dużą rybę podobną do karpia, takich u nas w Wołdze nie ma, widać to jakiś chiński karp. Kucharz za 50 kop. obiecał nam ją przyrzędzić, bo mamy dość suchego prowiantu.

Dzień Dwudziesty Siódmy (8 maja 1900 r.)

Dzisiaj przybiliśmy do brzegu na przystani w Michajło-Siemionowsku. Mała to osada kozacka (nazwa od ich atamana), jakieś magazyny, warsztaty, kilka fanz, dosyć długi pomost, gdyż tu przesiadka na prywatny parochod pocztowy.

Makowski mówi, że Amur zdobywali Kozacy w czasie wojny krymskiej, pozakładali stacje i walczyli z Chińczykami i Mandżurami. Białowieszczeńsk, do którego teraz popłyniemy, też był wojskową stacją kozacką, a teraz to już miasto.

Dzień Dwudziesty Ósmy (9 maja 1900 r.)

Teraz płyniemy Amurem, rzeka jeszcze większa od Sungari, a nawet może i od Wołgi. Podróż będzie lepsza, są tutaj kabiny I i II klasy oraz całodzienne wyżywienie. Statek większy od kolejowego i wygodniejszy. Nie widać wojskowej ochrony, ale podróżuje sporo wojskowych. Wzięliśmy z Makowskim bilety II klasy po 9 rs. za całe 700 wiorst, a za życie płaciło się po 2 rs. za dzień.

Dzień Trzydziesty (12 maja 1900 r.)

Nic się ciekawego w drodze nie działo tyle, że było pochmurno i padał deszcz prawie całą drogę. Dopłynęliśmy do Białowieszczeńska wieczorem i nocowaliśmy na rzece.

Dzień Trzydziesty Pierwszy (13 maja 1900 r.)

Dzisiaj ruszyliśmy w górę Amuru, tutaj rzeka już nie taka szeroka i nasz parochod też mniejszy. Celem podróży jest Strebińsk odległy o 1.170 wiorst. Bilet II klasy kosztował 18 rs. i za jedzenie po 2 rs. dziennie. Wy płynęliśmy w południe po załadowaniu towarów i poczty. Pogoda pochmurna, ale nie pada. Mieszkamy w II klasie we czterech, bo oprócz Makowskiego i mnie jedzie stary pop i Rosjanin około lat 50. Pop modli się i śpiewa jakieś religijne pieśni, czym doprowadza Makowskiego do szału.

Dzień Trzydziesty Drugi (14 maja 1900 r.)

Nasz parochod miał dzisiaj postój w małej osadzie, gdzie wyładował i zabrał pocztę, potem płynęliśmy dalej. Było gorąco, niebo bez jednej chmury. Rosjanin Misza opowiadał, jak jego ojciec sam zbudował most przez rzekę, bo sąsiad drogę do pola zagroził. Trzy lata z drewna i kamieni budował ten most. Pierwszego roku przyszła powódź i most zmyła. Na drugi rok przychodzi żandarm i pyta ojca -Co wy tu stroicie? - A most-odpowiada ojciec.-Bumaga ot starszyny (znaczy wójta w gminie) jest? -Niet-powiada tata. -Co wy sumaszedszyj?-mówi żandarm. -Ja mam z czego sojti-powiedział ojciec-a wy użę niet. No i trafił do tiumry na miesiąc, zapłacił

karę i dalej budował. Twardy z niego człowiek był i uparty. Ludzie go nazywają mostem wariata od tego sumaszedszego!

Dzień Trzydziesty Trzeci (15 maja 1900 r.)

Makowski zachorował w nocy, bolał go brzuch i karmił ryby za burtą. Nie chce śniadania, pije tylko gorący czaj. Dałem mu kawalek żeń-szenia, może coś pomoże. Rejs do Streteńska trwał 11 dni, w tym czasie Aleksander nic nie zanotował. Zapiski wznawia 24 maja, tj. w 44. dniu swojej powrotnej podróży. Nie datuje już swoich zapisków, ale podaje ilość przejechanych wiorst i czas, jaki upłynął i na tej podstawie można dokładnie określić, gdzie i kiedy przebywał.

Dzień Czterdziesty Czwarty (24 maja 1900 r.)

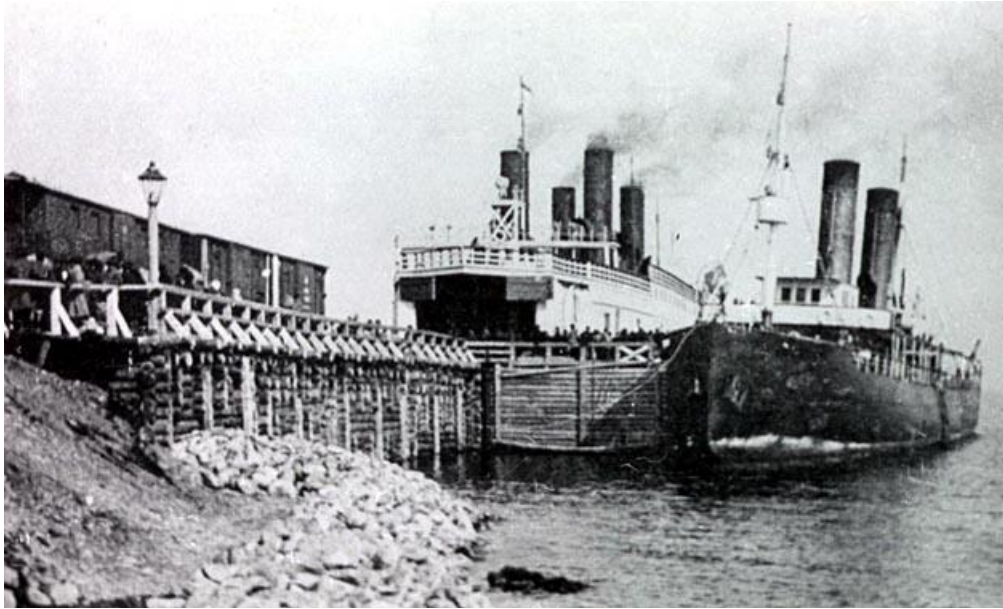
Teraz czekamy z Makowskim w Streteńsku na pociąg specjalny. Ta linia do Bajkału jest w budowie, ale jest czasowo dopuszczana dla ruchu towarowego (wremiennie dwiżenije). Ale okazało się, że za bilet musimy zapłacić, jak za przejazd IV klasą 18 rs., 50 kop. Końcowa stacja to Mysowsk już nad brzegiem Bajkału. Odległość 1033 wiorsty jechaliśmy kilka dni. Niezbyt wygodnie, kryte wagony towarowe nie miały nawet wychodka, ale pociąg często stawał, a w Czycie staliśmy 6 godzin. Kupiłem tam coś do jedzenia, bo nam się suchy prowiant kończył. Podróż do Mysowska trwała 4 dni. Przyjechaliśmy pod wieczór 28 maja. To duża stacja, tu pociągi czekają w kolejce na przewiezienie do Listwianki na drugi brzeg Bajkału. Tych promów było zbyt mało, bo tylko dwa, a trzeba było przewozić pięć par pociągów z każdego brzegu. Jak mówi Makowski już rozpoczęto budowę torów wokół jeziora, ale parę lat to potrwa, gdyż tereny bardzo trudne do budowy.



26. Stacja kolejowa Mysowsk w r. 1900

I znowu kończą się regularne zapiski Aleksandra, Dalej mamy już tylko miejscowości i odległości, zatem zostaną one omówione w dalszej części.

Jak widać na zdjęciu z tego okresu Mysowsk (od 1941 r. Babuszkin) był sporą stacją kolejową o rozbudowanych torowiskach, gdyż składy musiały tutaj oczekiwać na przeprawę promową. Tych promów było zbyt mało, a dodatku często występujące sztormy i mgły utrudniały ich kursowanie. Zimą Bajkał pokryty był grubą warstwą lodu, więc prom musiał być jednocześnie lodołamaczem o dużej zdolności do kruszenia lodu. Do wnętrza takiego promu wjechał pociąg z Aleksandrem i nadal nie był to normalny ruch pasażerski podług rozkładu jazdy, a kursowanie okresowe do Irkucka. Jak wyglądała przystań promowa i wjazd pociągu na prom można zobaczyć na poniższym zdjęciu. Przeprawa w czasie wolnym od zalodzenia nie trwała długo, do Listwianki prom płynął 6 godzin, ale sam załadunek i wyładunek trwał drugie tyle. Dalej do Irkucka 60 wiorst tylko. Dalej linia transsyberyjska funkcjonowała już normalnie.



27. Prom kolejowy przez Bajkał w r. 1900

Z Irkucka do Samary rekordowo długa odległość licząca sobie 3.990 wiorst, bilet II klasy kosztował 48 rs., a czas podróży to 7 dni i nocy. Dopiero w tym miejscu dowiadujemy się, że Aleksander miał z sobą bagaż o wadze 2 pudy i 20 funtów (nieco ponad 40 kg) i na tym najdłuższym odcinku zapłacił za jego przewóz 8 rs. Z Samary do Wolska znowu przesiadka na statek pasażerski kursujący po Wołdze, a dystans ok. 200 wiorst za 2,5 rs. Tam na przystani czekała na niego żona Zofia z synem Stefanem, wówczas 16. letnim. Była godzina 2 po południu, 16 czerwca 1900 roku. Od chwili wyjazdu z Mandżurii upłynęły dwa miesiące.

Lato rodzina Niewiarowiczów spędziła w Wolsku, była to w końcu okazja, aby wszyscy byli razem, choć Wacek wpadł na krótko, gdyż miał praktyki na statku. Dla Aleksandra był to tak potrzebny odpoczynek po trzech pracowitych latach spędzonych w Mandżurii na budowie kolei. Wiemy, jak niebezpieczna była to wyprawa dla zdrowia i życia, ale i tak miał on wielkie szczęście. W czasie, gdy wypoczywał w Wolsku w otoczeniu rodziny, w Chinach rozpałiło się powstanie bokserów, a kolej którą budował była niszczone i dewastowana. Sam Harbin przeżywał w lipcu opisane tutaj oblężenie, które szczęśliwie nie skończyło się rzezią mieszkańców. Pierwszą ofiarą bokserów wśród urzędników Kolei Wschodniochińskiej był chiński prezes zarządu towarzystwa Hsu Tsingczeng, którego powstańcy przepiłowali żywcem drewnianą piłą. Po objęciu w 1903 roku stanowiska naczelnika kolei generał Horwat polecił zbudować pamiątkowy obelisk

ku czci Hsu na granicy między Nowym Miastem, a chińską dzielnicą Harbina Fu dziandzianem. We wrześniu 1901 roku podpisano w Pekinie Protokół Końcowy, który nakładał na Chiny obowiązek zapłaty kontrybucji w wysokości 450 milionów łań srebra, co było kwotą olbrzymią. I nigdy nie zapłaconą, gdyż cesarstwo upadło 10 lat później.

Dzięki udziałowi w budowie kolei w Mandżurii Aleksander zyskał niezależność finansową i już na zawsze uwolnił się od konieczności zabiegania o marnie płatne posady kolejarskie. Kapitał zdobyty w Chinach został przede wszystkim ulokowany w bezpiecznych obligacjach rządowych oprocentowanych w skali 4% rocznie. Ponadto Aleksander wszedł w cichą spółkę z firmą budującą i remontującą linie kolejowe, gdzie zarabiał zarówno na wniesionym do spółki kapitale (11.358 rs.), jak też nadzorując prowadzone prace. Srebrne dolary meksykańskie były kapitałem rezerwowym, ale szybko zostały zbyte, a za uzyskane ruble zakupiono działkę z domem letniskowym w Falenicy pod Warszawą. Natomiast złoty skarb Aleksandra był kapitałem przeznaczonych dla synów Wacława i Stefana.



28. Samorodek złota

Te samorodki o zawartości ponad 90% czystego złota posłużyły do budowy kamienicy w Gdyni będącej po połowie własnością braci Niewiarowiczów.

Tak oto odwaga i samozaparcie mego pradziada wydobyły go ze skrajnego niedostatku i zapewniły kapitał dla kilku pokoleń rodziny, w tym także autorowi. Dzięki dochodom z kamienicy przeżyłem trudny okres bezrobocia po likwidacji mojego zakładu pracy w latach 1989-1995. A później zwiedziłem prawie cały świat, choć przede mną jeszcze jedna podróż-koleją transsyberyjską do Mandżurii śladami Aleksandra.

W Warszawie

Zupełnie nowy etap życia Aleksandra i jego rodziny zaczął się 13 września 1900 roku po przybyciu do Warszawy. Podróż z Wolska koleją tym razem była bezpłatna, rodzina otrzymała też bezpłatne kwity na bagaż.

po krótkim pobycie w "pokojach umeblowanych" trzeba było rozpocząć nowe życie we własnym gospodarstwie. Oto lista zakupów znajdująca się w notatniku Aleksandra.

- 3 łóżka żelazne - 12.00 (ruble)
- 2 materace - 8.00
- 5 stołów - 15.00
- 8 krzesel - 16.00
- 1 kanapa - 8.00
- 1 garderoba - 15.00
- 1 szafka na naczynia
- 12 talerzy - 4.00
- 4 rondle - 6.00
- 1 wiadro - 2.00
- 1 szaflik - 2.00
- 1 maszynka naftowa - 5.00
- 3 lampy - 5.00

To wszystko wylądowało w 4. pokojowym mieszkaniu przy ulicy Hożej 36, gdzie czynsz wynosił 21 rubli miesięcznie.

Od 28 września Aleksander pracuje dla swego cichego wspólnika inżyniera Niewiadomskiego w Siedlcach, gdzie spędza 2,5 miesiąca.

Jak widzimy podróż powrotna Aleksandra do rodziny była długa i najeżona niebezpieczeństwami. Szczęśliwie dotarł on do Wolska witany przez stęsknioną Zosię i synów Wacka i Stefana. W Warszawie życie rodzinne ustabilizowało się, a dzięki posiadaniu domu letniego w Falenicy uległo znacznemu wzbogaceniu. Każdy członek rodziny i krewny Eborowiczów, Szletyńskich, Chmielowskich czy

Niewiarowiczów uważał za miły obowiązek spędzenie kilku tygodni na tym podwarszawskim letnisku w zdrowym powietrzu przesyconym zapachem sosnowych lasów.



29. Aleksander z Zofią w Warszawie - 1900 rok

Dzięki kilku zachowanym fotografiom z początku XX wieku mamy okazję spojrzeć w twarze ludzi z tamtej epoki, którzy tkwili w tym rodzinnym kręgu związani nie tylko pokrewieństwem, ale także wspólnie prowadzonymi interesami. Moje wieloletnie badania genealogiczne doprowadziły do ustalenia późniejszych losów tych ludzi, a często także do zlokalizowania grobów ich samych i ich potomków.

Ostatnim znaczącym sukcesem było odkrycie nadal istniejącego grobu Zofii Niewiarowicz na cmentarzu w Wejherowie blisko 90 lat po jej śmierci. Dzięki temu

mogłą tą mogły zaopiekować się jej mieszkające w Gdyni prawnuczki. Możliwe stało się nawiązanie kontaktu z krewnymi naszej linii genealogicznej. Pojawiły się nazwiska Hunterów i Morskich związanych z rodem Ostermanów.



30. Grób rodzinny Gerrethów na Powązkach

CEL - EPILOG

Dalsze dzieje kolei na tym terenie wiązały się ściśle z jej militaryzacją w związku z konfliktami zbrojnymi związanymi z powstaniem bokserów, a potem z ekspansją Japonii na kontynent. Straż Ochrony Kolei w 1901 roku włączono w skład Specjalnego Okręgu Zaamurskiego pod nazwą Korpusu Straży Przygranicznej. Jednostka ta nie cieszyła się uznaniem wysokich wojskowych rosyjskich, którzy nadali jej ironiczną nazwę Gwardii Matyldy, gdyż takie imię nosiła żona ministra Wittego. Korpus podlegał bowiem bezpośrednio ministrowi finansów i dysponując znacznymi funduszami został szybko rozbudowany do sił 25 tysięcy piechoty, artylerii i kawalerii. Służyło tam wielu Polaków, zarówno oficerów, jak i szeregowców. Powodem tego stanu rzeczy była polityka cara, który po upadku powstania styczniowego wysyłał Polaków na najdalsze krańce swego imperium, aby pozbyć się zalążków ewentualnych ponownych buntów. W najbardziej oddalonych miejscowościach Turkiestanu, Syberii Zachodniej i Wschodniej oraz Mandżurii całe garnizony wojskowe pełne były Polaków. Nie wszyscy jechali tam, jak na zesłanie nie mając nadziei na powrót do rodzinnych stron. Rezerwiści Korpusu Straży Przygranicznej z Królestwa Polskiego mogli po odbyciu czteroletniej służby wojskowej pozostać w Mandżurii i otrzymać zatrudnienie na kolei w charakterze konduktorów, a nawet telegrafistów.

Zniszczenia po powstaniu bokserów szybko odbudowano i już w 1901 roku wszystkie tory kolejowe doprowadzono do stanu używalności. Problem był z lokomotywami, które dostarczane z Rosji nie były dostosowane do pokonywania długich odcinków między stacjami na trasie Kolei Wschodniochińskiej. Na szczęście

geologowie odkryli kilka złóż węgla i niektóre z nich zaczęto eksploatować, głównie na linii zachodniej. Specjalne składy węglowe rozwoziły wydobyty węgiel na składowiska wzdłuż trasy. Kolej potrzebowała też drewna do rozpalania palenisk oraz wody. Budowano wielkie zbiorniki na wodę deszczową w górach, którą rurociągami doprowadzano do wież ciśnieniowych na stacjach.

Woda stanowiła też problem innego rodzaju. Mandżurię przecinało siedem wielkich rzek, których szerokość przekraczała 500 metrów, a które leżały na trasie kolei. Trzeba było zbudować siedem wielkich mostów na solidnych fundamentach z betonu, aby wytrzymały ruch pociągów oraz częste powodzie. Na trasie Kolei Wschodniochińskiej zbudowano aż 912 mostów o konstrukcjach stalowych i 258 mniejszych, kamienno-betonowych mostów łukowych.

Tymczasem zaostrzała się wrogość pomiędzy Rosją, a Japonią. Jednym z jej powodów były stosunki z Koreą, do której Rosja wysłała w roku 1896 swoich doradców wojskowych. Japonia też reagował ostro przeciwko stacjonowaniu wojsk rosyjskich w Mandżurii, a także przeciwko dzierżawie Dalniego i Port Artur przez Rosję.

W rezultacie agresywnych działań Japonii Korea przekształciła się w jej protektorat. 24 stycznia 1904 roku Japonia zerwała stosunki dyplomatyczne z Rosją, a japońskie kutry torpedowe zaatakowały stojąca na redzie Port Artur eskadrę okrętów wojennych. Rosjanie stracili w tym ataku swa nowe pancerniki, krążownik i dwa inne okręty wojenne. Kilka godzin później nastąpił atak na koreański port Czempulo, gdzie stał rosyjski krążownik "Wariag" i inne jednostki. Wojna rosyjsko-japońska stała się faktem, a jej skutkiem była pełna militaryzacja nowej kolei Wschodniochińskiej, a także kolei Zabajkalskiej i Ussuryjskiej. Przewozy ładunków wojskowych i cywilnych wzrosły wielokrotnie, a pamiętajmy, że linie te były w większości jednotorowe. Ponadto Kolej Wschodniochińska nie była do końca gotowa, trwała budowa trudnego technicznie tunelu Chingańskiego, a ładunki przewożono po tymczasowych torach położonych na zboczach Gór Chingańskich. Na linii łączącej Mandżurię z Władywostokiem, która miała szczególne znaczenie dla przewozów wojskowych, można było przerzucać tylko siedem pociągów na dobę i odsyłać tyle samo pustych składów w powo-
du

jednotorowości. Pilnym stała się więc budowa nowych mijanek kolejowych i dodatkowych torów. Potrzebne stały się nowe parowozownie i wagonownie oraz wykwalifikowany personel do remontów taboru. Tymczasem kolejarzy w ramach powszechnej mobilizacji zaczęto wcielać do jednostek wojskowych, co groziło paraliżem transportu. Ostatecznie utworzono specjalne wojska kolejowe, których zadaniem było zapewnienie bezawaryjnej pracy kolei w okresie wojny. Wojskami tymi dowodził znany nam generał Horwat, a jego zastępcami byli: książę Stiepan Chiłkow (naczelnik służby taborowej) oraz W.S. Kryczewski (naczelnik służby trakcyjnej).

W warunkach wojennych kolej funkcjonowała bez zarzutu sprawnie przerzucając wojska i zaopatrzenie dla nich. Mimo to carscy generałowie ponosili klęski na lądzie i na morzu. Porażka gen. Zaulicza na rzece Yalu (18 kwietnia 1904) przyniosła śmierć 60 oficerom i ponad 2 tysiącom żołnierzy oraz zmusiła Rosjan do wycofania się z Korei. To samo stało się z silnym garnizonem rosyjskim na półwyspie Liaotung, gdzie ostatnim bastionem obrony został Port Artur. Twierdza ta padła po półrocznym oblężeniu. Teraz kolej została zatrudniona do wywozu pokonanych wojsk wraz z ich sprzętem i rannymi. Przystawienie Kolei Wschodniochińskiej na obsługę rosyjskiej maszyny wojennej przyniosło olbrzymie straty. W wyniku działań wojennych zniszczeniu uległy setki kilometrów torów, utracono znaczną część taboru, a przede wszystkim zyski z działalności handlowej, którą musiano poważnie ograniczyć. Zniszczeniu uległa też cała rzeczna flota handlowa kolei stworzona przez inżyniera Wachowskiego, którą wojsko zarekwirowało i w większości utraciło. Nigdy jej potem nie przywrócono do poprzedniego stanu posiadania.

Potem była zagłada floty rosyjskiej pod Cuszimą i upokarzający dla pokonanej Rosji traktat pokojowy zawarty pod auspicjami Amerykanów w Portsmouth. Aleksander śledził artykuły prasowe w gazetach warszawskich i -jak każdy Polak patriotą- cieszył się z klęsk zaborcy na Dalekim Wschodzie. Miał nadzieję, że doczeka wyzwolenia swojej ojczyzny z pod jarzma carskiego samodzierżawia i tak też się stało.

Po zakończeniu wojny Kolej Wschodniochińska weszła w etap szybkiego rozwoju i prosperity trwający przez kilka lat dzielących świat od I wojny światowej. Skorzystał z tej dobrej koniunktury Harbin, gdzie powstało wiele nowych budynków, było 8 młynów parowych, cukrownie i inne zakłady przemysłowe.

Na równinach Mandżurii rodziła się doskonała pszenica, dzięki temu miasto stało się samowystarczalne żywnościowo. Powstały pierwsze fabryki odzieżowe i obuwnicze, warsztaty mechaniczne, kuźnie, do których maszyny sprowadzano głównie koleją. Ponieważ w Mandżurii możliwa była uprawa jęczmienia, powstały pierwsze browary. Pionierem był tu Polak Wróblewski, drugi browar postawili Czesi. Prawdziwie polską specjalnością stał się przemysł cukrowniczy. W Chinach cukier produkowano tylko na południu z trzciny cukrowej. Nic nie stało na przeszkodzie, aby w Mandżurii sadzić buraki cukrowe.

Pierwszą cukrownię wybudowano w miejscowości Aszyche leżącej 30 kilometrów od Harbina. Była tam mała elektrownia wodna, a grunty należały do kolei. Kotły parowe sprowadzono z firmy Krasieńskiego, a plany całego zakładu wykonała warszawska firma "*Borman, Szwede i Ska*". Na terenie cukrowni postawiono też małą gorzelnię celem wykorzystania powstającej w procesie produkcji melasy. Mogła też ona produkować spirytus z kukurydzy. Teren cukrowni z uwagi na liczne bandy hunchuzów grasujących w okolicy otoczono wałem ziemnym i drutem kolczastym. Cukrownie ochraniało też 40-50 uzbrojonych strażników. Cukrownia w pierwszym etapie zatrudniała wyłącznie Polaków, a ich domy stały na jej strzeżonym terenie.

W latach 1906-1908 rozbudowywano infrastrukturę kolejową na całej trasie Kolei Wschodniochińskiej. Na najbardziej obciążonych odcinkach budowano drugie tory, wszędzie dodatkowe bocznice i rozjazdy. Rozbudowywano budynki stacyjne, a od 1903 roku wprowadzano stopniowo łączność telefoniczną obok telegrafu. Długość wszystkich linii Kolei Wschodniochińskiej wynosiła 1726 km, w tym linii wschodniej 549 km, linii zachodniej 935 km, a linii południowej 240 km.

Po 20. latach od budowy kolei, czyli w roku 1917, w miejscowej prasie tak podsumowano ten okres: "*W Mandżurii, w pasie wyłączenia kolei, powstało wiele osiedli rosyjskich, z których tylko sam Harbin liczy blisko 100 tys.*"

mieszkańców, w tym ponad 40 tys. Rosjan. Powstało wiele rosyjskich przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych z solidnym kapitałem." W samym Harbinie Polacy początkowo stanowili 50% ludności, a po 20. latach odsetek ten spadł do 25%.

Z chwilą wybuchu I wojny światowej Rosja znalazła się w stanie wojny z Niemcami. Trzeba było przerzucić wojska i uzbrojenie z Dalekiego Wschodu na front europejski. Tutaj znowu Kolej Wschodniochińska okazała się bardzo przydatna. Kluczowym punktem na jej trasie były pasma górskie Wielkiego Chinganu, przez który w roku 1901 przekopano liczący ponad 3 kilometry tunel. Budowa tuneli w pasmach Wielkiego i Małego Chinganu kosztowała wiele wysiłku i pieniędzy, przede wszystkim wymagała czasu. Wydzielono te odcinki z ogólnego planu budowy kolei i powierzono je specjalnym zespołom wysoko kwalifikowanych specjalistów, niepodporządkowanym kierownictwom poszczególnych linii. Byli wśród nich włoscy budowniczy tuneli alpejskich inżynierowie Ferrati i Pietro Dzubello-Soko. Budowę tunelu uważnie śledził wywiad niemiecki widząc w nim słaby punkt dla całej trasy. Kiedy wybuchła wojna attache wojskowy ambasady niemieckiej kapitan Rabe von Pappenheim opracował plan dywersji tuneli w omawianych pasmach górskich. W piwnicach ambasady spoczywało kilka skrzyń z dynamitem, a w sejfie attaszatu leżały szczegółowe mapy północnej Mandżurii i Barga. Wystarczyło zakupić kilkadziesiąt wielbłądów i karawana dywersantów mogła wyruszyć przez pustynię do tunelu. Wiele z przewożonych skrzyń nie zawierało dynamitu, a pełne były one sztabem złota i srebra dla przekupienia napotkanych oddziałów mongolskich. Barga była bowiem autonomicznym regionem inaczej zwanym Hulunbuir Mongolia. Jej status był przedmiotem negocjacji pomiędzy carską Rosją, a Chinami. Barga ogłosiła nawet niepodległość, którą poparł znany nam już szef kolei Dmitrij Horwat, ale w końcu października 1915 r. rejon ten został ostatecznie włączony do Chin.

Zimą 1914 r. von Pappenheim w głębokiej konspiracji wyruszył ze swoim oddziałem składającym się z Niemców i krajowców do Barga. Wyruszył i rozpułnął się w bezkresie mongolskich stepów. Poszukiwania podjęte przez ambasadę i władze chińskie nie dały żadnych rezultatów. Losy zaginionej bez śladu karawany dywersantów niemieckich prawdopodobnie nigdy nie zostałyby wyjaśnione, gdyby

nie polski badacz Dalekiego Wschodu inżynier Kazimierz Grochowski. Od 1906 roku przebywał on we wschodniej Syberii, gdzie zajmował się poszukiwaniem złota dla zagranicznego koncernu górniczego. Do Bargi trafił on w 1915 roku, aby zdobyć koncesję na poszukiwanie złóż złota. W okresie trwającej pięć lat autonomii Bargi (jej stolica mieściła się w Hajlarze) znacznie wzrosły tam wpływy Rosji, która działała poprzez swój wicekonsulat. Dzięki temu firma Grochowskiego dostała koncesję na wydobycie złota na obszarze 40 tys. kilometrów kwadratowych. Była to *"The Upper Amur Gold Mining Co"* na czele której stał baron Vittinghoff-Scheel. Grochowski kierował filią tej firmy pod nazwą *"The North East Mongolia Concession"* i w czasie trwającej 6 lat eksploatacji złóż wydobył ponad dwie tony złota. Grochowski miał znajomości w najwyższych kręgach władzy Bargi, znał też księcia Babudżaba, który walczył z wojskami chińskimi. W trakcie audiencji u tego dostojnika Grochowski poznał losy ekspedycji von Pappenheima. Na ścianach jego jurty wisiły niemieckie mauzery, pasy oficerskie i strzelba myśliwska kapitana von Pappenheima. Grochowski znał dobrze obyczaje ludów mongolskich, przywiózł więc ze sobą wspaniałe prezenty, a wśród nich srebrną skrzyneczkę ozdobioną mongolskimi napisami wykonanymi ze szczerego złota. Zachwycony książę oddał Grochowskiemu broń von Pappenheima oraz opowiedział mu o losach jego dywersanckiej karawany. Ponieważ sam niedługo potem zginął w starciu z wojskami chińskimi, była to relacja ostatniego świadka.

Otóż o wyprawie niemieckich dywersantów dowiedział się wywiad rosyjski. Tajny agent w Pekinie podał termin wyjazdu i przypuszczalną trasę karawany von Pappenheima. Władze rosyjskie natychmiast powiadomiły o groźbie dywersji wicekonsulat w Hajlarze. Sekretarz tej placówki dyplomatycznej niejaki Polikarpow kazał niezwłocznie osiodłać konie i wyruszył nad Chałchę do obozu księcia Babudżaba. Tam obiecał księciu daleko idącą pomoc rządu Rosji w zamian za zniszczenie oddziału niemieckiego. Żołnierze mongolscy dopadli oddział von Pappenheima kilkaset kilometrów na południe od Hajlaru i po krótkiej potyczce wzięli Niemców do niewoli. Wszyscy zostali wkrótce potem straceni przez kata ozdobnym mieczem samego Babudżaba. Materiały wybuchowe, mapy i plany zostały odesłane przez Hajlar do Harbina do sztabu wojsk rosyjskich. Złoto i srebro ulokowane na dziesięciu wielbłądach zostały uznane za zdobycz wojenną wojsk Babudżaba. Część srebra o wartości 60 tys. rubli książę podzielił równo pomiędzy 4 tysiące swoich wojowników, resztę zatrzymał dla siebie i swojej świty. Jako dowód wykonania zlecenia Babudżab dostarczył Polikarpowowi czaszkę kapitana von Pappenheima.

Grochowski dalej wydobywał złoto na udzielonej jemu osobiście nowej koncesji. Starał się też dalej o uzyskanie pamiątek po zabitych Niemcach i stopniowo

wykupił od księcia szable oficerskie, mauzery, a nawet miecz, którym ścięto dywersantów. Inżynier przekazał te przedmioty do Muzeum Towarzystwa Badania Mandżurii, którego był współzałożycielem. Pozostały tam przez 20 lat, po czym -już w czasach Mandżuko- przekazano je do Niemiec do Muzeum Berlińskiego. Czy przetrwały bombardowania w czasie II wojny światowej, nie wiadomo. Czaszka von Pappenheima przepadła w pomroce dziejów. Natomiast jego syn Friedrich Carl Rabe von Pappenheim (1894-1977) został generałem Wehrmachtu. Po kapitulacji w maju 1945 roku został skazany, jako zbrodniarz wojenny przez Rosjan i przebywał w łagrze przez 10 lat, poczym w roku 1955 został zwolniony i powrócił do Niemiec. Ród Rabe von Pappenheim należał do starej westfalskiej arystokracji sięgającej roku 1106, kiedy to w kronikach pojawia się rycerz Rawe de Pappenheim.

Przejdziemy teraz do ostatniego, burzliwego okresu działalności Kolei Wschodniochińskiej podczas rewolucji bolszewickiej. Rosyjskie poselstwa w Tokio i Pekinie usilnie zabiegały o to, aby zjednoczyć wszystkie antybolszewickie ruchy i oddziały zbrojne pod jednym kierownictwem. Taką charyzmatyczną postacią był kozacki ataman Grigorij Siemionow, pół Rosjanin i pół Buriat. Miało to znaczenie, bowiem ataman zasiliał swoje oddziały Buriatami i Mongołami. Finansowania i zaopatrywania w broń Siemionowa podjęli się Japończycy. Chodziło im o stworzenie na obszarze rosyjskiego Dalekiego Wschodu (do Bajkału) buforowego państwa antybolszewickiego pod japońską kontrolą. W kwietniu 1918 roku w Harbinie sformowano oddziały wojskowe atamana Siemionowa i pułkownika Orłowa. Nominalnie władzę cywilną i wojskową w mieście sprawował biały generał Horwat, ale oddziały watażki Siemionowa nie uznawały jego władzy. Przyjmował za to rozkazy od zwykłego kapitana Kuroki, gdyż to Japonia płaciła żołd jego Kozakom i pomocniczym oddziałom tubylców.

Siemionow wyruszył koleją do granicznej stacji Mandżuria, gdzie utknęło kilka tysięcy wagonów z powodu wstrzymania ruchu w kierunku zachodnim. Cała masa towarowa została zarekwirowana "na potrzeby wojskowe", ale w praktyce wyglądało to tak, że Kozacy sprzedawali zrabowane towary spekulantom przyjeżdżającym z Harbina i innych osiedli. Uzyskane z rekwizycji środki trafiły do atamana, ale tylko w stosunkowo niewielkiej części. Straty poniosła też kolej, której nikt nie zapłacił za transport zarekwirowanych towarów.

Po przybyciu do Zabajkala Siemionow ogłosił autonomię i utworzył marionetkowy "rząd tymczasowy" sterowany przez Japończyków. Wkrótce potem na scenę dalekowschodnią wkroczył admirał Kołczak, który przybył do Harbina. Za

naczelnego wodza uznali go ludzie Horwata tj. gen. Pleszkow i płk. Orłow mający prawie tyle ludzi pod bronią, co Siemionow. Ten jednak nie chciał zjednoczenia sił białogwardzistów pod dowództwem admirała Kołczaka. Przybył do Harbina własnym pociągiem pancernym pod koniec maja 1918 roku i usiłował sam przejąć dowodzenie. Zamiar ten nie powiódł się, a Kołczak postanowił odstąpić od zjednoczenia sił antybolszewickich tym bardziej, że jego stosunki z gen. Horwatem były złe. Do gry włączył się też Pekin, który uznał Kolej Wschodnichińską za swoją własność i nie zamierzał uznawać dłużej władzy Rosji w pasie wywłaszczenia kolei. Powstawały kolejne "rządy" bez armii i pieniędzy, a silne w końcu siły antybolszewickie były nieustannie ze sobą skłócone. Do gry włączył się Korpus Czechosłowacki złożony głównie z jeńców wojennych, który opanował Kolej Transsyberyjską. W lipcu 1918 roku gen. Horwat wyjechał z Harbina na stację Pograniczna, gdzie wcześniej zaczęli zbierać się sztabowcy poszczególnych formacji włoskich. Oprócz Siemionowa był tam drugi watażka kozacki Kałmykow, który po przyjeździe oświadczył, że nie uznaje zwierzchnictwa płk. Orłowa. Gen. Horwat chciał utworzyć "wszechrosyjski rząd", który miał być finansowany z kasy Kolei Wschodnichińskiej. Swój manifest Horwat ogłosił na stacji Grodekowo, a jego "rząd" zamieszkał w wagonach stojących na bocznicach. W sierpniu Horwat i jego ministrowie przenieśli się do Władywostoku, ale jego siły zbrojne zostały w Grodekowie, gdyż Czesi nie zezwolili na ich przejazd. W tym samym czasie powstał konkurencyjny "rząd" Derbera, który był równie efemeryczny, jak rząd Horwata. Admirał Kołczak w tym czasie przebywał w Japonii, skąd wyjechał walczyć z Niemcami po stronie angielskiej. Z tej podróży zawrócono go w Singapurze, gdyż na Syberii powstał tzw. rząd Omski, który potrzebował silnego przywódcy. Rząd ten posiadał znaczne środki finansowe w postaci złota ze skarbcza Rosji, które w latach 1915-18 znajdowało się w banku w Kazaniu. Lenin zrabował je carowi, a w ręce białogwardzistów wpadło w sierpniu 1918 roku, kiedy zdobyli oni Kazań. Teraz złoto Romanowych stało się złotem Kołczaka. Admirał przybył do Omska w listopadzie i został najpierw ministrem wojny, a wkrótce potem naczelnikiem państwa. Horwat musiał się zadowolić stanowiskiem pełnomocnika naczelnika w Mandżurii.

Z początkiem roku 1919 ruszyła ofensywa wojsk Kołczaka, która odniosła spore sukcesy wyzwalając Ural spod władzy bolszewików. Ale jesienią tegoż roku kontrofensywa bolszewików nabrała impetu i Kołczak musiał opuścić Omsk. Potrzebował do tego siedmiu pociągów, a jeden z nich wiozł złoto i inne kosztowności. Minister finansów Kołczaka niejaki Buryszkin miał zamiar zdeponować złoto w bankach japońskich i amerykańskich. Skarb Kołczaka był wart 633 miliony złotych rubli. Ponieważ jedna moneta zawierała 0,8 gramów czystego

złota, cały skarb powinien ważyć 500 ton. Jego transport koleją wymagał 30. wagonów 16. tonowych. Blisko jedna trzecia tego złota została zużyta przez rząd Kołczaka w Omsku, nadal do jego przewiezienia trzeba było 20. wagonów. Transport tak wielkiego skarbu Koleją Transsyberyjską, a potem Koleją Wschodniochińską do portu, gdzie miał być załadowany na okręt japoński, był niezwykle ryzykowny. W Czycie rządził ataman Siemionow, a w Harbinie gen. Horwat. Kołczak musiał się z nimi dogadać.

Pierwsza, niewielka partia została składowana z 22. skrzyń została ozdobiona napisami DYNAMIT, a sam wagon napisem SIANO. Dotarł on do chińskiej stacji Mandżuria w chwili, gdy gen. Horwat utracił władzę, a władanie nad koleją przejęli Chińczycy. Generał Pietrow przekazał złoto pułkownikowi armii Japonii Rokuro Izome, który wystawił odpowiednie pokwitowanie na te skrzynie. Co dalej stało się z tym złotem wyjaśniło się wiele lat później na sali sądowej w Japonii. Gen. Pietrow wytoczył bowiem proces płk. Izome domagając się zwrotu jednej skrzyni złota oznaczonej numerem 3091. Sąd Najwyższy Japonii w roku 1941 orzekł, że ten transport złota został zwrócony atamanowi Siemionowowi. Przy tej okazji okazało się, że gen. Pietrow nie był wysłannikiem rządu Kołczaka, a szefem służb kwatermistrzowskich na tyłach Armii Dalekowschodniej Siemionowa. Trudno w to uwierzyć, ale złoto przepadło.



31. Ataman Grigorij Siemionow

A co stało się z o wiele większym skarbem Kołczaka? Jeden ze śladów prowadzi do Pragi i Korpusu Czechosłowackiego, który opanował Kolej Transsyberyjską. Po upadku rządu Kołczaka, który przekazał 5 stycznia 1919 roku władzę w ręce atamana Siemionowa, Czesi wydali admirała bolszewikom w zamian za swobodny przejazd do Władywostoku z bronią i złotem. Chociaż znowu nie było to całe złoto Kołczaka, wtedy już rozstrzelanego i pochowanego w przerębli na rzece Angara. Czesi za głowę Kołczaka dostali podobno 13 skrzyń o wadze 40 pudów każda. W innej wersji mowa jest o całym wagonie złota o wadze 16 ton. W jaki sposób ten transport złota dotarł do Władywostoku, skoro na trasie przejazdu czekał ataman Siemionow, który miał rozkaz wysadzać tunele Kolei Transsyberyjskiej?

Otóż Czesi (a właściwie dawni oficerowie i żołnierze Austro-Węgier) nie tylko byli świetnie uzbrojeni, ale posiadali też sprawny wywiad.

Dzięki temu w powietrze wyleciał pociąg z dynamitem przy pomocy, którego Siemionow miał wysadzać tunele na trasie okalającej Bajkał. Sztab Korpusu Czechosłowackiego (zwanego też Legionem Czeskim) miał do dyspozycji pociąg pancerny "*Orlik*" o wielkiej sile ognia. Czesi mieli też wielu inżynierów i techników, dzięki którym sprawnie i szybko naprawiali uszkodzone tory kolejowe. Snop światła na dalsze losy pociągu ze złotem rzuca znowu nieoceniony inżynier Grochowski, który w marcu 1920 roku przebywał w Hajlarze, przez który biegła zachodnia linia Kolei Wschodniochińskiej. Tam rozegrała się bitwa pomiędzy Czechami broniącymi z wspomnianego pociągu pancernego przed Japończykami i oddziałami Siemionowa. Miejscowi robotnicy kolejowi (popierający bolszewików) obrzucali Japończyków granatami. Siła ognia pociągu pancernego okazała się zbyt mała dla artylerii japońskiej i batalionu piechoty. Czesi stracili kilkunastu zabitych i tyle samo rannych. Japończycy pozwolili im wyjechać pod warunkiem oddania pociągu pancernego oraz pewnej ilości złota.

Jak ustalili historycy wiosną 1920 r. Japończycy wywieźli z Harbina (odległego o 600 km od Hajlaru) przez Dairen (Dalnyj) do portu w Osace ok. 80 skrzyń złota, czyli 4 tony monet. Z innych źródeł wiadomo, że rezerwy złota banku w Pradze wzrosły w tym czasie o 12 ton. Razem składa się to na jeden 16. tonowy wagon złota, którego losy są dobrze znane. Nie wiadomo, czy Japończycy zabrali Czechom całe złoto, ale wydaje się, że jednak nie całe. W czasie postojów w Harbinie Czesi masowo wymieniali złoto na dolary, sprzedawali też zrabowane na Syberii ruchomości. Z kolei gazeta japońska donosiła, że amerykański statek "*Prezydent Grant*" zabrał 5,5 tysiąca Czechów oraz "*setki ton złota, srebra i wszelkich produktów*". Większość Czechów zabrał statek "*Legion*" zakupiony przez czeski

rząd. Legio-Bank został później założony za złoto przywiezione z Dalekiego Wschodu. Kiedy napisała o tym prasa radziecka Praga nie wystosowała *dementi*. Reasumując mamy sporą grupę beneficjentów złota Kołczaka. Pamiętajmy jednak, że było tam także srebro, platyna oraz cenna biżuteria. Wiemy, że część złota trafiła do Japończyków i Czechów. Spory udział miał w tym łupie ataman Siemionow i jego przyjaciel baron Roman von Ungern. To jednak tylko 2-3 wagony z ogólnej liczby 20. Można przypuszczać, że pozostałe tony złota ukryto w najbardziej bezpiecznej kryjówce w tym rejonie, czyli w nurtach głębokiego na 1.600 metrów Bajkału.



32. Roman Ungern von Sternberg

Krwawy baron z pewnością zakopał swoją część gdzieś na rozległych stepach mongolskich. Poszukiwania tego skarbu trwają nieprzerwanie od blisko 100 lat. Powstała bogata literatura poruszająca tematykę złota Kołczaka, pisał też o ukrytym skarbie przedwojenny pisarz polski Ferdynand Ossendowski, którego książki są obecnie wznawiane (zob. poz. 13 literatury wykorzystanej). Ossendowski, wcześniej oficer wywiadu u Kołczaka, zaoferował baronowi swoje szpiegowskie i dyplomatyczne usługi. Propozycja została przyjęta. Wyposażony

w plenipotencji do rozmów w Japonii i USA Polak wyruszył za morze z zadaniem szukania wsparcia dla azjatyckiej inwazji na sowiecką Rosję.

Ossendowski prowadził długie rozmowy z Ungernem, a nawet się z nim zaprzyjaźnił. To od niego znamy szczegóły, co składało się na skarb barona. Mamy informację, że było tam wiele kilogramów brylantów, rubinów i topazów, a także nieoszlifowanych diamentów. Były też skrzynie ze złotem, z pewnością część skarbu Kołczaka należąca do atamana Siemionowa. Były też bezcennej wartości artefakty zrabowane z klasztorów buddyjskich. Baron żył w zgodzie z klerem buddyjskim, a ta część jego skarbu pochodziła z odbitych łupów bolszewickich. Znamy wiele szczegółów, co do miejsca i okoliczności ukrycia skarbu barona von Ungerna, ale nie zamierzam ich tutaj przytaczać. Istnieje bogata literatura na ten temat.

Posiłki dla barona z Japonii i USA nie nadeszły. Zamiast nich pojawił się zaprawiony w bojach z kołczakowcami bolszewicki komendant Konstanty Rokossowski. Przyszły marszałek i stalinowski minister obrony PRL prowadził lotnictwo oraz tankietki, którym kurlandzki baron mógł przeciwstawić jedynie nieliczną kawalerię i mongolskich pastuchów na wielbłądach. Szef sztabu Ungerna gen. Borys Rezuchin został zamordowany przez zbuntowanych oficerów, którym nie podobał się forsowany przez Ungerna plan marszu Azjatyckiej Dywizji Konnej do Tybetu. Sam baron, raniony w tym samym zamachu, został wydany bolszewikom, którzy rozstrzelali go po kilkugodzinnym procesie. Na wieść o jego śmierci wszystkie buddyjskie klasztory w Mongolii odprawiły modły za jego duszę.

W 1945 r., po zajęciu ruin Warszawy przez Armię Czerwoną, w podwarszawskim Milanówku pojawili się oficerowie NKWD, nakazując rozkopenie grobu zmarłego niedawno w pobliskim Żołwinie Ferdynanda Ossendowskiego. Pisarz, który po powrocie z Syberii do Polski opublikował niezwykle krytyczną biografię Lenina, gdzie wskazywał na jego agenturalne związki z kajzerowskimi Niemcami, był dla Rosjan wrogiem publicznym. Czekał nie tylko chcieli się upewnić, że pisarz rzeczywiście nie żyje. Mieli odszukać testament barona Ungerna, gdzie ponoć miały się znaleźć wskazówki dotyczące miejsca ukrycia archiwum oraz kasy Azjatyckiej Dywizji Konnej. W rękach Ungerna miała się znaleźć także część skarbcza admirała Kołczaka, szacowana na miliony rubli w złocie, które Ossendowski miał przywieźć ze sobą do Urgi. Z jego misji dyplomatycznej dla barona nic nie wyszło – pisarz po dotarciu do USA zajął się pracą wywiadowczą na rzecz odrodzonej Polski.

Do kraju przez pustynię Gobi i Mandżurię wrócił także naczelny inżynier Ungerna Kamil Giżycki. W połowie lat 20. wraz z Ossendowskim pojechał do Afryki, a potem zaangażował się w działalności Ligi Morskiej i Kolonialnej. Kupował m.in. plantacje w Liberii, skąd wrócił, by wziąć udział w kampanii wrześniowej. Po wojnie osiadł we Wrocławiu, pędząc spokojny żywot poczytnego autora książek podróżniczych. Ferdynand Ossendowski, przedwojenna gwiazda literatury, został w PRL skazany na całkowite zapomnienie. Na nowo odkrył go dopiero inżynier i podróżnik Witold Michałowski, który przybliżył też Polakom postać barona von Ungerna. Idąc tropem wspomnień, dokumentów i plotek zasłyszanych od ostatnich żyjących świadków, Michałowski wspomina tajemniczego oficera Wehrmachtu, który miał odwiedzić śmiertelnie chorego Ossendowskiego w Żołwinie i dostać od niego dokumenty związane z Ungernem. Trop opowieści Michałowskiego urywa się gdzieś w ruinach pałacu w Zaborze w Lubuskiem. Pod koniec wojny miało trafić tam archiwum rodu von Ungern-Sternberg, zawierające m.in. listy barona, któremu marzyło się wielkie eurazjatyckie imperium. Dzisiejsi władcy Rosji wracają do tego projektu, realizując go z żelazną konsekwencją, która wskazuje, że to oni znaleźli testament barona i że wcale nie chodziło w nim o złoto i drogie kamieni

W roku 1923 hucznie obchodzono jubileusz 25. lecia eksploatacji Kolei Wschodniochińskiej, chociaż nie była to właściwa data, która przypadłaby na rok 1928. Ale sytuacja była niestabilna, władze sowieckie domagały się respektowania ich praw do kolei. Po pozbyciu się Japończyków oraz białego Tymczasowego Rządu Nadamurskiego Armia Czerwona zajęła Władywostok, a Republikę Dalekowschodnią włączono do Federacji Rosyjskiej. Nic dziwnego, że władze sowieckie chciały także odzyskać panowanie nad wybudowaną przez carską Rosję koleją. Pierwsze próby podjęte w roku 1923 nie przyniosły żadnych rezultatów. Dopiero w roku 1924 przybyła do Mukdenu delegacja ZSRR z Lwem Karachanem na czele, która miała rządowe pełnomocnictwa do negocjowania nie tylko sprawy kolei, ale także do normalizacji stosunków radziecko-chińskich. W rezultacie tych rozmów 31 maja podpisano porozumienie, które regulowało także kwestie tymczasowego zarządu Koleją Wschodniochińską. Artykuły 9. i 10. porozumienia mówiły o kolei w sposób dość ogólny pozostawiając kwestie szczegółowe do ustalenia na odrębnej konferencji. Do tego czasu miała obowiązywać umowa międzyrządowa z 27 sierpnia 1896 roku, ale z poszanowanie suwerenności państwowej i terytorialnej Republiki Chin, która także ustanowiła swoją jurysdykcję na całym pasie wyłączenia kolei. Ponadto rząd ZSRR zgodził się na

wykupienie przez rząd Chin Kolei Wschodniochińskiej wraz z ziemią i jej majątkiem.

Jako załączniki do porozumienia podpisano umowę o tymczasowym zarządzaniu koleją oraz **Deklarację rządów ZSRR i Chin**. Pierwszy z tych dokumentów powoływał 10. osobowy Komitet Zarządzający, którego pięciu członków miał mianować rząd Chin i pięciu rząd ZSRR. Przewodniczącym miał być Rosjanin, a jego I zastępcą Chińczyk. Szczegółowe ustalenia przewidywały zakaz zatrudniania na kolei oraz w wojsku i policji byłych carskich oficerów i urzędników.

Umowy te przetrwały tylko pięć lat, gdyż w roku 1929 wybuchł otwarty konflikt o kolej Wschodniochińską. Sowieci przez cały czas prowadzili działalność polityczną i dywersyjną przeciwko Chinom. Szef kolei Iwanow obsadził wszystkie ważniejsze stanowiska Rosjanami, chociaż miał obowiązywać parytet. W końcu miarka się przebrała, a Iwanow został aresztowany przez władze chińskie. W instytucjach sowieckich przeprowadzono rewizje i dalsze aresztowania. Kolej zastrajkowała, na co Chińczycy wezwali do pracy zwolnionych wcześniej białych emigrantów i Polaków. Przewozy kolejowe wznowiono, ale konflikt trwał. Dopiero po rozmowach wielkorządcy Mandżurii generała Czang Tsolina z postem sowieckim sytuacja na jakiś czas unormowała się. Iwanowa usunięto ze stanowiska naczelnika kolei. Na jego miejsce przyszedł bardziej ugodowy A. Jemszanow, ale konflikt tylko przygasł na krótki czas. Chiny stopniowo odbierały kolei poszczególne uprawnienia zaczynając od władania ziemią w pasie wyłączenia, a kończąc na prawie do swobodnej żeglugi rzekami Sungari i Amur. W końcu doszło do zerwania stosunków dyplomatycznych i do niewypowiedzianej wojny w sierpniu 1929 r. Sowiecka Armia Dalekiego Wschodu zaatakowała posterunki chińskie w strefie przygranicznej. W wyniku nalotów zniszczono wiele budynków stacyjnych oraz koszar wojsk chińskich. Powstał chaos, rabowano mienie kolei, a także zwykłych obywateli. W końcu w grudniu 1929 roku podpisano zawieszenie broni, chociaż tak się ta umowa nie nazywała, wojny formalnie nie było.

Wojna z Japonią wybuchła w roku 1932 i w jej rezultacie utworzono marionetkowe państwo Mandżukuo. Rząd tego sztucznego tworu zaproponował odkupienie sowieckich udziałów w Kolei Wschodniochińskiej. Rozmowy w tej sprawie zaczęły się latem 1933 roku i trwały dwa lata. W marcu 1935 roku podpisano porozumienie o sprzedaży sowieckich praw własności kolei za 140 milionów jenów japońskich. Konsekwencją tej transakcji było zwolnienie z pracy 15 tysięcy obywateli ZSRR, w tym także Polaków, którzy pragnąc zachować pracę przyjęli obywatelstwo ZSRR. W rezultacie kolej została sparaliżowana, gdyż Japończycy nie potrafili obsługiwać rosyjskiego taboru i sprzętu, a dodatkowo wzrosły akty

sabotażu transportu. W rezultacie stanęło wiele zakładów przemysłowych, w tym wspomniana polska cukrownia w Aszyche.

Marionetkowe państwo pod egidą japońską skończyło swój byt wraz z zakończeniem II wojny światowej. O świcie 9 sierpnia 1945 roku Armia Czerwona rozpoczęła ofensywę na kilku kierunkach jednocześnie. Japończycy usiłowali ewakuować swoje wojska Koleją Wschodniochińską, ale błyskawiczna ofensywa sowiecka w znacznym stopniu zadanie to uniemożliwiła. Wieczorem 18 sierpnia wylądował w Harbinie sowiecki desant powietrzny z gen. Szełachowem na czele. Zaczęła się trwająca blisko rok okupacja Chin Północno-Wschodnich, czyli dawnej Mandżurii. Odbudowano zniszczenia na trasie Kolei Wschodniochińskiej, która zaczęła normalnie funkcjonować jesienią 1945 roku na wcześniej obowiązujących zasadach ustalonych w roku 1924. Stan taki trwał do początku lat 50. i nie odpowiadał chińskiemu przywódcy Mao Zedongowi, którego drażniła obecność 100 tysięcy sowieckich pracowników kolei. Podjął, więc rozmowy ze Stalinem i uzyskał zgodę na rezygnację z praw do Kolei Wschodniochińskiej oraz z bazy wojennej w Port Artur. 14 lutego 1950 roku podpisano w Moskwie wiele porozumień regulujących stosunki między ZSRR, a Chinami. Z tą datą zakończyła się też historia Kolei Wschodniochińskiej, jako wspólnego przedsięwzięcia Chin i Rosji.

Harbin jest obecnie miastem czysto chińskim liczącym blisko 5 milionów mieszkańców. Jako stolica prowincji Heilongjiang znany jest w świecie z barwnego dorocznego festiwalu lodu i śniegu.

Festiwal ma najpewniej rosyjskie korzenie. 19 stycznia w Rosji obchodzi się chrzest Chrystusa. W tym czasie w Harbinie wznoszono krzyże wykute z lodu z rzeki Sungari. Po przekazaniu miasta w ręce chińskie święto straciło rosyjsko-prawosławne zabarwienie i próbuje mu się dorobić czysto chińskie korzenie.

LITERATURA WYKORZYSTANA

- 1/ Edward Kajdański - **KORYTARZ- Burzliwe dzieje Kolei Wschodniochińskiej 1898-1998**, wyd. Książka i Wiedza, 2000
- 2/ Edward Kajdański - **CHINY LEKSYKON**, wyd. Książka i Wiedza, 2005
- 3/ Jonathan Fenby - **CHINY Upadek i narodziny wielkiej potęgi**, wyd. Znak, 2009
- 4/ **NAJNOWSZA HISTORIA CHIN 1917-1976**, oprac. przez Instytut Dalekiego Wschodu Akademii Nauk ZSSR, wyd. Książka i Wiedza, 1976
- 5/ Edward Kajdański - **DŁUGI CIEŃ WIELKIEGO MURU - Jak Polacy odkrywali Chiny**, wyd. Oficyna Naukowa, 2005
- 6/ *Pamiętnik Aleksandra Niewiarowicza - Chiny* - rękopis opublikowany w internecie <http://zbigkurzawa.cyberdusk.pl/GENEALOGIA/diary.html>
- 7/ Notatnik Aleksandra Niewiarowicza - w rękopisie w zbiorach autora
- 8/ *The Trans-Siberian Railway* <http://www.transsib.ru/Eng/index.htm>
- 9/ *Mapa Kolei Wschodniochińskiej*
http://zbigkurzawa.cyberdusk.pl/GENEALOGIA/hismap_kolej.jpg
- 10/ *Mapa kolei Transsyberyjskiej*
<http://zbigkurzawa.cyberdusk.pl/GENEALOGIA/transsib-historymap.gif>
- 11/ **WSPOMNIENIA Z MANDŻURYI** autor K.G., nakładem autora, Kraków, 1909 r.
- 12/ Charles King - **ODESSA, Geniusz śmierci w mieście snów**, Wołowiec, 2016.
- 13/ *"Zwierzęta, ludzie, bogowie"* - F.A. Ossendowski, Warszawa 2016
- 14/ *"Skarb stepowego barona"* - <http://www.racionalista.pl/kk.php/s,9534>,
biografia barona von Ungerna

W CIENIU GÓR ŚWIĘTOKRZYSKICH

HISTORIA RODZINY PĘKALSKICH



KOŚCIÓŁ I KLASZTOR ŚWIĘTOKRZYSZKI NA ŁYSEJ GÓRZE.
(Rysował Kostrzewski, rytował Styfi w Warszawie.)

Zbigniew K. Penkalski maj 2018 r.

WSTĘP

Moje prace nad uporządkowaniem wieloletnich poszukiwań genealogicznych powoli dobiegają końca. To konieczność, gdyż i mój czas już się kończy, zostało mi go jeszcze kilka lat w pełnej sprawności fizycznej i umysłowej.

W roku 2013 zakończyłem pisanie mego pierwszego e-booka genealogicznego **ŻYCIE CODZIENNE NASZYCH ANTENATÓW 1794-1945**. Zawiera on najstarsze dzieje rodzin Eborowiczów, Chmielowskich, Szletyńskich, Niewiarowiczów i innych. Książeczka jest bogato ilustrowana zdjęciami pochodzącymi ze zbiorów rodzinnych. Kolejna pozycja z tej serii to **PRZYGODY ALEKSANDRA w DZIKIEJ MANDŻURII 1897-1900** zakończona w roku 2016, jej uzupełnione i poprawione wydanie ukazało się w styczniu 2018 r.

Nadszedł czas na tomik ostatni zamykający moją trylogię genealogiczną, w którym skoncentruję na dziejach rodziny Pękalskich, która co najmniej od początków XVII wieku zamieszkiwała w regionie świętokrzyskim. Nie zamierzam tutaj kreślić historii całego rodu Pękalskich, który dzielił się na szlachtę, włościan i rzemieślników. Nie zamierzam też opisywać licznych migracji ludzi o tym nazwisku, którzy poszukując lepszego życia wyjeżdżali zarówno na kresy wschodnie, jak i za ocean do ziemi obiecanej, jaką w XIX wieku jawiły się Stany Zjednoczone Ameryki. Takie stawianie sprawy znacznie przekroczyłoby skromne ramy tego e-booka i wymagałyby wielu czasochłonnych badań. Poprzestanę zatem na historii rodziny Pękalskich z której wywodzi się mój ojciec oraz na historii jego rodzinnej miejscowości Ćmielowa. Oczywiście wspomnieć trzeba będzie o krewnych i powinowatych noszących to samo nazwisko i dotrzeć do innych wsi i miasteczek regionu świętokrzyskiego, gdzie żyli i umierali nasi antenaci.

Ojciec znał i kochał Góry Świętokrzyskie, lubił po nich wędrować. Stąd tytuł tej książeczki. Wyjechał wcześniej z tych stron skierowany do pracy nauczycielskiej na terenie Wielkopolski. Tam przeniósł swoje umiłowanie do lasów, polowań i łowienia ryb. Od wiosny do późnej jesieni nasza rodzina każdy wolny dzień spędzała w lesie. Jeździłem z ojcem na ryby i na polowania, gdyż po wojnie wielka była obfitość ryb i zwierzyny leśnej. Jednak już w połowie lat 50. ojciec zaprzestał polowań, wolał po prostu przebywać w lesie, zbierać grzyby i odpoczywać.

W niniejszym opracowaniu zamieściłem setki metryk urodzeń, małżeństw i zgonów dokumentujących pochodzenie rodziny Pękalskich z Ćmielowa i Denkowa. W tym w całości drzewo rodowe Jana Pękalskiego (1915-2011), którego gałąź jest w wielu miejscach zbieżna z naszą rodziną. Jednak nasz odległy w czasie praszczur wywodzi się z niedalekiego Denkowa, a tam akta parafialne zachowały się o wiele lepiej, aniżeli akta ćmielowskie. Mogłem dzięki

temu dokonać nowych odkryć z historii naszej rodziny, dotrzeć do przodka z wieku XVIII i jego bliskich. Odstoniła się już w trakcie pisania tej książeczki nieznana karta z dziejów naszego rodu. Mogę śmiało powiedzieć, że gromadzone przez 20 lat materiały genealogiczne to 70% całości, ale 30% powstało już w tym roku, kiedy pisałem te słowa. Zawdzięczam to daleko posuniętej indeksacji zasobów metrykalnych prowadzonej niestrudzenie przez Polskie Towarzystwo Genealogiczne.

Tekst ten jest bogato ilustrowany zdjęciami rodzinnymi od czasów Karola Pękalskiego, kiedy fotografia dopiero raczkowała. Zachowały się one dzięki reprodukcjom wykonanym przez mojego ojca, ale tylko w negatywach, które sam opracowałem po ich digitalizacji i retuszu. Przy pracy tej napotkałem na typowe trudności towarzyszące identyfikacji widniejących na starych fotografiach postaci. Dopiero zabrany bogaty materiał faktograficzny pozwolił na pełną identyfikację osób widniejących na XIX. wiecznych fotografiach, gdyż to one były najważniejsze. Niektóre fotografie otrzymałem dzięki wcześniej nieznanym krewnym, którzy nawiązali kontakt po poznaniu mojej strony genealogicznej w internecie.

Nie bez znaczenia dla mojej pracy była literatura przedmiotu, której spis zamieszczam na końcu. Jest tam także spis ilustracji ze wskazaniem źródła ich pochodzenia.

W PODSUMOWANIU zamieszczam szkic tego, co dopiero powstanie, czyli moje losy od 1962 roku poza rodzinnym Gostyniem spędzone. Dzięki uprzejmości mego przyjaciela Krzysztofa Węgrzeckiego, które nieśtychaniem barwnie opisał nasze zarobkowe prace studenckie i dramatyczne akcje w ratownictwie wodnym, zamieszczam fragmenty jego historii rodzinnej. To były chwile wspólnie przeżyte i podobnie zapamiętane, chociaż odmiennie będą zapisane.

SPIS TREŚCI

RODZIAŁ I - Czasy najdawniejsze - Ćmielów i zamek

- 1/ Czasy przedpiastowskie..... 5
- 2/ Od potopu szwedzkiego do czasów współczesnych..... 15

RODZIAŁ II - Rodzina Pękalskich w wieku XVIII i XIX

- 1/ Ulotne archiwa..... 21
- 2/ Czytanie cmentarzy..... 23
- 3/ Pierwszy z rodu..... 27
- 4/ Straszliwe żniwo cholery..... 40

RODZIAŁ III - Karol Pękalski odbudowuje rodzinę

- 1/ Fabryka Porcelany w Ćmielowie..... 42
- 2/ Droga zawodowa Karola - Ćmielów, Tarłów, Nieborów..... 45
- 3/ Wszystkie dzieci Karola i Anieli..... 50
- 4/ Siostra Świętosława - życie w zakonie..... 54
- 5/ Krótkie życie Marianny Pękalskiej-Milewskiej..... 60
- 6/ Pół wieku dziadka Franciszka w fabryce porcelany..... 62

RODZIAŁ IV - Tadeusz Penkalski - ojciec

- 1/ Czasy szkolne w Ćmielowie..... 77
- 2/ Seminarium nauczycielskie i praca w szkole..... 84
- 3/ Walka w kampanii wrześniowej - okupacja..... 95
- 4/ Gostyń po wojnie..... 126
- Zaproszenie na egzekucję..... 147
- 5/ Podsumowanie..... 171

Rozdział I

Czasy najdawniejsze

1. Przed Piastami

Gród zwany Chmielem stał na wyspie pośrodku sporego jeziora, a z lądem łączył go most wąski i długi na 5 prętów z bierwion nasączonych smołą, by łatwo go było spalić w razie ataku wroga. Nad samym jeziorem stały tylko chaty rybaków, którzy z tej wody żyli łowiąc ryby i raki obficie tu występujące. Gdzieś w głębi otaczających jezioro lasów żyli smolarze, bartnicy, myśliwi i inni ludzie pierwotnej jeszcze puszczy. Wymieniali swoje zdobycze – mięso, skóry, miód na ziarno i inne produkty rolnicze sąsiedniej krainy pól – obszarów nad rzeką Kamienną.

Pradawnych czasów sięgają tradycje przemysłowe regionu, w tym m.in. wydobywanie rud, wytopienie metali i ich obróbka. Jeszcze wcześniej wydobywano tu krzemień, z którego wytwarzano toporki dla celów praktycznych i obrzędowych. Pozostały po nich nazwy wsi Krzemionka, Krzemieniec i podobne.





1. Gród słowiański z VIII w.

Gród otoczony był wałem ziemnym szczyt, którego wieńczyła palisada. Fosą było otaczające gród jezioro, co wzmacniało jego walory obronne.

Zadaniem grodoziercy była obrona starego rzymskiego szlaku handlowego przed rozbójnikami oraz ochrona miejscowej ludności. Podlegał on kniaziewi Wiślan panującym na wzgórzu Wawel, a ten z kolei zależny był od króla Moraw. Król Mojmir I panował z Weligradu nad wielkim obszarem ziem zamieszkałych przez różne plemiona, budował grody i wyznaczał swoich namiestników, czyli żupanów. Zarówno książę Wiślan, jak i władcy plemion Opolan i Lędzian płacić musieli podatki w grzywnach żelaznych i w naturze. Król Mojmir i jego następcy zapewniali ochronę granic, władzę sądową oraz militarną sprawowaną przez wojewodów.

Ludzie chętnie osiedlali się w dolinie rzeki Kamiennej z uwagi na dobre warunki przyrodnicze sprzyjające rozwojowi rolnictwa. Kwitło także garncarstwo, gdyż bogate pokłady gliny zapewniały doskonały surowiec.

Starożytny szlak rzymski prowadził do świętokrzyskich dymarek, gdzie przetapiano rudy żelaza. Mimo upadku cesarstwa rzymskiego stary szlak handlowy przetrwał, gdyż zachodnia Europa nadal potrzebowała skór, wełny, bursztynu, miodu i innych produktów. Handlowano też niewolnikami, tym specyficznym "towarem" zainteresowani byli kupcy muzułmańscy.

Źródła arabskie często wspominają słowiańskich niewolników (pod nazwą *Sakaliba*) i mówią o tym, że są oni kupowani za dirhemy od skandynawskich kupców. Należy to brać na poważnie, ponieważ rzeczywiście odkryto setki

tysięcy dirhemów w Europie północnej, a to z pewnością jest tylko nikły procent tego, co napłynęło. Znaczyłoby to, że w od VIII do X wieku istniał masowy system handlu niewolnikami, na pewno głównie pochodzenia słowiańskiego. Ich transport z Mazowsza i innych regionów do Andaluzji czy Azji Środkowej był skomplikowaną operacją: trzeba ich było karmić, poić i pilnować, i to podczas wielomiesięcznej podróży na przestrzeni kilku tysięcy kilometrów. To Azjaci kupowali niewolników i futra od skandynawskich kupców na rynkach Bułgarii Wołżańskiej i Chazarii. Znaczną rolę odgrywali w tym handlu zwłaszcza kupcy z Chorezmu, wielkiej oazy w delcie Amu-Darii na południowym brzegu Morza Aralskiego. Ich rola jest potwierdzona między innymi przez Kroniki Nestora, gdzie pojawiają się pod nazwą *Chwalisy*, ramię w ramię z Bułgarami wołżańskimi. Muzułmańscy kupcy byli zainteresowani niewolnikami nawet z tak odległych terenów jak Słowiańszczyzna, sprowadzano stamtąd głównie kobiety i dzieci w wieku kastracyjnym. Z zachodniej części Słowiańszczyzny niewolników pozyskiwali hiszpańscy Umajjadzi, zaś z pozostałej części – Samanidzi z Azji Centralnej.

Po śmierci Świętopełka w 894 roku Wielkie Morawy zostały podzielone między trzech synów Świętopełka: Mojmira II, który otrzymał w zarząd Morawy właściwe, Świętopełk II Słowację, a trzeci nieznany z imienia miał objąć Pociście. Właśnie tam w 896 roku mieli się osiedlić Węgrzy, za zgodą książąt wielkomorawskich, jednak obszar ten był za mały przy silnie rozwiniętych strukturach państwowych u Węgrów, a poza tym mało prawdopodobne, aby Węgrzy płacili trybut z zajmowanych ziem, a sami książęta siłą nie byli w stanie go wywalczyć. Węgrzy dotarli na tereny wschodnie Państwa Wielkomorawskiego po klęsce, którą zadali im w 895 roku Pieczyngowie. Węgrzy, wobec groźby eksterminacji jako naród, rzucili się do ucieczki docierając wiosną 896 roku nad Dunaj, gdzie właśnie za zgodą książąt wielkomorawskich osiedlili się na terenach położonych wzdłuż północnego biegu rzeki Cisy i na części Pociścia. Państwo Wielkomorawskie zostało podporządkowane całkowicie Węgrom dopiero w 907 roku po bitwie pod Bratysławą. W ten sposób skończyło się zwierzchnictwo królów Moraw nad Wiślanami. Nadchodził czas Piastów.

Exodus możnowładców Wielkich Moraw skierował się nie na ziemie należące do Wiślan, ale dotarli oni do Wielkopolski, na tereny Polan. To tam nastąpił skokowy rozwój wielkich grodów i organizacji państwa po roku 900. Polanie byli poganami, Morawianie przyjęli chrzest już w roku 831. Aby chrystianizować Polan potrzebowali silnych struktur państwowych, a to musiało skutkować likwidacją władzy plemiennej i jej wierzeń. Ale przecież i oni nie stworzyli tych wzorców. Naśladowali po prostu elity wschodnio frankijskie zarówno w

sposobie budowy grodów, uzbrojenia wojów, jak i używania przedmiotów luksusowych. Jest prawie pewne, że to ród Poznańców z Moraw gród Poznań zbudował i do świetności doprowadził.

Książę Wiślan oponował przeciwko przyjęciu chrześcijaństwa, jak zapisano w "Żywocie Metodego", książkę "urągał chrześcijanom" wyrządzając im szkody. Miał on zostać ochrzczony siłą "na obcej ziemi" i tak się stało w trakcie łupieżczej wyprawy na Morawy zgodnie z przepowiednią Metodego.

Trzeba było jeszcze stu lat, aby ziemie Wiślan do Polan dołączyły. Wpierw bowiem ziemie te protektoratem Czech były i im trybut płaciły. Około roku 990 gród znalazł się w granicach państwa piastowskiego, stając się jedną z głównych siedzib królestwa.

2. Panowanie Piastów

Wolno przebiegała integracja Wiślan z państwem Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Kiedy rozbudowano Kraków, a wokół grodu chmielowskiego wyrosła spora wioska rolników i garncarzy spadła na te ziemie groza najazdu tatarskiego. Spalony został gród Kraka, zdobyto i spalono Chmiel, ludność poszła w niewolę okrutną, a w miejscach ludnych ongiś tylko dziki zwierzę leżyska swoje miał. Mnóstwo wody w Wiśle upłynęło, zanim życie na te ziemie wolno wracać zaczęło. To ród szlachecko urodzonych Odrowążów zamek Chmiel odbudował, teraz już z kamienia on był postawiony, a wokół osada z wielu domostw złożona powstała. Jej pradawna nazwa oczywiście od uprawianego tam chmielu powstała, z którego piwo warzono już od wieków. Król Chrobry wielkim piwoszem był, co w kronice Dietmara zapisane zostało. Ród Odrowążów takim się herbem pieczętował, a korzenie jego z Wielkich Moraw pochodzą.



2. Herb Odrowąż

Oto jego heraldyczny opis.

W polu czerwona rogacina srebrna w słup, u dołu rozłuczona. W klejnocie nad hełmem w koronie na pawim ogniu taka sama rogacina w pas.

Odmianą herbu jest w polu czerwonym rogacina srebrna w słup, pokrzyżowana, u dołu rozłuczona. Znane są następujące średniowieczne pieczęcie z tym herbem: 1350 Piotr kasztelan dobrzyński i Jakub sieradzki; 1352 Jakub z Dębna; 1380 Jan, starosta ruski; 1384 Prandota, podsędek ziemski sandomierski; 1385 Krzesław, podsędek ziemski krakowski.

Używały go między innymi następujące rodziny: Baranowski, Bębnowski, Białoczewski, Błaszkwicz, Bielawski, Bieńkowski, Bylina, Cedrowski, Chlewicki, Chomski, Chreptowicz, Czechowski, Durasiewicz, Dziewiatyński, Godowski, Gorski, Jacewicz, Jeleński, Kamieński, Kapuściński, Kietliński, Konecki, Kowalewski, Krajewski, Kwinta, Lasota, Litawor, Łukaszewski, Minkiewicz, Mińkowski, Odrowąż, Ossowski, Parczewski, Pawłowicz, Petrykowski, Pękalski, Pieniażek, Pruszkowski, Rozdrażewski, Siedlecki, Siemaszko, Waligórski, Wizgird, Wolski, Wysocki, Żaba, Żak, Żaranowski.

Starożytni pisarze podają zgodnie, że ów herb został wniesiony do Polski z Morawii, gdzie zwał się "Odrzywąsem" a to z tej okazji, że przeciwnikowi swemu możnemu poganinowi w pewnym zajściu oderwawszy usta z wąsem, takowe wbił na strzałę i jako znak zwycięstwa oddał swemu księżęciu, za co od tegoż miał otrzymać nazwę Odrzywąsa, z wyrażeniem tego znaku jako klejnot herbowy, którym dotąd pieczętują się domy Siedlnickich i Tworkowskich w Morawii.

B. Paprocki podaje, że: *"Przodek tego domu, mąż jeden sławny w Morawie (w cudzej ziemi) z poganami o sztukę strzelał z łuku, potem z nim i za pasy chodził i dziwnych sztuk rycerskich z sobą próbowali. On poganin, że nań szczęścia z mocy nie miał, przed monarchą krainy onej, znając łaskę pańską; dlatego, że mu się z każdym nieprzyjacielem fortunnie w potrzebach zdarzało, chcąc i nad onym górę otrzymać, o szrudłki (popularna gra ludowa) z nim przed cesarzem czynić chciał. On z gniewu mając to sobie za zelżywość chwycił go za gębę, którą mu z wąsem i nosem oderwawszy, na strzałę wetknął i ukazał panu, który wzgardziwszy onym oszpeconym poganinem, dał temu za wieczny upominek onej jego zwierzchności i nad nim strzałę przez wąż przewleczoną, i nazwał go Odrzywąsem aż per corruptionem sermonis Odrowąż po ten wiek"*.

Okólski zaś twierdzi, że przodek herbu tego strzałę z łuku wąsy obydwu i z mięsem mu uciął.

Sławny to herb, ale czy któryś z odległych przodków go używał? Stara herbarze mówią o Pękalskim herbu Odrowąż z Malusz (Źródło: *"Szlachta wylegitymowana w Królestwie Polskim w latach 1836-1861(1867)"*).

Potwierdza to *"Herbarz Polski"* Kaspra Niesieckiego, tom VII, wyd. w Lipsku w r. 1841 (mój reprint z r.1989, WAiF).

Boniecki natomiast w swoim herbarzu przywołuje Jadwigę Pękalską, córkę Stefana z Malusz i jej parantele z rodem Bochwiczów. (*"Herbarz Polski"*-Adam

Boniecki, wydanie elektroniczne; dr Marek Jerzy Minakowski 2004). Przegląd tego drzewa genealogicznego uzmysławia nam trudności, na jakie napotyka badacz dziejów swego rodu.

Nie oznacza to oczywiście, że wywodzimy ród Pękalskich (niezależnie od pisowni, która ulegała zmianom) od tego herbowego przodka. Nie ma na to żadnych dowodów, zbyt odległe to czasy. Po prostu odnotowujemy, że istniała taka gałąź rodowa i taki herb. A przodkowie nasi byli zwykłymi garncarzami i tkaczami.

Zauważmy, że po raz pierwszy w związku z Ćmielowem pojawia się nazwisko Pękalski. Wywodzi się ono bądź z imiona złożonego Pękostaw lub od słowa "penka", co oznaczało kiedyś gwoździak, ćwiek. Inne możliwe słowa to pęknięcie, rozpuk, wiązka, wiązanka, snop, supeł, węzeł, garb. Bez wątplenia jest to stare, słowiańskie nazwisko, o czym świadczy samogłoska "ę". W języku prasłowiańskim istniały dwie samogłoski nosowe, przednia e i tylna o.

Pochodziły z grup typu *en, am, om* itp. W języku staro-cerkiewno-słowiańskim zapisywano je znakami o nazwie **jus**. Polacy w XII wieku przejęli alfabet łaciński. Zasób łacińskich liter nie był jednak wystarczający do oznaczenia wszystkich polskich dźwięków, zabrakło ich dla spółgłosek średniojęzykowych ciszących (pisanych dziś **ć, ś, ź**), spółgłosek nosowych (pisanych dziś **ą, ę**), a także spółgłosek dźwiękowych szumiących (pisanych dziś **cz, sz, ż**). Kilka liter łacińskich okazało się natomiast zbędnych (**q, x, v**). Ale to nie wystarczało i trzeba było wprowadzić do użytku nowe znaki pojedyncze. Chętniej jednak uciekano się do kombinacji liter łacińskich. Różni pisarze i kopiści po swojemu radzili sobie z przystosowaniem alfabetu łacińskiego, o jakimś powszechniejszym porozumieniu się i wypracowaniu ogólnie obowiązującej normy zapisu, w ówczesnych warunkach oświatowych i kulturalnych, nie mogło być mowy. Na ówczesną ortografię polską oddziaływały też nieraz rozbieżne wpływy czeskie i niemieckie. Najlepiej świadczy o tym przykład Ćmielowa, który w dokumentach łacińskich przyjmował najróżniejsze formy jak np. Sczmelow, Chmiel, Chmielow, Smielowo, Trzmielów, Szmielów, Szmyelów. Dopiero w aktach z XVII wieku pisanych po polsku spotyka się nazwę Ćmielów.

Źródła historyczne wskazują na występowanie rodu Pękalskich (lub Pękali) na ziemiach polskich i litewskich od wczesnego średniowiecza. Oto np. Jan Pękalski wzmiankowany, jako plenipotent księcia Bogusława Radziwiłła:

W czasie potopu Bogusław Radziwiłł przyłączył się do Szwedów, chcąc uzyskać dla siebie udzielne księstwo. Plenipotent Radziwiłła, Jan Pękalski pośpiesznie ufortyfikował pałac umocnieniami bastionowymi. W liście do księcia donosił: **"Pewnie by i mnie w żywocie nie stało i poddanych by naginęło (...) a gdym się okopał, ufortyfikował sztakietami, gdzie się byli mieszczanie, kupcy i żydzi**

swoi i cudzy z taborami i dostatkami swymi zwieźli, przyciągnęło chorągwi 26 z pułkownikami Łukomskim i Korotkiewiczem i obległo mnie (11 II 1656).

Wikipedia określa Jana Pękalskiego jako: "*zarządcę dóbr, pamiętnikarza i działacza kalwińskiego*".

Inni znani przedstawiciele tego rodu to:

- * Józef Tadeusz Pękalski (XVIII wiek)- ksiądz; dyrygent; teoretyk muzyki
- * Leonard Pękalski (1896-1944) - malarz, profesor
- * Stanisław Andrzej Pękalski (1895-1967)-malarz, rektor
- * Piotr Franciszek Pękalski (1790-1874) - pisarz religijny, profesor
- * Wojciech Pękalski (zm. w r. 1817) - dramaturg, poeta, redaktor, wolnomularz.

Oczywiście w czasach piastowskich nie używano nazwisk rodowych tylko imiona łączone z siedzibą rodu.

Najstarsze imiona, które występują w języku polskim, to tak zwane słowiańskie imiona dwuczłonowe. Zostały odziedziczone przez języki słowiańskie z języka praindoeuropejskiego. Te imiona ukształtowały się z wcześniejszych jeszcze imion zdaniowych, z których większość była nacechowana pozytywnie i wyrażała życzenie rodziców względem dziecka. Dzisiaj tylko niewielka część tych dwuczłonowych imion jest w powszechnym użyciu. Przykładem mogą tu być imiona: Bogdan (dany od Boga), Bolesław (ten, który ma ściągnąć większą sławę), Bożydar (dar od Boga), Bronisław (ten, który ma bronić sławy), Czciwor (ten, który czci walkę), Czesław (ten, który czci sławę), Dobiesław (sławny z dzielności), Jarosław (sławny z surowości), Wojciech (dający pociechę wojownik), Zbigniew (wyzbyty gniewu). Do grupy najstarszych imion staropolskich należą także imiona jednoczłonowe równe lub utworzone od nazw pospolicznych, np. Broda, Żyła, Brzuchaty, Wałkuń, Rak, Kopyto, Jawor, Łyko, Grot, Krupa, Tusza. Z czasem utraciły one swoją pierwotną funkcję imienia i przekształciły się w nazwiska, które są w powszechnym użyciu do dzisiaj. Do tej grupy zapewne należało nasze nazwisko wywodzące się od Pęka, czy też Pękali. A więc np. Pękala z Chmielowa mógł być owym pierwotnym nosicielem pierwszego członu nazwiska, jakiś kolejny potomek przyjął herb Odrowąż i nazywał się już Pękalski. Chociaż jeśli pochodził z Chmielowa powinien nazywać się Chmielowski. Od tej zasady były jednak liczne wyjątki. Proces przyjmowania nazwisk przez polską szlachtę rozpoczął się tak naprawdę dopiero w XIV wieku i trwał przez wiek XV aż do wieku XVI. Pod względem formalnym nazwiska szlacheckie były przymiotnikami utworzonymi od nazw miejscowości, których dani szlachcice byli właścicielami. Były to więc nazwiska zakończone na -ski, -cki. Pierwotnie, do końca wieku XVI, były to nazwiska tylko szlacheckie. Służyły one identyfikacji osoby, określały jej pozycję w hierarchii społecznej, wskazywały na jej szlacheckie pochodzenie. Jednak już w wieku XVII

nastąpiła moda na tego typu nazwiska. Zaczęli przybierać je ludzie z innych stanów dla dodania sobie powagi, zyskania prestiżu; cudzoziemcy, chcący podkreślić w ten sposób swoją polonizację, a także, często w wyniku nobilitacji, pisarze. Wszystko to sprawiło, że nazwiska zakończone na -ski, -cki utraciły swoją szlacheckość. Najpóźniej, bo od końca wieku XVII aż do wieku XIX, nazwiska przyjmowali chłopi. Czynili to pod wpływem nakazów administracyjnych, później zmuszani przez władze państw zaborczych. Nasze nazwisko występuje w starych metrykach, jako " Pękala, Pękała, Pękalina, Pękalanka i najczęściej Pękalski.

W XIV wieku powstaje nowy zamek na kamiennych fundamentach starego położonego na wyspie. Jezioro w tym czasie znacznie się zmniejszyło przez zarastanie i spadek poziomu wód gruntowych, ale nadal stanowiło przeszkodę wodną lepszą niż fosa. Nowy zamek został postawiony przez Odrowążów z cegły w stylu gotyckim i należał do grupy zamków małopolskich nizinnych zazwyczaj ulokowanych w trudno dostępnych rozlewiskach rzek. Do wieku XV zamki wnoszono przede wszystkim na wzgórzach, gdyż takie były wymogi sztuki wojennej tamtych lat. Warownia posadowiona na wzniesieniu mogła się skutecznie bronić. W wieku XVI już coraz częściej używano broni palnej. Odstąpiono zatem na wzgórzu budowla stawała się dogodnym celem artyleryjskich pocisków. Budowanie zaś zamków na terenach nizinnych, w rozlewiskach rzek, oddalało niejako pierwszą linię dział od murów. W połowie XIV wieku zamek wraz ze wsią Sczmelow został sprzedany przez podkomorzego dobrzyńskiego Mikołaja i jego brata podczaszego Marcina z Baruchowa za 6000 grzywien podkomorzemu krakowskiemu Gniewoszowi z Dalewic. Poświadcza to dokument podpisany właśnie w 1388 roku przez królową Jadwigę. Od syna Gniewosza zamek nabył w 1415 roku bliżej nieznanym Deresławem de Sczmelow.

W 1425 zamek przeszedł w ręce Jana z Podłowa herbu Janina. Przedmiotem transakcji była jednocześnie sama wieś Chmielow z wyłączeniem odrębnego sioła składającego się z kilku chat otaczających kościół.

W ostatniej ćwierci XV wieku zamek znalazł się w rękach rodu Szydłowieckich. W 1493 roku zmarł radomski kasztelan Stanisław Szydłowiecki, a będący jego własnością Ćmielów przeszedł w spadku na Jakuba. Był on podskarbisem królewskim i starostą łęczyckim. W 1505 roku Ćmielów otrzymał z jego inicjatywy prawa miejskie magdeburskie obejmując teren wsi przy zamkowej oraz sąsiedniego Szydłowa. Ten przywilej lokacyjny nadał w Radomiu na sejmie król Aleksander Jagiellończyk. Zachowało się imię pierwszego wójta. Został nim Maciej z Iłży. On też był zasadźcą nowego miasta. Podniesiona do rangi miasta miejscowość musiała mieć rynek i ulice. Wytyczono więc ten centralny plac w

połowie drogi między kościołem parafialnym w Szydłowie a zamkiem i wsią Ćmielowem.

W 1509 roku włości ćmielowskie dostają się w posiadanie Mikołaja, a kolejny właściciel Krzysztof Szydłowiecki w latach 1519-1532 wykorzystując miejsce dotychczasowego zamku wzniósł od podstaw nową renesansową budowlę, której ruiny istnieją do dziś.

Zamek składał się z dwóch członów. Na wysepce stawu człon główny tworzyły dwa równoległe budynki połączone od północy budynkiem kaplicy a od południa murem kurtynowym. Na brzegu stawu od strony południowej wzniesiono budynki przedzamcza, które otaczało dziedziniec. Pierwotnie przedzamcze miało prawdopodobnie co najmniej trzy skrzydła i dziedziniec mógł być otwarty tylko od strony stawu. Wjazd na podzamcze prowadził przez trzykondygnacyjną masywną wieżę bramną.

Po śmierci kanclerza, która nastąpiła w 1532 r., dobra ćmielowskie odziedziczyła jego żona, Zofia Targowska, a po niej (zmarła w 1556 r) jej wnukowie. W wyniku podziałów majątkowych spory rodzinne o miasto, zamek i inne włości trwały między Tarnowskimi, Radziwiłłami, później Zborowskimi lat kilkadziesiąt i trudno dziś precyzyjnie ustalić jak przebiegało dziedziczenie. Sytuacja własnościowa ustabilizowała się dopiero, kiedy dobrami ćmielowskimi rządził (od 1606 r) Janusz książę Ostrogi, który wyrównał brzegi stawu do kształtu prostokąta i otoczył go czworobocznym obwodem fortyfikacji bastionowych, wielkim błędem jednak było pozostawienie podzamcza nieosłoniętego wałem ziemnym.

Przyczyną zmian w architekturze zamkowej były czynniki gospodarcze i reprezentacyjne. Do tej pory siedziby panów były najczęściej surowymi warowniami rycerskimi, niezbyt dużymi, niewygodnymi i nastawionymi głównie na cele militarne. Rycerz nie prowadził gospodarki (żył z danin), ani też rozległego życia towarzyskiego. Żył w swej gotyckiej, izolowanej od świata, samotni. Renesans przyniósł, natomiast nową filozofię życia i nowy model spędzania czasu. Mroczne siedziby średniowiecznych rycerzy jak gdyby otworzyły się na zewnątrz. Wpuszczono do nich powiew epoki, której humanistyczne cele rozświetliły mroki średniowiecza.

Rycerz zmienił się w możnowładcę, dla którego podstawowym celem życia było jego przyjemne spędzanie. Chciał mieszkać lepiej i wygodniej, chciał przyjmować gości i prowadzić otwarty dom. Tych potrzeb nie mógł zaspokoić gotycki kasztel. Dlatego też przystąpiono w XVI w. do przekształceń rycerskich siedzib. Krzysztof Szydłowiecki był typowym reprezentantem renesansu. Dlatego też jego ćmielowski dom stał się po przebudowie dumną budowlą o szerokim programie rezydencjonalnym. Autorem reprezentacyjnej siedziby kanclerza Szydłowieckiego mógł być któryś z budowniczych renesansowego

Wawelu, czyli Benedykt Sandomierzanin (przebudował zamek Sandomierski) lub Bartłomiej Bereci.

O jego wspaniałości kronikarz wyraził się: "*... w Ćmielowie Szydłowiecki pobudował tak piękne gmachy i tak je malowidłami ozdobił, że zjeżdżali się ludzie nawet obcy cuda te oglądać: przedsionki, komnaty, izby niewieście, ogrody, spacery, ganki, sale senatorskich narad- wszystko było wspaniałe...*".

Siedziba renesansowego magnata była też ośrodkiem gospodarczym gromadzącym i przerabiającym płody rolne z rozległych przeciw włości Szydłowieckich. Dlatego też tak bardzo rozbudowana została część gospodarcza- spichlerze, magazyny, warsztaty. Po śmierci kanclerza w zamku zamieszkała wdowa po nim Zofia Szydłowiecka wraz ze swoimi trzema córkami. Zofią, Krystyną, Elżbietą.

W zamku ćmielowskim urodził się syn Radziwiłła Czarnego i Elżbiety Szydłowieckiej- sławny w polskiej historii magnat Mikołaj Krzysztof Radziwiłł zwany "*Sierotką*", marszałek wielki litewski, następnie hetman, kasztelan trocki, wojewoda wileński, pamiętnikarz, pierwszy ordynat w Nieświeżu, znaczący polityk II połowy XVI w. Po śmierci Zofii Szydłowieckiej sprawy spadkowe bardzo się skomplikowały. Ćmielowski zamek przechodził z rąk do rąk, podobnie zresztą jak i miasto. Należał więc w części do córek Krzysztofa i ich rodzin. Był w okresowym posiadaniu Tarnowskich, Radziwiłłów, Zborowskich, Ostrogskich. W 1606 r. książę Ostrogski stał się udziałowym właścicielem zamku i potraktował go, jako swą główną siedzibę. Za jego rządów dokonano kolejnych przeobrażeń w architekturze budowli. W pierwszych dziesiątkach XVII wieku, zgodnie z panującą już i w Polsce modą na warownie typu "*palazzo in fortezza*" (pałac forteczny), powstały wtedy w Ćmielowie umocnienia ziemne o zarysie zbliżonym do prostokąta z czterema bastionami na narożach. W tej warowni, której obronność dodatkowo została wzmocniona rozlewiskami rzeki Kamiennej i podmokłym gruntem, stacjonowała zbrojna załoga mając na wyposażeniu armaty i składy z amunicją. Dowódcą załogi był wtedy kapitan Jakub Szczurski. W 1621 r. fortalicja ta dostała się Franciszkowi księciu Zasławskiemu. Przez następnych kilkadziesiąt lat warownia ta była w rękach tego możnego rodu.

2. Od potopu szwedzkiego do czasów współczesnych

Ten wspaniały zamek zachował swoje walory obronne w kolejnej wojnie.

Okoliczna szlachta, na wieść o zbliżaniu się wojsk szwedzkich uszła do twierdzy i zorganizowała obronę na tyle skuteczną, wspomagana dodatkowo trudnym do przebycia terenem wokół umocnień, iż wydawało się, że nieprzyjaciel zmuszony będzie do rezygnacji z dalszych ataków. Szwedzi w końcu wycofali armaty i zostawili na miejscu kompanię rajtarów próbując wziąć

zamek głodem. Ale spichrze były pełne zapasów, więc i tym sposobem zamku zdobyć się nie dało.

Panował w owym czasie w Polsce zwyczaj nakazujący gospodarzom dworów i pałaców wykazywać wyjątkową gościnność orszakom weselnym, które objeżdżały okoliczne posiadłości. W orszakach tych znajdowała się młoda para i oczywiście goście. Wesoła kompania wędrowała od dworu do dworu chętnie przyjmowana przez panów, którzy bardzo kochali tego typu zabawy.

Zamknięcie zaś bramy przed zbliżającym się orszakiem było poważnym nietaktem i plamą na szlacheckim honorze. Szwedzi wykorzystali ów obyczaj i zaaranżowali fikcyjne wesele. Żołnierze przebrali się w stroje weselnych gości i podjechali- jedyną wąską drożyną prowadzącą przez bagnisty grunt- pod bramę wjazdową. obrońcy widząc z daleka kolorowy korowód weselny, radośnie powitali przejezdnych, spokojnie otworzyli bramę i jeszcze zachęcali do wjazdu na teren fortyfikacji. Fałszywych gości nie trzeba było długo zapraszać. Rychło wtargnęli na pałacowy dziedziniec.

Był to udany podstęp wojenny, który doradził Szwedom Polak-zdrajca. W krótkim czasie ustał opór całkowicie zaskoczonych obrońców i zamek został zdobyty.



3. Orszak weselny

Tu wkracza na arenę historii Jerzy II Rakoczy. Od 1648 roku księżę Siedmiogrodu z rodu Rakoczy, lennik Turcji w Mołdawii i Wołoszczyźnie.

W 1653 roku zawarł sojusz z Rzeczypospolitą, jednak nie przyszedł jej z pomocą w trakcie najazdu szwedzkiego. Za to w 1656 roku sojusz zaproponowali mu Szwedzi w zamian za Ruś Czerwoną i tytuł wielkiego księcia Halicza. Rakoczy jednak 7 września 1656 roku zawarł traktat wieczystej przyjaźni z powstańcami Bohdana Chmielnickiego i nadal prowadził rokowania ze Szwedami.

Spowodowało to wzrost pozycji Rakoczego, co z kolei zmobilizowało Habsburgów do wsparcia Jana Kazimierza, ponieważ obawiali się, że Rakoczy będący lennikiem Turcji może dążyć do zjednoczenia Węgier. W związku z tym Ferdynand III podpisał 1 grudnia 1656 roku przymierze z Rzeczypospolitą. 6 grudnia 1656 roku Rakoczy podpisał ze Szwedami w Radnot na Węgrzech tzw. traktat w Radnot, na mocy którego miał się dokonać rozbiór Rzeczypospolitej, a Rakoczy miał otrzymać m.in. Mazowsze i Małopolskę wraz z dochodowymi złożami soli.

W końcu stycznia 1657 przez Karpaty ruszyła do Polski w kierunku na Lwów armia siedmiogrodzka w sile około 25 tys. wojska, do której w Medyce dołączyło ok. 8–10 tys. Kozaków pod dowództwem Antona Żdanowicza. Paląc i rabując szły wojska Rakoczego przez znękaną potopem szwedzkim Polskę. 12 kwietnia spotkał się Rakoczy z królem szwedzkim na zamku w Ćmielowie, który nie ucierpiał wiele w wyniku oblężenia i nadal stanowił godną królów rezydencję.

Przebieg tego spotkania odnotował w swoim Dzienniku Eryk Dahlberg, oficer szwedzki i zarazem rysownik.

Utrwalił też to wydarzenie na rysunku i tak opisał je w prowadzonym przez siebie pamiętniku:

"Dnia 6 kwietnia (1657 r.) przyjąwszy zaproszenie, udał się Jego Królewska Mość jako gość do księcia Rakoczego, który stał wtedy główną kwaterą w zamku w Ćmielowie (Smielowa). Jego Królewska Mość znajdował się o dobre pół mili, gdy książę wraz ze swymi generałami w 10000 koni wyszedł na spotkanie. Jego Królewska Mość przyjął piękne powitanie w przytomności obu armii, jakie po dwóch stronach drogi uformowały się w szyku bojowym. Następnie został wwiedziony do głównej kwatery z wielkim weselem, okrzykami radości, przy huku dział i muzyki wszelkich możliwych cudzoziemskich instrumentów. A skoro Jego Królewska Mość spożył południowy posiłek, wrócił z powrotem do swojej głównej kwatery, do Zawichostu, wiedziony w ten sam sposób przez pół mili..."

Z powyższej relacji wynika, że podczas pobytu obcych wojsk zamek Ćmielowski był w dobrym stanie, skoro służył za główną siedzibę dowództwa.

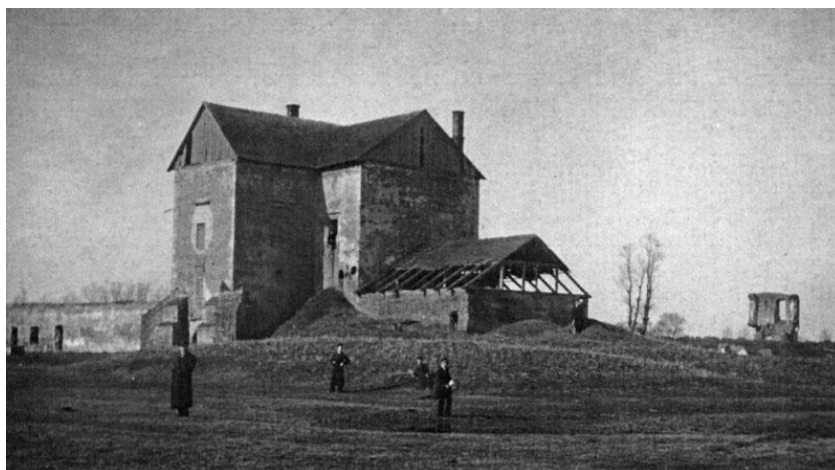


4. Spotkanie króla Karola X Gustawa z Jerzym II Rakoczym w Ćmielowie

Tam obaj najeźdźcy uzgodnili plan marszu na Lublin i Warszawę i kontynuowali rabowanie i palenie Mazowsza, a potem Podlasia. Skończyło się to bardzo źle dla władcy Siedmiogrodu. Rakoczy musiał zapłacić Rzeczypospolitej kontrybucję w wysokości 3 mln złotych, stracił wszystkie łupy wojenne, a niedobitki jego armii znalazły się w tatarskiej niewoli. Wkrótce na Siedmiogród uderzyli Turcy, pozbawiając Rakoczego wpływów w Mołdawii. Rakoczy stracił życie w walkach o tron siedmiogrodzki – zmarł po tym, jak został ciężko ranny w 1660 roku w bitwie pod Kolozsvár.

Zamek ćmielowski ucierpiał z powodu dokonanych przez Szwedów rabunków i rozebrania części murów obronnych i nigdy już nie odzyskał dawnej świetności. Dalsze losy ćmielowskiego zamku to stopniowa degradacja i próby rewaloryzacji. W 1702 r. reszta murów została rozebrana.

W XVIII wieku zmieniali się też właściciele. Po Wiśniowieckich włości ćmielowskie przejęli Lubomirscy, a od połowy XVIII stulecia były w rękach Małachowskich, którzy podjęli próbę odbudowania pałacu i kaplicy (1773 r.). W 1800 r. przerobiono podzamcze na browar- do dzisiaj starsi mieszkańcy Ćmielowa nazywają zamkowe ruiny browarem. Na początku XX wieku urządzono tu łaźnię parową. Zamieszczone wyżej zdjęcie-pocztówka pochodzi z ok. 1910 roku, widać na nich postacie w strojach żydowskich.



5. Pozostałości zamku w Ćmielowie w r. 1910

W ubiegłym wieku zmieniali się też właściciele tej zdegradowanej budowli- tak jak włości ćmielowskich. W 1912 r. książę Aleksander Drucki- Lubecki rozparcelował swój okazały majątek. Od niego to zamkowe ruiny wraz z 3,5 ha resztówką kupił Kacper Bargieł i w posiadaniu tej rodziny ten zabytek znajdował się ostatnio. W 1944 r. w bramie wieży ulokowany był niemiecki szpital wojskowy. Mimo zniszczeń, miejsce, na którym znajdują się pozostałości wspaniałej ongiś siedziby, należy do ciekawszych w tej miejscowości. Najlepiej zachowaną częścią jest obecnie budynek bramy wchodzący w skład przedzamcza. Jest on częściowo wykorzystywany, jako mieszkanie i tartak. W jego murach zachowały się pierwotne, renesansowe, detale kamieniarskie, m.in. ciosowe obramienia okienne z wymyślnymi fryzami, tablica fundacyjna Krzysztofa Szydłowieckiego w renesansowej dekoracji umieszczona nad oknem frontowej ściany, strzelnice kluczowe wycięte w płytach piaskowca świadczące o wysokim poziomie twórców tej budowli. Obecnie przedzamcze tworzy zwrócone frontem do miasta długie skrzydło i złączony z nim pod kątem prostym krótszy budynek gospodarczy. Jednak poza wieżą bramną i przylegającą doń od wschodu przybudówką, która przykryta jest dachem, reszta obiektów to tylko ściany bez osłony. Trzy kondygnacyjna wieża wychodzi mocno poza lico fasady.

W przyziemiu dobrze zachowana sklepiona kolebkowo brama przejazdowa zamykana ozdobnymi, drewnianymi wrotami. Arkadę przejazdową ozdabia i wzmacnia ostrołukowe ciosowe obramienie. Następny łuk znajduje się w środku tej długiej sieni, a trzeci na końcu. Po wejściu na mocno zarośnięty krzewami i drzewami dziedziniec można zobaczyć wewnętrzny układ tego oryginalnego założenia z epoki renesansu i jego późniejszych przeobrażeń. Dobrze zachowane fortyfikacje ziemne ograniczają z trzech stron horyzont i wraz z murowanym skrzydłem przedzamcza tworzą zamknięty czworobok-

wycinają kawałek zamkniętej, architektonicznie i krajobrazowo zorganizowanej estetycznie ciekawej przestrzeni. Centralne miejsce zajmuje tu staw owalny, na którego środku wynurzyła się niewielka wysepka z nikłymi już śladami pałacowych zabudowań.



6. Obecny wygląd wieży bramnej i resztek murów - 2006 r.

Kościół w Ćmielowie zbudowany został zapewne w początkach XIV wieku, choć ksiądz Wiśniewski uważa, że może nawet w końcu XIII stulecia. XVIII wieczny inwentarz podaje datę 1313 r. Pierwotnie był więc budową gotycką, ale już na początku XVI w. przeszedł gruntowną restaurację, na którą sporą sumę wyłożył Mikołaj Szydłowiecki, ówczesny właściciel Ćmielowa. Z tamtej przebudowy pozostały do dzisiaj ślady rzeźbionych w kamieniu herbów rodowych Szydłowieckich: Odrowąż, na portalu między zakrystią a prezbiterium, natomiast nad wielkimi drzwiami Odrowąż, Sulima, Łabędź i Jastrzębiec. Zapewne wtedy też świątynia otrzymała nowy i piękny wystrój renesansowy. Kolejnym dobrodziejem kościoła był kanclerz Krzysztof Szydłowiecki, znany jako hojny mecenas sztuki. Ten okres świetności ćmielowskiego kościoła skończył się jednak dość szybko. W połowie XVI w. na fali rozszerzającej się również w Sandomierskiem reformacji zniszczyli go arianie. Kiedy w następnym stuleciu dysydencki napór opadł, świątynia znowu stała się ośrodkiem katolicyzmu. Później przechodziła różne przemiany w architekturze zewnętrznej, a także w wystroju. Dzisiaj z pierwotnego stylu ostała się jedynie późnogotycka sylwetka.

Tworzy ją jednonawowy korpus i prezbiterium o wyjątkowo ostrych szczytach przykrytych dachami o oryginalnej konstrukcji. Zamiast pierwotnych sklepień kościoła ma sufit z desek. W prezbiterium występują kasetony. Wyposażenie wewnątrz pochodzi przede wszystkim z czasów baroku i rokoka. W ołtarzu głównym- sprawionym przez księdza Jana Celejowskiego- znajduje się obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus uważany za łaskami słynący i dlatego też Ćmielowski kościół wpisany został na listę Sanktuariów Maryjnych. Na zastanie tegoż wizerunku znajduje się drugi obraz, autora Buchbindera, przedstawiający św. Stanisława Kostkę. Po jego obu stronach stoją posągi: św. Jana Chrzciciela i królewicza polskiego- Kazimierza. Boczny ołtarz Trójcy Świętej (albo Męki Pańskiej) ufundował ks. Antonio Galangani, który był w Ćmielowie proboszczem w latach 1696-1716. Ten Włoch z pochodzenia, dziekan opatowski, sprowadził ze swej pierwszej ojczyzny rzeźbę Pana Jezusa na krzyżu, dla której wybudował ołtarz. W tle krucyfiksu znajduje się oryginalny widok Jerozolimy. Trzeci ołtarz, oparty o północną ścianę i poświęcony św. Antoniemu, ma bogaty relikwiarz. Czwarty, boczny zaś z rokokowym obrazem św. Anny Samotrzeć (babka Jezusa, matka Maryi, żona św. Joachima) należał ongiś do arcybactwa św. Anny. W zwieńczeniu scena Przemienienia Pańskiego. Rokokowy charakter ma również ambona oraz konfesjonały. Na przedłużeniu prezbiterium ulokowana została, znacznie niższa, sklepiona kolebkowo zakrystia, do której z boku przylega przedsionek z roku 1880. W zakrystii uwagę zwraca ostrołukowa wnęka, tzw. lawetarz, świadczący o gotyckiej proveniencji tej świątyni. W Ćmielowskiej świątyni zachowało się w wewnętrznych i zewnętrznych ścianach kilkanaście tablic epitafijnych i pamiątkowych z różnych okresów. Zwraca uwagę- usytuowany obok ołtarza św. Anny- nagrobek żony Jacka Małachowskiego. Ma on formę przyścienną, boniowaną (tj. rowkowaną) piramidy, utrzymaną w klasycznym stylu. Napis informuje: *"Tu leży Antonina z Rzewuskich sukcesorka cnót, czynów, marszałków, hetmanów i innych pierwszych urzędów siostra, małżonka Hyacynta Małachowskiego, Kanclerza Wielkiego Koronnego Polskiego kollatora (kolator-fundator kościoła lub jego spadkobierca), który trzykroć ministrowstwo składał, a kraj i sejm mu go oddawał, gdy wszyscy urzędu ubiegali się, prywatnie pędząc życie wdowiec pozostał z dwojgiem tylko dzieci: Franciszkiem i Janem z Dukli. Pomnik stawiający, proszą o westchnienie za dobrą panią, matkę i przyjaciółką i przykładną małżonką zmarłą 29 junii 1806 r."*



7. Kościół w Ćmielowie - r. 2006

Rozdział II

RODZINA PĘKAŁSKICH W WIEKU XVIII i XIX

1. Ulotne archiwa

Poszukiwanie przodków w kraju, przez który przetoczyło się kilka wojen, to zadanie nader niewdzięczne. Archiwa płonęły śladu po sobie nie pozostawiając lub znikwały w inny sposób. Podam tylko kilka przykładów z moich badań. Metryki z parafii ćmielowskiej zostały po prostu skradzione. Proboszcz nie zadbał o ich właściwe przechowywanie i zabezpieczenie na czas remontu plebanii. Na szczęście nie wszystkie księgi zaginęły.

Archiwum Państwowe w Kielcach Oddział w Sandomierzu za pobraną z góry opłatą 50,00-zł powiadomiło mnie w dn. 07 maja 2001 r., że w posiadanych

aktach parafii Ćmielów znaleziono jedynie dwa dokumenty. Był to akt urodzenia i zgonu Antoniego Penkalskiego, syna Karola i Anieli z Jakóbowskich z r. 1893. Tamże dowiedziałem się, że duplikaty tych akt sprzed 1890 r. zostały zniszczone w czasie działań wojennych w roku 1944, oryginały mogą znajdować się w parafii ćmielowskiej. Natomiast akta po 1893 roku powinny znajdować się w USC w Ćmielowie. Archiwum w Sandomierzu posiada zatem jedynie akta urodzeń z lat 1890-1893 oraz zgonów z lat 1887-1893. W tamtym czasie nie wiedziałem, że Karol Pękalski do mój pradziadek. Dziś wiem, że rodzeństwem dziadka Franciszka (1873-1941) byli m.in.: Marianna (ur. 23 stycznia 1876), Cecylia (ur. 22 listopada 1880 r.), Feliksa Elżbieta (ur. 1 lipca 1889 r.) oraz prawdopodobnie ostatni synek Antoni urodzony w roku 1893, który w tym samym roku zmarł.

W moim rodzinnym Gostyniu Niemcy zarekwirowali wszystkie księgi metrykalne z parafii w powiecie i okolicy i składowali je zwalone na stos bez żadnych zabezpieczeń w miejscowym klasztorze. Szybka ofensywa Rosjan w styczniu 1945 roku spowodowała, że hitlerowcy nie zdążyli wywieźć lub zniszczyć tych ksiąg. Walki o wyzwolenie Gostynia toczyły się niedaleko klasztoru, na szczęście księgi metrykalne ocalały i mogły powrócić do swoich parafii.

Także, kiedy przez kraj przetaczały się epidemie dżumy i cholery, nikt nie prowadził ewidencji zgonów czy narodzin. Ludność wraz z sługami bożymi uciekała przed tą grozą do lasów i tam żyli w stanie pierwotnym.

Na Pomorzu hitlerowcy wymordowali wielu księży i to nawet rodowitych Niemców skutkiem, czego ewidencja zgonów, ślubów i narodzin w wielu parafiach nie była prowadzona w r. 1939.

Kiedy w końcu dotarłem osobiście do parafii ćmielowskiej proboszcz nie chciał mi pokazać ksiąg metrykalnych. Musiałem wspiąć się na szczyty elokwencji, zapłakać nad niedawnym pożarem kościoła św. Mikołaja w Gdańsku, wtrącać co chwila "chwała Bogu", "szczęść Boże" itp. , aby w końcu kapłan ten pozwolił mi w ściśle określonym czasie zajrzeć do tego, co pozostało po parafialnym archiwum. Szkoda, że nie bronił go własną piersią, gdy na niezabezpieczonej plebanii grasowali złodzieje. Ułatwił im to sam strażnik tych ksiąg, gdyż zlecając remont budynku nie przeniósł archiwalnych dokumentów do innego pomieszczenia. Robotnicy skorzystali z okazji i ukradli najstarsze księgi.

Skala trudności w pozyskiwaniu informacji z parafii czy urzędów stanu cywilnego jest ogromna. Przez 30 lat obowiązywała ustawa o aktach stanu cywilnego z roku 1986 nieprzystająca do zmian, które zaszły w XXI wieku. Dopiero od roku 2015 działa nowa ustawa, ale i tam nie uwzględniono wielu postulatów środowiska genealogów. Toczyłem boje z urzędami stanu cywilnego

o wydanie metryk, wiele z nich przegrywałem. Nie miejsce tu na opisywanie tych historii, odsyłam do mojej strony "*Rzeczpospolita Krakowska, czyli Galicja i Lodomeria*", która pokazuje absurdy biurokracji.

<http://zbigkurzawa.eu/GALICJA/index.html>

Skutek istnienia takich ulotnych archiwów jest taki, że mimo zebrania wielkiej ilości danych trudno jest ustalić relacje pokrewieństwa pomiędzy poszczególnymi osobami noszącymi nazwisko Pękalski. Nie zrażając się tymi trudnościami przez blisko 20 lat gromadziłem materiały do napisania tej książeczki, aby je uporządkować i podsumować.

2. Czytanie cmentarzy



8. Grobowiec Karola Pękalskiego i rodziny

Archiwa płoną i giną, a cmentarze trwają. Dlatego to właśnie tam można odszukać wiele informacji genealogicznych, które nie istnieją w innej formie.

Wiadomo, że groby nieopłacone przez rodziny są likwidowane bezlitośnie. Cmentarz parafialny musi zarabiać, a nie dbać o groby niczyje. Często chowa się już nieboszczyków w nowej części cmentarza pozostawiając w spokoju groby zabytkowe czy też osób szczególnie zasłużonych dla regionu. Ale stary cmentarz cieszy się większym prestiżem, a więc wykupuje się tam za ciężkie pieniądze miejsca kosztem każdego skrawka ziemi, której potem brakuje nawet na przejścia między grobami.

"Czytanie" cmentarzy nie jest sprawą łatwą, trzeba mieć pewien stopień wiedzy genealogicznej oraz wstępne rozeznanie w tym, czego się poszukuje.

Pierwszym i najważniejszym etapem naszych prac będzie oczywiście wytypowanie cmentarzy, które powinniśmy odwiedzić. Drugim, uzyskanie u administratora cmentarza następujących informacji:

- czy prowadzona jest ewidencja pochówków (grobów)
- czy w ewidencji wymienione są osoby, których groby chcemy odszukać

Wędrując po cmentarzu zazwyczaj szybko uprzytamniamy sobie jakich spustoszeń dokonują czas i ludzie. Wiele grobów ma mniej lub bardziej zatarte napisy. Nagrobki wykonane z wapienia lub marmuru mają napisy wypłukane przez deszcze, nagrobki z piaskowca złuszczone. Jeśli napisy wykonano z brązu lub mosiądzu, są one z reguły niekompletne.

Wreszcie udało się nam odnaleźć poszukiwany przez nas grób. Najczęściej okazuje się, że nim przystąpimy do pracy, musimy go oczyścić. Do tego oczywiście przydadzą się narzędzia przygotowane przez nas wcześniej. Jeżeli oczyszczamy grób, oczyścimy go w całości, a nie tylko to, co nas interesuje. Przy okazji usuwamy chwasty, samosiejki drzew, wystrzyżmy trawę.

Grób został uporządkowany i oczyszczony. Teraz możemy przystąpić do pracy, która nas tu sprowadziła. Rejestrujemy dane obraną przez nas metodą. I już na wstępie może powstać dylemat. Czy notować tylko dane osobowe? Absolutnie nie - powinniśmy zarejestrować całość inskrypcji. Genealog jest nie tylko zbieraczem-archiwistą. Jest też, a może przede wszystkim, historykiem rodziny i to, co napisano na grobie przybliża go do rozumienia epoki i ludzi, którzy przeminęli.

Rozpoczynając pracę na cmentarzu wypadnie nam zastanowić się nad pewnym problemem - jaki ma być zakres naszej kwerendy. Problem potęguje się, gdy poszukiwania prowadzimy w miejscowości będącej naszym gniazdem rodzinnym. Z reguły poszukiwaliśmy jednego, lub co najwyżej kilku konkretnych grobów. Już po chwili konstatujemy, że nasze nazwisko widnieje na coraz liczniejszych grobach, że pojawiają się nazwiska znane nam już wcześniej z innych kwerend. Są to nazwiska naszych przodków, krewnych z bocznych linii i powinowatych. Jeżeli cmentarz nie jest zbyt duży, zaczynamy sobie zdawać

sprawę, ba zaczynamy mieć pewność, że każdy grób może być ważny. Nie znamy nazwiska - to nic, zaczynamy podejrzewać, że ta osoba też mogła być naszym przodkiem lub powinowatym. A więc trzeba sfotografować wszystkie te groby i dodatkowo poszukać w aplikacji GROBONET pozostałych. Nie było kiedyś takich udogodnień jak cyfrowe cmentarze i wyszukiwarki. Nie ruszając się z domu można obecnie odwiedzać te cmentarze wirtualne, z reguły wraz ze zdjęciami poszczególnych grobów. Niekiedy musimy zapłacić za takie zdjęcie, co jest wymagane np. na cmentarzu Powązkowskim. Nigdy nie byłem na cmentarzu w Kargowej, a odnalazłem tam grób siostry ojca Anieli Pękalskiej i jej męża Kazimierza Niedzielskiego, a także ich syna. Są tam też dostępne zdjęcia tych mogił bez dodatkowych opłat.

Cmentarz w Ćmielowie musiałem odwiedzić osobiście, to przecież gniazdo rodzinne, kolebka rodu, miejsce, gdzie spoczywa wielu ludzi noszących nazwisko Pękalski lub Penkalski. Była to niezapomniana wizyta w maju 2006 r. pełna zaskakujących odkryć. Przede wszystkim spotkanie z nestorem rodu Janem Pękalskim i kilka godzin rozmowy z tym niezwykłym człowiekiem. Walczył z Niemcami w partyzantce, po wojnie szykanowany ukończył studia w dziedzinie leśnictwa, ale w zawodzie pracować mu nie pozwolili. I sprawa najważniejsza. Pan Jan interesował się genealogią i uczynił kwerendę w aktach parafii ćmielowskiej jeszcze przed kradzieżą ksiąg metrykalnych. Dzięki niemu uzyskałem bezcenne dane z historii rodziny, których nie zdobyłbym w żaden inny sposób. Na cmentarzu też zaskoczenie. Imponujący grób pradziada Karola Pękalskiego zmarłego w roku 1903 z piękną figurą Matki Boskiej prawdopodobnie przez niego samego wykonaną. Także wiele grobów z rodowym nazwiskiem, które skrzętnie fotografowałem i zamieściłem na mojej stronie <http://zbigkurzawa.eu/GENEALOGIA/gallery.html>

Przy okazji byłem też w USC Ćmielów oraz w parafii w Denkowie. Inne pobliskie cmentarze odwiedzałem już tylko wirtualnie.

Z czasem eksploracja starych cmentarzy stała się moim pobocznym hobby. Odwiedzałem wpierw te w najbliższej okolicy, a potem inne w odległych nieraz krajach dokumentując wszystko na mojej stronie tym zagadnieniom poświęconej <http://zbigkurzawa.eu/GENEALOGIA/cementary.html> Oprócz odkrycia imponującego grobowca pradziada Karola Pękalskiego z 1903 roku, moim największym osiągnięciem było przywrócenie pamięci o skromnym grobie Zofii Niewiarowicz pochowanej na cmentarzu wejherowskim w roku 1926. Ocalał on tylko dlatego, że stary cmentarz został zamknięty dla dalszych pochówków.

Pamiętać trzeba też o ofiarach licznych w XIX wieku epidemii, które w sposób szczególnie dotkliwy dotknęły nasza rodzinę. Tragiczne żniwo chorób pozostawiało po sobie ślady w postaci cmentarzysk epidemicznych, niemal

zawsze zlokalizowanych na odludziu, zwykle niechętnie odwiedzanych i szybko zapominanych. Pochówki w obrębie takich nekropolii odbywały się cicho i bez zbędnych ceremonii. Ciała zmarłych, zwykle przywiezione wozem na miejsce pochówku, wrzucano do wspólnego grobu, dokładnie wysypanego wapnem. Często pomagano sobie w tej czynności kijem zakończonym hakiem...

Nad grobem najczęściej sypano niewysoki kurhan - mogiłę. Po ustąpieniu epidemii krewni ofiar często wznosili na nim krzyż lub kapliczkę. Bardzo rzadko stawiano w takich miejscach imienne nagrobki. Zdarzało się, że w kolejnych latach takie cmentarzyska były wykorzystywane ponownie. Grzebano na nich innowierców, samobójców, obcokrajowców, czyli osoby, które nie mogły spocząć w poświęconej ziemi cmentarza parafialnego. Czasem przekształcano je w cmentarze wojenne. Większość mogił została jednak zlikwidowana lub całkowicie zapomniana.

Niewiele cmentarzy morowych dotrwało do dziś. Te, które udaje się odszukać, pochodzą najczęściej już z XIX wieku i są smutnym efektem szalejących wówczas kilku epidemii cholery. Pamięć o cmentarzyskach zatarła się wśród mieszkańców miast i wsi. Niemal nikt już nie wie, z jakiego powodu została przed laty wzniesiona samotna kapliczka wśród pól, albo dlaczego na granicy dwóch wsi, przy rozstajach, usypano tajemniczy kurhanik, zwieńczony dziwnym, dwuramiennym krzyżem – karawaką.



9. Cmentarz choleryczny w Świętokrzyskiem

O straszliwej epidemii cholery w Ćmielowie, która omal nie doprowadziła do zagłady naszej rodziny w połowie XIX wieku będę dalej pisał.

3. Pierwszy z rodu

To zdjęcie dokumentuje moje spotkanie z doktorem Orłowskim u niego w Olsztynie. Bez kwerendy Jana Pękalskiego w aktach parafialnych oraz ustnej relacji i zdjęć Franciszka Orłowskiego, to opracowanie byłoby znacznie uboższe.



10. Jan Orłowski - spotkanie z autorem w r. 2007

Dr Orłowski był lekarzem wojskowym, więc nie mógł wybierać sobie miejsca zamieszkania. Trafił do Olsztyna i tam po zdjęciu munduru przeszedł do cywilnej służby zdrowia.

RODZINA JANA PEKALSKIEGO Z ĆMIELOWA

[Wypisy z akt stanu cywilnego parafii w Ćmielowie]
[u = akta urodzonych, m = małżeństw, z = zmarłych]

1797 m / 21 II Ćmielow - **Martinus Ochecki** 33 et **Marianna Antonikowna** 18, testes: Joannes Wysocki et Balthasar Wysocki de Ćmielow.

1797 m / 12 VIII Ćmielow - **Casimirus Chodnikowski** 20 et **Catharina Wuycicka** 18, testes: Simon Wuycicki et Petrus Chodnikowski de Ćmielow.

1799 m / 18 XI Glinka - **Ignatius Kulczuga** 26 et **Margarita Gralewska** 18, testes: Andreas Wiczorek et Mathaeus Piasecki laboriosi.

1802 u / 26 III Ćmielow - **Francisca Chodnikowska**, parentes: Casimirus Chodnikowski et Catharina Woyczycka, patrini: Joannes Mysliwski et Catharina Woyczycka cives.

1802 u / 8 V Ćmielow - **Stanislaus Lenczewski**, parentes: Antonius Lenczewski et Agnes Panaszewska, patrini: Carolus Panaszewski et Hedvigis Olszowska cives Cm.

1802 u / 1 VIII Glinka - **Laurentius Sebastianus Ignatius Kulczuga** parentes: Ignatius Kulczuga et Margarita Groleska, patrini: Blasius Ziętak et Marianna Kolasina laboriosi.

1805 m / 12 II Groiec - **Stanislaus Gnat** 23 et **Marianna Waškowna** 15, tested: Valentinus Przysiwek, Benedictus Jakubowski et Martinus Spala laboriosi.

1806 u / 23 I Krzczonowice **Agnes Kolassa**, parentes: Valentinus Kolassa et Marianna Pięcionka, patrini: Petrus Kupczynski et Magdalena Pięcienska honesti de Ćmielow.

1809 u / 31 XII Groiec - **Agnes Gnatowna**, parentes: Stanislaus Gnat et Maryanna Waszkowna, patrini: Thomas Smetek et Marianna Biskupka laboriosi.

1815 u / 7 II (Folwarczysko) - **Valentinus Wolański**, parentes: Jacobus Wolański [40 leśniczy] et Hedvigis de Starowicze [35], patrini: - Simon Czerwinski praepositus loci et Francisca Niewieńska nobilis de Bodzechow. [Dane w nawiasie obl. wg. 1817u102.]

1818 m 19 / 3 XI **Zbikiewicz Walenty** 21 m. 5 garncarz s. Jędrzeja Zbikiewicza (+) z Denkowa i Agnieszki z Brydkiewiczow komorą w Denkowie zamieszkałej - **Franciszka Chodnikowska** 16 m. 7 c. N. (+) i Katarzyny z Wojcickich Chodnikowskiej wdowy pos. dom wł. w Ćmielowie.

1820 u 3 / 4 I **Zbikiewicz Tomasz** s. Walentego Zbikiewicza m. k. garncarskiego i Franciszki z Chodrukowskich 18.

1821 m 21 / 27 II **Kulczuga Wawrzyniec** 18 z Glinki s. Ignacego gospodarza

Nie jest sprawą prostą ustalenie wszystkich związków rodzinnych nie dysponując pełnymi danymi z akt stanu cywilnego, czy z ksiąg metrykalnych.

Nie ulega jednak wątpliwości, że z Janem Pękalskim łączy nas żeńska linia rodu Ochockich rozpoczynająca się od Marcina Ochockiego, (ur. 1764), który w r. 1797 r. poślubił 18. letnią Mariannę Antonikówną. W tym samym roku Kazimierz Chodnikowski poślubił Katarzynę Wójcicką. Ważne jest też małżeństwo z r. 1799 Ignacego Kulczugi z Małgorzatą Gralewską. W końcu pojawia się Marcin Pękalski, tkacz z Denkowa ur. w r. 1805, który bierze za żonę Jadwigę Wójcicką. Wkrótce rodzi się im syn Jan i córka Marianna, która umiera w dzieciństwie.

Nie jest to jednak ten Jan Pękalski, ojciec Karola, chociaż i on pochodził z Denkowa i był tkaczem. Z pewnością byli w jakiś sposób spowinowaceni, jak wszyscy Pękalscy z Denkowa i Ćmielowa. Odrębną linię tego rodu stanowiła tzw. linia ożarowska. Zamieszkali tam Pękalscy mogli mieć wspólnego przodka, najpewniej w XVII wieku, potem linie te rozdzieliły się i wyodrębniły.

Poszukiwania koncentrowały się na ustaleniu rodziców Jana-tkacza, męża Agnieszki Ochockiej i ojca Karola, mego pradziadka ze strony ojca. W jakiś tajemniczy sposób imiona jego rodziców nie znalazły się w wypisie z aktu zgonu, akt urodzenia nie odnalazł się ani w Ćmielowie, ani też w Denkowie. Po dokładnym zbadaniu metryk z Denkowa (dzisiaj dzielnica Ostrowca Św.) doszedłem do wniosku, że nasz ród stamtąd się wywodzi. Oczywiście blisko było do Ćmielowa i tam to nazwisko często występuje, ale statystyka wskazuje zdecydowanie na Denków. To tam mamy ślub Anny Pękalanki (forma oboczna nazwiska stosowana dla panny) w niedzielę 7 maja 1679 z Mateuszem Czubatym. W lutym 1683 r. Zofia Pękalska wychodzi za Pawła Kołodziejczyka, a 28 listopada 1713 r. Barbara Pękalska poślubia Józefa Lesika. To dobitnie świadczy o licznej populacji zarówno szlachty, jak i włościan i rzemieślników o tym nazwisku usadowionej tam od czasów, kiedy w ogóle nadawano nazwiska. Te najwcześniejsze małżeństwa znamy tylko z zachowanych spisów, a pierwsze, pełne metryki pojawiają się w wieku XIX. Pamiętamy, że potop szwedzki dotarł na te ziemie, żołdacy rabowali i palili kościoły, a wraz z nimi księgi parafialne. Zdrajca Jerzy II Rakoczy był protestantem i także nie szanował dobytku i dokumentów kościoła katolickiego. Wiele jeszcze wojen przetoczyło się przez te ziemie i dlatego cieszymy się każdym zachowanym przekazem z tych odległych czasów.

- i Małgorzaty z Gralewskich – **Agnieszka Kolasa** 15 z Krzczonowic c. Walentego Kolasy gospodarza i (+)
- 1827 u 23 / 14 II **Ochocka Julianna** c. Marcina 56 rzeźnika i Marianny z Kucharskich 42.
- 1827 m 40 / 20. XI **Pękalski Marcin** 22 tkacz z Denkowa, s. Kazimierza (+) i Julianny z Fraudowskich (?) – **Jadwiga Wójcicka** 21 z Ćmielowa, c. Ksawerego i Julianny z Fraudowskich (zob. 1803 m 132, 1804 u 132 **Teresa Jadwiga Wójcicka** *14 X 1804 r., rodz. Ksawery Wójcicki i Julianna Fraudowska).
- 1828 m 6 / 12 II **Linczeski Stanisław** 25 m, 4 rymarz s. Antoniego Linczeskiego i Agnieszki z Panaszewskich – **Agnieszka Gnatowna** 18 c. Stanisława Gnata i Marianny z Wańkow z Groyca.
- 1829 u 89 / 29. VIII **Pękalski Jan** s. Marcina 23 tkacza i Jadwigi z Wójcickich 25.
- 1830 u 104 / 11 I **Pękalska Marianna** c. Marcina 27 tkacza i Jadwigi z Wójcickich 26.
- 1833 z 63 / 16. III **Pękalska Marianna** 2 1/2 c. Marcina w wojsku zostającego i Jadwigi z Wójcickich.
- 1833 u 99 / 1 VIII **Linczoski Piotr** s. Stanisława Linczoskiego 32 rymarza i Agnieszki z Gnatow 24.
- 1834 m 10 / **Wolański Walenty** 19 wdowiec czeladnik fabryki fajansu ur. w Folwarczysku s. Jakuba i Jadwigi ze Starowiczów z Potoczku – **Zofia z Liśkiewiczów Dziewiecka** 32 wdowa ur. w Rudzie c. Ignacego Liśkiewicza (+) i Agnieszki z Kwapisow (+).
- 1838 u 8 / 19 I **Wolańska Agnieszka** c. Walentego 28 czeladnika fabryki fajansu i Zofii z Liśkiewiczów 38.
- 1844 m 7 / 6 II **Zbikiewicz Tomasz** 23 s. Walentego Zbikiewicza i Franciszki z Chodnikowskich – **Julianna Ochocka** 17 c. Marcina Ochockiego i Marianny z Kucharskich.
- 1845 u 89 / 5 VII **Kulczuga Antonina** c. Wawrzyńca Kulczugi 44 cieśli i Agnieszki z Kolasów 41.
- 1847 u 151 / 30 XII **Pękalski Sylwester** s. Jana 26 tkacza i Agnieszki z Ochockich 23.
- 1848 u 49 / 17 VII **Pękalska Anna** c. Jadwigi Pękalskiej 40 stanu wolnego.
- 1849 z 188 / 9 X **Pękalski Ignacy** 45 zost. ż. Katarzynę z Granatów.
- 1850 u 133 / 3 XI **Pękalski Karol** s. Jana 30 tkacza i Agnieszki z Ochockich 26.
- 1851 z 7 / 5 II **Pękalski Sylwester** 3 s. Jana i Agnieszki z Ochockich.
- 1854 u 5 / 13 I **Pękalska Antonina** c. Jana 32 tkacza i Agnieszki z Ochockich 29.

Jak ustaliłem na podstawie akt parafii w Denkowie nasz przodek nr 1 to Piotr Pękalski ur. ok. roku 1740, który poślubił Kunegundę (+1799) nieznanego nazwiska panińskiego ok. r. 1767. Mieli oni piątkę dzieci.

1/ Ludwika ur. 25.08.1764

2/ Annę ur. 25.07.1766

3/ Jana Pękalskiego ur. 7.VII.1769, z zawodu garncarza

4/ Brygidę - ur. 2.10.1774

5/ Klarę ur. 19.08.1778

Wiadomo, że Jan miał trzy żony, chociaż zachował się w całości akt małżeństwa z dn. 22.VI.1822 r. tylko z trzecią żoną Gertrudą Kępińską (c. Ignacego i Agaty). Z innych dokumentów wynika, że jego druga żona Wiktoria Cichowska zmarła, a miał z nią trójkę dzieci.

1/ Annę, ur. 7.06.1814

2/ Jakuba ur. 4.07.1817

3/ Wojciecha ur. 11.04.1820

W tym samym roku, co Wojciech urodził się jego syn, ale co jest oczywiste, matką jego nie była jego żona, a służąca Gertruda. Dostał on to samo imię i nazwisko, co jego ojciec, a kiedy Wiktoria Cichowska wkrótce zmarła, poślubił on Gertrudę 22.06.1822 r. Jak ustaliłem, Jan Pękalski-senior miał z pierwszą żoną Anną (córką Mikołaja z Daniszewskich) także czwórkę dzieci tj.

1/Antoniego ur. 19.06.1800

2/ Marcina ur. 01.05.1804

3/ Magdalenę ur. 16.04.1806

4/ Petronelę ur. 26.05.1810

Dlaczego stary już i zamożny Jan poślubił młodą dziewczynę służącą? Na początku XIX wieku 53 lata to był wiek mocno zaawansowany. Otóż przede wszystkim, że miał trójkę małych dzieci w wieku 2, 5 i 8 lat, którymi wcześniej Gertruda się zajmowała. A głównie dlatego, że była ona matką jego nieślubnego syna Jana Pękalskiego juniora. Małżeństwo starego Pękalskiego z dwa razy młodszą od niego Gertrudą bez tych wcześniejszych uwarunkowań, byłoby niemożliwe. Skandal jednak był wielki w małej społeczności Denkowa, gdyż Wiktoria zmarła 5 marca 1822 r. (z aktu zgonu dowiadujemy się, że była córką Macieja), a ślub Jana z Gertrudą odbył się już 26 czerwca tego samego roku. Żadnego okresu wymaganej przez obyczaj żałoby, ale dwukrotne zapowiedzi odbyły się zgodnie z regułami kościoła.

Przytoczę tutaj tak ważny dla nas akt ślubu Jana Pękalskiego z Gertrudą.

Miejsca, których nie można przeczytać wykropkowałem.

"Roku tysiąc osiemset dwudziestego drugiego miesiąca czerwca przed nami Plebanem Denkowskim pełniącym obowiązki urzędnika stanu cywilnego

*obwodu opatowskiego w Województwie Sandomierskim stawił się Jan Pękalski
mayster rzemiosła Garncarskiego lat mający podług metryki kościoła
Denkowskiego pięćdziesiąt trzy w tym mieście zamieszkały, syn Piotra
Pękalskiego i Kunegundy Kaczała (Kaczała), oboje dawno zmarłych, wdowiec
po zmarłej małżonce drugiego ślubu Wiktorii Cichowskiej. Stawiła się także
Gertruda Kępińska, panna lat dwadzieścia pięć mająca podług metryki z tegoż
kościółka w mieście Denków za Dziewkę służąca i tu zamieszkała, córka Ignacego
Kępińskiego już zmarłego i Agaty Zalesiewicz dotąd żyjącej wdowy w mieście
Denkowie komorą zamieszkałej do tegoż aktu asystującej. Strony stawające
żądadzą abyśmy.....pomiędzy nimi aktu małżeństwa.....Zapowiedzi ogłoszone
były przez....Gminnego pisarza dnia drugiego miesiąca czerwca, drugie zaś w
dniu dziewiątego tegoż miesiąca o godzinie dwunastej w południe.....
Przychylił się zatem do żądania stron....iż Jan Pękalski i Gertruda Kępińska
połączenie zostali węzłem małżeńskim... przy obecności Piotra Sędrowskiego,
tkacza, lat 37 mającego, Jana Kozłowskiego lat 53 mającego garncarza,
Antoniego Daniszewskiego lat 24, wszystkich w mieście Denkowie
zamieszkałych, po przeczytaniu tego aktu podpisaliśmy go...
Józef Czerwiński, pleban Denkowski, Urzędnik Stanu Cywilnego..."*

Ojciec Gertrudy Ignacy zmarł 21.02.1815, a matka Agata Zalesiewicz odeszła 28.07.1835 r. Urodziła się ona w r. 1771, rok po ślubie Ignacego Zalesiewicza (+1810) z Jadwigą z Daniszewskich (+1819). Siostra Gertrudy Rozalia zmarła w r. 1834.

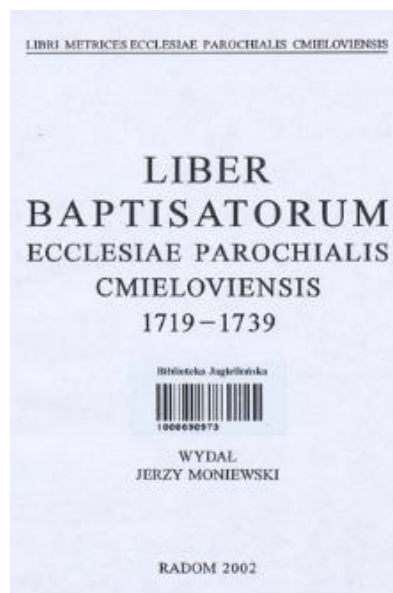
Natomiast Kunegunda Kaczała, żona Piotra Pękalskiego, mogła pochodzić z parafii Szewna, wieś Częstocice, niedaleko Ćmielowa i Denkowa. Urodzony w roku 1717 Paweł Kaczała (rodzice Stanisław i Marianna) mógł być jej ojcem. Nazwisko Sędrowski (Sendrowski) było popularne w Denkowie. Piotr urodził się 28.05.1885, jego rodzice to Augustyn i Katarzyna. Zmarł w r. 1836. Antoni Daniszewski ur. 1797 ożenił się w r. 1820 z Kunegundą Szymańską i zmarł młodo w r. 1837.

Jako sukcesora w zawodzie garncarskim Jan wyznaczył swego syna z pierwszego małżeństwa Antoniego, który w chwili trzeciego ślubu ojca miał 22 lata. A jego nieślubny początkowo syn poszedł do terminu i wyuczył się na tkacza. Szacowny to był zawód - cechy tkaczy, farbiarzy, płócienników i powroźników znane były od najdawniejszych czasów. W roku 1445 w Radomiu nadał Zbigniew Oleśnicki przywilej bractwu tkackiemu. Tkacze dawniej mieli także obowiązek robienia sieci i dopomagania przy połowie ryb (wg "Ekonomiki" Haura z XVII w.).

Również Marcin Ochocki, rzeźnik z zawodu miał drugą żonę Mariannę z Kucharskich, która w wieku 42 lat urodziła mu córkę Juliannę, co stało się 14 lutego 1827. Julianna wyszła za mąż za Tomasza Zbikiewicza w roku 1844 i w podobnym czasie jej krewna Agnieszka wyszła za Jana Pękalskiego, gdyż 30 grudnia 1847 rodzi się ich syn Sylwester, który umrze w wieku trzech lat. Następnym był Karol urodzony 3 listopada 1850 r. Cztery lata później na świat przysła Antonina.

Podtrzymanie rodu to główna zasługa prapradziada Jana ur. 1769, garncarza z zawodu z parafii Denków. Jego trzy żony dały mu w sumie 10. dzieci, z których córki wychodziły za mąż w Denkowie, a synowie brali żony na ogół w Ćmielowie. Akta parafialne z Denkowa zachowały się lepiej niż akta z Ćmielowa, gdzie mamy potężne luki. Zarówno zgony, jak i urodzenia i małżeństwa mamy tylko z lat 1889-93. Są to jednak tylko metryki zindeksowane przez genealogów wiemy, że zasoby metrykalne tej parafii są bogatsze, sam do nich przecież dotarłem.

Historyk-regionalista Jerzy Moniewski ocalił najstarsze dokumenty wydając je w swoim wydawnictwie. Są tam urodzenia z lat 1601-1719, małżeństwa z lat 1739-1797 i zgonów 1719-1825. Być może dzięki tym dokumentom można by ustalić przodków Piotra i Kunegundy i sięgnąć do wieku XVII, ale można je tylko przeglądać w Bibliotece Narodowej.



11. Księga urodzin 1719-1739

1855 z 79 / 12 III Pękalska Agnieszka z Ochockich 32, c. Wawrzyńca i Marianny, zost. m. Jana Pękalskiego, s. Karola i c. Antoninę.

1855 z 181 / 22 V Pękalski Jan 34 wd. tkacz, zost. s. Karola i c. Antoninę.

1856 z 57 / 31 I Pękalska Antonina 2, c. Jana (+) i Agnieszki z Ochockich (+), zost. brata Karola.

1857 u 17 / 27 I Zbikiewicz Jan s. Tomasza 38 garncarza i Julianny z Ochockich 34.

1861 m 3 / 22 I Linczewski Piotr 28 fabrykant fajansu s. Stanisława i Agnieszki z Szalapskich – Agnieszka Wolańska 23 c. Walentego Wolańskiego i Mariany z Liśkiewiczów (+).

1862 m 21 / 26 II Pękalski Piotr 19 m. p. płócienniczej z Denkowa, s. Jakuba (+) i Katarzyny z Feliksowskich (+) – Antonina Kulczuga 16 c. Wawrzyńca Kulczugi i Agnieszki z Kolasów.

1863 u 108 / 22 VII Lenczewska Marianna c. Piotra 30 murarza i Agnieszki z Wolańskich 28.

1864 u 126 / 5 VIII Pękalski Roman s. Piotra 22 m. p. tkackiej i Antoniny z Kulczugów 19.

1867 u 9 / 9 I Pękalski Jan s. Piotra 25 gospodarza i Antoniny z Kulczugów 20.

1869 u 147 / 8 IX Pękalska Marianna c. Piotra 26 tkacza i Antoniny z Kulczugów 23.

1869 z 21 / 16 I Pękalski Jan 2 s. Piotra i Antoniny z Kulczugów.

1869 z 133 / 11 IV Pękalska Katarzyna z Granatów 58 c. Wojciecha Granata (+) i Rozalii z Dryzdowskich (+)

1870 m 4 / 2 II Pękalski Karol 19 szewc, s. Jana (+) i Agnieszki z Ochockich (+) – Aniela Jakubowska 16 c. Aleksandra Jakubowskiego rolnika i Marianny z Szalapskich.

1872 u 122 / 3 IX Pękalski Stanisław s. Piotra 31 tkacza i Antoniny z Kulczugów 26.

1873 u 117 / 16 IX Pękalski Franciszek s. Karola 23 szewca i Anieli z Jakubowskich 20.

1875 u 78 / 3 VII Pękalski Józef s. Piotra 33 gospodarza i tkacza i Antoniny z Kulczugów 28.

1876 u 19 / 23 I Pękalska Marianna c. Karola 25 rolnika i Anieli z Jakubowskich 23.

1878 u 50 / 25 I Pękalski Jan s. Piotra 38 wyrobnika i Antoniny z Kulczugów 30.

Ojcem Agnieszki Ochockiej był Wawrzyniec Ochocki (ur. w r. 1785), a matką Marianna z nieznanym nazwiskiem panieńskim. Prawdopodobnie obaj Ochoccy byli braćmi.

Wspomnieć też trzeba o Piotrze Pękalskim z Denkowa ur. 1843, który w roku 1862 wziął ślub Katarzyną z Feliksowskich. Jego ojciec Jakub urodził się też w Denkowie w roku 1821 z ojca Kazimierza i matki Urszuli z Wielguszowskich. Z tego małżeństwa było kilkoro dzieci, m.in. Roman, Jan i Marianna.

Powiązania z rodziną Szałapskich są dość nikłe. Oto Aniela Jakubowska (ur. 15 lipca 1853 r.-zm. 1927), żona Karola miała matkę Mariannę z Szałapskich.

Agnieszka Szałapska występuje w akcie małżeństwa z 22 stycznia 1861 r., jako matka Piotra Linczewskiego (Lenczewski), fabrykanta fajansu, który poślubił Agnieszkę Wolańską. Z tego związku urodziła się 22 lipca 1863 r. wspomniana wyżej Lenczewska Marianna (córka Piotra murarza i Agnieszki z Wolańskich). To z jej małżeństwa z Janem Zbikiewiczem (1881) urodziła się w r. 1883 Julia Zbikiewicz, matka Jana Pękalskiego (1915). Związek naszej rodziny z nestorem rodu Janem Pękalskim występuje zatem, aż na trzech szczeblach - przede wszystkim w samym rodzie Pękalskich, dalej Ochockich oraz Szałapskich. Luki w księgach parafialnych Ćmielowa i Denkowa nie ułatwiają tego zadania.

Wzajemnych relacji pokrewieństwa i powinowactwa między populacjami z tych dwóch parafii są dziesiątki, jeśli nie setki i niełatwo je wyłowić.

Warto też przyjrzeć się losom nieślubnej córki Jadwigi Pękalskiej (ur. ok. 1808), być może siostry Marcina lub Jana? Anna urodziła się 17 lipca (tak, jak i ja tylko 96 lat wcześniej) 1848 r., dalsze jej losy są nieznanne.

Do tej pory nie wspominałem o powiązaniach rodziny Pękalskich z rodziną Orłowskich. Próżno bowiem w aktach parafialnych szukać dokładniejszych danych. Wszystko, co mi na temat tego wiadomo wiem od dr. Jana Orłowskiego z Olsztyna, który badał historię swego rodu. Dopiero pisząc te słowa dotarłem do metryki Pawła Orłowskiego, który w r. 1781 ożenił się z Katarzyną Gromkówną w Denkowie. Potwierdza to słowa dr. Orłowskiego, że przybyli oni z Grocholic (wieś w pobliżu Ćmielowa) i tu rodziły się ich dzieci. Katarzyna Gromek (ur. 1756) z Grocholic była gospodynią pierwszego dyrektora fabryki porcelany Adolfa Fryderyka Vatke, a jej mąż Paweł pracował w tej fabryce. Mieli oni trzech synów, w tym Józefa (1829-1871) i Aleksego zwanego także Alojzym (ten z kolei miał syna Jacka). Orłowscy żenili się z paniami Zaborskimi, przy czym wpierw Józef będąc wdowcem poślubił (r. 1856) młodą Mariannę Zaborską (córka Jana).

1880 u 165 / 22 XI Pękalska Cecylia c. Karola 30 szewca i Anieli z Jakubowskich 27.

1881 u 65 / 25 V Pękalska Waleria Felicjana c. Piotra 38 tkacza i Antoniny z Kulczugów 34.

1881 m 37 / 16 XI Zbikiewicz Jan 24 garncarz s. Tomasza i Julianny z Ochoczych – Marianna Lenczewska 18 c. Piotra i Agnieszki z Wolańskich.

1883 u 154 / 11 XII Zbikiewicz Julia c. Jana 25 gospodarza i Marianny z Lenczewskich 19.

1884 u 37 / 5 III Pękalski Kazimierz s. Piotra 40 tkacza i Antoniny z Kulczugów 39.

1887 u 2 / 2 I Pękalska Walentyna c. Piotra 45 tkacza i Antoniny z Kulczugów 41.

1889 u 96 / 1 VII Pękalska Feliksa Elżbieta c. Karola 39 fabrykanta i Anieli z Jakubowskich 36.

* * *

1901 m 46 / 25 XI Józef Pękalski 26 s. Piotra i Antoniny z Kulczugów ur. i zam. w Ćmielowie – Julia Zbikiewicz 18 c. Jana i Marianny z Lenczewskich ur. i zam. w Ćmielowie; świadkowie: Hipolit Lenczewski 28 i Jan Dańka 27 robotnicy fabryczni; ślubu udzielił ks. Antoni Rokicki proboszcz.

1904 u 165 / 7 VIII Kazimierz Pękalski s. Józefa 28 robotnika fabryki porcelany i Julianny ze Zbikiewiczów 20; r. ch.: Hipolit Lenczewski i Marianna Kawecka, chrzcił ks. Jan Wiśniewski wikary. [Janików 25 III 1940 małż. z Julianną Krupa.]

1905 u 164 / 1 IX Stefania Bronisława Pękalska c. Stanisława 33 zduna [kaflarza] i Anny z Banaszków; r. ch.: Jan Dańka i Julianna Pękalska.

1907 u 73 / 1 IV Bolesław Franciszek Pękalski s. Józefa 31 fabrykanta i Julianny ze Zbikiewiczów 23; r. ch.: Antoni Zbikiewicz i Antonina Tomczyk, chrzcił ks. Adam Popkiewicz wikary. [8 IX 1934 ślub z Eugenią Sendys.]

1910 u 40 / 2 III Helena Pękalska c. Józefa 34 robotnika fabrycznego i Julianny ze Zbikiewiczów 26; r. ch.: Jakub Dańka i Anna Lenczewska, chrzcił ks. ks. Karol Pytlewski wikary. [2 III 1935 poślubił Mieczysława Pawła Sroczyńskiego.]

1913 u 13. / 31 XII 1912 Piotr Antoni Pękalski s. Józefa 37 zduna [kaflarza] i Julii ze Zbikiewiczów 29; r. ch.: Stanisław Zbikiewicz i Marianna Pękalska, chrzcił ks. Ignacy Życiński wikary. [19 II 1944 małż. z Marią Wiesławą Kędziorską.]

1915 u 171 / 4 IX 20^{oo} Jan Pękalski s. Józefa 40 zduna [kaflarza] i Julianny ze Zbikiewiczów 32; r. ch.: Jan Pękalski i Jadwiga Zbikiewicz, chrzcił ks. Ignacy Życiński wikary; świadkowie: Jan Tomczyk 56 kołodziej i Franciszek Kwiatkowski 40 szewc.

Teofil (syn Jacka), także już wówczas wdowiec, poślubił (1884) wdowę po Pawle Zaborskim Mariannę z domu Chodurską, czyli moją prababkę ze strony ojca. Razem wychowywali zatem moją babkę Mariannę, która drugiego ojca zyskała w wieku lat czterech, a potem wyszła za mąż za Franciszka Pękalskiego. Nic o tych koneksjach z Orłowskimi nie wspomina przekaz rodzinny. A przecież dwukrotnie żenili się oni z moimi prababkami, chociaż nie wiadomo nic o ich ewentualnym potomstwie z tych związków. Istnieje jednak zdumiewający przekaz genetyczny. Otóż dr Orłowski był zdumiewająco podobny do mego ojca Tadeusza, co widoczne jest na poniższej fotografii.



12. Dr Jan Orłowski i Jan Pękalski r. 2001

Nie sposób obecnie jednoznacznie odpowiedzieć kiedy nastąpił ten transfer genów, ale niewątpliwie on był i ujawnił się w drugim bądź trzecim pokoleniu i ma związek z rodziną Zaborskich. Nie idzie tutaj jedynie o podobieństwo fizyczne. Jan Orłowski, jako znający się na medycynie i genetyce lekarz, zwrócił uwagę w rozmowie ze mną na podobne choroby, na które obaj z moim ojcem cierpieli!

Mamy poza tym do czynienia z długim ciągiem Zaborskich-młynarzy z pokolenia na pokolenie. Pierwszy w tym łańcuchu to Wojciech Zaborski ur. ok. 1780 r. Dalej syn jego Jan ur. ok. 1809 r., ojciec Marianny nr 1. I Paweł Zaborski (1841-1884), mąż Marianny z Chodurskich. Czy był synem Jana nie wiemy. Sam Jan jest synem Franciszka Orłowskiego (1898-1955), którego ojcem był z kolei Antoni pochodzący ze związku Józefa z młodą Marianną Zaborską. Trudno ten supeł rodzinny rozwikłać. Byłem tam, gdzie płynie dopływ Kamiennej i gdzie przez 300 lat stał młyn Zaborskich w obecnej dzielnicy Ćmielowa, a kiedyś wsi Wióry. Długo stałem patrząc na bystry nurt rzeki i czułem, że są tu moje korzenie. Ale to drzewo genealogicznie nie rośnie prosto, gałęzie ma splątane, powikłane, a niektóre wyrwane przez wojny i epidemie. Pewnych tajemnic rodzinnych nigdy nie rozwikłałem, ale uważam, że to co odkryłem w ciągu tych dwudziestu lat powinno wystarczyć młodszemu pokoleniu do odtworzenia skomplikowanych dziejów tych Pękalskich, którzy żyli i umierali na obszarze obecnego powiatu ostrowieckiego liczącego 46 kilometrów kwadratowych. Oczywiście trzeba brać także pod uwagę Nieborów, Tarłów i inne rejony, gdzie rodzina nasza wędrowała w poszukiwaniu pracy.

4. Straszliwe żniwo cholery

W wieku XIX przez południową Polskę przeszło pięć wielkich epidemii cholery, które każdorazowo pustoszyły miasta i osady. W r. 1827 w Ćmielowie były 144 domy i 1.273 mieszkańców, a w roku 1860 tylko 79 domów i 704 mieszkańców. Wymierały całe rodziny, nie było komu uprawiać roli, ani pracować w zakładach i manufakturach.

Fatalne warunki sanitarne oraz ciężka sytuacja ekonomiczna, a także ciemnota i zacofanie przyczyniały się do rozwoju takich chorób, jak: "skrofuły", "gruźelki płucne", tyfus, który od dłuższego czasu zagnieździł się na stałe. Choroby te powodowały wysoką śmiertelność. *"Silnych, zdrowych u nas mało - pisał, dr Łuszczkiewicz - a starców na palcach by policzył"*. Do najgroźniejszych chorób przybierających charakter epidemii należała w XIX w. cholera. Epidemie cholery wybuchały falami, co kilka lat. W 1837 roku w obwodzie kieleckim zachorowało 718 osób, w 1848/1849 - 798 osób, w 1852 r. - 552 osoby i w 1866/1867 - 1030 osób. Początkowo nie uważano cholery za chorobę zakaźną. Rada Lekarska - najwyższy autorytet w dziedzinie medycyny w Królestwie Polskim - wyrażała pogląd, że *"cholera nie udziela się ani przez ludzi, ani przez rzeczy, ale przez ogólne w powietrzu rozpostarte miazmata"*. Jeden z lekarzy otrzymał nawet od Rady upomnienie *"za rozsiewanie pogłosek, jakoby cholera była chorobą zaraźliwą"*.

Obok przepisów zmierzających do podniesienia stanu sanitarnego i higieny wydawane były też dość naiwnie brzmiące wskazówki, jak ustrzec się zachorowania na cholere: *"skoro, kto doświadczy rozwolnienia - na brzuch zawiązać pas flanelowy, napić się mięty, melisy lub herbaty. Jeżeli język obłożony, brak apetytu, smak gorzki - natychmiast wziąć proszek z ipekakuany na wymioty, a jeżeli mimo tego rozwolnienie trwać będzie - zaraz poradzić się lekarza. W obecnym czasie najlepszym pokarmem jest kawałek mięsa wołowego i kieliszek wódki piołunowej lub wina gorzkiego"* (zalecenia Urzędu Lekarskiego rozpowszechniane w guberni radomskiej w 1852 r.)

W 12 lat później magistrat miasta Kielc przestrzegał już przed nadmiernym używaniem napojów alkoholowych w celach profilaktycznych oraz przed *"myciem się zaraz po jedzeniu lub spotnieniu"*.

Przy leczeniu cholery stosowano metody tradycyjnie praktykowane: upusty krwi, przystawianie pijawek, robienie lewatywy oraz podawanie środków *"laksujących i womitnych"*, które jeszcze pogłębiały występujące u chorych zaburzenia wodno-elektrolitowe. Proces tych zaburzeń był w owych czasach obcy światu lekarskiemu. Nie znano również (do 1883 r.) etiologii i epidemiologii cholery, nie było leków o działaniu etiotropowym.

Mała skuteczność działania oficjalnej medycyny sprzyjała grasowaniu oszustów sprzedających cudowne leki - "*święte proszki z Palestyny*" skutkujące przy używaniu ich łącznie z okowitą, "*pigułki amerykańskiej przeciwcholerycznej*" oraz szerzeniu się przesądów i zabobonów. Ludność zwłaszcza wiejska próbowała zwalczyć cholera na swój sposób. Trumny zmarłych na tę chorobę związywano witką w przeświadczeniu, że cholera nie wydostanie się z trumien i nie będzie szkodzić żywym. Ludność żydowska urządzała symboliczne pochody przy odgłosie muzyki i śpiewów wyganiając cholera poza rogatki miasta. Odbywano też gody weselne na cmentarzach cholerycznych. Mieszkańcy Bielin pod Kielcami wygaśnięcie cholery w swej wsi przypisywali faktowi pochowania zmarłej na cholera kobiety w pozycji pionowej do góry nogami.

W wielkiej epidemii cholery w latach 1855/56 wspomniany wcześniej Józef Orłowski, jako jedyny przeżył tracąc żonę i dwie córki. W maju 1855 r. zmarł Jan Pękalski, a wcześniej 12 marca zmarła jego żona Agnieszka. Ich 3. letni synek Sylwester zmarł jeszcze w 1851, a więc przed wybuchem epidemii, pewnie na jakąś chorobę dziecięcą. Jego siostra Antonina i Karol przeżyli rodziców, ale dziewczynka zmarła w wieku pięciu lat na początku roku 1856, a więc na cholera. Los naszej rodziny zawisł na Karolu, który nie mając jeszcze sześciu lat został pełnym sierotą pozbawionym także rodzeństwa. Zaopiekowali się nimi krewni, najpewniej był to Marcin Pękalski, także tkacz z Denkowa, jak Jan. Miał on już kilkunastoletnie dzieci, a do zaopiekowania się Karolem mogło go skłaniać oprócz pokrewieństwa, pochodzenie z tej samej parafii oraz przynależność do cechu tkaczy. Na koszty utrzymania i nauki Karola składała się cała społeczność Ćmielowa. Zachowały się śladowe rejestry składek pobieranych w szkole, które za Karola płaciły inne osoby. Dość szybko chłopiec został oddany do terminu u szewca, gdzie uczył się zawodu i miał utrzymanie w zamian za wysługiwanie się majstrowi. Te pięć lat spędzone na terminowaniu były ciężkie dla biednego sieroty, dlatego z ulgą przyjął jego zakończenie.

Mianem czeladnika określano posiadającego wiedzę fachową rzemieślnika, który okres nauki (termin) zakończył zdanym egzaminem czeladniczym, lecz nie był w stanie prowadzić własnego warsztatu, do czego niezbędne było m.in. zdanie egzaminu mistrzowskiego zgodnie ze statutem danego cechu.

Promocja ucznia na czeladnika (wyzwolenie) odbywała się w wyznaczonym wcześniej terminie. Mistrz wraz z uczniem stawali przed starszyzną cechową; uczeń prezentował swoją pracę, zaś mistrz świadczył o jego umiejętnościach. Po wniesieniu obowiązkowej opłaty cechowej terminator stawał się czeladnikiem i mógł wybrać zakład, w którym dalej zamierzał praktykować. Uzyskiwał także prawo do otrzymywania zapłaty za swoją pracę.

Mając własne pieniądze Karol pracował tylko trzy lata w zawodzie szewca, poczym przeniósł się do fabryki porcelany.

Rozdział III

Karol Pękalski odbudowuje rodzinę

1. Fabryka porcelany w Ćmielowie

Dotychczasowe rzemiosła, z jakimi miała do czynienia rodzina Pękalskich to był zawód tkacza, garncarza czy szewca. Jak wiemy dziadek Karola był garncarzem, a ojciec tkaczem. On sam był zmuszony iść do terminu po skończeniu kilku klas szkoły elementarnej, aby zapewnić sobie utrzymanie. Od początku jednak marzył o zawodzie garncarza, który kojarzył mu się z zapachem mokrej gliny w warsztacie wuja Antoniego, który odwiedzał z ojcem w Denkowie. A fabryka porcelany w Ćmielowie była blisko, miała swoją tradycję i łatwo tam było o pracę. Jej historia rozpoczyna się w końcu XVIII wieku, kiedy to zaczęto budować pierwszą fajansarnię Jacka Małachowskiego. Produkcja ruszyła w r. 1804, a pierwszym kierownikiem został Adolf Fryderyk Vatke pochodzący z Niemiec. W r. 1821 umiera Jacek Małachowski, a manufakturę dziedziczy jego córka Franciszka Karwicka. W r. 1827 wydzierżawiła ona na trzy lata manufakturę braciom Weinbergerom, kupcom z Opatowa.

W r. 1830 dobra Ćmielowskie wraz z fajansarnią kupił książę Ksawery Drucki-Lubecki. Powstanie listopadowe i niechęć pracowników do nowych właścicieli spowodowały spadek produkcji z 85 tys. złotych polskich do 47,5 tys. złp. W r. 1832 na emeryturę przechodzi Vatke, a zastępuje go Franciszek Weiss.

Vatke sprowadził do Ćmielowa całą swoją rodzinę, tutaj urodziła się jego córka, a także syn Daniel, czeladnik w fabryce. Majstrem był też Filip Schwerdt, szwagier dyrektora.

Po pięciu latach zastępuje go jego syn Gabriel, który przez blisko 30 lat ten zakład prowadził. Pochodził on z Austrii i nigdy nie nauczył się mówić po polsku. W latach pięćdziesiątych Weiss postawił w Denkowie własny zakład produkcji fajansu.

W r. 1863 kupiec warszawski Kazimierz Cybulski odkupił od księcia cały zakład, a Weiss przeniósł się do Denkowa. Wkrótce i on sprzedał swój zakład i prowadził fabrykę porcelany w Baranówce. Cybulski rozbudował zakład i nastawił go głównie na produkcję porcelany. Dopiero jak sprowadzono z Francji Stanisława Thiele w Ćmielowie zaczęto produkować wyroby majolikowe. Thiele pracował w Ćmielowie w latach 1863-1880, a potem przeszedł do nowej fabryki w Nieborowie. Po odejściu Thielego zaniechano produkcji majolik. W katalogu na wystawę w r. 1885 w Warszawie są tylko wyroby porcelanowe, kamionki, kafle i przedmioty użytku technicznego.

Od powstania manufaktury produkcja odbywała się w drewnianych budynkach. W pierwszym przygotowywano glinę, w drugim toczono naczynia, a trzecim je malowano. Czwarty służył za pomieszczenie dla pieców, a ostatni był magazynem wyrobów gotowych. Początkowo były dwa piece do wypału, a po pożarze w r. 1868 już cztery. Cały zakład został odbudowany bardziej nowocześnie przez Kazimierza Cybulskiego, powstały wówczas pierwsze budynki murowane. Glinę do wyrobów czerpano z pobliskich lasów m.in. z Wólki Bałtowskiej. Do schudzania gliny używano stłuczki i piasku, a drewna dostarczały nieodległe lasy. Surowców do szkliv dostarczali kupcy Weinbergowie.

Za czasów Weissa w fabryce pracowało ok. 60 ludzi, a w czasach Cybulskiego już blisko 100. Wyroby ćmielowskie eksportowano Wisłą do Gdańska i Warszawy, gdzie sprzedawały je sklepy Joanny Pignau na Długiej oraz u Kazimierza Cybulskiego w pałacu Blanka. Był także sklep ćmielowski w Grodnie. Wyroby ćmielowskie miały charakter użytkowy lub użytkowo-dekoracyjny. Produkowano więc serwisy obiadowe i herbaciane, różnego rodzaju koszyczki, dzbanki, żardiniery. Wzory i kształty czerpano z innych zagranicznych zakładów. Asortyment wyrobów ćmielowskich w wieku XIX stopniowo się rozszerzał. Produkowano serwisy obiadowe, znacznie mniej serwisów herbacianych, koszyczki, dzbanki, także liczne żardiniery (ozdobne półki do kwiatów). W całej produkcji fajansu można wyróżnić trzy okresy. Pierwszy to początek, pierwsze 30. lecie XIX w., kiedy fabryką kierował Vatke, a właścicielem był Jacek hr. Małachowski. Były to wyroby białe zdobione scenami z antyku oraz talerze zdobione wieńcami liści i winnych gron. W okresie Weissów obok dawnych kształtów występowały koszyczki formowane z delikatnych wałeczków. W dekoracji zanikały dekoracje plastyczne, a pojawiały się nadruki na naczyniach. Sposób ten był znany w Czechach już w końcu XVIII wieku, ale do Ćmielowa trafił znacznie później. Używano wzorów angielskich przedstawiając scenki o różnej tematyce. Dopiero w okresie rządów Cybulskiego zaczęto przedstawiać na talerzach zabytki naszej architektury. W czasie kierownictwa Thielego dominowała majolika, który to sposób produkcji był już w tym czasie zarzucany. Jego wyroby oznaczane były z francuska "M.de M. a C", co znaczyło Manufacture de Maiolique a Cmielow. Oczywiście nadal stosowano dekoracje nadrukami na wyrobach. Tworzono też różnego rodzaju figurki. W tym czasie przeważał styl neorenesansowy związany z pracą Thielego w fabryce w Nevers.

Porcelanę wynaleziono w Chinach w pierwszej połowie VII wieku. Wysoki poziom wyroby osiągnęły w czasach dynastii Song (wazy i misy zdobione szklivem jednobarwnym) oraz w okresach dynastii Yuan i Ming. Pracowała wówczas manufaktura w Jingdezhen produkująca zastawy stołowe, naczynia

dekoracyjne, płytki, figurki malowane farbami naszkliwnymi lub podszkliwnymi. W czasach dynastii Qing opanowano kolejne technologie produkcji porcelany tzw. trzech, czterech i pięciu barw. W Korei produkcja porcelany rozwijała się od XII w. osiągając swój rozkwit w XVI i XVII wieku. Wyroby chińskie docierały do Europy od XI w. Pierwsze próby produkcji podjęto we Florencji. Była to porcelana sztuczna (miękka) zwana porcelaną Medici. Właściwą technologię produkcji odkrył w początkach XVIII w. Ehrenfried Walther von Tschirnhaus. Po jego śmierci w Dreźnie i Miśni (Meissen) prace kontynuował jego uczeń Johann Friedrich Böttger, alchemik elektora saskiego i króla Rzeczypospolitej Augusta II. Było to osiągnięcie bardzo ważne, także ze względu na rosnące w tamtym czasie zainteresowanie chińszczyzną. Porcelanę wyrabianą w Saksonii nazywano "białym złotem" dlatego, że zastępowała złoto jako królewski podarunek. Produkcja w Miśni początkowo nie miała wielkiej skali, wyprodukowane pojedyncze egzemplarze traktowano jak dzieła sztuki. Dopiero pod koniec lat 20. stała się bardziej dostępna, ale i tak przez dłuższy czas porcelana ta była rozdawana, a nie sprzedawana. Po śmierci Böttgera w 1719 r. warsztat przejął jego pomocnik Höroldt, który łącząc elementy egzotyczne i rokokowe oraz rozszerzając paletę barw, opracował styl saski przyjęty od 1735 r. w całej Europie: figurki przedstawiające postacie ludowe i dworskie, obudowy zegarów zdobione barwnymi motywami roślinnymi, postaciami i zwierzętami. Johann Joachim Kändler, kierując manufakturą w latach 1731-1775, dołączył do Miśni małe zakłady saskie, których produkcja cieszyła się ogromnym powodzeniem. Następnie w Miśni próbowano naśladować wyroby z Sevres; porcelana saska straciła w ten sposób swój oryginalny urok, nie osiągając równocześnie elegancji właściwej wyrobom francuskim.



13. Figurka porcelanowa z Ćmielowa

W dawnej Polsce wszystkie wyroby ceramiczne nazywano glinianymi, a szkliwione naczyniami z gliny polewanej. Od XVI w. spotyka się określenia majolika w odniesieniu do wyrobów zdobionych. W XVII wieku wchodzi w użycie nowa nazwa "farfury" do dziś stosowana np. w jęz. rosyjskim. Jest to słowo pochodzenia arabskiego oznaczające w krajach Bliskiego Wschodu wyłącznie cesarską porcelanę chińską, a u nas nazywano tak różne rodzaje ceramiki. W XIX wieku ustala się nazwa fajansu obejmująca wyroby szkliwione bez względu na różnice w tworzywie. Nazwy porcelany i kamionki jednoznacznie określają rodzaj użytej gliny, a z fajansem i majoliką bywało różnie. Czasami określenia te stosowano w zależności o kraju pochodzenia, ale także w odniesieniu do użytych surowców. Wynikło to z historii rozwoju w Polsce dwóch odmiennych rodzajów ceramiki o podobnym wyglądzie zewnętrznym. Wcześniejsze wyroby zwane fajansem lub też majoliką o szkliwie kryjącym ołowiowo-cynowym, zaczęły w XIX w. ustępować wyrobom z gliniek jaśniejszych o przezroczystym szkliwie ołowiowym i przyjęły tą samą nazwę fajans. Miano majoliki utrzymało się tylko w odniesieniu do barwnych, malowanych wyrobów w typie włoskim. Jedynie w opracowaniach fachowych używa się określenia fajans delikatny lub cienkościenny dla fajansów z jasnych gliniek. Technologia produkcji porcelany jest podobna do fajansu z tym, że w przypadku porcelany surowce muszą być czystsze i drobniej zmielone. Do fajansów o szkliwie ołowiowo-cynowym używano gliniek jasnych zawierających węglan wapnia. Do fajansów o szkliwie ołowiowym takich samych gliniek, a do fajansów delikatnych, kaolinitowych dodawano kredę, marmur i skaień. Do szkliw fajansowych podstawowym składnikiem są krzemionki (drobny piasek kwarcytowy) oraz tzw. topnik, jakim jest tlenek ołowiu (glejta). Dodawany do szkliwa tlenek cyny tworzy zawiesinę nieprzezroczystą stanowiącą świetne, białe tło do malatur. W dekoracji malarskiej stosowano tzw. farby dużego i małego ognia, czyli malatury podszkliwe i naszkliwe. Tlenki manganu, miedzi, kobaltu wytrzymały wypał w wyższej temperaturze, nie ulatniały się, malowano więc nimi na nie wypalonym jeszcze szkliwie. Gdy stosowano inne tlenki, w tym złoto, temperatura musiała być niższa. Malowano wtedy na szkliwie już wypalonym (farby małego ognia), a następnie wypalano w temperaturze niższej w piecach muflowych.

Ponieważ w kraju nie było kaolinu i feldspatu (szpat polny, skaień) wyroby polskich fabryk nie mogły konkurować z produkcją zagraniczną. Z czasem część z tych surowców zaczęto importować.

2. Droga zawodowa Karola - Ćmielów, Tartów i Nieborów

Karol zaczął swoją pracę w fabryce porcelany w przełomowym dla jej historii momencie. Wielki pożar w roku 1868 strawił niemal całkowicie drewniane hale produkcyjne. Kazimierz Cybulski postawił budynki murowane, wyposażył je w nowoczesne maszyny oraz cztery nowe piece do wypału porcelany.

Pierwsze dwa lata Karol pracował w mieszalni gliny, gdzie surowiec ten był przygotowywany do produkcji poprzez szlamowanie. Gliny zawierają duże ilości piasku lub innych zanieczyszczeń. Aby uzyskać glinę bardzo czystą, poddaje się ją szlamowaniu, to jest umieszcza w zbiornikach i miesza z wodą na szlam. Ciężkie składniki osiadają na dnie. Szlam przelewa się przez sita do drugiej kadzi osadowej. Na sicie pozostają piasek i roślinne domieszki, które usuwa się. W kadzi osadowej woda wybija się ponad osadzający się szlam. Wodę tę wylewa się, a szlam osusza, umieszczając go w korytach zbudowanych z płyt glinianych palonych, w misach gipsowych, lub specjalnych prasach. Szlamowaniu poddaje się przede wszystkim kaoliny, ale także i inne gatunki glin. Niektóre gliny są bardzo tłuste, musi się więc dodawać do nich materiały schudzające. Zbyt tłusta bowiem glina przy wysychaniu, a następnie wypalaniu, bardzo się kurczy, łatwo pękając. Zależnie od rodzaju wytwarzanych przedmiotów używane są w produkcji gliny oczyszczone, tzn. szlamowane, albo z masy zestawiane z jednego lub kilku gatunków glin z dodaniem surowców nieplastycznych. Do nieplastycznych surowców należą: piasek, mielone krzemienie, mielony kwarc, skaień, mielone cegły zwykłe i ogniotrwałe, mielone skorupy fajansowe i porcelanowe. Gotowy surowiec trzeba jeszcze ręcznie odpowietrzyć, gdyż inaczej będzie "strzelał" przy wypalaniu.

Ciężka to była praca pod względem wkładanego wysiłku fizycznego, jak i wiecznej wilgoci. Praca z już wysuszonym surowcem była z kolei prowadzona w warunkach stałego zapylenia po 12 godzin na dobę. Po pracy w fabryce Karol dorabiał sobie naprawiając obuwie kolegom z pracy i sąsiadom. Stopniowo też awansował przechodząc przez wszystkie wydziały fabryki, aż został mistrzem odlewni.

Jako ceniony fachowiec otrzymywał oferty z innych manufaktur i kiedy uznał, że jego wynagrodzenie w Ćmielowie jest zbyt niskie, przyjął ofertę zatrudnienia z Tartowa.

W r. 1550 Andrzej Tarło założył na terenach wsi Czekarzewice miasto Tartów. Miejscowość otrzymała prawa miejskie na podstawie przywileju wydanego przez króla Zygmunta Augusta w Piotrkowie. Również na podstawie przywileju mieszczanie tartowscy byli zwolnieni z płacenia podatków przez kolejne 20 lat. W 1614 powstał pierwszy, drewniany kościół, ufundowany przez Mikołaja Oleśnickiego. W 1629 roku właścicielem miasta w powiecie sandomierskim

województwa sandomierskiego był Mikołaj Oleśnicki. W 1636 r. wybudowano szpital, a w 1647 kościół drewniany został zastąpiony murowanym kościołem pw. Świętej Trójcy, który stoi w Tarłowie do dzisiaj.

W czasie potopu szwedzkiego miasto zostało w poważnym stopniu zniszczone. Dlatego król Jan Kazimierz dał miejscowym garncarzom przywilej wolnego handlu i spławiania wyrobów Wisłą do Gdańska.

W 1851 miasto zostało zniszczone przez wielki pożar. Ocalał tylko kościół Świętej Trójcy i cztery domy. W czasie powstania styczniowego przebywał tu oddział Dionizego Czachowskiego. Po powstaniu, w 1869, Tarłów utracił prawa miejskie. W 1873 epidemia cholery zdziesiątkowała mieszkańców Tarłowa i okolic. Na cholerę umarli miejscowi mistrzowie garncarscy. Nastąpił upadek rzemiosła.

Jedynym wyjściem było sprowadzenie fachowców z innych rejonów i z tego powodu Karol zamieszkał w przydzielonym mu domu przy warsztacie zmarłego garncarza we wsi Ciszycza Górna. Od 1864 roku Ciszycza Górna była siedzibą urzędu gminy Ciszycza w skład, której wchodził również Tarłów. Stały tam 42 domy, w których mieszkało 270. mieszkańców. Była też szkoła elementarna.

Karol Pękalski został zatrudniony przez miejscowy cech rzemiosła i kupców, którzy nie mieli czym handlować po upadku produkcji garncarskiej.

Karol otrzymał zadanie szkolenie młodych adeptów garncarstwa, rozwinięcia produkcji wyrobów gotowych oraz uruchomienie nieczynnej wtedy cegielni. Po kilkunastu latach powstanie w tym miejscu osada zwana Cegielnia Kolonia.

Nad tymi zadaniami trzymał się Karol w latach 1877 -1881 z dużym powodzeniem poczym powrócił na krótko do Ćmielowa.

To tutaj urodził mu się synek, któremu na chrzcie w kościele pw. Świętej Trójcy w Tarłowie (1878/60) nadano imię Bolesław.

W roku 1882 pojawiła się nowa szansa w życiu zawodowym Karola, jaką było zwerbowanie go do pracy w nowo powstałej fabryce majoliki w Nieborowie.

W 1694 r. dobra Nieborowskich kupił Prymas Polski kardynał Michał Stefan Radziejowski, który wznosił barokowy pałac zaprojektowany przez Tylmana z Gameren. W XVIII wieku dobra często zmieniały właściciela. W 1774 roku Nieborów objął wojewoda wileński Michał Hieronim Radziwiłł, który wyposażył pałac w stylowe meble, tkaniny, obrazy i rzeźby oraz przedmioty rzemiosła artystycznego. Założył bogatą w zbiory bibliotekę (ponad 10 tys. woluminów dzieł polskich i obcych, w tym starodruki z XV wieku). Jego żona Helena z Przeździeckich Radziwiłłowa założyła w tym czasie słynny ogród romantyczny w Arkadii. Stał się on miejscem spotkań twórców epoki Oświecenia.



14. Pałac w Nieborowie

Założona w 1881 r manufaktura majoliki przez Michała Piotra Radziwiłła dostarczała do pałacu ozdobne piece kaflowe i ceramikę artystyczną, która z czasem utworzyła cenny zespół majoliki nieborowskiej. Manufaktura ta została uruchomiona 4 grudnia 1881 roku po blisko rocznych przygotowaniach prowadzonych przez Stanisława Thiele i Jana Pyżyrskiego. Ten ostatni był prawdopodobnie kierownikiem administracyjnym zakładu. Thiele, syn powstańca, urodził się w r. 1831 w Poznaniu. W latach 1860-62 pracował w fabryce fajansów A. Montagnona w Nevers, a następnie sprowadził go Cybulski do Ćmielowa, gdzie kierował jednym z działów produkcji.

Co robił w tej manufakturze Karol? Udało się to ustalić drogą pośrednią-z lektury jednego z listów Stanisława Thielego, który posiada miejscowe muzeum. Stosowny fragment tego listu datowanego na 18 sierpnia 1885 r. brzmi: "*.....Glinę na gwałt szlamuję aby przed zimą doły były napętnione - Panie w malarni - malują drobne przedmiota. Pękalski robi obecnie Matki Boskie i kropielnice które chcą na odpust do Miedniewic wysłać na 8-go września.*" A więc artysta czy rzemieślnik? Pewno jedno i drugie po trochu. W każdym razie wiadomość ta ma wielkie znaczenie w kontekście pięknego posągu Matki Boskiej na grobie Karola. Mógł on ten posąg wykonać sam wykorzystując swoje doświadczenie zawodowe z Nieborowa. Wiele na to wskazuje. Podstawę pod

posąg przygotował mu kamieniarz, a urządzenie sobie grobu przed śmiercią było w XIX wieku czymś normalnym.



15. Figura Matki Boskiej na grobie Karola - 2006 r.

Oprócz Thielego, w manufakturze pracowali także wspomniany Jan Pyżyrski i Sławomir Celiński, który zajmował się modelarnią. Malowaniem majoliki zajmował się także sam książę Michał Radziwiłł. W 1886 r. książę wydzierżawił manufakturę Thielemu, który prowadził ją do 1892 r. a po jego odejściu dzierżawę przejął Jan Sznage. Jest więc jasne, że to Thiele po otrzymaniu oferty pracy dla księcia zabrał ze sobą do Nieborowa Karola i pewnie jeszcze kilku fachowców z fabryki ćmielowskiej.

Założeniem właściciela manufaktury była produkcja majoliki barwnie malowanej, o charakterze typowo dekoracyjnym - stąd też asortyment wyrobów, głównie w postaci wazonów, żardinier, ozdobnych półmisków, lamp a także kafli piecowych. Bogactwo form i stylów cechowało wyroby luksusowe. Thiele próbował wprowadzić do produkcji także wyroby powszechnego zastosowania, ale nie miało to większego znaczenia. Manufaktura ulokowana została w dworskiej oficynie, która poprzednio pełniła funkcję browaru.

Poszerzono ją o dodatkowy budynek z piecami, gdzie mieściły się również pracownie. S. Thiele piece sprowadził z Nevers we Francji. Z Nevers pochodziły także modele do kopiowania. Manufaktura zatrudniała około 100 pracowników i 20 artystów. Podkreślić należy, że w malarni zatrudniono, jako retuszerki miejscowe kobiety. Płace były niskie. Malarze otrzymywali od 20 do 35 rubli miesięcznie oraz bezpłatne mieszkanie i opał. Można przypuszczać, że Karol będąc majstrem w dziale produkcji i posiadając rodzinę, korzystał z takiego mieszkania i zarabiał znacznie więcej od malarzy, nawet do 100 rubli. W końcu w Nieborowie urodziła mu się trójka dzieci, a po powrocie do rodzinnego Ćmielowa miał środki na prywatną naukę dla nich i na uruchomienie manufaktury obuwniczej. W Nieborowie Karol i Aniela stracili synka Bolesława Antoniego, który przyszedł na świat w Ciszycy w r. 1878. Miał on już osiem lat, a zmarł 22.10.1886 r. Z metryki zgonu dowiedziałem się, że rodzina mieszkała w małej wsi Piaski niedaleko Nieborowa.

Poziom malatur był nierówny, a najbardziej charakterystyczną cechą tej manufaktury było stosowanie intensywnych kolorów ciemnoniebieskich i żółtych, czasem obwiedzionych czarnym konturem. Formy naczyń i innych wyrobów Nieborowa stanowił początkowo świadome naśladownictwo wyrobów z Nevers i innych znanych wytwórni europejskich, szczególnie tych, które nawiązywały do renesansu. Z czasem jednak, przy zachowaniu form, wykształcił się oryginalny styl dekoracji malarskiej, w której często sięgano po polską tematykę patriotyczną, dotychczas nie stosowanych w malaturach ceramicznych.

Manufaktura nieborowska posiadała w Warszawie swój główny skład (firma Józefa Zelta) oraz przedstawicielstwa we Wrocławiu, Kijowie i Petersburgu. Jej wyroby cieszyły się w zasadzie zainteresowaniem współczesnych i ich uznaniem z uwagi na wspomnianą już odmienność dekoracji malarskich. Po przeszło stu latach od zaprzestania działalności wyroby tej manufaktury - rzadko spotykane w antykwariatach - uzyskują wysokie oceny i cieszą się dużym powodzeniem z uwagi na ich dekoracyjność.

Dobra nieborowskie pozostały w rękach Radziwiłłów do lutego 1945 roku, następnie zespół pałacowo - parkowy w Nieborowie i Arkadii został oddziałem Muzeum Narodowego w Warszawie.

2. Wszystkie dzieci Karola i Anieli

Karol nie chciał czekać zbyt długo z zawarciem małżeństwa, był ostatnim ze swojej gałęzi rodziny i pewnie przeczuwał, że może nie dożyć starości pracując tak ciężko. Być może zobaczył Anielę po raz pierwszy w kościele na niedzielnej mszy? Była ona dziewczyną wysoką o pięknych, szlachetnych rysach twarzy i włosach koloru słomy zaplecionych w długi warkocz. Karol był brunetem o bujnej czuprynie czesanej z przedziałkiem i z małym, zawadiacko podkręconym wąsikiem.

Jego przyszła żona Aniela Jakubowska urodziła się 15 lipca roku 1853 w Ćmielowie. Była córką zamożnego gospodarza Aleksandra i Marianny z Szałapskich zamieszkałych w domu pod numerem 147. Dla niej ślub z Karolem był mezaliansem, gdyż młodzieniec ten nie tylko nie posiadał rodziców, (co nie dziwiło w czasach po epidemii cholery), ale także żadnego majątku.

W Ćmielowie brakowało w tych czasach młodych, zdrowych mężczyzn, a w dodatku przystojnych i upartych w staraniach o rękę Anieli.



16. Karol Pękalski z żoną i córeczkami - 1885 r.

Musiał się też spieszyć, aby nie powołano go do carskiego wojska. W tym czasie służba wojskowa dla rekrutów z Królestwa Polskiego trwała pięć lat.

Ślub odbył się 02 lutego 1870 r., niestety nie zachowała się metryka zawarcia tego związku, nie znamy więc wielu szczegółów. Zachował się akt chrztu Karola skąd wiemy, że urodził się 3 listopada 1850 r. o godzinie 12. w południe w Ćmielowie w domu pod numerem 82. Jako świadek chrztu i ojciec chrzestny wpisany jest Bartłomiej Pachylski z zawodu szewc. Czyżby to u niego terminował Karol parę lat później? Matką chrzestną została Marianna Pacoszyna, oboje byli niepiśmienni i mieszkali w Ćmielowie.

W chwili swego ślubu Karol nie miał skończonych dwudziestu lat, a Anieli brakowało kilku miesięcy do lat siedemnastu.

Z tej jedynej, ocalałej gałęzi rodziny wyrosną dalsze pokolenia, które nie zawsze zachowują pamięć o ocalańcu z piekła epidemii cholery Karolu i jego losach. Zachowa się też powyższe zdjęcie, z którego mój ojciec robi reprodukcję. Utrwalona tylko na odnalezionym przypadkowo negatywie, z którego sam zrobiłem tradycyjną odbitkę i zabarwiłem w sepii. Nie wiadomo czy oryginał był czarno biały, czy także w sepii. Początkowo nie miałem pojęcia, kogo ta fotografia przedstawia. Dopiero żmudne badania genealogiczne pozwoliły na powolne dochodzenie do prawdy.

Karol będzie miał dziesięcioro dzieci, z czego do pełnoletniości dożyje piątka.

Niestety Anna umrze już w wieku 18 lat, a synek Antoni w niemowlęctwie.

Jak już wiemy tym pierwotnym dzieckiem mógł być brat nigdy nie poznanego dziadka Franciszka. Na zachowanych zdjęciach widać dwóch bardzo podobnych do siebie braci, nie można wykluczyć, że pierwotnym był jego brat urodzony w roku 1871-72. Taki warunek spełnia Stanisław Pękalski (1872-1953), którego dane mam tylko z nagrobka. Wynika z niego, że jego żoną była Anna z Banaszków (1882-1944). Wobec braku wielu metryk z Ćmielowa można przyjąć tą hipotezę za wiarygodną. Z zawodu był Stanisław zdunem-kaflarzem. W r. 1905 urodziła się im córka Stefania Bronisława, jej matką chrzestną została Julianna Pękalska, z pewnością krewna.

Kiedy jego rodzice wyjeżdżali do Nieborowa Franciszek miał prawie 10 lat i pozostał w Ćmielowie u swego dziadka Aleksandra Jakubowskiego. Chodził do szkoły i pomagał dziadkowi w gospodarstwie. Był okres ostrej rusyfikacji szkolnictwa, nauczano tylko po rosyjsku, duży nacisk kładziono na przygotowanie rekruta dla carskiej armii. W szkołach ludowych (i nie tylko) obowiązywała gimnastyka, a od 12. roku życia musztra.

W tym okresie Ćmielów był już pozbawiony praw miejskich (1872) przez zaborców za swój udział w powstaniu styczniowym. Była to więc wieś, a ludność, jak wcześniej utrzymywała się z rolnictwa i hodowli zwierząt. Fabryka Porcelany zatrudniała ok. 100 osób, co stanowiło 5% mieszkańców. Franciszek nauczył się u dziadka Jakubowskiego pracy na roli, a także hodowli świń i bydła. Kiedy po latach odziedziczył kilka mórg ziemi będzie ją uprawiał łącząc to z pracą w fabryce. Jak się później mówiło był z niego typowy chłoporobotnik.

Nie jest pewne czy Marianna, która w tym czasie miała 6 lat wyjechała z rodzicami, czy też została w Ćmielowie. Wiadomo, że zabrali oni do Nieborowa 4. letniego wtedy Bolesława.

W Nieborowie, jako pierwsza urodziła się 9 kwietnia 1883 r. Stanisława. Dwa lata później, także w kwietniu, przysła na świat Anna (25.04.1885).

Ostatnim dzieckiem Karola i Anieli na "wypnaniu" w Nieborowie była Zofia Teresa urodzona 20 maja 1887 roku.

Przed wyjazdem z Ćmielowa urodziła się Cecylia (22.11.1880), ale nie ma o niej żadnych wzmianek i najpewniej zmarła w dzieciństwie. Podobny los spotkał ostatniego synka Antoniego, który urodził się 14.04.1893 r. i zmarł w tym samym roku. Nie znamy też losów Feliksi Elżbiety ur. 1 lipca 1889 r. Także raczej nie osiągnęła ona wieku dorosłego.

Długo poszukiwałem hipotetycznego brata Franciszka, bardzo do niego podobnego. Wydawało się, że może to być właśnie Bolesław Antoni.

Na tym zdjęciu widać wyraźnie obu braci, starszego o pięć lat Franciszka oraz młodszego.

Niestety w dalszych poszukiwaniach odnalazłem metrykę zgonu Bolesława i hipoteza ta upadła, zastąpił go Stanisław.

Stojąca obok niego dziewczyna to raczej nie żona, lecz siostra Zofia Teresa (1887-1960). Rok wcześniej (10.02) zmarła 18. letnia Anna. Była dziewczyną bardzo pobożną i już w dniu swojej pierwszej Komunii złożyła śluby czystości i postanowiła wstąpić do zakonu. Los jednak chciał inaczej. Zamiast niej do zakonu wstąpiła jej siostra Stanisława.

Dziewczynka na kolanach mej babki Marianny z Zaborskich to Aniela (ur. 1903). Stojący chłopczyk to Kazimierz (ur. 1901), umrze rok później, być może na jedną z banalnych chorób dzieciństwa wówczas nieuleczalnych.



17. Franciszek i jego brat Stanisław z rodziną- 1905 r.

4/ Siostra Świętosława - życie w zakonie

W roku 1903, u progu lata (10.06) umiera nagle Karol Pękalski pogrążając w smutku całą rodzinę. Jego pogrzeb był okazją do spotkania rodzinnego, chociaż większość mieszkała w Ćmielowie. Karol prowadził zakład produkujący obuwie robocze i użytkowe, zatrudniał 10-15 pracowników i dlatego w akcie zgonu zapisano, że był "fabrykantem obuwia". Jego śmierć bardzo przeżyła córka Anna, która przygotowywała się do wstąpienia do zakonu, aby dotrzymać przyrzeczenia złożonego w czasie swojej pierwszej Komunii. Umartwienie się i posty osłabiły młody organizm i Anna zmarła 8 miesięcy później (10.02). Pożegnanie, które wygłosił w czasie pogrzebu spowiednik Anny wstrząsnęło Stanisławą i zdecydowało o tym, że to ona wypełni śluby za siostrę i pójdzie do zakonu.

Zarówno Stanisława, jak i Anna urodziły się w Nieborowie w odstępnie dwóch lat (obie w kwietniu). Po powrocie do Ćmielowa Stanisława do dwunastego roku życia uczyła się prywatnie w domu pod kierunkiem nauczycieli. W 1896 roku została przyjęta do fabryki porcelany, której ówczesnym właścicielem był książę Aleksander Drucki-Lubecki, gdzie kiedyś pracował także jej ojciec, a od r. 1888 brat Franciszek. Dzięki temu mogła korzystać z nauki i uczęszczać do szkoły wieczorowej dla pracowników.

12 października 1904 po trzydniowej podróży Stanisława przyjeżdża do Krakowa, gdzie zgłosiła się do Zgromadzenia Służebnic Najśw. Serca Jezusowego i została przyjęta. W kilka tygodni później 7 grudnia 1904 r. rozpoczęła tzw. próbę, rok później roczny nowicjat. W dniu 7 grudnia 1906 r. złożyła pierwsze śluby, a 2 października 1917 r. śluby wieczyste.

Zgromadzenie Służebnic Najświętszego Serca Jezusowego powstało 15 kwietnia 1894 r. w Krakowie. Założycielami tej rodziny zakonnej są św. Józef Sebastian Pelczar (1842 - 1924) i bł. Klara Ludwika Szczęsna (1863 - 1916). Zgromadzenie szybko się rozwijało. Do 1900 wzniesiono dla sióstr klasztor i kościół przy ul. Garncarskiej. Rozwijały się też domy zakonne w innych miastach Galicji, powstawały też pierwsze domy poza jej granicami. Siostry zajmowały się głównie działalnością dydaktyczno-wychowawczą i charytatywną: prowadziły schroniska dla dziewcząt pracujących, ochronki, sierocińce, szkoły, pracowały w szpitalach i zakładach opieki społecznej.



18. Stanisława Pękalska przed wstąpieniem do zakonu -1903 r.

Stanisława, która przyjęła imię zakonne Świętosława, została przez zakon przeszkolona do pracy, jako wykwalifikowana pielęgniarka. Pierwszą posługę pełniła w szpitalu w Krośnie. Historia szpitala sięga XV wieku, kiedy to miasto Krosno posiadało trzy budynki spełniające rolę szpitala i przytułku dla ubogich. Budowę szpitala z prawdziwego zdarzenia rozpoczęto pod koniec XIX wieku, a w 1901 roku oddano do użytkowania parterowy budynek na około 50 łóżek przy ul. Suchodolskiej w Krośnie. Tam Świętosława jeszcze się uczyła zawodu, dopiero w Zakopanem zrobiła pełne uprawnienia wykwalifikowanej pielęgniarki.

W tamtejszym szpitalu pracowała w latach 1907-10. Potem był kilka razy Lwów i tam nie zawsze opiekowała się chorymi. Była też praca w ochronie dla sierot, były dwie wojny światowe, gdzie liczba potrzebujących pomocy gwałtownie rosła. W latach 1910-16 siostra Świętosława był świadkiem wkroczenia do Lwowa wojsk rosyjskich we wrześniu 1915 po bitwie pod Gorlicami. W czerwcu 1915 Lwów ponownie znalazł się we władaniu Austrii. Dalsze walki o Lwów w latach 1916-20 były jej oszczędzone, gdyż w latach 1916-20 przebywała w

Samborze nad Dniestrem. Jednak wojska rosyjskie, które zajęły Sambor w tym czasie dokonały licznych zniszczeń w mieście. 17 maja 1919 roku wojska polskie wyzwoliły Sambor, który po 147. letniej niewoli powrócił do Rzeczypospolitej. Sambor został stolicą powiatu województwa stanisławowskiego. Na miejscu dawnego zamku zbudowano szpital (1925). W czasie pobytu w Samborze Świętosława bywała też w Lwowie, zachował się dokument tożsamości wydany jej przez władze niemieckie 16 sierpnia 1917 r. Dokument ten wystawiono na odwrocie tej fotografii.



19. Siostra Świętosława - rok 1917

Od 1921 roku Świętosława dzieliła czas między siedzibą zakonu w Krakowie, a Lwowem. Mając za sobą śluby wieczyste mogła pełnić funkcje kierownicze w zakonie. Angażowała się w rozwój ruchu sercanek bezhabitowych. Nosiły one strój świecki w swojej codziennej posłudze dla chorych i biednych.

Do 1920 roku Zgromadzenie rozwijało się na terenach Cesarstwa Rosyjskiego, gdzie prowadziło głównie zakłady wychowawcze. Mieściły się one w: Kownie, Wilnie, Petersburgu, Żytomierzu, Smoleńsku, Kijowie, Kamieńcu Podolskim, Irkucku, Płoskirowie i Czelabińsku.

Zgromadzenie pragnęło zapewnić ubogim sierotom dach nad głową, podstawowe wykształcenie, wpoić zasady moralne i wychować na dobrych Polaków. Siostry ubolewały nad ich sierocą dolą, pracowały ofiarnie, lecz zawsze pod strachem, gdyż rząd carski był wrogo usposobiony do wszystkich przejawów polskości i katolicyzmu. Uczono religii, języka polskiego, historii Polski, arytmetyki, geografii i przyrody. Nauka ta odbywała się w wielkiej tajemnicy, przy zamkniętych drzwiach i z jednej książki. Siostry pracowały, jako Polki i katoliczki wzorowo i sumiennie, mimo prześladowań i ciągłych rewizji w zakładach. Warunki materialne były trudne. Z tej racji całe mienie Zgromadzenia przeznaczano na wychowanie i kształcenie dzieci. M. Eliza Gołębiowska wspomina: *„Wszystko, czym siostry rozporządzały szło na wychowanie i kształcenie dzieci, których tyle przyjmowano na stałe, ile pomieściły ściany, zarządzając ciasnocie specjalnym urządzeniem łóżek”*. Choć pustki były w kasie, mówiono: *„Bóg dał sierotę, da i na sierotę”*. Siostry chętnie jechały na Syberię, wiedząc, że tam spotkają Polaków zesłańców i ich dzieci, które trzeba było wychowywać i nauczać. O tym, czym była praca siostr dla mieszkających na Syberii Polaków świadczy opisany fakt: *„Po raz pierwszy miała się odbyć procesja Bożego Ciała na terenie Inokientiejewska (...), kiedy prowadziłam swoją gromadkę dzieci do kaplicy miejscowej, jakiś staruszek wygnaniec ukląkł przede mną i całując po rękach wołał z płaczem: „Polska... tyś mi dziecko drogie Polskę pokazała, zobaczyłem Polskę przed śmiercią”*.

Wybuch rewolucji w 1917 r. był wydarzeniem przełomowym w historii Zgromadzenia. Większość siostr pozbawiona pracy wychowawczej ewakuowała się do odrodzonej Polski, zabierając ze sobą dzieci z zakładów.

Od 1920 r. Zgromadzenie rozwijało się w wyzwolonej Ojczyźnie, zakładało szkoły, przedszkola, domy dziecka, ochronki, żłobki, jadłodajnie, prowadziło internaty, zakłady wychowawcze i katechizowało.

Nadszedł 1939 rok, czarne chmury zawisły nad Polską. 1 września, wybuchła II wojna światowa. Nastąpiły bolesne dni dla Kościoła i Ojczyzny. Wówczas Zgromadzenie prowadziło 14 placówek opiekuńczo-wychowawczych. Były one w: Bielsku Podlaskim, Janowie Podlaskim, Kolnie, Lubieszowie, Nowym Mieście, Orchówku (2), Otwocku, Sitniku, Skórcu, Świdrze, Warszawie (2) i w Strudze.

W czasie wojny zakonnice we Lwowie prowadziły ochronkę dla sierot, których wówczas nie brakowało. Jak można przeczytać w licznych wspomnieniach z tego okresu dziewczynki (sporo też z rodzin żydowskich) w takiej ochronce cerowały, szyły, wyszywały, pracowały w kuchni itd. W zamian zyskiwały schronienie, opiekę, namiastkę rodziny. Zresztą, jak wynika z tych wspomnień, istniała możliwość korespondencji z rodziną, jeśli np. ojciec dziecka przebywał w oflagu. Poza tym odbywała się tam nauka szkolna, choć pewnie w

ograniczonym zakresie.

Oczywiście Lwów był siedzibą także innych zakonów żeńskich, było ich osiem posiadających swoje klasztory jeszcze w średniowieczu, a pierwsze były klaryski. Bernardynki (klaryski) miały swój klasztor i kościół pw. Niepokalanego Poczęcia NMP na początku ul. Gliniańskiej (obecnie ul Łyczakowska) od razu tuż przed murem obronnym klasztoru Bernardynów. Na tym miejscu w 1584 r. dla sióstr zbudowano kaplicę św. Anny. D. Zubrzycki pisze, że w 1607 r.

„zakończono i poświęcono kościół Bernardynek przy ul Gliniańskiej”. Jak wiadomo zakon sióstr sercanek powstał w Krakowie w r. 1894, a więc nie mógł mieć takich tradycji, jak zakony o wiele wieków wcześniejsze. We Lwowie siostry podjęły początkowo pracę administracyjną i pielęgniarską w Szpitalu Powszechnym, później powstawały ochronki czy sierocińce.

Nie wiadomo jak i dlaczego znalazła się siostra Świętosława w Trembowli skąd na jej listowną prośbę wywiózł ją w czasie wojny (rok 1942?) jej bliski krewny Witold Milewski. Czy uciekała przed zawieruchą wojenną? Może do swoich krewnych-wiadomo, że na Ukrainie mieszkał jeden członek rodziny Pękalskich, a w Czortkowie k/Buczacza żył Karol Milewski, brat Witolda. Ustna relacja Witolda Milewskiego zawiera takie nawet szczegóły, że w czasie przesiadki we Lwowie na Świętosławę rzucił się pies żandarma niemieckiego.

Po powrocie do okupowanej Polski Stanisława nie zatrzymała się dłużej w Ćmielowie, ale udała się do Krakowa (w dzielnicy Prądnik w okresie okupacji był szpital, który służył niemieckim żołnierzom chorym na gruźlicę i płonicę oraz rannym). Być może pomodliła się na grobie brata Franciszka, który zmarł w r. 1941 w Ćmielowie i po raz ostatni widziała się z jego żoną (zm. w 1943 r.)

Pewne jest to, że najwcześniej mogła przyjechać do Ćmielowa, aby podjąć opiekę nad chorą siostrą Zofią Teresą dopiero w roku 1948. Po przybyciu do Ćmielowa uzyskała ona zgodę przełożonej zakonu na przebywanie poza zgromadzeniem z uwagi na konieczność opiekowania się chorą siostrą, sama także robiła zastrzyki i opatrunki potrzebującym na terenie miasta i okolic. Siostra Świętosława prosiła ówczesnego proboszcza Stanisława Dudzińskiego, aby w Ćmielowie powstała filia zakonu sercanek i to się udało 18 września 1954 roku. Świętosława pomogła kupić zakonowi sąsiedni do jej rodzinnego lokum dom przy ulicy Długiej 62 i tam zamieszkało kilka sióstr z tego samego zgromadzenia. Siostry utrzymywały się głównie z szycia i pełniły posługę religijną zgodnie z zasadami swego zgromadzenia.

Wkrótce po śmierci Zofii Teresy, a więc w połowie roku 1960 zakon zabrał Świętosławę do swego macierzystego domu w Krakowie, gdyż w tym czasie ona sama wymagała już opieki i tam zmarła 14 listopada 1965 roku. Została pochowana na cmentarzu Rakowieckim w grobie sióstr sercanek. Jak widać na zamieszczonych tu zdjęciach była ona niskiego wzrostu i dość tęga w

przeciwieństwie do Zofii, która była szczupłą. Obecnie kilka sióstr z tego zgromadzenia sercanek nadal mieszka w Ćmielowie przy ul. Opatowskiej 29. W czasie swego pobytu w Ćmielowie kilkakrotnie zmieniały swoją siedzibę. Nie ulega więc wątpliwości, że siostra Świętosława w znaczący sposób przyczyniła się do powstania filii zakonu w Ćmielowie. Przełożoną tego domu jest obecnie (r. 2009) siostra Mirona SSCJ mieszkająca w miasteczku od 13. lat. Od siostry Tadeuszy, która w zakonie jest od 60 lat, a w Ćmielowie z małymi przerwami pół wieku, dowiedziałem się, że Świętosława była osobą "o *anielskim wręcz usposobieniu*". Ta 91-letnia siostra jest żywą kroniką zakonu i jedyną, która pamiętała naszą Stanisławę z jej lat spędzonych w rodzinnym mieście, a pamięć mimo wieku miała doskonałą.



20. Stanisława i Zofia Pękalskie w Ćmielowie w 1954 r.

Siostra Świętosława wypełniła powołanie do życia w świętości i za siebie i za swoją zmarłą niespodziewanie młodszą siostrę Annę. Przez całe swoje długie i pracowite życie opiekowała się chorymi i cierpiącymi niosąc im ulgę i słowo pocieszenia. Wypełniając to wielkie dzieło składające się z tysięcy dobrych uczynków nie zapominała o swojej chorej siostrze Zofii Teresie, którą opiekowała się do dnia jej śmierci, niosąc jednocześnie pomoc pielęgniarzką dla mieszkańców Ćmielowa.

5/ Krótkie życie Marianny

Urodzona w styczniu 1876 roku była Marianna drugim dzieckiem Karola i Anieli Pękalskich. Nie zachowała się jej postać w żadnych przekazach rodzinnych, ani nawet na starych fotografiach. Być może figuruje na jedynym zdjęciu z rodzicami, ale nie jest to pewne.

Marianna zmarła w wieku 43 lat, a więc dożyła prawie średniego wieku dla kobiet, który na przełomie XIX i XX wieku wynosił 48 lat.

Przyszła na świat w Ćmielowie jeszcze przed wyjazdem rodziców do Nieborowa. Jej matką chrzestną była Antonina Pietrzykowska z Dziebałtowa, która zmarła trzy lata później w wieku 36 lat. Ojciec chrzestny to Józef Ciechoński, niewiele o nim wiadomo poza tym, że mógł mieć na imię Józefat, a nazwisko w wersji bardziej popularnej w tych stronach, Cichoński. Rodzice raczej zabrali ją ze sobą do Nieborowa, gdzie mieli wygodną kwaterę służbową we wsi Piaski, a ojciec dobrze zarabiał w manufakturze majoliki księcia Radziwiłła. Kiedy wrócili dziewczynka miała lat 12 i mogła pójść do pracy w fabryce porcelany, gdzie nawet znacznie młodsze dzieci pracowały w malarni przy zdobieniu wyrobów gotowych.

Marianna wyszła za mąż za Antoniego Jana Milewskiego (syn Antoniego 1861-1914 i Franciszki z d. Cymelskiej) z Radomia. Nie posiadając metryki ślubu nie można określić daty, ani miejsca zawarcia tego związku. Mieli co najmniej trójkę dzieci, pierwsza była córka Bronisława, potem Karol. W roku 1911 urodził się syn Witold (zm. w r. 1985), którego okrutny los oświadczył śmiercią obojga rodziców w dzieciństwie. Po śmierci matki Marianny w r. 1919 chłopiec trafił do sierocińca prowadzonego przez braci zakonnych i założyciela zakonu sercanek wówczas biskupa Pelczara. Można przypuszczać, że siostra Świętosława starała się pomóc osieroconemu siostrzeńcowi i ulokowała go w klasztorze we wsi Miejsce Piastowe położonej na południu Polski w pobliżu Krosna.

W r. 1929 siostra Witolda Bronisława zabrała dorosłego już brata z sierocińca i zawiozła go do Ćmielowa, gdzie rozpoczął pracę w fabryce porcelany. Uczył się zawodu pod kierunkiem mego dziadka Franciszka Pękalskiego, mistrza odlewni, który był jego wujem. Bronisława natomiast wyjechała do Belgii dając początek emigracyjnej gałęzi rodziny Milewskich. Z tego związku była jeszcze Stanisława Milewska (ur. 1930) mieszkająca nadal w Gdańsku oraz Antoni.

Witold Milewski poślubił Janinę Kończyk (1914-1998) - fotografia obok, z tego związku było kilkoro dzieci i dość liczna rodzina. Jej przedstawiciele żyją obecnie w Ćmielowie, Łańcucie i Międzyzgodzie (Maria Waligórska) oraz właśnie w Belgii.



21. Witold i Janina Milewscy ok. 1936 r.

Rodzeństwo poznanej osobiście przez autora Marii Waligórskiej (ur. 10.08.1940) z d. Milewskiej to:

- Edmund Milewski - 1.11.1936-2.04.2012
- Stanisław Milewski - 5.09.1943-2.08.2003
- Wojciech Milewski - 13.04.1950
- Jan Milewski - 17.08.1956-2.12.2002.

Czyli żyje tylko jeden z braci Wojciech i on właśnie zamieszkuje w Ćmielowie. Opiekuje się grobami naszej rodziny.

Początkowo nie wiedziałem nic o losach Marianny, przypuszczałem, że nie wyszła za mąż i zmarła w młodości. Dzięki mojej stronie internetowej odezwali się potomkowie mojej ciotecznej babki i tak doszło do ustalenia kolejnej gałęzi naszej rodziny.

5/ Pół wieku dziadka Franciszka w fabryce porcelany

W rozdziale III przedstawiłem historię produkcji porcelany oraz dzieje fabryki w Ćmielowie. Franciszek, podobnie jak jego ojciec, zaczął tam pracę, ale w młodszym wieku, aniżeli Karol. Miał w r. 1888 zaledwie 15 lat i zaczynał pracę nie przy schudzaniu gliny, ale w magazynie wyrobów gotowych. W malarni dzieci ze szkoły przyzakładowej uczyły się zawodu, a często były to naprawdę kilkulatki. Można je zobaczyć na tym unikalnym zdjęciu.



22. Pracownicy fabryki porcelany - r. 1901

W dolnym rzędzie to właśnie dzieci ze szkoły przyzakładowej, z których część brała udział w 3. letnim kursie zdobniczym. Niejaki Sobieszczański opisał ten proces w swojej "*Wycieczce archeologicznej w guberni radomskiej*", jak młode dziewczęta na wypalonych naczyniach drukowały kolorowe wzory z "*niewypowiedzianą szybkością*". Była tam też niewielka malarnia, gdzie ręcznie nanoszono różne zdobienia. Tam właśnie przydawały się dzieci, którzy swoimi drobnymi paluszkami nanosili miniaturowe ozdoby na wyrobach, które potem wypalano w piecach.

Na tej fotografii widzimy Stanisława Pękalskiego stojącego w górnym rzędzie na skraju po prawej. Widocznie w tym wydziale fabryki pracował, gdyż fotograf

wykonywał te zdjęcia po kolei według wydziałów. Jest tu stosunkowo dużo kobiet, mogła to być malarnia.

Na drugiej fotografii kobiet prawie nie ma, jest natomiast 12. chłopców ze szkoły zakładowej. Tutaj widzimy Franciszka Pękalskiego, wtedy 28. letniego, ale już 13. letnim stażem pracy w fabryce. Siedzi w drugim rzędzie pierwszy od lewej w charakterystycznej baranicy, z którą się nie rozstawał. Raczej nie był jeszcze majstrem odlewni, ale zdjęcie przedstawia zapewne ten wydział. Wskazuje na to brak kobiet i dziewczynek. Jako majster Franciszek zajmowałby miejsce bliżej centrum fotografii.



23. Wydział Odlewni fabryki porcelany w Ćmielowie

Kobieta w górnym rzędzie po prawej (obok wysokiego mężczyzny), jest bardzo podobna do jednej z siostr Franciszka Anny, która umrze 3 lata później.

Jak wiemy Karol był niespokojnym duchem, często zmieniał pracę i uprawiany zawód. Jego syn natomiast przez całe życie pracował w ćmielowskiej porcelanie, stąd przeszedł w roku 1938 na emeryturę otrzymując w dowód uznania pamiątkowy talerz z podpisami najbliższych współpracowników.



24. Pamiątkowy talerz z okazji 50-lecia pracy

Talerze takie były długą tradycją fabryki sięgającą początków XX wieku. Jeden z takich talerzy zaprojektował Bolesław Polankiewicz w styczniu 1912 r. dla Mieczysława Rymaszewicza w kolorze bordo ze złożonymi brzegami. Przedstawiał on widok fabryki ćmielowskiej, pod nim podpisy pracowników, a na odwrocie okolicznościowa dedykacja. Ćwierć wieku później utrwalił się powyższy model talerza jubileuszowego, gdzie całość napisów i zdobień znajdowała się na jednej stronie, a z tyłu były otwory do zawieszenia go na ścianie. Tak też uczynił Franciszek po przejściu na emeryturę, a obecnie talerz wisi u mnie nad kominkiem.

Pięćdziesiąt lat stażu pracy w jednym zakładzie to osiągnięcie rzadko w tych latach spotykane. Rzut oka na statystyki - dla osoby, która na przełomie 1931 i 1932 r. nie skończyła roku, prognozowana dalsza długość życia wynosiła 48,2 lat (dla mężczyzny) lub 51,4 (dla kobiety). Dalsza długość życia dla osób, które miały wówczas kilka lat, wyglądała lepiej: dla trzylatka – 57 lat. Dla dzieci urodzonych w roku 1873 prognozowana długość życia wynosiła niespełna 40 lat! I to niestety potwierdziło się także w rodzinie Pękalskich z powodu wysokiej umieralności dzieci.

Kiedy Franciszek zaczynał pracę od czterech lat nie żył poprzedni dzierżawca, a później właściciel fabryki Kazimierz Cybulski, jego rolę przejęli synowie Stanisław i Władysław. To oni zatem zatrudnili mego dziadka w swej fabryce, która oprócz fajansów i porcelany wytwarzała wtedy także kafle i cegły ogniotrwale.

Bracia Pękalscy pracowali na różnych wydziałach, ale obaj szybko awansowali. Na poniższym zdjęciu z ok. 1908 roku należą już do ścisłego kierownictwa, jako mistrzowie kierujący najważniejszymi wydziałami fabryki. Stanisław siedzi, a Franciszek stoi w prawym, górnym rogu. Pięć lat temu stracili ojca Karola, a niedługo po nim 18. letnią siostrę Annę. Materialnie powodzi im się dobrze, to chyba najlepszy okres w ich karierze zawodowej.

Udział w wystawie nowożytnych tkanin i wyrobów ceramicznych w Krakowie przyniósł dalsze sukcesy fabryce. Odbывała się ona w r. 1905 w pałacyku Czapskich w Krakowie i przyniosła sukces wyrobom z Ćmielowa. Podobały się zwłaszcza serwisy stołowe oraz serwis do herbaty tzw. Monachijski z czarkami pod samowar i talerzykami deserowymi.

Uznaniem cieszyły się serwisy do białej kawy o nazwach GIEWONT, IRYS, AJOUR, MUŚLIN i FAURE ukształtowane w duchu secesji.



25. Kierownictwo fabryki porcelany w r. 1908

Fabryka dobrze prosperowała do czasu wybuchu I wojny światowej, w wyniku której została poważnie zniszczona. Po wojnie powstała spółka akcyjna i fabrykę odbudowano, a produkcja ruszyła dopiero w r. 1921.

W końcu 2006 r. odkryłem kartkę napisaną do Franciszka Pękalskiego przez jego syna Tadeusza. Kartkę wysłano z Pępowa (gdzie ojciec mój był nauczycielem) w dniu 22 września 1932 roku i zaadresowano do Fabryki Porcelany w Chodzieży. W tym czasie oba zakłady miały tego samego właściciela, a zatem oddelegowanie mistrza odlewni miało swój cel. Fabryka ta upadła w r. 1859, a zaczęła się ponownie rozwijać po wybudowaniu linii kolejowej Poznań-Piła. W tym czasie właścicielem był kupiec niemiecki Hein. Sprzedał on fabrykę niemieckiej spółce ceramicznej KERANOS w r. 1895. Nowy okres zakładu zaczął się w r. 1921, kiedy to kupił go Stanisław Mańczak z Poznania (bądź też zarządzał nim w imieniu spółki).

W latach 1925-30 Chodzież była b. rentowna z uwagi na duży eksport do Holandii i krajów skandynawskich. W r. 1924 Spółka Akcyjna Ćmielów wykupuje od niemieckiej firmy Keranos fabrykę porcelany w Chodzieży (wspólny zarząd, wspólny znak firmowy), co wyjaśnia omawianą wyżej kwestię okresowej pracy Franciszka w Chodzieży. W r. 1936 zakład w Chodzieży przestaje działać i nie był

już razem w spółce z Ćmielowem. Ten związek obu fabryk powstanie znowu po II wojnie światowej.

Nie ulega wątpliwości, że mój ojciec odwiedzał Franciszka w Chodzieży. Miał do dyspozycji połączenie kolejowe, co prawda nie bezpośrednio, ale podróż trwała nie dłużej, aniżeli 3 godziny.

Z Marianną z Zaborskich Franciszek wziął ślub 31 sierpnia 1898 roku. Pierwsze dziecko z tego związku dostało imię Kazimierz ur. 2.03.1901 r. Dziecko to zmarło 15 sierpnia 1906 r., zapewne na jakąś banalną chorobę dziecięcą. Aniela urodziła się 22.02.1903 r. i żyła wystarczająco długo, abym mógł zetknąć się z nią osobiście, jako dziecko.

Trzecim dzieckiem była Marianna ur. 5.04.1905 r., żyła tylko 8 dni.

Czwartym dzieckiem był mój ojciec Tadeusz ur. 28.06.1906 r.

Piąty był Jan Kazimierz ur. 22.06.1908 r. , brak aktu zgonu, ale nie dożył do pełnoletności. Rodzice chrzestni to Walerian Chodurski i Marianna Orłowska, co potwierdza związki rodzinne z rodziną Orłowskich.

Szósty, znowu Kazimierz, ur. w r. 1909, zmarł 29.03.1920 r. w Ćmielowie, jak i jego rodzeństwo.

Ostatnia była Zofia Honorata ur. 9.12.1910 r., zmarła 14.03.1988 r. Nie miała męża, ani dzieci.

Było więc dzieci siedmioro, a wieku dojrzałego dożyła trójka, a potomstwo miało dwoje z nich.

Franciszek ciężko pracował, aby zapewnić dzieciom codzienny chleb i wykształcenie. Obok pracy w fabryce uprawiał kilka mórg ziemi i hodował świnię, kury, króliki i inny drobny inwentarz. Pomagała mu Marianna, która dbała o dzieci i pomagała w tym niewielkim gospodarstwie. W czasie I wojny światowej ta ziemia uchroniła ich od głodu, kiedy wojska austrowęgierskie podpaliły fabrykę i nie było pracy przez 3-4 lata. Podobnie było w latach II wojny światowej.

Kiedy minęły złe lata Tadeusz i Aniela kształcili się na nauczycieli, co wymagało znaczącego wsparcia finansowego. Teraz jednak Franciszek miał silną pozycję zawodową, kierował nie tylko odlewnią, ale także przyjmował zamówienia na wyroby gotowe i przygotowywał je do wysyłki.

Znany malarz Bolesław Polankiewicz (1879-1935), uczeń Wojciecha Gersona, narysował w r. 1922 karykaturę, czy raczej portret Franciszka.



26. Franciszek Pękalski w r. 1922

Trzyma on w ręku "zamówienie na filiżanki berlińskie szt. 10000", a na głowie ma nieodłączną baranicę. Tak właśnie wyglądał nasz dziadek blisko 100 lat temu. Wcześniejsze zdjęcia znamy z fotografii rodzinnej i ze zbiorowych zdjęć pracowników fabryki. Zachowały się też unikalne zdjęcia Franciszka w postaci reprodukcji negatywowych, a mianowicie fotografia późniejsza od powyższej z roku 1934 oraz fotografia z okresu, kiedy dziadek był już na emeryturze zrobiona krótko przed wybuchem II wojny światowej.

Polankiewicz był w latach 1903-1914 kierownikiem malarni.

Kiedy Franciszek rozpoczynał swoją drogę zawodową na terenie Królestwa Polskiego był 10 fabryk fajansu i porcelany (1880 r.) Najwięcej było ich w guberni Warszawskiej z produkcją 185 tys. rubli, potem w guberni Kaliskiej - 100 tys. rubli oraz w Radomskiej (do której należał Ćmielów) z produkcją 34,5 tys. rubli. Sam zakład ćmielowski należący do Kazimierza Cybulskiego, produkował wówczas wyroby za 20,5 tys. rubli i zatrudniał 62 robotników. Największą fabryką w tym czasie były zakłady Zygmunta Kufelda i Ludwika Cohna w powiecie Włocławek, guberni Warszawskiej z wyrobami o wartości 57 tys. rubli i zatrudnieniem 124 robotników.

Stanisław Cybulski w ciągu kilku lat zmienił profil produkcji fabryki zmierzając do ujednoczenia produkcji. Zlikwidowano działy fajansu, kamionki i majoliki specjalizując się dalej w porcelanie. Uboczna produkcja cegły ogniotrwałej i kafli nie była zbyt wielka. W takim zakładzie zaczynał pracę młody Franciszek mając za dyrektora technicznego Feliksa Pawłowskiego (1888-1890), a później Stanisława Chełmińskiego do roku 1895. Potem była era Franka (1896-98), który wprowadził w zakładzie nowoczesną technikę odlewania porcelany w formach gipsowych z masy lejnej z dodatkiem peptyzatorów sodowych. Technika ta pozwalała na uzyskiwanie odlewu całościowego, co było przydatne przy wyrobie figurek porcelanowych pustych w środku, a więc lżejszych. Około roku 1900 sprowadzono ponownie do Ćmielowa specjalistów z Limoges. To tam już w roku 1771 rozpoczęto produkcję porcelany na bazie własnych złóż kaolinu. Dyrektorem technicznym został Lechaise, a malarnią i drukarnią kierował Paulhat. Francuzi wprowadzili racjonalne szkolenie pracowników w formie trzyletnich kursów zdobniczych. Franciszek z nich nie skorzystał, miał wtedy 27 lat i 12 lat stażu pracy w fabryce. Za pięć lat zostanie majstrem w odlewni. Z kursów tych korzystała głównie miejscowa młodzież, gdyż po ich ukończeniu istniała gwarancja zatrudnienia. Nauczanie polegało na opanowaniu rysunku odręcznego i technicznego, poznanie zasad dekoracji na porcelanie oraz na praktyce w zakładzie.

Malarnię objął wkrótce wspomniany już artysta malarz Polankiewicz, a także wybitny dekorator Józef Wysocki., który na całe życie związał się z zakładem. Modelarnię początkowo prowadzili dwaj bracia J. i F. Tessinerowie, a następnie zdolny modelarz Mikołaj Kolasa związany z fabryką ćmielowską do r. 1923, a następnie do końca życia z Chodzieżą.

Działalność francuskich instruktorów przyniosła znakomite rezultaty i to nie tylko szkoleniowe. Już w roku 1901 znacznie wzrosła produkcja, a także poprawiła się jakość wyrobów porcelanowych. Na Wielkiej Wystawie w Petersburgu wyroby z Ćmielowa zdobyły Grand Prix, dzięki czemu fabryka otrzymało dużo zamówień z Rosji.

Reklama fabryczna z roku 1902 polecała *"w wielkim wyborze Serwisy stołowe dekorowane w stylu francuskim, Garnitury do herbaty i Kawy oraz wszelką Porcelanę białą, elektrotechniczną i apteczną. Piece i kominki białe i majolikowe."*

W tym samym czasie nastąpiły zmiany pod względem zdobienia wyrobów. Obok dekoracji malowanych ręcznie pojawiła się kalkomania, czyli dekoracja mechaniczna. Na szklivo przenoszono dekorację kolorową odbitą na kalkach techniką litograficzną przy użyciu farb ceramicznych, które po ponownym wypaleniu łączyły się świetnie ze szklivem. Kalki sprowadzano z Francji, Niemiec i Czech.

W roku 1904 odnotowano w ćmielowskiej fabryce drugi większy pożar. Nie był on szczególnie groźny, gdyż produkcji nie przerwano. W ramach likwidacji skutków pożaru zostały poczynione inwestycje w zaplecze socjalne. Przy fabryce powstała ochronka dla dzieci pracowników, łaźnia, straż ogniowa, czytelnia oraz herbaciarnia dla robotników. Ta ostatnia nie cieszyła się powodzeniem, a więc została szybko zlikwidowana. Powstało za to schronisko dla osób starszych wiekiem, głównie dla emerytowanych pracowników fabryki, którzy z przyczyn losowych nie mieli gdzie mieszkać.

Modernizację fabryki przeprowadzono w latach 1909-1910 w sposób zaskakująco odważny i radykalny. Franciszek był już wtedy w kierownictwie zakładów, jako majster odlewni i miał wpływ na decyzje podejmowane w sprawach swojego wydziału. Został zbudowany nowoczesny piec tunelowy klasy europejskiej, do którego porcelana wjeżdżała na wózkach i stopniowo przechodziła proces wypalania i ostygnięcia w ściśle regulowanej temperaturze. Zmechanizowano też inne procesy produkcji. Masę ceramiczną przygotowywano mechanicznie przy użyciu energii otrzymanej z lokomobili o mocy 25 KM. Toczki formierskie i modelarskie poruszane były przez pasy transmisyjne, bowiem fabryka została w pełni zelektryfikowana.

W tzw. drugim okresie księcia Druckiego-Lubeckiego sygnowano wyroby znakiem herbu rodowego. Od 1887 do 1900 stosowano uproszczony znak miecza z czterema półksiężycami przy rękojeści. Był wyciskany w cieście lub malowany kobaltem na szklowie. W latach 1900-1920 wprowadzono znak drukowany w barwie niebieskiej, czerwonej lub zielonej, skomponowany z herbu pod mitrą księżącą z cyframi rodowymi D.L. po bokach i nazwą miejscowości u dołu.

Wspaniale rozwijająca się produkcja została przerwana wybuchem pierwszej wojny światowej po ukończeniu, której ks. Aleksander Drucki-Lubecki jr. nie był zainteresowany inwestycjami na rzecz uruchomienia zdewastowanej przez wojnę fabryki i wystawił ją na sprzedaż.



27. Fabryka porcelany odbudowana po zniszczeniach I wojny światowej- r. 1924

Jak już wiemy po wojnie powstała spółka akcyjna do zarządu, której weszli przemysłowcy, właściciele ziemscy oraz dyrektorzy banków lwowskich i warszawskich. Dyrektorem zarządzającym fabryka został Jerzy Holnicki Szulc, doświadczony ceramik z praktyką na Łotwie i w Rosji. Jego zastępcą był Franciszek Ksawery Szymański, a dyrektorem technicznym inż. Leopold Sielicki. Franciszek, który w okresie tych przemian miał 48 lat i 33 lata stażu pracy. Produkcja była bardzo urozmaicona, gdyż oprócz porcelany stołowej białej i malowanej wytwarzano porcelanę elektrotechniczną, ceramikę montażową, apteczną, cegły szamotowe oraz retorty gazownicze. W tym przełomowym 1921 roku fabryka zatrudniała ok. 700 osób i wyprodukowała blisko 300 wagonów wyrobów gotowych. Dało to 17,2 tys. MK czystego zysku, a to oznaczało wypłatę dywidendy dla akcjonariuszy już w pierwszym roku. Zarząd zakładów intensywnie inwestował w zaplecze socjalne i transportowe. Wybudowano dwa domy mieszkalne dla pracowników oraz ochronkę dla dzieci. Powstała normalna bocznicą kolejowa z rampą do transportu surowca i ekspedycji produktów. Wybudowano także kolejkę wąskotorową od stacji

Ćmielów do fabryki. W roku 1924 wybudowano palarnię i odkwaszalnię materiałową oraz wzniesiono odrębny budynek dla warsztatów mechanicznych. W tym samym roku zakupiono fabrykę fajansu w Chodzieży oraz fabrykę kamionek i szamotu "Marywill" w Radomiu. Obie te inwestycje były chybione i zbyt kosztowne. Zakłady w Radomiu odsprzedano już po dwóch latach, a Chodzież upadła w tym samym czasie z powodu fatalnej jakości wyrobów. Jak to się stało, że fabryka posiadając doświadczoną kadrę i świetnej jakości surowce produkowała buble? Okazało się, że była to celowa działalność niemieckich technologów, których usunięto po trzymiesięcznym strajku załogi. Nowa spółka zatrudniła polskich specjalistów, co bardzo szybko przyniosło poprawę jakości wyrobów.

Pracownią dekoratorską Ćmielowa kierował Bolesław Polankiewicz, który w 1922 przeniósł się na stałe do Chodzieży. Następnie działali w zakładzie znakomici dekoratorzy, jak Józef Kwiecień, Józef Wysocki i Stanisław Stan. Spółka Ćmielów opanowała w latach trzydziestych cały rynek krajowy oraz cieszyła się sporym uznaniem na rynku światowym. Główne kierunki eksportu to Turcja, Holandia, Egipt, Palestyna i Stany Zjednoczone.

Analiza stanu zatrudnienia w roku 1938, kiedy to Franciszek odchodził na zasłużoną emeryturę po 50 latach pracy, pokazuje fabrykę tętniącą produkcją przez całą dobę. Szlamownia pracowała bowiem bez przerwy 24 godziny na dobę, dając 120 ton masy do przerobu. Warsztaty tokarskie i odlewnicze pracowały z obsadą 220. osobową, a malarnia 340. osobową. Cztery piece mufłowe oraz piec tunelowy na trzech zmianach obsługiwane były przez 86. pracowników. Ćmielowa nie dotknął specjalnie kryzys światowy na początku lat trzydziestych. Kłopoty za to miała fabryka w Chodzieży, gdzie kryzys ekonomiczny groził nawet zamknięciem zakładu. Wybuchły strajki przeciwko redukcjom w zatrudnieniu i być może to właśnie wtedy Franciszek został wysłany w celu zażegnania tych protestów. Chodzież została uratowana, wzrosła produkcja, krótko przez wojnę fabryka ta zatrudniała ok. 1000 pracowników i była równorzędnym partnerem Ćmielowa pod względem technologicznym i artystycznym.

Zupełnym zaskoczeniem dla fabryki ćmielowskiej było powstanie w roku 1936 konkurencyjnego zakładu ŚWIT działającego, jako spółka akcyjna z ograniczoną odpowiedzialnością. Jest rzeczą oczywistą, że większość pracowników tej nowej firmy stanowili "uciekiniery" z głównego zakładu. Nowy zakład nie miałby szansy konkurowania z fabryką o ponad stuletnich tradycjach w produkcji porcelany stołowej, ale jego siłą były oryginalne projekty nowych fasonów Bogumiła Marcinka. Zostało jednak zbyt mało czasu, gdyż rozwój nowego zakładu został zahamowany przez wybuch wojny.

Franciszek był już wtedy na zasłużonej emeryturze w czasie, której dużo czytał, a także słuchał radia.



28. Franciszek Pękalski na emeryturze - rok 1938

Na tym zdjęciu istniejącym tylko w postaci miniaturowej klatki negatywu nie byłem początkowo w stanie rozpoznać postaci mego dziadka. I te dziwne słuchawki na uszach? Na zrobionej odbitce zauważyłem pamiątkowy talerz z okazji 50. lecia pracy zawodowej i wtedy stało się jasne, kogo ta fotografia przedstawia. Rozpoznałem radio, które u zarania istnienia było małym pudełeczkiem z kryształkiem /potem z dwiema lampami/ i parą słuchawek. Na dachach rozwieszało się 50 metrowej długości anteny, których wymagały Detefony-pierwsze radia detektorowe. Co ciekawe nie miały one żadnego źródła zasilania, ale ich zasięg był mizerny. Po wybudowaniu w r. 1931 masztu w Raszynie Detefonu można już było używać w całej Polsce za wyjątkiem wschodniej Wileńszczyzny. Radia te można było nabyć wszędzie -nawet na pocztę -także na raty za 41,50 zł wraz z rocznym abonamentem. Fotografia ta została wykonana na krótko przed wybuchem wojny, żyła jeszcze żona Franciszka Marianna, a jego syn Tadeusz (mój ojciec) nie był jeszcze żonaty.

Córka Aniela (1903-1976) wyszła kilka lat wcześniej za Kazimierza Niedzielskiego (1905-1980) i miała syna Andrzeja ur. w roku 1931. Był to jedyny wnuk, jakiego Franciszek miał okazję poznać osobiście. Aniela była nauczycielką i pracowała w różnych szkołach w powiecie Ostrowiec Św., a także w Ożarowie. W czasie wojny straciła pracę, wróciła do domu rodzinnego z synkiem, a mąż zaginął w zawierusze wojennej. Okazało się, że był w niewoli, a od 1944 walczył w I Armii WP. Po wojnie zdecydowali się na wyjazd na Ziemie Odzyskane, gdzie otrzymali gospodarstwo rolne w Starym Jaromierzu w powiecie zielonogórskim. Wcześniej osiedlił się tam brat Kazimierza Tadeusz Niedzielski (1899-1963) i to on namówił młodszego brata do wyjazdu na Ziemie Odzyskane. Obaj prowadzili gospodarstwa rolne w gminie Kargowa i na tamtejszym cmentarzu są pochowani. Niewykluczone, że Tadeusz sprowadził także matkę obu braci Marię Niedzielską (1875-1953), ale nie udało mi się uzyskać potwierdzenia tego faktu, gdyż miejscowy USC wrogo odnosi się do badań genealogicznych. Aniela pracowała w miejscowej szkole podstawowej, a ich syn pomagał ojcu w prowadzeniu gospodarstwa rolnego. Istnieje bogata dokumentacja fotograficzna życia siostry naszego ojca w tych stronach, aż do momentu pogrzebu Anieli. Zmarła ona 21 lipca 1976 r., pogrzeb odbył się kilka dni po śmierci, dokładna data nie jest znana. Zgodnie z aktem urodzenia nr 50/1903 Aniela urodziła się w Ćmielowie 22 lutego, data na nagrobku różni się o 1 dzień. Pogrzeb zaczyna się od wywiezienia trumny z gospodarstwa w Starym Jaromierzu do kościoła w Kargowej. Stamtąd kondukt ruszył ulicą Wolsztyńską do Rynku, a po jego przejściu na cmentarz parafialny.



29. Rodzina Anieli Pękalskiej w Starym Jaromierzu - rok 1947

Razem z rodzicami odwiedzałem ciotkę Anielę w latach 1947-50 naszym starym FORDEM. Z Gostynia było to nieco ponad 100 km, drogi marne, jechało się 3 godziny. Wujek Kazimierz potrafił pokonać tę odległość wozem konnym przyjeżdżając na chrzest mojej siostry Marii Anny w maju 1953 r. Wtedy widziałem go po raz ostatni. Na powyższym zdjęciu miałem trzy lata, stoję z mamą, a obok ciotka Aniela, wówczas 44. letnia. Jest także wuj Kazimierz i ich syn Andrzej Niedzielski.

Wybiegłem nieco w przyszłość, ale córka Aniela była bliska swemu ojcu, cieszył się też on z wnuka, kiedy odwiedzali go na emeryturze.

Wojna spowodowała poważne zmiany w funkcjonowaniu zakładów porcelany. fabryka ćmielowska zachowała integralność, gdyż była to własność prywatna. Dostała tylko nadzorcę niemieckiego, chociaż śmierć głównego udziałowca i opiekuna fabryki Stanisława Burtana w roku 1940, pogorszyła sytuację. Udziały przejęli żona i syn głównego udziałowca. Inż. Juliusz Burtan skutecznie zabezpieczał fabrykę przed upadkiem działając jednocześnie w konspiracji. W listopadzie 1940 r. lista płac obejmowała tylko 50 osób, produkcja spadała z powodu braku surowców i opału. W końcu zatrudniano na stałe tylko 30 osób, a ok. 300 robotników dostawało prace zlecone w miarę posiadanych surowców. Fabryka w Chodzieży znalazła się na terenie Rzeszy i została wywłaszczona już w październiku 1939 r. Pracowników zwolniono, a potem przesiedlano i wywożono na roboty w głąb Niemiec. Niektórzy z przesiedleńców trafili w okolice Ćmielowa i mogli pracować w zawodzie, ale byli to nieliczni szczęściarze.

Końca wojny Franciszek nie doczekał, zmarł 29 września 1941 r. w swoim domu w Ćmielowie przy ulicy Długiej 62. Mieszkała tam w tym czasie jego siostra Zofia Teresa, córka Aniela z synem i córka Honorata. Żona Franciszka Marianna zmarła dwa lata po nim w roku 1943. Honorata zmieniała miejsca zamieszkania, gdyż pracowała także, jako nauczycielka, ale po śmierci swej ciotki Zofii Teresy ostatecznie osiadła w domu rodzinnym i pracowała w urzędzie gminnym. To ona przeprowadziła w roku 1978 postępowanie spadkowe po rodzicach i otrzymała akt własności posesji. Tadeusz Penkalski zrzekł się tego spadku na rzecz siostry w ramach rozliczeń rodzinnych.

Mało brakowało, aby pod koniec wojny fabryka ćmielowska została zniszczona tak, jak to się stało w trakcie pierwszej wojny. Jak głosi legenda zakłady zostały uratowane w końcu roku 1944 przez ówczesnego dyrektora Tadeusza Worskiego, który przekupił oficera niemieckiego złotą papierośnicą. I tak kończy się historia fabryki porcelany w Ćmielowie, z którą przez całe swoje pracowite życie był związany Franciszek Pękalski. Nie przestała ona oczywiście

istnieć, została upaństwowiona w styczniu 1946 roku, ale jej dalsza historia już nas nie interesuje.

O szczegółach śmierci Franciszka wiemy od ciotki Anieli, która z nim mieszkała. Oddajmy jej więc głos w liście do brata z 5.10.41.

"Ojciec gryzł się niepomnie wojną i warunkami, w jakich znaleźliśmy się razem. Zadowolony był tylko z Ciebie, że jakoś sobie dajesz radę. Martwił się tylko ciągle, jak my przetrzymamy. Mam wrażenie, że to wszystko załamało go, że przestał uważać na swoje bardzo liche płuca. Po niedzielnym spacerze w pole w poniedziałek chciał wstać, ale upadł nieprzytomny. Wezwany doktor orzekł zapalenie lewego płuca i oznajmił, że zrobi wszystko, co możliwe, ale przewiduje bezskuteczność wysiłków. Chodził co dnia, lekarstwa, zastrzyki, ale on cierpiął tak bardzo, że o śmierć prosił. Kopaliśmy kartofle w tym samym tygodniu, ja z Honorką i ciocia Zosia, interesował się zbiorem i zwózką. Przypomniał mi, że obiecałam list do Ciebie napisać, mówił o depezy. Omówił wszystkie szczegóły pogrzebu. Ósmego dnia po nocy bardzo ciężkiej, powiedział, że to koniec, bo mu bardzo niedobrze i o jedenastej umarł. W pierwszych kłopotach pogrzebowych pomógł nam Edek, my byliśmy bez siły i głowy, jak kłębki nerwów.

Fabryka zwróciła koszty pogrzebu, księża nie wzięli nic, pogrzeb miał bardzo ładny. Kierownictwo fabryki, wieńce, dużo ludzi. Pochowany tymczasowo w grobach rodziny Wolańskich, tam miał obiecanie miejsce.

Jeżeli wojna potrwa jeszcze najwyżej rok, to może przetrwamy z tym, co jest w miejscu opalając z trzech tylko jedno mieszkanie. O pracę niezmiernie trudno, aprowizacja osady prawie żadna, ceny wygórowane. Kto ma żyłkę do handlu i nerwy odpowiadające sytuacjom raz na wozie, raz pod wozem, to żyje znośnie.

Niestety żadna z nas nie nadaje się. Józek Kurkiewicz zaczepił się w Krzczonowicach, Wysoczanka w Ćmielowie, a reszta Pęcińska, Krawczykówny, Pękalski tak, jak ja, tkwią niepotrzebni nikomu, bez możliwości odejścia.

Ciocia Stasia jest we Lwowie, nie pracuje już."

Tylko antybiotyki mogły uratować Franciszka, ale tych w tym czasie nie otrzymywali nawet żołnierze na frontach wojny. Tam stosowano wówczas sulfonamidy. Penicylina dla walczących aliantów pojawiła się w r. 1944, a w naszych szpitalach dopiero w 1950.

Wspomnianą Stanisławę, zakonnicę udało się ewakuować ze wschodu, ale z rąk ukraińskich nacjonalistów poniósł śmierć Karol Milewski

Rozdział IV

Tadeusz Penkalski - ojciec

1/ Czasy szkolne w ĆMIELOWIE

Urodzony 28 czerwca 1906 Tadeusz był czwartym z siedmiorga dzieci Franciszka i Marianny. Jego starszy brat Kazimierz miał wtedy pięć lat, ale zmarł 15 sierpnia w roku urodzenia Tadeusza. Towarzyszką dzieciennych zabaw mogła więc być tylko siostra Aniela starsza o trzy lata.

Rok to był szczególny w dziejach Ćmielowa, gdyż w styczniu upadła Republika Ostrowiecka, która została proklamowana 27 grudnia 1905 na fali strajków, wieców i manifestacji ulicznych, podczas rewolucji w Królestwie Polskim. U jej steru stanął Ignacy Boerner – bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego. Strajki, które objęły Ostrowiec, Łżę, Ćmielów i okolice, miały początkowo charakter płacowy, potem – antyrosyjski. Wezwano do likwidacji carskiej administracji, organizowania milicji ludowej, tworzenia samorządu rewolucyjnego oraz konfiskaty broni. Republika upadła w połowie stycznia 1906 po wkroczeniu do Ostrowca rosyjskich pułków piechoty z artylerią. W pierwszym miesiącu ekspedycji karnej aresztowano przeszło 50 osób. Wśród nich znaleźli się Adam Mrozowski oraz lekarz fabryczny I. Dąbrowski. Wojska rosyjskie dokonały licznych grabieży. Sztab ekspedycji zajął budynki fabryczne w Klimkiewiczowie. Zagrożono ostrzałem artyleryjskim miasta w przypadku jakiegokolwiek aktu oporu. Trudna sytuacja ekonomiczna i represje spowodowały zahamowanie ruchu wyzwolenczego. Dalsza działalność rewolucyjna prowadzona była w głębokiej konspiracji.

Tak więc rodził się Tadeusz w roku rewolucji przeciwko zaborcy rosyjskiemu, kiedy to protestowano także przeciwko rusyfikacji szkolnictwa. Przyniosło to pewną odwilż w tym zakresie. Zaborcy zezwolili na naukę religii w języku polskim, a także samego języka ojczystego.

Tak też działało się w tej szkole ćmielowskiej, której zdjęcie klasowe z roku 1908 zachowało się w zbiorach dr. Orłowskiego. Nauczyciel widoczny na zdjęciu to Władysław Szymański pracujący aż do lat 30. tych w rejonie Ćmielowa. Ksiądz to Józef Wieczorek, nauczyciel religii w latach 1907-09. Drugi od lewej w rzędzie

siedzących chłopców to Franciszek Orłowski, późniejszy nauczyciel w tej samej szkole.



30. Zdjęcie klasowe z r. 1908 - Ćmielów

W takiej szkole elementarnej w jednej sali jednocześnie uczyły się 4 oddziały- wstępny, pierwszy, drugi i trzeci. Z poszczególnego domu mogło do szkoły uczęszczać tylko jedno dziecko przeważnie ośmioletnie lub dziewięcioletnie. Pozostałe dzieci mogły uczyć się tylko prywatnie.

W okresie jednego roku 1909-1910 uzyskując pożyczkę od władz oświatowych i pomoc ludności miasteczka w postaci czynów społecznych wybudowano nowy budynek dla szkoły. Wówczas władze zatwierdziły szkołę już, jako dwuklasową po cztery oddziały, w której pracowało kilku nauczycieli z ministerialnym programem nauczania według instrukcji z 1875 roku. Była to pierwsza wzorcowa szkoła w guberni radomskiej, która zaczęła pracować według tego systemu nauczania. Do wybudowania nowego budynku w 1910 roku w szkole uczyło się 150 uczniów, a po wybudowaniu nowej szkoły w 1911 roku było

około 300 uczniów. Uczono w języku rosyjskim, tylko religia i język polski były prowadzone w języku ojczystym. Do takiej szkoły zaczął uczęszczać mały Tadek w roku 1913, ale jego edukacja w systemie zaboru rosyjskiego trwała tylko dwa lata. Po wybuchu wojny nauczyciele już w latach 1915 – 1918 wprowadzili koncepcję struktury polskiego szkolnictwa, samorządu oświatowego i administracji szkolnej. Podstawą całego ustroju szkolnego miała być wysoko zorganizowana szkoła powszechna, siedmioletnia i siedmioklasowa, bezpłatna, rozbudowana według potrzeb terenowych. Postulat wysoko zorganizowanej szkoły powszechnej i cały projekt ustroju szkolnego był szeroko dyskutowany i w ostrej walce przyjęty przez Sejm Nauczycielski w 1919 roku oraz ujęty dekretem Naczelnika Państwa i zatwierdzony następnie przez Sejm Ustawodawczy 22 lipca 1919 r.



31. Zdjęcie klasy Tadeusza z r. 1914

Widzimy na tym zdjęciu klasowym małego Tadka w początkach edukacji w r. 1914 (zaznaczony zieloną kropką), w środku siedzi nauczyciel W. Szymański. Takie były początki lat szkolnych ojca, ale już wtedy marzył, aby zostać inżynierem, co wymagało studiów politechnicznych. W latach późniejszych szczególnie interesowała go elektrotechnika oraz radiotechnika, a także fotografia. Z domu ojca wyniósł zamiłowanie do książek, które potem kupował przy każdej okazji. Franciszek Pękalski skończył tylko cztery klasy szkoły elementarnej, ale przez całe życie doksztalał się, jako samouk, a także na kursach organizowanych przez fabrykę porcelany. Korzystał też z zakładowej biblioteki dla pracowników.

Okres odwilży nie trwał jednak długo. W 1907 r., po przewyciężeniu wewnętrznego kryzysu nastąpił okres tzw. „reakcji stołypinowskiej”, co dla szkolnictwa Przywiślańskiego Kraju oznaczało powrót do politycznego status quo sprzed 1905 r. W praktyce wprowadzono ograniczenie swobody zrzeszania się, co doprowadziło do likwidacji instytucji oświatowych oraz im podobnych. Zamykano pod różnymi pretekstami szkoły, represjonowano młodzież oraz kontynuowano politykę zwalczania przejawów polskości. Taka sytuacja miała miejsce do momentu wybuchu I wojny światowej i zajęcia ziem b. Kongresówki przez wojska państw Centralnych w 1915 r.

Widzimy zatem, że szkolnictwo pod zaborem rosyjskim miało na celu głównie rusyfikację młodzieży i przygotowanie chłopców służby wojskowej, która w tym czasie trwała pięć lat.



32. Klasa Tadeusza w r. 1916

Na kolejnym zdjęciu z roku 1916 obok Tadka występuje jeszcze trzech innych Pękalskich oznaczonych cyframi tj.: nr 1-Tadeusz, nr 2-Stefan, nr 3-Kazimierz i nr 4-Franciszek. Jak widać klan Pękalskich trzymał się razem, wszyscy byli w jakimś stopniu spowinowaceni. Identyfikacji dokonał w maju 2006 r. nestor rodu Jan Pękalski, który był także posiadaczem kopii tej samej fotografii. Luki w aktach parafialnych Ćmielowa utrudniły bezsporne zidentyfikowanie tych uczniów.



33. Zdjęcie szkolne z r. 1919

To już końcowa faza nauki Tadeusza, choć jego na tej fotografii nie ma. Nauczycielem był Franciszek Orłowski z rodziny z nami spowinowaconej. Jak wiemy obie siostry Tadeusza i on sam zdecydowali się ostatecznie na seminarium nauczycielskie. Ważne były koszty, gdyż ich ojca nie było stać na zapewnienie edukacji poprzez szkołę średnią i studia wyższe z uwagi na konieczność opłacania czesnego. Seminarium takie funkcjonowały na terenie Królestwa Polskiego, w sumie było ich dziewięć. W latach odwilży tj. 1906-1907 powstały polskie seminarium nauczycielskie w Warszawie i Ursynowie. Były to placówki prywatne, a ich absolwenci by otrzymać świadectwo nauczycielskie musieli zdać egzamin przed komisją.

Po roku 1915 wszystko się zmieniło, rosyjskie seminarium ewakuowały się do Rosji wraz z kadrą nauczycieli, a na ich bazie powstały polskie placówki. Powstały też szkoły podstawowe siedmioletnie i Tadeusz taką szkołę ukończył w Ćmielowie w roku 1920.

Tadeusz podjął naukę w seminarium w Ostrowcu Świętokrzyskim, które trzy lata wcześniej ukończyła jego siostra Aniela, a pójdzie w jego ślady Zofia Honorata.



34. Zofia H. Pękalska w VII klasie - r. 1926

Tutaj widzimy ją w górnym rzędzie druga od lewej (oznaczona krzyżykiem), kiedy jeszcze była w VII, ostatniej klasie szkoły podstawowej w 1926 roku. W drugim rzędzie pierwsza z lewej Jadwiga Drabówna, obok niej nauczycielka Maria Lewicka (później z męża Wasik), dalej kierownik szkoły Michał Janaszek. Za księdzem siedzi siostra Marii Zofia Lewicka i w białej sukni Bogumiła Masłowska.

Wcześniej miał miejsce młodzińczy bunt Tadeusza, który nie informując nikogo wyjechał do Gdańska, aby spełnić swoje marzenia o morzu. W swoim życiorysie napisanym 7 marca 1945 roku podaje datę 7 sierpnia 1920, kiedy to wstąpił do marynarki handlowej. Mógł być w tym wieku tylko chłopcem okrętowym, czyli jungą. Jak podaje pracował na statkach duńskich i polskich, ale tych nie było zbyt wiele. Polska flota handlowa dopiero się rodziła. W tym czasie istniało tylko Towarzystwo Żeglugowe "Sarmacja", które eksploatowało niewielki, drewniany statek KRAKÓW. Statek ten zatonął 7 lutego 1922 zgnieciony przez lody w Kattegacie. Załoga (14 osób) uratowała się maszerując po lodzie do Danii.

Tadeusz zakończył swoje pływanie 1 października 1921 roku już, jako marynarz i powrócił do Ćmielowa, aby dalej się uczyć.

2/ Seminarium nauczycielskie i praca w szkole

Kształcenie nauczycieli oparte było o pięcioletni cykl nauczania, a kandydaci do seminariów nauczycielskich musieli wykazać się wykształceniem sześcioklasowym, uzdolnieniami muzycznymi i dyspozycjami psychicznymi. Egzamin wstępny był kilkudniowy i obejmował pracę pisemną z języka polskiego i arytmetyki, uzdolnienia muzyczne oraz psychologiczne obserwacje zachowania kandydatów. Dla młodzieży po czterech klasach (a taki poziom wykształcenia przeważał) tworzono w pierwszych latach tzw. *preparandy* – dwuletnie oddziały z programem uzupełniającym wykształcenie na poziomie podstawowym. W roku szkolnym 1922/1923 z *preparand* zrezygnowano. Pięcioletni program nauczania przewidywał nauczanie przedmiotów tzw. ogólnokształcących w pełnym zakresie szkoły średniej oraz przedmiotów pedagogicznych (pedagogiki ogólnej, dydaktyki poszczególnych przedmiotów z programu szkoły powszechnej, psychologii i historii wychowania). W klasach czwartej i piątej także rozbudowaną naukę tzw. zajęć praktycznych, rysunku, śpiewu, ogrodnictwa, gospodarstwa domowego. Począwszy od trzeciego roku nauki uczniowie seminariów nauczycielskich odbywali **praktyki zawodowe**. Młodszy, z kursu trzeciego, czyli klasy trzeciej pełnili pomocnicze dyżury w czasie przerw międzylekcyjnych, uczniowie kursu czwartego przygotowywali i przeprowadzali samodzielne lekcje, kursu piątego – dwutygodniowe praktyki w wybranych szkołach pod okiem wykwalifikowanych nauczycieli danej szkoły. Nauczyciele seminariów nauczycielskich mieli obowiązek kontrolowania przebiegu praktyk i wystawiania ocen, które były brane pod uwagę w ocenach końcowych.

Tadeusz podaje, że wstąpił od razu na drugi kurs seminarium, pewnie dlatego, że miał ukończone 7 klas szkoły podstawowej, ale egzamin wstępny musiał zdawać. Nauka przebiegała początkowo bez żadnych problemów, ale niespodziewanie Tadeusz zakochał się w koleżance szkolnej i chciał się żenić. Działo się to latem 1923, a więc zakochany młodzieniec miał ledwo 17 lat. Nie było na to zgody ojca Franciszka, który po radę udał się do księdza doktora Stanisława Sendysa (1892-1972). Pochodził on z Ćmielowa, gdzie jego rodzina mieszkała od XVIII wieku. Ten wykształcony w Rzymie duchowny pełnił wysokie funkcje kościelne, był m.in. rektorem kościoła na Św. Krzyżu. Wcześniej był kapelanem w armii gen. Hallera, o którym pisano: "*niezwykłe odważny kapłan, ceniony spowiednik i kaznodzieja*". W latach 1920-1924 był on proboszczem w Wągrowcu i miał pod opieką duszpasterską Państwowe Seminarium Nauczycielskie. Za jego radę postanowiono, że Tadeusz będzie kontynuował naukę w Wągrowcu i tak się też stało.

Założone w roku 1903 Królewskie Ewangelickie Seminarium kształciło młodzież niemiecką. Od 1920 r. było to polskie seminarium, a jego pierwszym dyrektorem został Artur Kopacz. To on remontował uszkodzony w czasie wojny budynek seminarium i przygotowywał rozpoczęcie nauki.

Rocznik Tadeusza był pierwszym w odrodzonej Polsce, który opuścił mury tej uczelni.



35. Absolwenci seminarium w Wągrowcu - rok 1925

Działo się to 12 czerwca 1925 roku, kiedy ojciec uzyskał świadectwo dojrzałości i opuścił Wągrowiec na zawsze. Na tym zdjęciu stoi w górnym rzędzie czwarty od prawej. W środku siedzi dyrektor Józef Bajerlein (1896-1976).

Młodzieńcza miłość dawno wywietrzała mu z głowy, ale jej ślady pozostały. Tadeusz postanowił, że na zawsze pozostanie w stanie kawalerskim.

Pierwsza szkoła, pierwsza praca oraz samodzielne życie w przydzielonym mieszkaniu służbowym. 1 sierpnia pierwsza nominacja na najniższy stopień nauczycielski, czyli tymczasowy nauczyciel publicznej szkoły powszechnej w Pępowie, wiosce położonej 16 km od Gostynia.

Pierwsze wzmianki dotyczące Pępowa pochodzą z XII w. Zapis z 1136 mówi o tym, że wieś należała do majątku biskupa gnieźnieńskiego. W 1257 r. utworzona została we wsi odrębna parafia. Wtedy to prawdopodobnie zbudowana została pierwsza świątynia pod wezwaniem św. Andrzeja. W 1383 r.

część ziem została odsprzedana staroście wielkopolskiemu. W 1444 jako właściciela części Pępowa wymienia się Peregryna Pampowskiego. Po śmierci ostatniego z rodu Pampowskich w 1571 właścicielem wsi został Melchior Konarzewski wraz z żoną Anną Siedlecką herbu Odrowąż. W posiadaniu Konarzewskich Pępowo pozostawało do XVIII w., kiedy to Weronika Konarzevska wychodząc za mąż za Macieja Mycielskiego wniosła mu w posagu dobra pępowskie.

W okresie Wielkiego Księstwa Poznańskiego (1815-1848) miejscowość wzmiankowana, jako Pampowo należała do wsi większych w ówczesnym pruskim powiecie Kröben (krobskim) w rejencji poznańskiej. Pampowo należało do okręgu krobskiego tego powiatu i stanowiło część majątku Chociszewice, którego właścicielem był wówczas (1846) Teodor Mycielski. Według spisu urzędowego z 1837 roku wieś liczyła 164 mieszkańców, którzy zamieszkiwali 20 dymów (domostw). W 1876 r. jego prawnuk Ignacy Mycielski sprzedał majątek przemysłowcowi Adolfowi Hansemanowi (ojcu Ferdinanda von Hansemanna, współtwórcy Hakaty), potem pozostał on w rękach rodziny Oertzernów do końca II wojny światowej.

Młody nauczyciel został dość życzliwie przyjęty przez grono nauczycielskie szkoły w Pępowie, ale traktowano go z rezerwą, gdyż był obcy. Nie znał gwary poznańskiej, mówił z innym akcentem i nie przyjaźnił się z nikim. Co najdziwniejsze nie starał się o względy swoich koleżanek po fachu, choć patrząc na poniższe zdjęcie może i miał rację. Nie wszystkie osoby na zdjęciu to kadra pedagogiczna, występuje tam mąż jednej z nauczycielek, który w szkole nie pracował.

Tadeusz zarabiając 130 zł miesięcznie wolał poświęcić się pracy i podnoszeniu kwalifikacji, a nie szukaniu rozrywek towarzyskich. Krąg ten ograniczał się do księdza proboszcza, wójta i kierownika szkoły.



36. Tadeusz i grono pedagogiczne szkoły w Pępowie - rok 1927

Kadra pedagogiczna Pępowa składała się z osób w kwiecie wieku, a Tadeusz miał zaledwie 21 lat w chwili wykonania tego zdjęcia. W okresie wakacji był często powoływany na ćwiczenia wojskowe, dlatego widzimy go tutaj w kurtce mundurowej. W tym wieku widać wyraźne podobieństwo do mnie w tym samym wieku.

Pedagodzy miejscowi byli kształceni w systemie pruskim, stosowali surowe kary wobec uczniów, czemu młody Tadeusz stanowczo się sprzeciwiał. Czując się osamotniony nawiązał kontakty z absolwentami seminarium w Ostrowcu Św., których spora grupa trafiła do Wielkopolski. Znał ich przecież, razem studiowali przez pierwsze dwa lata, a co najważniejsze byli jego rodakami z dawnej guberni radomskiej. Kiedyś razem robili długie wyprawy w Góry Świętokrzyskie biwakując w leśnych ostępach i łowiąc ryby. To z tego grona wyszła inicjatywa założenia na terenie powiatu Związku Nauczycielstwa Polskiego oraz zwalczanie przy jego pomocy pruskich nawyków kształcenia młodzieży.

Jak wszyscy absolwenci seminarium nauczycielskiego Tadeusz został automatycznie przeniesiony do rezerwy bez odbycia zasadniczej służby wojskowej. Służba w rezerwie polegała na obowiązku odbycia przeszkolenia wojskowego (dla rezerwistów do 38 roku życia, którzy nie odbyli służby zasadniczej) i ćwiczeń wojskowych. Przeszkolenie trwało do 5 miesięcy. W praktyce Tadeusz niemal w każde wakacje spędzał na ćwiczeniach w kompanii saperów minerskich. Było to szkolenie w 69 pułku piechoty, który

wywodził się z 11 pułku strzelców wielkopolskich, a nową numerację zyskał po włączeniu Armii Wielkopolskiej w struktury Wojska Polskiego. W czasie wojny pułk ten walczył w składzie 14. dywizji piechoty, ale Tadeusz jako ochotnik został wcielony do zmotoryzowanego, rezerwowego plutonu saperów w składzie 55. pułku piechoty w tej samej 14. dywizji.

Niełatwa to była służba, o której dowiemy się więcej, kiedy opiszę udział Tadeusza w wojnie obronnej w 1939 roku. Potrzebni byli rezerwiści rośli, silni fizycznie oraz posiadający dodatkowe specjalizacje i zawody. Liczący 1,80 cm wzrostu Tadeusz był zdrowy i zahartowany w górskich wędrówkach w każdych warunkach atmosferycznych. Posiadał też prawo jazdy, początkowo na motocykle, ale z czasem uzyskał pozwolenie na wszystkie pojazdy. Zamiłowanie do elektrotechniki skierowało go do wąskiej specjalizacji wojskowej, czyli do saperów minerskich, gdzie jak wiemy występują różnego rodzaju zapalniki elektryczne i chemiczne.



37. Tadeusz w mundurze saperów - r. 1933

Ćwiczenia polegały na budowie przepraw wodnych oraz zakładaniu i rozbijaniu pól minowych. Sporo godzin poświęcano też na teorię ogólną wojskową i specjalistyczną.

Z ewidencji wojskowej wynika, że Tadeusz odbył sześciotygodniowe szkolenia w 69. pułku piechoty latem 1927, 1929 oraz 1931 roku.

Jak z powyższego wynika pierwsze prawdziwe wakacje miał w roku 1928 i wtedy mógł w końcu pojechać do Ćmielowa odwiedzić rodzinę oraz pochodzić po Górach Świętokrzyskich. Oglądały się panny z Ćmielowa za przystojnym Tadkiem, który w dodatku miał państwową posadę nauczyciela, czyli pewne i stałe źródło zarobku. On jednak wierny był swemu przyrzeczeniu z młodości i nie planował żadnego związku dłuższego niż jedna noc na sianie z dziewczyną poznaną na tańcach w remizie. W roku 1930 Tadeusz nie mógł sobie pozwolić na wakacje, gdyż sporo czasu zajmowało mu przygotowanie do trudnego egzaminu niezbędnego do uzyskania tytułu nauczyciela stałego publicznej szkoły powszechnej, co wiązało się z podwyżką wynagrodzenia.

Nauczyciele w tym czasie byli dobrze opłacani, ale dotyczyło to tych o najwyższych kwalifikacjach nauczających w szkołach średnich.

Od roku 1923 nauczyciel gimnazjum, pełne kwalifikacje, 25-letni staż pracy, otrzymywał pensję na poziomie starszego inspektora policji, pułkownika lub zastępcy wojewody. Nauczyciele byli wydzieleni w odrębną zbiorowość urzędników państwowych w grupach od IV (566 etatów po 1000 zł) do XI grupy (12452 etaty po 130 zł). Nie były to niskie pensje. W tym czasie: średnia zapłata dla służących (ok. 700 tys. osób) wynosiła 20 zł za miesiąc, a robotnik mógł liczyć na dniówkę 2 zł. Nauczyciel stały łądował w grupie X i IX tabeli wynagrodzeń, czyli zbliżał się do 200 zł miesięcznie. W 1935 r. średni zarobek nauczyciela szkoły powszechnej wynosił 250 zł, ale Tadeusz będąc już kierownikiem szkoły zarabiał sporo ponad 300 zł.

1 lutego 1931 po zdaniu egzaminów Tadeusz został mianowany stałym nauczycielem, co było normalne, gdyż obowiązywał 5. letni staż pracy na stanowisku tymczasowego nauczyciela.

Nasz ojciec dobrze wspominał lata spędzone w Pępowie, gdzie nabierał szlifów, jako wychowawca dzieci, a jednocześnie przechodził dość intensywne szkolenie wojskowe, które przyda mu się w czasie walk z agresją niemiecką w 1939 roku. Opuścił Pępowo w listopadzie 1931 z nominacją na kierownika szkoły w Sikorzynie. Kronika tamtejszej szkoły całkowicie pominęła 6. letni okres kierowania szkołą przez Tadeusza, a po mojej interwencji wprowadzono absurdalną poprawkę, jakoby Tadeusz został mianowany kierownikiem z dniem 1 września 1939 r.



38. Tadeusz z uczniami szkoły w Pępowie - rok 1930

Pierwsze wzmianki o tej wsi pochodzą z 1420 r. Była częścią krobskiego klucza dóbr biskupów poznańskich. W 1794 r. po konfiskacie dokonanej przez władze pruskie wieś weszła w skład dóbr rządowych i została oddana w dzierżawę. W okresie Wielkiego Księstwa Poznańskiego (1815-1848) miejscowość należała do wsi większych w ówczesnym pruskim powiecie Kröben (krobskim) w rejencji poznańskiej. Sikorzyn należał do okręgu ekonomii Krobia tego powiatu i stanowił część majątku Chumiętki, którego właścicielem był wówczas rząd pruski w Berlinie. Według spisu urzędowego z 1837 roku wieś liczyła 143 mieszkańców, którzy zamieszkiwali 22 dymy (domostwa).

W 2. połowie XIX wieku dobra została wykupione przez Komisję Kolonizacyjną i sprzedane Niemcom.

Podobna wieś, jak Pępowo, ale położona znacznie bliżej Gostynia, też z murowaną szkołą z czasów pruskich.

Z historii tamtejszej szkoły wynika, że Prusacy wybudowali pierwszy budynek szkolny w r. 1833, a nauczycielem był Józef Buchwald. W r. 1878 budynek szkoły został powiększony o sień kuchenną, stodołę, ubikacje i sklep w ogrodzie (?). Rok 1889 to budowa budynku nr 2, nauczycielem był Gustaw Wolf, a po nim Alojzy Petzelt. Jak wiadomo władze pruskie prowadziły usilną akcję

germanizacji w swoim zaborze. Germanizacja w ogólnych aspektach przypominała akcję rusyfikacyjną, prowadzoną przez władze carskie. Jej naczelnym założeniem było zmarginalizowanie roli języka polskiego w życiu publicznym. Stąd też rząd pruski wprowadził serię ustaw ograniczających używanie języka polskiego w miejscach publicznych i urzędach. Również w szkołach niepodzielnie dominował język niemiecki, a urzędnicy państwowi używający polskiego na co dzień byli szykanowani. Niesławą okryła się „ustawa kagańcowa” z **1908** roku, zakazująca używania języka polskiego na zgromadzeniach.

Po odzyskaniu niepodległości w szkole rozpoczęła się nauka języka polskiego, którego uczyła Hanna Wezówna z rodziny Modlibowskich z Czachorowa. W 2013 r. szkoła otrzymała patronkę w postaci Wandy Modlibowskiej, znanej pilotki i bohaterki wojennej. Po r. 1926 kierownikiem szkoły był Feliks Kirstein, a po nim Czesław Kaczmarek z Łęki Wielkiej. Tadeusz zamieszkał w mieszkaniu służbowym i rozpoczął pracę, która miała trwać do napaści Niemiec na Polskę w r. 1939.



39. Tadeusz w swoim mieszkaniu w Sikorzynie - r. 1936

To były dobre lata. Wysokie zarobki bez obciążenia rodziną pozwalały młodemu nauczycielowi na rozwijanie swoich zainteresowań. Na pierwszym miejscu była fotografia, nabył więc Tadeusz pod koniec 1937 r. kosztowny aparat Rolleiflex z dodatkowym wyposażeniem, jak filtry, nakładki makro itp. W mieszkaniu urządził sobie ciemnię, gdzie sam wywoływał negatywy i robił odbitki.



40. Autoportret w lesie - r. 1934

Jego fotografie były coraz doskonalsze, widoczne były wpływy Jana Bułhaka (1876-1950), wybitnego polskiego fotografika piktorialisty. Był on kierownikiem Zakładu Fotografii Artystycznej na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. W r. 1932 Tadeusz zapisał się na subskrypcję programowego dzieła Bułhaka FOTOGRAFIKA. Obszerny wywód programowy Jan Bułhak ilustruje wyłącznie własnymi fotografiami, ukazując zarazem szerokie spektrum swoich możliwości. Z jednej strony są tutaj najbardziej znane kadry krajoznawcze z Wileńszczyzny, jak również detale flory i fauny czy mniej oczywiste portrety. Bułhak ujawnia tu także kulisy swego warsztatu, dydaktycznie prezentuje przykłady nieudanych kadrów lub niewłaściwej ich obróbki. Na oczach czytelnika wyznacza granicę między fotografią, a nie-artystycznymi wcieleniami fotografii. Dzieło to kosztowało niebagatelną w tym czasie kwotę 38,00 zł i było wydane w 1250 egzemplarzach numerowanych.

Dzisiaj jest to biały kruk, trudny do kupienia w antykwariatach za cenę przekraczającą tysiąc złotych. Ja sam się z tej książki wiele nauczyłem. Tadeusz szybko się zmotoryzował kupując motocykl DKW, którym w 10 minut mógł dojechać do Gostynia na spotkania z coraz szerszym gronem znajomych.



41. Z Olą Gościniak przy motorze - r. 1936

W tym okresie zaprzyjaźnił się z rodziną Gościniaków z Gostynia i flirtował z dwiema córkami tej rodziny. Antoni Gościniak pracował na poczcie i kiedy wybuchła wojna został 21.10. 39 r. rozstrzelany przez Niemców na gostyńskim rynku razem z 29. polskimi patriotami. Nie udało mi się ustalić czy Gościniak był powstańcem wielkopolskim, a jego niska ranga pocztowca nie uzasadniała takich represji. Wystarczyło jednak, że miejscowi Niemcy uznali, że jego postawa była antyniemiecka, by znaleźć się na listach wrogów Hitlera. W szkole pracowała też Stanisława Juskowiak (1887-1978), która wykonywała prace w zakresie utrzymania czystości, zimą paliła w piecach, ale także gotowała posiłki dla kierownika szkoły, który był kawalerem. Urodziła się w pobliskim Czachorowie i chodziła do szkoły w Sikorzynie będąc dzieckiem. Była to naturalnie szkoła pruska i dzieci zaczynały naukę od poznania wszystkich członków rodziny cesarskiej. Musieli znać ich daty urodzin, imiona oraz tytuły,

jakie posiadali. Musiało to być wykute na pamięć i Stanisława pamiętała te imiona do starości. Za pomyłki bito dzieci różgami lub kazano im stać bez ruchu przez długie godziny. Pruski kodeks karny zniósł kary cielesne w r. 1872, ale przez długi czas były one w szkołach stosowane. Obrazują to wydarzenia we Wrześni. Karę chłosty wobec dzieci zastosowano 2, 13 i 20 maja 1901 r., kiedy to bito uczniów w obecności inspektora szkolnego Wintera. Wymierzaniem kary 14. dzieciom za odmowę odpowiadania w języku niemieckim na lekcji religii zajął się nauczyciel Schölzchen. Płacz uczniów usłyszeli przechodnie, szybko pod szkołą zgromadziło się ok. 1000 osób. Złorzeczyli nauczycielom, żądali zaprzestania bicia i prześladowania ich dzieci. Wydarzenia te przeszły do historii, jako strajk dzieci wrzesińskich w obronie języka polskiego.

W zaborze pruskim przemoc nauczyciela nad uczniami Polakami była jednym z elementów programu germanizacji. Pruscy pedagodzy wychodzili z założenia, że uczniowie są przedmiotem tresury, zatem chłostali i bili po twarzy przy każdym zająknięciu.

Oprócz kierowania szkołą Tadeusz w wolnych dniach wyruszał na wędrowki po okolicznych lasach z aparatem fotograficznym w ręku, którym dokumentował przyrodę, ale także takie rozrywki, jak np. kąpiel w rzece.



42. Lato 1939 - okolice Gostynia

Nieuchronnie nadchodził czas wojny i niewyobrażalnych okrucieństw germańskiego potwora. Sielskie życie na wsi kończyło się bezpowrotnie. Już nigdy nie powróci tam Tadeusz, nie będzie też nauczycielem. Do nauczania wciąż go ciągnęło w okresie powojennym, doksztalał się, miał nadzieję, że znowu stanie przy tablicy i będzie uczył młodzież. Te marzenia nigdy się jednak nie spełniły. Interesował się żywo podległym mu szkolnictwem, jego wyposażeniem i szkoleniem nauczycieli. Na tym zdjęciu z roku 1945, jako burmistrz Gostynia wśród uczestników pierwszego powiatowego kursu szkoleniowego dla pedagogów (siedzi w środku).



(fot. za zgodą <http://gaso-gostyn.pl/>)

Większość z tych nauczycieli Tadeusz znał osobiście z okresu swojej pracy w szkołach w Pępowie i Sikorzynie.

3/ Walka w kampanii wrześniowej - okupacja

Jako kierownik wiejskiej szkoły podstawowej w Sikorzynie k. Gostynia Wielkopolskiego Tadeusz Penkalski zajmował się w tych dniach prozaicznymi obowiązkami nauczyciela. Ostatnie naprawy i odnawianie klas, przygotowanie planu lekcji i inna papierkowa praca. Jego macierzysty 69. pułk piechoty stacjonował w Gnieźnie i od marca 1939 roku wszedł w skład Armii "Poznań" dowodzonej przez gen. dywizji Tadeusza Kutrzebę. Z uwagi na wiek Tadeusz nie brał już od roku 1936, kiedy to przekroczył 30. rok życia, udziału w szkoleniach rezerwy i nie był ujęty w planie mobilizacji alarmowej 69. pułku. Została ona przeprowadzona od 24 sierpnia godzina 4.00, a po jej zakończeniu pułk liczył 3,6 tysiąca żołnierzy i oficerów.

Mobilizacja formacji tyłowych trwała już po rozpoczęciu działań, ale Tadeusz w jej ramach otrzymał przydział do 57. pułku piechoty w składzie tej samej 14. poznańskiej dywizji piechoty. Biorąc pod uwagę miejsce zamieszkania taki przydział mobilizacyjny był logiczny, gdyż łatwiej było dotrzeć w czasie wojny do Poznania, aniżeli do Gniezna. Nie bez znaczenia był także fakt, że Tadeusz wstąpił ochotniczo do wojska. Nic by to jednak nie dało, rezerwistów w wieku 33 lat nasze wojsko nie potrzebowało, brakowało dla nich mundurów i broni. Ale rezerwista z rzadką specjalnością sapera minerskiego oraz szofera pojazdów wojskowych został przyjęty z otwartymi ramionami. W ramach mobilizacji wojsko zabierało prywatne wozy osobowe i ciężarowe, potrzebni byli więc kierowcy.

57 pułk piechoty im. Karola II Króla Rumunii przybył do obozu ćwiczebnego w Biedrusku 22 sierpnia wraz z 58. pułkiem. Wieczorem 23 sierpnia zostały one zaalarmowane i przeszły marszem nocnym do Poznania. Na miejscu 57. pułk piechoty otrzymał rozkaz mobilizacji kartkowej, zwanej też kolorową, od koloru kart mobilizacyjnych. Cała operacja przebiegła bardzo sprawnie-pierwsi rezerwiści przybyli już po 15 minutach, a pozostali po upływie 30-49 min. od zawiadomienia. Oznacza to, że pierwszy rzut mobilizowano w całości spośród mieszkańców Poznania i najbliższych okolic. Po południu 24 sierpnia stan pułku sprawdził dowódca 14. dywizji gen. Franciszek Wład. Nadliczbowych oficerów, podoficerów i szeregowych przydzielono do ośrodka zapasowego 57. pułku, którym dowodził major Adam Solski, dotychczasowy kwatermistrz pułku.

Tak więc jednostka z którą ojciec mój przeszedł szlak bojowy we wrześniu 1939 roku wieczorem 24 sierpnia osiągnęła pełny skład bojowy ludzi i sprzętu. 57.

pułkiem samodzielnie dowodził ppłk. dypl. Tomasz Rybotycki, a jego decyzje w formie rozkazów przekazywał do wykonania sztab pułku. Sztab pułku - składał się ze sztabu taktycznego i kwatermistrzostwa pułku. Pracami sztabu taktycznego kierowali:

- pierwszy adiutant, który referował dowódcy pułku wszystkie wiadomości związane z położeniem jednostek nadrzędnych, podwładnych i sąsiadów (kpt. Marian Filipowicz, poległ 10 września),
- oraz oficer informacyjny, który gromadził i analizował wiadomości o nieprzyjacielu (por. Kasperek).

Po podjęciu decyzji przez dowódcę pułku na podstawie dostarczonych mu danych, do opracowania rozkazów wykonawczych powołano również drugiego adiutanta (kpt. Bolesław Stanisław Sobociński) i oficera łączności (kpt. Wilhelm Józef Sawicz). Wyznaczono także lekarza pułkowego (mjr. lek. dr Jerzy Konstanty Saciuk) oraz dowódcę pionierów pułkowych (ppor.rez. Zygmunt Konieczny) i oficera obrony przeciwgazowej (ppor. Zdzisław Wacław Pietrzyk) jako doradców technicznych. W skład sztabu taktycznego wchodził również oficer łącznikowy.

Tadeusz w swej specjalności byłby przydzielony do plutonu pionierów, który składał się z 3 drużyn i sekcji chemicznej. Na biedkach o zaprzęgu konnym lub zmobilizowanych samochodach ciężarowych znajdowała się amunicja saperska, miny przeciwpancerne, środki odkażające, ubrania ochronne i środki do wykrywania skażeń terenu. Pluton posiadał sprzęt saperski oraz materiał do budowy kładek na przeprawach wodnych o szerokości do 80 m i sprzęt do budowy promu, którego nośność pozwalała przeprowiać działa 75 mm. Pluton ten był przydzielany batalionom w razie potrzeby. Oczywiście w czasie wojny z tak silnym przeciwnikiem pluton taki był dalece niewystarczający. Istniała potrzeba rozbudowania go do stanu kompanii, ale brakowało specjalistycznego sprzętu. Tym niemniej podjęto mobilizację żołnierzy rezerwy o specjalnościach saperskich i kwalifikacjach kierowcy wozów ciężarowych, do której to grupy należał ojciec. Pamiętać też trzeba, że na szczeblu dywizji istniała jednostka saperska, która dowodził mjr. sap. Henryk Kosicki. Jak powiedział mi pan Zygmunt Odrowąż-Zawadzki pionierzy występowali do szczebla pułku, a saperzy od szczebla dywizji, nazwa specjalności wojskowej miała więc charakter czysto organizacyjny.

Tadeusz trafił do ośrodka zapasowego 14. dywizji, ale nie jako żołnierz zmobilizowany, ale-jak już wspomniałem- jako ochotnik. Podkreśla to w swoim życiorysie podając jednocześnie datę 3 września. Ośrodek Zapasowy składał się 55., 57., i 58. pułku, szkoły podoficerskiej dla małoletnich nr 2 ze Śremu, kompanii oficerskiej z nadwyżek oficerów rezerwy, taborów pułkowych oraz archiwum akt pułkowych. Dowódcą Ośrodka Zapasowego 14. dywizji był ppłk.

Józef Kokoszka. Brakowało uzbrojenia i umundurowania, był tylko jeden samochód ciężarowy (płatnika-kpt. Górny) i dwa prywatne samochody osobowe oficerów rezerwy. Do swej macierzystej jednostki trafił Tadeusz ostatecznie 4 lub 5 września, nie brał więc udziału w obronie Poznania i w działaniach rozpoznawczych na terenie Niemiec.

Pierwsze transporty z Ośrodka Zapasowego wyruszyły koleją w dniach 27 i 28 sierpnia do rejonu postoju i koncentracji na północ od Kutna. Stąd też, już w trakcie działań wojennych, wysyłano dalsze uzupełnienia, w tym ochotników. Przyjmowano jednak tylko ochotników o poszukiwanych specjalnościach wojskowych, co nie było bez znaczenia w przypadku mego ojca.

Zadaniem 14. dywizji była obrona Poznania w oparciu o dawne forty niemieckie wybudowane przez francuskich jeńców po wojnie w 1871 roku. 27 sierpnia oddziały 57. pułku zostały przesunięte w rejon swoich odcinków obronnych. Dowódcą obrony zachodniej części Poznania został płk. Mieczysław Łukoski, dowódca piechoty dywizyjnej. Jego stanowiskiem dowodzenia był fort Grollman, natomiast dowódca 57. pułku ze sztabem zajmował koszary pokojowe przy ul. Grunwaldzkiej, a od 1 września podziemia hotelu POLONIA położonego obok koszar.

Jak wiadomo Niemcy nie zaatakowali Poznania bezpośrednio 1 września. Ich zagony pancerne szły na północ i na południe od miasta.

Główne uderzenia Wehrmachtu w dniu rozpoczęcia wojny poszły na kierunki Bydgoszcz-Tuchola na północy i Wieluń-Częstochowa na południu. W rejonie operacyjnym 14. dywizji działały tylko oddziały Grenzschtzu wzmocnione często samochodami pancernymi, jednostki Landwehry i dywersanci. Toczyły się więc walki graniczne na niewielką stosunkowo skalę. Niemcy zajęli Rawicz i Zbąszyń, które zostały odbite m. in. przez oddziały 57. pułku.

Działania lotnictwa niemieckiego w Poznaniu zaczęły się o godzinie 9.00, kiedy to nad miasto nadleciał samolot rozpoznawczy. Pierwszy nalot nastąpił o godzinie 11.20. Dwie grupy samolotów nadleciały od zachodu nad Luboń i tam się rozdzieliły. Pierwsza grupa 9 samolotów zaatakowała dworzec kolejowy, a druga licząca 20 samolotów Heinkel-111 skierowała się na Ławicę. W rejonie dworca bomby trafiły w magazyny Hartwiga i Barcikowskiego, które płonęły do nocy. Straty wśród ludności cywilnej były duże. Artyleria przeciwlotnicza zestrzeliła jeden samolot, a samoloty z Ławicy (startowały wśród padających bomb) zestrzeliły dwa Me 109. Bomby trafiły na lotnisku w hangar i wartownię pełną żołnierzy. Zginęło 27 ludzi, ponad 30 było rannych. Naloty powtarzały się do godzin wieczornych, a ich wyniku zginęło 250 osób, w tym 45 żołnierzy, a kilkaset osób było rannych.

W niedalekim Lesznie miasta bronił 1 batalion mjr. Jana Dymowskiego z 55. pułku. 1 września w godz. od 5.15 do 6.10 Leszno zostało ostrzelane ogniem

artylerii niemieckiej. Około godziny 9.00 dywersanci niemieccy, zabarykadowani w domu na rogu ul. 17 stycznia i Bolesława Chrobrego, ostrzelali budynek Komendy Garnizonu. Aby nie narażać żołnierzy na niepotrzebne straty w szturmie na budynek, ostrzelano go ogniem artylerii. Po kilku strzałach hitlerowcy uciekli. Wtedy dopiero wdarli się do wnętrza żołnierze. Wzięto rannych dywersantów, a tylko nieliczni zdołali zbiec. W odwet za ostrzelanie Leszna przez artylerię grupa wypadowa z 1 batalionu (55 pp) pod dowództwem kpt. Edmunda Lesisza wykonała 2 września udany atak na nadgraniczną miejscowość niemiecką Dębowa Łąka (Geyersdorf). Polacy zmusili Niemców do odejścia z nad granicy i opanowali miejscowość. Niemcy cofali się nadal na Wschowę. Po zajęciu Dębowej Łąki artyleria polska ostrzelała koszary niemieckie we Wschowie, a następnie grupa wypadowa powróciła do Leszna. Wypad w kierunku Wschowy wykonał również wzmocniony cyklistami szwadron czołgów rozpoznawczych por. Chłopika z Wielkopolskiej Brygady Kawalerii gen. bryg. Romana Abrahama. Grupa wypadowa wyruszyła o godzinie 16.00. Do granicy piechotę podwieziono autobusami. Po walce z niemiecką strażą graniczną i patrolem motocyklistów o godzinie 18.00 zdobyto Dębową Łąkę skąd artyleria ostrzelała Wschowę (Fraustadt). Dalej ruszył 3. pluton ppor. Stefana Perkiewicza docierając na przedmieścia Wschowy. Miejscowa ludność w panice rzuciła się do ucieczki w kierunku na Głogów. Po zmroku oddział wypadowy na rozkaz gen. Abrahama wycofał się do Leszna. Był to jeden z nielicznych ataków piechoty Wojska Polskiego na terytorium wroga w kampanii wrześniowej.

3 września Tadeusz zdając sobie z tego, że rok szkolny z pewnością się nie rozpocznie, zgłosił się w komendzie uzupełnień w Lesznie jako ochotnik i został odesłany do Poznania. Mimo bombardowań komunikacja kolejowa działała prawie normalnie. W tym samym czasie 55. pułk wyszedł z Leszna do Zaniemyśla w celu przygotowania obrony rzeki Warty. Natomiast 57. pułk przebywał wraz z resztą 14. dywizji w rejonie Swarzędza stanowiąc odwód Armii "Poznań". Plan przewidywał przejście nocne do rejonu Czarniejewo-Września. Wiadomość o wypowiedzeniu wojny Niemcom przez Anglię i Francję pozytywnie wpłynęła na morale żołnierzy. Tadeusz zaczął wątpić, czy zdąży sobie powojować, skoro do akcji weszli tak potężni "sojusznicy" Polski. Od zmierzchu 57. pułk rozpoczął nocny marsz na osi Kostrzyń-Nekla-Czeluścin. Drogi były w wielu miejscach zablokowane przez uciekającą ludność, ale w nocy fala uchodźców malała znacznie.

Czwarty dzień września - na miejsce postoju dowództwa 14. dywizji wyznaczona została Września. W związku z tym gen. Wład wydał rozkaz dla 55. pułku, aby ten wycofał się z Zaniemyśla i dołączył do dywizji. W trakcie przemarszu pod Środą nastąpił atak niemieckiego lotnictwa w wyniku którego

1. kompania ckm straciła 5. zabitych, 13. rannych, 5 koni i taczankę.

Do swego pułku usiłuje też dołączyć Tadeusz, nie wiadomo dokładnie czy udało mu się to 4 czy 5 września. W każdym razie zgodnie z jego dokumentacją kombatancką właśnie w tym dniu rozpoczął swój szlak bojowy w kampanii wrześniowej.

Piąty dzień września - od rana 57. pułk piechoty znajdował się po marszu na postoju w lasach Powidz-Giewartów, na północ od miejscowości Niezgoda. Do dywizji dołączył już 55. pułk, a dowództwo ulokowało się w miejscowości Słupca. Był tam także sztab Wielkopolskiej Brygady Kawalerii. To tam spotkali się generałowie Wład i Abraham, a ten ostatni przedstawił dzieje głośnego już wypadu na Fraustadt (Wschowa) w drugim dniu wojny. Tu też nastąpił kontakt z dowództwem Armii "Poznań", które znajdowało się w dworze Mchówek niedaleko Izbicy Kujawskiej. Zgodnie z rozkazami gen. Kutrzeby 14. dywizja miała się kierować na wschód do Ślesina. Oddziały dywizji wyruszyły na kolejny nocny marsz drogami zakorkowanymi przez uchodźców. Ci sami ludzie będą potem wracać do swoich domów kiedy zrozumieją, że ta ucieczka była bez sensu. Nie wszyscy wrócą, wielu zginie pod bombami i ostrzałem wroga. Tadeusz jechał swoją ciężarówką załadowaną sprzętem saperskim, ale dla piechoty te nocne marsze były wyczerpujące.

Dzień szósty - o 7.00 57 pułk bez 3. batalionu znajdował się w rejonie Wiśniewa-Góry, natomiast 3. batalion wraz z 58. pułkiem stanął w miejscowości Skulsk. Dowództwo dywizji umieszczono w miejscowości Przeclaw. Dywizja znalazła się w pobliżu strefy obronnej na linii jezior od Ślesina, do jeziora Gopło. Tam też spodziewano się toczyć walki obronne, ale ku zaskoczeniu sztabu dywizja miała nocą wyruszyć dalej na wschód w rejon na północ od Kłodawy. Obronę linii jezior miała objąć Poznańska Brygada Obrony Narodowej płk. Siudy. Dalszy marsz był jednak trudny z uwagi na dwa tylko wąskie przejścia przeszkód wodnych istniejące w Ślesinie i Skulsku. Dlatego gen. Wład zdecydował się rozpocząć wcześniej marsz, aby nie przedłużać go zbyt długo. Silne stanowiska obronne na nic się nie przydały. W dodatku dywizja straciła batalion saperów pozostawiony do dyspozycji płk. Siudy. Bombowce niemieckie pojawiły się dość szybko nad obu przejściami, ale skuteczny ogień artylerii (14. Bateria Artylerii Przeciwlotniczej kpt. Stanisława Zaleskiego) oraz karabinów maszynowych (71. Kompania ckm Przeciwlotniczych por. Pawła Leńskiego) spowodował zestrzelenie dwóch Heinkli 111. Pozostałe samoloty zmuszone były atakować z dużej wysokości i bomby były niecelne. Drogi były wąskie, piaszczyste i w dodatku zatłoczone uchodźcami. Ciężki sprzęt i wozy taborowe sprawiały wiele kłopotów w trakcie tego przemarszu.

Dzień siódmy - 57 pułk wraz z 2. dywizjonem artylerii po nocnym przemarszu znalazł się w godz. 8.00-9.00 na noclegu w lesie na południe od Brdowa

(Nowiny Brdowskie). Tam też rozłożył się 14. dywizjon artylerii ciężkiej. Znany był już rozkaz operacyjny armii "Poznań" z poprzedniego dnia pisany w miejscowości Leszcze. Armia miała wycofywać się na Warszawę i Otwock licząc się z możliwością niemieckiego natarcia z kierunku Łodzi. W rozkazie tym nakazano niszczenie zakładów przemysłowych i lokomotyw, ale 14. dywizja nie posiadała batalionu saperów, który pozostał w Poznaniu i nie była w stanie tego rozkazu wykonać. Jest to istotne z uwagi na specjalność wojskową Tadeusza. Saperów brakowało i z tego powodu chętnie przyjmowano ochotników o tej specjalności. Armia "Łódź" została pokonana i znajdowała się w odwrocie. Tego dnia przed południem gen. Wład odwiedził wszystkie pułki, przekazał im rozkaz armii i polecił zostawić ludności ciężkie wozy taborowe w zamian z lżejsze wozy chłopskie. Nadmiar bagażu także miano pozostawić ludności cywilnej. Korekta rozkazu armii nadeszła po południu. 14. dywizja miała się udać w rejon na zachód od Krośniewic, a nie do Lubienia, jak pierwotnie przewidywano. Całość ugrupowania armii wskazywała na przygotowanie się do bitwy z hitlerowcami w rejonie Łęczycy. Armia "Poznań" miała uderzyć pierwsza, a następnie do walki miała wejść zbliżająca się armia "Pomorze" dowodzona przez generała Bortnowskiego.



Dzień ósmy - po kolejnym nocnym marszu 57. pułk dotarł do Krośniewic o godzinie 7.00. Pozostały tutaj 2. i 3. batalion. Obronę przeciwpancerną w kierunku na Łęczycę miał zorganizować 1. batalion i dlatego zatrzymał się w Bielicach. Dowództwo dywizji znajdowało się na folwarku Niwki, obok miejscowości Drzebice, na północny wschód od Kłodawy. Dotkliwy brak saperów dawał się we znaki 14. dywizji i dlatego wysłano do sztabu armii "Poznań" porucznika Dynowskiego z zadaniem odzyskania batalionu saperów, o którym nie wiadomo nawet gdzie się dokładnie znajduje. Dowództwo armii przeniósł się z miejscowości Leszcze na swoje poprzednie miejsce postoju w dworze Mchówek koło Izbicy Kujawskiej. Por. Dynowski niewiele wskórał, ale przywiózł nowe rozkazy. 14 dywizja otrzymała zadanie przejścia na południe od Kutna. Marsz, jak zwykle, zaczął się o zmierzchu. Dywizja weszła w skład grupy operacyjnej generała Knolla-Kownackiego. Miała uderzać na Piątek z rejonu na południe od Kutna. Na wschód od 14. dywizji działała Wielkopolska Brygada Kawalerii, a na zachód miała nacierać 17. dywizja. Ok. 19.00 słychać było ogień

artyleryjski z rejonu Łęczycy. Niespodziewanie nadeszła szyfrowana depesza z rozkazem natychmiastowego wycofania się. Okazało się, że Niemcy już 3 września zdobyli szyfry i prowadzili działania dezorientujące.

Dzień dziewiąty - przez Kutno 57. pułk przechodzi ok. 3.00 w nocy. Szczególnie zniszczony był rejon dworca kolejowego, w kilku miejscach dogasały pożary. Nie było widać śladów ich gaszenia przez straż pożarną czy też przez mieszkańców. O świcie pułki osiągnęły wyznaczone rejony. 57 pułk stanął w miejscowościach Wały, Rybie i Świniary, a dowództwo dywizji w dworze Nowa Wieś (Antoniewo). Mimo zmęczenia marszami żołnierze cieszyli się, że w końcu będą mogli bić się z wrogiem. Szybko rozeszła się wiadomość o natarciu przez Bzurę na Piątek. Ruszyły kompanie zwiadowcze i kawaleria dywizyjna celem rozpoznania pozycji nieprzyjaciela. Brakowało nadal 14. batalionu saperów, który przydałby się przy forsowaniu Bzury. Nie dołączył on jednak do dywizji mimo interwencji w dowództwie armii. Domyślano się, że saperzy pracują na linii jezior ślesińskich lub na przedmościu Koło.

Bzura miała w rejonie ataku szerokość 20-30 m, a głębokość 1,5 m. Natomiast dolina rzeki miała 4-7 km szerokości i występowały tam liczne bagna. Dlatego dla 14. dywizji przydzielono w końcu saperów z 1. kompanii 47. batalionu wraz z dwoma plutonami z 2. kompanii oraz 171 kolumnę pontonową. Tadeusz służył w pułkowym oddziale saperów (zwanym też pionierami, dowodzonym przez por. Koniecznego), ale siły te były zbyt szczupłe na potrzeby natarcia poprzez przeszkodę wodną. Dla wzmocnienia obrony przeciwlotniczej przepraw przez rzekę dywizja otrzymała dodatkowo 48. kompanię przeciwlotniczych ckm. Rozpoznanie wykazało, że wróg obsadził okopaną piechotą wszystkie suche dojścia nad rzekę, a kierunek na Piątek był szczególnie mocno broniony. Tam właśnie miał nacierać 57. pułk. Dowódcy plutonów pionierów z każdego pułku brali udział w rozpoznaniu i oceniali techniczne możliwości forsowania Bzury. Tadeusz, jako kierowca ciężarówki, miał za zadanie dostarczyć niezbędny sprzęt przeprawowy w wyznaczony rejon forsowania rzeki. Zaskoczenie nieprzyjaciela miało polegać na wieczornej porze natarcia i braku przygotowania artyleryjskiego. Grupa operacyjna Knoll-Kownackiego w składzie 14., 17., i 25. dywizji piechoty miała uderzyć w bok nieprzyjaciela od rejonu Łęczycy do Piątku. Zadaniem dla 57. pułku było uderzenie na Goślub, a po jego opanowaniu w drugiej fazie działań jednostka miała zająć Piątek. Tam pułk miał zorganizować okrężną obronę przeciwpancerną. Bezpośrednie wsparcie natarcia zapewniały 1. i 2. dywizjon artylerii lekkiej i 14. dywizjon artylerii ciężkiej.

Pierwotny termin natarcia wyznaczony na godzinę 17.00 nie został dotrzymany z powodu braku gotowości artylerii. Atak przesunięto więc na 18.00. Z rejonu Ktery uderzyły dwa bataliony 55. pułku szybko wypierając Niemców.

Pluton pionierów 57. pułku stacjonował w tym dniu w m. Wały, tam też mieściło się dowództwo pułku. Przed natarciem Tadeusz w ramach swego plutonu naprawiał most na Bzurze pod Młogoszynem osłaniany przez kompanię zwiadowczą. Prace te ukończono tuż przed godziną 18.00 i przez ten most wkrótce ruszyło natarcie pułku. Uderzały dwa bataliony, a 3. batalion pozostał w odwodzie w pobliżu mostu. 1. batalion przeszedł Bzurę, opanował dwie placówki wroga i zabezpieczył las na północ od dworu Goślub. Do niewoli wzięto 6. jeńców, zdobyto także kod rakiet, dzięki czemu skutecznie dezorientowano Niemców. Następnie 1. kompania uderzyła na dwór i zdobyła go. W tej walce zabito 16. Niemców, a do niewoli wzięto 25. jeńców. Straty własne wyniosły 3. zabitych i 7. rannych. Po przejściu na południe od dworu 1. kompania zajęła pozycje obronne w styczności z wrogiem. Natomiast 2. batalion w tym czasie uderzył na wzgórze 102 i zdobył je. Niemcy zostali wyparci, bronili jeszcze tylko wsi Górki Pęcławskie. Jednocześnie trwała walka kompanii zwiadowczej o dwór Pęcławice, który przy wsparciu 5. kompanii został zdobyty. Późna pora zmniejszyła impet dalszego natarcia, które miało być kontynuowane o świcie dnia następnego.

Dzień dziesiąty - około północy przybył na nowe stanowisko dowodzenia do dworu Goślub płk. Rybotycki ze swoim sztabem. Nie był zadowolony z dotychczasowego tempa natarcia, które jednak trwało nadal. Dowódca 1. batalionu mjr. Hrycek wydał rozkaz 1. i 2. kompanii wypadu na Goślub I i II. Jednak wróg był czujny i nie dał się zaskoczyć. Doszło do walki na bagnety i ok. 3.00 kompanie wycofały się na pozycje wyjściowe. Teraz głównym zadaniem było zdobycie miasteczka Piątek. Uderzać miały wszystkie trzy bataliony 57. pułku. O świcie, przy wsparciu kompanii ckm i 5. baterii artylerii kpt. Aleksandra Lichonia, ruszyło decydujące natarcie. Wkrótce po walce wręcz opanowano Górki Pęcławskie. Zdobyto 12 ckm i inny sprzęt, wzięto też kilkunastu jeńców. Oczyszczono także miejscowość Orądky zabijając 5. Niemców i zdobywając 1 rkm. Straty były spore-poległ dowódca 1. plutonu ckm ppor. Józef Leśniak i 2. plutonu ckm ppor. Jan Mąka, a także 4. strzelców i wielu amunicyjnych. Ok. 7.00 padł dowódca 2. batalionu mjr. Wieczorek trafiony kulą strzelca wyborowego, a dowodzenie przejął kpt. Sobociński. Poprowadził on dalej natarcie-zdobyto Rogaszyn i Michałówkę. To tam wyróżnił się kapral podchorąży Roman Maćkowiak, który zlikwidował 7. niemieckich strzelców wyborowych siedzących na drzewach. Natarcie 2. batalionu osłaniała od wschodu kompania zwiadowców por. Polaszka. Dalej na wschód działała 71. kompania kolarzy oraz kawaleria dywizyjna.

Po zdobyciu przez 2. batalion rejonu Piekary-Orenice ok. godziny 10.00 nawiązano kontakt z 1. batalionem, który rozpoczął wtedy natarcie z rejonu Goślub II na wzgórze 107 i 108 i na samą miejscowość Piątek. W samo południe

2. batalion przełamał zażartą obronę Piątku i opanował wschodnią część miasta. 4. kompania z tego batalionu zdobyła wóz dowodzenia niemieckiej 30. dywizji piechoty wraz z mapą sytuacji bojowej.

Natomiast 3. batalion uderzył o świcie na Goślub I z silnym wsparciem artylerii, ckm oraz plutonu moździerzy 81 mm. Po przejściu 300 m kompanie dostały się pod ogień artylerii i strzelców wyborowych. Tych ostatnich usadowionych na drzewach zlikwidował dowódca plutonu ckm ppor. Rzyško. Zdobyto Goślub I mimo kontrataku wroga w sile dwóch plutonów. Następnie ok. 11.00 w walce wręcz 1. kompania zdobyła wzgórze 108. To tam por. Zawadzki ze sztabu dywizji widział poległych Polaka i Niemca wzajemnie przebitych swymi bagnietami. Na wzgórzu tym naliczono po bitwie 120. poległych Niemców. Droga na Piątek była otwarta. O godzinie 12.30 kompanie 1. batalionu wdarły się do miasta i dotarły do szosy Piątek-Łęczycza likwidując obronę. Pół godziny później całe miasto było oczyszczone z nieprzyjaciela. W obronie miasteczka poległo 180. Niemców. Zgodnie z wcześniejszymi rozkazami 57. pułk zorganizował obronę przeciwpancerną skrzyżowania dróg w Piątku. 3. batalion zdobył następnie Pokrzywnicę na południowy zachód od Piątku. Po zdobyciu wsi Janowice okazało się, że Wehrmacht przed wycofaniem się rozstrzelał tam pod stodołą 9. zakładników. W pośpiechu nie dobito rannych i 3. z nich zostało uratowanych przez służbę sanitarną batalionu. Tak oto walczył "rycerski" Wehrmacht już w pierwszych dniach wojny mordując ludność cywilną i depreczając konwencję genewską.

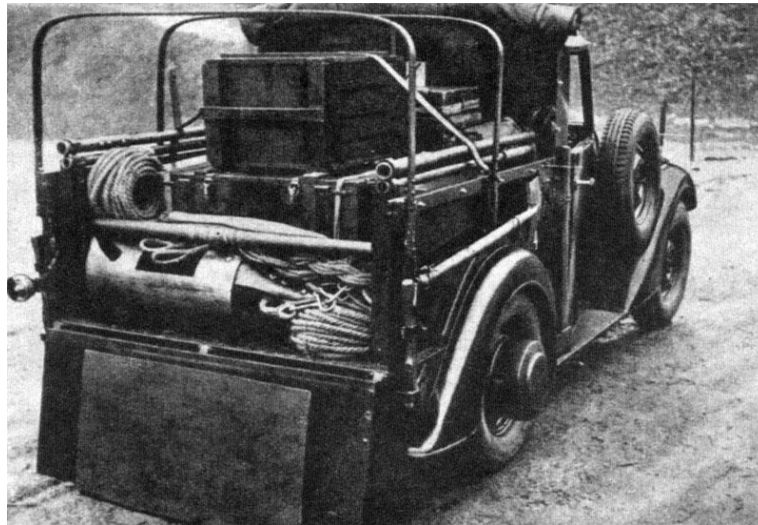
Bataliony 57. pułku wykonały w tym dniu postawione przez dowództwo dywizji zadania. Swoje zadanie wykonał też Tadeusz dowożąc swoją ciężarówką materiały i biorąc udział w odbudowie mostu przez Bzurę.



43. Tymczasowa saperska przeprawa wodna

Dzień jedenasty - w tym dniu 57. pułk nie prowadził działań zaczepnych, natarcie na południe w kierunku Strykowa prowadził 55. oraz 58. pułk. Ten ostatni zabił 200. Niemców wychodzących z lasu w rejonie Witowa i wziął ponad 200. jeńców, w większości rannych. W tym rejonie było wiele rozbitych wcześniej i pozbawionych łączności oddziałów wroga. Trzeba było mozolnie oczyszczać zdobyty teren z tych niedobitków. Do południa na koncie 58. pułku było zabitych 250. Niemców, wielu jeńców i zdobytego sprzętu wojskowego, w tym czołgi. Wczesnym rankiem nastąpił atak na kwaterę dowództwa 14. dywizji w folwarku Sułkowice. Jak się okazało był to zbłąkany niemiecki pluton, który został szybko rozbity przez kompanię ochrony sztabu, a uciekinierów wybiła kawaleria dywizyjna majora Żnińskiego uderzając na tyły maruderów. W tym dniu działania zaczepne na wschód od Armii "Poznań" rozpoczęła Armia "Pomorze" kierując swe natarcie na Bielawy-Głowno. Była to dobra wiadomość dla 14. dywizji, której żołnierze byli już zmęczeni dotychczasowymi walkami, a nieprzyjaciel stale dowoził nowe siły i rzucał je do walki. Noc z 10/11 września 1. batalion 57 pułku spędził w Piątku, a 2. batalion zajmował pozycje w rejonie Sułkowic i Krzyszkowic, dowództwo pułku było także w Piątku. 11 września 57. pułk pozostawał w odwodzie dywizji w pierwszej fazie działania za wyjątkiem 1. batalionu. Nacierał 58. pułk i do południa zabił 250. Niemców. Opanowano Pludwiny i Domaradzyn. W kontrataku dwóch niemieckich pułków z 10. dywizji piechoty utracono Pludwiny około 17.00. Niemcy atakowali też na innych kierunkach, nasilał się ostrzał artyleryjski. W rejon Bzury wróg rzucił 7 dywizjonów artylerii ciężkiej zmotoryzowanej z dywizji operującej w Kieleckim i dodatkowo 5 dywizjonów ciężkiej artylerii armii. Dywizjony te zaczęły zajmować stanowiska po południu i korzystały z punktów obserwacyjnych w lesie Pludwiny (Woliska). Wieczorem ten nękający ogień w znacznym stopniu utrudnił działania 58. pułku piechoty. W tej sytuacji gen. Wład zdecydował się na opanowanie lasu Pludwiny w ataku nocnym 12 września i wyjście na Stryków. Natarcie to miał wspierać 1. dywizjon z 7. pułku artylerii ciężkiej. Wzmoczony ostrzał przyniósł straty także 57. pułkowi. Jedna z nawał ogniowych skierowana na Mąkolice trafiła w stodołę, w której spali żołnierze 4. kompanii 2. batalionu. Kilku żołnierzy i oficer zginęli, a kilkunastu było rannych. Czynny udział w walkach brał 1. batalion z 57. pułku, który ok. 9.00 rano dotarł do Bielawy. Mjr. Hrycek uderzył dwoma kompaniami i szybko zdobył tą miejscowość. Zginęło kilkunastu żołnierzy niemieckich, wielu było rannych, wzięto 6. zdrowych jeńców oraz broń. Posuwając się dalej batalion stoczył potyczkę pod Łubami Bielawskimi, a w m. Zgoda uzyskano styczność z

Wielkopolską Brygadą Kawalerii. Żołnierze batalionu byli kompletnie wyczerpani marszami i walkami, zasypiali stojąc.



44. Samochód minersko-zaporowy saperów

Dzień dwunasty - w tym dniu rano powrócił z wypadu na Biesiekierz Rudny 3. batalion 57 pułku. Atakował on stanowiska niemieckiej artylerii i zdobył je zabijając kilkunastu ludzi z ich obsługi. Wzięto 2. zdrowych jeńców i zdobyto 4 działa kalibru 150 mm i wiele innego sprzętu. Działa zostały zniszczone, a następnie zajęto wieś Biesiekierz Rudny. Kolejnym wypadem 9. kompania zaatakowała Bądków i duże zgrupowanie samochodów nieprzyjaciela w czasie postoju niszcząc większość z nich. W Bądkowie uwolniono 40. cywilnych zakładników.

Po wykonaniu wypadu 3. batalion przeszedł do Feliksowa i zachodniej części Władysławowa, gdzie zamykał lukę pomiędzy oddziałami 14. i 17. dywizji. Atak Niemców w tym dniu uderzył w pozycje 55. pułku w rejonie Osse i Koźle. Kosztem ciężkich strat wroga zatrzymano, a następnie odparto w kierunku lasu Pludwiny. W tym czasie pod Głownem walczył 1. batalion 57. pułku napotykając na silny opór Niemców. Zabrakło wsparcia z 4. dywizji piechoty, której dowódca wraz z kilkoma sztabowcami wyleciał w powietrze na minie w rejonie Bielaw. Natarcie na Głowno wspierał 17. pułk ułanów, ale obrona była silna i Niemcy kontratakowali. Wieczorem wszelkie działania wstrzymano i przyszedł rozkaz wycofania się za Bzurę. Przewidziano jedną trasę odwrotu-przez Mąkolice i Piątek do Młogoszyna. Pierwszy wyruszył 57. pułk (bez 1. batalionu), który miał za zadanie zorganizować przyczółek na południowym brzegu Bzury. To było znowu zadanie dla saperów i z pewnością ciężarówka, którą kierował mój ojciec jechała w czołówce kolumny pułku.

Dzień trzynasty - marsz rozpoczął się tuż przed północą. Na czele szedł 2. batalion, a sam marsz był uciążliwy i powolny, gdyż tą samą drogą wycofywały się tabory różnych pułków. Generał Wład stanął o świcie na pagórku w pobliżu Młogoszyna, aby dokonać przeglądu 57. pułku. Gdy żołnierze zobaczyli dowódcę dywizji zaczęli maszerować defiladowym krokiem, a generał salutował. Nie było czasu na odpoczynek, trzeba było zbudować przyczółek i pozycje obronne. Zorganizowano obronę przeciwpancerną i przeciwlotniczą. Rejonu przepraw broniła 14. bateria plot i 71. kompania ckm przeciwlotniczych. Około 9.00 pojawił się w rejonie przeprawy samolot rozpoznawczy Henschel 126, który został szybko zestrzelony. Zaraz potem nadleciało blisko 20 samolotów Heinkel zrzucając w rejonie przeprawy ponad 80 bomb i ostrzeliwując ją ogniem maszynowym. Dwa samoloty z tej grupy zestrzelono. Straty były niewielkie-teren był bagnisty i bomby zagłębiały się w grząski grunt nie czyniąc większych szkód. Poza tym widoczność ograniczały mgły. Sztab dywizji zajął na kwaterę dwór Konary. Zastanawiano się, dlaczego gen. Kutrzeba przerwał bitwę i rozkazał odejście za Bzurę. 14 dywizja zdobyła przecież Piątek, a 10 września był dniem chwały 57. pułku, który walczył z przeważającymi siłami. Niewiele brakowało do przecięcia ważnej arterii komunikacyjnej Łódź-Łowicz. Nieprzyjaciel poniósł wielkie straty i uznał się za pokonanych wycofując się w nocy z 12 na 13 września z lasu Pludwiny. Nie chciał dalej walczyć gen. Bortnowski załamany klęską armii "Pomorze", osobiście zatrzymał działania gen. Bołtucia i zwolnił tempo natarcia 4. dywizji. Generał Kutrzeba w tej sytuacji nie miał innego wyjścia. Tymczasem oddziały czekał kolejny nocny marsz. O godzinie 18.00 gen. Wład wydał rozkaz 57. pułkowi przekazania obrony przedmościa Pęcławice 70. pułkowi z 17. dywizji. Jak się okazało "zaginiony" 1. batalion znajdował się w rejonie Urzecz pod rozkazami 4. dywizji. 57. pułk po przekazaniu obrony ruszył marszem o 19.00 w rejon Bąkowa Górnego. Marsz był bardzo wolny z powodu zatłoczenia drogi uchodźcami i taborami. Grupa Operacyjna gen. Bołtucia miała nacierać na Łowicz, a potem na Skierniewice, aby poszerzyć pas działania dla wycofania Armii "Poznań". Przerwanie działań zaczepnych na kierunku południowym dało Niemcom czas na uporządkowanie swoich oddziałów i zorganizowanie działań w celu okrążenia i zniszczenia obu armii. Był to wielki błąd, który "zawdzięczamy" generałowi Bortnowskiemu, nie raczył on nawet powiadomić gen. Kutrzeby o nieoczekiwanym odwróceniu swoich sił. Nieudolny ten dowódca spędził wojnę w oflagu, a potem wyemigrował. Zmarł w roku 1966 w USA.

Dzień czternasty - po uciążliwym marszu nocnym 57 pułk (bez 1. batalionu) zatrzymał się w Bąkowie Górnym. O 11.00 zwiad lotniczy doniósł o zbliżaniu się dużej ilości czołgów od Błonia na Sochaczew. W tej sytuacji 57. pułk otrzymał

zadanie przygotowania obrony przeciwpancernej na rzece Słudwia. W rejonie Jackowice-Zduny znalazł się 2. batalion, a w rejonie Szymanowic 2. batalion. Od strony Łowicza słychać było silny ogień artylerii, to weszła do walki grupa operacyjna Armii "Pomorze". Czołgi niemieckie nie pojawiły się i cała praca niewyspanych i skrajnie wyczerpanych żołnierzy poszła na marne. A tu już nadchodziły rozkazy dalszego marszu dla 14 dywizji, która miała odejść w rejon Wyborów-Chąsno. Niestety rzeczka Słudwia okazała się być poważną przeszkodą z uwagi na otaczające ją bagna. Niełatwe zadanie czekało na Tadeusza i oddział saperów, którzy musieli zbudować most dla przeprawy taborów i ciężkiego sprzętu oraz kładkę dla pieszych. Gen. Wład osobiście decydował o kolejności przeprawy nie tylko własnych jednostek, ale także obcych z armii "Poznań" i "Pomorze".

57 pułk skierował się na Łowicz w kierunku Jackowice, Złaków Kościelny, Wyborów i Błędów. W rejonie Łowicza widoczne były liczne łuny pożarów. Kolejny, katastrofalny błąd popełnił gen. Bortnowski. O 10.00 wydał rozkaz 26. dywizji wycofania się na północny brzeg Bzury i zorganizowania obrony ppanc. Ruch tych jednostek w ciągu dnia spowodował liczne ataki lotnicze i artyleryjskie. Dywizja straciła w sumie aż 4 bataliony. Ponownie cały wysiłek żołnierzy i oficerów został zmarnowany fatalnym dowodzeniem dowódcy armii "Pomorze".

Dzień piątnasty - 57. pułk ukończył przemarsz o 8.00 rano. 2 batalion ulokował się w Błędowie, a 3. batalion na południe od Chąsna. Dołączył też 1. batalion, który walczył razem z brygadą kawalerii, a potem w ramach 4. dywizji pod Urzeczem. Tu w końcu żołnierze mogli trochę odpocząć i wyspać się. Ale już o 18.00 ruszyli zwiadowcy, a pół godziny za nimi 57. pułk, który udawał się po osi południowej Błędów-Litynek-Emilianów do przeprawy przez Bzurę w rejon Jeziorka. W czasie przemarszu dowódca 3. batalionu mjr. Kępiński dowiedział się o zajęciu Emilianowa przez Niemców. Wydano rozkazy zgodnie, z którymi 2. batalion miał nocnym wypadem zdobyć Emilianów, a następnie wyjść na pobliski las, gdzie krył się wróg i zaatakować. 3. batalion miał dojść do rejonu Jeziorka, opanować dwór Złota i pozostać w gotowości do uderzenia na las Emilianów i folwark Władysławów. Trzeba było walczyć o dojście do rzeki zamiast ją forsować.

Dzień szesnasty - o 1.00 w nocy atak na Bronisławy przeprowadził 55. pułk ponosząc znaczne straty w ludziach sięgające ponad 60% stanu. 57. pułk o świcie miał atakować dwór Złota i las Emilianów. Rozkazy dotyczące dywizji uległy w nocy zmianie, ale zadanie 57. pułku pozostało nadal aktualne. Ale pułk otrzymał wsparcie 18. pułku piechoty i o 6.00 ruszyło natarcie 2. batalionu bez wsparcia artylerii. W gęstej mgłę opanowano skraj lasu, ale opór wroga był b. silny. Gdy mgła ustąpiła ogień niemiecki stał się celniejszy i spowodował duże

straty. 3. batalion został zatrzymany silnym ogniem we wstępnej fazie natarcia, a w dodatku nie ruszyło wcześniej uzgodnione natarcie wspierające 18. pułku. Pułk ten ruszył do ataku niespodziewanie o 7.30, zamiast o 8.00 w ataku skoordynowanym z 3. batalionem 57. pułku. Zemściło się to zatrzymaniem obu chaotycznie prowadzonych ataków. Następne, wspólne tym razem natarcie miało ruszyć o 10.30. Krótco przed tą godziną nastąpił nalot lotnictwa niemieckiego, a następnie z lasu Emilianów wyjechała dywizja pancerna wroga licząca 300 czołgów. Sytuacja uległa radykalnej zmianie, 57. pułk musiał szybko zorganizować obronę ppanc. Nie było na to czasu, gdyż czołgi atakowały już 3. batalion i północne skrzydło 2. batalionu. Piechota poniosła ciężkie straty (60% stanu) rozjechana dosłownie przez czołgi. Ale nieco dalej działa artylerii pułkowej zniszczyła 3 czołgi, a działa ppanc podpaliły 6 czołgów. Kilka czołgów zniszczyła piechota przy pomocy rusznic ppanc. W sumie 57. pułk zniszczył w rejonie Żłota 13 czołgów. 3. batalion stracił wielu żołnierzy w tym swego dowódcę, ale pozostało w akcji ok. 300 ludzi walczących z piechotą wroga posuwającą się za czołgami. W tym dniu od odłamka pocisku czołgowego został ranny w głowę Tadeusz Penkalski. Utracił także swój pojazd tj. ciężarówkę ze sprzętem saperskim, która spłonęła podpalona ogniem czołgów. Około 12.00 57. pułk odzyskał swój 1. batalion i skierował go do ataku na las Emilianów. Atakująca 1. kompania poniosła duże straty, a walki toczono z niemieckim 74. pułkiem piechoty. Nie zdołała ona pójść dalej za czołgami.

Dzień siedemnasty - nocna narada w sztabie gen. Wład odbyła się o godzinie 1.00 bez udziału odciętego przez Niemców dowódcy 55. pułku płk. Wicierzyńskiego. Nie było nowych rozkazów od dowódcy grupy operacyjnej gen. Knolla-Kownackiego, a przynajmniej nie dotarły one do 14. dywizji. W tej sytuacji gen. Wład rozkazał odejść do rejonu Łów i stąd przejść do rejonu Budy Stare. Był to ostatni rozkaz pisemny dowódcy dywizji. Wyczerpani całodziennym bojem i nocnymi przemarszami żołnierze 57. pułku raz jeszcze musieli zebrać resztki sił i ruszyć, jako straż przednia dywizji. To zadanie wymagało torowanie drogi, zrzucanie blokujących drogę pojazdów oraz ubezpieczenie ppanc od wschodu. Pułk ruszył o 3.00 poprzedzany oddziałem zwiadowców por. Rzycki w sile 50 ludzi. Tadeusz znajdował się na wozie konnym w grupie oddziałów specjalnych za batalionami piechoty pułkowej. Stracił dużo krwi, głowę miał w bandażach. Na dotychczas zajmowanych stanowiskach pozostał 1. batalion.

Marsz był trudny, drogi kompletnie zatarasowane. Płk. Rybotycki dowiedział się od szefa sztabu dywizji, że gen. Wład ma zamiar dokonać przeglądu 57. pułku w Aleksandrowie. Trochę to dziwna decyzja w obliczu przeważających sił wroga. Aby dotrzeć na wyznaczone miejsce dowódca musiał rozczłonkować pułk, gdyż lotnictwo niemieckie panowało już niemal całkowicie w powietrzu. Oprócz

bomb pułk został ostrzelany przez czołgi z kierunku zachodniego. Na szczęście była jeszcze amunicja do dział i artyleria zniszczyła 3 czołgi. Po dojściu w rejon łłowa nastąpił ponowny silny nalot. Lotnictwo wroga atakowało z niespotykanym nasileniem, gdyż zabrakło amunicji do ckm i działek plot. Były to dwie floty powietrzne z Pomorza Zachodniego liczące 350 samolotów atakujące na stosunkowo niewielkim obszarze.

Wieczorem tego dnia w m. Budy Stare gen. Wład przeprowadził odprawę 57. i 58. pułku. Poleciał zniszczenie dokumentów i ukrycie sztandarów jednostek. Stan pułków wynosił w tym dniu po ok. 700 ludzi w każdym. Po zebraniu rozproszonych żołnierzy pułki miały maszerować o 22.00 do przepraw w rejonie Brochów-Witkowice.

Gen. Kutrzeba, dowódca Armii "Poznań" tak oceniał stan 14. dywizji po tych atakach: *" W rzeczywistości 14 d.p. była 16 września przez natarcie czołgów silnie zdeorganizowana i na rozkaz swego dowódcy zbierała się pod łłowem. Doszła tam 17 września podczas najsilniejszego ataku lotniczego i uległa. Właściwie dywizja, jako całość przestała istnieć"*

Dzień osiemnasty - koniec epopei 57. pułku i Tadeusza z sekcji saperów minerskich był już bliski. Ranny dowódca plutonu saperów gorączkował i był wyczerpany ciągłymi bombardowaniami. Maszerował razem ze swoją sekcją pozbawioną środków transportu, gdyż konie zostały wybite przez lotnictwo. W tym dniu ciężko ranny został gen. Wład. W miejscu, gdzie rano było dowództwo dywizji widniały wielkie leje po pociskach artylerii ciężkiej, wokół leżały zabite konie. Rannego generała przewieziono do gajówki Januszew, gdzie ok. 18.00 zmarł.

Siłami 55. pułku przeprowadzono natarcie o godz. 17.00 i przekroczone Bzurę. Ale za rzeką czekała na żołnierzy zapora czołgowa. W dwóch liniach ustawiono dziesiątki wozów pancernych w odstępach co 300 metrów. Natomiast 57. pułk forsował Bzurę wraz z Pomorską Brygadą Kawalerii na południe od Witkowic w godzinach 19.00 do 20.30. Dalej walczone o las w rejonie Tułowic, a do Puszczy Kampinoskiej dotarło ok. 400 żołnierzy. Nie było wśród nich Tadeusza Penkalskiego. Był w innej grupie żołnierzy 57. pułku złożonej z lżej rannych i niezdolnych do walki. Kiedy rankiem 19 września podeszli oni pod Bzurę wokół byli już Niemcy.

Zadania swoje saperzy pułkowi wykonali celująco budując przeprawy przez przeszkody wodne i bagna oraz zapory przeciwczołgowe, często pod ogniem nieprzyjaciela. Pracowali na rzecz całej dywizji, która dotkliwie odczuwała brak swego batalionu saperów oddelegowanego w sposób nieprzemysłany do innych zadań. Z tej też przyczyny nie był możliwy do wykonania rozkaz dowódcy armii o niszczeniu zakładów przemysłowych i lokomotyw. Rozmawiałem

telefonicznie z gen. Zygmuntem Odrowążem-Zawadzkiem (1911-2008), autorem monografii 14. Poznańskiej Dywizji Piechoty, ostatnim żyjącym oficerem operacyjnym sztabu tej dywizji. Powiedział mi, że 57. pułk był jego macierzystą jednostką zanim po ukończeniu Wyższej Szkoły Wojennej przeszedł do pracy w sztabie dywizji. Od niego też dowiedziałem się, że dowódca dywizji gen. Wład wielokrotnie interweniował w sprawie odzyskania 14. batalionu saperów, ale do końca działań nie udało się tej jednostce powrócić do składu dywizji. Najprawdopodobniej budowali oni umocnienia dla Batalionu Obrony Narodowej płk. Siudy, który osłaniał działania Armii "Poznań" w bitwie nad Bzurą.

Saperzy 57. pułku w starciu z dywizją pancerną 16 września utracili prawie cały swój sprzęt, kilku z nich zostało rannych i nie byli już w stanie wykonywać swoich zadań. 17 września podszedł pod Bzurę 7. batalion saperów należący do innej dywizji (dowodził kpt. A. Wasilewski), który posiadał sprawne elementy do budowy mostu pontonowego. Brzeg rzeki był już jednak opanowany przez Niemców i każdą przeprawę trzeba było zdobywać w boju.

Dzień dziewiętnasty - piechota 57. pułku w małych grupach przeszła Bzurę i walcząc posuwała się wzdłuż kanału Łasica. Były to małe grupy żołnierzy bez rozwiązanego wcześniej 1. batalionu. Większość tych grup dostała się do niewoli. Ale do Warszawy dotarło ostatecznie 25. oficerów i ponad 700. żołnierzy z całej 14. dywizji, których wcielono do 60. pułku piechoty 25. dywizji. Tadeusz dostał się do niewoli rankiem 19 września. Tysiące jeńców zgromadzono w hali fabrycznej niedaleko Sochaczewa. Jeńcy otrzymywali początkowo tylko chleb i wodę, później raz dziennie zupeł. Tam też przeprowadzono selekcję, w wyniku której Tadeusz trafił do stalagu w Inowrocławiu. Stamtąd otrzymał 5 października przepustkę na swoje nazwisko plus 5 kolegów z obozu, którzy podróżowali razem z nim. 7 października powrócił do Sikorzyna, gdzie przez pewien czas leczył swoje rany.

Okupacja niemiecka

System niemieckich obozów jenieckich był skomplikowany, podobnie jak kryteria, według których trzymany tam jeńców zwalniano lub przetrzymywano nieraz do końca wojny. Pierwszym był zawsze obóz frontowy (Frontstalag), a po nim Dulag, czyli obóz przejściowy. Takim był też stalag w Inowrocławiu, gdzie rozdzielano podoficerów i szeregowców do stałych obozów jenieckich lub zwalniano do domów. Największym obozem jenieckim był Stalag I A Stablack, położony w Prusach Wschodnich niemiecki obóz jeniecki z przeznaczeniem dla podoficerów i szeregowców wojsk lądowych w północnej

części dawnego niemieckiego poligonu Stablack, znajdującego się w obecnych Stabławkach i Kamińsku w gminie Górowo Iławeckie w powiecie bartoszyckim w województwie warmińsko-mazurskim oraz częściowo w okolicy miasta Dołgorukowo w obwodzie kaliningradzkim. Podczas funkcjonowania stalagu w latach 1939-1945 przebywało w nim około 255 000 jeńców wojennych z całej Europy.

Tadeusz był ranny, a jego funkcja dowódcy plutonu saperów oraz stopień wojskowy (plutonowy), kwalifikowały go do szybkiego zwolnienia do domu. Razem z nim zwolniono pięciu innych żołnierzy, z których trzech także było lekko rannych. Niestety nie znamy ich nazwisk, gdyż przepustka na dojazd do domu była wystawiona na nazwisko Tadeusza z dopiskiem "plus 5". Dokument ten został przekazany do ZBOWiD-u w trakcie starań o uzyskanie statusu kombatanta. Mój ojciec zapamiętał dobrze swego towarzysza broni z Pomorza pochodzącego z wioski Stara Jania w powiecie starogardzkim. Na jego prośbę odszukałem tego człowieka, ale jego relacja niewiele wniosła do opisu wojennej epopei Tadeusza. Nie był on w jego plutonie, a poznali się dopiero w pierwszej fazie niewoli.

Ta przepustka była w zasadzie jedynym dokumentem potwierdzającym udział Tadeusza w kampanii wrześniowej. Nie było wpisów w książeczce wojskowej, gdyż w zamieszaniu wojennym nikt o to nie zadbał, a dokumenty wojskowych komend uzupełnień oraz dywizyjne w znacznej części zaginęły. Żył w tym czasie wielu świadków, zachowało się archiwum 57. pułku piechoty, dzięki czemu ZBOWiD bez problemu zweryfikował udział Tadeusza w wojnie obronnej, za co został on odznaczony specjalnym medalem.



45. Medal za 1939 r.

Odnaczenie to odebrałem ja, gdyż mój ojciec w tym czasie już nie żył. Nie przywiązywał on wagi do swoich czynów wojennych, uważał, że spełnił swój obowiązek wobec Ojczyzny. Nie chciał zabiegać o status kombatanta, chociaż wiązało się to z konkretnymi przywilejami, także materialnymi. Musiała zadbać o to moja matka, która dziedziczyła te przywileje po mężu-kombatancie.

Po wyleczeniu się z ran Tadeusz zarejestrował się w niemieckim urzędzie pracy, jako zawodowy ogrodnik i pszczelarz. W rzeczywistości mieszkał nadal w swoim mieszkaniu służbowym na terenie szkoły, której działalność została zawieszona bezterminowo. Po uwięzionym znajomym radioamatorze Brenschmidcie (zam. przy ul. Poznańskiej w Gostyniu) Tadeusz przejął dobrej klasy odbiornik radiowy i prowadził nasłuch stacji zagranicznych. Jak wiadomo było to zagrożone karą śmierci, dlatego Tadeusz sprytnie ukrył radio, które w trakcie wielu rewizji nie zostało odnalezione. Jak mi później opowiadał skrytka ta mieściła się w piecu kaflowym. Wiadomości z nasłuchu trafiały do zaufanych mieszkańców Gostynia, wówczas nazwę miasta zmieniono nieznacznie na Gostyn, ale już w r. 1940 rozporządzeniem gauleitera Greisera nazwa ta brzmiała bardziej po niemiecku, czyli Gostingen.

Nie był Tadeusz świadkiem bestialskiej egzekucji, kiedy to 21 października rozstrzelano 30. Polaków na gostyńskim rynku. Mieszkańcy miasta mieli obowiązek oglądanie tej egzekucji, znam jej przebieg z relacji mojej matki.



46. Rozstrzeliwanie Polaków w r. 1939

Ranek 21 października 1939 roku. Ciemne chmury pokrywają niebo. Od wczesnych godzin rannych na gostyńskim Rynku zapanował ruch.

To polscy kolejarze pod eskortą niemieckich żołnierzy ustawiają rodzaj drewnianej ściany przed pomnikiem Serca Jezusowego. Nikt nie zdaje sobie sprawy z grozy sytuacji. Rano od 8.00 ratuszowy woźny Mieczysław Kawski obchodzi ulice miasta.

Głośno dzwoniąc przystaje co pewien czas i czyta rozporządzenie władz niemieckich. *"Dzisiaj w sobotę 21 października o godzinie 9.30 stawią się wszyscy dorośli mężczyźni na Rynku. Ktokolwiek zarządzenia by nie wykonał będzie z miejsca aresztowany i ciężko ukarany."*

Rynek godzina 9.30. Na placu znajduje się około dwóch tysięcy mężczyzn i kobiet. Wzdłuż chodników stoją kolumny ciężko uzbrojonych żołnierzy Wehrmachtu.

Od stopni ratusza, gdzie więziono 40 obywateli powiatu gostyńskiego, w kierunku wkopanej w ziemię drewnianej ściany ze słupów telefonicznych czy podkładów kolejowych, stoją tworząc szpaler, Niemcy. Wejście do ratusza otoczone jest przez policję i gestapo. Obok stoi 30. członków

Sonderkommando. Mieszkańcy patrzą z przerażeniem, nie mogą uwierzyć, że rozstrzelani będą cywile. Po północnej stronie Rynku przejęty grozą tłum, po drugiej czerwone autobusy pocztowe, które przywiozły pluton egzekucyjny oraz auta osobowe oficerów SS.

Ratuszowy zegar wybija godzinę dziesiątą. Otwierają się drzwi. Pod eskortą, która mierzy karabinami w tłum, wychodzi pierwsza dziesiątka: hrabia Henryk Grocholski, senator Stanisław Karłowski, dyrektor szkoły Szczepan Kaczmarek, pomocnik młynarski Kazimierz Stryczyński, stojący na czele gostyńskiej endecji, Mieczysław Hejnowicz, powstaniec wielkopolski, Stefan Skiba, Stefan Pawlak, policjant Leon Kwaśny, Szczepan Paluszczak, Wawrzyn Szwarc, powstaniec.

Gestapowcy ustawiają ich pod drewnianą palisadą, tyłem do plutonu egzekucyjnego. Pada komenda *Feuer!* Rozlega się grzmot salwy karabinowej, ludzie osuwają się na ziemię. Nie wszyscy umierają od razu, tych gestapowcy dobijają strzałami z pistoletu w głowę.

Osiemnastoletnia córka Mieczysława Hejnowicza Zofia, płacząc i krzycząc: *Mordercy*, rzuca się w kierunku zwłok ojca. Żołnierze brutalnie ją odpychają. Esesmani wybierają z tłumu mężczyzn, rozkazując im przenieść zwłoki na przygotowane wcześniej, stojące w narożniku Rynku i ulicy św. Ducha, otwarte ciężarówki Służby Pracy. Niechętnym lub opieszałym esesmani przykładają broń do skroni. Po rękach przenoszących zwłoki mężczyzn spływa krew zamordowanych. Ciężarówka odjeżdża na cmentarz. Tam ciała zabitych zostaną zrzucone na schody cmentarza, potem do wykopanego dołu, gdzie dobijano dających jeszcze oznaki życia.

W kwadrans po pierwszej egzekucji miejsce pod ścianą śmierci zajmują: szambelan Edward Potworowski, baron Antoni Graeve, prezes *Sokoła* Kazimierz Peisert, dyrektor gimnazjum Leon Kapcia, młody polonista, prezes Akcji Katolickiej - Roman Weiss, brat Mieczysława – Józef Hejnowicz, asystent pocztowy Antoni Gościński, Maksymilian Piątkowski, Jan Jasiak i Józef Łagodziński. W oknie kobieta z niemowlakiem na rękach. Łagodziński macha jej na pożegnanie. To jego żona. W chwili egzekucji nerwy jednego ze skazańców nie wytrzymują – baron Graeve, zanim pada strzał, odwraca się do strzelających i rzuca na ziemię. Po dobieciu rannych gestapowcy chwytają wrywającego się barona i prowadzą do ratusza. Tam w holu katują, kopią po całym ciele. Trzymając za nogi, wloką go z powrotem na miejsce straceń w trzeciej dziesiątce skazanych. Oniemiały tłum patrzy jak głowa barona obija się o bruk. Strzał w serce pozbawia go życia. W trzeciej grupie pod ścianą z drewnianych pni giną: burmistrz Hipolit Niestrawski, Stanisław Zydorczyk, Franciszek Hejduk, Kazimierz Wierachowski, Wojciech Pawlak, Franciszek Wawszczak, Józef Rosik, Tomasz Skowron, Franciszek Staszak oraz Jan Rosiński.

Szare niebo nad Gostyniem wydaje się jeszcze ciemniejsze. Ostatnia grupa ma być wyprowadzona – oczekują jeszcze na wyrok. Niespodziewanie do izby posterunku wpada zdenerwowany polizeimeister Georg Bracke, który nie pozwala gestapowcom na egzekucję kolejnej dziesiątki. *Trzydziestu zostało rozstrzelanych. Czy to nie dość, przeklęta bando?* – krzyczy.

Ludzie rozchodzą się do domów. Mężczyźni ponuro milczą, kobiety płaczą. Większość straciła kogoś z rodziny lub znajomych. Wszyscy są zszokowani zbrodnią dokonaną publicznie w okrutny, zwierzęcy sposób. Nawet żołnierze Wehrmachtu nie patrzą mijanym gostyniakom w oczy. Powoli Rynek pustoszeje. Pozostały jedynie ślady krwi, które woźny zasypuje powoli piaskiem.

Relacja mojej matki pokrywa się z grubsza z tym opisem tragedii. W sposób literacki opisała ją Zofia Hejnowicz-Portalska (1921-2011) w swojej książce *"Chmury nad domem"*, którą udało mi się nabyć w antykwariacie. Była naocznym świadkiem śmierci ojca i wujka. Jej matkę zmuszono do fikcyjnej sprzedaży młyna i wysiedlono z Gostynia. Moja matka przyjaźniła się z Zofią, spotykały się przy okazji zjazdów absolwentów gimnazjum gostyńskiego.

W końcu Tadeusz został przymusowo przesiedlony do Gostynia, ale jako nauczyciel, w dodatku podejrzewany o działalność antyniemiecką, miał trafić do obozu koncentracyjnego.

Uratowała go dobra znajomość technik fotograficznych, a był akurat potrzebny taki pracownik w Drogerii Centralnej. Zakład ten zabrali Niemcy polskiemu właścicielowi i oddali swojemu rodakowi z Austrii. Bardzo popularny był w tym czasie niedrogi aparat małoobrazkowy LEICA, a w ślad za tym powstawały liczne laboratoria fotograficzne. Proces wywoływania negatywów i robienia odbitek był zbyt skomplikowany dla przeciętnego fotoamatora. Tadeusz zaczął tam pracę z dniem 1 sierpnia 1941 r.

Ponieważ Wielkopolska została włączona do Rzeszy Polacy stali się elementem zbędnym. Jednak w pierwszej kolejności namiestnik Hitlera gauleiter Arthur Greiser zamierzał oczyścić Warthegau z Żydów.



Bundesarchiv, Bild 183-ED0455
Foto: o. Ang. | Oktober 1938

47. Kat ziemi poznańskiej A. Greiser

W obozie zagłady w Chełmnie nad Nerem (Kulmhof) zgładzono ok. 200 tysięcy Żydów z Kraju Warty i pewną ilość z łódzkiego getta.

W Gostyniu na terenie klasztoru stacjonował batalion Sonderkommando, który zajmował się wysyłką ludności żydowskiej do tego obozu oraz tłumieniem najmniejszych przejawów oporu wśród ludności polskiej.

Brutalne akcje wysiedleńcze z Gostynia rozpoczęły się w grudniu 1939 roku.

Akcja ta była dokładnie zaplanowana i realizowana z całą bezwzględnością.

Pojedyncze przypadki wysiedleń miały miejsce jeszcze w pierwszych tygodniach okupacji. Objęły one m.in. dwie rodziny żydowskie, które przesiedlono do Łodzi.

W miejsce wysiedlonych Polaków sprowadzano ludność niemiecką z Rzeszy, ale także Niemców bałtyckich. Po wysiedleniach zaczęły się roboty przymusowe, na które z pow. gostyńskiego wywieziono blisko 700 osób. Nie powróciło z nich 48 osób.



48. Kompania SS w klasztorze gostyńskim - 1941 r.

Widoczną na tej fotografii kompanię zbrodniarzy hitlerowskich wizytował SS Brigadeführer, Generalmajor policji Oskar Knofe. Jak wynika z przebiegu służby Knofe był w 1941 roku głównym policjantem w okręgu Poznań i z tej racji wizytował jednostkę w Gostyniu. Stanowisko objął we wrześniu 1939 roku, a więc zaraz po ataku Niemiec na Polskę. Powinien odpowiadać za rozstrzelanie mieszkańców Gostynia i powiatu gostyńskiego w październiku 1939 r. Widocznie zabrakło bezpośrednich dowodów. Ale to on wydawał rozkazy siepaczom hitlerowskim.

W 1949 roku esesman ten został wydany Polsce przez aliantów i sąd w Poznaniu skazał go na niezwykle łagodną karę 8 lat więzienia. Został zwolniony z więzienia w roku 1955, zmarł w roku 1978 w wieku 90 lat. Jego liczne ofiary umierały znacznie młódziej.

Tadeusz mieszkał teraz przy ulicy Adolfa Hitlera, czyli przedwojennej 3 Maja razem ze Stanisławą Juskowiak, która także straciła pracę w szkole i w tym czasie żywiła i zajmowała się domem mojego ojca. Niemcy wprowadzili swoje nazewnictwo ulic w mieście. Pozostały tradycyjne, acz zniemczone nazwy ulic takich, jak Leszczyńska czy Poznańska, ale wprowadzono obce nam ulice: SA (Klasztorna), Horsta Wessela (Bojanowskiego) i Theodora Drewsa (Nowe Wrota), powstał też plac Bismarcka (Plac K. Marcinkowskiego).

Theodor Drews był teologiem ewangelickim i dyrektorem szkoły prywatnej podejrzewanym o działalność dywersyjną. Na początku września żołnierze polscy rozstrzelali 10. Niemców za szpiegostwo i dywersję w pobliskim Małachowie. Był wśród nich Drews, gdyż na cmentarzu w Piaskach znaleziono skład broni i to on był za to odpowiedzialny. Pogrzeb z wielką pompą, przelotem samolotów bojowych, kompanią honorową, odbył się w Gostyniu na początku października 1939 r. na cmentarzu ewangelickim. Tak oto dywersanta wykreowano na "bohatera". Niedługo to trwało, gostyńskie ulice wróciły do starych, przedwojennych nazw. Na krótko znowu, Hitlera zastąpił Stalin, potem Marchlewski i dzisiaj ulica, przy której mieszkałem zwie się Wrocławska.

Życie w czasie okupacji nie było łatwe. W sklepach mogli zaopatrywać się tylko Niemcy, Polacy otrzymywali żywność na kartki w wydzielonych sklepach. Brakowało wszystkiego, a więc kwitł czarny rynek, który okupanci zaciekle zwalczali. Tadeuszowi udało się pewnego razu kupić 40 świec do oświetlenia mieszkania. Został uznany za spekulanta i skazany przez sąd na karę grzywny w wysokości 70 marek. Wolno było posiadać 20 świeczek. Była to równowartość jego tygodniowych zarobków w drogerii. Pracy było dużo, w końcu właściciel drogerii Herr Dassel poprosił Arbeitsamt o dodatkowego pracownika do fotolabu. Skierowanie otrzymała 19. letnia wtedy Krystyna Niewiarowicz, córka głównego chemika i szefa laboratorium w miejscowej cukrowni Stefana

Niewiarowicza. On także w 1939 r. znalazł się w gronie zakładników przetrzymywanych w piwnicach ratusza po 24 godziny i następnie zwalnianych. Miał szczęście, gdyż nie był zbyt wysoko na listach Polaków przeznaczonych do likwidacji. Rozstrzelano w grupie 30. zakładników m.in. jego przyjaciela, szefa biura w gostyńskiej cukrowni. Dyrektor cukrowni Zygmunt Psarski opuścił miasto przed wkroczeniem Niemców. Brał bowiem udział w powstaniu wielkopolskim w stopniu kapitana oraz w powstaniu śląskim, jako major. Potem służył w wojsku dochodząc do stopnia pułkownika. Z takim "dorobkiem" był od początku wojny poszukiwany przez gestapo.

W sierpniu 1939 roku Psarski został zmobilizowany i przydzielony do dowództwa saperów przy sztabie Armii Poznań. Tu jego losy w kampanii wrześniowej związały się z służbą wojskową Tadeusza Penkalskiego, jako sapera w składzie tej samej armii. Saperzy armijni nie brali jednak udziału w bitwie nad Bzurą, gdzie Tadeusz dostał się do niewoli. Dlatego Zygmunt Psarski uniknął niewoli i działał w konspiracji kierując w roku 1943 cukrownią w Michałowie pod Błoniem.

Młodziutka Krysia miała pomagać Tadeuszowi w wywoływaniu filmów i robieniu odbitek dla klientów. Dość szybko nawiązała się między nimi nić sympatii, a potem głębsze uczucie. Krysi imponował fakt, że Tadeusz walczył w kampanii wrześniowej i był ranny. Poza tym był przed wojną dyrektorem szkoły, człowiekiem wykształconym i odcytanym. Doskonale mówił po niemiecku, znał także język rosyjski.

Na związek małżeński nie było jednak szansy. Zarządzenia okupanta przewidywały bowiem dla kobiet wiek 25 lat, a dla mężczyzny lat 28. Tadeusz znacznie przekraczał ten limit, miał wówczas 36 lat, a Krysia była zbyt młoda. Wiek 28 lat osiągnęłaby dopiero w roku 1951! Nie było też szans na spotkania poza miejscem pracy. Rodzice Krysi zostali wysiedleni z 5. pokojowego mieszkania do nędznej stróżówki w cegielni na przedmieściach. A Tadeusz też miał tylko pokój z kuchnią, w której spała Stanisława.

Siłą rzeczy to, co miało się stać, stało się na zapleczu drogerii w pomieszczeniu ciemni fotograficznej. Zostałem tam poczęty pod koniec 1943 roku, kiedy rysowały się pierwsze oznaki klęski hitlerizmu. Pobici pod Stalingradem i w Afryce Niemcy bronili się przed inwazją aliantów na Sycylię i Włochy. Rodziła się nadzieja wśród uciskanych narodów Europy.

Na tym zdjęciu Krysia jest już w ciąży ze mną, pierwotnym synem Tadeusza.



49. Krysia w fotolabie - wiosna 1944 r.

Czy jednak było to pierwsze dziecko Tadeusza? Bo oto 25 grudnia 1941 r. urodziła się Janina Kazimiera Stachowiak poczęta 13 lub 20 kwietnia tegoż roku. Postępowanie sądowe wykazało, że matka tej dziewczynki istotnie odwiedziła Tadeusza w Sikorzynie, ale była już wówczas w ciąży, którą chciała usunąć. Jednak położna, którą o to prosiła odmówiła zabiegu i zeznała, że sprawcą ciąży był konduktor czy kierowca autobusu. W innej wersji ojcem miał być policjant niemiecki. Tadeusz nie znał wcześniej matki Janiny i nie miał z nią żadnych kontaktów. O alimenty wystąpił kilka lat po wojnie ojciec matki, która zmarła w r. 1948. Cała ta sprawa dość wyraźnie wskazuje, że Tadeusz został wrobiony w ojcostwo i musiał płacić z tego tytułu alimenty. Szczegóły tej sprawy zawarte są w dokumentach opublikowanych na stronie http://zbigkurzawa.eu/GENEALOGIA/papers_3.html

Wynurza się z nich ponury obraz okupacyjnej rzeczywistości. Przyciskana przez gestapo w kwestii ojcostwa dziecka Stachowska próbuje wpisać się na listę folksdojczów. Argumenty ma mocne, gdyż jej matka jest Niemką. Mogłaby wówczas wskazać, jako faktycznego sprawcę ciąży policjanta niemieckiego. Jednak jej wniosek został oddalony, wskazuje więc na Tadeusza jednocześnie go szantażując, że doniesie do gestapo o radioodbiorniku i o udziale Tadeusza w ukrywaniu osób poszukiwanych przez policję oraz w nielegalnym uboju świń. Nie wiadomo skąd ma te informacje, gdyż sama pracuje wówczas w Poznaniu w restauracji " *Nur für Deutsche* ". Zapewne od rodziny mieszkającej w Gostyniu.

Sprawa zostaje wniesiona do sądu jeszcze 1942 roku, zeznaje wielu świadków w tym położna i są one korzystne dla Tadeusza. W styczniu 1943 rozprawa przed Sądem Grodzkim, w obecności inspektora Jugendamtu, uniewinnia Tadeusza. Podstawą jest pismo Stachowskiej, która przyznaje, że ojcem dziecka jest szofer Sobkowiak. Po wojnie przez kilka lat nic się nie dzieje. Stachowska nie wraca do Gostynia, gdyż musiałaby stanąć przed sądem za kolaborację, denuncjację i próbę wpisania się na listę narodowościową. Wychodzi też na jaw, że została aresztowana przez gestapo, w więzieniu wyleczono ją z choroby wenerycznej i zesłano do domu publicznego.

W latach 1945-1948 przebywa gdzieś na Ziemiach Odzyskanych, gdzie umiera z powodu kiły w wieku niespełna 30 lat. Sprawę do sądu wnosi opiekun Janiny Kazimiery, czyli jej dziadek, Franciszek Stachowiak. Przechodzi ona przez wszystkie instancje, dociera do Sądu Najwyższego. W międzyczasie z akt sądowych z r. 1942 ktoś usuwa korzystne dla Tadeusza zeznania świadków i pismo Stachowskiej o faktycznym ojcu jej dziecka.

To jego osobisty wróg, urzędnik sądowy Bartosz, po wyzwoleniu komendant Milicji Obywatelskiej, członek SD.

Ostatecznie sąd nie udowodnił ojcostwa, ale dziecko musiało mieć ojca i zapadł wyrok zasądzający alimenty, które Tadeusz płacił do r. 1959.

Wiele można by tutaj napisać o ruchu oporu na terenie powiatu gostyńskiego. Ale to odrębny temat, zbyt obszerny na to opracowanie. "Czarny Legion" był organizacją wywodzącą z pracowników Huty Szkła, w ich szeregi wkradł się konfident gestapo i całe kierownictwo zostało ścięte gilotyną w więzieniu w Dreźnie.

Bataliony Chłopskie zajmowały się głównie organizowaniem sieci nasłuchu radiowego, czyli tym, co Tadeusz prowadził indywidualnie już w r. 1939.

Zajmował się tym Michał Glura i jego syn Franciszek. Pisaniem i redagowaniem bieżących wiadomości zajmowali się brat Franciszka Jan Glura i Jan Woźny. Gazetki rozchodziły się do zaufanych ludzi w okolicznych wioskach. W połowie września 1941 roku aresztowano brata i przeprowadzono kilkugodzinną rewizję u ojca. Przez przypadek znaleziono dobrze ukryte radio w wydrążonym pniu do rąbania drzewa. Bratu Janowi udało się zbiec z aresztu w Krobi. Franciszek i jego ojciec dostali się do więzienia w Lesznie, gdzie byli katowani przez gestapo. Na trzy tygodnie trafili do Fortu VII w Poznaniu, gdzie miały miejsce dalsze przesłuchania. Ze względu na umiejętności stolarskie zatrudniono go przy budowie nowego obozu w Żabikowie pod Poznaniem. 23 lipca 1943 roku został wywieziony do Oświęcimia i odtąd był numerem 131046. Trafił tam również jego ojciec, dla którego pobyt w obozie skończył się śmiercią. W styczniu 1945 roku ewakuowano obóz na zachód. Spośród ok. 4 tysięcy więźniów większość,

po kilku dniach marszu przy dwudziestu paru stopniach mrozu i buncie w przygodnym obozie Blechhammer, zmarła. W lutym Franciszek Glura wrócił pieszo z obozu do domu.

Tadeusz przyjaźnił się Franciszkiem Glurą, połączyło ich zamiłowanie do radiotechniki. Glura założył w mieszkaniu warsztat i zarabiał na życie naprawiając radia. Znałem go dobrze, gdyż mieszkaliśmy w pobliżu.



50. Esesmani gostyńscy - r. 1944

Nadszedł w końcu dzień, który mógł skończyć się tragicznie dla naszej rodziny. Był wczesny ranek, poniedziałek, 11 lipca 1944. Nagle o drzwi mieszkania rodziców Krysi zaczęły uderzać kolby karabinów. Padły szybkie komendy żandarmów niemieckich. Pakować się, każdy po jednej walizce i marsz na dworzec kolejowy. Zostaniecie wywiezieni na roboty do Niemiec. Stefan Niewiarowicz znający doskonale niemiecki zaprotestował wskazując na Krysię, która była na ostatnich nogach w ciąży ze mną. Tutaj Niemiec zawahał się. Poleciał udać się ojcu Krysi do starostwa i załatwić odroczenie wysyłki na roboty. Stefan pracował w starostwie, jako kreślarz i znał tam wszystkich. Odpowiedni dokument uzyskał stosunkowo szybko i groźba wyjazdu do Niemiec, które były w tym czasie intensywnie bombardowane, została oddalona. W międzyczasie pojawił się na cegielni Tadeusz i po paru godzinach napięcia wszyscy razem dziękowali losowi, że mogli pozostać razem. Termin mego porodu minął 10 lipca, ostatecznie przyszedłem na świat 17 lipca, trzy dni przed zamachem na Hitlera i pięć dni przed ogłoszeniem Manifestu Lipcowego. Tym samym najpewniej uratowałem rodzinę i samego siebie przed wywózką pod bomby

alianckie. Był to ostatni transport gostynian na roboty do Rzeszy, nie wszyscy powrócili po wojnie do swoich domów.

Jako, że rodzice pracowali w laboratorium fotograficznym, moje pierwsze dni na tym świecie zostały zarejestrowane niemal dzień po dniu.

http://zbigkurzawa.eu/GENEALOGIA/1_rok/1st01.html

Klęska "Tysiącletniej Rzeszy" zbliżała się szybkimi krokami. Tadeusz został wezwany do gestapo w Lesznie, gdzie przez trzy dni przesłuchiwany w sprawie posiadania radia i ukrywania osób poszukiwanych. Były to stare sprawy, a gestapo nie miało żadnych nowych świadków. Nie został jedna zwolniony do domu, a skierowano go do pracy przy kopaniu rowów przeciwczołgowych w rejonie Stare Długie niedaleko Leszna. Krysia umierała z niepokoju, sądziła że Tadeusz został aresztowany i wywieziony do obozu. Na szczęście po tygodniu otrzymał on przepustkę i mógł odwiedzić rodzinę. Potem trzeba było powrócić do budowy umocnień, kolejna przepustka została udzielona na święta 24-27 grudnia 1944, potem powrót do Starych Długich do 20 stycznia 1945 r.



51. Ucieczka Niemców z Gostynia - 20.01.1945

Około 20 stycznia 1945 roku Niemcy z powiatu gostyńskiego zaczęli uciekać na zachód. Niemcy z okolic Ponieca przenieśli się do Pawłowic, licząc, że linia frontu szybko się cofnie. Część zabierała ze sobą polskich furmanów. Widać było wypakowane samochody, wozy konne, małe wózki pchane przed sobą.

Czasami Niemcy organizowali duże tabory: na przykład 19 stycznia z Piasków ruszył transport około 200 wozów konnych eskortowanych przez uzbrojonych Niemców. Gostynianie czuli, że zbliża się decydująca zmiana ich sytuacji. Okupanci przestali być już tak pewni siebie, nadal jednak pozostawali groźni. Mieszkańcy z nadzieją obserwowali wycofujące się oddziały niegdyś wielkiej i niepokonanej armii Hitlera. Teraz często ich widok był żałosny. Wycofujące się oddziały węgierskie ograbiły podczas stacjonowania, klasztor na Świętej Górze. Przy okazji Madziarzy porzucili swoje mundury i przebrali się w czarne uniformy strażackie. Resztki armii walczącej na wschodzie wycofywały się w nieładzie. Jadący na koniu żołnierz niemiecki ciągnący sanki, na których siedzi jego kolega: to obrazy zapamiętane przez mieszkańców Gostynia z tamtych styczniowych dni. Żołnierze Wehrmachtu często wchodzili do polskich domów, prosząc o gorącą wodę i gotowali sobie kawę lub herbatę. Styczeń 1945 roku był bardzo mroźny. Sporym problemem był brak chleba. Obrabowane przez uciekające wojsko sklepy zostały pozamykane. Ludzie bali się wychodzić na ulice, często do sąsiadów przemykano się ogródkami. W styczniu 1945 roku starosta gostyński dr Reichelt nawoływał przez ustawione na ulicach głośniki by żołnierze z rozbitych jednostek Wehrmachtu zgłaszali się do tworzących się oddziałów Volksturmu. W mieście krążyła informacja, że Niemcy będą wysadzać zakłady pracy i duże budynki, wcześniej gromadząc w nich ludzi. Ludność zmuszano do kopania rowów. Jeszcze w czwartek 25 stycznia w Gostyniu pełno było niemieckich czołgów. Tego dnia ewakuowano szpital z całym sprzętem medycznym. Po południu ewakuował się landrat i władze administracyjne miasta z burmistrzem Stolpe. W dniu 21 stycznia zakwaterowany został w gostyńskim gimnazjum specjalny oddział Wehrmachtu, którego celem miało być zniszczenie miasta przed wkroczeniem Armii Czerwonej. W nocy z 21 na 22 stycznia miastem nagle wstrząsnął wybuch. Część gmachu liceum runęła. Nie wiadomo, co się właściwie stało. - *Podobno był jakiś zdrajca wśród Niemców* - wspomina Tadeusz Krysztofiak. - *Volksturm miał likwidować zakłady w Gostyniu i wysadzać ludzi. Jeden z nich nie chciał, by ginęli niewinni cywile.* Według relacji Krysztofiaka, z ruin wyciągano zwłoki ofiar wybuchu. Czy wybuch był przypadkiem, wynikiem nieostrożnego obchodzenia się z materiałami wybuchowymi zgromadzonymi w budynku liceum, czy też celową działalnością, pozostanie tajemnicą.

25 stycznia, około 10 rano od strony Piasków wkroczyła do Gostynia Armia Czerwona. To była pierwsza próba wejścia. Kilku Niemców schroniło się w budynku rozdzielni gazu przy drodze Piaski- Gostyń. Jeden z nich zbił szybę i w ten sposób z karabinem maszynowym oczekiwali na Armię Czerwoną. -

*Podjechał jeden czołg - mówi o tych wydarzeniach Tadeusz Krysztofiak. - Żołnierze radzieccy nie spodziewali się nagłego ostrzału. Wyszli. Byli młodzi i ...pijani. Jeden z nich niósł czerwoną flagę. Pod ostrzałem z budynku z rozdzielni zginęło 4 lub 5 żołnierzy. Kierujący czołgiem wycofał się w kierunku Piasków. Ranni zostali umieszczeni w szpitalu wojskowym w Marysinie. Kolejne czołgi nadeszły ze strony Piasków i Godurowa, a także od Podrzecza. Ludność cieszyła się z wyzwolenia. Oficer rosyjski szedł z ubezpieczeniem przez miasto –wspomina Jan Tomaszewski- Koło obecnej apteki w Rynku zostali przywitani kwiatami. Podobno pojawiły się na domach biało-czerwone flagi. Mimo iż bano się, że linia frontu może się nagle załamać i w każdej chwili Niemcy mogą powrócić, jawnie manifestowano swą radość. Na Bojanowskiego ludzie witali Armię Czerwoną z wódką i kiełbasą. Sowietci byli jednak nieufni, obawiali się trucizny; najpierw kazali spróbować „poczęstunek” Polakom. To samo spotkało Stefana Niewiarowicza, kiedy witał Rosjan chlebem i bimbrem własnej roboty. Dzięki tej "produkcji" w ostatnich latach wojny nasza rodzina miała w bród mięsa, masła, jaj i serów. Rosjanie jechali przeważnie konno, samochodów prawie nie było. Według relacji osób, które witały ich w okolicach kina: *Banda! Każdy inaczej ubrany. Zamiast wojskowych pasów, przepasani sznurkami.* Rosjanie nie wyglądali na armię odpowiednio wyposażoną: zwinięte w rulon i przewieszane w pół koce, dziurawe spodnie, a niektórym przez dziury widać było części bielizny. Całość wzbudzała zdziwienie i litość. *Rosjanie chodzili ubrani w tak zwane „szynele” -- czyli płaszcze związane sznurkiem.* Tylko niektórzy, najczęściej oficerowie, mieli żołnierskie buty. Większość nosiła *sapogi* – obuwie z filcu, zwane również walonkami. Tylko niektórzy mieli plecaki i, co odróżniało ich od armii niemieckiej, nikt nie posiadał maski przeciwgazowej. Obrazu dopełniały karabiny - *pepesze* na sznurkach. *Byli zaniedbani, brudni i zmęczeni.* Po ucieczce Niemców Polacy zabierali rzeczy pozostawione w klasztorze, który wówczas pełnił rolę szkoły strażackiej. Gostynianie przebrani w mundury strażackie zostali zatrzymani przez Sowietów. Według jednej z relacji byli to polscy uczniowie uczący się w tej szkole, według innej po prostu mundury te były dobrej jakości, a zapotrzebowanie na ubrania było duże - więc gostynianie korzystali z tych uniformów. Rosjanie prowadzili ich w kierunku Leszna. Na Rynku Polacy prosili, by ich nie zabijać, by wypuścić. Oficer radziecki stwierdził jednak, że najpierw musi się skontaktować ze swoją władzą zwierzchnią. Aresztowani zostali uwolnieni dopiero przy strzelnicy, musieli jednak zostawić mundury. Powiat gostyński został wyzwolony przez wojska I Frontu Ukraińskiego, w czasie bezpośrednich walk poległo ok. 130 Rosjan. W walkach o Gostyń zginęło 18 żołnierzy. Żadne źródło nie wspomina o ostrzale wkraczających wojsk*

sowieckich przez ciężki karabin maszynowy ulokowany na wzniesieniu w rejonie ulicy Górnej. Naocznym tego świadkiem był Tadeusz. Z militarnego punktu widzenia był to stanowisko najbardziej zagrożające wkraczającej z kierunku wschodniego Armii Czerwonej i przyniosło jej największe straty. Zanim ogień z dział czołgowych mógł zniszczyć tą pozycję, Niemcy wycofali się w kierunku na Leszno porzucając ckm z amunicją.

4/ Gostyń po wojnie

Komendantem wojennym na powiat gostyński został major Szałow, a jego zastępcą mjr Paweł Swirydow. Mieszkańcy pamiętają jego przemówienie na Rynku. Mówił wtrącając słowa polskie. Pierwszy sztab radziecki znajdował się w domu państwa Dolatów, a później u Grzymisławskich przy ulicy Wrocławskiej. Komenda policji politycznej NKWD mieściła się w budynku na rogu ulicy Kolejowej i Wiosny Ludów, natomiast spali oni w czerwonym budynku przy ulicy Kolejowej. Po wojnie ulica ta nosiła nazwę Józefa Stalina, a później Polskiej Partii Robotniczej.

27 stycznia utworzono Komitet Obywatelski, którego zadaniem było zorganizowanie administracji oraz organów porządkowych. Komitet liczył 18 osób, byli to przedwojenni radni i członkowie zarządu miasta. Do tego doszli delegaci KRN i Wojska Polskiego (por. Momot).

W dniu 30 stycznia 1945 roku powołano Tymczasową Radę Powiatową w Gostyniu w składzie: Waław Zygmąński, Franciszek Dworzak, Stanisław Hibner, Józef Sobierajski i Walerian Woźny. Pierwszym starostą po wojnie został były księgowy wydziału powiatowego- Waław Beczkiewicz. Powołano także Milicję Obywatelską. Jej pierwszym komendantem został Jan Bartosz. Później zostanie on zaciekłym wrogiem Tadeusza, który doprowadzi do jego dymisji i wyrzucenia ze stronnictwa SD. Później Bartosz zostanie usunięty z grona radnych MRN za nieustanne kopanie dołków pod burmistrzem. Przyczyna była prosta, Bartosz uważał, że to on powinien zostać burmistrzem z tytułu wieku i wykształcenia. Jednak miał on maturę, podobnie jak Tadeusz i był urzędnikiem sądowym średniego szczebla. W czasie, gdy kształtowały się nowe władze był bezpartyjny, nie miał więc żadnego poparcia politycznego. Nie miał dobrej opinii w Komendzie Wojennej miasta, jako sanacyjny urzędnik sądownictwa.



52. Oficerowie komendy wojennej Gostynia - 1945 r.

Szefem bezpieczeństwa na powiat gostyński został por. Stanisław Momot. Tymczasowa Rada Powiatowa powołała 30 stycznia 14. osobową Radę Miejską Gostynia. Znalazło się w niej 8. radnych sprzed wojny. Z kolei Rada Miejska powołała tymczasowego burmistrza, którym został sekretarz przedwojennego Zarządu Miejskiego Kazimierz Mrowiński. Takie ukształtowanie nowych władz nie było na rękę powstałej właśnie nieformalnej komórki Polskiej Partii Robotniczej. Na jej czele stanął były działacz KPP Ludwik Wolski. Członkami zostali: Jan Hałas, prac. umysłowy, Stanisław Juskowiak, robotnik (kuzyn Stanisławy) oraz m.in. Tadeusz Penkalski, nauczyciel. Przed wojną mój ojciec był raczej apolityczny, nie należał do żadnej organizacji za wyjątkiem ZNP. W lutym 1945 roku orientował się jednak, z której strony wieje wiatr historii, stąd decyzja o wstąpieniu do PPR. Nie był przecież posiadaczem, nie miał majątku, a miał rodzinę na utrzymaniu, która w grudniu tego roku miała się powiększyć o córeczkę. Pochodzenie - co było w tym okresie bardzo ważne, też miał robotnicze, gdyż jego ojciec przepracował w fabryce porcelany 50 lat. Jego stosunki z komendą wojenną układały się znakomicie dzięki doskonałej znajomości języka rosyjskiego. Nie nabył jej tylko w szkole, zbyt krótko trwała w niej nauka w tym języku. W znacznym stopniu był samoukiem, gdyż pogłębiał znajomość rosyjskiego lekturą książek i gazet oraz konwersacją przy każdej okazji. Przed wojną żyła w Polsce spora grupa białych emigrantów, którzy po rewolucji uciekli z ZSSR. Tadeusz miał wśród nich znajomych jeszcze z Ostrowca. Szacunek Rosjan budziła też niezwykła zdolność Tadeusza do popijania z nimi alkoholu, nieraz przez całą noc. A pito często spirytus i to szklankami. Dzięki temu Tadeusz mógł od ręki załatwiać sprawy ważne dla miasta. W odbudowę zniszczonego w 70% gimnazjum zaangażował się bardzo mjr Paweł Swirydow.

Sam jeździł do innych komendantów i załatwiał potrzebne materiały budowlane. Po wyzwoleniu nie postrzegano Rosjan, jako nowych okupantów, jak głosi dzisiejsza propaganda rodem z IPN. Panowała wielka radość z klęski znieawidzonego okupanta hitlerowskiego, a wcześniej pruskiego zaborcy. Zniknęło stałe zagrożenie życia, otwarto kościoły zamienione w czasie okupacji na magazyny czy koszary, jak klasztor gostyński, poprawiło się zaopatrzenie w żywność. Do miasta wracali wywiezieni na roboty do Niemiec (660 osób) oraz więźniowie obozów, którym udało się przeżyć (152 osoby, zginęło 65). Wracali też wysiedleni ze swoich domów, których było 1734 osoby. Nigdy nie wróciło 320 osób zamordowanych lub zmarłych w wyniku represji niemieckich. Blisko 40% ludności polskiej było dotkniętych eksterminacyjną polityką okupanta. Przypomnijmy, że we wrześniu 1939 r. Gostyń liczył 7687 mieszkańców narodowości polskiej.

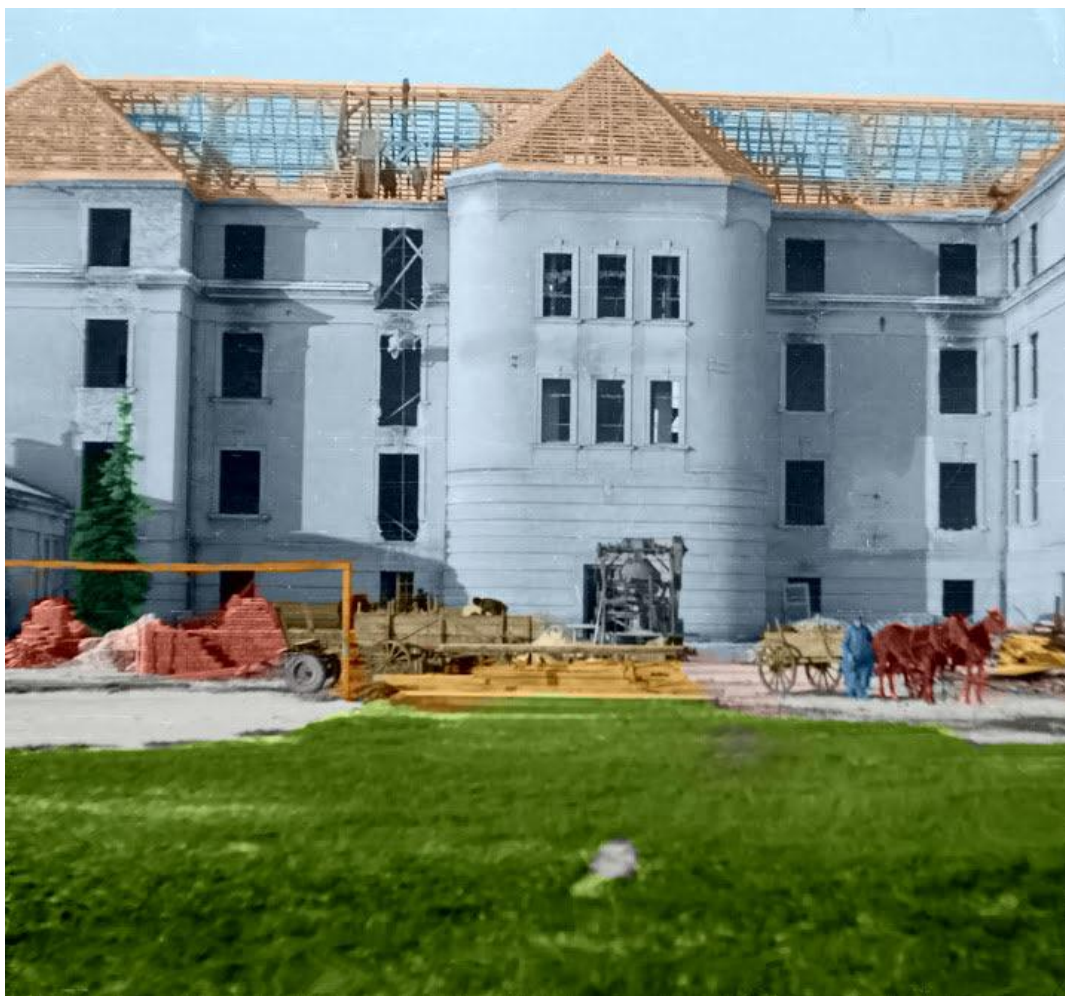
22 lutego 1945 przybył do Gostynia pełnomocnik Rządu Tymczasowego porucznik Marcin Mazurek. Razem z nim z ramienia KC PPR przyjechał Marian Sobisiak (1908-1879) i razem z władzami miasta i powiatu uzgodnili podział mandatów. Do rad miało wejść 70% robotników i rzemieślników, 10% przedstawicieli inteligencji, 10% kupców i 10% przedstawicieli wolnych zawodów. Zgodnie z tymi zasadami 24 lutego 1945 na uroczystym zebraniu dokonano wyboru Miejskiej Rady Narodowej. Rada z kolei dokonała wyboru prezydium z przewodniczącym rady, burmistrzem i wiceburmistrzem. Burmistrzem został Tadeusz Penkalski (PPR), jego zastępcą i jednocześnie delegatem do Powiatowej rady Narodowej Jan Migas (bezpartyjny, później w SD).

Nastąpiły tygodnie i miesiące żmudnej pracy w celu przywrócenia do normalnego życia miasta i odbudowania zniszczeń wojennych. Trzeba było dokonać rozgraniczenia między miastem, a sąsiednimi gminami. To zadanie latem 1945 na poniższym zdjęciu wykonuje komisja Miejskiej Rady z burmistrzem Tadeuszem Penkalskim na czele (trzymaj mapę z prawej).



53. Komisja MR z burmistrzem miasta w terenie - lato 1945 r.

Zaraz po ustąpieniu zimy przystąpiono też do odbudowy gimnazjum. Na czele komitetu odbudowy stanął dyrektor cukrowni Zygmunt Psarski. Gmach leżał w gruzach, a mimo to już 24 kwietnia 1945 roku rozpoczął się pierwszy po wyzwoleniu rok szkolny w Miejskim Gimnazjum i Liceum Koedukacyjnym Ziemi Gostyńskiej w Gostyniu. Odbudowa gmachu, w której aktywnie uczestniczyli uczniowie, już w letnie wakacje 1946 roku była na ukończeniu. W dniu 22 czerwca tego roku odbyła się pierwsza matura, którą zdało 12 osób. Z dniem 1 września 1947 roku gimnazjum zostało upaństwowione i przyjęło nazwę: Państwowe Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcące w Gostyniu Poznańskim.



54. Odbudowa gimnazjum w Gostyniu - kwiecień 1945

W okresie powojennym na terenie powiatu gostyńskiego działały różne ugrupowania zbrojne określane w czasach PRL-u mianem band. Dziś wiemy, że były to oddziały WiN, czy pozostałości po formalnie rozwiązanej Armii Krajowej. Działały także autentyczne bandy złożone z dezertarów z Armii Czerwonej oraz pochodzenia własnego. Ojciec mój jadąc samochodem w końcu roku 1945 został w okolicach Leszna zatrzymany przez patrol w mundurach sowieckich. Ponieważ była to powszechna wówczas praktyka zwolnić, ale zaniepokojony dziwnymi okolicznościami tej kontroli przyspieszył nagle i uciekł ratując być w ten sposób życie. Otóż patrol ten zatrzymał go w środku lasu, a Sowieci nie mieli własnego pojazdu i wyglądali dziwnie - nieogoleni, mundury brudne i obszarpane. Rzeczony patrol pożegnał ojca długą serią z pepeszy, na szczęście niecelną. Po zgłoszeniu tego incydentu władzom bezpieczeństwa okazało się, że

w tym rejonie nie było żadnych legalnych patroli czerwonooarmistów. Na początku września 1945 pojawiła się na terenie powiatu gostyńskiego dobrze uzbrojona 40. osobowa grupa dowodzona początkowo przez "Dzielnego", a potem "Kościuszkę". Nie znam politycznego pochodzenia tej formacji, która z czasem rozrosła się do blisko 100 osób. W marcu i kwietniu 1946 roku oddział ten dwukrotnie obrabował bank włościański w Krobi, napadał też na gminne spółdzielnie, PGR-y i osoby prywatne. Kilkanaście zbrojnych potyczek z milicją i ubowcami nie doprowadziło do rozbitcia tego oddziału, a wśród poległych funkcjonariuszy byli Henryk Lisicki i Kazimierz Urbański. Na terenie tym działały także oddziały "Wichra" oraz "Błyska", ale były to grupy mniej liczne, 15-30. osobowe. W dniu 23 września 1946 roku w okolicach wsi Stankowo w pobliżu Gostynia rozegrała się zacięta bitwa pomiędzy oddziałem "Kościuszki", a siłami KBW (Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego), milicji i PUB (Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa). Kilka dni po tym starciu dowódca grupy postanowił się ujawnić i skorzystać z amnestii. Wraz z nim ujawniło się 41. jego żołnierzy, którzy zdali 31. sztuk broni palnej, 7 granatów i 217 sztuk amunicji.

Ich dowódca Marian Rączka ps. "Kościuszko", "Błysk" i "Ogień", wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Poznaniu, dnia 27 stycznia 1951 r. został skazany na karę śmierci. Dnia 4.06.51 r. wyrok złagodzony decyzją Prezydenta Bolesława Bieruta na dożywotnie więzienie. Warto prześledzić drogę życiową tego odważnego człowieka, gdyż Tadeusz był kilkakrotnie na obławach służb bezpieczeństwa kierowanych przeciwko dowodzonym przez niego oddziałom zbrojnym. Z czasem stał się legendą ziemi gostyńskiej.

Urodził się 22 grudnia 1925 roku w Gostyniu. Był synem Jana i Marii z domu Furmaniak. Jesienią 1939 roku cała rodzina została wysiedlona przez Niemców do Czerniewic (powiat Tomaszów Mazowiecki), gdzie początkowo pracował jako parobek przy pasieniu krów, a następnie jako pomocnik rzeźnika u Jana Komińskiego w Wawrze pod Warszawą. Tam jesienią 1941 roku zetknął się z podziemną organizacją, prawdopodobnie z Narodową Organizacją Wojskową, do której wstąpił i przyjął pseudonim „Tarzan”. Dowódcą tej grupy był Edward Wikliński ps. „Brzoza”. Za szmugiel mięsa Marian został aresztowany przez gestapo i wywieziony na roboty do Niemiec, skąd po pewnym czasie uciekł i przedostał się do Kutna. Parę miesięcy później ponownie został zatrzymany, znowu w czasie transportowania uciekł i wyruszył w kierunku Warszawy. Po dotarciu do stolicy nawiązał kontakt ze swym dawnym dowódcą, który skierował Rączkę na kurs podoficerski AK do Puszczy Kampinoskiej. Po ukończeniu szkolenia został mianowany na stopień starszego sierżanta i objął funkcję dowódcy plutonu żandarmerii o kryptonimie „4-T”, którego zadaniem było likwidowanie szpiegów, konfidentów, Polaków współpracujących z

Niemcami. W sierpniu 1944 roku wziął udział w powstaniu warszawskim, gdzie za męstwo i odwagę został odznaczony Krzyżem Walecznych. Po upadku powstania wydostał się wraz z ludnością cywilną z Warszawy i został skierowany do obozu przejściowego w Pruszkowie. Stamtąd hitlerowcy wywieźli go do prac fortyfikacyjnych w Wielkopolsce. W styczniu 1945 roku korzystając z paniki, jaka wybuchła wśród Niemców przed zbliżającym się frontem uciekł do rodzinnego miasta.



55. Marian Rączka

Po wyzwoleniu Gostynia, wstąpił ochotniczo do tworzonej właśnie Milicji Obywatelskiej, a następnie został przeniesiony do Pudliszek, gdzie pełnił stanowisko komendanta obozu jeńców niemieckich. W sierpniu 1945 roku wrócił do Gostynia i pracował, jako dyżurny centrali telefonicznej w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego. Zimą nawiązał kontakt z oddziałem AK „Dzielny”. Pomógł mu w tym Ludwik Kuklewski, wartownik UB w Gostyniu, którego brat był członkiem oddziału i występował pod pseudonimem „Wilk”. Akowcy zaproponowali Rączce i Kuklewskiemu, aby pomogli uwolnić aresztowanych partyzantów: Edwarda Paizerta, Jana Kaczmarka, Edmunda Książkiewicza, Bronisława Bartule, Jana Sowińskiego. Akcja ta z nieznanych przyczyn jednak nie doszła do skutku. Bezpieczeństwo zaczęło podejrzewać obu funkcjonariuszy o współpracę z podziemiem, jednak początkowo z braku konkretnych dowodów nie mogli zostać aresztowani. W styczniu 1946 roku przeniesiono obu do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu, gdzie 2. lutego zostali zwolnieni z resortu. Trzy dni później osadzono

ich w areszcie przy ulicy Kochanowskiego w Poznaniu, pod zarzutem współpracy z „reakcyjnymi bandami”. We wspólnej celi znajdowało się, oprócz Rączki i Kuklewskiego 16. więźniów, w tym pochodzący z Gostynia Antoni Piotrowiak. W nocy z 23 na 24 marca 1946 roku, po wyłamaniu krat w celi aresztu, więźniowie zbiegli. W okolicach Bielewa 26 marca Rączka i Piotrowiak wstąpili do oddziału partyzanckiego „Dzielny”, którego dowódcą był w tym czasie „Żyd” (nazwisko nie ustalone). W wyniku rozłamu, 27 kwietnia 1946 roku dowództwo nad partyzantami przejął Marian Rączka i pełnił tę funkcję do 27 września, tj. do momentu ujawnienia się oddziału przed organami bezpieczeństwa publicznego w Gostyniu. Parę tygodni później, 22 października 1946 roku został zatrzymany i osadzony w areszcie na siedem miesięcy. Po wyjściu na wolność 13 maja 1947 roku przez rok pracował w warsztacie samochodowym u Lisieckiego w Gostyniu. Niestety pracę tę musiał porzucić, ponieważ właściciel firmy miał kłopoty z tytułu zatrudnienia tak „niewygodnej” osoby. Postanowił w poszukiwaniu pracy wyjechać z Gostynia. W Nosolicach pow. Głogów, otrzymał posadę ślusarza w tamtejszej cukrowni. W lutym 1949 roku spotkał się z Ludwikiem Sinickim zamieszkałym w Ciosańcu pow. Wolsztyn. W trakcie rozmowy okazało się, że Sinicki w czasie II wojny światowej był żołnierzem AK, a po jej zakończeniu dalej działał w konspiracji. Musiał się ukrywać, ponieważ groziło mu aresztowanie. Mimo wszystko postanowili nawiązać kontakt z organizacjami niepodległościowymi i kontynuować walkę z „władzą ludową”. Dlatego też Rączka w niedługim czasie podjął współpracę z organizacją AK „Zawisza”, działającą w Krobi. Od tej pory będzie występował pod pseudonimem „porucznik Błysk”, major „Stanisław Kosowski”, i „pułkownik Ogień”. Dnia 23 lipca 1949 roku Marian Rączka został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa.

Postanowieniem z 22 czerwca 1956 roku karę dożywocia na mocy amnestii złagodzano do 12 lat więzienia. Dnia 5 czerwca 1957 roku orzeczono zwolnienie z odbywania reszty kary i Marian Rączka opuścił mury więzienia we Wronkach. Na tym nie zakończyły się jego perypetie z organami bezpieczeństwa i służbami więziennymi. 13 grudnia 1981 roku w chwili ogłoszenia stanu wojennego został internowany i osadzony w areszcie śledczym w Ostrowie Wielkopolskim, a następnie w DarłóWKu. Miejsce internowania opuścił 2 lutego 1982 roku. Zmarł 1 maja 1985 roku.

W zbiorach mego ojca zachowała się unikalna fotografia oddziału Rączki, gdzie łatwo rozpoznać jego dowódcę stojącego w środku. Jest chyba najmłodszy z całej grupy, w r. 1946 miał 21 lat i fakt ten uratował mu zapewne życie, gdyż Bierut najczęściej, choć nie zawsze, ułaskawiał młodych dając im szansę "naprawienia błędów".



56. Partyzanci Rączki - r. 1946

Zorganizowany, zbrojny opór przeciwko władzy ludowej, jak się wydaje, wygasł po 1947 roku. Nie było w tym rejonie dużych kompleksów leśnych umożliwiających przetrwanie większych oddziałów partyzanckich, jak na wschodzie kraju.

Konspiracja natomiast trwała i rozwijała się aż do roku 1954. Odrodziła się też w gostyńskim Liceum Ogólnokształcącym. W roku 1950 UB dokonał tam aresztowań wśród uczniów planujących rzekomo akty sabotażu na linii kolejowej do Kościana. Nie wiadomo do końca, czy nie była to prowokacja Urzędu Bezpieczeństwa, szczególnie aktywnego w tych latach. Inna grupa konspiracyjna z tego terenu to *Hultajska Piątka* Andrzeja Jankowiaka działająca w latach 1952-53 na terenie powiatu gostyńskiego. Nieco wcześniej, w latach 1950-51, działała grupa konspiracyjna wśród uczniów o nazwie "*Harcerstwo*". Wywodziła się ona z podgostyńskich Piasków, a kierował nią Feliks Szlachetka. Akta sądowe ostatniej konspiracji w gimnazjum gostyńskim najprawdopodobniej nie zachowały się. Pamiętam natomiast, że po jej wykryciu zwolniony został ze stanowiska dyrektor gimnazjum w latach 1948-54 Antoni Szymański, nota bene nasz sąsiad.

Lista organizacji podziemnych działających na terenie Wielkopolski opracowana przez Henryka Czarnieckiego liczy 166 pozycji. Jej autor powiedział mi :*" Moja strona to tylko "Przewodnik po dokumentach sądowo - więziennych dotyczących organizacji niepodległościowych Wielkopolski 1945-1956". Jest bardzo dużo braków, a to z powodu braku akt spraw sądowych czy prokuratorskich. Proszę pamiętać, iż moje opracowanie dotyczy jedynie organizacji rozpoznanych i zlikwidowanych. Wiele z nich dzięki Opatrzności*

ocalało. Ludzie ci uniknęli więzienia, a zatem nie mogą być wymieniani w "przewodniku po dokumentach".

W latach okupacji na terenie Wielkopolski działały formacje konspiracyjne wywodzące się ze środowiska endecji, czyli tzw. Obóz Narodowy i Narodowa Organizacja Wojskowa, a później od 1942 r. Narodowe Siły Zbrojne. Rejon Gostynia podlegał prawdopodobnie pod komendę powiatową w Jarocinie należącą do podokręgu kaliskiego. Komendantem tego powiatu był ppor. Franciszek Lubiowski ps. "Andrzej". Po wojnie działały nieliczne grupy tzw. podziemia narodowego, ale dowodów na to zachowało się mało. W rejonie Kościana, a więc niedaleko Gostynia miała działać w r. 1946 grupa "Rycerz" dowodzona przez Czesława Lecińskiego ps. "Szeff Czesiu". Nie zachowały się jednak żadne ślady aktywności tej jednostki.

Teren Wielkopolski nie sprzyjał działalności grup konspiracyjnych. Silna była PPR, a pod WUBP Poznań podlegało 3 tys. funkcjonariuszy. W 1946 r. utworzono tutaj Państwowy Komitet Bezpieczeństwa celem koordynacji działań przeciwko siłom podziemia niepodległościowego. Do tego dochodziła Milicja Obywatelska, 14 pułk KBW oraz regularne wojsko w ramach 4 dywizji piechoty. Nie było też rozległych kompleksów leśnych ułatwiających ukrywanie się oddziałów podziemia.



Po wojnie Stefan Niewiarowicz powrócił do swego służbowego mieszkania przy ulicy Dobramyśl, obszernego z pięknym ogrodem, słonecznego.

Uciekający w pośpiechu Herr Dr Karl Heinz Bachmann, wysoki urzędnik hitlerowski, który zajął mieszkanie Stefana pozostawił całą, bogatą bibliotekę, cenne zbiory znaczków pocztowych i wiele innych wartościowych rzeczy. To było i tak mało za pięcioletnie zesłanie rodziny Stefana Niewiarowicza do wilgotnej stróżówki przy cegielni.

Tadeusz przydzielił sobie mieszkanie w nowym budynku wybudowanym przez okupantów dla swoich urzędników i ich rodzin na osiedlu zwanym *Neue Heimat* przy ulicy 3 Maja 5, wkrótce przemianowanej na ulicę Juliana Marchlewskiego.



57. Lokatorzy domu przy ul. 3 Maja 5 - rok 1945

Pozostałe 4 budynki tego osiedla stały przy ul. Nowej, później Feliksa Dzierżyńskiego, a obecnie ks. Olejniczaka.

Nie udało mi się ustalić nazwisk tych pierwszych lokatorów, jednym z nich mógł być por. Momot (w mundurze), szef bezpieczeństwa, pierwszy z prawej w kapeluszu prawdopodobnie komendant MO Bartosz. Budynek ten przez długie lata pozostał "zmilitaryzowany", gdyż na parterze mieszkali kolejni komendanci Milicji Obywatelskiej. Jeszcze w latach 40. na I piętrze naprzeciwko nas zamieszkał dyrektor gimnazjum Szymański, a na parterze lekarka Helena Lejowa z rodziną. Ona jedyna żyje do dnia dzisiejszego dobiegając do wieku 100 lat. Czynsz i inne opłaty za nasze mieszkanie pokrywała Miejska Rada Narodowa. Konkretnie były to opłaty za opał i prąd, a później także za telefon. Zgodnie z pismem Zarządu Miejskiego z 10 października 1946 decyzja ta została zatwierdzona przez Prezydium Powiatowej Rady Narodowej.

W trakcie kadencji Tadeusza na stanowisku burmistrza trwały nieustannie próby skompromitowania go i usunięcia ze stanowiska. Celowali w tym wspomniany tu Bartosz, zastępca burmistrza Migas, radni Szaj i Podgórski. Najwcześniej wyłynęła sprawa ponemieckich skrzyń ze sprzętem czy też złomem elektrotechnicznym, które Tadeusz otrzymał od Rosjan, jako wynagrodzenie za pracę tłumacza na rzecz Komendy Wojennej w Gostyniu. W tej sprawie 24 listopada 1945 r. burmistrz spotkał się z swoim zastępcą Migasem i Kazimierzem Mayerem, członkiem Zarządu Miejskiego. W trakcie tego spotkania Tadeusz przedstawił sprawę uzyskania od Komendy Wojennej budynku, w którym ta urzędowała wraz ze wszystkimi meblami biurowymi. Aby zdobyć oficjalne poparcie władz sowieckich Tadeusz udał się do sztabu dywizji, który mieścił się w Rydzynie k. Leszna. Zarząd wyraził mu podziękowanie za załatwienie tej sprawy i postanowił umieścić w tym gmachu gimnazjum do czasu odbudowy zniszczonego przez okupanta właściwego budynku. Na tym spotkaniu Zarząd Miejski wyraził też zgodę na umieszczenie w magazynach miasta skrzyń ze złomem elektrotechnicznym otrzymanym od Komendy Wojennej na podstawie protokołu zdawczo-odbiorczego z dnia 24.10.45, potwierdzonego przez młodszego lejtnanta Bileńko.

I oto po sześciu latach 5 maja 1951 Prokuratura Powiatowa w Gostyniu kieruje do sądu akt oskarżenia p-ko Tadeuszowi, zarzucając mu przywłaszczenie wspomnianych skrzyń o wartości 50 tys. zł (w starej walucie). Nie jest on już burmistrzem miasta, ale stare sprawy i donosy nadal się za nim ciągną. Sąd uniewinnia Tadeusza od zarzutu przywłaszczenia dobre skrzyń ze złomem wobec oczywistych faktów i zeznań świadków.

Co zawierały sporne skrzynie? Stały w naszej piwnicy, często do nich zaglądałem. Otóż były tam żarówki, dławiki telefoniczne, przełączniki, kable, odgromniki, bezpieczniki, liczniki do prądu stałego, gniazdka telefoniczne, części do akumulatorów, jakieś przekaźniki itp. Praktycznie był to sprzęt nieużywany o nas, w dodatku na prąd stały lub zmienny, ale o częstotliwości 110 V nieużywanej w Polsce. Przeznaczony był do radiostacji wojskowych, centralek telefonicznych i stacji niskiego napięcia.

Co ciekawe ta sama prokuratura 28 lutego 1950 r. umorzyła postępowanie w sprawie przywłaszczenia skrzyń i zarządziła zwrot dowodów rzeczowych. W uzasadnieniu napisano, że brak jest podstaw do wszczęcia postępowania sądowego. Mija rok i po kolejnych donosach prokuratura uznaje za konieczne wniesienie aktu oskarżenia do sądu.

Inny kuriozalny atak na burmistrza nastąpił w listopadzie 1948 r. Znowu mamy tutaj Bartosza, prezesa Stronnictwa Demokratycznego w Gostyniu i jego popleczników Podgórskiego i Szaja. Ten ostatni wnioskuje o votum nieufności dla burmistrza pod zupełnie błahym powodem. Radni nie zgodzili się na ten

wniosek, gdyż powinien on być zgłoszony na piśmie, należycie uzasadniony oraz podpisany przynajmniej przez pięciu radnych. Podgórski nadal próbował zawiesić w czynnościach burmistrza zwołując egzekutywę Komitetu Powiatowego PZPR. Jej uchwała nie mogła być ważna, gdyż egzekutywa była zdekompletowana, a sam Podgórski został wcześniej wyrzucony z PZPR, ale odwołał się i nadal formalnie był członkiem partii. Doszło jednak do podjęcia uchwały Miejskiej Rady Narodowej o zawieszeniu burmistrza, chociaż też nieważnej z powodu braku decyzji Prezydium Wojew. Rady Narodowej. Komitet Wojewódzki zareagował błyskawicznie. Bartosza usunięto z Miejskiej Rady Narodowej, Szaj dostał naganę partyjną, a Podgórskiego ostatecznie wydalonego z szeregów partii.

Wcześniej burmistrz spowodował usunięcie Bartosza ze stanowiska komendanta MO i oskarżył go o przywłaszczenie dwóch kompletów mebli biurowych oraz jednej maszyny do pisania. Poważnym zarzutem było też zatrudnienie przez Bartosza na stanowisku swego zastępcy i śledczego niejakiego Boruszkiewicza, który okazał się być konfidentem gestapo. Przy okazji tego sporu dowiadujemy się, jaki zasługi dla miasta przypisywał sobie Tadeusz po czterech latach urzędowania.

Odbudowanie i wyposażenie gimnazjum, miał tutaj niewątpliwe zasługi, ale była to praca wielu ludzi, nie tylko burmistrza. Budowa chłodni przy rzeźni miejskiej, budowa basenu kąpielowego, elektrowni, zrównoważenie budżetu miasta. Na końcu wymienia swój udział w walkach z bandami. Tu kilka słów wyjaśnienia dla osób nieznających powojennych realiów. Cywilni urzędnicy państwowi nie mieli obowiązku walczyć z oddziałami leśnymi z bronią w ręku. Ale obecność sołtysów, wójtów czy burmistrzów miast w ekspedycjach karnych kierowanych przez urząd bezpieczeństwa czy wojskowe jednostki KBW był pożądanym i dobrze widzianym przez władze. Chodziło tu o szybkie rozpoznawanie osób schwytanych z bronią w ręku, udział w ich przesłuchaniach na miejscu akcji czy też organizowanie pochówków osób zabitych. Ojciec opowiadał mi o tych wydarzeniach, niezbyt chętnie jeździł na akcje, gdyż stanowiły oczywiste zagrożenie dla życia. Sztab jednostek bezpieczeństwa był na ogół lokowany w miejscach oddalonych od strefy walki, ale nieraz kule świsnęły nad głową. Tadeusz miał sporą wiedzę o oddziale Mariana Rączki, którego podziwiali nawet ubecy za to, jak sprytnie unikał zasadzek i wymykał się wielu obławom.

Nie sposób nie wspomnieć o pierwszym ataku na burmistrza Gostynia, który wyszedł z tych samych kręgów związanych ze Stronnictwem Demokratycznym i Polskim Stronnictwem Ludowym kierowanego wówczas przez Mikołajczyka. Stamtąd właśnie wywodził się dyrektor gimnazjum Jan Gruchała. Warto przypomnieć jego drogę życiową. Miałem okazję poznać go osobiście na I Zjeździe Absolwentów gimnazjum gostyńskiego. Trzymał się doskonale i nie wyglądał wcale na swoje lata.



58. Jan Gruchała, pedagog

Urodzony 1 listopada 1911 w Łączynie w pow. kartuskim, zm. 13 czerwca 2006, nauczyciel, pedagog, organizator szkolnictwa, działacz społeczny. Syn Bazylego i Augustyny Hinc, pochodził z kaszubskiej rodziny szlacheckiej. Żonaty z Melanią Marceliną z domu Batura, nauczycielką geografii. Szkołę powszechną ukończył w 1922 w rodzinnej miejscowości, w latach 1922 – 1926 uczęszczał do gimnazjum staroklasycznego w Pelplinie i Kościerzynie, gdzie zdał egzamin dojrzałości. Następnie, w latach 1926-1933, odbył przeszkolenie wojskowe w Dywizyjnym Kursie Podchorążych 4 Dywizji Piechoty w Brodnicy nad Drwęcą. W 1936 nominowany na stopień podporucznika Wojska Polskiego. Jako oficera rezerwy skierowano go do 64. pułku piechoty w Grudziądzu. Od najmłodszych lat interesował się naukami humanistycznymi, szczególnie historią starożytną. W latach 1933 -1937 studiował filologię klasyczną na Uniwersytecie Poznańskim. Pierwszą pracę nauczyciela języka łacińskiego, podjął 1 września 1938 w Prywatnym Gimnazjum w Gostyniu Poznańskim.

Przez rok uczył łaciny moją matkę Krystynę i jej koleżanki. Zawsze był mile wspomniany przez matkę, a spotkanie z nim po latach bardzo ją ucieszyło. W kampanii wrześniowej wojny obronnej 1939, jako żołnierz 64 pułku piechoty Armii „Pomorze” walczył w bitwie nad Bzurą, pod Kutnem, Łowiczem, koło Modlina. Dotarł do Łomianek, gdzie z niedobitkami 16 dywizji piechoty, 24 września dostał się do niewoli niemieckiej.

Przez cały okres okupacji przebywał w oflagu, początkowo w obozie jenieckim w Osterode w górach Harzu, a następnie do 30 stycznia 1945 w Woldenbergu (dzisiaj Dobiegniew). W obozie włączył się w działania Związku Nauczycielstwa Polskiego i organizowania obozowej oświaty, przygotowywania podoficerów i oficerów do wykonywania zawodu nauczyciela po zakończeniu wojny.

Po uwolnieniu z obozu z uwagi na zły stan zdrowia uniknął wcielenia do nowo tworzonych jednostek Wojska Polskiego. Włączył się w odbudowę szkolnictwa polskiego. 7 lutego 1945 podjął się zorganizowania Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego w Inowrocławiu. Wkrótce jednak na polecenie władz oświatowych Wielkopolski udał się do Gostynia i objął w kwietniu 1945 funkcję tymczasowego dyrektora Gimnazjum i Liceum Ziemi Gostyńskiej. Wspólnie z mieszkańcami do sierpnia 1946 odbudowuje zniszczony gmach szkoły. W Gostyniu był także przewodniczącym Prezydium Miejskiej Rady Narodowej i działaczem Polskiego Związku Zachodniego. Na początku 1948 uznany zostaje przez wizytatora ministerialnego za element politycznie niepewny i wyrzucony ze stanowiska dyrektora gostyńskiego liceum. W obronie Jana Gruchały staje kurator poznański i nakłania go do przyjęcia funkcji dyrektora Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego w Pile.

Obok prof. Gruchały do opozycji wobec burmistrza należał od początku Bartosz oraz sekretarz koła SD niejaka Kowalska. To z ich inicjatywy ukazał się w "Głosie Wielkopolskim" z dnia 4 listopada 1945 r. w dziale " Z życia Wielkopolski" artykuł pod fascynującym tytułem "*Germanofile w Gostyniu*".

W artykule tym w sposób bardzo stronniczy było napisane, że burmistrz miasta otoczył niezwykle czułą opieką Niemca Musterera, przydzielił mu w pełni wyposażone mieszkanie i załatwił posadę.

Fakty była całkowicie odmienne. Oskar Musterer nie był Niemcem, a Polakiem repatriowanym z Rzeszy. W sierpniu 1945 r. zajmował się nim Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa i po potwierdzeniu braku jakichkolwiek związków z okupantem niemieckim przekazał go władzom miasta z zaleceniem stworzenia mu warunków egzystencji. Rzekomy Niemiec mógł się legitymować zaświadczeniem, że jest on i jego rodzina Polakiem z Rzeszy z pełnymi prawami obywatelskimi. Repatriant ten nie otrzymał mieszkania z zasobów miejskich, ale

przydział na mieszkanie w budynku prywatnym, które stało nieużytkowane z uwagi na jego zły stan techniczny wymagający remontu. Kłamstwem był też zapis, że burmistrz zatrudniła Musterera, jako stróża ogrodów miejskich, gdyż skierował on go tylko do Urzędu Pośrednictwa Pracy celem rejestracji. Rzeczono wielce przychylny Niemcom burmistrz skierował też do bezpieki wnioski o usunięciu Musterera z miasta, gdyż wydawał mu się on podejrzany. Po publikacji tego artykułu i riposcie burmistrza w Gostyniu nastąpiło trzęsienie ziemi. Zjechały się komisje powiatowe, wojewódzkie, partyjne i urzędnicze. Po roku badania tej nieskomplikowanej sprawy redaktor odpowiedzialny "Głosu Wielkopolskiego" został skazany za zniesławienie, a burmistrz i, przy okazji sam Musterer, zostali całkowicie oczyszczeni. Polak z Rzeszy opuścił pod koniec 1945 r. niegościnnie Gostyń i osiedlił się na Ziemiach Odzyskanych, gdzie do dzisiaj żyją jego potomkowie w okolicach Nowej Soli.

Kolejną potyczkę musiał stoczyć Tadeusz o swoją pasiekę skonfiskowaną przez Niemców w Sikorzynie. Było to 27 nowoczesnych uli typu Dadant Blatt. Ule Dadanta są do tej pory niezwykle w naszym kraju popularne. Nic w tym dziwnego - mają bowiem wiele zalet. Niestety, jak w każdym przypadku, są one okupione pewnymi niedogodnościami.

Niewątpliwą zaletą uli Dadanta jest to, iż mają tylko jedno pomieszczenie gniazdowe, co znacznie usprawnia utrzymywanie kontroli nad pszczelą rodziną. Mają również, do zbierania miodu, osobne plastry, co stanowi kolejne ułatwienie pracy pszczelarza. Niemniej, fakt, iż wykorzystujemy w nich inne ramki do komory gniazdowej, a inne do magazynu plastrów, jest małą komplikacją. Odnowienie konstrukcji jest trudne, a miodu nie da się wybierać w całości. Ul Dadanta jest nierozbieralny (jego warstwy są nieruchome). Dlatego właśnie stosuje się w nim poławiacze wylotowe. Te mają jednak jedną wadę - szuflada ula jest na tyle mała, iż i tak trzeba opróżniać ją każdego dnia.

W poszukiwaniu swojej pasieki Tadeusz zwrócił w kwietniu 1945 do Wielkopolskiego Związku Pszczelarzy o informacje o swojej pasiece. Odpowiedź nadeszła szybko i była, o dziwo, precyzyjna. Ule miały się znajdować w majątku Pijanowice oraz w samym Sikorzynie w gospodarstwie Niemca Fritza Hoffmana. 19 kwietnia Tadeusz zwrócił do Starostwa Powiatowego o zezwolenie na zabranie tych uli. Powiatowe Biuro Rolne wydało stosowne zezwolenie i ule zostały zabrane i przywiezione do ogrodu naszych krewnych Górskich. Zadanie było o tyle proste, że ule tego typu nie były używane na terenie Wielkopolski, zatem łatwo je można było odróżnić. Poza tym były charakterystycznie malowane.

Z Pijanowic ludzie burmistrza przywieźli bez problemów 22 ule, 15 żywych i 7 martwych. Natomiast z Sikorzyna 5 uli i to o nie rozgorzał spór. Na gospodarstwie Niemca Hoffmana siedzieli już repatrianci z Buga, którzy

otrzymali je wraz z ziemią i zabudowaniami, jako rekompensatę z mienie pozostawione na wschodzie. Państwowy Urząd Repatriacyjny stanął w obronie nowych posiadaczy gospodarstwa i pismem inspektora Piotrowskiego z Wydziału Osadnictwa (5.07.1945), zażądał ich zwrotu osadnikom. Musiał jednak ustąpić, gdyż Tadeusz zadbał o stosowne pozwolenia.

Dzięki temu przez następne 12 lat mieliśmy w bród miodu dla własnego użytku, a ja chętnie pomagałem ojcu w prowadzeniu pasieki.

Wróćmy na chwilę do życia prywatnego Tadeusza. Jak wiemy nie mógł on poślubić Krysi w czasie wojny, gdyż obowiązywały niemieckie przepisy dotyczące wieku małżonków, pod koniec wojny jeszcze zastrzone.

Ślub został zatem zastąpiony uroczystością oficjalnych zaręczyn młodej pary w gronie przyjaciół i rodziny.



59. Zaręczyny Tadeusza i Krysi - wrzesień 1944 r.

Ślub był możliwy dopiero po wyzwoleniu i odbył się 3 marca 1945 r. To wtedy Tadeusz formalnie zmienił pisownię swego nazwiska, gdyż obowiązywała nadal pisownia przez "ę" tak, jak w metryce przysłanej z parafii Ćmielów z tej okazji. Następnego dnia odbył się ślub kościelny, gdyż w tym czasie nie obowiązywały rygory formalnego ateizmu dla wysokich rangą funkcjonariuszy państwowych i partyjnych. Prezydent Bierut w otoczeniu biskupów występował w czasie świąt państwowych, a nawet kościelnych, jak Boże Ciało. Sytuacja uległa radykalnej zmianie dopiero po roku 1948.

Zdjęcie poniższe wykonał ojciec Krysi Stefan Niewiarowicz swoim Kodakiem.

Znowu pracuje on w cukrowni, jako szef laboratorium i główny chemik.
9 miesięcy po tym ślubie na świat przyjdzie córka Ewa, moja siostra.



60. Ślub kościelny Krysi i Tadeusza w marcu 1945 r.

Najbliższe lata będą okresem bardzo dla naszych rodzin pomyślnym. Zarówno Tadeusz, jak i Stefan bardzo dobrze zarabiali na swoich eksponowanych stanowiskach. Żona Stefana Aleksandra sprowadziła do Gostynia swoją siostrę Janinę, która przed i w czasie wojny mieszkała w Równem. Jako repatrianci dostali dzięki Tadeuszowi piętro pięknej willi z dużym ogrodem. Ogród był także przy ulicy Dobramyśl, gdzie spędzałem dużo czasu w dzieciństwie.

W naszym domu przy ulicy 3 Maja odbywały się przyjęcia, a dzieci w tym czasie nocowały u dziadków. Zaraz po wojnie w dobrym tonie było gościć naszych wyzwolicieli, którzy chętnie dali się zapraszać do domu burmistrza, który mówił w ich języku i po paru głębszych śpiewał z nimi rosyjskie piosenki wojskowe w rodzaju "Tri tankista" czy "Wołga, Wołga".

Rosjanie i oficerowie UB chętnie polowali na zwierzynę, gdyż lasy były jej pełne. W czasie wojny hitlerowcy polowali raczej na ludzi niż na jelenie.

Tadeusz chcąc, nie chcąc musiał kupić fuzję i sztucer, aby dostosować się do powojennych zwyczajów elity. Na poniższym zdjęciu polował szef bezpieczeństwa por. Momot w środku) w towarzystwie swego kierowcy-ochroniarza (po lewej) oraz gajowego. Był też burmistrz, który zamiast strzelby wolał aparat fotograficzny.



61. Na polowaniu - zima 1945 r.

Letnie wakacje Tadeusz i Krysia spędzali w Gdyni, gdzie Stefan był współwłaścicielem kamienicy przy ulicy Świętojańskiej i miał tam niewielkie mieszkanie w oficynie, gdzie zatrzymywał się przyjeżdżając do Gdyni. Dzieci zostawały pod opieką Stanisławy, ale od 1947 r. byłem już zabierany razem z rodzicami. Nic nie zapowiadało, że wkrótce nadejdzie ponura noc stalinizmu, a zmierzający do grobu dyktator rozpęta orgię zbrodni i prześladowań we wszystkich krajach będących w orbicie wpływów ZSRR. Te trzy lata po wojnie ludzie cieszyli się wolnością, swobodą manifestowania religii i pełnymi towarów sklepami. Pamiętajmy jednak, że wiele miast leżało w gruzach, a pola uprawne leżały odłogiem, często były na Ziemiach Odzyskany zaminowane. Szybka odbudowa przemysłu i rolnictwa była możliwa dzięki odczuwalnej wolności i swobody działania. W rządzie wicepremierem był Stanisław Mikołajczyk, który reprezentował rząd emigracyjny w Londynie. Prezydent Bierut udawał bezpartyjnego prezydenta wszystkich Polaków.

Toczyły się walki z podziemiem niepodległościowym, ale dzięki kilku amnestiom jego szeregi topniały. Marian Rączka skorzystał z takiej amnestii, oddał broń i mógł włączyć się w normalne życie. Dopiero, kiedy ponownie chwycił za broń został skazany na karę śmierci zamienioną na dożywocie.

Kłopoty Tadeusza zaczęły się od wizyty tej *femme fatale* w Wielkanoc 1941 roku w jego mieszkaniu w Sikorzynie. Leżał jeszcze w łóżku, zatem polecił służącej, aby gość zajął się lekturą póki się nie ubierze. Gość jednak wtargnął do sypialni i usilnie próbował uwieść kierownika zamkniętej szkoły. Wiemy dlaczego, panna Stachowiak wiedziała, że jest ciężarna i potrzebowała alibi dla Niemców. Przepisy aborcyjne były bowiem dość surowe. Po dojściu do władzy hitlerowskiej NSDAP system prawny podporządkowany narodowosocjalistycznej ideologii w widoczny sposób zmienił przepisy. Z jednej strony zradyzalizowano przepisy prawne i wprowadzono wysokie kary za przeprowadzenie aborcji, a z drugiej strony dopuszczono ją w wielu kazuistycznie wskazanych wypadkach.

Zabieg aborcji był więc zakazany w przypadku czystej krwi Niemek, w szczególności jeżeli należały one do którejś z organizacji związanej z partią. W roku 1935 powstał *Lebensborn* (pol. Źródło życia), organizacja w założeniu charytatywna, mająca wpierać rozrost niemieckiej populacji. Wśród wielu jego zadań, takich jak opieka nad młodymi matkami czy pomoc socjalna, znalazło się również powstrzymywanie wzrastającej w olbrzymim tempie ilości aborcji. Najpierw wprowadzone zostały bardzo wysokie kary za usunięcie ciąży przez kobiety należące do grupy szczególnie uprzywilejowanych w hitlerowskim państwie. Począwszy od roku 1943 każda „aryjka”, która poddała się aborcji, ryzykowała karę śmierci. Przepisy te usprawiedliwiano w następujący sposób:

Niemka dokonująca aborcji miała przyczyniać się do osłabienia sił III Rzeszy, co stanowiło działanie na rzecz jej wrogów, bowiem odbierała führerowi kolejnego żołnierza. Podobna sytuacja miała miejsce w krajach podbitych przez Hitlera. W roku 1939 na terenie Polski i innych krajów okupowanych wprowadzona została możliwość aborcji na żądanie. Każda obywatelka polskiego pochodzenia mogła bez problemu dokonać zabiegu. Była to oczywiście celowa polityka III Rzeszy obliczona na to, że tym samym uda się zmniejszyć populację podbitych narodów. Propaganda zachęcająca do przeprowadzania zabiegów aborcji była w zasadzie stosowana od Niderlandów, aż po wschodnie rubieże hitlerowskiego imperium. Aby jednak dokonać legalnej aborcji Polka musiała wskazać ojca dziecka. Przepisy zabraniały Niemcom stosunków seksualnych z "niearyjkami" i na odwrót. Czystość rasy była tu najważniejsza. Niemiecki policjant za spowodowanie ciąży Polce mógł zostać wysłany do obozu koncentracyjnego. Panna Stachowicz musiała wskazać na ojca Polaka, gdyż liczyła także na rentę alimentacyjną. I tu się zawiodła, gdyż niemieckie przepisy przewidywały alimenty tylko w przypadku, gdy matka była niezdolna do pracy. Szantaż w stosunku do Tadeusza także się nie powiódł, gdyż jej rodzina przerażona konsekwencjami odwiodła Stachowską od denuncjacji. Mogli oni zostać surowo ukarani za to, że zataili przez władzami posiadaną informację o nielegalnym radiu i nabywali mięso z nielegalnego uboju. Ale sprawa w sądzie grodzkim pod nadzorem Jugendamtu toczyła się w latach 1942-43. Ten sam sąd wydał 26 marca 1942 nakaz karny dla "*szanownego polskiego nauczyciela Tadaucz Penkalski zam. Birkenhain Nr 57, Kreis Gostingen*". Jak wiemy grzywna wyniosła 70 marek za działanie na szkodę narodu niemieckiego. Czyli za zakup 46 parafinowych świec. Nie wiadomo, dlaczego sąd czy Tadeusz podał stary adres zamieszkania w Sikorzynie. Powojenne sądowe kłopoty Tadeusza będą się ciągnęły przez lata i skończą się aresztem i pobytem w więzieniu w Śremie.

Na razie rodzina cieszyła się spokojnym i dostatnim życiem w Gostyniu i wakacjami spędzonymi w Gdyni w mieszkaniu Stefana. Krysia jeździła tam także przed wojną, czyli istniała jakaś ciągłość mimo wojny. Chociaż w centrum stały ciągle ponemieckie ciężkie armaty przypominając straszliwe lata wojny, czekając na przetopienie w hutach na pług.



62. Wakacje w Gdyni w r. 1948. Kamienna Góra

Zaproszenie na egzekucję

W lipcu 1946 r. Tadeusz został poinformowany, że w niedzielę 21 lipca odbędzie się w Poznaniu publiczna egzekucja gauleitera Arthura Greisera. Samochodem ciężarowym przystosowanym do przewozu osób udała się delegacja obywateli z Gostynia, której większość stanowili funkcjonariusze bezpieczeństwa i władz miasta. Oto relacja z tej egzekucji oparta na nagraniach dźwiękowych.

„Dziś, w niedzielę 21 lipca 1946 roku, odbywa się ostatni akt wydarzenia. Pan i władca Warthelandu, ciemężyciel i kat narodu polskiego Arthur Greiser zostanie stracony. Dziś płaci on za ogrom nieprzeliczonych win i zbrodni śmiercią” – tak rozpoczyna się zachowany w archiwach dźwiękowy zapis radiowego reportażu z egzekucji. Tonem sprawozdawcy sportowego Bogusław Borowicz tak relacjonował

to makabryczne wydarzenie na antenie Polskiego Radia: „Już przed godziną 6 wszyscy, proszę państwa, jakby na jakąś majówkę, wybierali się tutaj, na stoki Cytadeli”.

Były namiestnik Rzeszy w Kraju Warty został publicznie powieszony właśnie na stokach poznańskiej Cytadeli, u podnóża ulicy Winogrady i w sąsiedztwie znajdującego się tam od lat 50. XX wieku przystanku tramwajowego. Z całego miasta ściągnęły obserwować egzekucję dziesiątki tysięcy poznaniaków. Mimo zakazu władz wśród obserwatorów było wiele dzieci.

„W tej chwili pod Cytadelę podjechała karetka więzienna ze skazanym Arthurem Greiserem. Jest bardzo spokojny i blady.

W tej chwili oficer władz bezpieczeństwa zawiązuje mu czarną opaskę. Przed chwilą przyjechał prokurator sądu specjalnego i dwóch katów. Kat zbadał szubienicę. Obydwaj ubrani są we fraki, białe rękawiczki i czarne nakrycia twarzy, coś w rodzaju maski. W tej chwili zbliża się do nas Greiser w asyście władz bezpieczeństwa, którzy prowadzą go pod rękę. Wydaje się bardzo załamany, nerwowo wzrusza ustami, proszę państwa, jest bardzo blady”.

Zarejestrowany na taśmie dźwiękowej reportaż spod szubienicy Bogusława Borowicza nie jest fałszywką. On tak rzeczywiście relacjonował:

„Greiser został podprowadzony pod szubienicę. Za chwilę naczelnik więzienia zamelduje prokuratorowi sądu specjalnego o przybyciu oskarżonego. Greiser ma związane ręce do tyłu, czarną opaskę na oczach, w tej chwili wstępuje na szubienicę. Publiczność dotychczas bardzo spokojna niecierpliwi się, proszę państwa, klaszczą, publiczność klaszcze, gwizdże. Greiser w tej chwili już wstąpił na podium, już jest na stołeczku. Kat poprawia mu ręce”.

Na publiczną egzekucję przyjechał z Warszawy operator *Polskiej Kroniki Filmowej*. Na nakręconych w tamtą lipcową niedzielę zdjęciach filmowych pojawia się też sylwetka ówczesnego fotoreportera „Głosu Wielkopolskiego” Kazimierza Przychodzkiego. Media nie zlekceważyły takiego wydarzenia.

„Arthur Greiser zostanie za chwilę stracony. W tej chwili kat nakłada pętlę oskarżonemu na szyję. Greiser jest bardzo spokojny, mimo wszystko wytrzymuje nerwowo. Stoi wyprężony, jest bardzo blady. Głowę ma lekko wzniesioną do góry. W tej chwili kat zawiązał pętlę na szyi, zawiesza ją na haku szubienicy”.



63. Egzekucja A. Greisera, kata Wielkopolski-1946

„Proszę państwa, w tej chwili rozpina się marynarkę skazańca, odwiązuje się jego przepaskę z oczu i lekarz dokona badania [...]. Lekarz stwierdza zgon. Za chwilę Arthur Greiser zostanie zdjęty z szubienicy. Lekarz melduje prokuratorowi sądu specjalnego o zgonie skazańca. Arthur Greiser przestał żyć. Prokurator stwierdza, że wyrok został wykonany zgodnie z przepisami i poleca złożenie ciała skazańca do trumny” – to końcowe słowa sprawozdania Borowicza.

Sprawiedliwości stało się zadość. Człowiek, którego celem było wyniszczenie narodu polskiego umarł jak zwykły przestępca. Rozstrzelani na gostyńskim rynku i wszystkie inne ofiary tego kata zostały pomszczone. Wielka szkoda, że Oskar Knofe, oberpolicjant i esesman w stopniu Brigadeführera (odpowiednik generała majora) uniknął szubienicy. Stało się to dlatego, że w 1942 r. został przeniesiony do Salzburga. Zanim został wydany Polsce był rok 1949 i ten zbrodniarz wykpił się karą zaledwie 8. lat więzienia.



64. Zbrodniarz Oskar Knofe - 1888-1978

To Knofe odpowiadał za potworne zbrodnie popełnione w tzw. Forcie VII. Przez kilka lat obóz ów był jednym z najstraszniejszych miejsc w tej części Europy. Ci więźniowie, których stąd przewieziono do – nazwijmy to tak – normalnych obozów koncentracyjnych, nierzadko pobyt w nich przesadnie porównywali do warunków sanatoryjnych. Więźniów Fortu VII katowano przy lada okazji, kopiając, bijąc kolbami i bykowcami, szczując psami. Wielu z nich umierało z głodu i chorób zwłaszcza, że większość z nich trafiała do fortu po mniej lub bardziej perfidnych torturach w siedzibie gestapo. Tu też wykonywano wyroki śmierci sądu specjalnego, ale też mordowano więźniów, bo jak inaczej nazwać to, co w Forcie VII wydarzyło się 6 stycznia 1940 roku, gdy do jednej z cel wpadli pijani gestapowcy Dibus, Hoffmann i Langer, którzy z broni automatycznej otworzyli ogień do stłoczonych w niej przedstawicieli polskiej inteligencji. Zamordowano między innymi inżyniera architekta i działacza społecznego Stefana Cybichowskiego, historyka sztuki i dyrektora Muzeum Wielkopolskiego Nikodema Pajzderskiego, artystę plastyka, autora wielu rysunków i obrazów przedstawiających wydarzenia z powstania wielkopolskiego Leona Prauzińskiego, profesorów Uniwersytetu Poznańskiego Romualda Paczkowskiego i Stanisława Pawłowskiego, księdza kanonika Kazimierza Szrejbrovskiego i dziewięć innych osób, w tym kilku nauczycieli.

Liczbę ofiar trudno obecnie ustalić, było ich z pewnością kilka tysięcy. Prawie wszystkie obciążają konto Knofoego, gdyż obóz w forcie zlikwidowano w r. 1943, a do końca wojny działała tam firma *Telefunken* produkująca radia dla potrzeb wojska.

Knofe był też wykonawcą planu Greisera dotyczącego masowych wysiedleń Polaków. Do maja 1941 r. z Kraju Warty deportowano w sumie około 272 tys. Polaków. Na ich miejsce sprowadzono ponad pół miliona Niemców. Greiser wprowadził przy tym ostrą segregację narodową, utrudniając jak tylko mógł Polakom możliwość podpisania volkslisty. Tej zasadzie podporządkował wewnętrzne przepisy okupacyjne.



65. Greiser i jego kamraci-mordercy

Były one znacznie ostrzejsze niż te w Generalnym Gubernatorstwie. Aby odseparować „gorszych rasowo” Polaków od Niemców, Greiser stworzył dla polskich noworodków wąską listę imion, które mogły otrzymać. Polscy uczniowie mogli chodzić tylko do niemieckich szkół. Po ukończeniu 14 lat zamieniali się w pracowników ku chwale Rzeszy.

Polacy byli gorzej wynagradzani, za to płacili wyższe podatki (sięgające 30 proc. wypłaty). Greiser odrzucił dyrektywę ministra pracy Rzeszy z 1941 r., który chciał podnieść pensje Polakom, a rok później w ogóle wstrzymał im urlopy. Niemiecki szef mógł ukarać polskiego pracownika, wysyłając go do obozu karnego w Żabikowie pod Poznaniem na tzw. weekendową naukę (ludzie byli tam torturowani i zmuszani do pracy niewolniczej). Kara śmierci groziła nawet za przemyt mąki i cukru. Za słuchanie audycji radiowych z zagranicy przewidziano sześć lat obozu. A za ich kolportowanie groziła kara śmierci.

Domy na osiedlu *Neue Heimat* były jak na owe czasy dobrze wyposażone, a w dodatku ich lokatorzy uciekając w panice w styczniu 1945 roku pozostawili niemal wszystko. Było więc radio TELEFUNKEN i rzadki w tych czasach odkurzacz. Mieszkania miały sieć elektryczną na napięciu 110 V, ale łatwo dostosowały się do napięcia 220 V. Radio trzeba było zaopatrzyć w inny transformator celem dostosowania do podwyższonego napięcia. Osiedle było zaopatrywane w wodę z własnej studni, którą pompował agregat umieszczony w jednym z bloków. Sieć gazowa dostarczała gaz z gazowni miejskiej, a dodatkowo zapewniała oświetlenie w kuchni przy braku energii elektrycznej, co w latach powojennych zdarzało się często. Budynek posiadał też własne szambo, które musiało być okresowo opróżniane. W łazienkach stały piecyki z wodą ogrzewane węglem. Obszerny strych oraz pralnia w piwnicy dawały komfort przy nawet dużych praniach bielizny i ubrań. W budynku był też schron przeciwlotniczy o wzmocnionych stropach, w którym Tadeusz urządził sobie warsztat i magazyn skrzyń ze złomem elektrotechnicznym. Trafiały się w tych skrzyniach maski przeciwgazowe oraz saperki wysoko cenione przez uczniów szkoły podstawowej. Wymieniłem kiedyś dwie maski p.gaz i jedną saperkę na piękny bagnet niemiecki. W lasach znajdowało się wiele niewypałów i amunicji strzeleckiej, które również były przedmiotem wymiany. Nie wszyscy na tym dobrze wyszli, niewypały zabijały lub okaleczały lekkomyślną młodzież. Wspomniane skrzynie ze złomem były przedmiotem kilku śledztw, które wszczynano wskutek donosów przeciwników politycznych Tadeusza. A przecież już w sierpniu 1948 r. dochodzenie w tej sprawie umorzyła Wojskowa Prokuratura Rejonowa w Poznaniu, co swoim podpisem poświadczył ppłk.

Stanisław Radomski. To on był pierwszym szefem prokuratury w Lublinie będąc w stopniu majora. Potem awansował do Poznania już w stopniu podpułkownika. Wojskowe prokuratury powołane rozkazem organizacyjnym nr 023/org Naczelnego Dowódcy Wojska Polskiego i Ministra Obrony Narodowej marsz. Michała Żymierskiego z 20 stycznia 1946 (podpisali go też zastępca naczelnego dowódcy gen. Marian Spychalski oraz szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego gen. Władysław Korczyc). Wojskowe prokuratury rejonowe były właściwe dla spraw przestępstw osób cywilnych w granicach przewidzianych w MKK, przestępstw funkcjonariuszy bezpieczeństwa publicznego, milicji, straży więziennej oraz żołnierzy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Ich naczelnym zadaniem było jednak zwalczanie przeciwników politycznych nowej władzy. Nie jest jasne, dlaczego sprawa tych nieszczęsnych skrzyń trafiła do prokuratury wojskowej.

W końcu do "schronu" trafiły tylko 22. skrzynie z 365., ale i one stały się przedmiotem śledztwa w czasie, gdy Tadeusz nie był już burmistrzem. I tutaj sąd nie widział podstaw do uwzględnienia aktu oskarżenia prokuratora powiatowego, który pewnie nie zapoznał się z poprzednimi umorzeniami postępowania.

Dużo poważniejsze oskarżenia czekały Stefana Niewiarowicza. Nie mógł się tego spodziewać, pracował spokojnie w cukrowni gostyńskiej, dokąd sprowadził go w sierpniu 1930 z cukrowni Zbiersk dyr. Psarski. Niespodziewania Stefan otrzymał polecenie udania się na Ziemię Zachodnie w celu uruchomienia cukrowni w Kluczewie w powiecie Stargard Szczeciński. Była ona zdewastowana przez działania wojenne, a po wyzwoleniu Rosjanie wywieźli część maszyn, jako łup wojenny.

Wielka bitwa pancerna w tym rejonie, na przedpolu Szczecina nosiła kryptonim "*Unternehmen Sonnenwende*" (*Operacja Przesilenie dnia z nocą*).

Celem operacji "Sonnenwende" było zatrzymanie wojsk marsz. Żukowa tak, aby atak na Berlin był opóźniony o kilka tygodni. Pierwotny plan operacji zakładał jednoczesne uderzenie z północy z rejonu Stargardu i z południa z rejonu Głogowa i Gubina, jednak ze względu na trudności logistyczne, sytuację na innych odcinkach frontu oraz upór Hitlera, który nie pozwolił na ewakuację wojsk z Kurlandii ostatecznie zdecydowano się przeprowadzić jedynie uderzenie z północy. Celami operacji były także: zadanie maksymalnych strat nieprzyjacielowi, odblokowanie zgrupowania niemieckiego w okolicach Choszczna i odblokowanie Kostrzyna.

Mocno rozciągnięte skrzydło 1 Frontu Białoruskiego dawało szansę wbicia klina z północy od strony Stargardu i od południowego wschodu. W ten sposób od zaopatrzenia odcięte zostałyby atakujące siły wojsk radzieckich. Plan

przewidywał natarcie z rejonu Stargardu w kierunku Kostrzyna i Gorzowa Wielkopolskiego oraz dalej na spotkanie ofensywy, która miała nastąpić od granicy słowackiej. Ofensywa rozpoczęła się 15 lutego 1945 roku z rejonu Suchania w kierunku południowym na Choszczno. Nacierającym wojskom udało się połączyć z oddziałami pod Choszcznem i utworzyć do nich wąski korytarz. Następnego dnia ruszyło główne uderzenie, z linii pomiędzy Stargardem a jeziorem Miedwie. Pomimo osiągnięcia pewnych sukcesów terenowych i zniszczenia wielu czołgów radzieckich, natarcie miało dość słabe tempo. 17 lutego generał Wenck uległ wypadkowi samochodowemu, co wyłączyło go z dowodzenia. Wieczorem tego samego dnia rozpoczęły się kontrataki oddziałów radzieckiej 3. Armii Uderzeniowej i natarcie niemieckie zostało praktycznie powstrzymane. Następnego dnia Niemcy oficjalnie wstrzymali dalsze działania zaczepne. Nad centrum ofensywy, nad Stargard wysłano całą masę samolotów rosyjskich. O dwudziestej drugiej w świetle rac rozpoczęło się niszczenie miasta. Operacja zakończyła się porażką niemiecką. Za cenę dość dużych strat własnych, udało się jedynie przesunąć linię frontu o 18-20 kilometrów. Stefan przebywał w Kluczewie w okresie od 11 maja 1949 do 16 marca 1950, kiedy to został aresztowany przez UB. Cukrownię w latach 1945-1948 przygotowano do wznowienia produkcji, ale pierwsza zorganizowana kampania cukrownicza ruszyła jesienią 1949 i kierował nią Stefan. Historia kluczewskiej cukrowni sięga 1883 roku, kiedy to grupa przedsiębiorców z rejonu Pyrzyc i Stargardu powołała spółkę akcyjną i podjęła decyzję o budowie cukrowni. O wyborze lokalizacji zdecydowało przede wszystkim położenie w pobliżu rozwiniętej sieci linii kolejowych. Wśród przedwojennych pracowników Cukrowni Kluczewo byli Polacy. Fabryka w Kluczewie produkowała **cukier** nieprzerwanie do 1945 roku. Po II wojnie światowej zakład odbudowano i uruchomiono ponownie 15 grudnia 1948 roku. Miałem okazję przebywać w Kluczewie pod koniec 1949 r., miałem wtedy 5 lat i sporo zapamiętałem. Aby odwiedzić Stefana w szpitalu w Stargardzie pojechaliśmy z babcią pociągiem, który ciągnął 3 wagony towarowe. Nie było siedzeń, pasażerowie musieli stać, a szeroko otwarte drzwi zabezpieczała jedynie żelazna rura. Miasto było kompletnie zniszczone, nie było widać żadnych oznak życia. Szliśmy ulicami, a po bokach ciągnęły się zwały gruzów. Nie było osadników, gdyż miasto nie nadawało się do zamieszkania. Na przedmieściach był szpital usytuowany w barakach, w który leczono żołnierzy radzieckich, a później cywilów. Kiedy dwa lata później odwiedziłem Wschowę, miasto było także poważnie zniszczone wskutek bombardowań, ale tętniło życiem, gdyż ponad połowa domów ocalała, a sporo zostało odbudowanych.



66. Z babcią Aleksandrą w Kluczewie - 1949 r.

W Kluczewie mieliśmy piękne mieszkanie w dużym budynku z pięcioma lokalami. Babcia, jak zwykle, trzymała tam kury i uprawiała niewielki ogródek. Kiedy w roku 1963 byłem w tych stronach zapragnąłem odwiedzić to mieszkanie, ale przywitała mnie rosyjska mowa i lokatorzy z ZSRR będący obsługą pobliskiej bazy lotniczej.

Aresztowanie Stefana było szokiem dla rodziny. Panowała mroczna noc stalinizmu, ludzie znikali bez śladu lub siedzieli w śledztwie miesiącami. Trudno obecnie ustalić, dlaczego urząd bezpieczeństwa aresztował przebywającego na Ziemiach Zachodnich Stefana. Przewieziono go do Gostynia, gdzie w łapach oprawców z UB była reszta kierownictwa cukrowni. Postawiono im zarzuty natury politycznej i gospodarczej. Dzięki znajomościom Tadeusza w UB Stefan nie był zbyt mocno bity przez śledczych. Ale dla wspomnianego tutaj dyrektora Zygmunta Psarskiego nie mieli litości. Przedwojenny oficer w stopniu pułkownika, walczył we wszystkich powstaniach w dobie odzyskiwania niepodległość, dwukrotnie odznaczony orderem Virtuti Militari. Solą w oku dla ubeków był oczywiście udział Psarskiego w wojnie bolszewickiej oraz udział w AK. Jakiś robotnik zeznał, że dyrektor zabronił wywieszać czerwone flagi z okazji święta 1 Maja. UB szukało dowodów na to, co stało się z cukrem w magazynach zaraz po wyzwoleniu. Stefan w tym czasie nie pracował w cukrowni, Psarski

przebywał w Warszawie. Brakowało wiarygodnych świadków, UB nie doprowadziło sprawy do sądu, obawiali się kompromitacji. Po 9. miesiącach Stefan i Psarski zostali zwolnieni, ale ten ostatni był tak zmaltrretowany, że zmarł w kwietniu 1954 r.

Stefan też kilka miesięcy dochodził do zdrowia, a potem został skierowany do pracy w cukrowni we Wschowie.

Ten cukier pozostawiony przez Niemców w Gostyniu faktycznie w dziwny sposób się zdematerializował i Stefan maczał w tym palce. Ale prawdę znało wąskie grono osób, nikt nie sypnął w śledztwie i w ten sposób powstał kapitał początkowy na chude lata powojenne. Tylko, że Stefan nie zrozumiał, w jakiej rzeczywistości żyje, myślał że będzie, jak przed wojną i zainwestował pieniądze w rozbudowę oficyny do kamienicy swojej i brata w Gdyni. Kupił też FORDA, który sprzedali mu tanio Rosjanie z Komendy Wojennej Miasta. Największą korzyścią z posiadania dolarów amerykańskich było uratowanie mi życia w r. 1948, kiedy zachorowałem na ostre zapalenie wyrostka robaczkowego. Błędna diagnoza niedouczonej lekarki spowodowała stan krytyczny, jedynym remedium mogły być antybiotyki. A tych w polskich szpitalnictwie nie było aż roku 1950.

Na czarnym rynku było wszystko, Stefan zakupił za dolary odpowiednią ilość penicyliny, która podana w ostatniej chwili, uratowała mi życie.



67. Z ojcem w ogrodzie dziadka Stefana - 1945

Wschowa była dawnym polskim miastem, które pod zaborem pruskim podupadło. Teraz wróciło do macierzy, a Stefan objął stanowisko dyrektora technicznego. Zamieszkał blisko cukrowni, ale jego żonie nie podobał się brak ogródka i po pół roku dziadkowie przenieśli się na ulicę Mickiewicza 5. Ich dom stał ostatni na tej ulicy, dalej były ogródki działkowe, stadion i basen. Odtąd spędzałem u nich każde wakacje, kuśił przede wszystkim ponemiecki basen o wymiarach olimpijskich.



68. Stefan i Krystyna w Gostyniu - 1 maj 1952 r.

Poza tym Wschowa była pięknym miastem, które kilka lat po wojnie skrywało wiele tajemnic. Na ulicy dominował język ukraiński lub polski, ale ze śpiewnym, wschodnim akcentem. Byli to głównie repatrianci, Niemcy uciekli, albo zostali wysiedleni.

Na powyższym zdjęciu widzimy Stefana, który przyjechał do Gostynia w maju 1952 r., aby załatwić do końca sprawy związane z przeprowadzką do Wschowy. Przyszli razem z Krystyną na wiec z okazji święta 1 Maja. Stalin jeszcze żył, a jego kult osiągnął swoje ponure apogeum.

Po pięciu latach Tadeusz zakończył swoją pracę na stanowisku burmistrza miasta z uwagi na wejście w życie nowej ustawy. Jego urząd działał na podstawie dekretu PKWN z 24 listopada 1944 o organizacji i zakresie działania samorządu terytorialnego. Ustawa z 20 marca 1950 roku o terenowych organach jednolitej władzy państwowej zniósła samorząd terytorialny, a cała władza przeszła w ręce rad narodowych. Zastosowano więc model radziecki, który niezbyt pasował do realiów polskich. W efekcie miastem zarządzało prezydium miejskiej rady narodowej z jej przewodniczącym. Rozmyła się kwestia odpowiedzialności władz miasta za ich decyzje, gdyż prezydium było organem kolegialnym. W dodatku wszystkie uchwały musiały być zgodne z linią partii rządzącej.

Tadeusz został zatrudniony w Powszechnej Spółdzielni Spożywców w Gostyniu, jako inspektor kontroli. Nie porzucił jednak myśli o powrocie do zawodu nauczyciela. Jeszcze w marcu 1961 składał podanie o przyjęcie go do Szkoły Rolniczej w Grabonogu, jako nauczyciela przedmiotów zawodowych. Dziwne to trochę, związek Tadeusza z rolnictwem był dosyć nikły, znał się świetnie na pszczelarstwie, ale poza tym nie miał formalnych kwalifikacji. Biorąc to pod uwagę zamieścił w swoim wniosku informację kończy właśnie zaocznie technikum mechaniczne o specjalności mechanika i silniki spalinowe.

Narazie jednak Tadeusz rozpoczyna karierę w spółdzielczości spożywców, która ma swoje specyficzne wymagania. Przede wszystkim trzeba zostać członkiem spółdzielni i opłacić wkład członkowski. Kadra kierownicza jest obowiązana ukończyć jednoroczne Spółdzielcze Studium Korespondencyjne. Od 1 stycznia 1952 prowadzenie SSK decyzją Zarządu Centralnego Związku Spółdzielczego zostało przekazane do Centrali Rolniczej Spółdzielni "Samopomoc Chłopska".

Na koniec szkolenia trzeba było zdać ustny i pisemny egzamin końcowy.

Pokonawszy ten próg edukacji Tadeusz został dyrektorem handlowym PSS w Gostyniu i jego głównym zadaniem stało się zdobywanie towaru, aby zapełnić coraz bardziej puste półki w sklepach. Czasy były bowiem coraz cięższe dla ludności, czego przyczyną była rozpętana przez stalinistę pochodzenia żydowskiego Hilarego Minca walka z prywatną własnością w handlu.

Po wyborach z lutego 1947 roku komuniści błyskawicznie przystąpili do przejęcia kontroli nad prywatnym handlem. Władza nie ukrywała intencji i określała proces deprywatyzacji iście militarnym sformułowaniem "bitwy o handel". Komuniści mieli naprawdę sporo do wygrania w tej "bitwie", bo jeszcze na początku 1947 roku sektor prywatny miał ponad 80 procent udziału w handlu. Tłumacząc działania problemami z zaopatrzeniem, czemu rzekomo miało skutecznie zapobiec poddanie handlu ścisłej kontroli państwa, 2 czerwca 1947 roku Sejm przyjął restrykcyjne ustawodawstwo uderzające w sektor prywatny.

Były to zaproponowane przez Hilarego Minca - paradoksalnie syna zamożnego kupca Oskara - ustawy w sprawie zwalczania drożyzny i nadmiernych zysków w obrocie handlowym, o obywatelskich komisjach podatkowych i lustratorach społecznych i o zezwoleniach na prowadzenie przedsiębiorstw handlowych i budowlanych. Za szczytnymi słowami nazw aktów prawnych kryły się poważne przeszkody dla prywatnych kupców, którzy mogli prowadzić działalność wyłącznie po uzyskaniu koncesji. Poza tym na handlowców nałożono wysokie opłaty, a władze miały prawo regulować nie tylko ceny, ale też i wysokość zysku. Przedsiębiorców prześladowała i dręczyła Komisja Specjalna do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym, która mogła ukarać nawet za zbytne gromadzenie towarów. Ukarany handlowiec, który mógł stracić majątek i trafić na roboty przymusowe, nie miał prawnej drogi odwołania się od arbitralnej decyzji Komisji.

Za unormowaniami szła ostra kampania propagandowa, dzięki której na głównych wrogów Polaków wyrosli "spekulanci", "szkodnicy gospodarczy" czy "defraudanci". Tym samym - za sprawą komunistów - prywatni kupcy stali się w powojennej Polsce traktowani na równie z przestępcami.

Działania przyniosły oczekiwany skutek. Liczba prywatnych sklepów spadła z ponad 134 tysięcy w 1947 roku do około 78 tysięcy w 1949 roku. Efekty były jednak dramatyczne dla handlu, a Polacy zaczęli ustawiać się w długich kolejkach. Co gorsza, upaństwowione sklepy oferowały niewielką liczbę towarów i do tego kiepskiej jakości. Jednocześnie partyjniacy, ubecy i milicjanci otrzymali prawo dostępu do dobrze zaopatrzonych sklepów dla władzy. Co w nich sprzedawano? Zwykli obywatele nie mogli się dowiedzieć, bo witryny tych sklepów były szczelnie zasłaniane firanami. Przeważnie żółtymi, stąd ich nazwa.

Konieczna stała się reglamentacja towarów, na pierwszy ogień poszło mięso, na które kartki wprowadzono już w sierpniu 1951. Potem lista towarów na kartki rosła bardzo szybko. Znalazły się na niej nawet...cukierki. Mając swój miód wytwarzaliśmy w domu różnego rodzaju słodycze, więc do dziś pamiętam smak makagigi. Mieliśmy też sporo żywności z pomocy zagranicznej z programu UNRRA (*Administracja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy*). Był tam olej, mąka kukurydziana, cukier, mleko skondensowane, owoce i soki w puszkach konserwy mięsne i z kaszanki. Spore wsparcie dla domowych budżetów, szczególnie wielodzietnych

Handel spółdzielczy niewiele różnił się od państwowego. Obowiązywały te same sztywne regulacje dotyczące marż i zysków, zakaz zakupu towarów bezpośrednio od producentów.

Mimo dobrej pracy Tadeusz zarabiał początkowo nienajlepiej, a w dodatku spłacał zaległe i bieżące alimenty. Do pracy poszła więc Krystyna, oczywiście też do biura PSS Gostyń. Domem zajmowała się Stanisława, która zamieszkała z nami w wydzielonym pokoju. Kuchnia była jej królestwem, często tam przesiadywałem słuchając opowieści o życiu pod zaborem pruskim i ucząc się pojedynczych słów z gwary poznańskiej. Dodatkowym źródłem zarobku Tadeusza była wywoływanie filmów i robienie odbitek dla amatorów fotografii i obsługa fotograficzne różnego rodzaju imprez, przeważnie w zakładach pracy, gdzie był zatrudniony. Posiadał własne aparaty fotograficzne, jak zakupiony przed wojną Rolleiflex oraz częściowo polonijskie wyposażenie laboratorium.



69. Aparat Tadeusza z 1937 r.

Zaraz po wojnie korzystał z odczynników chemicznych, błon fotograficznych i negatywów z miejsca pracy u Niemca Edgara Dassela. Pozwolił on Tadeuszowi ogołocić swoją drogerię z tych towarów, gdyż sam uciekał z Gostynia i zabrał ze sobą tylko niezbędne rzeczy osobiste. Nie był zresztą Niemcem tylko Austriakiem i mieszkał w Baden bei Wien. Jeszcze w roku 1973 zawiadamił Tadeusza o śmierci swojej żony Marii Magdaleny (1920-1973), prowadzili przez ten okres ożywioną korespondencję.

Niedługo popracowała Krystyna w biurze, przyszła ciąża i niestety poronienie. W ten sposób nie doczekałem się młodszego brata. Za to w maju 1953 przyszła na świat siostrzyczka ochrzczona imionami Maria Anna. Radość była wielka, rodzina powiększyła się, przybyła mała istota, która niemal od razu ruszyła z nami na leśne wędrowki.



70. Mała Ania z mamą w lesie - 1954

Kiedy na dwa miesiące przed narodzeniem naszej małej siostrzyczki umarł krwawy tyran Stalin, w serca ludzi wstąpiła nadzieja na zmiany. Niestety na wiosnę po zimie stalinizmu trzeba było jeszcze poczekać ponad trzy lata. Nadal u steru rządów stali ci sami ludzie, braki w zaopatrzeniu tylko się pogłębiły. Ludzie stali przez całą noc pod tzw. końską jatką, aby móc rano kupić ochłap mięsa końskiego bez kartek. Też tam stałem, na noc zmieniała mnie Stanisława. Było to okresie największej biedy, kiedy Tadeusz został aresztowany i przewieziony do więzienia w Śremie.

Do postawienia zrzutów Tadeuszowi doszło na podstawie ustaw antyspekulacyjnych, które niemal całkowicie ograniczały wolny obrót towarami. W tym czasie wieś obciążały dostawy obowiązkowe polegające na skupie przez państwo podstawowych płodów rolnych (zbóż, ziemniaków, mleka i zwierząt rzeźnych), polegający na ustawowym przymusie dostarczania przez gospodarstwa rolne w wyznaczonych terminach, określonych ilości (ustalonych w przeliczeniu na 1 ha użytków rolnych, ale progresywnie w stosunku do wielkości gospodarstw) produktów. Ceny płacone przez państwo były znacznie niższe od rynkowych. Dostawy obowiązkowe stanowiły więc dodatkową formę opodatkowania rolnictwa na rzecz rozwoju gospodarki. Miały służyć także regulacji rynku żywnościowego (zapewnienie zaopatrzenia w żywność ludności miejskiej), były narzędziem sterowania przez państwo rozmiarami i kierunkami produkcji rolniczej, a także instrumentem polityki antyinflacyjnej. Z różnymi zmianami dostawy te obowiązywały do r. 1972.

Ale nie tylko produkcja czysto rolnicza była obciążona dostawami poniżej kosztów produkcji. W niektórych regionach kraju ludność wiejska wytwarzała produkty z wełny czy dzianiny i także one musiały być dostarczane do punktów skupu gminnych spółdzielni. Ceny były tak niskie, że chłopci tylko część swoich wyrobów sprzedawali w tych punktach, a resztę próbowali zbyć po cenach rynkowych w innych punktach handlowych. Największym zagłębiem producentem wyrobów dzianych było woj. warszawskie i położony tam powiat ostrołęcki, czyli tereny Kurpiowszczyzny.

We wsi Kadzidło bracia Czesław i Stanisław Parzychowie skupowali od chałupników ich wyroby, poczym zbywali je w spółdzielniach spóżywców czy w Cepelii. A więc była to: Spółdzielnia Krawców w Toruniu, PSS Gostyń, PSS w Wągrowcu i inn. Według aktu oskarżenia Parzychowie mieli sprzedać tym podmiotom m.in. 7150 m włosianki, 1550 szalików, 2000 samodziału.

Na ławie oskarżonych zasiadło 10 osób, byli to prezesi spółdzielni, główni księgowi, kierownicy sklepów czy dyrektorzy handlowi PSS, jak Tadeusz.

Najliczniej reprezentowana była PSS z Wągrowca skąd było 4. oskarżonych.

Z Gostynia, obok Tadeusza, oskarżony został kierownik sklepu Józef Wechta.

Przez osiem miesięcy obaj przebywali w więzieniu śremskim. Krystyna co tydzień jeździła na widzenia z mężem dowożąc mu paczki z żywnością i odzieżą. Sama nie mogła pracować, gdyż musiała opiekować się trójką dzieci, z których najmłodsza Ania miała niespełna 2 lata. Był to trudny okres w życiu naszej rodziny, który przetrwaliśmy dzięki pomocy dziadków i oszczędzaniu na wszystkim.

W więzieniu Tadeusz szybko został przez więźniów wykorzystany, jako pisarz ich odwołań, skarg i wniosków, za co otrzymywał zapłatę w postaci papierosów. Szczególnie liczną grupę więźniów stanowili w tym czasie Świadkowie Jehowy. Byli oni karani za samą przynależność do tej sekty. Po roku 1956 karano ich jedynie za odmowę służby wojskowej, zwykle były to trzy lata więzienia. W czasie procesu Tadeusz bronił się zręcznie argumentując, że kupował czapki, szaliki, rękawiczki oraz inne wyroby z dzianin wyłącznie na potrzeby zaopatrzenia ludności do sklepów PSS. Wskazywał na brak tych wyrobów w państwowych hurtowniach, co w obliczu nadchodzącej zimy zmusiło go do skorzystania z innych źródeł zaopatrzenia. Prokuratur nie potrafił udowodnić, że Tadeusz odsprzedawał z zyskiem nadwyżki wyrobów zakupionych od braci Parzychów lub brał on od nich łapówki. W rezultacie handlowcy z Wągrowca otrzymali wyroki po dwa lata bezwzględnego więzienia, a Tadeusz i Wechta półtora roku, ale z zawieszeniem na trzy lata. Najwyższą karę pięciu lat więzienia otrzymał "główny spekulant" Czesław Parzych.

Ponure mury pruskiego więzienia wybudowanego w r. 1872 mógł opuścić Tadeusz na drugi dzień po ogłoszeniu wyroku przez Sąd Wojew. w Poznaniu. Dla grubego kalibru "spekulantów" była to pierwsza instancja. Wyrok w zawieszeniu oznaczał, że Tadeusz i jego kolega spędzili 8 miesięcy w areszcie śledczym niepotrzebnie, ale tym czasie nikt się tym nie zajmował. Ważne był fakt powrotu do domu i normalnego życia.

Nie była to jednak sprawa prosta. Po aresztowaniu Tadeusz został wyrzucony z PZPR, a w aktach personalnych musiał podawać fakt, że był skazany za przestępstwo o charakterze spekulacyjnym. Do podania trzeba było dostarczyć 12 załączników oraz szczegółową ankietę personalną złożoną z 21 rubryk. Była tam rubryka 18, gdzie pytano o karalność sądową nie tylko wnioskodawcy, ale także członków rodziny.

W efekcie Tadeusz stał się *persona non grata* nie tylko w Gostyniu, ale także w całym powiecie. Partia wydała drugi wyrok i nikt nie ośmielił się zatrudnić człowieka z wilczym biletem egzekutywy KP PZPR w Gostyniu. A przecież wyrok sądu praktycznie uniewinnił Tadeusza, który na rzekomej spekulacji w żaden sposób się nie wzbogacił, nie wystawiał "lewych" faktur, jak inni oskarżeni.

Pracę na stanowisku księgowego znalazł od 1 września 1955 w PSS we Wschowie na Ziemiach Odzyskanych, gdzie mieszkał już Stefan, dyrektor techniczny miejscowej cukrowni. Aby dojechać do pracy trzeba było wstać o świcie i ruszyć pierwszym pociągiem z Gostynia do Leszna. Tam pół godziny oczekiwania na następny pociąg relacji Leszno-Głogów wykorzystany zwykle na wypicie gorącej herbaty i dalej w drogę. Wracał do domu Tadeusz dopiero wieczorem, choć czasami nocował u teściów, którzy mieli obszerne mieszkanie. Ta męczarnia trwała pół roku, od 2 marca 1956 Tadeusz znalazł zatrudnienie w Powiatowym Związku Gminnych Spółdzielni "Samopomoc Chłopska" w Lesznie także, jako księgowy. Dojazdy do pracy stały się mniej uciążliwe, znalazł tam grono życzliwych ludzi, których często fotografował zarówno w pracy, jak i na wycieczkach zakładowych.

W końcu czerwca 1956 Tadeusz pojechał pociągiem w delegację do Poznania do Wojewódzkiego Związku Gminnych Spółdzielni. Pech chciał, że akurat rozpoczął się strajk robotników, a potem zamieszki uliczne i strzelanina. Zaczęto plądrować budynki władz, manifestanci wkroczyli do gmachu MRN i KW PZPR. Pozrywano czerwone sztandary i wywieszono hasła protestacyjne. W tłumie rozeszła się nieprawdziwa plotka o aresztowaniu robotniczej delegacji. Część protestujących ruszyła pod więzienie przy ulicy Młyńskiej, żeby uwolnić rzekomo aresztowanych robotników. Po wtargnięciu do więzienia zdobyto około 80 jednostek broni i amunicji. W tym czasie inna grupa robotników ruszyła na ulicę Jan Kochanowskiego, gdzie mieścił się gmach Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Manifestanci zostali oblani wodą z hydrantów, na co odpowiedzieli kamieniami. Około 10.40 z okien Urzędu Bezpieczeństwa padły pierwsze strzały. Rozpoczęła się wymiana ognia, a wkrótce walki objęły całe miasto. Robotnicy używali butelek z benzyną oraz broni zdobytej w więzieniu i na posterunkach MO, w sumie około 200 sztuk broni. Do tłumienia demonstracji postanowiono użyć wojska. Władze wprowadziły blokadę telekomunikacyjną miasta i godzinę policyjną między 21.00 a 4 rano.

Trzeba było szybko wydostać się z ogarniętego buntem miasta, gdzie z dachów strzelali snajperzy, a na ulicach pojawiły się pierwsze czołgi. Dworzec autobusowy został zablokowany, pozostała kolej. Tam też była blokada, ale osoby wyjeżdżające po wylegitymowaniu były wypuszczane. W końcu Tadeusz dotarł do Gostynia i przy kolacji opowiadał nam o szczegółach tych dramatycznych wydarzeń. Miałem wówczas 12 lat i czułem, że dzieje się coś ważnego, że nadchodzą zmiany i pragnąłem brać w tym udział



71. Czołgi na ulicach Poznania - czerwiec 1956

Plany wyruszenia "z odsieczą" do Poznania były szalenie naiwne, ale zaraziłem nimi kilku kolegów z podwórka. Z penetracji okolicznych lasów mieliśmy sporo starannie oczyszczonej amunicji różnego kalibru i bagnety. Na szczęście zbrojny opór robotników poznańskich został szybko stłumiony przez blisko 400 czołgów i pojazdów opancerzonych oraz 10 tys. żołnierzy. Radio nie informowało o zamieszkach, później przemówił premier Cyrankiewicz strasząc klasę robotniczą "odrąbaniem rąk". W następnych tygodniach słuchaliśmy transmisji radiowych z procesów, które wytoczono uczestnikom buntu. Przełom nastąpił w październiku, kiedy to jedyny raz w historii rzeczywiście rozpoczęła się w Polsce radziecka interwencja zbrojna. Jednostki pancerne Północnej Grupy Armii Radzieckiej z Dolnego Śląska i Pomorza Zachodniego ostatecznie zostały zatrzymane niespełna 100 km od Warszawy. Pamiętam niekończące się kolumny czołgów, które jechały przez centrum Gostynia w kierunku wschodnim. Stałem w tłumie gapiów na głównym skrzyżowaniu, kiedy stalowe gąsienice czołgów toczyły się z chrzęstem o centymetry od naszych nóg. Nikt nie zdawał sobie sprawy z grożącego nam niebezpieczeństwa. Czołgiści byli przemęczeni, a rozkazy dowództwa poganiały ich w szybkim rajdzie na Warszawę. Tam marszałkowi ZSSR i Polski Konstantemu Rokossowskiemu wydawało się, że musi stłumić bunt polskiego kierownictwa partii komunistycznej z Edwardem Ochabem na czele.

Poszedłem dalej do rynku, część ludzi rozeszła się do domów, była pora obiadowa. Czołgi nadal jechały i nagle usłyszałem krzyki, wołanie o pomoc. Tuż przy wyjeździe z rynku jeden z czołgów wjechał przypadkowo na chodnik i przygniół wracającego z pracy sekretarza sądu St. Szymańskiego. Potem cofnął się i odjechał, a na chodniku w wielkiej kałuży krwi leżał umierający człowiek. Maszyna obcięła mu jedną nogę i przygniotła do budynku tak, że zmarł niemal natychmiast. Potem przyjechał samochód ciężarowy, na który włożono zwłoki, znany mi sąsiad zbierał gołymi rękami z ulicy kawałki ciała i kości ofiary. Krew zasypana została piaskiem, a ja w miejscu wypadku znalazłem i długo przechowywałem zakrwawione rogi trzech banknotów stużłotowych obcięte równo, jak nożem.

W 50. rocznicę tej tragedii odstonięto w tym miejscu tablicę pamiątkową.



72. Tablica pamiątkowa St. Szymańskiego

Tablicę uroczyście odstoniły 19 października 2006 roku córki zabitego – Dobromira Grzymisławska i Barbara Knapkiewicz. Jak pamiętam mówiło się także o naruszeniu konstrukcji budynku, w który wjechał feralny tank przygniatając sekretarza sądu.

Rajd pancernych dywizji sowieckich przyniósł jeszcze kilka innych ofiar w ludziach, ale także poważne szkody materialne. Drewniany most nad Rowem Polskim miał kompletnie zniszczoną nawierzchnię, z desek pozostała gruba warstwa trocin. Odbudowano go już, jako most betonowy. Także drogi w wielu miejscowościach na trasie przejazdu czołgów były uszkodzone. Te straty pokrywał budżet państwa, a odszkodowania za śmierć ludzi wypłacało Min. Obrony Narodowej, chociaż status prawny pobytu wojsk sowieckich w Polsce został uregulowany dopiero w umowie z 17 grudnia 1956 r. Zgodnie z treścią tej umowy zawarto później w latach 1956-1979 dziewięć obustronnych aktów prawnych regulujących aspekty prawne czasowego stacjonowania wojsk radzieckich w Polsce. Władze polskie wydały 16 wewnętrznych aktów wykonawczych związanych z pobytom wojsk. 20 lipca 1957 został powołany pierwszy pełnomocnik rządu PRL ds. pobytu wojsk radzieckich w Polsce. Był nim gen. bryg. Leszek Krzemień (właśc. Maks Wolf, 1905-1997).

W 1956 została powołana i rozpoczęła pracę polsko-radziecka Komisja Mieszana. Zajęła się ona roszczeniami obywateli, którzy ponieśli uszczerbek w mieniu i na zdrowiu na skutek pobytu wojsk radzieckich w Polsce (do 1993 rozpatrzono ok. 7 tys. spraw, w tym 550 z tytułu śmierci 615. obywateli polskich – 249 żołnierze zastrzelili z broni palnej, w tym 69 na tle rabunkowym, 250 zginęło w spowodowanych przez żołnierzy wypadkach komunikacyjnych, 50 zginęło podczas działań wojennych).

Czołgi zatrzymały się 100 km od Warszawy, gdzie z Moskwy przyleciała delegacja radziecka z Nikitą Chruszczowem na czele. Szczegóły tej wizyty zaledwie kilka lat po niej usłyszałem od ówczesnego I sekretarza PZPR Edwarda Ochaba w trakcie jego spotkania z młodzieżą na obozie latem 1963 r. na Mazurach (obóz ZMW nad jeziorem Niegocin).

Tadeusz pracował w PZGS Leszno do końca maja 1959 i w końcu pojawiła się szansa, aby zacząć pracę na miejscu w Gostyniu, bez uciążliwych dojazdów. Nastąpiło zatarcie skazania, ojciec miał już czystą kartę karalności. Budowała się od podstaw nowa huta szkła, która potrzebowała wielu pracowników Tadeusz pracował tam dwa lata na stanowisku kierownika inwestycji dokumentując jednocześnie fotograficznie postępy tej dużej budowy. Pracowała tam także sezonowo córka Tadeusza Ewa na czas wakacji szkolnych. Potem był dość krótki epizod pracy Tadeusza w Placówce Terenowej PKS w Gostyniu, która podlegała pod Oddział Państwowej Komunikacji Samochodowej w Lesznie. Równie krótko pracował on w Państwowej Spedycji Krajowej w Gostyniu.



73. Brygada sezonowa huty - w środku Ewa Penkalska - 1963

W latach 1961-63 Tadeusz był zatrudniony w Poznańskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego Oddział w Gostyniu. Firma ta budowała hutę szkła, a więc po zakończeniu inwestycji Tadeusz w naturalny sposób znalazł tam zatrudnienie.

W 1962 zdałem maturę i wyjechałem na studia w Wyższej Szkole Ekonomicznej, Wydział Transportu Morskiego w Spocie.

Tadeusz rozpoczął ostatni etap swojego życia zawodowego zatrudniając się w Miejskim Handlu Detalicznym w Gostyniu, gdzie pracował do przejścia na emeryturę.

Pewne etapy naszego życia kończyły się, a nowe otwierały. Najsmutniejsza była śmierć naszych bliskich, którzy odchodzili już na zawsze. Legenda rodzinna mówiła o tragicznej śmierci brata Stefana kapitana Wacława Niewiarowicza, który zginął na morzu w samą Wigilię 1945 roku. Fakty były nieco inne, kapitan zmarł 8 grudnia w następstwie wypadku, który wydarzył się dzień wcześniej. Oto jego opis.

" Do tragedii doszło 7 grudnia, o godz. 22.04. Tego dnia - cytując archiwalne dokumenty Izby Morskiej w Gdyni (syg. IM 6/45) - panowały trudne warunki pogodowe, a konieczność wprowadzenia motorowca „Pelikan” do portu, na którego akwenach zalegały wciąż miny, nieoznakowane wraki i skryte pod lustrem wody przeszkody, dyktowała obecność na jego burcie dużej grupy ludzi. Schorowanych lub wycieńczonych pasażerów, których repatriacja na ląd stanowiła nie tylko nagłą potrzebę, ale i nakaz chwili. Po wyekspediowaniu na redę parowca „Nordland”, dzierzawiony od Szwedów holownik „Hera”, w którego sterówce przebywał kapitan Wacław Niewiarowicz, obrał zatem kurs w kierunku ponad 117-metrowej, oczekującej od godzin porannych jednostki, zamierzając przekazać tam pilota. Nie było to wprawdzie zgodne z ostrożnymi sugestiami kapitana portu Jana Godeckiego i oficera portu Anatola Kniaziewa, którzy uważali, że ze względu na duże rozfalowanie i oblodzenie holownika, lepiej byłoby, aby Niewiarowicz pilotował „szweda” z jego burty, a na pokład „Pelikana” wszedł dopiero w awanporcie, to polecenia pilota nakazujące wybranie kotwicy i ustawienie frachtowca w pozycji, która osłaniałaby „Herę” przed uderzeniami wiatru i grzywaczy, ostatecznie przesądziły sprawę. Komendy Niewiarowicza, jak się okazało, niewiele jednak dały. Kiedy bowiem holownik znalazł się w pobliżu motorowca, nie było wcale spokojniej, fale nie wyglądały na mniej agresywne i mniejsze, łupinowaty stateczek chylił się i obracał we wszystkie możliwe strony. Mając przed sobą ścianę poszycia burtowego i przygotowany sztormtrap, pilot stanął więc na relingu, wyczekując odpowiedniej chwili, która pozwoliłaby na wykonanie skoku. Wtedy, niestety, doszło do nieszczęścia. Mocarne uderzenie fali sprawiło, że holownik doznał gwałtownego przechyłu, tracący równowagę Niewiarowicz chwycił się, chcąc uniknąć upadku, będącego już pod ręką sztormtrapu, ale kolejny zwał wody rzucił holownikiem w górę, po czym cisnął nim, przygniatając mężczyznę do burty. Wyciągnięty przez marynarzy „Hery” na pokład pozostawał nieprzytomny, a doznane obrażenia miały okazać się śmiertelne. " /Dz. Bałtycki z 17 lipca 2017, R. Leszczyński).

Po wojnie bywałem z rodzicami w mieszkaniu kapitana w Gdyni, gdzie mieszkała jego żona Irena z synem Wiktorem, jeździliśmy tam latem nad morze. Było tam wiele pamiątek po nim, choć te najcenniejsze przepadły w 1939 roku, kiedy całą rodzinę Niemcy wysiedlili pod Częstochowę. Gestapowca, który tam

zamieszkał spotkała zasłużona kara. Statek, którym płynął do Rzeszy został storpedowany i zatonął na wysokości Łeby pociągając na dno ponad 7 tys. ofiar.



74. Wiosna 1945 - kpt. Niewiarowicz w Gostyniu. Ja w wieku 10 m-cy

Babcia Aleksandra zmarła nagle w lipcu 1959 r., bardzo to przeżyłem, a nawet nie mogłem jej pożegnać, gdyż przebywałem na obozie harcerskim nad morzem. Nigdy nie chorowała, nie chodziła do lekarzy, nie brała lekarstw. Stefan został sam we Wschowie, nie chciał przeprowadzić do nas do Gostynia. Zmarł w styczniu 1967 r., tym razem zajmowałem się pogrzebem i likwidacją jego mieszkania. Zadbalem o to, aby wszystkie zdjęcia oraz dokumenty zabrać i zabezpieczyć. Nie myślałem wówczas o badaniach genealogicznych rodziny, ale teczki z tymi papierami bardzo mi się później przydały.

5/ Podsumowanie

W pracy tej podsumowałem moje badania genealogiczne, ale nie zamykam ich jeszcze. Nadal będę poszukiwał metryk i świadectw nielicznych już żyjących krewnych. List Anieli z października 1941, który w niesamowity sposób dotarł do mnie dopiero teraz, stawia dodatkowe pytania i zagadki. Nazwiska, które się tam pojawiają wymagają zbadania. Józef Kurkiewicz, Wysoczanka (córka Wysockiego), Pięcińska, Krawczykówny i inne.

Ustaliłem, że Fila Pięcińska nosiła wcześniej nazwisko Liśkiewicz, a jej ojciec wyemigrował do USA. Ona sama była tak, jak Aniela, nauczycielką.

Nauczycielem był też Józef Kurkiewicz, prowadził także chór szkolny.

Poza tym trzeba się zastanowić, dlaczego Tadeusz nie wrócił po kampanii wrześniowej do Ćmielowa? Kiedy wyszedł z niewoli w zasadzie nie miał do kogo wracać. Szkoła w Sikorzynie, w której pracował została zamknięta. Nie miał rodziny, ani nikogo bliskiego w Gostyniu. Z pewnością słyszał, jakie represje stosował okupant wobec nauczycieli. Na rynku w Gostyniu Niemcy rozstrzelali kilku z nich, w tym dyrektora gimnazjum Leona Kapcię (1889-1939). Logicznym wyjściem wydawał się powrót do Ćmielowa, gdzie żyła jego najbliższa rodzina. Przeżył z nią przecież I wojnę światową wiedział, że łatwiej jest przeczekać ciężkie czasy razem szczególnie, jeśli ma się kawałek ziemi.

Pozostał jednak w Sikorzynie, gdzie mieszkali też miejscowi Niemcy, z których każdy mógł go zadenuncjować do władz z zupełnie błahego powodu.

Tak zrobiło wielu krewnych i powinowatych noszących nazwisko Pękalski.

Najwybitniejszym z nich był niewątpliwie wspomniany już Jan Pękalski (1915-2011), którego wspomnień mogłem wysłuchać osobiście w 2006 r.

Jan Pękalski urodził się w Ćmielowie 4 września 1915 roku jako piąte dziecko w rodzinie Józefa Pękalskiego i Julianny ze Zbikiewiczów. Ojciec był kaflarzem, jego zakład w Ćmielowie był najdłużej pracującą kaflarnią rzemieślniczą, czynną aż do 1976 roku. Jan często wspominał, że dzieciństwo miał biedne, dopiero w miarę dorastania starszych braci, którzy zostali czeladnikami w rodzinnej fabryczce, sytuacja materialna się poprawiła. W kaflarni pomagali wszyscy synowie, choć Jan, zdolny uczeń szkoły powszechnej w Ćmielowie, stawiał na pierwszym miejscu obowiązki szkolne. Na dalszą naukę rodzice wystali go do Gimnazjum Męskiego im. J. Chreptowicza w Ostrowcu, gdzie uzyskał świadectwo maturalne w 1937 roku. Również brat Piotr ukończył szkołę średnią – Seminarium Nauczycielskie i został nauczycielem na Wołyniu.

Jan Pękalski, bezpośrednio po maturze, zaliczył obowiązkowe, roczne szkolenie wojskowe na Bukówce przy 4.p.p. Legionów. Planował podjęcie studiów na Akademii Górniczo – Hutniczej w Krakowie i choć złożył tam dokumenty, wycofał się z tej decyzji. 4 sierpnia 1939 roku został powołany na ćwiczenia

rezerwy do 2. p.p. w Sandomierzu. Po kampanii wrześniowej wrócił do Ćmielowa i przystąpił do konspiracji. Zapisał się w historii Opatowskiego Obwodu Armii Krajowej, jako dowódca kompanii Ćmielów". Jego brat Piotr dowodził kompanią "Zawichost". Brał udział w wielu akcjach bojowych, zabezpieczał ze swoim oddziałem zrzuć broni. Jak wspomina jeden z partyzantów, który udał się po broń do leśniczówki Wrzawy.

"Broń wydawał dowódca kompanii Ćmielów" por. Jan Pękalski, ps. "Molenda", "Borowy". Wśród otrzymanej broni były niemieckie karabiny maszynowe, pistolety maszynowe, rewolwery Smith&Wesson, granaty ręczne i materiały minerskie."

Po wojnie Jan zapisał się na studia na wydziale leśnym SGGW w Warszawie i po wstępnej dwumiesięcznej praktyce w Nadleśnictwie Suchedniów, został studentem pierwszego roku tej uczelni. Wojenna przeszłość Jan Pękalskiego spowodowała wzmożone zainteresowanie Urzędu Bezpieczeństwa przyszłym leśnikiem. W kwietniu 1949 roku został aresztowany w akademiku w Warszawie, skąd przewieziono go do aresztu UB w Kielcach, gdzie przesiedział niemal rok w śledztwie. Oskarżony o zbrodniczą zbiórkę z dowództwem NSZ w celu likwidacji lewicowych działaczy podziemia, w sfirowanym procesie na początku 1950 roku, skazany został na 3 lata więzienia. Po apelacji Sąd Najwyższy uchylił zaskarżony wyrok i uniewinnił J. Pękalskiego, który z więzienia wyszedł na wolność 10 dni przed upływem orzeczonych 3 lat. Już na wolności zaliczył zaległe ćwiczenia i egzaminy na uczelni, uzyskując tytuł inżyniera leśnika. Zarząd Lasów Państwowych wysłał go na praktykę przed dyplomową do Nadleśnictwa Szczytno, ale nie dane mu było jednak pracować w swoim zawodzie w służbie państwowej, gdyż jego życiorys nie odpowiadał komunistycznej, ówczesnej rzeczywistości. Wrócił więc do rodzinnego przedsiębiorstwa w Ćmielowie, gdzie pracował wraz z braćmi do 1976 roku, kiedy to przeszli na emeryturę.

Gdyby Tadeusz trafił do Ćmielowa bez wątpienia zostałby partyzantem w tej samej kompanii swego krewniaka. Był przecież dobrze wyszkolonym saperem o unikalnej specjalności minerskiej przydatnej np. przy wysadzaniu pociągów. Tak się jednak nie stało. Być może nie chciał być ciężarem dla swoich starych rodziców? Wiedział też, że w niewielkim domku rodzinnym w Ćmielowie mieszkała jego siostra Aniela z 9. letnim synem, a także samotna Honorata. Anielę i jej męża Kazimierza rozdzieliła wojna.

Do tego trzeba doliczyć samotną ciotkę ojca Zofię Teresę. Spokrewniona rodzina Witolda Milewskiego (używał imienia Edward) mieszkała w pobliżu. To właśnie ten Edek, który bardzo pomógł w organizacji pogrzebu Franciszka.

W tym trudnym czasie nieźle żyło się handlarzom, którzy dostarczali nielegalnie żywność do miast, ale było to zajęcie wysoce ryzykowne i ostro przez okupanta karane. Rodzina Tadeusza w czasie okupacji wegetowała, ratowało ich tylko te kilka mórg ziemi A i tak jego rodzice zmarli w tych trudnych czasach nie doczekawszy się wyzwolenia. Do Gostynia dotarły telegramy o śmierci, ale nie wiadomo czy Tadeusz pojechał do Ćmielowa w 1941 i 1943 roku. Nie było to łatwe, wiązało się z przekroczeniem granicy pomiędzy Krajem Warty, czyli Rzeszą, a Generalną Gubernią. Same formalności zajmowały kilka dni. Poza tym nasz ojciec nigdy nie wspominał o swoim udziale w tych okupacyjnych pogrzebach.

Grób Franciszka i jego zmarłej dwa lata później żony najprawdopodobniej nie istnieje. Swego czasu stał na nim kamienny krzyż, ale bez nazwisk. Został on zlikwidowany, albo przeniesiony na nowy cmentarz. Z nieznanых przyczyn Franciszek nie chciał być pochowany w grobowcu ojca Karola, a przyjął przedwojenną jeszcze ofertę rodziny Wolańskich, aby spocząć w ich kwaterze.

Moja dalsza droga życia zostanie opisana odrębnie, nie mieści się w ramach tego opracowania. Skorzystam jedynie ze wspomnień mego dobrego kolegi ze studiów Krzysztofa, z którym dzieliłem wspólne doświadczenia z pracy w porcie czy w ratownictwie morskim. Tak opisuje on nasze zajęcia zarobkowe.

Zarabiałem sporo, m.in. jako doker w Gdańsku i Gdyni – zdarzało się, że wracałem w zimie o świcie z nocnej zmiany bogatszy o dwieście, trzysta złotych. Prawdziwa fortuna. Kilka dobrych dniówek wystarczało na całkiem dostatnie życie do końca miesiąca, jakiś nowy sweter, czy spodnie, no i książki – oczywiście pod warunkiem grzecznego stosowania się do mieszczańskich kanonów, co często okazywało się niemożliwe albo niewskazane. Wciągnąłem do brygady kilku kolegów. Przeladowywaliśmy cukier trzcinowy z bratniej Kuby, ogromne kęsy kauczuku (kiedyś taka dwutonowa kostka wymknęła się z dźwigowej sieci i zaczęła skakać po hangarze w różnych kierunkach) i sodę kaustyczną – nie wiem skąd. Zdarzały się też skóry z Argentyny, nawozy sztuczne i jakieś chemikalia. Im bardziej cuchnące i szkodliwe dla zdrowia, tym lepiej, bo stawki były wyższe. O bezpieczeństwie i higienie pracy mówiono i pisano wówczas sporo, ale w praktyce wyglądało to tak jak inne fragmenty ówczesnej rzeczywistości – marnie. Pracowaliśmy u hodowców pieczarek, remontowaliśmy mieszkania i domy oraz robiliśmy wiele innych rzeczy. Żeby nie było monotannie, nie stroniliśmy od okazjonalnych marynarskich zakupów dżinsów, koszul "non iron" i płaszczy ortalionowych, które błyskawicznie znajdowały innych nabywców, już po wyższych cenach. Dochody pozwalały na działalność w studenckim klubie samochodowym (stare jeszcze wojenne willysy i gaziki z demobilu) oraz organizowanie wakacji za granicą, wypełnionych przeważnie dość intratną pracą. Miałem dużo szczęścia, bo stosunkowo wcześnie odkryłem

dobrą zasadę, iż nigdy nie należy pracować wbrew sobie, a wszelki sukces, w każdej dziedzinie, jest pochodną pracy, która powinna być wykonywana z własnego wyboru, dawać satysfakcję w wymiarze psychologicznym i materialnym, rozwijać umiejętności i opierać się na odpowiedniej motywacji. Wprowadzałem tę zasadę praktycznie w życie, pracując na studiach podczas wakacji jako ratownik, instruktor pływania, kierowca, robotnik przeładunkowy, przewodnik wycieczek.

Po pracy przy przeładunku skór człowiek tak cuchnął, że przez tydzień nie mógł umówić się z dziewczyną, nie pomagało szorowanie pod prysznicem. Dla hodowców pieczarek woziło się nawóz koński z Nowego Portu, też mocno śmierdzący interes. Stawka była przyzwoita - 12 zł/godz, ale praca ciężka. Jak pamiętam po 12 godzinach ja i moi koledzy nie byliśmy już zdolni do grzebania się w końskich g.nach. Wypłata do ręki - 144 zł uczciwie zapracowane. Mycie wielkich okien na stacji Gdynia Główna Osobowa trwało cały tydzień, ale przyniosło mi i koledze Zdzisiowi niezły zarobek, akurat na rozpoczynające się wakacje letnie 1963.

A tak opisuje Krzysztof naszą pracę w charakterze ratownika wodnego w Krynicy Morskiej w r. 1964.

Będąc jeszcze na studiach w Sopocie, zmęczony nauką i ciężką harówką w dokerskiej brygadzie portowej, postanowił popracować w lecie jako ratownik. Ukończył więc kursy dla ratowników wodnych I i II klasy, dzięki czemu mógł spędzać kolejne wakacje, pracując znacznie lżej i przyjemniej niż w porcie. Pierwszą robotę dostał w Krynicy Morskiej, gdzie spędził prawie 5 miesięcy na pięknej ponad kilometrowej plaży. Odpowiadał wraz z drugim kolegą za odcinek 100 -u metrowy, mieszkał wraz z innymi chłopakami w drewnianym ogromnym baraku znajdującym się na wysokiej skarpie, czy może raczej klifie, z pięknym widokiem na morze. Było ich 24 -ech plus jeden szef, starszy ratownik i kierownik plaży. Niesamowita barwna ferajna, chłopaki, którzy pozytywnie, ale i negatywnie, wyrastali ponad przeciętność zwykłych zjadaczy chleba. Przeważnie studenci Akademii Wychowania Fizycznego, nauczyciele lub faceci z akademickich klubów sportowych, z Warszawy, Łodzi, Wrocławia i Krakowa, chociaż zaplątało się także dwóch rzeźmieszków – złodziei z Sopotu (Chudy i Zgred), jeden szuler karciany ze Szczecina (Walet) i jeden dezerterski z Ludowego Wojska Polskiego (Szwejk), który marzył, żeby czmychnąć do Szwecji. Malowniczą postacią był Adolf Starowiejski (Tarzan), niedoszły absolwent Wrocławskiej Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego, dwumetrowy atleta, którego jedynym dobytkiem była para dżinsów, wyciągnięty błękitny sweter i studencki indeks (zamiast dyplomu, bo zrezygnował ze studiów) oraz ...stary, kompletnie zaczytany egzemplarz biblii. Aha, był jeszcze Zygmunt Latos, ksywa Sokole Oko, ponieważ jedno oko miał szklane a drugie zezowate. Te estetyczne mankamenty nie przeszkadzały mu w szpanowaniu, podrywaniu dziewczyn i bystrym wypatrywaniu okazji do jedzenia i picia na koszt zamożniejszych wczasowiczek.

Stolowali się przeważnie gratisowo w krynickich domach wczasowych w zamian za lekcje pływania dla urlopowiczów lub za teoretycznie troskliwszą nad nimi opiekę, jednak nie wszystkimi i nie zawsze udawała się taka sztuka, więc nierzadko chodzili głodni. Ci silniejsi, którym się lepiej wiodło aprowizacyjnie, urządzali w wolnych chwilach zawody pływackie

(łącznie dwa kilometry wzdłuż plaży, tam i z powrotem w wodzie, której temperatura na początku sezonu nie przekraczała 17-u st. C) oraz wioślarskie, na tym samym dystansie. Krzysztofa nazywali Hrabią, bo miał nazwisko kończące się na -cki, podobnie jak Potocki i rzekomo wyróżniał się dobrymi manierami. Ponadto spółgłoskę „r” wymawiał niewyraźnie, z francuska, co niekiedy narażało go na kpiny, ale rzadko, bo z dawnych, jeszcze podwarszawskich czasów, wiedział gdzie i jak przywalić piąchą różnym kpiarzom. Bójki zdarzały mu się raczej rzadko. Starał się oszczędzać energię, która przydawała się na podrywanie dziewczyn, gimnastykę okresowo łączoną z kulturystyką i długodystansowe pływanie. Poza tym był człowiekiem kompromisu, uważał, że nie warto bić się o byle kogo, byle co, i z byle kim, może dlatego udało mu się przeżyć serię kolejnych burzliwych i spokojniejszych wakacji, w kraju i poza nim, tylko z lekko przestawionym nosem, no i z kilkoma bliźniami, niestety pochodzącymi od kastetu.

Miał jeszcze jedną cechę dość dziwną dla innych młodych ludzi, na plaży czytał obcojęzyczne książki (zainteresowanie to podzielał jego serdeczny kolega Zbigniew Penkalski, o którym piszemy kilkakrotnie w innych miejscach), albo uczył się słówek, czy zwrotów w tym, czy innym języku, ale oczywiście tylko wtedy, gdy pogoda była kiepska, padało albo wiał lodowaty wiatr i nie musiał nadmiernie pilnować swojego odcinka. Nie było żartów. Lepiej nie ryzykować, bo czyjeś utonięcie na powierzonym terenie mogło się skończyć dla ratownika dwuletnim więzieniem. Szczególnie trudne bywały krańcowe kawałki plaży, na pograniczu strzeżonej i dzikiej, bo w czasie, gdy na pilnowanej powiewała czarna flaga, wczasowicze kąpali się wbrew zakazowi poza jej granicami, lecz jak najbliżej ratowników, żeby w razie potrzeby skorzystać z pomocy. Naprawdę dramatyczne akcje zdarzały się na szczęście dość rzadko. Podczas pierwszego sezonu Krzysztofa w Krynicy Morskiej musiał interweniować dwukrotnie.

Pewnego razu, przy wspaniałej pogodzie, ogromnej fali i oślepiającym słońcu, poderwał go na takim właśnie wysuniętym odcinku krzyk ludzi. Wskazywali kogoś w morzu, ok. 150 metrów od brzegu i jakieś 200 m od krańca plaży strzeżonej. Najwyraźniej ktoś potrzebował pomocy. Popędzili brzegiem, we dwóch, z kolegą. Pokonanie tej odległości w piachu, wśród wodorostów i plączących się między nogami matek z dziećmi zajęło im może 70 sekund, może chwilę dłużej. Rzucili się w kierunku unoszącej się na fali odległej postaci. Po odbiciu się od dna i wyrwaniu poza strefę przyboju dopłynęli mozolnie do ofiary, którą okazała się nieprzytomna kobieta. Holowanie topielca nawet na stosunkowo krótką odległość nie jest trudne, jednak tylko wtedy, gdy akwen jest dosyć spokojny, a sam delikwent nie wyrwa się i nie panikuje. Natomiast przy wielkiej fali to gigantyczna i ryzykowna robota. Nawet jak się ma 20 lat, nie pali i pije umiarkowanie albo wcale. W ciągu kilkunastu takich brzemiennych w skutki minut ratownik jest cholernie samotny, gdzieś między ziemią, wodą i niebem, koledzy są przeważnie daleko – spuszczają łodzie, wypychają je poza pas przypiływu, łapią za wiosła, albo odpalają silnik (jeśli jest to łódka motorowa), który właśnie wtedy lubi się zakrzuszyć i zgasnąć, a potem płyną i płyną – a ty jesteś sam, albo z drugim takim samym facetem, któremu podobnie jak tobie zachciało się ratownictwa. Serca walą wam jak młoty, oddech rozsada płuca, woda zalewa oczy, fala, która właśnie przemknęła do brzegu pojawia się znowu, a wy już wreszcie dochodzicie do bezwładnej postaci. I wtedy cel nagle znika, nic nie widzicie. Miotany przypiływem ludzki kadłub schodzi gdzieś pod wodę, pokrywa go piana. Nurkujecie, szukacie, morze, które przecież lubicie, z którym, jako pływacy, wioślarze, czy żeglarze zazwyczaj żyjecie w przyjaźni, za pan brat, nagle staje się śmiertelnym bezwzględny wrogiem. Jakimś cudem znajdujecie i chwytacie topielca, holujecie, razem, osobno, na zmianę, znowu razem, żeby zdążyć, żeby przeżyć. Łodzie są już coraz bliżej, lecz wy też zbliżacie się powoli, metr za metrem, niezmiernie powoli, ale jednak, do brzegu, byle do

brzegu. Czasami zakręcona fala zgarnia was ostrym grzebieniem i znowu ściąga kilka, kilkanaście metrów w głąb morza, dalej od upragnionej linii brzegowej. Już na ostatnich metrach przyboju, gdy fala jest szczególnie wredna i podstępna, kiedy całkiem brakuje wam sił, zaczynacie zdawać sobie sprawę, że jednak nie jesteście sami. Macie liczną widownię. Na plaży, może kilkadziesiąt metrów od was, a może dalej, kto by tam liczył, na brzegu stoją ludzie. Nieprzebrane tłumy widzów, gapiów, żądnych wrażeń, ciekawych wyników tej nierównej walki z morzem, tego meczu z siłami natury. Stoją i patrzą. Wprawdzie są obecni, ale pasywni, gapią się bez ruchu, jak zahipnotyzowani. Może i chcieliby pomóc, ale nie przychodzi im to jeszcze do głowy, może mają dobre chęci, ale nie wiedzą jak. A przecież czasami wystarczyłoby uformować ludzki łańcuch połączonych rąk, albo rzucić koło ratunkowe, linę lub kapok. Krzysztof i ten drugi kolega wyciągnęli już kobietę na brzeg, wylali z niej wodę, ułożyli szybko na wznak i przystąpili do akcji. Jednocześnie masaż serca i sztuczne oddychanie metodą usta w usta. Procedura ratunkowa skąd inąd przyjemna na treningach z ładną partnerką, ale tu... zimne sine usta, pani dobrze już po pięćdziesiątce, nie oddycha, nie ma pulsu. Mimo to walczą nadal. Łodzie bez silników już dopłynęły, tylko po co? Wyskakują z



75. Autor na łodzi w Krynicy M. - rok 1966

nich ratownicy. A oni dwaj walczą nadal, biją się o człowieka, zmagają się z bezwładem materii i z losem, robią co mogą, jednak bezskutecznie. Pulsu nadal nie ma, bo niby skąd ma

być, jeśli nie było go już od dłuższej chwili? Pompują nadal, znowu i znowu, na zmianę, już trochę bez przekonania, ale w tym samym rytmie i tempie. Po upływie 40 minut nadal męczą bezwładne ciało i siebie, teraz już tylko asekuracyjnie, żeby odebrać argument prokuratorowi, dla własnego bezpieczeństwa, zanim nie nadjedzie karetka pogotowia. Wreszcie się pojawia. Młoda lekarka bada puls, kiwa głową, coś wypisuje, zagląda do przyniesionego przez kogoś ubrania i jakiegoś dowodu tożsamości, to paszport. Dziewczyna w białym fartuchu ma łzy w oczach. Z daleka przyjechała po tę śmierć, mówi lekarka – to turystka. Jak się okazało, martwa kobieta była Polką przybyłą na wakacje do matki z Południowej Afryki. Tam chyba ocean jest cieplejszy, mówi pani doktor i wsiada do karetki, w której znajduje się już pasażerka udająca się w swoją ostatnią podróż. Pojawia się milicja. Sierżant i posterunkowy spisują protokół. Potem sekcja zwłok, czekanie na decyzję prokuratury, czy się czasem nie przyczepią i wreszcie orzeczenie...miała atak serca, tam w morzu.

Innym razem, też w Krynicy Morskiej, pogoda była równie piękna, morze wprawdzie potargane falami, ale dużo spokojniejsze, wyciągnęli wtedy na brzeg ojca z małą córeczką, również z pogranicza plaży strzeżonej. Jak się potem okazało, pięcioletka kąpała się na dzikiej plaży, potem przeniosła się na dmuchany materac, spodobało się jej dryfowanie tej prowizorycznej tratwy, zniosło ją dalej od brzegu, więc postanowiła zejść i popchnąć materac do brzegu, straciła z nim kontakt i fala zabrała ją dalej i dalej. Ojciec rzucił się na ratunek, wypłynął i zastąpił. Kolega podholował niefortunnego pływaka do brzegu, a Krzysztofowi udało się zlokalizować wśród fal dziewczynkę. Szczęśliwie dotarł z nią na stały ląd. Napita się sporo wody, była półprzytomna, ale żywa i już po kilkunastu minutach całkiem doszła do siebie.

Takich akcji było więcej, mój kolega Krzysztof pracował potem na mniejszych plażach, ja w następnym roku też wybrałem spokojniejsze zajęcia ratownicze nad jeziorami kaszubskimi w Kamienicy Królewskiej. Ale w końcu wróciłem na dwa następne sezony do Krynicy Morskiej, na plażę gdzie w każdym roku życie traciło 14-16 wczasowiczów. Tam była sól tego zawodu, tam przy braku podstawowego sprzętu ratowniczego decydowały własne umiejętności pływackie i przygotowanie fizyczne. Byłby to właściwie materiał na jakieś opowiadania o najbardziej dramatycznych akcjach, ale pewnie tego projektu już nie zdążę zrealizować. Sezony letnie 1966 i 1967 były obfite w wypadki na wodzie, było wiele dramatycznych akcji ratunkowych. Prokurator często gościł w naszym baraku, także w zupełnie niecodziennych wypadkach, jak wyrzucenie na plażę zwłok radzieckiego pilota wojskowego czy znaleziony przeze mnie "worek kości", czyli zwłoki ludzkie po kilkuletnim pobycie w Bałtyku. Wydawało się, że to jakieś zwierzę, a okazało się być szczątkami człowieka.

Jeden z wymienionych wyżej "rzejmieszaków" z Sopotu o ksywie *Chudy* ustatkował się z czasem i został strażakiem, a drugi *Zgred* (znany bardziej pod ksywką *Mexico*, gdyż taki miał tatuaż na piersi) nigdy już nie wrócił na plażę spędzając czas w więzieniu, jako wielokrotny recydywista.

Potem była praca zawodowa i założenie rodziny. I kolejne studia, już zaoczne, na kierunku prawa (1975-1980), kierunku dopiero, co wprowadzonego na Uniwersytet Gdański. Kadra wykładowców na tym nowym wydziale została "importowana" z Torunia.

Doszły jeszcze dwuletnie studia podyplomowe z organizacji i zarządzania w transporcie u prof. Majewskiego (dyplom w r. 1984). Ostatnie lata przed emeryturą przepracowałem w Fabryce Wódek Gdańskich (POLMOS) w Starogardzie Gdańskim, obecnie jest to firma francuska SOBIESKI. Do moich zadań należała windykacja wielomilionowych należności oraz reprezentowanie firmy przed sądami i komornikami w tych sprawach.

Osobny rozdział stanowią liczne podróże, które zaczęły się od odwiedzenia Białorusi i Ukrainy, gdzie byłem tłumaczem i doradzałem polsko-białoruskiej firmie *joint venture* przy zawieraniu umów. Poznałem tam wielu ciekawych ludzi, był też Amerykanin Bill, który zaprosił mnie do zwiedzenia Stanów Zjednoczonych, a ja zrewanżowałem mu się tym samym. Byłem tam dwukrotnie, co umożliwiło mi zwiedzenie miejsc tzw. Dzikiego Zachodu, jak np. Deadwood, gdzie zginął i został pochowany Wild Bill Hickok.

Później odwiedzałem także kraje Ameryki Południowej, Afryki i Azji. Subkontynent indyjski przejechałem od szczytów Himalajów po Tamilnadu na południu. Zwiedzanie Afryki zakończyłem na Przylądku Dobrej Nadziei oraz Przylądku Igielnym, gdzie spotykają się dwa oceany. Ale to temat na kolejne opracowanie, czy też może podsumowanie całego życia.

Będzie tam obszerny opis poglądów filozoficznych autora z wieloma odniesieniami do filozofii Wschodu. Poza tym zamieszczone będą nie chronologicznie ciekawsze fragmenty z życia osobistego.

Podróże były zawsze połączone z historią krajów odwiedzanych. Dla przykładu - przebywając w USA trafiłem kiedyś na grób generała wojny secesyjnej Elona J. Farnswortha, który zginął w bitwie pod Gettysburgiem. Zastanowił mnie młody wiek tego oficera, miał zaledwie 26 lat w chwili śmierci. Długo szukałem jego biografii, większość generałów tej wojny ma ich nawet kilka. Minęło 20 lat od mojej wizyty, biografii nadal nie było, więc napisałem ją sam. Pogłębione studia nad historią wojny secesyjnej zaowocowały wieloma innymi publikacjami. Założyłem magazyn internetowy (fanzin) **SECESJA N&S**, do którego pisało wielu autorów z kraju i z zagranicy.

Zachęcam do lektury innych moich e-booków, które można pobierać z tej strony. <http://zbigkurzawa.eu/e-books.html>

LITERATURA WYKORZYSTANA

- 1/ "**Ćmielów**" - album, oprac. B. Kołodziejowa, Zb. Stadnicki, KAW 1986.
- 2/ "**Fabryka fajansu za dyrekcji Adolfa Fryderyka Vatkego 1808-1837**" - Jerzy Moniewski.
- 3/ "**Lasy i ludzie**" - Marian Langer, Oficyna Wyd. Mireki, 2014.
- 4/ "**Kradzież dokumentów z Archiwum Parafialnego w Ćmielowie**", Jerzy Moniewski.
- 5/ "**Polski fajans**" - M. Starzewska, M. Jeżewska, Ossolineum 1978.
- 6/ "**Dzieje Ziemi Gostyńskiej**" - praca zbiorowa pod red. St. Sierpowskiego, UAM Poznań, 1979.
- 7/ "**Zmierzch Bogów w Posen - Sensacje z Kraju Warty**" - L. Adamczewski, wyd. Replika, 2011.
- 8/ "**Gostyń dawny i niedawny**" - G. Skorupski, e-book.
- 9/ "**Chmury nad domem**", Zofia Hejmowicz-Naglerowa, wyd. Muzeum w Gostyniu.
- 10/ "**Fort VII**" - St. Strugarek, wyd. Muzeum w Poznaniu
- 11/ "**Zmagania ze społeczeństwem-:aparatus bezpieczeństwa wobec Wielkopolan w latach 1945-1956**", Poznań 2008
- 12/ Poszukiwanie przodków - genealogia dla każdego - M. Nowaczyk, PIW
- 13/ GENEALOGIA - praktyczny poradnik, K. Bąkała, Ag. Wyd., 2009
- 14/ "**Konspiracja antykomunistyczna i podziemie zbrojne w Wielkopolsce w latach 1945-1956**", Poznań 2007.
- 15/ Strona internetowa Maciej Gaszek, Mariusz Sobecki - <http://gaso-gostyn.pl/>
- 16/ Moja strona internetowa o historii Gostynia - <http://zbigkurzawa.eu/GENEALOGIA/gostyn.html>

SPIS ILUSTRACJI WYKORZYSTANYCH

1. Gród słowiański z VIII w.....	6
2. Herb Odrowąż	8
3. Orszak weselny.....	15
4. Spotkanie króla Karola X Gustawa z Jerzym II Rakoczym w Ćmielowie	17
5. Pozostałości zamku w Ćmielowie w r. 1910	18
6. Obecny wygląd wieży bramnej i resztek murów - 2006 r.	19
7. Kościół w Ćmielowie - r. 2006.....	21
8. Grobowiec Karola Pękalskiego i rodziny.....	23
9. Cmentarz choleryczny w Świętokrzyskiem	26
10. Jan Orłowski - spotkanie z autorem w r. 2007	27
11. Księga urodzin 1719-1739.....	33
12. Dr Jan Orłowski i Jan Pękalski r. 2001	37
13. Figurka porcelanowa z Ćmielowa	43
14. Pałac w Nieborowie.....	47
15. Figura Matki Boskiej na grobie Karola - 2006 r.	48
16. Karol Pękalski z żoną i córeczkami - 1885 r.	50
17. Franciszek i jego brat Stanisław z rodziną- 1905 r.	53
18. Stanisława Pękalska przed wstąpieniem do zakonu -1903 r.	55
19. Siostra Świętosława - rok 1917	56
20. Stanisława i Zofia Pękalskie w Ćmielowie w 1954 r.	59
21. Witold i Janina Milewscy ok. 1936 r.	61
22. Pracownicy fabryki porcelany - r. 1901	62
23. Wydział Odlewni fabryki porcelany w Ćmielowie.....	63
24. Pamiątkowy talerz z okazji 50-lecia pracy.....	64
25. Kierownictwo fabryki porcelany w r. 1908.....	66
26. Franciszek Pękalski w r. 1922	68
27. Fabryka porcelany odbudowana po zniszczeniach I wojny światowej- r. 1924	71
28. Franciszek Pękalski na emeryturze - rok 1938.....	73
29. Rodzina Anieli Pękalskiej w Starym Jaromierzu - rok 1947	74
30. Zdjęcie klasowe z r. 1908 - Ćmielów.....	78
31. Zdjęcie klasy Tadeusza z r. 1914.....	79
32. Klasa Tadeusza w r. 1916.....	81
33. Zdjęcie szkolne z r. 1919.....	82
34. Zofia H. Pękalska w VII klasie - r. 1926.....	83
35. Absolwenci seminarium w Wągrowcu - rok 1925	85
36. Tadeusz i grono pedagogiczne szkoły w Pępowie - rok 1927	87
37. Tadeusz w mundurze sapera - r. 1933.....	88
38. Tadeusz z uczniami szkoły w Pępowie - rok 1930.....	90

39. Tadeusz w swoim mieszkaniu w Sikorzynie - r. 1936	91
40. Autoportret w lesie - r. 1934	92
41. Z Olą Gościńiak przy motorze - r. 1936.....	93
43. Tymczasowa saperska przeprawa wodna.....	104
44. Samochód minersko-zaporowy saperów.....	106
45. Medal za 1939 r.	112
46. Rozstrzeliwanie Polaków w r. 1939.....	113
47. Kat ziemi poznańskiej A. Greiser	116
48. Kompania SS w klasztorze gostyńskim - 1941 r.....	117
49. Krysia w fotolobie - wiosna 1944 r.	120
50. Esesmani gostyńscy - r. 1944	122
51. Ucieczka Niemców z Gostynia - 20.01.1945.....	123
52. Oficerowie komendy wojennej Gostynia - 1945 r.....	127
53. Komisja MR z burmistrzem miasta w terenie - lato 1945 r.	129
54. Odbudowa gimnazjum w Gostyniu - kwiecień 1945	130
55. Marian Rączka.....	132
56. Partyzanci Rączki - r. 1946	134
57. Lokatorzy domu przy ul. 3 Maja 5 - rok 1945.....	136
58. Jan Gruchała, pedagog.....	139
59. Zaręczyny Tadeusza i Krysi - wrzesień 1944 r.	142
60. Ślub kościelny Krysi i Tadeusza w marcu 1945 r.	143
61. Na polowaniu - zima 1945 r.	144
62. Wakacje w Gdyni w r. 1948. Kamienna Góra.....	147
63. Egzekucja A. Greisera, kata Wielkopolski-1946	149
64. Zbrodniarz Oskar Knofe - 1888-1978.....	150
65. Greiser i jego kamraci-mordercy.....	153
66. Z babcią Aleksandrą w Kluczewie - 1949 r.	155
67. Z ojcem w ogrodzie dziadka Stefana - 1945.....	156
68. Stefan i Krystyna w Gostyniu - 1 maj 1952 r.	157
69. Aparat Tadeusza z 1937 r.....	160
70. Mała Ania z mamą w lesie - 1954	161
71. Czołgi na ulicach Poznania - czerwiec 1956	165
72. Tablica pamiątkowa St. Szymańskiego	166
73. Brygada sezonowa huty - w środku Ewa Penkalska - 1963.....	168
74. Wiosna 1945 - kpt. Niewiarowicz w Gostyniu. Ja w wieku 10 m-cy	170
75. Autor na łodzi w Krynicy M. - rok 1966	176

Zdjęcia autora: 1,6,7,8,10,15,24,45,75

Zbiory rodziny Penkalskich:

16,17,18,19,20,23,25,28,29,31,32,33,34,35,36,37,38,39,40,41,42,43,49,53,54,56,57,59,60,
61,62,66,67,68,69,70,73,74,

Źródła internetowe: 2,3,4,9,11,13,14,44,46,47,51,58,63,64,71,72,65.

Zbiory dr. J. Orłowskiego: 5,12,22,30,

Zbiory M. Waligórskiej: 21,

Maciej Gaszek, Mariusz Sobecki i Muzeum w Gostyniu: 48,50,52,55,

Album Ćmielów (poz. nr 1 literatury): 26,27,



Mikołaj Krzysztof Radziwiłł (Sierotka) herbu Trąby
(1549 Ćmielów - 1616 Nieśwież)